



ZE WSTĘPEM *ZADIE SMITH*

*Edward St Aubyn*

*Patrick  
Melrose*

NIC TAKIEGO  
ZŁE WIĘSCI  
JAKAŚ NADZIEJA

ydawnic  
**ab**  
two

**Edward St Aubyn**

**PATRICK MELROSE**

**Nic takiego**

**Złe wieści**

**Jakaś nadzieja**

wstęp Zadie Smith  
przełożył Łukasz Witczak



## Wstęp

Istnieje coś takiego jak „książka na lato”. Do czytania na plaży, w hamaku albo wśród wysokiej trawy. Obiecuje przyjemność i całkowite zanurzenie: jeżeli co parę minut kładziemy ją sobie na piersi, rozmyślając o obiedzie, to raczej nie mamy do czynienia z książką na lato. Prawdziwa książka na lato jest prawdziwsza niż lato: człowiek porzuca przyjaciół i bliskich, zaszywa się w pokoju, otacza moskitierą i wraca – w moim przypadku – do perypetii Patricka Melrose’a. Powieściowy pięcioksiąg Edwarda St Aubyna to w gruncie rzeczy autobiograficzna opowieść o Melrose’ach, złej rodzinie z dobrym nazwiskiem. Zanedbywany przez bogatą matkę alkoholicką Eleanor, gwałcony od piątego roku życia przez ojca arystokratę Davida, Patrick wyrasta na angielskiego dżentelmena, który (w zależności od tego, do której księgi zajrzemy) wstrzykuje sobie heroinę w luksusowych nowojorskich hotelach, nosi w kieszeni płaszcz *Mit Syzyfa*, opróżnia jednym haustem buteleczki whisky podczas spaceru z dziećmi po Królewskich Ogrodach Botanicznych i nawet w chwilach najgłębszej niedyspozycji recytuje fragmenty poezji angielskiej. Specjalnością St Aubyna jest zamykanie całej akcji w jednym dniu (z licznymi wycieczkami w przeszłość). Często w dniu jakiejś „towarzyskiej mordęgi”, czyli najkrócej mówiąc, koszmarnego przyjęcia z mnóstwem ludzi, których wolałoby się nie znać. Bohater z pasztecikiem w ręku, czekanie na uzupełnienie kieliszka, rozmyślania o samobójstwie w trakcie przemowy jakiegoś durnia na drugim końcu sali – motyw strasznego przyjęcia służył za źródło tragizmu wielu pokoleniom angielskich pisarzy. („Czerwone czy białe?” to według Kingsleya Amisa trzy najbardziej przynębiające słowa w języku angielskim). W ostatniej części całego cyklu, zatytułowanej *W końcu*, jesteśmy wreszcie świadkami pogrzebu matki Patricka (na szczęście ojciec umarł znacznie wcześniej, bo już w drugiej księdze). Jest to scena dużo zabawniejsza, niż można by się spodziewać („Za progiem domu pogrzebowego wszystkie litery wyginały się po gotycku, jakby śmierć była niemieckim miasteczkiem”). Patrick osiągnął już wiek średni, ożenił się i rozwiódł, a niedawno zaliczył pobyt w słynnym brytyjskim szpitalu odwykowym Priory. Obawia się ponownego wpadnięcia w szpony nałogu. Z pogrzebem wiąże jednak duże nadzieje:

Teraz, gdy został sierotą, wszystko było w jak najlepszym porządku. Jak gdyby przez całe życie czekał na to poczucie pełni. Oliverowie Twistowie tego świata może i mieli łatwiej, od początku cieszyli się statusem, który on osiągnął po czterdziestu pięciu latach, ale względny komfort dorastania pod opieką Bumble’ów i Faginów, a nie Davida i Eleanor Melrose’ów, z pewnością nie sprzyjał

hartowaniu charakteru.

Śmierć rodzica, heroina, gwałty w dzieciństwie, oziębłość emocjonalna, samobójstwo, alkoholizm – przerwijcie mi, kiedy to zacznie przypominać lekturę na lato. Żadne streszczenie fabuły nie przygotowuje was na wyborny, zjadliwy humor tej prozy ani – co bardziej zaskakujące – na jej ciężar filozoficzny. Przez większą część swojej kariery pisarskiej (aż do 2006 roku, kiedy to *Mleko matki* znalazło się w finale Nagrody Bookera) St Aubyn nie docierał do szerokich rzesz czytelników, być może ze względu na pozorny rozdźwięk między stylem a treścią. Dowcipnie jak Wilde, lekko jak Wodehouse i kąśliwie jak Waugh, St Aubyn pisze wyrafinowanym stylem o istocie ludzkiej *in extremis* („duszony, upuszczany, zrodzony z gwałtu i dla gwałtu”), o sytuacjach znanych raczej czytelnikom Coopera czy Burroughsa.

Teraz cykl o Patricku Melrosie stał się nagle modny i łatwo w pierwszej chwili połączyć to z przetaczającą się obecnie przez Anglię wielką falą elitaryzmu: królewskie wesele, konserwatywny premier, wznowienia sztuk Terence’a Rattigana w National Theatre, *Downton Abbey* w telewizji. Ale to fałszywy trop. St Aubyn nie przychodzi chwalić klasy wyższej, tylko ją grzebać – choć nigdy do końca i nie bez pewnej czułości – używając tego samego ironicznego, nonszalanckiego tonu, w którym celują ludzie z owej sfery. („To najgorszy ze wszystkich nałogów – mówi Patrick. – Heroina to pikuś. Spróbuj odstawić ironię”). Patrząc na jego bohaterów, na ich niepohamowaną arogancję, można odnieść wrażenie, że St Aubyn miał ułatwione zadanie: nie tyle pisał, ile schodził im z drogi. Nie stoją z boku, czekając, aż jakiś wszechwiedzący narrator, zarobiony rzemieślnik słowa, raczy ich przedstawić. Sami chwytają za cugle, jakby chcieli powiedzieć: „Na litość boską, daj mi to. Widać, że nie masz o tym zielonego pojęcia”. Oto jak się zaczyna *W końcu*:

– Nie spodziewałeś się mnie? – spytał Nicholas Pratt, stawiając laseczkę na wykładzinie krematorium i obrzucając Patricka raczej bezcelowo wyzywającym spojrzeniem, który to nawyk, choć już nieprzydatny, zbyt mocno wszedł mu w krew, by się go pozbyć. – Ostatnio snuję się po stypach. W moim wieku to nieuniknione. Na pewno lepsze niż siedzenie w domu i chichotanie z ignoranckich pomyłek młodzieńców piszących nekrologi albo oddawanie się monotonnym rozrywkom, takim jak obliczanie dziennej normy zgonów rówieśników. Nie! Trzeba „opiewać życie”: w szkole puszczała się na potęgę; mówili, że miał udaną wojnę, ale ja wiem lepiej! – rozumiesz, nadawać sukcesom właściwą miarę. Chociaż nie zrozum mnie źle, wcale nie twierdzę, że to wszystko nie jest wzruszające. Człowiekowi w tych ostatnich dniach towarzyszą jakby narastające dźwięki orkiestry. No i, rzecz jasna, wielki strach. Drepcząc co dzień w tę i w tę między szpitalem a domem pogrzebowym, myślę o tankowcach, które kiedyś raz na dwa tygodnie rozbijały się o skały, i o stadach ptaków umierających

z posklejanymi skrzydłami, o ich mrugających zdziwionych żółtych oczach.

A niech mnie. Powiedzieć o St Aubynie, że ma ucho do dialogów, to trochę za mało. Ktoś zaprotestuje, że nie ma już na świecie ludzi, którzy mówią jak Nicholas Pratt, lecz wystarczy wstąpić w dowolny dzień tygodnia do Garrick Club, żeby spotkać co najmniej kilku takich jegomościów, rozpartych w fotelach z uszami, sączących poobiednią brandy. (Ale uwaga: nie róbcie tego, jeżeli nie jesteście członkiem klubu. Albo jeśli jesteście kobietą). Może to i bardzo wąska grupa, lecz nie takie już dawały początek dłuższym cyklom powieściowym (Proust!). Patrick zresztą wcale nie wynosi się ponad wyniosłą sferę, z której się wywodzi; przeciwnie, utożsamia się z nią, dostrzegając w sobie człowieka, który „próbował wymówić się od wszystkiego, co myślał i czuł”. St Aubyn demaskuje ten typ ludzi oraz ich bezustanną paplaninę, lecz tym, co wybrzmiewa najsilniej, jest obrona skromnego angielskiego zdania, jego zawilosci, jego humoru i finezji, a nade wszystko – kontroli. Bo choć opowieść o Patricku Melrosie może się pozornie wydawać opowieścią o nadmiarze, same książki są skonstruowane wokół idei językowej kontroli jako potężnej siły. W świecie St Aubyna kontrolę nad wydarzeniami ma ten, kto kontroluje sposób ich przedstawiania. Można to nazwać, za Lewisem Carrollem, efektem Humpty Dumpty’ego.

Pytanie, kto ma być panem<sup>1</sup>, niewątpliwie zaprzęta Patricka, który rozprawia się ze swoją straszną rodziną za pomocą miażdżących diagnoz werbalnych. Kiedy podczas uroczystości zerka na „nieszczęśliwą ciotkę” Nancy, której nie podoba się, że na pogrzeb jej siostry przybyła garstka plebejuszy („Mamusia, dajmy na to, miała w całym życiu jeden wypadek samochodowy, ale nawet wtedy, wisząc do góry nogami w pogiętym wraku, wisiała w towarzystwie hiszpańskiej infantki”), jego wewnętrzny monolog doskonale ukazuje źródło problemu (i płytkę z kości słoniowej St Aubyna<sup>2</sup>):

Psychologiczny wpływ odziedziczonej fortuny, dzikie pragnienie, żeby się jej pozbyć, i dzikie pragnienie, żeby jej nie stracić; demoralizujący efekt posiadania tego, co prawie wszyscy inni ludzie przez całe życie z takim poświęceniem usiłują zdobyć; mniej lub bardziej skrywane poczucie wyższości, mniej lub bardziej skrywany wstyd z powodu bogactwa oraz charakterystyczne dla nich przebrania: ucieczka w filantropię, ucieczka w alkohol, maska ekscentryzmu, szukanie zbawienia w doskonałym guście; pokonani, leniwi i niepoważni oraz ich przeciwnicy, niosący sztandary, wszyscy żyjący w świecie tak gęsto skrzącym się od alternatyw, że praca i miłość prawie do niego nie przenikają.

Recenzowanie książek często wiąże się z cytowaniem, czyli przepisywaniem cudzych zdań. Zwykle jest to nużące zajęcie; w przypadku St Aubyna – to czysta przyjemność. Ach, te dwukropki, ta dyscyplina! Te rytmiczne, idealnie rozmieszczone przecinki, tworzące zdania dorodne i obfite, nieomal się przelewające, a jednocześnie solidne, niegrożące zawaleniem. Czytanie ich jest jak

dotykanie pięknego kawałka brokatowej tkaniny. Ten bunt przeciwko purytańskiej zwyczajności amerykańskiego zdania (nie mówiąc o sztucznej naiwności angielskiego zdania stylizowanego na przekład z francuszczyzny) – doprawdy można przez chwilę poczuć przypływ patriotyzmu.

Te zdania to coś więcej niż dekoracje. Są ważne, bo stwarzają przestrzeń dla humoru: kiedy w każdym wierszu otwiera się tyle przegródek, można w nim zmieścić co najmniej dwa żarty i jeden dyskretny przytyk. Humor tych książek jest z gatunku najczarniejszych i nie oszczędza rodziców Patricka nawet po ich śmierci. W ostatniej części dowiadujemy się więcej o „ucieczce w filantropię” Eleanor, która chętnie dzieliła się swoim czasem i pieniędzmi najpierw z organizacjami pomagającymi dzieciom („Często zostawał sam z ojcem, bo matka jechała na zebranie fundacji Save the Children”), a później, pod koniec życia, z komuną newage’owych szarlatanów, którzy skwapliwie pozbawili ją domu w Saint-Nazaire (gdzie rozegrały się dziecięcy dramat i małżeńska katastrofa Patricka). Wszystko to – „bez wniknięcia ani na milimetr w oporną skałę samopoznania”. Jeżeli zaś czytelnicy poprzednich książek mieli jakiegokolwiek wątpliwości co do psychopatii Davida Melrose’a, to poniższa anegdota z czasów jego wypraw na safari daje nowy, przerażający wgląd w ten chory umysł: „Podszedł do mężczyzny zarażonego wściekliwością” – wijącego się w sieci na świnie, w której zostawili go towarzysze – „i strzelił mu z bliska w głowę. Potem wrócił do stołu, przy którym wszyscy zaniemówili, najspokojniej w świecie usiadł i rzekł: «Trzeba mieć litość». Słowo powoli rozeszło się wokół stołu: «Trzeba mieć litość». W tej opowieści coś się krystalizuje: widzimy, że opowiadanie może być formą tyranii; i że Anglicy – przez grzeczność, szacunek dla hierarchii klasowej albo zwyczajnie ze strachu – zbyt często bronią narracji najmniej prawdziwej, a najbardziej okrutnej.

Pytanie o to, czym jest prawda – czyja wersja wydarzeń powinna zatriumfować – najpierw postawione żartobliwie, szybko przeradza się w dyskusję o naturze świadomości. Katalizatorem tego przejścia jest Erazm Price, znany myśliciel goszczący na pogrzebie Eleanor i autor książki *Głową w mur. Osiągnięcia filozofii świadomości*. Była żona Patricka Mary (która także zjawia się na pogrzebie) miała kiedyś romans z Erazmem; Patrick uzmysłowił to sobie, dopiero gdy pewnego wieczora zobaczył jego książkę obok łóżka:

– Niemożliwe, żebyś czytała tę książkę, nie mając romansu z autorem – zgadł, patrząc zza przymkniętych powiek.

– Wierz mi, że nawet wtedy nie da się jej czytać.

To odkrycie wpędza Patricka z powrotem w nałóg; nastaje dla niego ciężki okres, w którym „wynurzał się ze swojej zaciemnionej kawalerki tylko po to, by pouczać albo przepytywać [Mary] w zakresie studiów nad świadomością”:

– Kto nas uwolni od luki eksplanacyjnej? – wołał niczym Henryk II domagający się, aby ktoś zgładził kłopotliwego księdza. – I czy ta luka to jedynie

wytwór naszego opacznego dyskursu? Czy rzeczywistość jest konsensualną halucynacją? – parł jak taran. – A załamanie nerwowe – sprzeciwem wobec konsensu? Śmiało, nie wstydz się, powiedz mi, co myślisz.

– A może pójdziesz do siebie i tam stracisz przytomność? Nie chcę, żeby dzieci oglądały cię w tym stanie.

– W jakim stanie? W stanie dociekania filozoficznego?

Czy mózg i umysł to jedno i to samo? Co jest materią świadomości? Czy „osoba” to po prostu suma wszystkich anegdot, jakie świadomość opowiada na swój temat? Trudno się dziwić, że Patrick tęskni za czymś, co Mary nazywa „przekonującą i praktyczną teorią świadomości”: kiedy człowiek bierze leki na nieszczęście, całą nadzieję pokłada w „luce eksplanacyjnej”, licząc, że terapia mózgu uzdrowi umysł.

Problem w tym, że Patrick nie doświadcza rzeczywistości jako spójna osoba wyposażona w jeden umysł; jego życie jest czymś nieokreślonym, prawie bezkształtnym:

Życie towarzyskie miało tendencję do zderzania go z jego fundamentalnym sprzeciwem wobec twierdzenia, iż indywidualną tożsamość określa się poprzez układanie doświadczeń w coraz bardziej spójną i uporządkowaną opowieść. On znajdował autentyzm nie w narracji, ale w refleksji. Presja, by przedstawić swoją przeszłość w formie anegdoty albo kreślić obraz przyszłości za pomocą żarliwych ambicji, sprawiała, że czuł się niezręcznie i fałszywie. (...) Jego prawdziwe ja było uważnym odbiorcą różnorodnych i zmiennych impresji, które nie mogły, same w sobie, wzmocnić ani osłabić jego tożsamości.

Powieściowy cykl St Aubyna wyraża ten fundamentalny sprzeciw. Żadna postać, włącznie z samym Patrickiem, nie jest uprzywilejowana; St Aubyn ignoruje wyraźne podziały na postaci główne i epizodyczne, bez przerwy zaglądając wszystkim do głowy. To, co tam znajduje, nie jest piękne: to brudny strumień pragnień, mylnych wrażeń, stanowczych opinii, usprawiedliwień i samookłamywania. Strukturalnie rzecz biorąc, jest to idealny materiał komediowy, niepozbawiony jednak ciężaru, gdyż centralne pytanie w powieści komicznej – „Skąd mam wiedzieć, czy nie jestem śmieszny?” – jest blisko związane z centralnym pytaniem filozofii świadomości: „Skąd mam wiedzieć, co jest prawdziwe?”. Na stypie niejaka Fleur, zbzikowana znajoma matki, którą Patrick pamięta ze szpitala odwykowego, wypytuje innych gości, czy próbowali antydepresantu, który jej przepisano. Wreszcie staje przed Erazmem:

– Znasz amitryptylinę?

– Nigdy o niej nie słyszałem – odparł Erazm. – Co napisała?

Fleur zrozumiała, że Erazm ma pomieszane w głowie dużo bardziej, niż sądziła.

Patrick wie, że Fleur jest obłąkana, my też to wiemy, a Erazm za chwilę się

domyśli – ale czy Fleur wie? Gdybyśmy znali tylko jej wersję wydarzeń, uznalibyśmy, że tak było „naprawdę”. Co byłoby niedorzecznością – bo kto przy zdrowych zmysłach zaufałyby relacji Fleur? A przecież taki pojedynczy, ograniczony, zawodny dostęp do rzeczywistości jest udziałem każdego człowieka.

Najbardziej błyskotliwe zdanie w tej książce w ogóle nie jest dowcipne, tylko boleśnie przenikliwe: „Od dawna myślał o [swojej relacji z matką] jak o czynniku warunkującym jego osobowość, a nie jak o transakcji z drugim człowiekiem”. Patrick jest skrajnym przypadkiem, ale dla wszystkich ludzi uwięzionych w przewidywalnych i trujących związkach z „bliskimi” pytania, które stawia *W końcu*, są całkiem poważne. Kiedy Patrick odrzuca propozycję Mary, by zjadł kolację z nią i dziećmi, jego syn Thomas mówi: „Powinieneś zmienić zdanie, bo po to ono jest!”. Ale czy zmiana zdania jest w ogóle możliwa?<sup>3</sup> Czy można być wolnym? Patrickowi, którym tak długo kierowały siły będące, jak się zdaje, poza jego kontrolą – trauma, osobowość, chemia mózgu – idea „wolnego życia” (*voluntary life*) wydaje się „ekstrawagancka”: „Jak by to było zachowywać się spontanicznie, mieć bezwarunkowe reakcje na różne rzeczy – na wszystko?”.

I wreszcie końcówka całego cyklu: „Sięgnął po telefon i wybrał numer Mary. Postanowił zmienić zdanie. W końcu, jak powiedział Thomas, po to ono jest”. Również tutaj wyczuwa się emocjonalny imperatyw, który znaczy dla autora więcej niż prześciganie się w złośliwościach z Evelynem Waugh. (Nicholas: „Może [David] nie był idealnym rodzicem, ale musisz przyznać, że do końca nie stracił poczucia humoru”. Patrick: „Dostrzegał humor tam, gdzie go nie było. To nie jest poczucie humoru, tylko rodzaj okrucieństwa”). Patrząc na ten dziecięcy frazes w błyskotliwej dorosłej książce i robi mi się miękko na myśl, że St Aubyn – który przyznał, że dzięki swoim dzieciom nareszcie zaznał w życiu trochę szczęścia – umieścił go tam niczym pieczęć na liście miłosnym.

Mimo powszechnej w jego sferach pogardy dla psychiatrii (po pogrzebie Nicholas, umierając na zawał, wygłasza diatrybę, w której oskarża psychologów o „zatrucie ludzkiej wyobraźni małymi dziećmi o morderczych i kazirodczych instynktach”) i mimo własnego pancerza ironii Patrick zdaje się czerpać prawdziwą siłę z terapii i odwyku, powtarza nawet – ku własnemu zdumieniu – formułki z Priory, od których Nicholas dostałby piany na ustach („Żyć urazę to jak wypić truciznę i liczyć na to, że umrze ktoś inny”). To już nie jest cytujący Becketta heroinista „zatopiony w myślach i marzący, żeby się to już skończyło”<sup>4</sup>. Podobnie jak Krapp, nowy Patrick Melrose to ktoś, kto nie potrzebuje ani nawet nie próbuje być kimś. Słowa go zawodzą, ale to nic złego. Mało co wyraża tę niewyraźność tak dobrze jak sześciowersowe arcydzieło Williama Empsona. Patrick przypomina sobie ten wiersz w taksówce, będąc o krok od nawrotu.

– Z powrotem do Priory? – spytał kierowca, teraz już mniej wyrozumiały dla swojego pasażera.



On nie chce wiedzieć o tych z nas, którzy muszą wrócić, pomyślał Patrick. Zamknął oczy i wyciągnął się na tylnym siedzeniu.

– Mowa by mówiła coraz to ukosem... coś tam, coś tam... Nie chcesz wariatkova i tego wszystkiego. – Tego wszystkiego. *The whole thing there*. Cudowna niewymowność tej frazy, która groźnie się rozciąga, by zaraz gwałtownie i ostensywnie się skurczyć.

Elipsę zastosowałyby wielu autorów, ale tylko St Aubyn mógł z taką skromnością i rozmysłem przekręcić jeden wers<sup>5</sup>. W powieściach słowa często „przychodzą do głowy”, zwykle jednak w nieskazitelnej formie, która zadaje kłam prawdziwej świadomości. U St Aubyna dom wariatów zawsze jest blisko.

Zadie Smith

2011

**Nic takiego**

O wpół do ósmej rano, niosąc wyprasowane zeszłego wieczoru pranie, Yvette szła skrajem podjazdu w stronę domu. Sandał, w którym urwał się pasek, cicho plaskał i musiała zaciskać palce stopy, żeby nie spadł, stąpała więc niezgrabnie po zrytej, kamienistej ziemi. Za murkiem, poniżej rosnących rzędem wzdłuż podjazdu cyprysów, spostrzegła w ogrodzie doktora.

Stał w niebieskim szlafroku i ciemnych okularach, mimo że wrześnie słońce nie wychyliło się jeszcze zza wapiennej góry, i kierował silny strumień wody z węża, trzymanego w lewej ręce, na kolumnę mrówek maszerujących po żwirze u jego stóp. Metodę miał ustaloną: tym, które ocalały, pozwalał gramolić się na mokre kamyki, odzyskać na chwilę godność, po czym znów chłostał je wodą. Wolną ręką wyjął papierosa z ust, dym przesączał się przez siwo-brązowe kędziory zakrywające wydatne kości jego czoła. Po chwili zwęził strumień kciukiem, by skuteczniej rozprawić się z samotną mrówką, na którą śmiertelnie się zawziął.

Yvette musiała jeszcze tylko minąć figowiec, żeby wślizgnąć się do domu niezauważona przez doktora Melrose'a. Miał on jednak w zwyczaju podnosić wzrok w ostatniej chwili, kiedy zdawało się jej, że drzewo już ją zasłania. Wczoraj rozmawiał z nią wystarczająco długo, by ręce jej ścierpły, ale nie na tyle, aby upuściła bieliznę. Szacował takie rzeczy z bezbłędną precyzją. Najpierw – z przesadnym respektem dla jej znajomości Prowansji – zagadnął ją o mistral. Kiedy w końcu łaskawie spytał o syna pracującego w stoczni, ból dawno już rozlał się na barki i zaczynał atakować szyję. Lecz Yvette postanowiła, że nie da mu satysfakcji, bez mrugnięcia przyjęła nawet pytanie o problemy męża z kręgosłupem – doktor Melrose chciał wiedzieć, czy przeszkodzą mu one w jeździe traktorem w czasie żniw. Dziś nie zawołał do niej „*Bonjour, chère Yvette*”, co było wstępem do tych pełnych troski porannych rozmówek; schylając głowę, weszła pod niskie gałęzie figowca i zniknęła w drzwiach.

*Château*, bo tak Yvette nazywała to, co Melrose'owie nazywali domem na wsi, stał na zboczu, tak że podjazd znajdował się na wysokości górnego piętra. Od strony salonu schodziło się po szerokich schodach na taras.

Po drugiej stronie domu inne schody zbiegały wzdłuż ściany do kapliczki, w której trzymano kubły na śmieci. Zimą woda spływała tu, bulgocząc, od sadzawki do sadzawki, lecz o tej porze roku kanał obok figowca milczał, zapchany pękniętymi i rozgniecionymi figami, które plamiły ziemię sokiem.

Yvette weszła do wysokiego, ciemnego pomieszczenia i odłożyła pranie. Włączyła światło i zaczęła oddzielać ręczniki od pościeli, a pościel od obrusów. Stało tu dziesięć wysokich szaf wypełnionych od dołu do góry schludnie poskładaną i dawno przez nikogo nieużywaną bielizną. Yvette otwierała je czasem, żeby podziwiać tę chronioną kolekcję. Niektóre obrusy ozdobiono wieńcami

laurowymi i kiśćmi winogron, haftowanymi w taki sposób, że widać je było tylko pod pewnym kątem. Przesuwała palcem po monogramach wyszytych na gładkiej bieli prześcieradeł, po opasanych koroną literach „V” w rogach serwetek. Lubiła zwłaszcza jednorożca stojącego nad wstęgą z napisem w obcym języku, lecz również tych poszewek – będących jednymi z najstarszych – w ogóle nie używano. Pani Melrose kazała jej w kółko używać pospolitej bielizny z mniejszej szafy koło drzwi.

Eleanor Melrose wyszła z kuchni i dziarskim krokiem pokonała niskie stopnie prowadzące na podjazd. Gdyby szła wolniej, mogłaby się zachwiać, zatrzymać i usiąść z rezygnacją na murku przy schodach. Przekornie poddawała się mdłościom, nie próbowała ich uśmierzyć jedzeniem, a nawet je pogorszyła, wypalając papierosa. Umyła zęby po wymiotach, lecz wciąż miała w ustach posmak żółci. Umyła je również przed wymiotami, bo nie umiała zabić w sobie wrodzonego optymizmu. Od początku września poranki były chłodniejsze, w powietrzu czuło się jesień, lecz nie robiło to różnicy Eleanor, która i tak pociła się pod grubymi warstwami pudru na czole. Przy każdym kroku podpierała się dłońmi o kolana, patrząc przez wielkie ciemne okulary na białe płócienne buty na swoich bladych stopach, na przywierające do nóg ciemnoróżowe spodnie z surowego jedwabiu, podobne do dwóch ostrych papryczek.

Wyobraziła sobie lód w szklance zalewany wódką, zmrożone kostki klarujące się i trzaskające niczym kręgosłup w stanowczych rękach osteopaty. Lepkie, stłoczone, żałośnie pobrzękujące kostki lodu, oszronione szkło – i smak zimnej, oleistej wódki w ustach.

Na lewo od schodów podjazd wspinał się ostro ku placykowi, na którym pod rozłożystą pinią zaparkowany był jej rudobrazowy buick. Długi, z białymi pasami na oponach, wyglądał idiotycznie na tle tarasowych winnic i gajów oliwnych, lecz dla Eleanor jej samochód był jak konsulat w obcym mieście i szła w jego stronę śpiesznym krokiem okradzionego turysty.

Maska była upstrzona zastygłymi kroplami przezroczystej żywicy. Jedna z takich plamek, razem z tkwiącą w niej martwą sosnową igłą, przywarła u dołu przedniej szyby. Eleanor próbowała ją oderwać, ale udało jej się tylko usmarować szybę i polepić sobie palce. Choć bardzo chciała już wsiąść do samochodu, obsesyjnie skrobała dalej, brudząc sobie paznokcie. Uwielbiała swojego buicka, dlatego że David nigdy nim nie jeździł, nawet jako pasażer. Dom i ziemia należały do niej, opłacała służbę i alkohole, ale tylko ten samochód był naprawdę jej.

Gdy dwanaście lat temu poznała Davida, zafascynował ją jego wygląd. Mina, z jaką mężczyźni stojący w chłodnym angielskim salonie mają w zwyczaju spoglądać na swoje włosy, twardniała od pięciu wieków, a na twarzy Davida osiągnęła doskonałość. Eleanor nigdy nie mogła do końca pojąć, dlaczego według Anglików przebywanie długo w jednym miejscu połączone z nicnierobieniem

stanowi powód do wielkiej dumy, ale David utwierdził ją w przekonaniu, że tak właśnie uważają. Poza tym wywodził się od Karola II, przez prostytutkę. „Na twoim miejscu bym się nie chwaliła” – zażartowała, gdy usłyszała o tym po raz pierwszy. Zamiast się uśmiechnąć, odwrócił się do niej profilem w sposób, który później znienawidziła, wysuwając dolną wargę i patrząc takim wzrokiem, jakby wyświadczał jej wielką łaskę, nie mówiąc czegoś miążdżącego.

Był czas, że imponowały jej okoliczności, w jakich został lekarzem. Kiedy powiadomił o swoim zamiarze ojca, generał Melrose natychmiast cofnął mu rentę, wolał bowiem przeznaczyć te pieniądze na hodowlę bażantów. Strzelanie do ludzi i zwierząt – oto zajęcia godne dżentelmena; opatrywanie ich ran należało zostawić konowalom z klasy średniej. Taki pogląd wyznawał generał i był to pogląd, który pozwolił mu strzelać jeszcze więcej i częściej. Traktowanie syna zimno przychodziło mu bez trudu. Pierwszy raz zainteresował się jego losem, gdy David opuścił mury Eton; ojciec zapytał go wtedy, co zamierza. „Obawiam się, że nie wiem, proszę ojca” – wyjąkał w odpowiedzi, nie mając odwagi przyznać, że chce komponować muzykę. Generał, który zorientował się już wcześniej, że jego syn trwoni czas na fortepian, słusznie uznał, że służba wojskowa wyleczy go z takich niewieścich odruchów. „Lepiej wstąp do armii” – rzekł, ze sztuczną poufałością częstując syna cygarem.

A jednak David wydał się Eleanor całkiem różny od plemienia drobnych angielskich snobów i dalekich krewnych, którzy zawsze byli gdzieś w pobliżu, zawsze przygotowani na jakieś nagłe wypadki albo wspólny weekend, przepełnieni wspomnieniami, które nie były ich, wspomnieniami o tym, jak żyli ich dziadkowie, choć tamci wcale tak nie żyli. Kiedy poznała Davida, zdawało się jej, że to pierwsza osoba, która naprawdę ją rozumie. Teraz był ostatnim człowiekiem, u którego szukałaby zrozumienia. Trudno było wyjaśnić tę zmianę, starała się odpychać od siebie myśl, że czekał tylko na jej pieniądze, aby móc sfinansować swoje fantazje o takim życiu, jakie w jego mniemaniu mu się należało. A może było odwrotnie, to jej pieniądze go zepsuły. Wkrótce po ślubie zamknął swój gabinet lekarski. Przez chwilę była mowa o założeniu domu dla alkoholików finansowanego z jej środków. W pewnym sensie im się udało.

Eleanor przypomniała sobie, że może w każdej chwili wpaść na Davida. Oderwała się od żywicy na szybie, wgramoliła do samochodu, wykręciła nieporęcznym buickiem i minawszy schody, zjechała pylistym podjazdem w dół, zatrzymując się dopiero w połowie zbrocza. Postanowiła odebrać Anne od Victora Eisena wcześniej, żeby nie śpieszyć się na lotnisko, najpierw jednak musiała się doprowadzić do normalnego stanu. Pod fotelem kierowcy leżała zawinięta w poduszkę mała butelka koniaku Bisquit. W torebce Eleanor trzymała żółte tabletki, którymi się pobudzała, i białe, które łagodziły strach i niepokój towarzyszące pobudzeniu. Mając przed sobą długą jazdę samochodem, wzięła

cztery żółte zamiast dwóch, po czym, obawiając się, że podwójna dawka wytrąci ją z równowagi, łyknęła dwie białe, popijając połową koniaku. Wstrząsnęła się gwałtownie, lecz po chwili, jeszcze zanim alkohol trafił do krwiobiegu, coś w niej zaskoczyło i ogarnęła ją fala ciepła i ulgi.

Zagłębiła się w fotelu, bo dotychczas siedziała na brzegu, i pierwszy raz tego dnia poznała siebie w lusterku. Umościła się w swoim ciele jak lunatyk kładący się do łóżka po niebezpiecznej eskapadzie. Za szczelnie zamkniętymi oknami mignęły bezgłośnie wylatujące spomiędzy winorośli czarno-białe sroki; igły sosen odcinały się ostro na tle bladego nieba, z którego wiejący przez dwa dni wiatr przepędził chmury. Eleanor ponownie włączyła silnik i ruszyła, machinalnie prowadząc samochód po stromych i wąskich drogach.

David Melrose, znudzony topieniem mrówek, przerwał podlewanie ogrodu. Ta rozrywka, gdy choć trochę się zdekoncentrował, napawała go rozpaczą. Zawsze było jakieś inne gniazdo, cały taras gniazd. „Mrówki” wymawiał jak „ciotki”<sup>6</sup>, a jego żądza mordu wzmagała się na myśl o siedmiu wyniosłych siostrach matki, tych przemądrzałych, samolubnych kobietach, przed którymi jako dziecko popisował się talentem do gry na fortepianie.

Rzucając wąż na ścieżkę wysypaną żwirem, myślał o tym, jak bezużyteczna stała się dla niego Eleanor. Zbyt długo była zeszywniała ze strachu. To było jak próby palpacyjnego zbadania powiększonej wątroby, kiedy pacjent już wie, że takie badanie jest bolesne. Rzadko kiedy udawało mu się ją przekonać, żeby się odprężyła.

Przypomniawszy sobie pewien wieczór sprzed dwunastu lat, kiedy zaprosił ją do swojego mieszkania na kolację. Jaka była wtedy ufna! Choć wcześniej przespali się ze sobą, wciąż zachowywała się nieśmiało. Miała na sobie dość workowatą białą sukienkę w czarne kropki. Dzięki prostym blond włosom nie wyglądała na swoje dwadzieścia osiem lat. Wydała mu się ładna z tym swoim trochę zdziwionym, trochę zmęczonym spojrzeniem, ale najbardziej podniecała go jej nerwowość, milcząca desperacja kobiety, która pragnie się zaangażować w coś ważnego, ale nie wie, co by to mogło być.

Przyrządził wtedy marokańskie danie: gołębia faszzerowanego migdałami. Podał go jej na ryżu z szafranem, zaraz jednak cofnął talerz.

– Zrobisz coś dla mnie? – spytał.

– Oczywiście. Co takiego?

Postawił talerz na podłodze za jej krzesłem.

– Zjadłabyś to, nie używając sztućców ani rąk, prosto z talerza?

– To znaczy jak pies?

– Jak dziewczyna udająca psa.

– Ale dlaczego?

– Bo cię o to proszę.

Sprawiła mu przyjemność ta ryzykowna gra. Eleanor mogła odmówić i sobie pójść. Ale jeśli zostanie i spełni jego prośbę, będzie miał ją w garści. Ciekawe, że ani jemu, ani jej nie przyszło do głowy, żeby się roześmiać.

Uległość, nawet w tak absurdalnej sytuacji, stanowiła dla Eleanor wielką pokusę. Oto mogła poświęcić rzeczy, w które nie chciała wierzyć – dobre maniery, godność, dumę – dla czegoś, w co wierzyć chciała: tym czymś był duch poświęcenia. Jałowość tego gestu, to, że nikomu nie pomoże, czyniły go w jej oczach jeszcze czystszy. Uklękła na wytartym perskim dywanie, kładąc rozwarte dłonie po obu stronach talerza. Rozsuwając łokcie, opuściła głowę i chwyciła zębami kawałek gołębia. Poczowała napięcie w dole pleców.

Usiadła z dłońmi na kolanach i milcząco przeżuwała. Gołąb smakował dziwnie. Podniosła nieco wzrok i zobaczyła buty Davida, jeden na dywanie, zwrócony do niej czubkiem, drugi zawieszony w powietrzu blisko niej. Gdy dotarła spojrzeniem na wysokość kolan jego skrzyżowanych nóg, znów się pochyliła i zabrała do jedzenia, tym razem łapczywiej, rozgrzebując kopczyk ryżu w poszukiwaniu migdałów, potrząsając lekko głową, by oderwać mięso od kości. Kiedy w końcu spojrzała mu w oczy, miała sos na policzku i ziarenka ryżu na ustach i nosie. Po zdziwieniu na jej twarzy nie było ani śladu.

David przez kilka chwil uwielbiał ją za to, że zrobiła, co jej kazał. Wysunął stopę i delikatnie przesunął krawędzią buta po jej policzku. Był całkowicie urzeczony zaufaniem, jakie mu okazała, lecz nie wiedział, co z nim począć, osiągnął już bowiem swój cel: dowiódł, że potrafi nakłonić ją do uległości.

Nazajutrz opowiedział wszystko Nicholasowi Prattowi. Był to jeden z tych dni, kiedy kazał swojej sekretarce mówić, że jest zajęty, i pił w klubie, z dala od gorączkującej dziatwy i kobiet, które udawały, że ich kac to migrena. Lubił pić pod niebiesko--złotym sufitem porannego salonu, gdzie długo rozchodziły się fale wzbudzone przejściem ważnych osób. Nudni i rozpustni anonimowi członkowie czuli się podniesieni atmosferą władzy; tak małe łódki podskakują na cumach, gdy z przystani wypływa duży jacht.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał Nicholas, wahając się między rozbawieniem a wstrętem.

– Trudno z nią ciekawie porozmawiać, nie uważasz? – odparł David.

Nicholas milczał. Czuł, że zmusza się go do udziału w zмовie, tak jak Eleanor zmuszono do jedzenia.

– Czy kiedy była na czworakach, rozmawiało się wam ciekawiej? – zapytał w końcu.

– Nie jestem cudotwórcą – odrzekł David. – Skoro nie mogłem sprawić, że będzie zabawna, przynajmniej sprawiłem, że była cicho. Bałem się kolejnej rozmowy o bolączkach ludzi bogatych. Ja nie mam o nich pojęcia, a ona nie ma pojęcia o niczym innym.

Nicholas cicho się zaśmiał, a David obnażył zęby. Cokolwiek mówić o jego zmarnowanych talentach, pomyślał Nicholas, uśmiechanie się nigdy mu nie wychodziło.

David wszedł z ogrodu na taras prawą stroną podwójnych schodów. Mimo sześćdziesięciu lat włosy wciąż miał gęste i trochę niesforne. Jego twarz była zdumiewająco przystojna. Doskonałość stanowiła jedyny jej mankament; była jak model twarzy, sprawiała wrażenie niezamieszkanego, jak gdyby to, w jaki sposób jej właściciel żył, nie zdołało się w żaden sposób odcisnąć na jej idealnych rysach. Ludzie, którzy dobrze znali Davida, wypatrywali na niej oznak starości, lecz jego maska z każdym rokiem była coraz szlachetniejsza. Zza ciemnych okularów, nieraz w ogóle nie poruszając szyją, przesuwał wzrokiem po ludziach, szukając oznak słabości. Diagnozowanie było najbardziej podniecającą ze wszystkich umiejętności, które posiadał jako lekarz; gdy już postawił diagnozę, często tracił zainteresowanie pacjentami, chyba że w ich cierpieniu było coś intrygującego. Kiedy nie miał ciemnych okularów, jego spojrzenie przybierało obojętny wyraz, dopóki nie dostrzegł w drugiej osobie miękkiego punktu. Wtedy twardniało niczym naprężony mięsień.

Przystanął na szczycie schodów. Wypalone cygaro rzucił za murek, między winorośle. Na wprost niego bluszcz pokrywający południową ścianę domu już czerwieniał. Zachwycił go ten kolor. Był jak buńczuczny gest w stronę śmierci, jak człowiek pluący w twarz oprawcy. Widział, jak Eleanor w pośpiechu odjeżdża swoim śmiesznym samochodem. Widział też, jak Yvette próbuje niepostrzeżenie wślizgnąć się do domu. Wcale im się nie dziwił.

Rozumiał, że aby okrucieństwo wobec Eleanor odnosiło skutek, co pewien czas powinien dla odmiany okazywać jej troskę i długo ją przeproszać za swoje destrukcyjne usposobienie. Zaniechał jednak tych wariacji, ponieważ jego rozczarowanie nią nie miało granic. Wiedział, że Eleanor nie pomoże mu rozwiązać supła niewyraźności, który w sobie nosił. Czuł, że zaciska się on coraz mocniej, jakby miał go prędzej lub później udusić, i ta świadomość kładła się cieniem na każdej jego chwili.

To niedorzeczne, ale przez całe lato prześladowało go wspomnienie niemego kaleki z lotniska w Atenach. Mężczyzna usiłował sprzedawać małe torebki pistacji czekającym pasażerom, rzucając im na kolana drukowane ulotki; poruszał się z móżdżkiem, na roztrzęsionych nogach, oczy wywracały mu się ku górze, głowa kiwała na boki. Na widok jego bezgłośnych grymasów, jak u ryby duszącej się na brzegu rzeki, David za każdym razem doznawał lekkiego zawrotu głowy.

Wysłuchany w szelest swoich żółtych pantofli, pokonał ostatnie schody, łączące taras z drzwiami salonu. Yvette nie zdążyła jeszcze rozsunąć zasłon, dzięki czemu nie musiał ich z powrotem zaciągać. W półmroku salon wydawał się bardziej drogocenny. Purpurowe, bogato złożone krzesło, które amerykańska babka



Eleanor wydarła starej weneckiej rodzinie podczas jednego ze swoich kolekcjonerskich najazdów na Europę, lśniło pod ścianą w głębi pokoju. Myślał z przyjemnością o tamtym skandalu, a wiedząc, że krzesło powinno się znajdować pod troskliwą opieką muzealników, lubił siadać na nim rozmyślnie przy każdej okazji. Czasem, kiedy był sam, siadał na brzegu krzesła Doży, bo tak je nazywano, pochylony do przodu, z prawą ręką na misternie rzeźbionej poręczy, w pozie, jaką pamiętał z *Ilustrowanej historii Anglii*, którą rozdawano w jego prywatnej szkole podstawowej. Obrazek przedstawiał mocno rozgniewanego Henryka V, któremu zuchwały król Francji przysłał w darze piłki tenisowe.

David otaczały zdobycze matriarchalnej amerykańskiej rodziny Eleanor. Na ścianach wisiały gęsto rysunki autorstwa Guardiiego i Tiepola, Piazzetty i Novellego. Osiemnastowieczny francuski parawan, ozdobiony gąszczem szarobrazowych małąp i różowych róż, dzielił podłużny pokój na pół. Wystawała zza niego, gdy patrzyło się z miejsca, w którym stał David, czarna chińska komoda, zastawiona równymi szeregami butelek, w środku wypełniona żelaznym zapasem. Nalewając sobie drinka, David pomyślał o nieżyjącym teściu, Dudleyu Craigu, uroczym szkockim pijaku, którego matka Eleanor, Mary, pogoniła, gdy zrobił się zbyt drogi w utrzymaniu.

Po Dudleyu Craigu Mary wyszła za Jeana de Valençay; uznała, że skoro już ma utrzymywać mężczyznę, niech to przynajmniej będzie książę. Eleanor wychowywała się w kilku domach, w których każdy przedmiot wyglądał tak, jakby należał dawniej do jakiegoś króla lub cesarza. Były to wspaniałe rezydencje, lecz goście opuszczali je z ulgą, świadomi tego, że w oczach księżnej nie są godni krzesel, na których siedzieli.

David podszedł do wysokiego okna w drugim końcu pokoju, które jako jedyne było odsłonięte. Roztaczał się z niego widok na pobliską górę. David nieraz wpatrywał się w miejsca, gdzie wapienna skała wychodziła spod ziemi, naga i poszarpana. Wyglądało to jak rzucone na ciemne zbocze modele ludzkiego mózgu, a czasem jak jeden mózg, wylażący z licznych nacięć. Usiadł teraz na sofie przy oknie i patrzył przez szybę, próbując wykrzesać z siebie pierwotny podziw.

Patrick szedł w kierunku studni. Szarym plastikowym mieczem o złotej rękojeści siekł różowe kwiaty waleriany wyrastającej ze ściany tarasu. Gdy na którejś z łodyg kopru dostrzegł ślimaka, strącał go, przesuając mieczem w dół rośliny. Kiedy zabijał ślimaka, musiał nadepnąć na niego bardzo szybko i od razu uciekać, bo rozdeptany ślimak był oślizgły jak smarki. Potem wracał, żeby przyjrzeć się kawałkom brązowej skorupy w szarej galarecie, i żałował tego, co zrobił. Deptanie ślimaków po deszczu było nie fair, bo one wtedy wychodziły się bawić, kąpały się w kałużach i wyciągały rogi. Kiedy dotykał ich rogów, cofały się prędko i jego ręka też się cofała. Dla ślimaków był jak dorosły.

Pewnego dnia, choć wcale nie zamierzał tam iść, znalazł się niespodziewanie koło studni. Stwierdził, że droga, którą odkrył, jest sekretną drogą na skróty, i od tamtej pory zawsze nią chodził, kiedy był sam. Szedł tarasem, na którym rosły drzewa oliwne, a wczoraj, kiedy wiał wiatr, liście co chwila zmieniały kolor, z zielonego na szary, z szarego na zielony, jak wtedy, kiedy przesuwał palcami po aksamicie i aksamit najpierw robił się jasny, a potem znów ciemny.

Pokazał swój tajny skrót Andrew Bunnillowi, a Andrew powiedział, że tędy jest dłużej, a nie krócej, a wtedy on powiedział, że wrzuci go do studni. Andrew był słaby i się popłakał. Kiedy Andrew miał wracać do Londynu, Patrick powiedział, że wyrzuci go z samolotu przez okno. Chlip, chlip, chlip. Patrick nawet z nim nie leciał, ale powiedział, że schowa się pod podłogą i zobaczy płamę pod jego fotelem. Niania Andrew powiedziała, że Patrick brzydko się zachowuje, na co Patrick odpowiedział, że to dlatego, że Andrew jest takim cieniem.

Niania Patricka umarła. Znajoma jego mamy powiedziała, że poszła do nieba, ale Patrick wszystko widział i dobrze wiedział, jak było naprawdę: wsadzili ją do drewnianej skrzyni i zakopali. Niebo było w przeciwnym kierunku, więc ta kobieta musiała kłamać, chyba że to było jak wysyłanie paczki. Jego mama bardzo płakała, kiedy zamknęli nianię w skrzynce, mówiła, że to dlatego, że myśli o swojej niani. Ale to bez sensu, bo jej niania żyła, trzeba ją było nawet odwiedzać pociągiem i można było wtedy umrzeć z nudów. Zawsze było u niej obrzydliwe ciasto, miało odrobinę dżemu pośrodku, a po bokach tysiąc mil piany. Zawsze mówiła: „Wiem, że takie lubisz”, a to była nieprawda, bo poprzednim razem powiedział jej, że takiego nie lubi. Nazywała to ciasto „piaskowe”, więc Patrick spytał, czy jest z piasku, a niania jego mamy śmiała się i śmiała, a potem ścisnęła go chyba z godzinę. To było obrzydliwe, bo przyciskała policzek do jego twarzy, a miała obwisłą skórę, jak ta szyja kurczaka, która zwisała kiedyś ze stołu w kuchni.

Po co w ogóle jego mamie była niańka? On już niańki nie potrzebował, a miał dopiero pięć lat. Tata powiedział, że jest już małym mężczyzną. Pamiętał,

jak pojechał do Anglii jako trzylatek. To było zimą i pierwszy raz widział wtedy śnieg. Pamiętał, jak stał na drodze przy kamiennym moście, na drodze leżał szron, na polach leżał śnieg, niebo świeciło, droga i żywopłoty raziły w oczy, niania trzymała go za rękę i stali tak bardzo długo, patrząc na most. Często o tym myślał, i jeszcze o tym, jak siedzieli razem z tyłu samochodu i trzymał głowę na jej kolanach, i patrzył na nią, a ona się uśmiechała, a niebo za jej głową było wielkie i błękitne, i zasnął.

Patrick wspiął się po stromej ścieżce i minawszy drzewo laurowe, wyszedł koło studni. Nie wolno mu było się przy niej bawić. To było jego ulubione miejsce zabaw. Czasem wdrapywał się na zbutwiałą pokrywę i skakał po niej, udając, że to trampolina. Nikt go nie mógł powstrzymać i rzadko kiedy próbowano. Tam, gdzie spękana różowa farba odeszła, drewno było czarne. Skrzypiało groźnie, przyprawiając Patricka o bicie serca. Miał za mało siły, żeby samemu podnieść pokrywę, ale kiedy była odsunięta, zbierał kamienie i grudki ziemi i wrzucał je do środka. Wpadały do wody z pluskiem, który odbijał się głębokim echem, i znikwały w czerni.

U szczytu ścieżki Patrick triumfalnie uniósł miecz. Widział, że pokrywa studni jest odsunięta. Zaczął się rozglądać za dobrym kamieniem, największym, jaki zdoła udźwignąć, i jak najokrągłym. Buszując po łące, wygrzebał rudawy kamień, który mógł unieść jedynie oburącz. Umieścił go na płaskiej powierzchni obok otworu studni, podciągnął się, tak że jego stopy nie dotykały ziemi, i wychylając się jak najdalej do przodu, spojrział w ciemność, w której kryła się woda. Przytrzymując się lewą ręką, zepchnął kamień, usłyszał plusk i patrzył, jak poruszona woda nieczysto odbija światło nieba. Ciężka i czarna, przypominała raczej olej. Krzyknął w głąb studni, gdzie suche cegły wyżej były zielone, a niżej czarne. Gdy wychylał się daleko, słyszał wilgotne echo własnego głosu.

Postanowił wejść na murek studni. Czubki zdartych niebieskich sandałów mieściły się w szparach między kamieniami. Chciał stanąć nad krawędzią otworu. Raz już to kiedyś zrobił, żeby pokazać Andrew, że potrafi. Andrew stał obok studni i powtarzał: „Nie, Patrick, błagam, zejź, błagam”. Wtedy Patrick się nie bał, ale teraz, będąc sam, dziwnie się poczuł, kucając na murku tyłem do wody. Wstał bardzo powoli, a kiedy się prostował, czuł za plecami zapraszającą pustkę. Był przekonany, że jeśli się poruszy, stopa mu się omsknie, i dlatego robił wszystko, żeby utrzymać równowagę, zaciskał pięści oraz palce stóp i wpatrywał się bardzo poważnie w twardą ziemię wokół studni. Chcąc przypieczętować swoje zwycięstwo, schylił się ostrożnie po miecz, który wciąż leżał na murku, i ogromnym wysiłkiem woli, przezwyciężając strach, który próbował sparaliżować mu ręce i nogi, dosięgnął porysowanego i wyszczerbionego ostrza. Chwyciwszy za miecz, nieśmiało zgiął kolana, zeskoczył na ziemię i zaczął ciąć wyimaginowanych wrogów, krzycząc „hura!” i naśladując szczęk żelaza. Uderzył płazem miecza

w liść laurowy i dźgnął powietrze pod gałęzią, jednocześnie wydając straszny jęk i łapiąc się za bok. Lubił sobie wyobrażać, że armia rzymska wpadła w zasadzkę barbarzyńców, a on, dowódca gwardzistów w purpurowych płaszczach, najdzielniejszy z dzielnych, przychodzi jej z odsieczą i ratuje od haniebnej klęski.

Włócząc się po lesie, często myślał o Ivanhoe, bohaterze jednego ze swoich ulubionych komiksów, ścinającym drzewa na swojej drodze. Patrick musiał je omijać, ale wyobrażał sobie, że on też potrafi wyrąbywać sobie przejście, że kroczy majestatycznie przez gaj na końcu tarasu, jednym ciosem powalając sosny z lewa i prawa. Czytał w książkach o różnych rzeczach, a potem dużo o nich myślał. Czytał o tęczach w dziecinnej książeczce obrazkowej, ale potem zaczął je widywać na ulicach Londynu po deszczu, kiedy benzyna z samochodów plamiła asfalt i na wodzie pojawiały się urwane fioletowe, niebieskie i żółte kręgi.

Dziś nie miał ochoty iść do lasu, postanowił więc, że zeskoczy po kolei ze wszystkich tarasów. To było jak latanie, choć niektóre ściany były dla niego za wysokie i musiał usiąść na krawędzi, zrzucić miecz na dół, spuścić się jak najniżej i dopiero wtedy zeskoczyć. Ziemia włożyła mu do butów i musiał je dwa razy zdejmować, żeby wytrząsnąć piach i kamyki. Bliżej dna doliny tarasy stawały się szersze i niższe i można było skakać z samej góry. Zaczerpnął tchu przed ostatnim lotem.

Czasem udawało mu się skoczyć tak daleko, że czuł się prawie jak Superman, a czasem zmuszał się do szybszego biegu, myśląc o wilczurze, który gonił go na plaży tamtego dnia, kiedy tak strasznie wiało i poszli zjeść lunch u George'a. Błagał mamę, żeby pozwoliła mu się przejść, bo uwielbiał patrzeć, jak wiatr burzy morze i rozbija fale o skały jak butelki. Wszyscy mówili mu, żeby się nie oddalał, ale chciał widzieć skały z bliska. Szedł piaszczystą ścieżką ku plaży, gdy na szczycie pagórka pojawił się tłusty, długowłose wilczur i zaczął na niego szczekać. Kiedy ruszył w jego stronę, Patrick rzucił się do ucieczki, najpierw po krętej ścieżce, a potem na przełaj w dół po miękkim piasku, coraz szybciej, aż sadził wielkie susy, wymachując rękami na wietrze, a gdy zbiegł na piaszczyste półkole między skałami, aż na skraj najwyższej fali, i obejrzał się za siebie, pies był daleko, daleko na wzgórzu i Patrick wiedział, że go nie dogoni, bo jest za szybki. Później zastanawiał się, czy w ogóle próbował.

Zdyszany zatrzymał się nad wyschniętym korytem rzeki. Wlazł na duży kamień pomiędzy dwiema kępami bladozielonego bambusa. Zabrał tam kiedyś Andrew i grali w grę, którą wymyślił. Obaj stawali na kamieniu i próbowali się nawzajem zepchnąć, udając, że po jednej stronie jest dół z mnóstwem połamanych żyłek, a po drugiej basen wypełniony miodem. Kto spadał z kamienia, ten albo kaleczył się w milion miejsc i wykrwawiał, albo tonął wyczerpany ciężką złotą kąpielą. Andrew zawsze spadał, bo był strasznym cieniem.

Tata Andrew też był cieniem. Patrick był kiedyś na urodzinach Andrew

w Londynie i pośrodku salonu stało pudło z prezentami dla innych dzieci. Stały w kolejce, brały po jednym prezencie, a potem biegały po salonie, pokazując sobie, co kto dostał. Patrick zrobił inaczej: schował swój prezent pod pachą i znów ustawił się w kolejce. Kiedy schylał się po drugą błyszczącą paczuszkę, tata Andrew kucnął obok niego i powiedział: „Ty chyba już masz jeden prezent, Patricku?” – ale łagodnie, jakby częstował go cukierkiem. „To nie w porządku wobec innych dzieci zabierać cudze prezenty, nie uważasz?”. Patrick spojrzał hardo i odparł: „Nie mam jeszcze prezentu”, a tata Andrew zrobił smutną minę cieniasa i powiedział: „Dobrze, Patricku, ale niech to będzie ostatni”. I tak Patrick wyniósł z przyjęcia dwa prezenty, ale był zły na tatę Andrew, bo chciał więcej.

Teraz musiał grać sam ze sobą, skakał więc z jednego końca kamienia na drugi, machając rękami, żeby utrudnić sobie zachowanie równowagi. Gdy spadał, udawał, że to się nie wydarzyło, choć wiedział, że oszukuje.

Zawahał się, patrząc na linę, którą François przywiązał do jednego z pobliskich drzew, żeby mógł na niej skakać przez koryto rzeki. Poczłł suchość w gardle i zaczął wspinać się z powrotem w stronę domu po ścieżce wśród winorośli, którą pomału jechał traktor. Miecz stał się teraz niepotrzebnym ciężarem, niósł go niechętnie pod pachą. Słyszał kiedyś, jak jego tata użył dziwnego wyrażenia. Powiedział do George’a: „Daj takiemu sznur, a sam się powiesi”. Patrick w pierwszej chwili nie zrozumiał, co to znaczy, ale później doszedł do wniosku, który przeszył go wstydem i grozą: mówili o linie, którą François zawiązał na drzewie. Tamtej nocy śniło mu się, że lina zmieniła się w mackę ośmiornicy i owinęła wokół jego szyi. Próbował ją przeciąć, ale nie dał rady, bo jego miecz był tylko zabawką. Mama bardzo płakała, kiedy znaleźli go dyndającego na gałęzi.

Nawet za dnia trudno było zrozumieć, o czym rozmawiają dorośli. Raz wymyślił sposób na odczytywanie ich zamiarów: „nie” znaczyło „nie”, „chyba” znaczyło „może”, „tak” znaczyło „chyba”, a „może” znaczyło „nie”, ale ten system się nie sprawdzał i Patrick doszedł do wniosku, że chyba jednak wszystko znaczy „może”.

Jutro na tarasach zaroi się od zbieraczy winogron, będą zrywać kiście i wrzucać je do wiader. W zeszłym roku François wziął go na przejażdżkę traktorem. Miał bardzo silne dłonie, twarde jak drewno. Jego żona Yvette miała złote zęby, które było widać, kiedy się uśmiechała. Kiedyś Patrick wymienił sobie wszystkie zęby na złote, nie tylko dwa czy trzy. Czasem siedział z Yvette w kuchni i pozwalała mu próbować potraw, które gotowała. Podsuwała mu łyżki zupy, mięsa i pomidorów i pytała: „*Ça te plait?*”. A kiedy potakiwał, pokazywała swoje złote zęby. W zeszłym roku François kazał mu usiąść w rogu przyczepy obok dwóch dużych beczek winogron. Kiedy droga była stroma i wyboista, odwracał się i pytał: „*Ça va?*”, a Patrick odpowiadał: „*Oui, merci*”, przekrzykując warkot silnika, łoskot

przyczepy i pisk hamulców. Kiedy dojechali na miejsce, gdzie robi się wino, Patrick był bardzo podekscytowany. W środku było ciemno i chłodno, ziemię polewano wodą z węża i czuło się ostry zapach soku przerabianego na wino. Pomieszczenie było ogromne, François zaprowadził go po drabinie na wysoki pomost biegnący nad tłocznią i wszystkimi kadziami. Pomost był zrobiony z metalu i miał dziurki, dziwnie było stać tak wysoko i mieć dziury pod nogami.

Gdy byli nad tłocznią, Patrick spojrzął w dół i zobaczył dwa przylegające do siebie stalowe walce, które obracały się w przeciwnych kierunkach. Brudne od soku, kręciły się głośno, napierały jeden na drugi. Barijerka na pomoście sięgała Patrickowi tylko do brody i czuł, że jest bardzo blisko tłoczni. Kiedy na nią patrzył, wydało mu się, że jego oczy są jak winogrona, że są zrobione z tej samej prześwitującej galaretki i zaraz wypadną mu z głowy i wleczą między walce, które je zmiżdżą.

Będąc już pod samym domem – jak zwykle wszedł po schodach z prawej, bo były szczęśliwsze – skręcił do ogrodu, żeby poszukać żaby, która mieszkała w figowcu. Zobaczenie tej żaby przynosiło dużo szczęścia. Jej jasnozielona skóra wydawała się jeszcze gładka na tle gładkiej szarej kory figowca i trudno ją było dostrzec wśród liści, które miały prawie ten sam kolor. Patrick widział ją tylko dwa razy, ale bardzo długo stał nieruchomo wpatrzony w jej ostry szkielet, w wypukłe oczy jak koraliki w żółtym naszyjniku jego mamy, w przysawki na przednich nogach, którymi pewnie trzymała się pnia, i przede wszystkim w nadymające się boki, które ożywiały ciało delikatne jak biżuteria, lecz bardziej spragnione tlenu. Za drugim razem Patrick wyciągnął rękę i ostrożnie dotknął żabiej głowy koniuszkiem palca, a kiedy się nie poruszyła, uznał, że mu ufa.

Dzisiaj żaby nie było, więc zmęczony wszedł po ostatnich schodach, podpierając się dłońmi o kolana. Okrążył dom, stanął przed wejściem do kuchni i wysoko uniósł rękę, żeby otworzyć piszczące drzwi. Spodziewał się tam Yvette, ale jej nie było. Butelki białego wina i szampana szturchały się z brzękiem, gdy otwierał drzwi lodówki. Zawrócił do spiżarki i znalazł w narożniku dolnej półki dwie ciepłe butelki mleka czekoladowego. Po kilku próbach udało mu się jedną otworzyć i ugasił pragnienie, pijąc prosto z butelki, choć Yvette mówiła, żeby tego nie robił. Ledwie skończył, od razu ogarnął go przenikliwy smutek i przez kilka następnych minut siedział na kuchennym blacie wpatrzony w swoje buty, którymi kołysał w powietrzu.

Słyszał dźwięki fortepianu, stłumione przez odległość i zamknięte drzwi, ale nie zwracał na nie uwagi, dopóki nie rozpoznał melodii, którą ojciec skomponował dla niego. Zeskoczył z blatu i pobiegł korytarzem do holu, przeciął hol i galopując jak koń, wpadł do salonu i zaczął tańczyć do muzyki. Była to szalona melodia z gwałtownymi lawinami wysokich dźwięków nałożonymi na dudniący marsz wojskowy. Patrick podskakiwał wśród stołów i krzeseł, i wokół fortepianu;

uspokoił się dopiero, gdy ojciec przestał grać.

– Jak leci, Master Manie? – spytał ojciec, przyglądając mu się z natężeniem.

– Dobrze, dziękuję – odparł Patrick. Zastanawiał się, czy to pytanie było podchwytliwe. Zasapał się, ale wiedział, że musi się skoncentrować, bo jest z ojcem. Kiedyś zapytał, co jest najważniejsze na świecie, a ojciec powiedział: „Obserwuj wszystko”. Patrick często zapominał o tej wskazówce, ale w obecności ojca przyglądał się rzeczom uważnie, nie do końca wiedząc, czego w nich szuka. Obserwował oczy ojca za ciemnymi szklami. Przeskakiwały z przedmiotu na przedmiot, z osoby na osobę, zatrzymując się na nich tylko na chwilę i jakby coś im kradnąc, tym szybkim i lepkiem spojrzeniem, które miało w sobie coś z języka gekona. Kiedy był z ojcem, Patrick na wszystko patrzył poważnie i miał nadzieję, że wyda się poważny każdemu, kto przyjrzy się jego oczom, tak jak on przyglądał się oczom ojca.

– Chodź tu – rzekł ojciec. Patrick zrobił krok naprzód.

– Mam cię podnieść za uszy?

– Nie! – zawołał Patrick. To była taka ich gra. Ojciec wyciągał ręce i chwycił go dwoma palcami za każde ucho. Patrick zaciskał dłonie na jego nadgarstkach i ojciec udawał, że podnosi go za uszy, ale tak naprawdę Patrick przenosił swój ciężar na ręce.

Ojciec wstał i podniósł go tak, że ich oczy znalazły się na tej samej wysokości.

– Puść się – powiedział.

– Nie! – zawołał Patrick.

– Puść się, a ja puszcę cię – rzekł ojciec przekonująco.

Patrick puścił jego nadgarstki, lecz ojciec nadal ścisnął uszy w palcach. Na moment Patrick zawisł na nich całym ciężarem. Prędko złapał ojca za nadgarstki.

– Au! Powiedziałaś, że mnie puścisz. Błagam, puść.

Ojciec dalej trzymał go w powietrzu.

– Nauczyłeś się dzisiaj czegoś bardzo przydatnego – oznajmił. – Zawsze myśl za siebie. Nigdy nie pozwalaj, żeby inni podejmowali za ciebie ważne decyzje.

– Proszę, puść – powtórzył Patrick. – Proszę.

Chciało mu się płakać, ale tłumił w sobie falę rozpacz. Ręce bolały, lecz kiedy je rozluźniał, wydawało mu się, że uszy zaraz się urwą, tak jak zrywa się złotko z kubeczka śmietany.

– Powiedziałaś! – krzyczał. – Powiedziałaś!

Ojciec postawił go na ziemi.

– Przestań skomleć – rzekł znudzonym tonem. – To odpychające. – Usiadł do fortepianu i zaczął znów grać marsza, lecz Patrick nie tańczył.

Wybiegł z pokoju, z holu, z kuchni, przez taras i gaj oliwny aż do sosnowego

lasku. Znalazł ciernisty krzew, wczołgał się pod niego i zsunął po niewielkiej pochyłości do swojej najtajniejszej kryjówki. Usiadł pod parasolem z krzaków, wparty plecami w sosnę otoczoną zewsząd gąszczem zarośli, i próbował powstrzymać czkający szloch, który ścisnął mu gardło.

Nikt mnie tu nie znajdzie, pomyślał. Nie mógł opanować spazmów, które go dławily, kiedy nabierał powietrza. Czuł się jak wtedy, kiedy zaplątywał się w sweter, wsadzał głowę do środka i nie mógł znaleźć otworu, a potem daremnie próbował wydostać ją przez rękaw i myślał, że nigdy się już nie wydostanie i że się udusi.

Dlaczego ojciec mu to zrobił? Nikt nikomu nie powinien tego robić, pomyślał, nikt nikomu nie powinien tego robić.

Zimą, gdy kałuże pokrywały się lodem, można było zobaczyć uwięzione pod spodem pęcherzyki powietrza, które nie mogły oddychać: lód wepchnął je do wody i nie chciał ich wypuścić. Nienawidził tego, bo to było niesprawiedliwe, i zawsze rozbijał lód, żeby uwolnić powietrze.

Nikt mnie tutaj nie znajdzie, pomyślał. I zaraz potem: co, jeśli nikt mnie tutaj nie znajdzie?



Victor wciąż spał w pokoju na dole i Anne nie chciała, żeby się zbudził. Po niespełna roku mieszkania ze sobą spali w osobnych pokojach, bo inaczej nie wysypiałaby się z powodu jego chrapania – i tylko z tego powodu. Zeszła boso po stromych i wąskich schodach, przesuwając opuszkami palców po krzywiźnie białej ściany. W kuchni zdjęła gwizdek z dziobka obłupanego emaliowanego czajnika i starając się robić jak najmniej hałasu, zaparzyła kawę.

Kuchnia Victora, gdzie talerze były pomarańczowe, a ze ścierek uśmiechały się głupawo kliny arbuźów, miała w sobie pewną zmęczoną żywiołowość. Była siedliskiem taniej wesołości urządzonej przez jego żonę Elaine; Victor byłby się zbuntował przeciwko jej złemu gustowi, gdyby nie strach, że taki bunt sam w sobie jest w złym guście. Bo przecież kto zwraca uwagę na wyposażenie kuchni? Jakie to ma znaczenie? Czy obojętność nie jest bardziej dystygowana? Zawsze podziwiał u Davida Melrose'a przekonanie, że dobry gust to również pewność siebie, z jaką człowiek się myli. On, Victor, zbyt często się wahał. Zdarzało mu się przez kilka dni albo kilka minut trwać w zuchwałym uporze, zawsze jednak prędzej czy później wracał do swojej wypracowanej roli dżentelmena; miło się czasem pobawić w *épater les bourgeois*, lecz taka zabawa bywa ryzykowna, gdy równocześnie jest się jednym z nich. Victor wiedział, że nigdy nie przyjmie za swój poglądu Davida Melrose'a, iż sukces jest czymś wulgarnym. Nieraz nachodziła go myśl, że ta gnuśność i wzgarda to maska człowieka, który żałuje swojego nieudanego życia, lecz w przytłaczającej obecności Davida owo proste wyjaśnienie rozwiewało się jak dym.

Anne nie mogła się nadziwić, że ktoś tak inteligentny jak Victor daje się złapać na tak małe haczyki. Nalewając sobie kawy, czuła dziwną sympatię do Elaine. Nie poznała jej, ale zaczynała rozumieć, dlaczego żona Victora szukała ucieczki w zestawie kubków ze Snoopym.

Kiedy na zlecenie londyńskiego biura „New York Timesa” Anne Moore przyleciała zrobić wywiad z wybitnym filozofem sir Victorem Eisenem, wydał jej się troszkę staroświecki. Właśnie wrócił z lunchu w Athenaeum, jego filcowy kapelusz, pociemniały od deszczu, leżał na stoliku w holu. Wyciągnął zegarek z kieszeni kamizelki, co zrobiło na Anne wrażenie archaicznego gestu.

– Ach, równo co do minuty – zauważył. – Bardzo cenię punktualność.

– Świetnie – odparła – w takim razie jest nas dwoje.

Wywiad był udany, nawet bardzo; dość powiedzieć, że późnym popołudniem przeniósł się do jego sypialni. Od tamtej pory Anne postanowiła interpretować jego bez mała edwardiański ubiór, pretensjonalny dom i podlane claretem anegdoty jako elementy kamuflażu, jaki musiał przybrać – wraz z tytułem szlacheckim – żydowski intelektualista, żeby wtopić się w pejzaż konwencjonalnego angielskiego

życia.

W kolejnych miesiącach mieszkała z Victorem w Londynie, ignorując wszystko, co by wskazywało, że ta życzliwa interpretacja jest nieco optymistyczna. Na przykład te niekończące się weekendy, które zaczynały się odprawą w środę wieczorem: ile akrów, ile wieków, ilu służących. Wieczory czwartkowe były poświęcone spekulacjom: miał nadzieję, wielką nadzieję, że tym razem nie będzie kanclerza; czy Gerald zamierza nadal polować, teraz, gdy jeździ na wózku? Ostrzeżenia wybrzmiewały w piątek, zwykle już w samochodzie: „Nie rozpakowuj sama swoich walizek w tym domu”; „Nie wpytuj ludzi, czym się zajmują”; „Nie pytaj kamerdynera o samopoczucie jak ostatnio”. Weekend kończył się dopiero we wtorek, kiedy ze skórek i łądyg soboty i niedzieli wyciskało się ostatnie krople cierpkiego soku.

W Londynie poznała mądrych znajomych Victora, lecz ludzie, u których spędzali weekendy, byli zamożni i zazwyczaj głupi. Victor był *ich* mądrym znajomym. Zachwalał miękkiem głosem ich wina i obrazy, a oni lubili zaczynać zdania od „Victor na pewno nam wyjaśni...”. Patrzyła, jak próbują go nakłonić, żeby powiedział coś mądrego, i patrzyła, jak się wysila, żeby się do nich upodobnić, powtarza nawet obowiązujące w danym towarzystwie frazesy: czy to nie cudownie, że Gerald nie zrezygnował z polowania? Czyż matka Geralda nie jest wspaniała? Dziewięćdziesiąt dwa lata i umysł jak brzytwa, uwija się w ogrodzie jak pszczoła. „Dostaję przy niej zadyszki!” – wykrzykiwał.

Ale choć musiał się na tych kolacjach produkować, przynajmniej zjadał je ze smakiem. Znacznie trudniej było zbagatelizować jego londyński dom w Knightsbridge. Biały, zdobiony sztukaterią i zaskakująco duży, wydzierżawił go na piętnaście lat, sprzedając nieco mniejszy, lecz własny dom w mniej modnej lokalizacji. Do końca dzierżawy pozostało mu już tylko siedem lat. Anne bez namysłu złożyła tę szaloną transakcję na karb roztargnienia, z którego słyną filozofowie.

Dopiero kiedy w lipcu przyjechała tutaj, do Lacoste, i zobaczyła, jakie stosunki łączą Victora z Davidem, jej lojalność zaczęła się wyczerpywać. Zastanawiała się, jak wysoką cenę, liczoną zmarnowanym czasem, Victor jest gotów zapłacić za akceptację towarzyską – i dlaczego, u licha, chce ją płacić Davidowi.

Victor twierdził, że David jest jego dokładnym rówieśnikiem – używał tego określenia w stosunku do wszystkich, którzy byli mniej więcej w tym samym wieku i nie zwracali na niego uwagi w szkole. „Znam go z Eton” częstokroć oznaczało, że dana osoba okrutnie z niego żartowała. Do swoich szkolnych przyjaciół zaliczał tylko dwóch innych uczonych, przy czym dawno już przestał ich widywać. Jeden kierował college'em w Cambridge, drugi pracował w służbie cywilnej, ale wielu podejrzewało, że jest szpiegiem, bo jego stanowisko było zbyt

nudne, by mogło istnieć naprawdę.

Potrafiła sobie wyobrazić Victora z tamtych lat: zalęknionego chłopca, którego rodzice wyjechali z Austrii po pierwszej wojnie światowej, osiedli w Hampstead, a później pomogli przyjacielowi znaleźć dom dla Freuda. Jej obraz Davida Melrose'a ukształtowały opowieści Victora, do których domieszała swoje amerykańskie wyobrażenie o życiu angielskich wyższych sfer. Półbóg z wielkiego domu, pierwszy odbijający w drużynie krykieta, paradujący w dziwacznej kamizelce, którą wolno mu było nosić, ponieważ należał do Popu, elitarnego klubu, do którego Victor nigdy się nie dostał. Trudno było traktować ten cały Pop zupełnie poważnie, a jednak Victorowi się to udawało. Anne wyobrażała sobie, że to coś jak bycie gwiazdą uniwersyteckiej drużyny futbolowej, tylko bez obściskiwania się z cheerleaderkami; można było natomiast spuszczać lanie młodszym chłopcom za to, że przypalili ci tosty.

Kiedy poznała Davida na końcu długiego czerwonego dywanu, który Victor rozwinął swoimi opowieściami, dojrzała w nim arogancję, lecz uznała, że widocznie jest zbyt amerykańska, by docenić splendor jego straconych nadziei. Zrobił na niej wrażenie pozera i powiedziała o tym Victorowi. Victor przyjął to z pełną powagi dezaprobatą; dowodził, że wprost przeciwnie, David cierpi, bo bardzo jasno widzi swoją sytuację. „Chodzi ci o to, że wie, że jest dupkiem?” – zapytała.

Ogrzewając dłonie parującym kubkiem w fioletowe serduszka różnej wielkości, Anne ruszyła z powrotem ku schodom. Najchętniej spędziłaby dzień, czytając w hamaku zawieszonym między platanami przed domem, ale zgodziła się pojechać na lotnisko z Eleanor. Zawdzięczała tę wycieczkę nienasyconemu pragnieniu Victora, by zacieśniać więzy z Melrose'ami. Anne lubiła tylko jedno z nich, Patricka, który jako pięciolatek wciąż jeszcze miał w sobie trochę entuzjazmu.

O ile z początku wzruszała ją bezbronność Eleanor, o tyle teraz Anne miała dość jej pijaństwa. Poza tym musiała wystrzegać się odruchu ratowania ludzi, a także swojego zwyczaju wytykania im niedostatków moralnych, tym bardziej że wiedziała, że nic tak nie drażni Anglików jak kobieta o jasno sprecyzowanych poglądach – chyba tylko kobieta, która w dodatku jest gotowa ich bronić. Czuła się tak, jakby każdego jej asa pik przebijano blotką at. Tą blotką mogła być jakaś zasłyszana pogłoska, nieszczera uwaga, nic niewnoszący kalambur, cokolwiek, co torpedowało poważną rozmowę. Męczyły ją te śmiertelnie nudne uśmiechy na twarzach ludzi, którzy zawdzięczali zwycięstwo własnej głupocie.

Mądrzejsza o to doświadczenie, bez większego trudu znalazła właściwy ton w rozmowie z nieplacącym angielskich podatków angielskim księciem George'em Watfordem, który zjeżdżał do Melrose'ów na weekendy z pobliskiego wybrzeża, zawsze w butach o nieprawdopodobnie zwężonych czubkach. Jego nieco

drewniana twarz była cieniutko spękana niczym werniks na dziełach starych mistrzów, które swego czasu sprzedał, czym „szokował naród”. Anne miała wrażenie, że Anglicy niewiele wymagają od swoich książąt. Wystarczyło, że trzymali się kurczowo majątków – przynajmniej ci najbardziej znani – by nazywano ich strażnikami czegoś, co ich rodacy określali mianem „naszego dziedzictwa”. Była rozczarowana, że ten osobnik o twarzy jak pajęczyna nie podołał nawet prostemu zadaniu, jakim było zostawienie swoich Rembrandtów w spokoju tam, gdzie wisiały.

Anne wytrwała we właściwym tonie aż do przyjazdu Vijaya Shaha. Był on jedynie znajomym, nie przyjacielem Victora, poznali się przed dziesięciu laty, kiedy jako przewodniczący klubu dyskusyjnego zaprosił Victora do Eton, by bronił tezy o użyteczności filozofii. Od tamtej pory Vijay podtrzymywał kontakt, bombardując Victora pretensjonalnymi pocztówkami, od czasu do czasu widywali się też w Londynie na przyjęciach. Podobnie jak Victor, Vijay był stypendystą Eton, ale w przeciwieństwie do Victora był również bardzo bogaty.

Anne początkowo miała wyrzuty sumienia, że tak źle reaguje na powierzchowność Vijaya. Ziemista cera i obfite policzki, jakby permanentnie chorował na świnkę, stanowiły niefortunne tło dla wielkiego haczykowatego nosa z wystającymi kępami krnąbrnych kłaczków. Nosił grube kwadratowe okulary, ale bez nich czerwone wgniecenia na grzbiecie nosa i słabe oczy w ciemnoszarych dołach wyglądały jeszcze gorzej. Włosy od suszenia suszarką podnosiły mu się i sztywniały na czubku głowy niczym czarna beza. Ubranie w żaden sposób nie rekompensowało tych naturalnych mankamentów. Ulubione zielone dzwony Vijaya były pomyłką, która jednak schodziła na dalszy plan wobec szeregu lekkich marynarek w chaotyczne szkockie kraty z nakładanymi kieszeniami bez kłapek. Inna sprawa, że nawet w takim stroju prezentował się o niebo lepiej niż w kąpielówkach. Anne ze zgrozą przypominała sobie jego wąskie barki z białymi krostami wyzierającymi spod szorstkiego czarnego futerka.

Gdyby Vijay miał więcej urody ducha, być może jego wygląd budziłby współczucie lub nawet obojętność, lecz kilka dni spędzonych w jego towarzystwie utwierdziło Anne w przekonaniu, że każdy szpetny rys na jego twarzy jest odbiciem wewnętrznej perfidii. Szerokie rozchylone usta były okrutne i ordynarne zarazem. Kiedy próbował się uśmiechać, fioletowawe wargi skręcały się tylko niczym podgniły liść wrzucony do ognia. Służalczy i chichotliwy w obecności starszych i potężniejszych od siebie, gdy zwęszył słabość, zmieniał się w drapieznika; atakował wyłącznie bezbronne ofiary. Jego głos był, zdawało się, stworzony do minoderii, a jednak podczas wieczornego sporu w przededniu jego wyjazdu osiągnął przenikliwą ostrość zawiedzionego nauczyciela. Jak wielu pochlebców nie zdawał sobie sprawy, że irytuje ludzi, którym pochlebia. Kiedy przedstawiono mu Drewnianego Księcia, wylał z siebie gęsty, bulgoczący potok

komplementów, niczym przewrócona butelka syropu. Anne słyszała potem, jak George skarżył się Davidowi: „Absolutnie okropny jest ten człowiek, którego przywiózł twój przyjaciel Victor. Bez przerwy opowiadał o stiukach w Richfield. Można by pomyśleć, że chce się tam zatrudnić jako przewodnik”. George chrząknął z pogardą, a David z pogardą odchrząknął.

Drobny Indus wyszydzany przez potwornych angielskich snobów w każdych innych okolicznościach wyzwoliłby w niej głębokie pokłady solidarności ze słabszymi, lecz Vijay sam gorąco pragnął zostać potwornym angielskim snobem. „Nie znoszę pobytów w Kalkucie – oznajmiał chichotliwie – ci ludzie, matko, i ten hałas”. Po czym robił pauzę, by wszyscy mogli docenić tę nonszalancką uwagę wygłoszoną przez angielskiego żołnierza nad Sommą.

Wspomnienie łąszącego się głosu Vijaya opuściło ją, kiedy próbowała otworzyć drzwi do swojej sypialni, które zawsze zahaczały o wypukłość na starej, nierównej podłodze. Był to kolejny relikwyt czasów Elaine, która nie zgadzała się na pozbawienie domu „autentyzmu”. Wytarta mozaika z sześciokątnych płytek w miejscu, gdzie szurały o nią drzwi, odróżniała się bledszym rudawym kolorem. Nie chcąc rozlać kawy, Anne zostawiła drzwi tak, jak były, i wsunęła się do pokoju bokiem, ocierając się piersioma o szafę.

Odstawiła kubek na stolik z okrągłym marmurowym blatem na czarnych metalowych nogach, który Elaine przywiozła triumfalnie z jakiegoś sklepu z gratami w Apt i którego używała przebiegle jako stolika nocnego. Był zdecydowanie za wysoki i Anne często wyciągała niewłaściwą książkę ze wznoszącego się nad nią stosiku niewidocznych tytułów. *Żywoty cesarów* Swetoniusza, które David pożyczył jej dawno temu, bo na początku sierpnia, przypominały o sobie jak wyrzut sumienia. Rzuciła okiem na parę rozdziałów, lecz to, że książkę polecił jej David, sprawiało, że nie miała ochoty na bliższy z nią kontakt. Czuła, że naprawdę powinna jeszcze trochę przeczytać przed wieczorem, żeby mieć coś mądrego do powiedzenia, kiedy będzie mu ją oddawać. Pamiętała tylko, że Kaligula zamierzał torturować swoją żonę, aby się przekonać, dlaczego jest jej tak oddany. Ciekawe, jaki pretekst miał David?

Zapaliła papierosa. Leżąc na stercie poduch i poduszek, siorbiąc kawę i bawiąc się dymem, poczuła przez chwilę, że jej myśli subtelnieją i szybują coraz wyżej. Jediną rzeczą, która mąciła jej przyjemność, był szum wody dobiegający z łazienki Victora.

Najpierw się golił i wycierał resztki kremu w czysty ręcznik. Następnie przylizywał sobie włosy, stawał u podnóża schodów i wołał: „Skarbie!”. Po krótkiej ciszy powtarzał to zawołanie tonem, który mówił: „przestań się wygłupiać”. Kiedy i to nie przynosiło skutku, krzyczał: „Śniadanie”.

Parę dni temu Anne postanowiła się z nim podrażnić.

– Ach, skarbie – powiedziała – nie musiałeś.

- Czego nie musiałem?
- Robić śniadania.
- Nie zrobiłem.
- Ach, myślałam, że skoro wołasz „śniadanie”, to znaczy, że jest gotowe.
- Nie. To znaczy, że jestem gotowy do śniadania.

Anne niewiele się pomyliła, Victor istotnie był w łazience na dole i energicznie się czesał. Jak zwykle jednak w kilka sekund po tym, jak przestał, wicherek, który dokuczał mu od małego, znów się podniósł.

Miał dwie szczotki do włosów, obie z kości słoniowej, obie bez rączki. Były dość niewygodne, ale bardzo tradycyjne, podobnie jak drewniana miseczka na mydło do golenia, które nigdy nie pieniło się tak dobrze jak pianka z puszki. Victor miał pięćdziesiąt siedem lat, ale wyglądał młodziej. Tylko wiotczejące ciało, brak sprężystości w dolnej części twarzy i nadzwyczajnie głębokie poprzeczne zmarszczki na czole zdradzały jego wiek. Zęby miał równe, mocne, żółte. Nos – choć marzyło mu się coś bardziej aerodynamicznego – kartoflowaty i przyjazny. Kobiety zawsze komplementowały jego oczy, których blada szarość jaśniała na tle nieco dziobatej oliwkowej skóry. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie, którzy go nie znali, byli zaskoczeni, gdy z tej twarzy, która mogłaby należeć do wyelegantowanego boksera, płynął wartko sepleniący strumień łagodnych słów.

W różowej piżamie z New & Lingwood, jedwabnym szlafroku i czerwonych pantoflach Victor czuł się prawie wyjściowo. Opuścił łazienkę, przez swoją surową białoną sypialnię z zielonymi moskitierami w oknach, zawieszonymi na pinezkach, przeszedł do kuchni i kręcił się tam, nie ośmielając się jeszcze zawołać Anne.

Gdy tak się wahał, zjawiała się Eleanor. Jej buick był zbyt długi, by dało się nim wjechać po wąskim i krętym podjeździe, musiała go więc zaparkować na skraju sosnowego zagajnika u stóp wzgórza. Teren ten nie należał do Victora, lecz do jego sąsiadów, Faubertów, znanych w Lacoste z ekscentrycznego stylu życia. Faubertowie wciąż orali mułem, nie mieli prądu, mieszkali w wielkim zapuszczonym domu, w którym zajmowali tylko jedno pomieszczenie. W pozostałych piętrzyły się baryłki wina, słoje z oliwą, worki paszy, kopce migdałów i lawendy. Niczego nie zmienili od śmierci starej madame Faubert, która niczego nie zmieniała, odkąd pół wieku temu weszła do tego domu jako panna młoda, niosąc w rękach zegar i szklaną miskę.

Ci ludzie intrygowali Eleanor. Wyobrażała sobie ich surowe i owocne życie jako witraż w średniowiecznym kościele: robotnicy podczas winobrania dźwigający na plecach kosze pełne winogron. Raz widziała jednego z Faubertów w Crédit Agricole; miał ponurą minę człowieka, który myśli z przyjemnością o duszeniu ptactwa. Mimo wszystko żywiła przekonanie, że Faubertowie zachowali zdrowy związek z ziemią, o którym większość z nas zapomniała. Ona, Eleanor, z całą pewnością nie pamiętała, czym jest zdrowy związek z ziemią. Może trzeba

było się urodzić Indianinem albo kimś takim.

Starła się iść pod górę wolniejszym krokiem. Boże, myśli gonily jej po głowie, gonily na jałowym biegu, oblewała się potem, a przez jej podniecenie raz po raz przebijały błyski strachu. Tak trudno było zachować równowagę: albo wszystko pędziło, tak jak teraz, albo dopadała ją ociężałość, a wtedy z trudem kończyła zdania, jakby brnęła przez bagno. Latem było lepiej, bo dzwoniły cykady. Ich śpiew był jak szum krwi w skroniach. Słyszała go na zewnątrz i wewnątrz.

Pod samym szczytem przystanęła i głęboko odetchnęła, próbując uspokoić rozdygotane nerwy, niczym panna młoda poprawiająca welon przed ostatnim napotkanym lustrem. Uroczysty nastrój zaraz ją opuścił i już po kilku kolejnych krokach zaczęły jej się trząść nogi. Mięśnie twarzy drgały jak rozsuwana kurtyna, serce usiłowało wyskoczyć saltem z piersi. Musi pamiętać, żeby nie brać tylu żółtych tabletek naraz. Co się stało z tymi prochami na uspokojenie? Najwyraźniej utonęły w powodzi deksedryny. O mój Boże, jest Victor, stoi w kuchni, jak zwykle ubrany niczym manekin na wystawie. Pomachała mu wesoło i dziarsko przez okno.

Victor w końcu zebrał się na odwagę, by zawołać Anne, gdy nagle usłyszał chrzęst kroków na żwirowej ścieżce i ujrzał Eleanor, machającą do niego energicznie. Podskakiwała, na przemian krzyżując ręce nad głową i je rozkrzyżowując, a proste blond włosy fruwały na boki; wyglądała jak ranny żołnierz wzywający helikopter.

Bezgłośnie, z przesadną starannością, jakby zwracała się do głuchego cudzoziemca, wymówiła słowa „dzień dobry”.

– Otwarte! – zawołał Victor.

Ta kobieta ma naprawdę końskie zdrowie, pomyślał, kierując się w stronę drzwi wejściowych.

Anne, która spodziewała się okrzyku „Śniadanie”, zdziwiła się, słysząc „Otwarte”. Wstała z łóżka i zbiegła na dół, by przywitać Eleanor.

– Jak się masz? Ja jeszcze nieubrana.

– Dawno już nie śpię.

– Cześć, skarbie, może zaparzysz herbaty w dzbanku? – odezwał się Victor.

– Napijesz się, Eleanor?

– Nie, dzięki.

Zaparzywszy herbatę, Anne poszła na górę się ubrać. Była zadowolona, że Eleanor przyjechała tak wcześnie. Niepokoiło ją tylko, że Eleanor będzie prowadzić, widziała jej gorączkowe ruchy i strużki potu na upudrowanej twarzy, i szukała sposobu, żeby samej usiąść za kierownicą.

Na dole Eleanor, ze zwisającym papierosem w ustach, przetrząsała torbę w poszukiwaniu zapalniczki. Pięć czy sześć beżowych plastikowych tubek z tabletkami kotłowało się między paczkami papierosów Player's, błękitnym skórzanym notesem z numerami, złotą puderniczką, kredkami, szminkami, małą

srebrną piersiówką pełną fernet-branca i kwitem z pralni Jeeves przy Pont Street. Niecierpliwymi dłońmi wylawiała po kolei wszystko, tylko nie czerwoną plastikową zapalniczkę, która przecież musiała gdzieś tam być.

– Boże, ja chyba wariuję – wymamrotała. Po czym rzekła wesoło: – Pomyślałam, że zabiorę Anne na lunch do Signes.

– Signes? To chyba trochę nie po drodze?

– Jedziemy tak, że będzie po drodze. – Eleanor wcale nie chciała, by to zabrzmiało krotocwilnie.

– Och, nie wątpię – odparł Victor z pobłażliwym uśmiechem. – Ale to chyba trochę wydłuży wam podróż?

– Tak, ale Nicholas ląduje dopiero o trzeciej, a lasy korkowe są takie ładne. – Nie do wiary, trzeci raz kwit z pralni. Widocznie jest ich więcej. – No i można zwiedzić klasztor, choć raczej nie starczy nam czasu. Kiedy jeździmy tamtędy na lotnisko, Patrick zawsze chce, żebyśmy go zabrali do wesołego miasteczka w stylu Dzikiego Zachodu. Może o nie zahaczymy. – Szurum-burum, tabletki, tabletki. – Muszę go tam kiedyś zabrać. Ach, znalazłam zapalniczkę. Jak ci idzie pisanie książki, Victorze?

– No wiesz – odparł protekcjonalnie – tożsamość to szerokie zagadnienie.

– Czy będzie coś o Freudzie?

Victor odbył już podobną rozmowę i był gotów skończyć swoją książkę tylko po to, by nie musieć odbywać jej ponownie.

– Nie piszę z perspektywy psychoanalitycznej.

– Aha – powiedziała Eleanor, która właśnie zapaliła papierosa i chciała na moment dać się zafascynować. – Wydawało mi się, że to jest bardzo... jak to się mówi? No, bardzo psychologiczne. Jeżeli coś jest przede wszystkim w naszej głowie, to właśnie to, kim jesteśmy.

– Być może cię zacytuję – odrzekł Victor. – Ale przypomnij mi, proszę, czy ta kobieta, która przylatuje z Nicholasem, to jego czwarta czy piąta żona?

Wszystko na nic. Znowu poczuła się głupia. Zawsze czuła się głupia w towarzystwie Davida i jego przyjaciół, nawet gdy wiedziała, że to oni zachowują się głupio.

– Nie jest jego żoną – wyjaśniła. – Rozstał się z Georginą, która była trzecia, ale z tą jeszcze nie wziął ślubu. Na imię jej Bridget. Wydaje mi się, że poznałam ją w Londynie, ale nie zrobiła na mnie szczególnego wrażenia.

Anne zeszła na dół w białej bawełnianej sukience, niewiele się różniącej od białej bawełnianej koszuli nocnej, którą miała na sobie przed chwilą. Victor z satysfakcją odnotował, że może sobie pozwolić na taką dziewczęcą sukienkę, bo wciąż wygląda młodo. Białe sukienki podkreślały zwodniczy spokój, którego przydawały jej szeroka twarz, wysokie kości policzkowe i łagodne czarne oczy. Weszła lekko. W kontraście z nią Eleanor przywodziła Victorowi na myśl słowa



lady Wishfort: „Wyglądam jak stary mur, co się już sypie”.

– Okej – powiedziała Anne. – Jeżeli o mnie chodzi, możemy jechać w każdej chwili. Dasz sobie radę z obiadem? – spytała Victora.

– Wiesz, jacy są filozofowie, my nie dbamy o te sprawy. Poza tym zawsze mogę się przejść do Cauquière na jagnięcinę z *sauce béarnaise*.

– *Béarnaise*? Z jagnięciną? – zdziwiła się Anne.

– Oczywiście. Danie, które przyprawiło księcia de Guermantes o taki głód, że nie miał czasu porozmawiać z wątpliwą córką Swanna, tak bardzo śpieszył się na obiad.

Anne uśmiechnęła się do Eleanor.

– Czy u ciebie w domu też serwuje się Prousta na śniadanie?

– Nie, ale na kolację owszem.

Gdy się z nim pożegnały, Victor ruszył w stronę lodówki. Miał cały dzień dla siebie i swojej pracy i nagle poczuł ogromny głód.

– Boże, okropnie się czuję – poskarżył się Nicholas, włączając lampkę na stoliku nocnym.

– Biedny chomik – mruknęła sennie Bridget.

– Jakie mamy plany na dzisiaj? Zapomniałem.

– Lecimy na południe Francji.

– A, tak. Co za koszmar. O której samolot?

– Dwunasta coś. Na miejscu o trzeciej coś. Jest chyba godzina różnicy czy coś.

– Na miłość boską, przestań w kółko powtarzać „coś”.

– Przepraszam.

– Nie wiem, po co wczoraj zostaliśmy tak długo. Ta kobieta po mojej prawej była absolutnie straszna. Pewnie ktoś jej kiedyś powiedział, że ma ładny podbródek, więc postanowiła, że sprawi sobie jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Wiesz, że była żoną George’a Watforda?

– Czyją?

– Tego, którego widziałas w zeszły weekend na zdjęciu w albumie Petera. Tego z drobno popękaną twarzą, jak *crème brûlée* po pierwszym uderzeniu łyżeczką.

– Nie każdy może mieć kochanka, który jest i bogaty, i piękny. – Bridget przysunęła się do niego.

– Oj, kochana, daj spokój – odparł, naśladując, tak mu się zdawało, akcent północnej Anglii. Stoczył się z łóżka i jęcząc: „Śmierć i zagłada”, poczołgał się teatralnie po szkarłatnej wykładzinie do otwartych drzwi łazienki.

Gdy się gramolił na nogi, Bridget przyjrzała mu się krytycznie. Przez ostatni rok mocno mu się przytyło. Może starsi faceci to jednak nie jest to. Dwadzieścia trzy lata to duża różnica, a dwudziestoletnia Bridget na razie nie pchała się do małżeństwa jak starsze siostry Watson-Scott, gapiowate panny zbliżające się galopem do trzydziestki. Wszyscy znajomi Nicholasa byli wapniakami, a niektórzy potrafili zanudzić na śmierć. Nicholas to nie był ktoś, z kim można brać kwas. To znaczy, można było, robiła to z nim, ale to nie to samo co z Barrym. Nicholas nie miał odpowiedniej muzyki, odpowiednich ciuchów, odpowiedniego podejścia. Gryzło ją sumienie z powodu Barry’ego, ale kobieta musi pozostawić sobie wybór.

Z Nicholasem było tak, że naprawdę był bogaty i piękny, a do tego był baronetem, jak u Jane Austen. Tylko że ani się obejrzy, a ludzie zaczną mówić: „Widać, że był kiedyś przystojny”, na co ktoś wielkodusznie zaprotestuje: „Ależ nie, wciąż jest”. Pewnie w końcu wyjdzie za niego i zostanie czwartą lady Pratt. Potem będzie mogła się rozwieść i zgarnąć pół miliona funtów, weźmie sobie Barry’ego na seksualnego niewolnika, a w sklepach będzie się dalej przedstawiać

jako lady Pratt. Jezu, czasem potrafiła być tak cyniczna, że sama siebie przerażała.

Wiedziała, że Nicholas myśli, że w ich związku chodzi głównie o seks. Niewątpliwie o to właśnie chodziło, kiedy poznali się na imprezie. Nicholas był mocno pijany i zapytał ją, czy jest „naturalną blondynką”. Ziew, ziew, co za tandetny tekst. Tak się jednak złożyło, że Barry był w Glastonbury i troszkę ją nosiło, rzuciła mu więc ciężkie spojrzenie i odparła: „Może sam się przekonasz?”, po czym wyszła z pokoju. Nicholas myślał, że się przekonał, ale nie wiedział, że Bridget farbowała *wszystkie* włosy. Jeżeli dbać o siebie, to wszędzie, brzmiało jej motto.

W łazience Nicholas wysunął język i podziwiał gęsty nalot, ciemnofioletowy od wczorajszej kawy i wina. Miło się pośmiać z podwójnych podbródków Sary Watford, ale prawda była taka, że sam miał podwójny podbródek, o ile nie trzymał głowy w górze jak defilujący królewski gwardzista. Nie chciało mu się golić, ale nałożył sobie trochę podkładu Bridget. Nie to, żeby pragnął wyglądać jak stara królowa w *Śmierci w Wenecji*, z różem ściekającym po rozpalonych przez cholere policzkach, ale bez odrobiny jasnego pudru jego twarz miała coś, co zwykle się nazywało „niezdrową bladością”. Podkład Bridget był dość skromny, podobnie jak jej nierzadko okropne ciuchy. Cokolwiek by się mówiło o Fionie (a był taki czas, że nie przebierało się w słowach), miała najcudowniejsze kremy i maseczki prosto z Paryża. Zastanawiał się nieraz, czy Bridget nie jest aby (tu trzeba było sięgnąć po subtelne niuanse francuszczyzny) *insortable*. W zeszły weekend u Petera przez całą niedzielę chichrała się jak czternastolatka.

No i to jej pochodzenie. Nicholas nie wiedział, kiedy rody Watsonów i Scottów zdecydowały się połączyć swoje fortuny, lecz poznał od razu, że Watsonowie-Scottowie są amatorami posiadłości z drugiej ręki, gotowymi zabić, żeby o zaręczynach ich córki napisano w „Country Life”. Ojciec lubił wyscigi i kiedy Nicholas zabrał jego i jego rozmiłowaną w różach żonę na *Le Nozze di Figaro* w Covent Garden, Roddy Watson-Scott na widok dyrygenta, który zajął miejsce na podium, oznajmił: „Czekają na sygnał startera”. Ale choć pozycja społeczna Watsonów-Scottów pozostawiała odrobinę do życzenia, przynajmniej wszyscy byli zgodni, że Bridget to dziewczyna palce lizać, a on, Nicholas, jest farciarzem.

Jeśli ożeni się ponownie, to na pewno nie z kimś takim jak Bridget. Pomijając wszystko inne, była zupełną ignorantką. „Przerobiła” *Emmę* przed egzaminem w liceum, lecz od tamtej pory, o ile się orientował, czytała tylko ilustrowane czasopisma, jakies „Oz” albo „The Furry Freak Brothers”, dostarczane jej przez ciemnego typka imieniem Barry. Godzinami wpatrywała się w obrazki pełne fruujących gałek ocznych, eksplodujących jelit oraz policjantów o twarzach dobermanów. W jego własnych jelitach panował srogi zamęt i chciał wygonić Bridget z sypialni, zanim one również eksplodują.

– Skarbie! – zawołał, a właściwie zachrypiał. Odchrząknął flegmę i splunął do umywalki. – Byłabyś tak cudowna i przyniosła mi szklanekę soku pomarańczowego z salonu? I filiżankę herbaty?

– No dobra.

Bridget leżała na brzuchu i leniwie bawiła się ze sobą. Zwlokła się z łóżka z głośnym westchnieniem. Jezu, Nicholas był nudny. Po co mu w ogóle służba? Traktował tych ludzi lepiej niż ją. Poczłapała do salonu.

Nicholas usiadł ciężko na desce sedesowej z tekowego drewna. Towarzyska i seksualna edukacja Bridget sprawiała mu coraz mniej przyjemności, odkąd przestał się skupiać na tym, jaki z niego świetny nauczyciel, i zdał sobie sprawę, że Bridget jest niezbyt pilną uczennicą. Po powrocie z Francji będzie musiał wyskoczyć do Asprey i kupić jej prezent pożegnalny. Inna sprawa, że nie czuł się jeszcze gotowy na tę dziewczynę z działu starych mistrzów w Christie's – niebieski wełniany golf z prostym naszyjnikiem z pereł – marzącą o mężczyźnie, któremu mogłaby ofiarnie pomagać w utrzymaniu stanu posiadania; generalską córkę przywykłą do atmosfery dyscypliny. Dziewczynę, snuła się ponuro jego myśl, która czułaby się dobrze wśród wilgotnych niskich wzgórz Shropshire przy granicy z Walią, czego Nicholas wciąż nie mógł powiedzieć o sobie, mimo że był ich właścicielem i miał prawo dopisać „rolnik” do swojej wciąż nierozpatrzonej kandydatury do Pratt's Club. Kpiarze powtarzali mu do znudzenia: „Ależ, Nicholasie, myślałem, że ten klub należy do ciebie”. Zbyt wielu narobił sobie wrogów, żeby go teraz wybrali.

Jelita eksplodowały. Siedział złany potem jak jeden z tych szajbusów z ulubionego komiksu Bridget. Wyobrażał sobie, jak Tłusty Poole kwiczy: „Ten człowiek to kutafon. Jeśli go tu wpuszczą, będę musiał na stare lata przenieść się do Turfu”. Źle zrobił, że poprosił Davida Melrose'a, by zgłosił jego kandydaturę, ale David należał do najbliższych przyjaciół jego ojca, poza tym dziesięć lat temu nie był jeszcze takim nielubianym mizantropem jak dziś i nie spędzał tyle czasu w Lacoste.

Droga z Clabon Mews na Heathrow była tak znajoma, że Nicholas zupełnie się wyłączył. Jego kac wkroczył w senną i lekko mdlącą fazę. Wcisnął się bardzo zmęczony w kątek taksówki. Bridget w podróżach zagranicznych była mniej zblazowana. Nicholas zabrał ją w lipcu do Grecji, a miesiąc później do Toskanii, i to nowe, światowe życie wciąż bardzo jej się podobało.

Nie podobało się jej, że Nicholas ubiera się w podróży jak stereotypowy Anglik za granicą. Drażnił ją zwłaszcza kapelusz panama, dziś nasunięty na twarz, co oznaczało, że Nicholas nie jest w nastroju do rozmowy. Drażniły ją marynarka z dzikiego jedwabiu w kolorze złamanej bieli oraz żółte sztruksowe spodnie. Wstydziła się za koszulę w bardzo wąskie ciemnoczerwone prążki ze sztywnym zaokrąglonym białym kołnierzykiem, i za wyglansowane buty. Nicholas miał świra

na punkcie butów. Pięćdziesiąt par, wszystkie zrobione na zamówienie i *dosłownie* identyczne, nie licząc drobnych detali, do których przywiązywał olbrzymią wagę.

Nie miała natomiast wątpliwości, że jej własny strój jest zabójczo seksowny. Bo czy może być coś bardziej seksownego niż fioletowa spódnica mini i czarna zamszowa kurtka kowbojka z mnóstwem frędzli na rękawach i na plecach? Pod kurtką spod czarnego T-shirtu prześwitywały jej sutki. Czarno-fioletowe kowbojskie buty zdejmowało się pół godziny, ale były tego warte, bo wszyscy zwracali na nie uwagę.

Ponieważ Bridget nie rozumiała połowy opowiadanych jej historii, Nicholas wahał się, czy mówić jej o figach. W każdym razie nie był pewien, czy chce, żeby Bridget zrozumiała historię o figach. Wydarzyła się ona dziesięć lat temu, krótko po tym, jak David namówił Eleanor na kupno domu w Lacoste. Nie pobrali się jeszcze, bo matka Eleanor próbowała ich powstrzymać, a ojciec Davida groził, że go wydziedziczy.

Nicholas uniósł rondo kapelusza.

– Opowiadałem ci o tym, jak pierwszy raz byłem w Lacoste? – spytał, po czym na wszelki wypadek dodał: – Tam, dokąd jedziemy.

– Nie – odparła bez entuzjazmu. Znów te historie o ludziach, których nie znała, i to zwykle z czasów, kiedy nie było jej na świecie. Ziew.

– No więc Eleanor, którą poznałaś w Annabel's, chociaż pewnie nie pamiętasz...

– Ta pijaczka.

– Tak. – Nicholas był zachwycony, że coś jednak zapamiętała. – No więc Eleanor, która wtedy nie była jeszcze pijaczką, była tylko bardzo nieśmiała i nerwowa, dopiero co kupiła dom w Lacoste. I powiedziała Davidowi, że to straszna szkoda, że figi się marnują, bo spadają z drzewa i gniją na tarasie. Na drugi dzień, kiedy siedzieliśmy we trójkę na zewnątrz, znów o tym wspomniała. Wtedy w oczach Davida pojawił się zimny błysk. Wysunął dolną wargę – to zawsze zły znak, ta jego na wpół nadaśana, na wpół okrutna mina – i powiedział: „Chodźcie”. Czułem się, jakbym znów był w szkole i szedł za dyrektorem do jego gabinetu. Prowadził nas długimi krokami w stronę figowca, ledwieśmy za nim nadążali. Na miejscu zobaczyliśmy figi rozrzucone po całym kamiennym tarasie. Jedne stare i zgniecione, inne pęknięte, jakby z otwartymi ranami, przy których kręciły się osy i wyjadały lepki, czerwono-biały miąższ. Drzewo było ogromne, fig było *mnóstwo*. I wtedy David zrobił coś zdumiewającego. *Kazał Eleanor stanąć na czworakach i zjeść wszystkie.*

– Co? Przy tobie? – spytała Bridget, robiąc wielkie oczy.

– Owszem. Eleanor miała mocno zakłopotaną minę i chyba czuła się zdradzona. Ale nie protestowała, tylko zabrała się do tej nieapetycznej roboty. David nie pozwolił jej zostawić ani jednej figi. Raz podniosła błagalnie wzrok

i powiedziała: „Już nie mogę, Davidzie”, a wtedy on oparł but na jej plecach i powiedział: „Jedz. Nie chcemy chyba, żeby się zmarnowały?”.

– Niezła perwersja – stwierdziła Bridget.

Nicholas był całkiem zadowolony z efektu, jaki wywołała jego anegdota. Celne trafienie, pomyślał.

– Co zrobiłeś? – spytała.

– Patrzyłem. Gdy David jest w takim humorze, lepiej mu się nie narażać. Po pewnym czasie Eleanor wyglądała, jakby było jej niedobrze, i wtedy faktycznie zasugerowałem, żebyśmy pozbierali resztę fig do koszyka. A David powiedział: „Nie przeszkadzaj. Eleanor nie może patrzeć, jak te figi się marnują, podczas gdy na świecie ludzie cierpią głód. Prawda, kochanie? Dlatego zje wszystkie sama”. Uśmiechnął się do mnie i dodał: „Poza tym ona jest strasznym niejadkiem, nie uważasz?”.

– Wow – powiedziała Bridget. – I ty nadal jeździsz do tych ludzi w gości?

Taksówka zatrzymała się przed terminalem i Nicholas zdołał uniknąć odpowiedzi. Bagażowy w brązowym uniformie wypatrzył go natychmiast i podszedł prędko odebrać walizki. Nicholas zastygł na chwilę, jak pod ciepłym prysznicem, między wdzięcznym taksówkarzem a usłużnym bagażowym, gdy obaj równocześnie zwrócili się do niego per szefie. Zawsze dawał większe napiwki ludziom, którzy mówili do niego „szefie”. On o tym wiedział i oni o tym wiedzieli, była to tak zwana umowa społeczna.

Historia o figach sprawiła, że umysł Bridget wspiął się na wyżyny koncentracji. Gdy wsiedli na pokład samolotu i zajęli swoje miejsca, wciąż pamiętała, o co chciała go zapytać.

– Dlaczego ty w ogóle lubisz tego faceta? Wygląda mi na kogoś, kto poniżanie innych traktuje jako hobby.

– Podobno, choć nie widziałem tego na własne oczy, zmuszał kiedyś Eleanor do brania lekcji od prostytutek.

– Żartujesz – powiedziała z uznaniem i poruszyła biodrami. – Oostro.

Stewardesa przyniosła im po kieliszku szampana i przeprosiła za niewielkie opóźnienie. Piegowata, o niebieskich oczach, uśmiechnęła się przymilnie do Nicholasa. Wolał te całkiem ładne dziewczyny z Air France od absurdalnych rudych stewardów i ciotek klotek z samolotów angielskich. Klimatyzowane powietrze, lekki ucisk w uszach i na powiekach, bezkresne połączenie kremowego plastiku i cierpki smak szampana, wszystko to sprawiło, że ogarnęła go kolejna fala zmęczenia.

Podniecenie bijące od Bridget nieco go rozbudziło, wciąż jednak nie wyjaśnił, co takiego pociąga go w Davidzie. Nie był to zresztą temat, w który miałby ochotę się zagłębiać. David należał po prostu do świata, na którym jemu, Nicholasowi, zależało. Można go było nie lubić, ale zasługiwał na podziw. Żeniąc

się z Eleanor, pozbył się ubóstwa, które stanowiło jego wielką towarzyską słabość. Do niedawna Melrose'owie wyprawiali najlepsze przyjęcia w Londynie.

Nicholas uniósł brodę z miękkiej jak poduszka szyi. Chciał podsyć w Bridget to naiwne zaciekawienie atmosferą perwersji. Jej reakcja na historię o figach otwierała nowe możliwości – nie żeby wiedział, jak je wykorzystać, ale już one same go podniecały.

– Widzisz – zaczął. – David był młodszym przyjacielem mojego ojca, a ja jestem młodszym przyjacielem Davida. Odwiedzał mnie, kiedy byłem w szkole, i zabierał na niedzielny lunch do Compleat Angler. – Nicholas wyczuł, że Bridget traci zainteresowanie tym sentymentalnym portretem. – Ale chyba najbardziej fascynowała mnie aura nieszczęścia, która go otaczała. Jako młody chłopak wspaniale grał na fortepianie, ale potem zachorował na reumatyzm i musiał przestać. Dostał stypendium na studia w Balliol, ale zrezygnował po miesiącu. Pod wpływem ojca wstąpił do wojska, ale tam też długo nie zabawił. Zdobył dyplom lekarski, ale nie wytrzymał w zawodzie. Jak widzisz, miota nim jakiś życiowy niepokój. Jest w tym coś heroicznego.

– Wygląda mi na strasznego nudziarza.

Samolot kołował w stronę pasa startowego, członkowie obsługi pokazywali na migi, jak nadmuchiwać kamizelki ratunkowe.

– Nawet ich syn jest owocem gwałtu. – Nicholas bacznie obserwował wyraz jej twarzy. – Ale nie wolno ci tego nikomu powtarzać. Wiem to od samej Eleanor, powiedziała mi któregoś wieczoru, była bardzo pijana i się rozkleiła. Wtedy już od dawna nie sypiała z Davidem, bo nie chciała, żeby jej dotykał, ale któregoś wieczoru powalił ją na schody i wcisnął jej głowę między słupki balustrady. Oczywiście prawo nie zna czegoś takiego jak gwałt na współmałżonku, ale David jest sam sobie prawem.

Zahuczały silniki.

– Przekonasz się w ciągu swojego długiego życia – rzekł podniesionym głosem Nicholas, po czym, zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to pompatycznie, przybrał komicznie pompatyczny ton – jako i ja się przekonałem w ciągu mojego, że tacy ludzie, choć bywają destrukcyjni i okrutni wobec najbliższych, mają nieraz witalność, która sprawia, że inni przy nich wydają się zgoła nijacy.

– Jezu, daj mi spokój – rzuciła Bridget. Samolot nabrał prędkości i wzbił się w blade angielskie niebo.

Buick Eleanor snuł się bocznymi drogami w kierunku Signes. Niebo było prawie czyste, tylko jedna zbląkana chmura rozplywała się w promieniach słońca. Anne patrzyła przez przyciemnioną część przedniej szyby, jak brzegi chmury zwijają się i topnieją pod wpływem gorąca. Zdążyły już utknąć za pomarańczowym traktorem z przyczepą pełną zakurzonych fioletowych winogron; traktorzysta wspaniałomyślnie dał się wyprzedzić. Wewnątrz samochodu klimatyzacja łagodnie schładzała atmosferę. Anne próbowała wydębić od Eleanor kluczyki, lecz ta oświadczyła, że tym autem jeździ tylko ona. Miękkie zawieszenie i strumień zimnego powietrza pozwoliły zapomnieć o niebezpieczeństwie.

Była dopiero jedenasta i Anne bez przyjemności myślała o czekającym ją długim dniu. Jechały w niezręcznej, martwej ciszy po tym, jak nieopatrznie zapytała, co u Patricka. Żywiła dla niego jakieś matczyne uczucie, czego raczej nie dało się powiedzieć o jego matce. Eleanor odfuknęła:

– Dlaczego wszyscy myślą, że będę szczęśliwa, jeśli spytają mnie, co u Patricka albo co u Davida? Nie wiem, co u nich, tylko oni to wiedzą.

Ta odpowiedź wprowadziła Anne w osłupienie. Minęło sporo czasu, zanim podjęła kolejną próbę.

– Jakie masz zdanie o Vijayu?

– Nie najlepsze.

– Ja też. Na szczęście musiał skrócić swój pobyt. – Anne wciąż się wahała, czy powinna ujawnić całą prawdę o kłótni z Vijayem. – Zamierzał odwiedzić tego starszego faceta, którego oni wszyscy ubóstwiają, Jonathana jak mu tam. Tego, który pisze te okropne książki o dziwnych tytułach, *Anatomie i antynomie* albo *Fotele i fortele*. Wiesz, o kim mówię?

– Ach, ten, Chryste, okropny jest. Bywał w domu mojej matki w Rzymie. Zawsze mówił rzeczy w rodzaju: „Ulice mrowią się od żebraków”, co bardzo mnie złościło, kiedy miałam szesnaście lat. Ale czy ten cały Vijay jest bogaty? Z tego, co mówi, wynikałoby, że tak, ale nie wygląda jak ktoś, kto wydaje dużo pieniędzy, na pewno nie na ubrania.

– O tak – potwierdziła Anne – jest obłędnie bogaty: jak bankier albo fabrykant. Trzyma w Kalkucie kuce do gry w polo, mimo że nie lubi polo i w ogóle nie bywa w Kalkucie. Oto co nazywam bogactwem.

Eleanor na chwilę zamilkła. Rozmowa zesłała na temat, który budził w niej ducha dyskretnej rywalizacji. Nie chciała zbyt skwapliwie zgodzić się ze stwierdzeniem, że bogaty jest ten, kto nie dba o kuce w Kalkucie.

– A przy tym jest skąpy jak diabli – dodała Anne, by wypełnić ciszę. – Między innymi dlatego wywiązała się kłótnia. – Miała teraz wielką ochotę powiedzieć prawdę, ale wciąż się wahała. – Codziennie wieczorem dzwonił do



domu, czyli do Szwajcarii, żeby porozmawiać w gudźarati ze swoją starą matką, a kiedy nie odbierała, zjawiał się w kuchni z czarną chustą na wątlých ramionach, tak że sam wyglądał jak staruszka. Musiałam go w końcu poprosić, żeby oddał nam trochę pieniędzy za te połączenia.

– I co, zapłacił?

– Dopiero gdy się wściekłam.

– Victor ci nie pomógł?

– Victor nie zaprzęta sobie głowy tak przyziemnymi sprawami jak pieniądze.

Droga zagłębiła się w lasy korkowe; po obu stronach rosły tu gęsto drzewa o starych i świeżych ranach, obdarte z pasów kory.

– Czy Victor dużo napisał tego lata? – spytała Eleanor.

– Bardzo mało. A kiedy jest w domu, praktycznie nic innego nie robi. Przyjeżdża tu od ilu? Ośmiu lat? I nie znalazł nawet czasu, żeby wstąpić do tych rolników, którzy mieszkają obok.

– Do Faubertów?

– Tak. Ani razu. Mieszkają trzysta jardów dalej, w tym starym domu, przed którym rosną dwa cyprysy. Ogród Victora praktycznie do nich należy, a nie zamienił z nimi ani słowa. Wymawia się tym, że ich sobie nie przedstawiono.

– Jak na Austriaka jest strasznie angielski, nieprawdaż? – rzekła z uśmiechem Eleanor. – O, zbliżamy się do Signes. Mam nadzieję, że uda mi się znaleźć tę dziwną restaurację. Była przy placu, naprzeciwko jednej z tych fontann, które zmieniły się w obrosłą paprociami górę mokrego mchu. W środku na ścianach wiszą głowy dzików z wypolerowanymi żółtymi kłami. Pyski mają pomalowane na czerwono, wyglądają, jakby miały wyskoczyć zza ściany i rzucić się na gości.

– Boże, straszne – stwierdziła krótko Anne.

– Kiedy pod koniec wojny wycofywali się stąd Niemcy, zastrzelili wszystkich mężczyzn prócz Marcela, który jest właścicielem tej restauracji. Nie było go we wsi, kiedy to się stało.

Wyraz obłąkańczej empatii na twarzy Eleanor sprawił, że Anne zamilkła. Gdy znalazły restaurację, była szczęśliwa i zarazem nieco zawiedziona, że na cieniście i wilgotnym placu nastroj ofiary i odwetu nie jest bardziej wyczuwalny. Ściany lokalu pokrywał jasny plastik udający sosnowe deski; w pustawym wnętrzu, ostro rozjaśnionym gołymi świetlówkami, wisiały tylko dwie głowy dzików. Po przystawce z maleńkich, nafaszerowanych śrutem i obwiązanych sznurkiem drożdów na ociekających tłuszczem tostach Anne ledwie skubnęła smutnej ciemnej potrawy wylanej na kopiasty talerz rozgotowanych klusek. Czerwone wino, zimne i niedojrzałe, podano im w starych zielonych butelkach bez etykiety.

– Świetne miejsce, prawda?

– Nie można mu odmówić atmosfery – odparła Anne.

– O, jest Marcel – rzuciła rozpaczliwie Eleanor.

– *Ah, Madame Melrose, je ne vous ai pas vue* – powiedział, udając, że dopiero teraz ją zauważył. Okrążając szybkimi kroczkami ladę, wytarł dłonie w poplamiony biały fartuch. Anne zwróciła uwagę na jego zwisające wąsy i okazałe worki pod oczami.

Marcel z miejsca zaproponował Eleanor i Anne koniak. Anne odmówiła, choć zapewniał ją, że dobrze by jej zrobił, natomiast Eleanor zgodziła się, a potem jeszcze zrewanżowała. Gdy tak pili, rozmawiając o zbiorach winogron, Anne, która niewiele rozumiała z jego południowej wymowy, coraz bardziej żałowała, że to nie ona prowadzi.

Kiedy wreszcie wróciły do samochodu, koniak i tabletki uspokajające zrobiły już swoje i Eleanor czuła, że pod ścierplą skórą krew przewala jej się w żyłach jak kulki w łożysku. Głowę miała ciężką niczym worek złota; pomału, pomału, wcale nie odpływając, zamknęła oczy.

– Halo – odezwała się Anne. – Pobudka.

– Nie śpię – odparła Eleanor burkliwie, a potem spokojniej: – Nie śpię. – Oczy wciąż miała zamknięte.

– Pozwól mi poprowadzić. – Anne była gotowa się o to spierać.

– Proszę bardzo. – Eleanor otworzyła oczy i teraz, na tle białek poróżowiałych od popękanych naczynek, wydały się bardzo niebieskie. – Ufam ci.

Spała przez następne pół godziny, podczas gdy Anne jechała to pod górę, to na dół krętymi drogami z Signes do Marsylii.

Kiedy Eleanor się zbudziła, znów miała jasny umysł.

– Rany, strasznie sycąca była ta potrawka. Przyznaję, że czułam się po lunchu trochę ociężała.

Deksedrynowy kop powrócił; był jak motyw z *Walkirii*, prędzej lub później odzywał się znowu, nawet jeśli przybierał dyskretniejszą formę niż poprzednio.

– Co to jest Le Wild Ouest? – spytała Anna. – Ciągłe mijamy wielkie zdjęcia kowbojów z kapeluszami przeszytymi strzałą.

– Och, musimy tam pojechać, musimy – powiedziała Eleanor dziecięcym głosem. – To wesołe miasteczko, ale takie stylizowane na Dodge City. Właściwie to nigdy tam nie byłam, ale bardzo bym chciała...

– Mamy na to czas? – spytała sceptycznie Anne.

– O tak, spójrz, jest dopiero wpół do drugiej, a na lotnisko jedzie się stąd tylko trzy kwadranse. Pojedźmy. Na pół godzinki. Pro-oszę.

Kolejny billboard zapowiadał wjazd do Le Wild Ouest za czterysta metrów. Nad czubkami ciemnych sosen górowały maleńkie kolorowe dyliżanse z plastiku zawieszane na nieruchomym diabelskim młynie.

– Uszczypnij mnie – powiedziała Anne. – Ale fantastycznie! Musimy się zatrzymać.

Na teren parku weszły przez olbrzymie drzwi w stylu baru na Dzikim Zachodzie. Po bokach, na stojących w krąg białych masztach, zwisały flagi wielu krajów.

– Rety, co za miejsce – rzekła Eleanor. Nie mogła się zdecydować, czym się przejechać najpierw. Ostatecznie wybrała diabelski młyn z dyliżansami. – Chcę w żółtym – oznajmiła.

Koło obracało się powoli, kolejne wagoniki zabierały pasażerów. Wreszcie dyliżans Eleanor i Anne wznosił się ponad najwyższe sosny.

– Patrz! – pisnęła Eleanor. – Widać nasz samochód.

– Patrick lubi to miejsce? – spytała Anne.

– Jeszcze tu nie był.

– Lepiej prędko go zabierz, dopóki nie jest za duży. Z takich rzeczy się wyrasta – uśmiechnęła się Anne.

Eleanor przez moment miała strasznie przygnębioną minę. Koło ruszyło i powiał lekki wiatr. Gdy zbliżały się do szczytu, Eleanor poczuła ściskanie w dołku. Zamiast napawać się widokiem z góry na wesołe miasteczko i okoliczne lasy, musiała walczyć z mdłościami. Wpatrzona ponuro w swoje zbiele kłykie czekała z utęsknieniem, aż przejażdżka dobiegnie końca.

Anne widziała, że dobry nastrój Eleanor prysł i że znów przebywa w towarzystwie kobiety, która jest od niej starsza, bogatsza i bardziej rozpita.

Wysiadłszy, ruszyły alejką, przy której znajdowały się strzelnice.

– Wynośmy się stąd – rzuciła Eleanor. – I tak trzeba jechać po Nicholasa.

– Jaki on jest? – spytała Anne, starając się dotrzymać jej kroku.

– Och, sama się wkrótce przekonasz.

– Czyli ta Eleanor to prawdziwa ofiara, tak? – ponieważ zainteresowała się Bridget. Chciała wynagrodzić Nicholasowi to, że wcześniej zasnęła po wypaleniu jointa w ubikacji.

– Czy każda kobieta, która decyduje się na życie z trudnym mężczyzną, jest ofiarą?

Nicholas rozpiął pasy zaraz po lądowaniu. Siedzieli w drugim rzędzie i mogliby spokojnie wysiąść przed innymi, ale Bridget jak zwykle musiała sięgnąć po puderniczkę, którą trzymała w aksamitnym błękitnym woreczku, i podziwiać swoje odbicie w przyprószonym lusterku.

– Możemy już iść? – westchnął.

– Świeci się znaczek pasów – zauważyła.

– Znaczki są dla baranów.

– Beee – zabczała Bridget. – Jestem baranem.

Ta kobieta jest nie do zniesienia, pomyślał Nicholas.

– A ja pasterzem – odparł głośno – i nie każ mi przywdziewać wilczej skóry.

– Ojejku. – Bridget wcisnęła się w kąt fotela. – Jakie masz wielkie zęby.

– Żeby ci mógł odgryźć głowę.

– Ty chyba nie jesteś moją babcią – rzekła naprawdę rozczerowana.

Samolot przestał się toczyć i kabinę wypełnił brzęk rozpinanych pasów.

– Chodź – powiedział Nicholas, poważniejąc. Bardzo nie lubił czekania w tłumie turystów przepychających się do wyjścia.

Błdzi, w zbyt ciepłych ubraniach, wyszli przez otwarte drzwi samolotu i ruszyli w dół po dźwięczących metalowych schodach, żegnani z udawanym smutkiem przez personel latający i witani z udawaną radością przez personel naziemny. Bridget zrobiło się trochę niedobrze od skwaru i zapachu zużytego paliwa.

Nicholas spojrzął na długą kolejkę Arabów powoli wsiadających do samolotu Air France. Przypomniał mu się kryzys algierski z 1962 roku i groźba desantu zdradzonych kolonistów na Paryż. Lecz ta myśl szybko przysła, gdy uzmysłowił sobie, jak daleko musiałby się cofnąć, żeby to wyjaśnić Bridget. Ona pewnie myślała, że Algieria to nazwisko włoskiego projektanta mody. Znów poczuł znajomą tęsknotę za wykształconą trzydziestolatką, absolwentką historii na Oksfordzie; fakt, że rozwiódł się już z dwiema, nie był w stanie zmącić jego spontanicznego entuzjazmu. Może i były nieco bardziej zwiotczałe, ale wspomnienie inteligentnej rozmowy dręczyło go niczym woń smakowitych potraw zalatująca do zapomnianej celi więziennej. Dlaczego jego pragnienia ogniskowały się zawsze w miejscu, które dopiero co opuścił? Zdawał sobie sprawę, że gdyby wsiadał teraz do autobusu z kobietą, z którą da się porozmawiać, wspomnienie

ciała Bridget przeszłyoby go z taką samą zdradziecką łatwością. Teoretycznie, rzecz jasna, istniały kobiety łączące w sobie cechy, które on niepotrzebnie przeciwstawiał – miewał nawet z nimi romanse – lecz wiedział, że jego uwaga zawsze będzie rozproszona, jego lojalność zawsze podzielna.

Drzwi się zamknęły i autobus szarpnął do przodu. Bridget siedziała naprzeciwko Nicholasa. Spojrzał na jej nogi, zgrabne, nagie i złociste pod nedorzeczną spódniczką. Oddzielił je pornograficznie od reszty ciała i stwierdził, że wciąż podnieca go myśl, że ma do nich dostęp. Założył stopę na kolano i przez szorstkie prążki sztruksowych spodni obciągnął pozwijane bokserki.

Kiedy jednak przypomniał sobie, do kogo te złote nogi należą, ulotna erekcja wydała mu się nader skromną i uciążliwą rekompensatą za stan niemal permanentnego poirytowania. W rzeczy samej, przebiegłszy wzrokiem od pasa wzwyż, po frędzlach na rękawie czarnej zamszowej kurtki aż do znudzonej i upartej miny, poczuł gwałtowny wstręt i obcość. Dlaczego zabierał to żalosne stworzenie w gościnę do Davida Melrose'a, człowieka o niepospolitym guście, żeby nie powiedzieć: bezlitosnego snoba?

W terminalu pachniało środkiem dezynfekującym. Kobieta w niebieskim kombinezonie raz po raz przecinała oślepiającą podłogę, prowadzona przez nią maszyna szumiała okrągłymi szczotkami, co pewien czas łagodnie zawracając na czarnych i brązowych półprzejrzystych kamyczkach uwięzionych w tanim białym marmurze. Bridget, wciąż odurzona jointem, utopiła wzrok w plamkach kolorów, jak gdyby krzemienie i kwarcie były gwiazdami na białym niebie.

– Na co się tak gapisz? – zapytał Nicholas.

– Ta podłoga jest niesamowita – odparła.

Podczas kontroli paszportowej nie mogła znaleźć paszportu, ale Nicholas postanowił nie robić jej sceny tuż przed spotkaniem z Eleanor.

– To lotnisko jest dość osobliwe: żeby odebrać bagaż, trzeba najpierw przejść przez główny hol – oznajmił. – Eleanor pewnie będzie tam czekać.

– Wow! – zawołała Bridget. – Gdybym była przemytniczką – tu zrobiła pauzę, licząc, że Nicholas zakwestionuje tryb przypuszczający – marzyłabym o takim lotnisku. Masz cały wielki hol, żeby wcisnąć komuś swój bagaż podręczny pełen smakołyków, a potem odbierasz czystą walizkę i przechodzisz z nią przez odprawę celną.

– Właśnie to w tobie podziwiam – odparł Nicholas. – Pomysłowość. Mogłabyś zrobić wspaniałą karierę w reklamie; aczkolwiek jeśli chodzi o przemysł, służby w Marsylii mają większe zmartwienia niż „smakołyki”, które mogłabyś wwieźć w torebce. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale...

Bridget przestała go słuchać. Znów był palantem. Zawsze tak miał, kiedy był spięty; właściwie to miał tak przez cały czas, chyba że był z nią w łóżku albo chciał kogoś oczarować. Została dwa kroki w tyle i pokazała mu język. Ple, ple, ple... co

za nudziarz.

Zakryła uszy i utkwiała wzrok w swoich powłóczących stopach. Nicholas maszerował przodem, zajadle wyszydzając opinie, które z niewinną uwagą Bridget o przemyśle miały coraz mniej wspólnego.

Kiedy podniosła oczy, ujrzała znajomą postać. Był to Barry, stał oparty o słup obok kiosku. Barry zawsze wyczuwał na sobie cudze spojrzenie; w zależności od nastroju tłumaczył to „paranoją” albo „telepatią”.

– Bridge! Niesamowite!

– Barry! *All you need is love* – przeczytała ze śmiechem na głos napis na jego koszulce.

– To naprawdę niesamowite – stwierdził Barry, przesuwając palcami po długich czarnych włosach. – Wiesz, że myślałem o tobie dzisiaj rano?

Barry myślał o Bridget codziennie rano, lecz to, że dziś nie tylko o niej myślał, ale także spotkał ją na lotnisku, stanowiło w jego oczach kolejny dowód na potęgę umysłu.

– Jedziemy do Arles na festiwal jazzu progresywnego – wyjaśnił. – Może zabierzesz się z nami? Będzie fantastycznie. Zagra Bux Millerman.

– Wow – wyszeptała Bridget.

– Na wszelki wypadek zapiszę ci numer do Etienne’a. Zatrzymuję się u niego. Może uda nam się spotkać.

– Dobra – odparła Bridget. – Super.

Barry wyjął ogromną bibułkę papierosową marki Rizla i zapisał na niej numer.

– Tylko nie spal – zażartował – bo się nie zdzwonimy.

Bridget dała mu numer Melrose’ów, bo wiedziała, że i tak z niego nie skorzysta i że nic nie wyjdzie z tego całego spotkania.

– Długo tu jesteś? – zapytała.

– Jakies dziesięć dni. Mam dla ciebie tylko jedną radę: *nie pij różowego*. To jakiś chemiczny szajs, kac po nim jest gorszy od zjazdu po amfie.

Przerwał im podniesiony głos Nicholasa.

– Co ty sobie myślisz, do cholery? – Spiorunował ją wzrokiem. – Naprawdę masz tupet, że tak sobie znikasz bez słowa pośrodku lotniska. Od piętnastu minut taszczyć te pierdolone walizki i cię szukam.

– Polecam wózek – wtrącił Barry.

Nicholas patrzył prosto przed siebie, jakby w ogóle go nie usłyszał.

– Nigdy więcej tak nie rób albo połamię ci... O, jest Eleanor!

– Nicholas, bardzo was przepraszam. Byłyśmy na diabelskim młynie w wesołym miasteczku i musiałyśmy zrobić dwa okrążenia, bo nie dali nam wysiąść, wyobrażasz sobie?

– To bardzo w twoim stylu, Eleanor, zawsze masz więcej frajdy, niż się

spodziewałaś.

– Ale oto jestem. – Powitała Nicholasa i Bridget okrągłym, płaskim gestem osoby myjącej szybę. – A to jest Anne Moore.

– Cześć – powiedziała Anne.

– Bardzo mi przyjemnie – rzekł Nicholas i przedstawił Bridget.

Kiedy Eleanor prowadziła ich w stronę parkingu, Bridget posłała Barry’emu całusa przez ramię.

– *Ciao!* – zawołał Barry. – I nie zapominaj – dodał, stukając się palcem w śmiały napis na koszulce.

– Co to za fascynująca postać, ten człowiek, z którym rozmawiała twoja dziewczyna? – spytała Eleanor.

– Nikt taki, współpasażer – uciął Nicholas. Zdenerwował się, widząc Barry’ego na lotnisku, i przez chwilę podejrzewał, że Bridget była z nim umówiona. Był to nedorzeczny pomysł, lecz nie mógł się od niego uwolnić i gdy tylko wsiedli we troje do samochodu, syknął do niej:

– O czym rozmawiałaś z tym lalusiem?

– Barry nie jest lalusiem – odparła – właśnie za to go lubię, ale skoro tak bardzo cię to interesuje, powiedział: „Nie pij różowego, to jakiś chemiczny szajs, a kac po nim jest gorszy niż zjazd po amfie”.

Nicholas obrócił się i rzucił jej ponure spojrzenie.

– Święta racja – wtrąciła Eleanor. – Może powinniśmy go zaprosić na kolację.

Kiedy Patrick wybiegł z płaczem z biblioteki, David wzruszył ramionami, usiadł do fortepianu i zaczął improwizować fugę. Zreumatyzowane palce protestowały przy każdym dotknięciu klawiszy. Na fortepianie, podobna do uwięzionej chmury, stała szklanka pastis. Bóle dokuczały mu przez cały dzień, a nocą budziły go, ilekroć zmieniał ułożenie ciała. Budziły go też często koszmary, od których jęczał i krzyczał tak głośno, że jego bezsenność rozlewała się na sąsiednie pokoje. Poza tym miał zrujnowane płuca, w czasie napadów astmy rzęził i świszczał, a twarz puchła mu od kortyzonu, którym zwalczał duszność w piersiach. Zdyszany, niemogący mówić, przystawał u szczytu schodów, błędząc oczami po dywanie, jakby szukał tak bardzo mu potrzebnego powietrza.

Gdy miał piętnaście lat, jego talent muzyczny został dostrzeżony przez słynnego nauczyciela fortepianu nazwiskiem Shapiro, który nigdy nie przyjmował więcej niż jednego ucznia. Niestety, nie minął nawet tydzień, a David zapadł na gorączkę reumatyczną i kolejne pół roku przeleżał w łóżku, a jego zeszywniałe, niezdarne dłonie nie nadawały się do gry. Choroba pozbawiła go szans na poważną karierę pianistyczną i choć miał głowę pełną pomysłów muzycznych, odtąd twierdził, że nudzi go komponowanie i „roje kijanek”, którymi trzeba zapisywać muzykę na papierze. O wiele bardziej wołał roje wielbicieli błagających, by zagrał im coś po kolacji. Zawsze domagali się głośno melodii, którą słyszeli ostatnim razem, a której nie pamiętał – dopóki nie usłyszeli nowej, o której wkrótce zapominał. Przemozna chęć zabawiania innych oraz arogancja, z jaką demonstrował swój talent, sprawiły, że dzielił się muzycznymi pomysłami, których dawniej zazdrośnie strzegł.

Lecz nawet kiedy chłonał pochlebstwa, wiedział w głębi duszy, iż jego brawurowe popisy dowodzą tylko, że zmarnował swój talent, że nigdy nie wy dostał się z niewoli pastiszu, nie wyzbył się strachu przed miałością i kłującego podejrzenia, że tamten pierwszy atak gorączki został przez niego jakoś sprowokowany. Ten wgląd w siebie niewiele mu pomagał; zrozumienie przyczyn własnej porażki nie czyniło jej mniejszą, czyniło natomiast jego nienawiść do siebie nieco bardziej skomplikowaną i bardziej świadomą, niż gdyby pozostawał w zwykłej niewiedzy.

David atakował teraz główny temat fugi niepotrzebnymi powtórzeniami, grzebiąc melodię początkową pod lawiną dudniących basowych dźwięków, burząc jej rozwój gwałtownymi spiętrzeniami dysonansów. Przy fortepianie udawało mu się niekiedy odejść od ironii, która przepajała wszystko, co mówił, tak iż nawet goście, nad którymi przed momentem srogo się pastwił, byli poruszeni dojmującym smutkiem muzyki rozbrzmiewającej w bibliotece. Potrafił też jednak walić w nich dźwiękami jak z karabinu maszynowego, nasycić swoją muzykę taką wrogością, że



tęsknili za bardziej konwencjonalnymi sposobami wyrażania niechęci. Nawet wtedy zresztą jego gra najsilniej dawała się we znaki tym, którzy najbardziej bronili się przed jego wpływem.

Nagle przerwał i zamknął pokrywę. Wypił łyk pastis i zaczął masować lewą dłoń kciukiem prawej. Od tego masażu bolało trochę mocniej, ale psychicznie było to równie przyjemne jak rozdrapywanie strupów, macanie czubkiem języka ropni czy aft albo naciskanie siniaków.

Gdy po kilku dźgnięciach kciukiem ćmiący ból stał się bardziej przenikliwy, David pochylił się i sięgnął po nadpalone cygaro Montecristo. Ponieważ „należało” usunąć z niego papierową opaskę, nigdy tego nie robił. Łamanie wszystkich, nawet najdrobniejszych zasad, które innym służyły za drogowskazy, sprawiało mu wielką przyjemność. Jego pogarda dla pospolitości obejmowała również pospolitą chęć uniknięcia osądzenia o pospolitość. W tej nieco bardziej ezoterycznej grze uczestniczyło zaledwie kilku graczy, wśród nich Nicholas Pratt i George Watford; w myśl jej zasad David mógł tak samo pogardzać człowiekiem za *niezdejmowanie* opaski z cygara. Lubił patrzeć, jak Victor Eisen, wybitny myśliciel, szamoce się w tej płytkiej wodzie, tym bardziej nadziejąc się na haczyk, im bardziej stara się przekroczyć linię oddzielającą go od klasy, do której pragnie należeć.

David strzepnął płatki cygarowego popiołu z niebieskiego wełnianego szlafroka. Za każdym razem, kiedy palił, przypominał sobie o rozedmie płuc, która zabiła jego ojca, i czuł złość na myśl, że być może czeka go taka sama śmierć.

Pod szlafrokiem miał na sobie mocno spraną i wielokrotnie cerowaną piżamę, którą odziedziczył w dniu pogrzebu ojca. Przykościelny cmentarz, na którym go pochowano, był położony dogodnie blisko domu; ojciec przez kilka ostatnich miesięcy życia wpatrywał się w niego przez okno swojej pracowni. Nosił już wtedy maskę tlenową, którą żartobliwie nazywał swoją „maską gazową”, i ponieważ nie miał siły na codzienną wspinaczkę po schodach, sypiał właśnie w pracowni (mówił o niej teraz „pokój mojej duszy”), w starym łóżku z czasów wojny krymskiej, które dostał w spadku po wuju.

Na deszczowy i konwencjonalny pogrzeb David udał się bez entuzjazmu; wiedział już wtedy, że został wydziedziczony. Kiedy spuszczano trumnę, naszła go myśl, że ojciec znaczną część życia spędził w rozmaitych rowach, strzelając do ludzi albo do ptaków, i że właściwie trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce dla niego.

Jakiś czas później, gdy goście już sobie poszli, matka zajrzała do pokoju Davida, żeby pobyć z nim chwilę sama. Powiedziała wtedy swoim wzniosłym tonem: „Wiem, że on by chciał, żebyś ją nosił”, i położyła starannie złożoną piżamę na łóżku. A ponieważ David milczał, ścisnęła go za rękę i przytknęła na moment sinawe powieki, jakby chciała powiedzieć, że nie wszystko można wyrazić słowami, lecz ona wie, że ta biało-żółta flanela ze sklepu przy Bond Street, który

upadł jeszcze przed pierwszą wojną światową, zajmie szczególne miejsce w jego sercu.

W tej samej żółto-białej flaneli zrobiło mu się teraz trochę za ciepło. Wstał od fortepianu i chodził po bibliotece w rozchylonym szlafroku, pykając cygaro. Bez wątpienia był zły na Patricka, że uciekł. Popsuło mu to zabawę. Przyznał sam przed sobą, że być może błędnie oszacował, ile bólu można było bez obaw sprawić Patrickowi.

Metody wychowawcze Davida opierały się na twierdzeniu, iż dzieciństwo jest romantycznym mitem, któremu on, przenikliwy obserwator rzeczywistości, nie może pobbłażać. Dzieci byli to słabi i głupi mali dorośli, których należało wszelkimi sposobami zachęcać do przewycięzania własnej słabości i głupoty. Niczym król Czaka, wielki wojownik zuluski, który aby zahartować stopy swoich żołnierzy, kazał im wdeptywać w ziemię cierniste krzaki, co wielu pewnie miało mu wtedy za złe, David zamierzał uzbroić syna w twardą skórę i emocjonalny dystans. Cóż innego miał mu do zaofiarowania?

Na chwilę dopadło go poczucie absurdu i niemocy; czuł się jak rolnik patrzący, jak chmara wron beztrosko obsiada jego ulubionego stracha na wróble.

Powrócił jednak dzielnie do pierwotnego toku myślenia. Nie, nie ma co oczekiwać od Patricka wdzięczności, choć może pewnego dnia zrozumie, jak żołnierz Czaki biegnący na nieczułych stopach po kamienistym gruncie, ile zawdzięcza surowym zasadom ojca.

Gdy Patrick przyszedł na świat, David martwił się, że chłopiec może się stać dla Eleanor ucieczką lub inspiracją, pilnował więc zazdrośnie, by nic takiego nie nastąpiło. Ostatecznie Eleanor poprzestała na mglistej i świetlanej wierze w „mądrość” syna, którą to cechę zaczęła mu przypisywać, zanim Patrick nauczył się panować nad wypróżnianiem. Puściła go z prądem w tej papierowej łódce, a sama padła na wznak wycieńczona strachem i poczuciem winy. Dla Davida jeszcze ważniejsze od całkiem naturalnej obawy, że jego żona i syn zżyją się ze sobą, było upojne poczucie, że oto ma przed sobą czysty umysł, na którym może pracować; doznawał wielkiej przyjemności, gniotąc tę plastyczną glinę swoimi kciukami artysty.

Wchodząc na górę, by się przebrać, nawet on, któremu gniew bądź poirytowanie towarzyszyły przez większość dnia i który robił wszystko, żeby nic nie było w stanie go zaskoczyć – nawet on nie spodziewał się fali wściekłości, która go zalała. To, co początkowo było oburzeniem z powodu ucieczki Patricka, przerodziło się w nieokiełznaną furję. Wkroczył do sypialni z pogardliwie wyдутą dolną wargą, z zaciśniętymi pięściami, równocześnie odczuwając silne pragnienie ucieczki przed własną groźną aurą, tak jak nisko pochylony człowiek oddala się w pośpiechu od wirującego śmigła helikoptera, który przed chwilą posadził na ziemi.

Jego sypialnia była urządzona w stylu klasztorным: duża, biała, z posadzką z ciemnobrązowych płyt, cudownie ciepłych w dotyku zimą, gdy włączano ogrzewanie podłogowe. Jedyne obraz na ścianie przedstawiał Chrystusa w koronie cierniowej, której kolec wbijał mu się w blade czoło. Strużka świeżej krwi spływała po gładkiej skórze między szkliste oczy, wzniesione nieśmiało ku niezwykłemu nakryciu głowy, jakby pytały: „Czy to naprawdę ja?”. Był to obraz Correggia, bezsprzecznie najdroższy przedmiot w całym domu, lecz David uparł się, że powiesi go w sypialni. „O nic więcej nie proszę” – powiedział z rozbijającym uśmiechem.

Brązowo-złote wezgi, odkupione przez matkę Eleanor, wówczas już księżną de Valençay, od handlarza, który zapewniał ją, że przynajmniej raz oparła się o nie głowa Napoleona, było kolejnym elementem przełamującym surowy wystrój, podobnie jak ciemnozielona jedwabna narzuta od Fortuny’ego w feniksy unoszące się nad językami ognia. Zasłony z tego samego materiału wisiały na zwykłym drewnianym drążku w oknach wychodzących na balkon z kutą balustradą.

David niecierpliwym ruchem otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na zewnątrz. Spoglądał na schludne szeregi winorośli, prostokąty lawendy, sosnowe laski, i jeszcze dalej, na wsie Bécasse i St-Crau rozpostarte na niższych wzgórzach. „Są jak dwie źle dopasowane jarmułki” – lubił mawiać w obecności żydowskich znajomych.

Podniósł wzrok i omiół nim długi i nierówny grzbiet góry, która w takie bezchmurne dni jak ten zdawała się bliska i dzika. Szukając w tym znajomym pejzażu czegoś, co by odpowiadało jego nastrojowi, znów pomyślał to, co myślał już wiele razy: że można by z łatwością zapanować nad całą doliną za pomocą jednego karabinu maszynowego, przytwierdzonego do poręczy, którą ścisnął teraz w dłoniach.

Nie mogąc ustać w miejscu, odwracał się niespokojnie ku drzwiom, kiedy dostrzegł kątem oka jakiś ruch pod balkonem.

Patrick wytrzymał w swojej kryjówce, ile mógł, lecz było mu zimno w cieniu. Wreszcie wygramolił się spod krzaka i teatralnie się ociągając, ruszył przez wysoką suchą trawę w stronę domu. Nie było łatwo gniewać się w samotności. Potrzebował świadków, choć wolałby ich nie potrzebować. Nie śmiał nikogo karać swoją nieobecnością, bo nie był pewien, czy zostanie ona zauważona.

Szedł powoli prosto, później odbił w stronę krańca muru i zatrzymał się przy nim, by popatrzeć na wielką górę po drugiej stronie doliny. Masywne skały na jej grzbiecie i nieco mniejsze, rozrzucone po zboczu, pod jego spojrzeniem układały się w dowolne kształty i twarze. Głowa orła. Monstrualny nos. Drużyna karłów. Brodaty starzec. Rakiet kosmiczna. A także niezliczone trędowne i opasłe profile

o zapadłych oczodołach, uformowane z płynnej szarości, w którą jego koncentracja zmieniała kamień. Po chwili nie wiedział już, o czym myśli, i tak jak okno sklepowe czasem nie pozwala przechodniowi dojrzeć przedmiotów za szkłem, tylko bierze go w narcystyczne objęcia, tak umysł Patricka ignorował płynący z zewnątrz strumień wrażeń, zamykając się w mglistych rozmyślaniach, których chłopiec nie umiałby później opisać.

Myśl o lunchu przeszła go niepokojem i sprowadziła na ziemię. Która była godzina? Czy był spóźniony? Zdąży porozmawiać z Yvette? Czy będzie musiał jeść sam z ojcem? To bujanie w obłokach zawsze kończyło się rozczarowaniem. Lubił czuć pustkę w głowie, ale kiedy się z niej wynurzał i nie mógł sobie przypomnieć, o czym myślał, było w tym coś strasznego.

Zaczął biec. Był przekonany, że opuścił lunch. Podawano go za kwadrans druga i zwykle Yvette wychodziła na zewnątrz i wołała Patricka, lecz mógł jej nie słyszeć, chowając się w krzakach.

Kiedy dobiegł pod kuchnię, zobaczył przez otwarte drzwi, że Yvette myje sałatę w zlewie. Kłuło go w boku po biegu i zrobiło mu się głupio, że tak rozpaczliwie pędził, skoro do lunchu było jeszcze trochę czasu. Yvette pomachała mu znad zlewu, ale nie chciał, żeby pomyślała, że się śpieszył, więc tylko odmachął i spokojnie minął drzwi, jak gdyby zajęty swoimi sprawami. Postanowił, że rozejrzy się raz jeszcze za drzewną żabą przynoszącą szczęście i dopiero wtedy pójdzie posiedzieć z Yvette w kuchni.

Skręciwszy za róg domu, wspiął się na murek na skraju tarasu, który po zewnętrznej stronie miał wysokość pięciu metrów, i szedł po nim wolno, balansując ramionami. Kiedy dotarł do końca, zeskoczył z powrotem na dół. Był teraz u szczytu schodów ogrodowych, widział już figowiec, gdy nagle usłyszał wołanie ojca: „*Nigdy więcej tak nie rób!*”.

Przestraszył się. Skąd dobiegał głos? Czy ojciec krzyczał na niego? Obejrzał się prędko za siebie. Serce mu waliło. Nieraz słyszał, jak ojciec krzyczy na innych, zwłaszcza na matkę, bał się wtedy i miał ochotę uciekać. Teraz jednak zamarł i nasłuchiwał, bo chciał zrozumieć, co się stało i czy była to jego wina.

– *Natychmiast chodź na górę!*

Teraz Patrick już wiedział, skąd dobiegał głos. Podniósł wzrok i ujrzał ojca na balkonie, wychylonego przez poręcz.

– Co zrobiłem? – zapytał zbyt cicho, by dało się go usłyszeć. Ojciec miał tak wściekłą minę, że Patrick całkiem stracił wiarę w swoją niewinność. Z rosnącą trwogą cofał się pamięcią coraz dalej, próbując sobie uświadomić swój występki.

U szczytu stromych schodów do sypialni ojca był już gotów przeprosić za cokolwiek, nadal jednak odczuwał potrzebę zrozumienia, za co przeprasza. Zatrzymując się w progu, zapytał ponownie, tym razem głośniejszym głosem:

– Co zrobiłem?

– Zamknij za sobą drzwi – polecił ojciec – i podejdź tutaj. – W jego tonie pobrzmiwał wstręt, jakby syn nałożył na niego jakiś przykry obowiązek.

Zmierzając powoli w jego stronę, Patrick starał się wymyślić jakiś sposób na udobruchanie ojca. Może gdyby powiedział coś mądrego, wina zostałaby mu darowana, ale czuł się strasznie głupi, po głowie tłukła mu się tylko jedna myśl: dwa razy dwa równa się cztery, dwa razy dwa równa się cztery. Usiłował sobie przypomnieć jakąś rzecz, którą zauważył dziś rano, albo cokolwiek, absolutnie cokolwiek, co przekonałoby ojca, że „obserwuje wszystko”. Lecz obecność tego człowieka była jak cień, który zaćmiewał Patrickowi umysł.

Stanął przy łóżku i utkwiał wzrok w zielonej narzucie z ptakami nad ogniskiem. Kiedy ojciec się odezwał, jego ton był raczej znużony.

– Będę musiał cię zbić.

– *Ale co ja zrobiłem?*

– Doskonale wiesz, co zrobiłeś – odrzekł ojciec głosem zimnym i unicestwiającym, a Patrick natychmiast uległ jego mocy przekonywania. Zrobiło mu się nagle wstyd za wszystko, co zrobił źle. Cała jego egzystencja była skażona porażką.

Ojciec szybkim ruchem chwycił Patricka za kołnierz koszuli. Usiadł na łóżku, przełożył syna przez prawe kolano, z lewej stopy zdjął żółty pantofel. Normalnie takie gwałtowne ruchy przyprawiły Davida o grymas bólu, lecz w służbie dobrej sprawy zdołał odnaleźć w sobie młodzieńczą zwinność. Zsunął Patrickowi spodnie i majtki, po czym uniósł pantofel niezwykle wysoko jak na kogoś, kto ma problemy z prawym barkiem.

Pierwsze uderzenie było zaskakująco bolesne. Patrick starał się przyjąć podziwianą przez dentystów postawę stoickiego cierpienia. Starał się być dzielny, i choć po pewnym czasie dotarło do niego, że ojciec próbuje mu zadać jak największy ból, nie mógł w to uwierzyć.

Im bardziej się opierał, tym mocniej obrywał. Jednocześnie chcąc i bojąc się poruszyć, leżał rozdarty na pół tą niepojętą przemocą. Wreszcie dopadło go przerażenie i wpijało się w niego jak pies, miażdżąc mu ciało. Po laniu ojciec rzucił go na łóżko jak martwą rzecz.

To jednak nie był koniec. Ojciec położył rękę na prawej łopatce Patricka i przycisnął go do łóżka. Patrick rozpaczliwie kręcił szyją, lecz widział tylko niebieski szlafrok.

– Co robisz? – spytał, ale ojciec nic nie odpowiedział, a Patrick nie odważył się powtórzyć pytania. Ręka napierała coraz mocniej, twarz miał wciśniętą w fałdy narzuty, aż ledwie oddychał. Wzrok utkwiał w drążku, na którym wisiała zasłona, i w górnej krawędzi otwartych okien. Nie rozumiał, jaką formę przybiera teraz jego kara, ale wiedział, że ojciec musi być na niego bardzo zły, skoro sprawia mu tyle bólu. Poczucie bezsilności, jakiego doświadczał, było nie do zniesienia. Poczucie

niesprawiedliwości było nie do zniesienia. Nie wiedział, kim jest ten człowiek, to nie mógł być jego ojciec, skoro tak go krzywdził.

Z tego drażka, gdyby udało mu się tam jakoś wspiąć, mógłby oglądać wszystko z góry, tak jak ojciec spoglądał z góry na niego. Przez chwilę wydało mu się, że siedzi tam, wysoko, i patrzy z bezpiecznej odległości na karę, jaką małemu chłopcu wymierza obcy mężczyzna. Patrick skupił się na tym drażku ze wszystkich sił i za drugim razem to uczucie trwało dłużej, siedział pod sufitem, oparty o ścianę, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

Potem znów wrócił na łóżko, leżał na nim z dziwną pustką w głowie, przygnieciony ciężarem niezrozumienia, co się dzieje. Słyszał świszczący oddech ojca i stukot wezgiłowia o ścianę. Zza zasłony w zielone ptaki wyłonił się gekon i zastygł nieruchomo w narożniku ściany przy otwartym oknie. Patrick rzucił się w jego stronę. Zaciskając pięści, koncentrując się tak mocno, że jego skupienie było jak rozciągnięty między nimi drut telefoniczny, wniknął w ciało jaszczurki.

Gekon zrozumiał, bo w tej samej chwili czmychnął za okno. W dole, na tle kamiennego tarasu, widać było liście dzikiego wina, czerwone, zielone i żółte. Wspiął się po ścianie i czepiając się włoskowatymi odnóżami okapu, bez trudu zawisł grzbietem w dół. Śmignął na stare dachówki, pokryte zielonymi i rudymi liszajami, a potem w rynienkę, po której wbiegł na sam szczyt. Ze szczytu dachu zszedł prędko na dół po drugiej stronie. Uciekł daleko i nigdy go już nie znajdą, bo nie będą wiedzieli, gdzie go szukać, bo skąd mieliby wiedzieć, że schował się w ciele jaszczurki.

– Nie wstawaj – powiedział David, prostując się i poprawiając żółto-białą piżamę.

Patrick i tak nie był w stanie się ruszyć. Uprzytomnił sobie, najpierw mgliście, a po chwili wyraźniej, jak bardzo upokarzająca jest ta pozycja. Leżał na brzuchu, spodnie miał skotłowane wokół kolan, w dole pleców czuł jakąś niepokojącą wilgoć. Pomyślał, że to krew. Że ojciec w którymś momencie dźgnął go nożem.

Ojciec poszedł do łazienki i wrócił. Garścią papieru toaletowego wytarł coraz zimniejszą maź, która zaczynała spływać Patrickowi między pośladki.

– Możesz już wstać.

Lecz Patrick nie mógł. Własna wola wydawała mu się teraz czymś odległym i skomplikowanym. Zniecierpliwiony ojciec podciągnął mu spodnie i postawił go przy łóżku. Chwycił go za ramiona, jak się zdawało, po to, żeby go wyprostować, ale Patrick bał się, że wygnie je mocno do tyłu, jakby chciał go wywrócić na drugą stronę, aż płuca i serce wyjdą mu na wierzch.

David tymczasem nachylił się i rzekł:

– Nie mów o tym, co tu się stało, mamie ani nikomu innemu, jeśli nie chcesz, żeby spotkała cię *bardzo* surowa kara. Rozumiemy się?

Patrick skinął głową.

– Jesteś głodny?

Patrick milcząco zaprzeczył.

– Bo ja umieram z głodu – wesoło rzucił David. – Powinieneś więcej jeść. Żeby nabrać krzepy.

– Mogę już iść?

– Dobrze, skoro nie chcesz lunchu, możesz. – David znów był poirytowany.

Idąc podjazdem, Patrick wpatrywał się w czubki zdartych sandałów, ale przed oczami miał swoją głowę, widzianą jakby z wysokości trzech lub czterech metrów. Ten chłopiec, któremu przyglądał się z góry, budził w nim kłopotliwą ciekawość. Nie czuł się z nim blisko związany; to było jak wtedy, kiedy w zeszłym roku widzieli wypadek na drodze i matka powiedziała, żeby nie patrzył.

Na ziemi Patricka ogarnęło uczucie druzgocącej klęski. Nie było z nim gwardzistów w purpurowych płaszczach. Nie było gekona. Próbował znowu wzbić się w powietrze, tak jak to robią morskie ptaki, kiedy fala rozbija się o skałę, na której siedzą. Lecz nie mógł się ruszyć i został na dole, pod wodą.

Podczas lunchu David stwierdził, że chyba posunął się troszkę za daleko w swojej pogardzie dla mieszczańskiej pruderii. Nawet przy barze w Cavalry and Guards Club przechwałki na temat homoseksualnej, kazirodczej pedofilii nie spotkałyby się raczej z życzliwym przyjęciem. Komu mógł powiedzieć, że zgwałcił swojego pięciolatka? Nie przychodziła mu do głowy ani jedna osoba, która nie spróbowałaby zmienić tematu – a wielu zareagowałoby znacznie gorzej. Samo doświadczenie było krótkie i zwierzęce, ale niekoniecznie przykre. Uśmiechnął się do Yvette, oświadczył, że jest głodny jak wilk, po czym nałożył sobie na talerz szaszłyk jagnięcy i fasolę flażoletkę.

– Monsieur cały rano grał na fortepianie.

– I bawiłem się z Patrickiem – dodał niewinnie David.

Yvette zauważyła, że przy tak małych dzieciach można się okropnie zmachać.

– Zmachać, o tak! – zgodził się z nią.

Kiedy wyszła, dolał sobie romanée-conti, które przyniósł z piwnicy z myślą o kolacji, lecz postanowił wypić sam. Pasowało idealnie do jagnięciny, a zawsze można było zejść po inną butelkę. „To, co najlepsze, albo nic” – tym mottem kierował się w życiu, oczywiście pod warunkiem, że „to, co najlepsze” było akurat na wyciągnięcie ręki. Niewątpliwie był hedonistą, co się zaś tyczyło jego ostatniej przygody, nie zrobił niczego, co zagrażałoby zdrowiu, ot, lekkie obtarcie między pośladkami, w szkole prędzej czy później zrobiono by dzieciakowi to samo. Jeżeli miał sobie coś do zarzucenia, to chyba tylko to, że podchodził do edukacji syna nieco zbyt sumiennie. Tylu rzeczy chciał go jeszcze nauczyć, a tak niewiele było czasu, skończył już przecież sześćdziesiąt lat.

Zadzwoił dzwoneczkiem stojącym obok talerza i Yvette wróciła do jadalni.

– Znakomita jagnięcina – rzekł.

– Czy monsieur życzy sobie kawałek tarty Tatin?

Niestety, nie miał już miejsca na tartę Tatin. Może Patrick się skusi na podwieczorek? Jemu wystarczy kawa. Czy mogłaby mu ją przynieść do salonu? Ależ oczywiście.

David miał zeszywniałe nogi i po wstaniu z krzesła zatoczył się lekko, z sykiem wciągając powietrze przez zęby. „Cholera” – powiedział na głos. W jednej chwili opuściła go cała niewrażliwość na bóle reumatyczne. Postanowił udać się na górę do łazienki Eleanor, tego farmakologicznego raj. Bardzo rzadko brał środki przeciwbólowe, wolał od nich stały dopływ alkoholu i świadomość własnego heroizmu.

Otworzył szafkę pod umywalką Eleanor i uderzyła go wspaniałość i różnorodność tubek i buteleczek: przezroczystych, żółtych i ciemnych,



pomarańczowych z zielonymi zakrętkami, plastikowych i szklanych, z kilku różnych krajów, a wszystkie ostrzegały użytkownika, żeby nie przekraczał podanej dawki. Były tam nawet koperty z odręcznymi napisami „seconal” i „mandrax”, które to leki, jak się domyślał, zostały ukradzione z cudzych łazienek. Szperając wśród barbituranów, stymulantów, antydepresantów i proszków nasennych, natrafił na zaskakująco mało środków przeciwbólowych. Udało mu się tylko wygrzebać buteleczkę kodeiny, trochę leków na bazie dipipanonu i dekstropropoksyfenu, i gdy myślał, że na tym się skończy, odkrył w głębi szafki słoiczek powleczonych cukrem pastylek opiumowych, które przed dwoma laty przepisał teściowej na złagodzenie wścieklej biegunki towarzyszącej rakowi jelita. Ten ostatni gest hipokratejskiego miłosierdzia, wykonany długo po tym, jak David zakończył swoją krótką karierę lekarską, obudził w nim teraz nostalgię za sztuką uzdrawiania.

Na uroczu staroświeckiej etykietce z apteki D.R. Harris przy St James's Street widniał napis: „Opium (B.P. 0,6 granów)”, poniżej: „Księżna de Valençay”, i wreszcie: „Zażywać zgodnie z potrzebą”. W środku wciąż było kilkadziesiąt pastylek, co pozwalało przypuszczać, że teściowa umarła, zanim zdążyła uzależnić się od opium. Śmierć bywa wybawieniem, pomyślał, wrzucając słoiczek do kieszeni marynarki w pepitkę. Gdyby księżna stała się jeszcze na dokładkę opiumistką, byłoby to wszystko razem nie do zniesienia.

David nalał sobie kawy do okrągłej osiemnastowiecznej filiżanki z cienkiej porcelany, na której dwa złoto-pomarańczowe koguty walczyły pod złoto-pomarańczowym drzewem. Sięgnął do kieszeni po słoiczek, wytrząsnął na dłoń trzy białe pastylki i połknął je razem z łykiem kawy. Perspektywa spokojnego odpoczynku pod wpływem opium była tak radosna, że postanowił to uczcić szklaneczką brandy wyprodukowanej w roku jego narodzin; swego czasu kupił sobie w prezencie całą skrzynkę, tłumacząc Eleanor, która musiała za nią zapłacić, że to jego sposób na pogodzenie się ze starością. Aby obraz jego zadowolenia był kompletny, zapalił cygaro i usiadł w głębokim fotelu przy oknie z wysłużonym egzemplarzem *Jorrocks' Jaunts and Jollities* Surteesa. Przeczytał pierwsze zdanie z dobrze sobie znaną przyjemnością: „Komuż spośród rasowych myśliwych w kwiecie wieku nie zdarzyło się odłożyć najpilniejszej sprawy – na przykład małżeństwa, a może nawet pochówku swojego żebra – by móc powitać jutrzeńkę ze sławną sforą foxhoundów z Surrey?”.

Kiedy parę godzin później David ocknął się z niespokojnego snu, przez chwilę zdawało mu się, że jest do niego przywiązany tysiadcem elastycznych nitok. Z wolna podniósł wzrok znad gór i dolin swoich spodni i utkwiał spojrzenie w filiżance. Wydawała się otoczona cieniutką świetlistą obwódką i jakby zawieszona tuż nad blatem okrągłego stolika. Z niepokojem, ale i zafascynowaniem spostrzegł, że jeden ze złoto-pomarańczowych kogutów bardzo powoli wydziobuje oko drugiemu. Nie spodziewał się halucynacji. Wprawdzie ból

zniknął bez śladu, lecz martwiła go utrata kontroli, jaka wiązała się z halucynacjami.

Z fotela wygramolił się z trudem, jakby siedział w serowym fondue, a idąc przez pokój, miał wrażenie, że wspina się na wydmnę. Nalał sobie dwie szklanki zimnej kawy i wypił obie duszkiem, licząc, że go otrzeźwią, zanim Eleanor wróci z Nicholasem i tą jego dziewczyną.

Zamierzał pójść na zwawy spacer, ale ociągał się zachwycony wspaniałym blaskiem otaczających go sprzętów. Jego uwagę przykuła zwłaszcza czarna chińska komoda i rzeźbione kolorowe postacie na jej lakierowanej powierzchni. Palankin z rozpartym w środku szacownym mandarynem przesunął się do przodu, a parasol trzymany nad głową dostojnika przez służących w płtykach słomianych kapeluszach zaczął się nieśmiało kręcić.

David oderwał się od tej ruchomej scenki i wyszedł na zewnątrz. Zanim jednak zdążył się przekonać, czy świeże powietrze uwolni go od mdłości i przywróci poczucie kontroli, usłyszał nadjeżdżający samochód Eleanor. Zawrócił prędko i chwyciwszy powieść Surteesa, wycofał się do biblioteki.

Po tym, jak Eleanor odwiozła Anne do Victora, Nicholas zajął jej miejsce z przodu. Bridget przysypiała rozwalona na tylnym siedzeniu. Eleanor i Nicholas rozmawiali o ludziach, których nie znała.

– Prawie zapomniałem, jak tu jest cudownie – oznajmił Nicholas, gdy podjechali pod dom.

– Ja całkiem zapomniałam – odparła Eleanor – a mieszkam tutaj.

– Och, Eleanor, to zabrzmiało strasznie smutno. Powiedz, że to nieprawda, bo inaczej będę miał zepsuty podwieczorek.

– Dobrze – zgodziła się Eleanor, opuszczając elektryczną szybę, żeby wyrzucić niedopałek – to nieprawda.

– Grzeczna dziewczynka – powiedział Nicholas.

Bridget nie miała nic do powiedzenia o miejscu, w którym się znalazła. Przez okno widziała szerokie schody prowadzące w dół obok dużego domu z jasnoblękitnymi okiennicami. Na bocznej ścianie wistaria i wiciokrzew raz pięły się, raz opadały, przełamując monotonię kamienia. Zdawało jej się, że już to wszystko gdzieś widziała, i nawet teraz czuła się, jakby patrzyła na fotografię w nieuważnie kartkowanym czasopiśmie. Była podniecona po marihuanie. Miała ochotę się masturbować i prawie nie słuchała rozmowy.

– Bagaże zostawcie w samochodzie – powiedziała Eleanor. – François je wam później przyniesie.

– Nie trzeba, poradzę sobie – odparł Nicholas. Chciał zamknąć się na chwilę w pokoju z Bridget i powiedzieć jej, żeby się rozchmurzyła.

– Nie, naprawdę, niech François to zrobi, nie miał dzisiaj nic do roboty – nalegała Eleanor, która nie chciała zostać sama z Davidem.

Nicholasowi pozostało tylko dyscyplinujące spojrzenie, lecz Bridget, która schodziła po schodach, starając się omijać szczeliny między płytami, ani razu nie zerknęła w jego stronę.

Gdy weszli do holu, Eleanor ucieszyła się, że nie ma tam Davida. Może utopił się w kąpeli. Było to zbyt piękne, by mogło być prawdą. Zaprosiła Nicholasa i Bridget na taras, a sama poszła do kuchni poprosić Yvette o przygotowanie podwieczorku. Po drodze wychyliła szklaneczkę brandy.

– Czy to naprawdę takie trudne od czasu do czasu otworzyć usta? – rzekł Nicholas do Bridget, gdy tylko zostali sami. – Nie odezwałaś się do Eleanor ani słowem.

– Dobrze, skarbie – powiedziała Bridget, wciąż starając się nie deptać po szczelinach. Odwróciła się twarzą do niego i spytała głośnym szeptem: – Czy to tutaj?

– Ale co?

– To jest to drzewo, pod którym jadła na czworakach?

Nicholas spojrział ku oknom na górze: zeszyłym razem ze swojego pokoju słyszał niejedną rozmowę. Skinął głową i podniósł palec do ust.

Na ziemi pod drzewem leżało mnóstwo fig. Z niektórych zostały tylko ciemne plamy i kilka pestek, ale były i takie, które jeszcze nie zgniły, a ich fioletowe skórki, pokryte delikatnym białym nalotem, nie miały żadnych pęknięć. Bridget uklękła i oparła się na rękach jak pies.

– Na litość boską – warknął Nicholas, doskakując do niej. W tej samej chwili otworzyły się drzwi salonu i wyszła z niego Yvette, niosąc tacę z filiżankami i ciastem. To, co zobaczyła, zanim dyskretnie odwróciła wzrok, potwierdzało jej podejrzenia, że bogatych Anglików łączy jakaś dziwna więź z królestwem zwierząt. Bridget wstała z uśmiechem na twarzy.

– *Ah, fantastique de vous revoir, Yvette* – powiedział Nicholas.

– *Bonjour, monsieur.*

– *Bonjour* – odezwała się grzecznie Bridget.

– *Bonjour, madame* – odparła bez wahania Yvette, mimo że wiedziała, iż Bridget nie jest mężatką.

– David! – ryknął Nicholas ponad głową służącej. – Gdzie się ukrywałeś?

David machnął w jego stronę cygarem.

– Zaczytałem się w Surteesie – oznajmił, wychodząc na zewnątrz. Miał na nosie ciemne okulary, na wszelki wypadek. – Witaj, moja droga – zwrócił się do Bridget, której imię zapomniał. – Czy widzieliście może Eleanor? Mignęły mi w holu jakieś różowe spodnie, ale nie zareagowały na jej imię.

– Ostatni raz widziano ją właśnie w takich spodniach – powiedział Nicholas.

– Ładnie jej w różowym, prawda? – zagadnął David, zwracając się do Bridget. – Pasuje jej do oczu.

– Nie wiem jak wy, ale ja bym się napił herbaty – rzekł prędko Nicholas.

Bridget rozlała herbatę do filiżanek. David przysiadł na murku, parę kroków od Nicholasa. Delikatnie stukając palcem w cygaro i patrząc, jak popiół ląduje u jego stóp, zauważył sznur mrówek maszerujących po ścianie muru do gniazda w rogu.

Bridget przyniosła im herbatę, a kiedy się odwróciła, by pójść po swoją filiżankę, David zbliżył rozżarzony koniec cygara do mrówek i przesunął nim w obu kierunkach tak daleko, jak mógł bez trudu sięgnąć. Mrówki wiły się w mękach i spadały martwe na taras. Niektóre przedtem stawały na tylnych nogach, daremnie usiłując naprawić swoje zniszczone ciało.

– Ależ wy tu elegancko żyjecie! – wykrzyknęła Bridget, opierając się wygodnie na granatowym leżaku.

Nicholas przewrócił oczami. Po co, u licha, namawiał ją do otwierania ust? Chcąc czymś wypełnić ciszę, oznajmił Davidowi, że był wczoraj na stypie po Jonathanie Croydenie.

– Ostatnio częściej bywasz na stypach czy na weselach? – zapytał David.

– Wciąż dostaję więcej zaproszeń na wesela, ale zauważyłem, że wolę stypy.

– Bo nie musisz kupować prezentu?

– To też, rzecz jasna, ale głównie dlatego, że kiedy umiera ktoś naprawdę szanowany, zbiera się ciekawsze towarzystwo.

– Chyba że wszyscy jego przyjaciele umarli przed nim.

– Tak, nie znoszę, gdy tak się dzieje – stwierdził kategorycznie Nicholas.

– To zabija imprezę.

– Absolutnie.

– Obawiam się, że nie popieram styp – rzekł David, wciągając w usta dym z cygara. – Nie tylko dlatego, że trudno mi uwierzyć, by cokolwiek w życiu większości ludzi zasługiwało na opiewanie, ale także z powodu odstępu między pogrzebem a stypą, zwykle tak długiego, że człowiek zamiast poczuć, że zmarły żyje w sercach przyjaciół, uświadamia sobie tylko, jak łatwo można się bez niego obejść.

David dmuchnął w czubek cygara, które rozbłysło żarem. Opium sprawiło, że czuł się, jakby słuchał kogoś innego, nie siebie.

– Umarli są martwi – ciągnął dalej – a prawda jest taka, że człowiek zapomina o ludziach, kiedy przestają przychodzić na kolacje. Choć oczywiście zdarzają się wyjątki, czyli ludzie, o których zapominamy w połowie kolacji.

Dopał cygarem samotnie uciekającą mrówkę z czułkami przypalonymi w poprzednim nalocie.

– Jeżeli naprawdę ci kogoś brakuje, lepiej porób coś, co chętnie robiliście razem, a trzeba by zupełnie wyjątkowego trafu, żeby tym czymś było ubieranie się na czarno, wystawanie w zimnym kościele i wznoszenie hymnów.

Mrówka umykała w zadziwiającym tempie i już prawie dotarła do załomu, gdy David, nieco się wyciągając, dotknął jej z precyzją chirurga. Zwęgliła się i zwinęła w śmiertelnej konwulsji.

– Powinno się chodzić tylko na uroczystości żałobne po śmierci wroga. Abstrahując od satysfakcji, że się go przeżyło, to świetna okazja do zawieszenia broni. Czyż nie powinniśmy sobie wybaczać?

– O tak – zgodziła się Bridget. – Zwłaszcza inni nam.

David uśmiechnął się do niej zachęcająco, lecz wtedy w drzwiach pojawiła się Eleanor.

– Ach, Eleanor – powitał ją Nicholas z przesadną radością – rozmawiamy właśnie o pogrzebie Jonathana Croydena.

– Kończy się pewna epoka – zauważyła Eleanor.

– Owszem, był ostatnim żyjącym człowiekiem, który poszedł na przyjęcie do Evelyny Waugh w damskim przebraniu – powiedział Nicholas. – Podobno jako kobieta ubierał się znacznie lepiej niż jako mężczyzna. Był inspiracją dla całego pokolenia Anglików. Co mi przypomina, że po stypie napatoczyłem się na bardzo męczącego przymilnego Indusa, który twierdził, że był u was tuż przed tym, zanim odwiedził Jonathana w Cap Ferrat.

– To musiał być Vijay – odparła Eleanor. – Przyjechał z Victorem.

– Tak, to ten – Nicholas pokiwał twierdząco głową. – Chyba nawet wiedział, że się tu wybieram. Niesłychane, zważywszy, że nie widziałem go nigdy wcześniej na oczy.

– Rozpaczliwie stara się być modny – wyjaśnił David – i dlatego na ludziach, których jeszcze nie poznał, zna się lepiej niż na czymkolwiek innym.

Eleanor przycupnęła na wąłym białym krześle z wyblakłą niebieską poduszką na okrągłym siedzeniu, by po chwili wstać i przesunąć krzesło bliżej cienia figowca.

– Uwaga na figi – odezwała się Bridget.

Eleanor nie zareagowała.

– Trochę szkoda, że tak się marnują – dodała niewinnie Bridget, schylając się i podnosząc jedną. – O, ta jest idealna. – Uniosła ją do ust. – Figi mają dziwną skórę, prawda? Jednocześnie białą i fioletową.

– Jak pijak z rozedmą płuc – rzucił David, uśmiechając się w stronę Eleanor.

Bridget wsunęła figę do zaokrąglonych ust. Nagle poczuła coś, co później w rozmowie z Barrym określiła jako „silny prąd” od Davida – „jakby wpychał mi pięść głęboko między nogi”. Połknęła figę, ale czuła fizyczną potrzebę wstania z leżaka i oddalenia się od gospodarza.

Przeszedłszy parę kroków wzdłuż murku, za którym w dole rozciągał się ogród, dla zachowania pozorów rozpostarła ramiona, obejmując nimi widok, i powiedziała:

– Jaki cudowny dzień.

Nikt jej nie odpowiedział. Wodząc wzrokiem po krajobrazie w poszukiwaniu tematu do rozmowy, spostrzegła ruch na drugim końcu ogrodu. W pierwszej chwili myślała, że to jakieś zwierzę chowa się pod gruszą, lecz kiedy wstało, zobaczyła, że to dziecko.

– Czy to wasz syn? – zapytała. – W czerwonych spodniach.

Eleanor podeszła.

– Tak, to Patrick. Patrick, skarbie! – krzyknęła. – Masz ochotę na podwieczorek?

Odpowiedziała jej cisza.

– Może cię nie słyszy – odezwała się Bridget.

– Oczywiście, że słyszy – wmieszał się David. – Po prostu jest nieznośny.

– Może my go nie słyszymy – powiedziała Eleanor. – Patrick! – spróbowała ponownie. – Chodź, zjedz z nami podwieczorek.

– Kręci głową – zauważyła Bridget.

– Pewnie jadł już dzisiaj ze trzy podwieczorki – odezwał się Nicholas. – Wiesz, jakie są dzieci w tym wieku.

– Boże, dzieci są takie słodkie – oznajmiła Bridget, uśmiechając się do Eleanor. – Eleanor – zwróciła się do niej identycznym tonem, jakby spełnienie jej prośby miało być nagrodą za to, że uważa, że dzieci są słodkie – pokazałabyś mi mój pokój? Bardzo bym chciała się wykąpać i rozpakować.

– Oczywiście. Zaprowadzę cię.

Weszły do środka.

– Twoja dziewczyna jest pełna życia, tak to się chyba mówi – stwierdził David.

– Chwilowo mi wystarcza.

– Nie musisz się tłumaczyć, jest przeurocza. Napijemy się czegoś mocniejszego?

– Dobry pomysł.

– Szampan?

– Doskonale.

David zniknął w środku i po chwili wrócił, zdzierając złotko z szyjki przezroczystej butelki.

– Cristal – sumiennie odnotował Nicholas.

– To, co najlepsze, albo nic – odparł David.

– Co mi przypomina: w zeszłym tygodniu piłem to samo w Wiltons z Charlesem Pewseyem i zapytałem go, czy pamięta Guntera, tego horrendalnego sekretarza Jonathana Croydena. Na co Charles ryknął – wiesz, jaki on ma słuch – „Sekretarza? Chciałeś powiedzieć: przydupasa. *Horrendalnego przydupasa*”. Wszyscy obrócili głowy w naszą stronę.

– Zawsze obracają, kiedy jest się gdzieś z Charlesem. – David wyszczerzył zęby w uśmiechu. To było takie podobne do Charlesa. Trzeba go było znać, żeby zrozumieć, jakie to zabawne.

Pokój, w którym ulokowano Bridget, był cały w kwiciastych perkalach, z rycinami rzymskich ruin na ścianach. Obok łóżka leżał egzemplarz autobiografii lady Mosley, na który Bridget rzuciła czytana przez siebie *Dolinę lalek*. Usiadła z jointem przy oknie i patrzyła, jak dym przenika przez drobne otwory w moskitierze. Na dole Nicholas krzyczał coś o „horrendalnym przydupasie”. Pewnie wspominali szkolne lata. Ach, ci chłopcy.

Uniosła stopę i oparła ją o parapet. W lewej dłoni wciąż trzymała jointa, choć był już krótki i po kolejnym sztachnięciu mógł jej oparzyć palce. Prawą rękę wsunęła między nogi i zaczęła się masturbować.

– To tylko dowodzi, że bycie sekretarzem nic nie znaczy, dopóki masz przy sobie kamerdynera – powiedział Nicholas.

– W życiu zawsze tak jest – wyrecytował swoją kwestię David. – Nieważne, co robisz, ważne, kogo znasz.

Zaśmiali się obaj, że udało im się zastosować tę ważką maksymę do groteskowej sytuacji.

Bridget przeniosła się na łóżko i wyciągnęła się na nim z twarzą przyciśniętą do żółtej narzuty. Gdy zamknęła oczy i znów zaczęła się dotykać, przeleciał przez nią, niczym przeskakująca iskra, obraz Davida; wysiłkiem woli skupiła się jednak lojalnie na wspomnieniu seksownych walorów Barry’ego.

W chwilach, kiedy nie szło mu pisanie, Victor miał zwyczaj nerwowego otwierania i zamykania kieszonkowego zegarka. Ten odgłos pomagał mu się skupić, gdy rozpraszały go hałasy robione przez innych ludzi. W bardziej kontemplacyjnych fazach swoich rozmyślań otwierał i zamykał zegarek wolniej, ale gdy czuł napór frustracji, tempo pstrykania rosło.

Ubrany tego ranka w obszerny nakrapiany sweter, który z premedytacją upolował na niezobowiązujące okazje, kiedy ubiór jest całkiem bez znaczenia, miał szczerzy zamiar zacząć swój esej o koniecznych i wystarczających warunkach tożsamości osobowej. Siedział przy nieco chwiejnym drewnianym stole pod żółknącym platanem od frontu domu i gdy temperatura się podniosła, rozebrał się do koszuli. Przed lunchem zanotował tylko jedną myśl: „Pisałem już książki, które musiałem napisać, ale nie napisałem jeszcze książki, którą inni muszą przeczytać”. Za karę zjadł na lunch zrobioną naprędce kanapkę zamiast udać się do La Coquière na trzydaniowy posiłek w ogrodzie, pod niebiesko-czerwono-żółtym parasolem z logo Ricard Pastis.

Wbrew sobie wracał myślami do porannych słów zdziwionej Eleanor: „Jeżeli coś jest przede wszystkim w naszej głowie, to właśnie to, kim jesteśmy”. Nie było to ani mądre, ani pomocne, a mimo to brzęczało mu nad uchem niczym komar w ciemnościach.

Tak jak powieściopisarz może się czasem zastanawiać, po co wymyśla bohaterów, którzy nie istnieją, i każe im robić rzeczy, które nie mają znaczenia, tak filozof może się zastanawiać, po co wymyśla nieprawdziwe sytuacje, żeby ustalić, co jest prawdą. Victor na długo zaniedbał swój temat i teraz nie był już do końca przekonany o tym, że niemożliwość stanowi najlepszą drogę do konieczności – nie tak przekonany, jak mógłby być, gdyby odświeżył sobie skrajny przypadek Stolkinia, w którym „naukowcy niszczą mój mózg i ciało, a następnie tworzą z nowej materii replikę Greta Garbo”. Bo czy można było się nie zgodzić ze Stolkinem, że „między mną a otrzymaną osobą nie zachodziłby żaden związek”?

Mimo wszystko jednak utrzymywanie, że się wie, co by się stało z poczuciem tożsamości człowieka, gdyby mu rozciąć mózg na pół i rozdzielić między identyczne bliźnięta, wydawało się, przynajmniej w tej chwili, zanim rzucił się z powrotem w wir dyskusji filozoficznej, lichą namiastką inteligentnej odpowiedzi na pytanie, co to znaczy wiedzieć, kim się jest.

Victor wszedł do domu po zaprzyjaźnioną tubkę tabletek Bisodol na niestrawność. Jak zwykle zjadł kanapkę zbyt szybko, wpychając ją sobie do gardła jak połykacz mieczy. Na nowo pomyślał z uznaniem o uwadze Williama Jamesa, iż jaźń składa się głównie z „osobliwych ruchów w obrębie głowy oraz między głową a gardłem”, choć osobliwe ruchy w żołądku i jelitach wydawały mu się co najmniej



równie prywatne.

Usiadłszy ponownie, wyobraził sobie myślącego siebie i próbował nałożyć ten obraz na pustkę w swojej głowie. Jeżeli był w gruncie rzeczy myślącą maszyną, to potrzebował serwisowania. Tego popołudnia zaprzętały go nie problemy filozofii, lecz problem z filozofią. Co prawda czasem były one nie do odróżnienia. Wittgenstein powiedział, że filozof zajmuje się problemami jak lekarz chorobą. Ale jakiego rodzaju terapię powinien stosować? Przechybianie? Pijawki? Antybiotyki zwalczające to, czym infekuje nas język? Albo, pomyślał Victor, wypuszczając ustami gazy z żołądka, tabletki na trawienie, pomagające rozbić zakalcowaną masę uczuć i wrażeń?

Przypisujemy myśli tym, którzy myślą, bo tak się zwykło mówić, ale nie trzeba twierdzić, że to osoby myślą którąkolwiek z tych myśli. Z drugiej jednak strony, pomyślał Victor leniwie, dlaczego nie ulec w tej sprawie powszechnemu oczekiwaniu? Co do mózgów i umysłów, czy naprawdę stanowi jakiś problem, żeby dwa całkowicie różne zjawiska – procesy mózgowe i świadomość – zachodziły jednocześnie? A może to same kategorie były problematyczne?

Gdzieś w dole trzasnęły drzwi samochodu. To pewnie Eleanor wysadziła Anne u stóp podjazdu. Victor otworzył zegarek, sprawdził godzinę i znów go zamknął. Co udało mu się zdziałać? Prawie nic. To nie był jeden z tych mało produktywnych dni, kiedy oszołomiony nadmiarem głodził się niczym osioł Buridana między dwiema równie pożywnymi wiązkami siana. Dziś brak postępów miał głębsze podłoże.

Patrzył, jak Anne, oślepiąco jasna w białej sukience, pokonuje ostatni zakręt podjazdu.

- Hej – powiedziała.
- Cześć – odparł po chłopięcemu ponury Victor.
- Jak idzie?
- Ech, to było dość bezcelowe ćwiczenie, ale chyba lepsze takie niż żadne.
- Nie doceniasz bezcelowych ćwiczeń, to jest wielka branża. Rowery, które jadą donikąd, jałowe spacerowanie na ruchomej bieżni, ciężary, których wcale nie trzeba podnosić.

Victor milczał wpatrzony w swoje jedno zdanie. Anne oparła dłonie na jego barkach.

- A więc nadal nie wiadomo, kim jesteśmy?
- Obawiam się, że nie. Oczywiście tożsamość osobowa to fikcja, czysta fikcja. Ale doszedłem do tego wniosku błędną metodą.
- Jaką?
- Nie myśląc o tym.
- Ale czy nie to właśnie mają na myśli Anglicy, kiedy mówią: „On podszedł do tego bardzo filozoficznie”? Chodzi im o to, że ktoś przestał o czymś myśleć.

Anne zapaliła papierosa.

– Mimo wszystko – odparł cicho Victor – moje dzisiejsze rozmyślenia przypominają mi pewnego bojowo nastawionego studenta, którego kiedyś uczyłem. Powiedział, że nasze seminaria nie przeszły próby pod tytułem: „I co z tego?”.

Anne przysiadła na brzegu stołu i czubkiem jednej tenisówki zsunęła ze stopy drugą. Cieszyło ją, że Victor znów pracuje, nawet jeśli bezowocnie. Położyła mu bosą stopę na kolanie.

– Proszę mi powiedzieć, profesorze, czy ta stopa jest moja?

– Hm, niektórzy filozofowie powiedzieliby, że w pewnych okolicznościach – Victor uniósł jej stopę w złączonych dłoniach – to będzie zależało od tego, czy stopa jest źródłem bólu.

– A co jest nie tak ze stopą, która jest źródłem przyjemności?

– Cóż – odrzekł Victor, poddając to absurdalne pytanie pod głęboki namysł – w filozofii, podobnie jak w życiu, przyjemność częściej bywa urojeniem. Ból jest kluczem do posiadania. – Rozdziawił usta jak głodny człowiek rzucający się na hamburgera, zaraz jednak je zamknął i delikatnie ucałował każdy palec jej stopy.

Gdy wypuścił ją z rąk, Anne zrzuciła drugi but.

– Zaraz wrócę – powiedziała, ruszając ostrożnie po rozgrzanym ostrym żwirze w kierunku kuchennych drzwi.

Victor z satysfakcją skonstatował, że w starożytnym społeczeństwie chińskim ta jego niewinna zabawa stopą Anne byłaby stanowczo zbyt intymna. Nieobuta stopa świadczyła o wyuzdaniu, jakie nawet nie śniło się genitaliom. Podniecała go myśl o tym, jak silna byłaby jego żądza w innym miejscu i czasie. Przypomniał sobie cytaty z *Żyda z Malty*: „Jesteś winien porubstwa; lecz to było w innym kraju, a zresztą – ta kobieta nie żyje”. Kiedyś był utylitarystycznym uwodzicielem, starającym się pomnażać *ogólną* sumę przyjemności, lecz odkąd nawiązał romans z Anne, był wierny jak nigdy przedtem. Nawet w młodości nie pociągał kobiet wyglądem, od początku więc polegał w swoich podbojach na intelekcie. W miarę jak stawał się coraz brzydszy i sławniejszy, kontrast między jego narzędziem uwodzenia, czyli mową, a narzędziem zaspokojenia, czyli ciałem, przybierał coraz bardziej wstydlive rozmiary. Rutynowe podboje unaoczniały ten aspekt dylematu psychofizycznego ostrzej niż bardziej zażyłe stosunki, uznał więc, że może już czas pobyć w jednym kraju z żywą kobietą. Cała sztuka polegała na tym, żeby nie zamienić nieobecności mentalnej na fizyczną.

Anne wyszła z domu z dwiema szklankami soku pomarańczowego. Wręczyła jedną Victorowi.

– O czym myślałeś?

– Czy w innym ciele byłabyś tą samą osobą – skłamał.

– Sam sobie odpowiedz: czy pieściłbyś moje palce u nogi, gdybym wyglądała jak kanadyjski drwal?

- Gdybym wiedział, że w środku jesteś ty – odparł lojalnie.
- Że to jestem ja w tych butach wzmocnionych blachą?
- Właśnie tak.

Uśmiechnęli się do siebie. Victor wypił łyk soku.

- Ale, ale – powiedział – jak się udała eskapada z Eleanor?

– W drodze powrotnej myślałam o tym, że każda z osób, które będą dzisiaj na kolacji, na pewno zdąży do tego czasu powiedzieć coś niemiłego o każdej innej osobie. Wiem, że pomyślisz, że to bardzo prymitywne i amerykańskie, co teraz powiem, ale dlaczego ludzie spędzają wieczory z osobami, o których źle mówią w ciągu dnia?

- Żeby na drugi dzień móc znów powiedzieć o nich coś złego.

– No tak, racja – westchnęła Anne. – „Jutro też jest dzień”. Tak różny i zarazem tak podobny.

Victor wydawał się zaniepokojony.

– Obrażaliście się w samochodzie nawzajem czy tylko atakowaliście Davida i mnie?

– Ani to, ani to. Ale sądząc po tym, jak obrażano wszystkich innych, domyśliłam się, że podzielimy się na coraz mniejsze grupy, aż w końcu każdy obmówi każdego.

– Ale właśnie na tym polega urok towarzyski: jest się złośliwym w stosunku do wszystkich prócz osoby, z którą się rozmawia, a wtedy ona czuje się wyróżniona, że ją oszczędzono.

– Jeżeli na tym polega urok towarzyski – odparła – to nasze dzisiejsze towarzystwo jest mało urocze, bo nikt nie został oszczędzony.

– Czy chcesz potwierdzić swoją własną teorię, wyrażając się niepochlebnie o kimś, kto będzie wieczorem na kolacji?

– Skoro już pytasz – zaśmiała się – to Nicholas Pratt zrobił na mnie dość odpychające wrażenie.

– Wiem, co masz na myśli. Problem Nicholasa polega na tym, że chciał zostać politykiem, ale zniszczyło go coś, co ileś lat temu uchodziło za skandal erotyczny, a co dziś pewnie nazwano by „otwartym małżeństwem”. Większość ludzi najpierw zostaje ministrami i dopiero wtedy rujnują sobie karierę skandalem erotycznym, ale Nicholasowi udało się to już wtedy, kiedy próbował zaimponować centrali, startując w wyborach uzupełniających w bastionie laburzystów.

– Zuch – skwitowała Anne. – Czym dokładnie zasłużył sobie na wygnanie z raju?

– Został nakryty w łóżku z dwiema kobietami przez trzecią kobietę, swoją żonę, która zdecydowała, że nie stanie u jego boku.

– Chyba i tak zabrakłoby dla niej miejsca. Ale zgadzam się, że niepotrzebnie się pośpieszył. W tamtych czasach człowiek nie mógł opowiedzieć w telewizji,

jakie to „wyzwalające doświadczenie”.

– Kto wie – rzekł Victor z udawanym zdziwieniem, po belfersku łącząc palce obu dłoni w łuk – może są takie zakątki torysowskiej Anglii, gdzie do dziś nie wszystkie matrony z komitetu selekcyjnego praktykują seks grupowy.

Anne usiadła mu na kolanie.

– Victorze, czy dwoje ludzi to grupa?

– Obawiam się, że co najwyżej podgrupa.

– Chcesz powiedzieć – odparła ze zgrozą – że uprawiamy seks podgrupowy?

– Wstała, targając mu włosy. – To okropne.

– Myślę – ciągnął spokojnie Victor – że po tym, jak jego ambicje polityczne szybko legły w gruzach, Nicholasowi zubożniała kariera i postanowił utrzymywać się z odziedziczonej fortuny.

– Według moich kryteriów to go jeszcze nie czyni ofiarą – odparła Anne. – Nakrycie w łóżku z dwiema dziewczynami to nie łaźnia w Auschwitz.

– Masz wyśrubowane kryteria.

– I tak, i nie. Małe autentyczne cierpienie porusza mnie bardziej niż wielkie, ale podsycane w sobie. Zresztą nie przesadzajmy z tym jego cierpieniem, przywiózł ze sobą zjaraną małolatę. Siedziała naburmuszona z tyłu. Dwie takie jak ona to za mało, będzie musiał się przestawić z trójkątów na czworokąty.

– Jak się nazywa?

– Bridget jakaś tam. Jedno z tych niezbyt przekonujących angielskich nazwisk, Hop-Scotch albo coś w tym rodzaju.

Anne szybko przeszła do kolejnego tematu, bo nie chciała, by Victor utonął w rozmyślaniach o tym, jak Bridget ma się do reszty towarzystwa.

– Najdziwniejsza z całej wycieczki była wizyta w Le Wild Owest.

– Po coście tam pojechały?

– O ile dobrze zrozumiałam, dlatego że Patrick chce tam pojechać, ale Eleanor ma pierwszeństwo.

– Nie sądzisz, że mogła po prostu chcieć sprawdzić, czy jej syn będzie się tam dobrze bawił?

– Tu nie ma miejsca na sentymenty. Wygrywa ten, kto jest szybszy – powiedziała, zwinnym ruchem dobywając wymagowanego rewolweru.

– Chyba udzielił ci się duch tego miejsca – stwierdził z kamienną miną Victor.

– Skoro chciała tam zabrać syna, mógł przecież pojechać z nami. Sam by jej powiedział, czy się dobrze bawił.

Victor nie chciał się z nią spierać. Często miewała wyrobione zdanie na temat sytuacji ludzkich, które niespecjalnie go obchodziły, chyba że ilustrowały jakąś zasadę albo dostarczały anegdoty; wołał wtedy ustąpić pola z mniejszym lub większym pobleżaniem, w zależności od nastroju.

– Ze wszystkich osób, które będą wieczorem na kolacji – rzekł – został nam do obmówienia już tylko David, a wiemy, jaką masz o nim opinię.

– To mi przypomina, że muszę przeczytać choć jeden rozdział *Żywotów cesarów*, zanim mu je dzisiaj oddam.

– Przeczytaj o Neronie i Kaliguli – zasugerował Victor. – Jestem pewien, że to ulubione rozdziały Davida. Pierwszy pokazuje, co się dzieje, gdy artystyczna miernota otrzymuje władzę absolutną. Drugi – że straszeni prawie zawsze stają się straszni, gdy tylko mają ku temu okazję.

– Ale czyż nie tak się u was zdobywa porządne wykształcenie? Najpierw inni straszą was, potem wy straszycie innych, a wszystko to z dala od kobiet, żebyście się nie rozprasali.

Victor postanowił zignorować ten najnowszy przejaw dość irytującego stosunku Anne do angielskich szkół prywatnych.

– W Kaliguli ciekawe jest to – cierpliwie mówił dalej – że pragnął być wzorem cesarza i przez kilka pierwszych miesięcy jego panowania rzeczywiście chwalono go za wspaniałomyślność. Tyle że wewnętrzny przymus powtarzania tego, czego się doświadczyło, jest jak grawitacja. Trzeba specjalnych narzędzi, żeby mu się przeciwstawić.

Anne rozbawiło, że Victor posłużył się takim jawnie psychologicznym uogólnieniem. Najwyraźniej ludzi, którzy odpowiednio długo byli martwi, traktował jak żywych.

– Nerona nie lubię za to, że zmusił Senekę do samobójstwa – ciągnął. – Zdaję sobie oczywiście sprawę, że między uczniem a nauczycielem pojawia się czasem niechęć, ale wszystko ma swoje granice. – Zaśmiał się.

– Czy Neron przypadkiem też nie popełnił samobójstwa? Czy tak było tylko w filmie?

– Do własnego samobójstwa zabierał się mniej skwapliwie niż do zmuszania do niego innych. Długo rozmyślał, którą część „pokrytego plamami i cuchnącego” ciała sobie przebić, i lamentował: „Jakiż artysta ginie!”.

– Opowiadasz, jakbyś to widział na własne oczy.

– Wiesz, jak to jest z książkami przeczytanymi w młodości.

– Racja, mam podobnie z *Francisem, mułem, który mówi*.

Wstała ze skrzypiącego wiklinowego fotela.

– Dobra, idę nadrabiać młodzieńcze zaległości. Napisz mi jedno zdanie, zanim pojedziemy – rzekła łagodnie. – Chyba dasz radę, prawda?

Victor lubił, kiedy brała go pod włos.

– Spróbuję – odparł skromnie.

Anne przeszła przez mroczną kuchnię i weszła na górę po krętych schodach. Czuła chłodną ulgę, że pierwszy raz od rana jest sama, i postanowiła natychmiast się wykapać. Victor lubił moczyć się w wannie, obsługując kran

dużym palcem stopy, a jeśli podczas tej ważnej ceremonii zabrakło gorącej wody, wpadał w irracjonalne rozdrażnienie. Poza tym chciała mieć kąpiel z głowy, żeby móc przeleżeć te kilka godzin, które pozostały do kolacji, na łóżku z książką.

Przy jej łóżku na wierzchu stosiku z książkami leżało *Pożegnanie z Berlinem*. Pomyślała, że czytając je ponownie, bawiłaby się o wiele lepiej niż w towarzystwie krwawych cesarów. Z przedwojennego Berlina przeskoczyła myślami do swojej uwagi o łaźniach w Auschwitz. Czyżby sama uległa tej angielskiej potrzebie obracania wszystkiego w żart? Czuła się splamiona i wyczerpana, przez całe lato trwonila swoje zasoby moralne na tanie konwersacyjne efekciarstwo. Trochę ją wypaczyły te płytkie i gnuśne angielskie maniery, ta skłonność do profilaktycznej ironii, ten ogromny strach przed byciem nudnym, wreszcie nuda wybiegów, które na okrągło stosowali, by z trudem tego uniknąć.

Przede wszystkim jednak męczył ją ambiwalentny stosunek Victora do tych wartości. Nie wiedziała już, czy jest on podwójnym agentem, poważnym pisarzem udającym przed wyższą socjetą – której Melrose'owie byli zresztą nieco podupadłym przykładem – szczery podziw dla jej leniwej pustoty. A może potrójnym agentem, udającym przed nią, że wcale go nie przekupili biletem wstępu na peryferie swojego świata.

Anne z przekorą wzięła ze stosiku *Pożegnanie z Berlinem* i ruszyła w stronę łazienki.

Słońce wcześniej zniknęło za dachem wysokiego, wąskiego domu. Siedzący przy stoliku pod platanem Victor z powrotem włożył sweter. Czuł się bezpieczny w tym obszernym swetrze, słysząc z daleka odgłos napuszczanej do wanny wody. Zapisał swoim pajęczym charakterem zdanie, a po nim kolejne.

Jeśli David wziął sobie najważniejszy obraz w domu, to Eleanor przynajmniej zajęła największą sypialnię. Znajdowała się ona na końcu korytarza, a okna przez cały dzień były zasłonięte, aby chronić licznie tam zgromadzone włoskie rysunki przed niszczącym wpływem słońca.

Patrick zawahał się w progu, czekając, aż matka go zauważy. Półmrok sprawiał, że sypialnia wydawała się jeszcze większa, zwłaszcza gdy wiatr poruszył zasłonami i migotliwe światło kładło cienie na długich ścianach. Eleanor siedziała przy biurku, plecami do Patricka, i wypisywała czek dla Save the Children, swojej ulubionej organizacji dobroczynnej. Nie słyszała, jak wszedł; zdała sobie sprawę z jego obecności, dopiero gdy zatrzymał się obok niej.

– Cześć, skarbie – powiedziała z rozpaczliwą czułością, głosem jak przez telefon z drugiego końca kraju. – Co dzisiaj robiłeś?

– Nic – odparł Patrick, wpatrując się w podłogę.

– Byłeś na spacerze z tatą? – zapytała odważnie. Czuła, że zadaje niewłaściwe pytania, lecz bardziej niż odpowiedzi Patricka obawiała się jego milczenia.

Patrick zaprzeczył ruchem głowy. Za oknem wiatr zakołysał gałęzią, cień liści zadrżał nad karniszem. Zasłony wyduły się lekko, a potem wkleśły jak pokonane płuca. Gdzieś w korytarzu trzasnęły drzwi. Patrick spojrzał na bałagan na biurku matki. Piętrzyły się na nim listy, koperty, spinacze, gumki recepturki, ołówki oraz mnóstwo książeczek czekowych w różnych kolorach. Obok pełnej popielniczki stał pusty kieliszek po szampanie.

– Mam zanieść kieliszek na dół? – zapytał.

– Jaki z ciebie dobry chłopiec – wyrzuciła z siebie Eleanor. – Możesz go zanieść Yvette. To bardzo miło z twojej strony.

Patrick skinął poważnie głową i sięgnął po kieliszek. Eleanor była zachwycona, że ma tak udanego syna. Może ludzie przychodzą na świat tacy, a nie inni, i wystarczy tylko zanadto się nie wtrącać.

– Dziękuję, skarbie – powiedziała matowym głosem, zastanawiając się, co powinna była zrobić, i patrząc, jak syn wychodzi z pokoju z prawą dłonią zaciśniętą na nóżce kieliszka.

Schodząc po schodach, Patrick usłyszał, że na końcu korytarza ojciec rozmawia z Nicholasem. Przestraszył się nagle, że spadnie, i zaczął schodzić tak, jak to robił, kiedy był mały, zstępując ostrożnie jedną nogą i dopiero wtedy opuszczając drugą na ten sam stopień. Musiał się pośpieszyć, jeżeli nie chciał, żeby ojciec go zobaczył, ale bał się upadku. Z korytarza dobiegł głos ojca:

– Zaproponujemy mu to przy kolacji, na pewno się zgodzi.

Patrick zamarł na schodach. Rozmawiali o nim. Zmuszą go, żeby się na coś

zgodził. Z całej siły ściskając nóżkę kieliszka w rękę, poczuł falę wstydu i trwogi. Spojrzał na wiszący nad schodami obraz i wyobraził sobie, że jego rama mknie w powietrzu i wbija się ostrym rogiem w pierś ojca; i że drugi obraz odlatuje w głąb korytarza i obcina głowę Nicholasowi.

– Widzimy się na dole za dwie godziny – odezwał się Nicholas.

– Tak jest – odparł ojciec.

Usłyszawszy, jak Nicholas zamyka drzwi, Patrick nasłuchiwał kroków ojca. Pójdzie do swojego pokoju czy zejdzie na dół? Chciał się ruszyć z miejsca, lecz znów nie był w stanie. Gdy na górze zrobiło się cicho, wstrzymał oddech.

W korytarzu David nie mógł się zdecydować, czy woli zajrzeć do Eleanor, na którą z zasady był zawsze wściekły, czy wziąć kąpiel. Opium, które stępiło ustawiczny ból ciała, teraz osłabiło jego zapał do urągania żonie. Po kilku chwilach wahania zawrócił do pokoju.

Patrick wiedział, że nie widać go ze szczytu schodów, lecz mimo to, kiedy na górze ucichły odgłosy kroków, odpychał widmo ojca siłą woli jak miotaczem ognia. Jeszcze długo po tym, jak David zniknął w sypialni, Patrick stał z duszą na ramieniu. Gdy wreszcie rozluźnił chwyt, podstawa i połowa nóżki kieliszka wysunęły mu się spomiędzy palców i rozbiły na schodach. Nie rozumiał, jak to możliwe, że kieliszek pękł mu w dłoni. Przekładając to, co zostało, do drugiej ręki, zauważył niewielkie skaleczenie. Dopiero widząc krew, pojął, co się stało, i dopiero teraz, wiedząc, że to musi boleć, poczuł w dłoni ostre pieczenie.

Bardzo się bał, że zostanie ukarany za stłuczenie kieliszka. Rozleciał mu się w dłoni, ale nikt w to nie uwierzy, powiedzą, że go upuścił. Stąpając ostrożnie wśród okruchów szkła, zszedł ze schodów, nie wiedział jednak, co zrobić z połową kieliszka, którą wciąż trzymał w rękę, więc wspiał się z powrotem na trzy stopnie i postanowił skoczyć. Rzucił się mocno do przodu i przewrócił przy lądowaniu, wypuszczając resztę kieliszka, tak że rozprysła się o ścianę. Leżał rozciągnięty i oszołomiony na ziemi.

Słyszając krzyki Patricka, Yvette odłożyła chochlę, prędko wytarła ręce w fartuch i pobiegła do holu.

– *Ooh-la-la* – powiedziała z przyganą – *tu vas te casser la figure un de ces jours*. – Niepokoila ją bezradność Patricka, lecz zbliżając się, spytała łagodniej: – *Où est-ce que ça te fait mal, pauvre petit?*

Patrick wciąż był w lekkim szoku po tym, jak na moment stracił dech, i wskazał palcem klatkę piersiową, która najmocniej odczuła upadek. Yvette podniosła go, mamrocząc: „*Allez, c'est pas grave*”, i pocałowała w policzek. Dalej płakał, ale już mniej rozpaczliwie. Pot, złote zęby i czosnek, to wszystko mieszało się z przyjemnością bycia przytulanym, lecz kiedy Yvette zaczęła masować mu plecy, wyrwał się z jej objęć.

Eleanor pomyślała przy biurku: „Boże, spadł ze schodów i skaleczył się



kieliszkiem, który mu dałam. To znów moja wina”. Krzyk Patricka przygwoździł ją do krzesła jak oszczep, gdy rozmyślała o swoim strasznym położeniu.

Wciąż przepełniona poczuciem winy i strachem przed szykanami Davida, zebrała się na odwagę i wyszła z pokoju. U podnóża schodów zastała Patricka z siedzącą przy nim Yvette.

– *Rien de cassé, madame* – zapewniła ją służąca. – *Il a eu peur en tombant, c'est tout.*

– *Merci, Yvette* – odparła Eleanor.

To nierozsądne tyle pić, pomyślała Yvette, idąc po szufelkę i zmiotkę.

Eleanor usiadła obok Patricka, lecz nadziała się na szkło.

– Auć! – zawołała, wstając, by otrzepać tył sukienki. – Mamusia usiadła na kawałku szkła – wyjaśniła. Patrick spojrział na nią ponuro. – Ale to nic takiego, opowiedz mi o tym okropnym upadku.

– Skoczyłem z bardzo wysoka.

– Z kieliszkiem w rękę, skarbie? To mogło być bardzo niebezpieczne.

– To było niebezpieczne – odparł ze złością.

– Och, na pewno. – Eleanor w zakłopotaniu wyciągnęła rękę i odgarnęła mu jasnobrązową grzywkę z czoła. – Mam pomysł – oznajmiła, dumna z siebie, że nie zapomniała – możemy jutro pojechać do wesołego miasteczka, do Le Wild Owest, co ty na to? Byłam tam dzisiaj z Anne zobaczyć, czy ci się spodoba, i było mnóstwo kowbojów, Indian i karuzeli. Pojedziemy jutro?

– Nie chcę być tutaj – odrzekł Patrick.

W swoim klasztornym apartamencie David przeszedł prędko do łazienki i odkręcił do oporu oba kurki w wannie, aż huk wody zagłuszył niemiłe krzyki jego syna. Wsypując sole kąpielowe, które trzymał w porcelanowej muszli, pomyślał, że to straszne, że nie mają w tym roku niani, która pilnowałaby, żeby wieczorami był spokój. Eleanor nie miała zielonego pojęcia o wychowywaniu dziecka.

Po śmierci niani Patricka przez dom w Londynie przewinęła się ponura procesja młodych cudzoziemek. Tęskniące za domem wandalki po paru miesiącach odjeżdżały ze łzami w oczach, czasem z brzuchem, nie mówiąc wcale płynniej po angielsku, którego przyjechały się nauczyć. Ostatecznie Patricka najczęściej powierzano opiece Carmen, posępnej hiszpańskiej służącej, która dla świętego spokoju niczego mu nie odmawiała. Mieszkała w piwnicy, jej żylaki protestowały, gdy sporadycznie wspinała się z mozołem do pokoju dziecinnego na czwartym piętrze. W zasadzie należało się cieszyć, że ta smętna chłopka miała tak ograniczony wpływ na Patricka. Mimo to David wolałby nie spotykać go wieczór w wieczór na schodach, gdzie czekał na Eleanor, wydostawszy się za drewnianą bramkę.

Tak często wracali późno z Annabel's, że któregoś razu Patrick zapytał z troską w głosie: „Kto to jest Annabel's?”. David pamiętał, że wszyscy się wtedy

roześmiali, a Bunny Warren powiedział z właściwą sobie pozbawioną taktu prostotą, której zawdzięczał niemal powszechne uwielbienie: „To taka urocza mała dziewczynka, którą twoi rodzice uwielbiają”. Nicholas nie przepuścił okazji do żartu: „Wydaje mi się, że mamy tu do czynienia z typowo zaskoczono o rodzeństwo”.

Gdy David, wracając do domu późnym wieczorem, zastał Patricka siedzącego na schodach, odsyłał go do pokoju, lecz później, leżąc w łóżku, nieraz słyszał skrzypienie podłogowych desek. Wiedział, że Patrick zakrada się do sypialni matki, by wyłudzić trochę ciepła od jej otępiałych pleców, gdy leżała nieprzytomna, z podkulonymi nogami, na skraju materaca. Rano wyglądali jak uchodźcy w eleganckiej poczekalni.

David zakręcił kurki i stwierdził, że krzyki ustały. Krzyków trwających krócej niż napuszczanie kąpieli nie sposób było traktować poważnie. Sprawdzał stopą temperaturę wody. Była zdecydowanie za gorąca, lecz mimo to zanurzył w niej całą gołą. Każdy nerw w jego ciele domagał się, żeby wyjął nogę z ukropu, lecz David sięgnął do swoich głębokich pokładów pogardy i trzymał ją pod wodą, by dowieść panowania nad bólem.

Stał okrakiem nad wanną, jedna noga piekła żywym ogniem, druga była chłodna na korkowej podłodze. Bez trudu rozbudził w sobie na nowo furję, którą poczuł przed godziną na widok Bridget klęczącej pod figowcem. Nicholas musiał tej głupiej suce opowiedzieć o figach.

Ach, szczęśliwe dni, westchnął, gdzie one się podziały? Dni, kiedy jego dziś obmierzała, a wtedy jeszcze uległa i gorliwa żona pasła się potulnie wśród gnijących fig.

David przełożył drugą nogę nad krawędzią wanny i wsadził ją do wody w nadziei, że pobudzony dodatkowym bólem umysł wpadnie na pomysł, jak zemścić się na Nicholasie przy kolacji.

Nicholas napadł na Bridget, gdy tylko usłyszał, że David zamknął za sobą drzwi do pokoju.

– Musiałaś to zrobić, do cholery? David na pewno cię widział.

– Co widział?

– Ciebie, jak klęczysz na czworakach.

– Nie musiałam – odparła sennie z łóżka. – Zrobiłam to, bo myślałam, że cię to podnieci. Za pierwszym razem, jak mi opowiadałeś tę historię, byłeś podniecony.

– Nie wygłupiaj się. – Nicholas podparł się gniewnie pod boki. – I te twoje zachwyty: „Jak wy tu wspaniale żyjecie” – przedrzeźniał ją. – „Jaki cudowny widok”. Wyszłaś na jeszcze głupszą prostaczkę, niż jesteś.

Bridget wciąż nie potrafiła traktować jego grubiaństwa poważnie.

– Jeżeli zamierzasz być okropny – powiedziała – ucieknę z Barrym.

– Właśnie, kolejna rzecz – fuknął Nicholas, zdejmując jedwabną marynarkę. Pod pachami na koszuli ciemniały okrągłe plamy potu. – Co ty sobie myślałaś – o ile „myślałaś” to właściwe słowo – kiedy dawałaś temu ćwokowi numer Melrose’ów?

– Powiedziałam, że musimy się zdzwonić, a wtedy on poprosił o numer, pod którym będzie można mnie złapać.

– Mogłaś przecież skłamać – sarknął Nicholas. – Istnieje coś takiego jak nieszczerłość. – Chodził tam i z powrotem, kręcąc głową. – Coś takiego jak niedotrzymanie słowa.

Bridget stoczyła się z łóżka i przeszła przez środek pokoju.

– Pierdol się – rzuciła, po czym zatrasnęła drzwi łazienki i zamknęła je na klucz. Usiadła na skraju wanny i przypominała sobie, że zostawiła w pokoju swój egzemplarz „Tatlera” i, co gorsza, zestaw do makijażu.

– Otwieraj, głupia suko – warknął Nicholas, szarpiąc gałką w drzwiach.

– Pierdol się – powtórzyła. Przynajmniej na dłuższy czas uniemożliwi Nicholasowi korzystanie z łazienki, nawet jeśli z rozrywek pozostała jej tylko kąpiel w pianie.

Czekając, aż Bridget wyjdzie z łazienki, Nicholas rozpakował się i zappełnił swoimi koszulami najwygodniejsze półki. W szafie jego garnitury zajmowały sporo więcej niż połowę miejsca. Biografia F.E. Smitha, którą tego lata zabierał już do kilku domów, znowu trafiła na stolik po prawej stronie łóżka. Gdy wreszcie odzyskał dostęp do łazienki, rozłożył swoje przybory wokół umywalki w tej samej kolejności co zawsze, zaczynając od pędzla z włosia borsuka, a kończąc na różanym płynie do płukania ust.

Bridget nie miała zamiaru rozpakować się jak należy. Wyciągnęła delikatną sukienkę z kreszowanego weluru na wieczór i rzuciła ją na łóżko, zostawiając walizkę na środku podłogi. Nicholas kopnął walizkę, żeby się lepiej poczuć, ale trzymał język na wodzy, świadom, że jeśli znów będzie niemiły dla Bridget, może mu ona narobić kłopotów przy kolacji.

W milczeniu włożył ciemnoniebieski jedwabny garnitur i starą bladożółtą koszulę, najbardziej konwencjonalną, jaką udało mu się znaleźć w Mr Fishu. Był teraz gotowy do zejścia na dół. Jego włosy pachniały delikatnie czymś, co skomponowano dla niego w perfumerii Trumpera, a policzki – zupełnie prostym wyciągiem z limonki, który wydawał mu się czysty i męski.

Bridget siedziała przy toaletce i bardzo powoli nakładała sobie zbyt grubą kreskę eyelinerem.

- Musimy schodzić albo się spóźnimy – powiedział Nicholas.
- Zawsze tak mówisz, a potem się okazuje, że nikogo jeszcze nie ma.
- David jest jeszcze bardziej punktualny niż ja.
- To idź beze mnie.
- Wolałbym, żebyśmy zeszli razem – odparł Nicholas tonem trochę groźnym, a trochę znużonym.

Bridget w dalszym ciągu podziwiała się w niedoświetlonym lustrze. Nicholas usiadł na brzegu łóżka i delikatnym szarpnięciem wyciągnął mankiety, żeby odsłonić królewskie spinki. Grube i całe ze złota, z wygrawerowanymi inicjałami E.R., mogłyby uchodzić za współczesne, w istocie jednak były darem dla jego zawadiackiego dziadka, także Nicholasa Pratta, oddanego dworzanina Edwarda VII. Nie mając pomysłu, jak by tu jeszcze poprawić swój wygląd, wstał i zaczął się snuć. Odruchowo wszedł do łazienki, by po raz kolejny zerknąć na swoje odbicie w lustrze. Coraz bardziej miękko zarysowanemu podbródkowi, na którym odkładał się już tłuszcz, dobrze by zrobiła nieco głębsza opalenizna. Skropił się za uszami jeszcze odrobiną wyciągu z limonki.

– Jestem gotowa – oznajmiła Bridget.

Nicholas podszedł do toaletki, sięgnął po jej puszek z pudrem, przycisnął go sobie prędko do kości policzkowych, a potem przesunął nim wstydliwie po

grzbiecie nosa. Gdy wychodzili z pokoju, spojrzął krytycznie na Bridget, nie całkiem przekonany do czerwonej aksamitnej sukienki, którą kiedyś pochwalił. Miała w sobie coś z atmosfery Kensington Market i tamtejszych straganów ze starociami, jej taniość była po oczach na tle innych antyków. Czerwień podkreślała jej blond włosy, a welur wydobywał szklisty błękit oczu, lecz krój tej sukienki, uszytej jakby dla średniowiecznej czarownicy, oraz ślady nieudolnych napraw w miejscach, gdzie tkanina się przetarła, nie bawiły go już tak bardzo jak za pierwszym razem, kiedy Bridget się w niej pokazała. To było na nieco artystowskim przyjęciu w Chelsea wydanym przez pewnego ambitnego Peruwiańczyka. Nicholas stał na jednym końcu sali wśród innych towarzyskich szczytów, na które gospodarz próbował się wspiąć, i wszyscy razem obrażali alpinistę, podczas gdy ten z atencją krzątał się wokół nich. Gdy nie mieli nic lepszego do roboty, pozwalali mu się przekupywać gościnnością, co nie zmieniało faktu, że jeśli kiedykolwiek spróbuje się z nimi spoufalać na przyjęciu wydanym przez ludzi naprawdę ważnych, zmiecie go lawina inwektyw.

Czasem wielkie festiwale uprzywilejowania, a czasem służalczość i zazdrość innych utwierdzały go w przekonaniu, że stoi na szczycie. Czasem to ważne zadanie spełniała uwiedziona przez niego ładna dziewczyna, a czasem pozostawało spojrzeć na swoje pyszne spinki u mankietów.

– Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu – wymamrotał z satysfakcją, lecz Bridget nie była ciekawa dlaczego.

Zgodnie z jej przewidywaniami w salonie nie zastali nikogo. Przy zaciągniętych zasłonach, oświetlony jedynie kręgami światła w kolorze uryny, które wylewało się spod ciemnożółtych abażurów, pokój wydawał się zarazem ciemny i bogaty. Jak wielu znajomych, pomyślał Nicholas.

– Ach, *Extraits de Plantes Marines* – powiedział, wciągając głośno nosem woń rozgrzanego olejku eterycznego – wiesz, że teraz jest nie do dostania?

Bridget nic nie odpowiedziała.

Nicholas podszedł do czarnej komody i wyciągnął butelkę rosyjskiej wódki ze srebrnego kubelka z lodem. Wlał zimną oleistą ciecz do małej szklaneczki.

– Sprzedawano go w zestawie z miedzianym pierścieniem, który czasem za bardzo się nagrzewał i przyskał gorącym olejkim na żarówce. Pewnego wieczoru *monsieur et madame de Quelque Chose* przebierali się do kolacji, kiedy w ich salonie wybuchła żarówka i zapalił się abażur, a od niego zajęły się zasłony. Po tym wypadku wycofano ten olejek ze sprzedaży.

Bridget nie okazała zdziwienia ani zainteresowania. Gdzieś w oddali zadzwonił cicho telefon. Eleanor tak bardzo nie lubiła dźwięku telefonu, że w całym domu znajdował się tylko jeden – na niewielkim biurku pod tylnymi schodami.

– Napijesz się czegoś? – spytał Nicholas i wychylił szklaneczkę jednym

haustem, tak jak się to według niego robiło po rosyjsku.

– Coli – odparła Bridget. Niezbyt lubiła alkohol, odlot po nim był taki prymitywny. Tak przynajmniej twierdził Barry.

Nicholas otworzył butelkę coli, a sobie nalał jeszcze wódki, tym razem do wysokiej szklanki z mnóstwem lodu.

Usłyszeli stukot szpilek o posadzkę i do salonu weszła nieśmiało Eleanor, ubrana w długą fioletową suknię.

– Telefon do ciebie – powiedziała, uśmiechając się do Bridget, której imię zdołała zapomnieć w drodze od telefonu do salonu.

– O rety, do mnie? – Bridget wstała, starannie unikając wzroku Nicholasa. Eleanor udzieliła jej wskazówek, jak trafić do telefonu, i Bridget udało się w końcu znaleźć biurko pod schodami. – Halo? – powiedziała. – Halo? – Nikt nie odpowiadał.

Gdy wróciła do salonu, Nicholas mówił:

– Pewnego wieczoru, kiedy markiz i markiza de Quelque Chose szykowali się na wielkie przyjęcie, które wyprawiali, zapalił się abażur i cały salon doszczętnie spłonął.

– Wspaniale – rzekła Eleanor, nie mając bladego pojęcia, o czym Nicholas mówi. Ocknęła się właśnie z przelotnego zaćmienia, jednej z tych chwil, kiedy nie byłaby w stanie powiedzieć, co się dzieje dookoła niej, wiedziała tylko, że miała przerwę w świadomości. – Udało się porozmawiać? – zwróciła się do Bridget.

– Nie. Dziwna sprawa, nikt się nie odezwał. Pewnie skończyły mu się pieniądze.

Telefon znów zadzwonił, tym razem głośniejszy, bo Bridget zostawiła pootwierane drzwi. Pobiegnęła ochoczo z powrotem.

– Że też komuś może się chcieć rozmawiać przez telefon – rzekła Eleanor. – Ja się boję tych rozmów.

– Młodość – pobłażliwie skwitował Nicholas.

– W młodości bałam się jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe.

Nalała sobie whisky. Była jednocześnie wyczerpana i pobudzona. Znała to uczucie lepiej niż jakiegokolwiek inne. Wróciła na swoje zwyczajowe miejsce, na niski podnózek wciśnięty w kąt bez lampy tuż obok parawanu. Kiedy była dzieckiem i parawan należał do jej matki, często kuciała pod jego rojącymi się od małych gałęzi, udając niewidzialną.

Nicholas, który nieśmiało przycupnął na brzegu krzesła Doży, znów nerwowo wstał.

– To jest ulubione miejsce Davida, prawda?

– Nie sądzę, żeby na nim usiadł, jeżeli będzie zajęte – odparła Eleanor.

– Właśnie nie jestem tego taki pewien. On bardzo lubi stawiać na swoim.

– Wiem coś na ten temat – oznajmiła beznamiętnie.

Nicholas przeniósł się na pobliską sofę i upił ze szklanki kolejny łyk wódki. Smakowała teraz roztopionym lodem, ale obracał ją w ustach, nie mając nic konkretnego do powiedzenia Eleanor. Poirytowany nieobecnością Bridget i zaniepokojony, że lada moment nadejdzie David, zerkał co chwila ku drzwiom. Ku jego rozczarowaniu pierwsi zjawili się Anne i Victor.

Anne przebrała się z prostej białej w prostą czarną sukienkę i trzymała w ręku zapalonego papierosa. Victor przewyciężył strach przed niewłaściwym strojem i wciąż miał na sobie gruby nakrapiany sweter.

– Cześć – powiedziała Anne do Eleanor i pocałowała ją z autentyczną serdecznością.

Gdy skończyły się powitania, Nicholas nie darował sobie komentarza na temat ubioru Victora:

– Mój drogi, wyglądasz, jakbyś wybierał się łowić makrele na Hebrydach.

– Tak się składa – odrzekł Victor, odwracając się i wręczając Anne kieliszek – że ostatni raz miałem go na sobie podczas rozmowy ze studentem, który potwornie się męczył ze swoim doktoratem. Jego praca nosiła tytuł: „Abelard, Nietzsche, Sade i Beckett”, co daje pewne wyobrażenie o trudnościach, w jakie się wpakował.

Czyżby? – pomyślała Eleanor.

– Zaprawdę, w dzisiejszych czasach ludzie zrobią wszystko, żeby mieć doktorat. – Victor wczuwał się już w rolę, której, tak sądził, oczekiwano od niego przy kolacji.

– A jak tobie dzisiaj szło pisanie? – spytała Eleanor. – Cały dzień myślałam o twoim niepsychologicznym podejściu do tożsamości – skłamała. – Dobrze mówię?

– Jak najbardziej – potaknął Victor. – Z kolei mnie tak bardzo utkwiała w głowie twoja uwaga, że jeśli coś jest tylko w naszych głowach, to przede wszystkim to, kim jesteśmy, że nie mogłem myśleć o niczym innym.

Eleanor się zarumieniła. Podejrzewała, że to drwiny z niej.

– Mnie się wydaje, że Eleanor ma zupełną rację – rycersko oznajmił Nicholas. – Jak można oddzielić to, kim jesteśmy, od tego, za kogo się uważamy?

– O, raczej nie można – odparł Victor – kiedy już się przyjmie taki punkt widzenia. Ale moim celem nie jest psychoanaliza, która, nawiasem mówiąc, kiedy już uzyskamy pełniejszy wgląd w działanie mózgu, wyda nam się równie staroświecka jak średniowieczna kartografia.

– Przejechać się po cudzej dyscyplinie: oto co wiecey uczeni lubią najbardziej – stwierdził Nicholas, bojąc się, że Victor będzie okropnie przynudzał podczas kolacji.

– O ile można to nazwać dyscypliną – zaśmiał się Victor. – Nieświadomość, o której można dyskutować tylko wówczas, gdy ją sobie uświadomimy, to kolejny

średniowieczny instrument badawczy, pozwalający analitykowi traktować zaprzeczenie jako dowód na coś odwrotnego. Zgodnie z tą logiką powinniśmy wieszać ludzi, którzy wypierają się mordu, i gratulować tym, którzy się do niego przyznają.

– Czyli odrzucasz istnienie czegoś takiego jak nieświadomość? – spytała Anne.

„Czyli odrzucasz istnienie czegoś takiego jak nieświadomość” – drwiąco powtórzył w duchu Nicholas ze swoim śmiesznym akcentem Amerykanki.

– Chodzi mi o to – odrzekł Victor – że jeśli kierują nami siły, których nie rozumiemy, to właściwym określeniem takiego stanu rzeczy jest niewiedza. Sprzeciwiam się mówieniu o niewiedzy jak o wewnętrznym krajobrazie i udawaniu, że to alegoryczne przedsięwzięcie, które byłbym gotów nazwać nieszkodliwym, a nawet uroczym, gdyby nie było tak wpływowe i kosztowne, ma coś wspólnego z nauką.

– Ale ludziom to pomaga – zauważyła Anne.

– No tak, *potencjał terapeutyczny* – powiedział uczenie Victor.

Stojący w drzwiach David obserwował ich od pewnego czasu, niezauważony przez nikogo poza Eleanor.

– O, cześć, Davidzie – przywitał się Victor.

– Cześć – powiedziała Anne.

– Jak zwykle miło cię widzieć, moja droga – odpowiedział jej David, po czym natychmiast odwrócił się od niej i rzekł do Victora: – Opowiedz nam coś więcej o potencjale terapeutycznym.

– Może lepiej sam opowiesz? – odparł tamten. – To ty jesteś lekarzem.

– Moja dość krótka praktyka lekarska – zaczął skromnie David – nauczyła mnie, że ludziom przez całe życie wydaje się, że niedługo umrą. Jediną pociechą dla nich jest to, że któregoś dnia okazuje się to prawdą. Tym, co stoi między nimi a tą psychiczną torturą, jest autorytet lekarza. Oto jedyny sprawdzony potencjał terapeutyczny, o jakim mi wiadomo.

Nicholas odetchnął z ulgą, że David nie zwrócił na niego uwagi, podczas gdy Anne chłodnym okiem obserwowała teatralność, z jaką ten człowiek w parę chwil zapanował nad otoczeniem. Eleanor, niczym niewolnik osaczony na bagnach przez psy gończe, pragnęła zniknąć i kulila się coraz bliżej parawanu.

David majestatycznym krokiem przeciął salon, usiadł na krześle Doży i nachylił się ku Anne.

– Powiedz mi, moja droga – rzekł, pociągając lekko za sztywny jedwab swoich ciemnoczerwonych spodni i krzyżując nogi – czy doszłaś już do siebie po tej całkiem niepotrzebnej ofierze, jaką była wycieczka na lotnisko z Eleanor?

– To nie była ofiara, tylko przyjemność – odparła niewinnie. – À propos, miałam też przyjemność wziąć ze sobą *Żywoty cesarów*. To znaczy: ja miałam



przyjemność je przeczytać, a teraz ty będziesz miał przyjemność je odzyskać.

– Tyle przyjemności jednego dnia – skwitował David, pozwalając, by żółty pantofel zawisł mu na czubku stopy.

– O tak – powiedziała Anne. – Po kokardę.

– Ja też miałem cudowny dzień – oświadczył David. – Wyczuwam w powietrzu jakąś magię.

Nicholas dostrzegł okazję, by włączyć się do rozmowy, nie prowokując Davida.

– I co sądzisz o *Żywotach cesarów*? – spytał Anne.

– Uważam, że tych dwunastu to gotowa ława przysięgłych – odparła – o ile ktoś lubi szybkie procesy. – Skierowała kciuk w podłogę.

David wydał z siebie krótkie i głośne „ha!”, będące oznaką rozbawienia.

– Musieliby się zmieniać – powiedział i także opuścił kciuk.

– O tak – zgodziła się Anne. – Wyobraźcie sobie, co by się działo, gdyby próbowali wybrać przewodniczącego.

– Za to prawo mają w jednym palcu! – David z dziecinną uciechą obracał bolące kciuki to w górę, to w dół.

Wesołe fantazjowanie przerwał im powrót Bridget. Skończywszy rozmowę z Barrym, wypaliła jeszcze jednego szybkiego jointa i teraz wszystko wokół niej jarzyło się od kolorów.

– Szałowe są te żółte pantofle – oznajmiła radośnie Davidowi.

Nicholas się skrzywił.

– Naprawdę ci się podobają? – David posłał jej życzliwe spojrzenie. – Jest mi bardzo miło.

Instynktownie wyczuł, że Bridget byłaby zakłopotana, gdyby ją zapytano, z kim rozmawiała przez telefon, lecz nie było teraz na to czasu, bo weszła Yvette i zapowiedziała kolację. To nic, pomyślał David, dopadnę ją później. Z badawczego punktu widzenia nie miało sensu zabijanie królika, zanim się ustaliło, czy jego oczy są uczulone na szampon albo czy tusz do rzęs wywołuje u niego stan zapalny skóry. Łamanie motyla kołem miało się z celem. Odpowiednim narzędziem była w tym przypadku szpilka. Pokrzepiony tymi myślami, David podniósł się z krzesła i rzekł gościnnie:

– Zjedzmy kolację.

Poruszone przeciągiem z otwieranych drzwi świece w sali jadalnej zamigotały, ożywiając wprawione w ściany dekoracyjne malowidła. Procesja wdzięcznych chłopów, którą David bardzo sobie cenił, postąpiła nieco na krętej drodze ku zamkowej bramie, by zaraz się cofnąć, gdy płomyki pochylły się w drugą stronę. Koła wozu, który ugrzązł w przydrożnym rowie, jakby zaskrzypiały, a na oślim grzbiecie przez moment przeżyły się ciemne mięśnie.

Na stole stały już dwie miski *rouille* do zupy rybnej, a na obu jego krańcach

– po jednej spotniałej zielonej butelce Blanc de Blancs.

Po drodze z salonu do jadalni Nicholas ostatni raz próbował wydobyć z towarzystwa jakiś entuzjazm dla swojej zmęczonej anegdoty. Tym razem osadził akcję w rezydencji księcia i księżnej de Quelque Chose.

– Puff! – z wybuchowym gestem krzyknął w twarz Anne. – Piętnastowieczne gobeliny stanęły w płomieniach i cały *hôtel particulier* spalił się *do gołej ziemi*. Przyjęcie trzeba było odwołać. Rozpętał się ogólnokrajowy skandal i wszystkie buteleczki z Plantes Marines wycofano ze sklepów *na całym świecie*.

– Jak gdyby nazwisko Quelque Chose nie było wystarczającym nieszczęściem – zauważyła Anne.

– Ale teraz nie można ich nigdzie dostać! – wykrzyknął Nicholas, wyczerpany swoimi wysiłkami.

– I chyba słusznie. Kto by chciał, żeby jego partykularny hotel spłonął do gołej ziemi? Ja bym nie chciała!

Goście czekali, aż Eleanor wskaże im, gdzie mają usiąść, spoglądali ku niej pytająco. Choć na pierwszy rzut oka nie było się nad czym zastanawiać – kobiety obok Davida, mężczyźni obok niej, pary wymieszane – Eleanor miała straszne przeczucie, że się pomyli i ściągnie na siebie gniew Davida. Zastygła w miejscu, nerwowo wodząc oczyma.

– Anne, czy zechcesz... nie, ty tam... nie, przepraszam.

– Dzięki Bogu jest nas tylko sześcioro – szepnął głośno David do Nicholasa.

– Może upora się z tym problemem, zanim zupa wystygnie.

Nicholas posłusznie się uśmiechnął.

Boże, nie cierpię przyjąć dla dorosłych, pomyślała Bridget, gdy Yvette wносиła dymiącą zupę.

– Powiedz mi, moja droga, jakie wrażenie zrobił na tobie cesarz Galba? – spytał David, nachylając się z galanterią ku Anne, by podkreślić swoją obojętność wobec Bridget.

Anne miała nadzieję, że rozmowa nie potoczy się w tym kierunku. Kto? – pomyślała. Odparła jednak:

– Ach, co za postać! Chociaż muszę powiedzieć, że najbardziej zaintrygował mnie Kaligula. Dlaczego twoim zdaniem miał taką obsesję na punkcie swoich sióstr?

– No wiesz – David uśmiechnął się – jak mawiają: rozpusta me gusta, lecz rodzeństwo ma pierwszeństwo.

– Ale jak to... – zastanawiała się Anne, udając zafrapowanie – jak to wyjaśnić z psychologicznego punktu widzenia? Czy to był rodzaj narcyzmu? Uwodził je, bo widział w nich siebie?

– Sądzę raczej, że to wynikało z przekonania, że tylko ktoś z rodziny mógł tyle samo wycierpieć. Jak na pewno wiesz, Tyberiusz wymordował prawie całą ich

rodzinę; Kaligula i Druzylla razem ocaleli z tego terroru. Tylko ona naprawdę go rozumiała.

Kiedy David przerwał, by napić się wina, Anne wróciła do odgrywania roli pilnej uczennicy.

– Jestem też bardzo ciekawa, dlaczego Kaligula uważał, że torturując żonę, zdoła lepiej zrozumieć swoje oddanie dla niej.

– Oficjalnym powodem było posądzenie o czary, ale najprawdopodobniej miał sceptyczny stosunek do bliskich relacji nieopartych na groźbie śmierci.

– Podobne podejrzenia, tylko na większą skalę, żywił chyba wobec ludu rzymskiego, prawda?

– Poniekąd – odparł David. Sprawiał wrażenie, jakby wiedział o pewnych rzeczach, ale nie zamierzał ich przed nikim odkrywać. A więc to są te korzyści płynące z klasycznego wykształcenia, pomyślała Anne, która nieraz słyszała, jak David i Victor o nich rozmawiali.

Victor w milczącym pośpiechu jadł zupę, podczas gdy Nicholas opowiadał mu o stypie po Jonathanie Croydenie. Eleanor odłożyła łyżkę i zapaliła papierosa; zwiększona dawka deksedryny pozbawiła ją apetytu. Bridget konsekwentnie bujała w obłokach.

– Obawiam się, że nie jestem zwolennikiem styp – rzekł Victor i na chwilę zasnuował wargi, smakując kłamstwo, które miał zaraz wypowiedzieć. – Są tylko pretekstem do urzędzenia przyjęcia.

– Cały szkopuł w tym – poprawił go David – że są pretekstem do urzędzenia kiepskiego przyjęcia. Domyślam się, że rozmawialiście o Croydenie.

– Tak – powiedział Victor. – Podobno był lepszy w mowie niż w piśmie. Wydaje się to wręcz nieuniknione.

David obnażył zęby, spodobała mu się ta złośliwość.

– Czy Nicholas wspominał, że spotkał tam waszego przyjaciela Vijaya?

– Nie – odparł Victor.

– Oj – z wyrzutem powiedział David do Anne – a ty nie chciałaś nam powiedzieć, dlaczego tak nagle wyjechał. – Anne kilkakrotnie wymigiwała się od odpowiedzi na to pytanie i David lubił jej to wypominać przy każdej okazji.

– Nie chciałam? – Anne zgodziła się grać tę komedię.

– Nie trzymał rąk przy sobie?

– Trzymał.

– Albo, co gorsze w jego przypadku, był uwodzicielski?

– Nie, skąd.

– Po prostu był sobą – zasugerował Nicholas.

– To też – przyznała Anne – ale zdecydowało co innego.

– Chęć podzielenia się wiedzą jest jak głód, czasem potęgowany ciekawością, a czasem obojętnością innych – rzekł pompatycznie Victor.

– Dobrze, dobrze – powiedziała Anne, by wybawić Victora od ciszy, która mogłaby zalec po jego słowach. – Na was, światowcach, nie robi to pewnie takiego wrażenia – zaznaczyła skromnie. – Ale kiedy zaniósłam mu do pokoju czystą koszulę, znalazłam stertę paskudnych czasopism. To nie była zwyczajna pornografia, tylko coś dużo, dużo gorszego. Oczywiście nie zamierzałam go wyrzucić z domu. To jego sprawa, co czyta, ale kiedy wrócił i naskoczył na mnie z pretensjami, że weszłam do jego pokoju, mimo że chciałam mu tylko zanieść jego głupią koszulę, nie zdzierżyłam.

– I bardzo dobrze – skomentowała cicho Eleanor.

– Co to były za czasopisma? – spytał Nicholas, odchylając się na oparcie krzesła i krzyżując nogi.

– Szkoda, że ich nie skonfiskowałam – zachichotała Bridget.

– Och, same okropieństwa – powiedziała Anne. – Przybijanie do krzyża. Różne dziwne zabawy ze zwierzętami.

– Paradne – rzekł Nicholas. – Vijay właśnie zyskał w moich oczach.

– Czyżby? – odparła Anne. – Szkoda, że nie widziałeś miny tej biednej świni.

Victor był lekko stropiony.

– Ach, zagmatwana etyka naszych związków z królestwem zwierząt – zaśmiał się.

– Zabijamy je, kiedy nam się podoba – stwierdził rzeczowo David – nie widzę tu żadnego zagmatwania.

– Etyka, drogi Davidzie, ma za swój przedmiot nie to, co robimy, ale to, co powinniśmy robić – odparł Victor.

– I dlatego jest kompletną stratą czasu, staruszkule – wtrącił wesoło Nicholas.

– Dlaczego uważasz, że amoralność czyni cię lepszym? – zapytała go Anne.

– To nie jest kwestia bycia lepszym od innych – rzekł, rozdymając przed Anne swoje przepaściste nozdrza – to się raczej bierze z pragnienia, żeby nie być nudziarzem ani filistrem.

– Nicholas jest pod każdym względem lepszy od innych – stwierdził David.

– Nawet jako nudziarz albo filister byłby z pewnością nudziarzem albo filistrem lepszego sortu.

– Dziękuję, Davidzie – powiedział Nicholas, nie rezygnując z dobrego samopoczucia.

– Tylko w języku angielskim – zwrócił uwagę Victor – można być „nudziarzem”, tak jak się jest prawnikiem albo cukiernikiem, czyli nudność staje się profesją. W innych językach mówi się tylko, że ktoś jest nudny, co jest stanem tymczasowym. Można sobie zadać pytanie, czy to świadczy o mniejszej tolerancji dla ludzi nudnych, czy może jednak o wyjątkowym nudziarstwie Anglików.

To dlatego, że jesteście bandą nudnych przyków, pomyślała Bridget.

Yvette zebrała talerze po zupie i zamknęła za sobą drzwi. Świece zamigotały i malowani chłopcy znów na moment ożyli.

– Naszym celem – rzekł David – jest *ennui*.

– Oczywiście – powiedziała Anne – to coś więcej niż tylko francuski odpowiednik starej dobrej nudy. To nuda plus pieniądze, albo nuda plus arogancja. „Wszystko mnie nudzi, a więc jestem fascynujący”. Tylko że do ludzi jakoś nie dociera, że nie da się mieć obrazu świata i jednocześnie być poza nim.

Nastała chwila ciszy, podczas której Yvette wróciła z wielkim półmiskiem pieczeni cielęcej i warzyw.

– Skarbie – zwrócił się David do Eleanor – trzeba tak doskonałej pamięci jak twoja, żeby odtworzyć kolację, którą Anne i Victor jedli u nas ostatnim razem.

– O Boże, tak mi przykro – powiedziała Eleanor. – Strasznie was przepraszam.

– Wracając do etyki i zwierząt – odezwał się Nicholas – podobno nikt w całej Anglii nie ustrzelił w zeszłym roku więcej ptaków niż Gerald Frogmore. Niezły wynik jak na kogoś, kto jeździ na wózku.

– Może drażnią go stworzenia, które poruszają się z łatwością – powiedziała Anne i natychmiast poczuła dreszczyk emocji, jaki towarzyszy uczuciu, że może nie wypadało czegoś mówić.

– Nie jesteś przeciwna polowaniom? – spytał Nicholas, jakby chciał dodać: „do tego wszystkiego”.

– Niby czemu? To przecież uprzedzenia zawistnych klas średnich. Dobrze mówię?

– Nie zamierzałem tego ujmować w ten sposób – odparł Nicholas – ale chyba nie zdołałbym tego wyrazić lepiej...

– Gardzisz ludźmi z klas średnich? – spytała.

– Nie gardzę ludźmi z klas średnich, przeciwnie, im bardziej z nich wychodzą, tym lepiej – rzekł Nicholas, poprawiając mankiet. – Wstręt czuję do ludzi w klasach średnich.

– Czy ludzie urodzeni w klasie średniej mogą być z klas średnich w twoim znaczeniu?

– O tak – zgodził się wspaniałomyślnie. – Najlepszym tego przykładem jest Victor.

Victor uśmiechem dał do zrozumienia, że dobrze się bawi.

– Kobietom jest oczywiście łatwiej – ciągnął dalej Nicholas. – Małżeństwo to dla nich dar losu, pozwala się wybić z beznadziei do szerszego świata. – Zerknął w stronę Bridget. – Mężczyzna, o ile nie jest pedziem, który tylko wysyła pocztówki do ludzi, którzy mogą szukać fagasa, musi robić swoje. Być czarującym i wiedzieć, co w trawie piszczy – dodał, posyłając Victorowi krzepiący uśmiech.

– Nicholas, rzecz jasna, jest ekspertem – wtrącił David. – Osobiście

wyciągnął z rynsztoka kilka kobiet.

– I to niemałym kosztem – potwierdził Nicholas.

– Choć zgodzisz się na pewno, że drożej kosztowało cię to, że sam do niego wpadłeś – rzekł David, nawiązując do jego politycznej kompromitacji. – W każdym razie można odnieść wrażenie, że w rynsztoku czujesz się jak ryba w wodzie.

– Ło, szefie – odpowiedział Nicholas akcentem londyńskiego robotnika. – Jak się kto wytaplał w takim szambie jak ja, to mu i rynsztok pachnie fiołkami.

Eleanor wciąż nie była w stanie pojąć, dlaczego wytworne angielskie maniery w tak dużym stopniu opierają się na jawnej impertynencji i gladiatorских zapasach. Wiedziała, że David pozwala sobie na więcej, niż wypada, lecz wiedziała także, iż wszelki protest przeciwko tym grubiaństwom byłby przejawem „nudziarstwa”. Gdy David wytykał komuś jego słabości i niepowodzenia, była rozdarta: chęć ratowania ofiary, której uczucia podzielała, walczyła w niej z równie silnym pragnieniem, by nie oskarżono jej o psucie zabawy. Im dłużej roztrząsała ten dylemat, tym głębiej się w nim zapadała. Nigdy nie wiedziała, co powiedzieć, bo cokolwiek by powiedziała, byłoby źle.

Pomyślała o swoim ojczymie, powarkującym na jej matkę wśród angielskich sreber, francuskich mebli oraz chińskich waz, które pomagały mu się powstrzymać od przemocy fizycznej. Ten karzełkowaty impotent i francuski książę przeżył całe życie w przekonaniu, że cywilizacja umarła w roku 1789. Zarazem jednak nie miał nic przeciwko dziesięcioprocentowym rabatom, jakich handlarze udzielali jego żonie na zakup przedrewolucyjnych antyków. Zmusił Mary do sprzedania odziedziczonych po matce Monetów i Bonnardów, które uważał za dzieła dekadentkie i pozbawione większego znaczenia. Mary była w jego oczach najmniej wartościowym ze wszystkich obiektów w pedantycznych muzeach, w których rezydowali, a gdy w końcu zadłębował ją na śmierć, poczuł, że wyeliminował ze swojego życia ostatni ślad nowoczesności, wyjąwszy, rzecz jasna, ogromny dochód, jaki teraz czerpał ze sprzedaży produkowanych w Ohio środków do prania chemicznego.

Eleanor obserwowała nękanie matki z takim samym żywym milczeniem, jakiego doświadczała dziś w obliczu własnej powolnej dezintegracji. Choć nie była osobą okrutną, pamiętała, że nie mogła powstrzymać śmiechu, kiedy jej ojczym, wtedy cierpiący już na chorobę Parkinsona, rozrzucił po drodze z talerza do ust cały groszek, który sobie nałożył na widelec. Nigdy mu jednak nie powiedziała, jak bardzo go nienawidzi. Milczała wtedy i milczała teraz.

– Spójrzcie na Eleanor – rzekł David. – Tę minę robi zawsze, kiedy myśli o swojej drogiej bogatej nieboszczce matce. Zgadłem, prawda, skarbie? – spytał przymilnie. – Prawda?

– Tak, zgadłeś – przyznała.

– Matka i ciotka Eleanor – zaczął David tonem człowieka, który czyta łatwowiernemu dziecku *Czerwonego Kapturka* – wpadły na pomysł, że kupią żywe antyki. Zjedzonych przez mole nosicielei starodawnych tytułów wypchały grubymi zwitkami dolarów, lecz – zakończył śpiewnym banałem, spod którego wyzierał dowcipny zamysł – ludzi nie można traktować jak rzeczy.

– Absolutnie – powiedziała Bridget, sama zdziwiona, że się odezwała.

– Zgadzasz się ze mną? – spytał David z nagłym zaciekawieniem.

– Absolutnie. – Bridget najwyraźniej odzyskała tylko bardzo niewielką część mowy.

– Może te żywe antyki chciały, żeby je kupiono – wtrąciła Anne.

– Nikt temu nie przeczy – odparł David. – Jestem pewien, że czekały z nosem rozplaszczonym o szybę. Zdumiewa natomiast fakt, że kiedy je uratowano, miały czelność stanąć dęba na swoich smukłych ludwikowskich nogach i zacząć wydawać rozkazy. O niewdzięczności!

– Panie – zawołał grubym głosem Nicholas – zgrabne nóżki, panie, brałbym w ciemno!

Victor współczuł Eleanor, że musi tego słuchać. W końcu to ona fundowała kolację.

Bridget nie wiedziała, co myśleć o Davidzie. Zgadzała się całym sercem z jego stwierdzeniem, że ludzie nie są rzeczami. Kiedyś na kwasie doznała olśnienia: świat jest, jaki jest, bo ludzie traktują się nawzajem jak rzeczy. To była tak wielka myśl, że trudno ją było uchwycić, ale wtedy poczuła to bardzo mocno, a teraz miała wrażenie, że David próbuje powiedzieć to samo. Poza tym imponował jej, bo był jedyną osobą, której Nicholas się bał. Choć z drugiej strony rozumiała, dlaczego Nicholas się go boi.

Anne miała dość. Nuda mieszała się w niej z buntem, jak w szkole średniej. Nie mogła ścierpieć nastroju Davida, tego, jak pastwił się nad Eleanor, dokuczał Nicholasowi, zamykał usta Bridget, a nawet poniżał Victora.

– Przepraszam – mruknęła w stronę Eleanor – zaraz wrócę.

W ciemnym holu wyjęła z torebki papierosa i go zapaliła. Płomień zapalki odbił się w licznych zwierciadłach i przez moment jego blaskiem rozblysnął kawałek szkła u podnóża schodów. Schylając się, żeby podnieść szkło czubkiem palca, poczuła na sobie czyjś wzrok. Spojrzała do góry i zobaczyła Patricka; siedział na szerszym stopniu na zakręcie schodów. Miał na sobie flanelową piżamę w niebieskie słonie, lecz sprawiał wrażenie przygnębionego.

– Cześć, Patrick. Co masz taką ponurą minę? Nie możesz zasnąć?

Nie odpowiedział ani się nie poruszył.

– Muszę posprzątać to szkło – rzekła Anne. – Coś tu się chyba zbiło?

– To ja zbiłem.

– Poczekaj tu chwilę – powiedziała.

Kłamie, pomyślał Patrick, nie wróci.

W holu nie było kosza na śmieci, więc strzepnęła szkło z palca do porcelanowego stojaka na parasole, w którym jeżyła się kolekcja egzotycznych lasek Davida.

Wróciła prędko do Patricka i usiadła stopień niżej.

– Skaleczyłeś się tym szkłem? – spytała czule, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Cofnął się i powiedział:

– Zostaw mnie.

– Chcesz, żebym poszła po twoją mamę?

– Dobrze.

– To już po nią idę.

Kiedy weszła do sali jadalnej, Nicholas mówił do Victora:

– David i ja mieliśmy cię zapytać przed kolacją, czy John Locke naprawdę powiedział, że człowiek, który nie pamięta swoich zbrodni, nie powinien być za nie karany.

– Owszem – potwierdził Victor. – Utrzymywał, że tożsamość osobowa opiera się na ciągłości pamięci. W przypadku zbrodni zapomnianej ukarano by niewłaściwą osobę.

– Podoba mi się to – oznajmił Nicholas.

Anne nachyliła się ku Eleanor i powiedziała cicho:

– Chyba powinnaś pójść do Patricka. Siedzi na schodach, prosił, żebym cię zawołała.

– Dziękuję – szepnęła Eleanor.

– A może powinno być odwrotnie – rzekł David. – Jeżeli człowiek pamięta swoje zbrodnie, można przypuszczać, że ukarze się sam. Prawo powinno karać tych, którzy beztrudno zapominają.

– Jesteście za karą śmierci? – zaszczębiotała Bridget.

– Nie, odkąd przestała być wykonywana publicznie – odparł David. – W osiemnastym wieku wieszanie było świetną okazją do całodniowej wycieczki.

– Wszyscy się dobrze bawili, nawet wieszany – dodał Nicholas.

– Doskonała rozrywka dla całej rodziny – ciągnął David. – Czy nie tak się teraz mówi? Bóg mi świadkiem, że właśnie taki zawsze jest mój cel, ale wycieczka do Tyburn raz na jakiś czas wiele by ułatwiła.

Nicholas parsknął śmiechem. Bridget zastanawiała się, co to jest Tyburn. Eleanor uśmiechnęła się niemrawo i odsunęła krzesło.

– Skarbie, nie opuszczasz nas, mam nadzieję – powiedział David.

– Muszę... Zaraz wracam – wymamrotała.

– Poczekaj, nie dosłyszałem. Musisz zaraz wracać?

– Muszę coś zrobić.

– No to pędź i wracaj prędko – rzekł szarmancko. – Bo kto nas będzie



zabawiał rozmową?

Gdy Eleanor podchodziła do drzwi, otworzyła je Yvette, niosąca srebrny dzbanek z herbatą.

– Spotkałam na schodach Patricka – wyjaśniła Anne. – Był jakiś smutny.

Wzrok Davida dogonił Eleanor, która właśnie minęła się z Yvette.

– Skarbie – powiedział, po czym dodał bardziej stanowczo: – Eleanor.

Odwróciła się, zaciskając zęby na paznokciu, szukając dla nich dobrego zaczepienia. Gdy nie paliła, często szarpała swoje zniekształcone paznokcie.

– Tak?

– Myślałem, że się umówiliśmy, że nie będziesz biec do Patricka za każdym razem, kiedy się mazgai.

– Ale on się dzisiaj przewrócił. Może coś sobie zrobił.

– W takim razie – odparł David z nagłą powagą – może potrzebować lekarza.

Oparł dłonie na blacie, jakby zamierzał wstać.

– Nie, nic mu nie jest – odezwała się Anne, by go zatrzymać. Miała silne poczucie, że zawiedzie zaufanie Patricka, jeśli zamiast matki pośle do niego ojca. – Chce się tylko przytulić.

– Widzisz, skarbie – powiedział David – nic mu nie jest, a więc to kwestia czysto uczuciowa: czy należy ulegać dziecku, które rozczuła się nad sobą, czy też nie? Czy należy pozwolić się szantażować, czy nie? Chodź, usiądź z nami – przynajmniej o tym porozmawiajmy.

Eleanor z ociąganiem wróciła na swoje miejsce. Wiedziała, że nie wstanie już od stołu; że David w rozmowie pokona ją, choć jej nie przekona.

– Stawiam tezę – rzekł – że edukacja powinna być czymś, o czym dziecko będzie mogło kiedyś powiedzieć: skoro to mnie nie zabiło, nic mnie nie zabije.

– To złe i chore – oznajmiła Anne – i dobrze o tym wiesz.

– Uważam oczywiście, że powinno się od dzieci wymagać jak najwięcej – włączył się Victor – ale też jestem przekonany, że jeśli mają sprostać tym wymaganiom, nie wolno ich ponad miarę unieszczęśliwiać.

– Nikt nie chce nikogo unieszczęśliwiać – powiedział Nicholas, z niedowierzaniem wydymając policzki. – Twierdzimy tylko, że rozpieszczanie do niczego dobrego nie prowadzi. Może jestem strasznym reakcjonistą, ale uważam, że dziecku należy tylko zapewnić porządną niańkę i wysłać je na studia do Eton.

– Ale kogo wysłać, niańki? – spytała, chichocząc, Bridget. – Poza tym co, jeśli ma się córkę?

Nicholas skarcił ją wzrokiem.

– Może jesteś strasznym reakcjonistą – skomentowała Anne.

– Wiem, że w dzisiejszych czasach to niepopularny pogląd – mówił dalej niezrażony Nicholas – ale według mnie nic, co nam się przytrafia w dzieciństwie,

nie ma większego znaczenia.

– Skoro już mowa o rzeczach, które nie mają większego znaczenia – odparła Anne – musisz wiedzieć, że jesteś pierwszy na mojej liście.

– Och – rzekł Nicholas, wcielając się tym razem w komentatora sportowego – ależ teraz Amerykanka uderzyła bekhendem, ale sędzia liniowy wywołał aut.

– Z tego, co mi opowiadałeś – odezwała się Bridget, wciąż rozweselona myślą o wyfraczonych nianiach – w twoim dzieciństwie faktycznie nic ważnego się nie działo; robiłeś po prostu to, czego wszyscy od ciebie oczekiwali. – Poczula lekki nacisk na prawe udo i obejrzała się w stronę Davida, który jednak zdawał się spoglądać przed siebie i układał twarz w sceptyczny wyraz. Nacisk ustał. Po jej drugiej stronie Victor z pośpieszną precyzją obierał nektarynkę.

– To prawda – odparł Nicholas, wyraźnie siląc się na spokój – że moje dzieciństwo było monotonne. Ludzie nigdy nie wspominają szczęścia z taką starannością, z jaką przechowują w pamięci każdy szczegół swojego cierpienia. Pamiętam, że ocierałem się policzkiem o aksamitny kołnierz płaszcza. Że prosiłem dziadka, żeby dał mi kilka pensów, żebym mógł je wrzucić do złotego basenu w Ritzu. Pamiętam wielkie trawniki. Wiaderka i łopatki. Tego typu rzeczy.

Bridget nie mogła się skoncentrować na jego słowach. Czowała na kolanie chłód metalu. Opuściwszy wzrok, zobaczyła, że David unosi brzeg jej sukienki srebrnym nożykiem i przesuwając nim wzdłuż uda. Co on sobie, kurwa, wyobraża? Rzuciła mu rozgniewane spojrzenie. Lecz on tylko przycisnął czubek ostrza odrobinę mocniej i nadal patrzył przed siebie.

Victor wytarł opuszki palców serwetką, odpowiadając na pytanie, które Bridget przegapiła. Mówił lekko znudzonym głosem, co wcale jej nie zdziwiło, kiedy usłyszała, co ma do powiedzenia.

– Naturalnie w przypadku dostatecznego osłabienia związków psychicznych i psychicznej ciągłości uprawnione byłoby stwierdzenie, że człowiek powinien spoglądać na swoje dzieciństwo co najwyżej z pobłażliwym zaciekawieniem.

Bridget mignęły w pamięci kretyńskie sztuczki karciane ojca i okropne kwiciaste suknie matki, lecz tym, co poczuła, nie było pobłażliwe zaciekawienie.

– Poczęstujesz się? – spytał David, podnosząc figę z miski pośrodku stołu. – O tej porze roku są najsmaczniejsze.

– Nie, dziękuję – odparła.

David pewnie chwycił figę w dwa palce i podsunął ją Bridget do ust.

– Śmiało – powiedział – wiem, jak bardzo je lubisz.

Bridget posłusznie rozchyliła wargi i wzięła owoc w zęby. Oblał ją rumieniec, bo przy stole zapadła cisza i czuła, że wszyscy się jej przyglądają. Czym prędzej wyjęła figę z ust i poprosiła Davida, żeby pożyczył jej nożyk do obierania. David, pod wrażeniem tego szybkiego i dyskretnego wybiegu, spełnił jej prośbę.

Eleanor przyglądała się temu ze znajomym uczuciem grozy. Zawsze gdy

David narzucał komuś swoją wolę, przypominały jej się wszystkie momenty, kiedy ją spotykało to samo.

Jej strach miał swoje źródło w urywkowym wspomnieniu wieczoru, kiedy został poczęty Patrick. Mimo woli stawał jej przed oczami dom w Kornwalii na wąskim cyplu, zawsze mokrym, zawsze szarym, należącym bardziej do morza niż do lądu. David przycisnął jej głowę u podstawy czaszki do rogu marmurowego stołu. Gdy mu się wyrwała, zaczął ją uderzać pięściami w zgięcia kolan, aż runęła na schody, i tam ją zgwałcił, wygiąwszy jej ramiona do tyłu. Nienawidziła go jak obcego człowieka i nienawidziła jak zdrajcy. Boże, ależ się nim brzydziła – lecz kiedy zaszła w ciążę, powiedziała, że nie odejdzie, pod warunkiem że już nigdy, przenigdy jej nie dotknie.

Bridget bez entuzjazmu żuła figę. Patrząc na nią, Anne mimowolnie pomyślała o odwiecznym pytaniu, jakie prędzej lub później zadaje sobie każda kobieta: czy mam to połknąć? Nie wiedziała, czy wyobrazić sobie Bridget jako niewolnicę w żelaznej obroży u stóp orientального oprawcy, czy jako upartą dziewczynkę zmuszaną do zjedzenia poobiedniej szarlotki, od której próbowała się wymigać. Poczula się nagle mocno oderwana od całego towarzystwa.

Nicholas wydał jej się bardziej żaloszny niż przedtem. Był jednym z tych Anglików, którzy bez przerwy mówią głupie rzeczy, żeby nie myślano, że są pompatyczni, a pompatyczne, żeby nie myślano, że są głupi. Tacy ludzie stają się parodiami samych siebie, nie odpowiedziawszy sobie nawet na pytanie, kim są. David, który uważał się za potwora z Czarnej Laguny, był jedynie wyższym gatunkiem takiego zapętlonego nieudacznika. Spojrzała na Victora, zgarbionego nad resztką nektarynki. Nie wtrącał już pół żartem, pół serio półuczonych uwag, do których zazwyczaj się poczuwał. Pamiętała, jak wcześniej tego lata powiedział: „Może i całymi dniami wątpię i powątpiewam, ale w dziedzinie plotek lubię twarde fakty”. Później były już tylko twarde fakty. Dziś był inny. Może naprawdę zatęsknił za swoją pracą.

Zgnębiony wyraz twarzy Eleanor także przestał ją poruszać. Jediną rzeczą, która nie pozwalała jej całkiem się zdystansować, była myśl o czekającym na schodach Patricku, z każdą chwilą coraz bardziej zawiedzionym, lecz nawet ona pchała ją do tej samej konkluzji: nie chciała mieć więcej do czynienia z tymi ludźmi, pora była już iść, nawet jeśli przedwczesne wyjście przyprawi Victora o zakłopotanie. Spojrzała w jego stronę, poruszyła brwiami i wskazała wzrokiem drzwi. O dziwo, zamiast się lekko zmarszczyć, dyskretnie skinął głową, jakby przyznawał rację młynkowi do pieprzu. Anne odczekała parę chwil, po czym nachyliła się ku Eleanor.

– Przykro nam, ale naprawdę będziemy musieli już wracać do siebie. To był długi dzień, ty też na pewno jesteś zmęczona.

– Tak – powiedział stanowczo Victor. – Rano muszę wcześniej wstać i ruszyć

do przodu z pisaniem.

Dźwignął się z miejsca i zaczął dziękować Eleanor i Davidowi, zanim ci zdążyli zorganizować zwyczajowe protesty.

David zresztą ledwie podniósł wzrok znad stołu. Nie przestawał wodzić paznokciem po zaklejonym końcu cygara.

– Traficie sami do wyjścia – rzekł w odpowiedzi na ich podziękowania. – Mam nadzieję, że mi wybaczycie, że was nie odprowadzę.

– Nigdy – odparła Anne poważniej, niż zamierzała.

Eleanor była pewna, że istnieje jakaś formułka, którą wszyscy stosują w takich sytuacjach, ale szukała jej na próżno. Zawsze gdy myślała, co ma powiedzieć, słowa czmychały jak złodziej, dawały nura w tłum rzeczy, których nie należało mówić. Najszybszymi uciekinierami były często te najbardziej banalne, zdania, na które zwraca się uwagę dopiero wtedy, gdy nie zostaną wypowiedziane: „Jak miło was widzieć... może zostaniecie jeszcze troszkę... ależ wspaniały pomysł”.

Drzwi jadalni Victor zamknął za sobą ostrożnie, jak człowiek, który nie chce zbudzić śpiącego wartownika. Uśmiechnął się do Anne, a ona do niego, i nagle zdali sobie sprawę, jaka to dla nich ulga opuścić dom Melrose'ów. Śmiejąc się cicho, ruszyli na palcach w kierunku holu.

– Zobaczę tylko, czy Patrick ciągle czeka – szepnęła Anne.

– Dlaczego rozmawiamy szeptem? – szepnął Victor.

– Nie wiem – odszepnęła Anne. Spojrzała w górę schodów. Nikogo tam nie było. Widocznie Patrick miał dość czekania i wrócił do łóżka. – Pewnie już śpi – powiedziała do Victora.

Wyszli frontowymi drzwiami i ruszyli w górę po szerokich schodach w stronę samochodu. Księżyc z siniakiem z cienkiej chmury stał w kręgu rozproszonego światła.

– Ale nie powiesz mi, że nie próbowałam – rzekła Anne. – Trzymałam się dzielnie, dopóki Nicholas i David nie zaczęli wyłuszczać swojego programu edukacyjnego. Gdyby jakiś ich ważny przyjaciel, dajmy na to, George, poczuł się smutny i samotny, poleciliby do Anglii, żeby *osobiście* mieszać mu martini i ładować strzelby, ale kiedy rodzony syn Davida siedzi smutny i samotny za ścianą, dopilnują, żeby nikt go nie pocieszył.

– Masz rację – powiedział Victor, otwierając drzwi do samochodu – okrucieństwu trzeba się jednak przeciwstawiać, choćby odmawiając udziału w nim.

– Pod tą koszulą z New & Lingwood – odparła – bije złote serce.

Na pewno musicie już iść? – pomyślała Eleanor. To był ten zwrot, którego szukała. Przypomniała sobie. Lepiej późno niż wcale – kolejna formułka, w tym wypadku nie do końca prawdziwa. Czasem późno oznaczało zbyt późno. Inni ludzie wiedzieli, co powiedzieć, wiedzieli, jak to powiedzieć, a jeszcze inni –

*inniejsi* ludzie – wiedzieli, co tamci chcą powiedzieć. Chryste, była pijana. Kiedy oczy zachodziły jej łzami, płomienie świec wyglądały jak reklama likieru, rozpadały się w kolce mahoniowego światła. Pijana, lecz nie dość pijana, by przycichł ten potok bełkotliwych myśli, które nie dadzą jej długo zasnąć. Może uda jej się teraz pójść do Patricka. Ta jakiej tam wymknęła się chytrze tuż po wyjściu Victora i Anne. Może ją też puszcza. Ale jeśli się nie zgodzą? Nie zniosłaby jeszcze jednej porażki, nie chciała kolejny raz uginać karku. I dlatego dalej siedziała na swoim miejscu.

– Skoro nic nie ma znaczenia, jesteś pierwszy na mojej liście – zacytował Nicholas z wesołym piskiem. – Trzeba oddać Victorowi, że jak na kogoś, kto bardzo się stara być konwencjonalny, dziewczyny wybiera sobie niezupełnie konwencjonalne.

– Niewiele jest rzeczy bardziej pociesznych od wygibasów mądrego żydowskiego snoba – stwierdził David.

– Wykazałeś się dużą tolerancją, zapraszając go do siebie – orzekł Nicholas tubalnym głosem sędziego. – Część ławy przysięgłych może uznać, że *nadmierną* tolerancją, ale nie mnie to rozstrzygać – dodał, poprawiając niewidzialną perukę. – Otwartość angielskiego społeczeństwa była zawsze jego wielką siłą: wczorajsi przedsiębiorcy i arywiści – Cecilowie, na przykład – w ciągu zaledwie trzystu, czterystu lat stają się strażnikami ładu. Nie zmienia to faktu, że każda zasada, choćby najbardziej chwalebna, może ulec wypaczeniu. To, czy otwartość i szczodrość „establishmentu”, jak go nazywa prasa, została w tym wypadku posunięta zbyt daleko, skoro wpuszczono za próg groźnego intelektualistę o mętnych semickich korzeniach, musicie ocenić sami.

David szeroko się uśmiechał. Był w zabawowym nastroju. W końcu tym, co ratowało życie od całkowitej grozy, była prawie nieskończona liczba powodów do złośliwości. Musiał się tylko pozbyć milczącej Eleanor, która wierciła się jak przewrócony żuk, wziąć butelkę brandy i zasiąść z Nicholasem do plotek. To było zbyt piękne.

– Przejdźmy do salonu – rzekł.

– Dobrze – odparł Nicholas, który wiedział, że wkradł się w łaskę Davida, i nie chciał stracić tego przywileju, okazując jakiegokolwiek zainteresowanie Eleanor. Wstał, opróżnił swój kieliszek wina i udał się w ślad za Davidem do salonu.

Eleanor zastygła w bezruchu, nie wierząc własnemu szczęściu. Została całkiem sama. Jej myśli natychmiast wybiegły ku czułemu pojednaniu z Patrickiem, lecz dalej siedziała zgarbiona nad resztkami kolacji. Kiedy otworzyły się drzwi, podskoczyła. Okazało się, że to tylko Yvette.

– *Oh, pardon, madame, je ne savais pas que vous étiez toujours là.*

– *Non, non, je vais justement partir* – przepraszającym tonem odparła Eleanor. Aby uniknąć spotkania Nicholasa i Davida, przeszła kuchnią do tylnych

schodów. Na górze przemierzyła cały korytarz, by sprawdzić, czy Patrick wciąż na nią czeka na schodach. Nie było go tam. Zamiast ulgi, że poszedł już spać, poczuła jeszcze większe wyrzuty sumienia, że nie przyszła go wtedy pocieszyć.

Delikatnie otworzyła drzwi do jego pokoju, krzywiąc się boleśnie na skrzypienie zawiasu. Patrick spał w łóżku. Nie chcąc go zbudzić, wycofała się na palcach.

Patrick nie spał. Serce mu waliło. Wiedział, że to jego matka, ale przyszła za późno. Już jej nie zawoła. Kiedy wcześniej czekał na schodach i otworzył się drzwi, został, żeby zobaczyć, czy to ona, schował się jednak, na wypadek gdyby to był ojciec. Ale to była tylko ta kobieta, która go okłamała. Wszyscy mówili do niego po imieniu, ale nie wiedzieli, kim jest. Kiedyś zagra w piłkę głowami swoich wrogów.

Za kogo on się, kurwa, uważa? Jak śmiał wsuwać jej nóż pod sukienkę? Bridget wyobraziła sobie, że dusi Davida siedzącego w swoim salonowym krześle, wpija mu się palcami w tchawicę. A potem, ku własnemu zaskoczeniu, wyobraziła sobie, że dusząc go, łąduje mu na kolanach i wyczuwa u niego potężną erekcję.

– Pfuj – powiedziała na głos – obrzydlistwo.

David przynajmniej miał w sobie jakąś moc, wprawdzie odpychającą, ale jednak. W przeciwieństwie do Nicholasa, który okazał się kompletnym fagasem, naprawdę żalonym. A reszta – sami nudziarze. Jak miała wytrzymać w tym domu choć sekundę dłużej?

Potrzebowała jointa, żeby spłynęła z niej ta złość. Otworzyła walizkę i wydobyla z czubka zapasowej pary kowbojek plastikową torebkę. W środku było trochę ciemnozielonej trawy, z której wybrała już wcześniej nasiona i łodygi, oraz paczka pomarańczowej bibułki Rizla. Usiadła przy śmiesznym gotyckim biurku wciśniętym między dwa okrągłe okna sypialni. Ozdobny papier listowy przechowywano w jego najwyższym łuku, a koperty – w mniejszych po bokach. Na opuszczonym blacie leżała czarna skórzana podkładka z arkuszem bibuły. Skręciła sobie nad nim niewielkiego jointa, po czym starannie zgarnęła to, co wyleciało, z powrotem do torebki.

Wyłączywszy światło, by stworzyć nastrój intymnej ceremonii, Bridget usiadła na zakrzywionym parapecie i zapaliła skręta. Księżyc wzniósł się ponad rzadkie chmury i rzucał głębokie cienie na taras. Z błogością wciągnęła gęsty kłęb dymu i trzymając go w płucach, patrzyła na liście figowca, połyskujące matowo, jakby wycięte ze starej cyny. Gdy powoli wydmuchiwała dym przez malutkie dziurki moskitiery, usłyszała, jak pod jej oknem otwierają się drzwi.

– Dlaczego sportowe marynarki są takie popularne? – zapytał Nicholas.

– Bo noszą je tacy okropni ludzie jak on – odpowiedział David.

Boże, pomyślała Bridget, czy oni kiedyś przestaną obrabiać dupę innym ludziom? Albo przynajmniej ludziom, których nie znała. Chyba że to był ktoś,

kogo znała? Z lekkim uczuciem wstydu i paranoi przypomniawszy sobie nagle, że jej ojciec nosi sportowe marynarki. Może to ją chcieli poniżyć. Wstrzymała oddech, zastygając w całkowitym bezruchu. Słyszała ich teraz, obaj palili cygara. Ruszyli wzdłuż tarasu, ich rozmowa, w miarę jak się oddalali, rozbrzmiewała coraz ciszej. Bridget sztachnęła się po raz kolejny; skręt prawie zgasł, ale udało jej się podsycić ogień. Sukinsyni pewnie rozmawiali o niej, a może tak myślała, bo się zjarała. No cóż, bez wątpienia *była* zjarana i tak właśnie myślała. Uśmiechnęła się. Żałowała, że nie ma się z kim powyglupiać. Zwilżyła palec i przygasiła nim bok jointa, który spalał się za szybko. Tamci wracali i znów słyszała, co mówią.

– Pozostaje mi chyba odpowiedzieć – rzekł Nicholas – słowami Croydena, których notabene nie przytoczono na stypie, a które on wygłosił przyłapany na wyjściu z cieszącego się złą sławą szaletu publicznego w Hackney. – I podnosząc głos o całą oktawę, zacytował: – „Podążam za pięknem wszędzie tam, dokąd mnie ono prowadzi, również w najbrzydsze miejsca”.

– Niegłupia maksyma – orzekł David – choć może nieco zbyt landrynkowa.

Po powrocie do domu Anne była w dobrym nastroju. Wyciągnęła się na brązowej kanapie, zrzuciła buty i zapaliła papierosa.

– Wszyscy wiedzą, że masz wspaniały umysł – rzekła do Victora – ale mnie interesuje twoje nieco mniej znane ciało.

Victor uśmiechnął się troszkę speszony i podszedł do kredensu, żeby nalać sobie whisky.

– Reputacja to nie wszystko – zauważył.

– Chodź tu – rozkazała cicho.

– Napijesz się? – spytał.

Pokręciła głową. Patrzyła, jak Victor wrzuca do szklanki parę kostek lodu.

Podszedł do kanapy i usiadł obok Anne, uśmiechając się łagodnie. Gdy się pochylała, żeby go pocałować, wyłowił ze szklanki jedną kostkę lodu i szybkim ruchem, którego się nie spodziewała, wsunął jej za dekolot.

– O rany – zawołała stłumionym głosem Anne, starając się zachować spokój na twarzy – jak cudownie chłodny i orzeźwiający. I mokry – dodała, wierząc się i wpychając lód głębiej pod czarną sukienkę.

Victor sięgnął tam ręką i wprawnie wydobył kostkę, po czym włożył ją sobie do ust, possał i wypuścił z powrotem do szklanki.

– Pomyślałem, że potrzebujesz ochłody – wyjaśnił, stanowczo kładąc dłonie na jej kolanach.

– Ojej – mruknęła Anne, naśladując południowy akcent – widzę, że masz gorącą krew, choć nie wyglądasz. – Przeniosła jedną stopę na kanapę, jednocześnie wyciągając rękę i zanurzając palce w gęstych falujących włosach Victora. Delikatnie przysunęła jego głowę ku napiętemu ścięgnu swojego uniesionego uda. Pocałował białą bawełnę jej majtek, a potem drasnął ją zębami, jakby chwycił nimi winogrono.

Nie mogąc zasnąć, Eleanor narzuciła japońską podomkę, zeszła na dół i zasyłała się w samochodzie. W białym wnętrzu buicka, z paczką papierosów Player's i butelką koniaku spod siedzenia, ogarnęła ją dziwna euforia. Pełnię szczęścia osiągnęła w chwili, kiedy włączyła Radio Monte Carlo i usłyszała jedną ze swoich ulubionych piosenek: *I Got Plenty o' Nuttin'* z *Porgy'ego i Bess*. Poruszała bezgłośnie ustami do słów „and nuttin's plenty for me”<sup>7</sup>, kiwając głową na boki, prawie w takt.

Na widok Bridget taszczącej w blasku księżyca walizkę, która objęła się jej o kolano, Eleanor pomyślała, nie po raz pierwszy, że ma zwidy. Co ta dziewczyna wyprawia? Odpowiedź była w gruncie rzeczy dość oczywista. Bridget postanowiła się wynieść. Prostota tego rozwiązania przeraziła Eleanor. Od lat snuła marzenia o sekretnym tunelu pod wartownią, a teraz ze zdumieniem patrzyła, jak ktoś



zupełnie nowy najzwyczajniej w świecie wychodzi przez otwartą bramę niczym wolny człowiek.

Bridget przełożyła walizkę z jednej ręki do drugiej. Nie była pewna, czy zmieści ją na motocyklu Barry'ego. Cały ten pomysł był mocno odjechany. Zostawiła Nicholasa w łóżku, oczywiście chrapiącego jak stary wieprz zdychający na grypę. Plan był taki, że porzuci walizkę u podnóża podjazdu, a potem przyjedzie po nią z Barrym. Kolejny raz zmieniła rękę. Podróż w nieznane traciła wiele ze swojego powabu, gdy miało się багаż.

Druga trzydzieści przy kościele w miasteczku, powiedział Barry, kiedy przed kolacją rozmawiała z nim przez telefon. Wepchnęła walizkę w kępę rozmarynu i westchnęła niecierpliwie, żeby udowodnić sobie, że czuje raczej irytację niż strach: A jeśli w miasteczku nie ma kościoła? A jeśli ktoś ukradnie jej walizkę? Właściwie jak daleko jest stąd do miasteczka? Chryste, życie było takie skomplikowane. Raz, mając dziewięć lat, uciekła z domu, ale wróciła, bo nie mogła znieść myśli, co by mówili rodzice pod jej nieobecność.

Wąska droga do miasteczka wiodła między dwiema ścianami lasu. Cienie gęstniały i po pewnym czasie żaden promień księżyca nie padał już na drogę. Lekki wiatr ożywiał konary wysokich drzew. Przejęta strachem Bridget nagle się zatrzymała. Czy Barry, jeśli się nad tym zastanowić, naprawę był taki fajny? Powiedział jej przez telefon: „Tylko przyjdź, nie bądź ceniara!”. Była wtedy tak oczarowana wizją ucieczki od Nicholasa i Melrose'ów, że zapomniała się wkurzyć; dopiero teraz uświadomiła sobie, jakie to było wkurzające.

Eleanor wahała się, czy pójść po jeszcze jedną butelkę koniaku (woziła go w samochodzie, bo ją pobudzał), czy wrócić do łóżka i napić się whisky. Tak czy inaczej trzeba było wysiąść z buicka. Kiedy sięgała do klamki, znów ujrzała Bridget. Tym razem dziewczyna gramoliła się z walizką pod górę. Eleanor była spokojna i odprężona. Uznała, że już nic jej nie zaskoczy. Może Bridget robiła to co wieczór dla kondycji. A może potrzebowała, żeby ktoś ją podwiózł. Eleanor wolała pozostać bierną obserwatorką, byle tylko Bridget jak najszybciej weszła do środka.

Bridget zdawało się, że słyszy radio, lecz po chwili dźwięk zginął w szumie liści. Nocna eskapada wyprowadziła ją z równowagi i trochę zawstydziła. Na dodatek czuła, że ręce zaraz jej odpadną. To nic, przynajmniej coś udowodniła, tak jakby. Otworzyła drzwi domu. Zapiszczały. Na szczęście mogła być pewna, że Nicholas śpi jak otumaniony słoń i żaden hałas go nie zbudzi. Tylko co, jeśli obudziła Davida? Brr. Drzwi znów pisnęły, tym razem przy zamykaniu. Skradając się korytarzem, usłyszała coś w rodzaju pojękiwania, które po chwili przeszło w skowyt bólu.

David obudził się z krzykiem przerażenia. Dlaczego, u diabła, mówiło się „to tylko sen”? Jego sny wycieńczyły i rozdzierały na kawałki. Były jak zejście na

głębszy poziom bezsenności, jakby pozwalano mu zasnąć tylko po to, by pokazać, że nie jest w stanie odpocząć. Dziś śniło mu się, że był kaleką na lotnisku w Atenach. Kończyny skręcały mu się jak pnie winorośli, chwiejna głowa opadała we wszystkie strony, kiedy brnął przed siebie, nieprzyjazne dłonie, jego własne, uderzały go po twarzy. W poczekalni na lotnisku siedzieli sami ludzie, których znał: barman z Central w Lacoste, George, Bridget, ludzie od kilkudziesięciu lat widywani przez niego na londyńskich przyjęciach, wszyscy rozmawiali albo czytali książki. A on taszczył się między rzędami krzesel, wlokąc jedną nogę za sobą, i próbował mówić: „Cześć, to ja, David Melrose, nie dajcie się zwieść temu absurdalnemu przebraniu”, lecz wydobywał z siebie tylko jęki albo rozpaczliwe piski, podrzucając im, bardzo niecelnie, reklamy prażonych orzeszków. Jedni byli wyraźnie zakłopotani, inni udawali, że go nie znają. A George powiedział do swojego sąsiada: „Absolutnie okropny jest ten człowiek”.

David włączył lampkę i zaczął szukać swojego egzemplarza *Jorrocks Rides Again*. Zastanawiał się, czy Patrick zapomni. Istniał oczywiście mechanizm represji, co prawda dość zawodny w przypadku jego własnych pragnień. Musi się *postarać* więcej tego nie robić. To by już było kuszenie losu. David uśmiechnął się na myśl o swoim zuchwalstwie.

Patrick nie obudził się ze swojego snu, nawet gdy poczuł igłę, która wbiła mu się w plecy pod łopatką i wyszła po drugiej stronie. Gruba nić zszywała mu płuca jak stary worek, aż nie mógł oddychać. Strach jak przed osami, co krążą nad głową, gwałtowne ruchy i ciosy w powietrze.

Zobaczył wilczura, który gonił go kiedyś w lesie, i znów poczuł, że biegnie przez chrzęszczące żółte liście, coraz dłuższymi susami. Gdy pies już go dopędzał, Patrick zaczął na głos dodawać liczby. W ostatniej chwili wzbił się nad ziemię i szybował coraz wyżej, aż zobaczył w dole wierzchołki drzew, podobne do wodorostów za burtą łodzi. Wiedział, że nie wolno mu zasnąć ani na moment. Na ziemi wilczur zatrzymał się w tumanie suchych liści i podniósł w zębach martwą gałąź.

**Złe wieści**

# 1

Patrick udawał że śpi, licząc, że miejsce obok niego pozostanie puste, lecz wkrótce usłyszał, że ktoś wsuwa walizkę do schowka nad jego głową. Otworzył niechętnie oczy i ujrzał wysokiego mężczyznę o krótkim zadartym nosie.

– Dzień dobry. Earl Hammer – przedstawił się tamten, wyciągając wielką piegowatą dłoń, gęsto porośniętą jasnymi włoskami. – Chyba siedzimy razem.

– Patrick Melrose – odparł mechanicznie Patrick, podając mu lepką i drżącą rękę.

Poprzedniego wieczoru zatelefonował do niego z Nowego Jorku George Watford.

– Patrick, mój drogi – powiedział dziwnym, rozwlekłym głosem, dochodzącym z lekkim opóźnieniem przez dzielący ich ocean – niestety, dzwonię ze straszną wiadomością: twój ojciec zmarł przedwczoraj w nocy w swoim pokoju hotelowym. Nie mogłem się skontaktować z tobą ani z twoją matką – zdaje się, że robi coś w Czadzie dla Save the Children – ale nie muszę ci mówić, jak się czuję. Uwielbiałem twojego ojca, jak wiesz. Tak się dziwnie złożyło, że w dniu jego śmierci byliśmy umówieni na lunch w Key Club, ale oczywiście nie przyszedł. Pamiętam, że sobie pomyślałem, że to bardzo nie w jego stylu. To musi być dla ciebie straszny szok. Wszyscy go lubili, Patricku. Powiedziałem o jego śmierci kilku członkom i służącym w klubie i *bardzo* ich to zasmuciło.

– Gdzie on teraz jest? – spytał chłodno Patrick.

– W domu pogrzebowym Frank E. MacDonald’s przy Madison Avenue, tutaj wszyscy korzystają z ich usług, podobno są znakomici.

Patrick obiecał zadzwonić, jak tylko przyleci do Nowego Jorku.

– Przykro mi, że przekazuję ci tak złe wieści – rzekł George. – Musisz być teraz bardzo silny.

– Dzięki za telefon – odparł Patrick. – Do zobaczenia jutro.

– Do widzenia, mój drogi.

Patrick odłożył strzykawkę, którą właśnie płukał, i przez chwilę siedział nieruchomo przy telefonie. Czy to były złe wieści? Może musiał być silny, żeby nie tańczyć na ulicy, nie uśmiechać się zbyt szeroko. Promienie słońca wlały się do mieszkania przez zarośnięte brudem szyby. Na zewnątrz, w Ennismore Gardens, liście platanów jarzyły się oślepiająco.

Nagle wyskoczył z fotela.

– To ci się nie uda – wymamrotał mściwie.

Rękaw koszuli obsunął się i wchłonął strużkę krwi.

– Wiesz, Paddy – rzekł Earl, mimo że nikt się tak do Patricka nie zwracał – zarobiłem w życiu mnóstwo pieniędzy i stwierdziłem, że pora zacząć korzystać z jego uroków.

Nie minęło jeszcze pół godziny lotu, a Paddy już był jego dobrym kumplem.

– To bardzo mądrze – wydusił z siebie Patrick.

– Wynająłem apartament koło plaży w Monte Carlo i dom na wzgórzach za Monako. *Przepiękny dom*. – Earl z niedowierzaniem kręcił głową. – Mam angielskiego kamerdynera: doradza mi, jaką sportową marynarkę włożyć, wyobrażasz sobie? I mam tyle wolnego czasu, że mogę czytać „Wall Street Journal” od deski do deski.

– Życie nie umierać – skwitował Patrick.

– Coś wspaniałego. Teraz czytam superciekawą książkę o megatrendach. I jeszcze chińskiego klasyka o sztuce wojennej. Interesujesz się wojną?

– Nieszczerze.

– Pewnie mam skrzywienie, bo byłem w Wietnamie – rzekł Earl zapatrzonej w horyzont za okienkiem.

– Podobają ci się?

– No ba – uśmiechnął się Earl.

– Bez żadnych zastrzeżeń?

– No więc, Paddy, jedyne moje zastrzeżenia w Wietnamie dotyczyły braku swobody w atakowaniu celów. Człowiek przelatywał nad portami, widział te wszystkie tankowce z dostawami ropy dla Wietkongu i nie mógł ich atakować. To były najbardziej frustrujące chwile w moim życiu. – Earl, człowiek, jak się zdawało, wiecznie zdumiony rzeczami, o których opowiadał, znów pokręcił głową.

Patrick obrócił się w stronę korytarza; dopadły go zniecierpliwione dźwięki melodii ojca, głośne i wyraźne niczym tłuczone szkło, lecz słuchowy omam zaraz rozplynął się w żywiołowej mowie Earla.

– Paddy, a byłeś kiedyś w klubie Tahiti w Saint-Tropez? Niesamowite miejsce! Poznałem tam kilka tancerek. – Zniżył głos o pół oktawy, nadając mu ton męskiej poufałości. – Muszę ci powiedzieć – rzekł konfidencjonalnie – że kocham dobre rżnięcie. Kocham! – wykrzyknął. – Ale zgrabne ciało to za mało, wiesz, o czym mówię? Musi być jeszcze *to coś* – popukał się znacząco w głowę. – Posuwałem te dwie tancerki: *fantastyczne* kobiety, wspaniałe ciała, samo piękno, i nie mogłem w nich skończyć. Wiesz czemu?

– Bo zabrakło tego czegoś – odgadł Patrick.

– Żebyś wiedział! Zabrakło *tego czegoś*.

Możliwe, że tego czegoś brakowało również jego związkowi z Debbie. Poprzedniego wieczoru zadzwonił do niej i powiedział o śmierci ojca.

– O Boże, to straszne – wyjąkała. – Już do ciebie jadę.

W jej głosie słychać było nerwowe napięcie, dziedziczną obawę, że powie nie to, co trzeba. Biorąc pod uwagę, jakich miała rodziców, trudno się było dziwić, że dominującym uczuciem w jej życiu było zakłopotanie. Ojciec Debbie, australijski malarz Peter Hickmann, był notorycznym nudziarzem. Kiedyś

w obecności Patricka zapowiedział swoją anegdotę słowami: „To mi przypomina o mojej najlepszej historyjce z *bouillabaisse* w roli głównej”. Pół godziny później Patrick mógł tylko dziękować losowi, że nie słucha drugiej w kolejności najlepszej historyjki Petera na ten temat.

Matka Debbie, z racji swojej neurotycznej natury podobna do zasilanego bateriami patyczaka, miała ambicje towarzyskie, których nie mogła zrealizować z Peterem u boku, opowiadającym anegdoty o *bouillabaisse*. Zawodowa organizatorka imprez, popełniała istotny błąd, stosując się do własnych wskazówek. Krucha doskonałość jej domowych przyjęć rozpadała się w proch, gdy na sterylną arenę jej salonu wkraczali żywi ludzie. Niczym alpinistka, która umiera przed atakiem na szczyt, przekazała Debbie swoje buty, a wraz z nimi przyprawiający o ciarki obowiązek wspinaczki. Patrickowi była skłonna wybaczyć brak wyraźnego celu w życiu i dziwną bladość cery, ponieważ miał sto tysięcy funtów rocznego dochodu i pochodził z rodziny, która, choć od tamtej pory nic nie robiła, brała udział w normañskim podboju Brytanii. Nie był idealny, ale w końcu miał dopiero dwadzieścia dwa lata.

Peter tymczasem dalej przerabiał życie na anegdoty i opisywał doniosłe chwile w życiu swojej córki przy szybko pustoszącym barze w Travellers Club, do którego przyjęto go w chwili słabości po czterdziestu latach twardego sprzeciwu, czego teraz inni członkowie, nękania przez niego rozmową, gorzko żalowali.

Patrick z trudem odwiódł Debbie od wizyty, po czym z oczami szczypiącymi od łez udał się na spacer po Hyde Parku. Wieczór był gorący i suchy, pełen kurzu i pyłków. Pot ściekał mu po żebrach i wystąpił na czoło. Nad jeziorkiem smużka chmury rozwiewała się w słońcu, które opadało, czerwone i spuchnięte, w siniec smogu. Na skrzęcej się wodzie podskakiwały żółte i błękitne łódki. Patrick w bezruchu patrzył, jak alejką na tyłach przystani przejeżdża rozpędzony policyjny radiowóz. Przyrzekł sobie, że nie weźmie już heroiny. To był najważniejszy moment w jego życiu, nie mógł tego zepsuć. Nie wolno mu było tego zepsuć.

Patrick zapalił tureckiego papierosa i poprosił stewardesę o jeszcze jedną szklankę brandy. Zaczynał mu się dawać we znaki brak heroiny. Cztery tabletki valium ukradzione Kay pomogły mu przetrwać śniadanie, teraz jednak czuł początki narkotykowego głodu, jakby miał w brzuchu worek z tonącymi kociętami.

Kay była Amerykanką, z którą romansował. Poprzedniego wieczoru, gdy zapragnął zanurzyć się w ciele kobiety, by poczuć, że nie jest martwy jak ojciec, wybrał Kay. Debbie była piękna (wszyscy tak mówili) i mądra (sama tak mówiła), lecz wyobraził sobie, jak podchodzi do niego sztywnym krokiem, stukocząc jak chińskie pałeczki, a on potrzebował miększych objęć.

Kay wynajmowała mieszkanie na obrzeżach Oksfordu; grała w nim na skrzypcach, trzymała koty i pracowała nad swoją rozprawą o Kafce. Ze wszystkich

osób, które znał, miała najmniej pobłażliwy stosunek do jego próżniactwa. „Jak chcesz się uwolnić od tego przekleństwa – mawiała – to musisz się sprzedać”.

W jej mieszkaniu nie podobało mu się nic. Wiedział, że to nie ona umieściła złotych cherubów na tapecie w stylu Williama Morrisa; z drugiej jednak strony nie pozbyła się ich. W ciemnym przedpokoju podeszła do niego spowita w ciężki szary jedwab, gęste brązowe włosy opadały jej na ramię. Pocałowała go powoli, podczas gdy zazdrosne koty drapały kuchenne drzwi.

Patrick wypił whisky i łyknął valium, które mu przyniosła. Kay opowiedziała mu o własnych umierających rodzicach.

– Nawet nie zdążyłeś się pogodzić z tym, jak źle się tobą opiekowali, a już musisz zacząć źle się opiekować nimi – powiedziała. – Zeszłego lata przejechałam z rodzicami przez całe Stany. Tata umierał na rozedmę płuc, a mama, kiedyś harpia, po udarze była jak dziecko. Prułam przez Utah osiemdziesiąt mil na godzinę w poszukiwaniu butli tlenu, a mama powtarzała w swoim zubożałym języku: „Ojej, źle z ojcem, ojej”.

Patrick wyobraził sobie ojca Kay zgarbionego na tylnym siedzeniu, jego szkliste, nieprzytomne spojrzenie, płuca jak podarte rybackie sieci, daremnie usiłujące chwytać powietrze. A jak umarł jego ojciec? Zapomniał spytać.

Earl, podzieliwszy się z Paddym światłą refleksją na temat „tego czegoś”, od jakiegoś czasu opowiadał o swojej „całej masie holdingów” i o miłości do rodziny. Przyznał, że „dzieciaki nie najlepiej zniosły rozwód”, lecz na koniec stwierdził z rechem: „Dywersyfikacja jest dobra nie tylko w biznesie”.

Patrick był szczęśliwy, że leci concorde’em. Nie dość, że zdąży odpocząć, zanim pójdzie obejrzeć zwłoki ojca przed kremacją, to jeszcze rozmowa z Earlem potrwa dwa razy krócej. Powinni się tak reklamować. Natychmiast rozbrzmiał mu w głowie uwodzicielski głos z offu: „Ponieważ dbamy nie tylko o twój komfort fizyczny, ale także o zdrowie psychiczne, skracamy twoje rozmowy z takimi ludźmi jak Earl Hammer”.

– Widzisz, Paddy – mówił Earl – przekazałem kilka dużych, *naprawdę* dużych dotacji Partii Republikańskiej. Mógłbym dostać dowolną ambasadę, jaka mi się zamarzy. Ale nie interesuje mnie Londyn ani Paryż, cały ten, kurwa, towarzyski młyn.

Patrick wypił brandy jednym haustem.

– Marzy mi się jakiś mały kraj w Ameryce Południowej albo Środkowej, w którym ambasador nadzoruje pracę agentów CIA.

– Agentów CIA – powtórzył Patrick.

– Tak jest. Ale mam dylemat. Cholernie trudny. – Earl znów spoważniał. – Moja córka walczy o miejsce w reprezentacji siatkarskiej i przez najbliższy rok będzie miała kilka bardzo ważnych meczów. I nie wiem, cholera: jechać na placówkę czy kibicować córce?

– Myślę, Earl – z powagą rzekł Patrick – że nie ma nic ważniejszego niż bycie dobrym ojcem.

Earl Hammer wyraźnie się wzruszył.

– Jestem ci wdzięczny za radę, Paddy. Naprawdę.

Lot zbliżał się do końca. Earl zdążył jeszcze napomknąć, że w concorde'ach zawsze spotyka ludzi „na wysokim poziomie”. Na lotnisku ruszył do wyjścia dla obywateli amerykańskich, a Patrick ustawił się w kolejce cudzoziemców.

– Do zobaczenia, przyjacielu – zawołał Earl, machając szeroko.

– Każde rozstanie – mruknął Patrick pod nosem – to mała śmierć.



– Przyleciał pan w celach służbowych czy turystycznych?

– Ani to, ani to.

– Słucham?

Kobieta, z którą rozmawiał, kształtem przypominała gruszkę, kolorem – ślimaka; miała krótkie włosy, duże okulary i ciemnoniebieski uniform.

– Przyleciałem po zwłoki ojca – wymamrotał.

– Przepraszam, ale nie dosłyszałam – oznajmiła z oficjalnym zniecierpliwieniem.

– *Przyleciałem po zwłoki ojca* – wykrzyczał powoli.

Oddała mu paszport.

– Miłego dnia.

Wściekłość, którą czuł po przejściu przez kontrolę paszportową, przyćmiła jego zwyczajowy strach przed odprawą celną (a jeśli każą mu się rozebrać? a jeśli zobaczą jego ramiona?).

A więc znów tu był, rozparty na tylnym siedzeniu taksówki, wielokrotnie naprawianym czarną taśmą maskującą, lecz mimo to podziurawionym tu i ówdzie kraterami żółtej pianki, znów był w kraju, który dążył do nieśmiertelności przez odchudzanie, podczas gdy on zmierzał tą samą drogą w przeciwnym kierunku.

Na autostradzie, w piszczącym i podskakującym samochodzie, Patrick zaczął odruchowo rejestrować wrażenia towarzyszące wjazdowi do Nowego Jorku. Kierowca, rzecz jasna, nie mówił po angielsku, a jego smętne zdjęcie potwierdzało samobójczą aurę, której można się było jedynie domyślać, patrząc na jego kark. Na sąsiednich pasach ruchu luksus jak zwykle mieszał się z nędzą. Ogromne zdezelowane auta o rozklekotanych silnikach i limuzyny z czarnymi szybami ciągnęły do miasta jak muchy do ulubionego przysmaku. Patrick zapatrzył się na wgnieciony kołpak w starym białym kombi. On tyle widział, a nic nie pamiętał; niczym błyskotliwy człowiek cierpiący na amnezję chłonał tysiące obrazów i natychmiast je wyrzucał, tocząc puste życie pod jaśniejszym i szerszym niebem.

Z transu wybiła Patricka myśl, która nie dawała mu spokoju w nocy. Była nie do zniesienia: ojciec znów z niego zakpił. Sukinsyn pozbawił go szansy na przekształcenie wieloletniego strachu i mimowolnego podziwu w pogardliwą litość dla nudnego bezzębnego starca, którym się stał. A mimo to Patrick czuł, że ciągnie go ku śmierci ojca jakiś nawyk naśladownictwa, któremu żadną siłą nie mógł się przeciwstawić. Oczywiście, śmierć zawsze była *pokusą*; teraz jednak jawiła mu się jako pokusa posłuszeństwa. Nie tylko mogła się stać zuchwałym lub dekadencckim gestem w niekończącym się wodewilu młodości, nie tylko po staremu urzekła wizją przemocy i autodestrukcji, ale jeszcze nabierała cech konformizmu, była jak wejście w rodzinny biznes. Obiecywała wszystko naraz.

Przy autostradzie kilometrami ciągnęły się groby. Patrickowi przysły na myśl ulubione wersy: „Trup, już trup, / Już trup!”<sup>8</sup>. (Czy może być coś lepszego?). „Z mego serca pozostał sam proch, / Koła fur rozjeżdżają mój grób, / I boleśnie w nim drży każda kość, / Bo w zbyt płytki rzucono je loch, / Ledwie jard pod ulicą”, coś tam, coś tam, „ogarnia mnie szal”.

Śliski, brzęczący metal mostu Williamsburskiego przywołał go do rzeczywistości, ale nie na długo. Czuł niepokój i mdliło go. Kolejny raz na głodzie w hotelu za granicą; miał to przećwiczone. Tylko że to już będzie ostatni raz. A przynajmniej *jeden* z ostatnich razów. Zaśmiał się nerwowo. Nie, nie da się skurwielom. Musi być skupiony jak miotacz ognia. Żadnego wahania!

Sęk w tym, że zawsze chciał heroiny, tak samo jak inwalida chce się wydostać z wózka wśród szalejącego pożaru. A gdy tyle się o niej myślało, właściwie równie dobrze można ją było zażywać. Prawa noga mu latała. Skrzyżował ręce na brzuchu i zacisnął kołnierz płaszcza pod szyją.

– Odpierdolicie się ode mnie – powiedział na głos.

Cudowne aleje. Kwartały światła i cienia. W głębi ulicy wszystkie światła zmieniły się na zielone. Światło i cień jak tykanie metronomu.

Był późny maj, gorąco, powinien zdjąć płaszcz, ale płaszcz chronił go przed cienkimi odłamkami szkła, które przechodnie od niechcienia wrzucali mu pod skórę, nie mówiąc o eksplodujących w zwolnionym tempie sklepowych witrynach, o przenikającym kości grzmocie podziemnych pociągów, o każdej rozdzierającej sekundzie, każdym ziarenku piasku przesypującym się przez klepsydę jego ciała. Nie, nie zdejmie płaszcza. Czy prosi się homara, żeby się rozebrał?

Podniósł wzrok i zobaczył, że jest na Szóstej Alei. Czterdziesta Druga Ulica, Czterdziesta Trzecia Ulica. Tańczenie o architekturze. Kto to powiedział? Nie mógł sobie przypomnieć. Cudze słowa przemykały mu przez głowę niczym toczone przez wiatr pustynne krzaki na początku *Przybyszów z przestrzeni kosmicznej*.

A te wszystkie postacie, które go zamieszkiwały, jakby był tanim hotelem? Gaduła O’Connor, Grubas, pani Garsington i reszta, marzący o tym, by dojsć do głosu? Nieraz czuł się jak telewizor, w którym ktoś niecierpliwie zmienia kanały. No więc oni też niech się odpierdolą. Tym razem zamierzał się rozsypać w *ciszy*.

Hotel Pierre był już niedaleko. Kraina przeskakującej iskry. Klamki i przyciski kopiące prądem ciało, które przemierzyło kilometry wykładzin i zapomniało się uziemić. To właśnie tutaj rozpoczął swoją deliryczną degrengoladę podczas ostatniego pobytu w Nowym Jorku. Z apartamentu wypełnionego nieprawdopodobną ilością wysmakowanej chińszczyzny trafił najpierw do cieszącego się złą sławą hotelu Chelsea, aż w końcu wylądował w klitce wielkości trumny na dnie zaśmieconej studni przy Ósmej Ulicy, między alejami C i D. Z tamtej perspektywy ciepło wspominał hotel, którym zaledwie parę tygodni wcześniej gardził, bo znalazł w nim szczura w lodówce.

Lecz nawet w tamtym okresie nie zdarzyło się ani razu, aby w ciągu tygodnia wydał na heroinę i kokainę mniej niż pięć tysięcy dolarów. Dziewięćdziesiąt procent narkotyków kupował dla siebie, dziesięć procent dla Nataszy, kobiety, która przez pół roku mieszkania razem pozostawała dla niego nieprzeniknioną zagadką. Jedyne, czego mógł być pewien, to że go drażniła; lecz kto go nie drażnił? Tęsknił bezustannie za nieskażoną samotnością, a kiedy ją znajdował, chciał, żeby się skończyła.

– Hotel – oznajmił kierowca.

– Kurwa, nareszcie – wymamrotał Patrick.

Portier w szarym surducie uniósł czapkę i wyciągnął rękę, a boy hotelowy wybiegł po bagaże. Jedno powitanie i dwa napiwki później spocony Patrick maszerował długim korytarzem do recepcji. Przy stolikach w Sali Owalnej kobiety jadły lunch w parach, skubały różnokolorowe sałaty, ignorując szklanki z wodą mineralną. Patrick spostrzegł swoje odbicie w dużym złożonym lustrze i stwierdził, że jak zwykle sprawia wrażenie przesadnie wystrojonego i bardzo chorego. Niepokojący był ten kontrast między jego zadbanym ubiorem a twarzą, która wyglądała, jakby mogła się lada chwila rozpaść. Bardzo długi czarny płaszcz, granatowy garnitur i wąski czarno-srebrny krawat (kupiony przez jego ojca na początku lat sześćdziesiątych) miały się nijak do płataniny brązowych włosów okalających błyszczącą trupioblada twarz. Samą twarz wykrzywił grymas dezaprobaty. Pełne wargi były ściągnięte, oczy zwęziły się w szparki, wiecznie zatkany nos zmuszał go do oddychania przez otwarte usta, co nadawało mu dość kretyński wygląd; chmurne czoło ściągało się w pionową kreskę nad nosem.

Po zameldowaniu postanowił jak najszybciej przebrnąć przez długi szpaler powitań i napiwków dzielący go od szklaneczki whisky w pokoju. Ktoś zaprowadził go do windy, ktoś zawiózł go windą na górę (to długie i pełne drętwy zawieszenie, obserwacja zmieniających się numerków, od jednego do trzydziestu dziewięciu), ktoś pokazał, jak się włącza telewizor, ktoś odłożył walizkę na półkę, ktoś pomógł znaleźć pstryczek w łazience, ktoś dał mu klucz do pokoju, wreszcie ktoś przyniósł butelkę Jacka Daniel'sa, czarne wiaderko z kruchym lodem i cztery szklanki.

Patrick wrzucił parę kostek i nalał sobie. Zapach bourbona wydał mu się niezmiernie subtelny i rozczulający; po pierwszym palącym łyku, stojąc w oknie z widokiem na Central Park, zielony i gorący pod jaśniejszym i szerszym niebem, miał ochotę się rozpląkać, takie to było kurewsko piękne. Czuł, że jego smutek i wyczerpanie łączą siły z sentymentalną i rozpuszczającą wszystko falą bourbona. Magia tej chwili wróżyła katastrofę. Jak mógł się łudzić, że kiedykolwiek rzuci narkotyki? Dostarczały mu takich potężnych wzruszeń. Poczucie władzy, które im zawdzięczał, było, trzeba to przyznać, nieco subiektywne (rządzenie światem spod kołdry, dopóki nie zjawił się mleczarz, którego człowiek brał za oddział

szturmowców chcących mu zabrać narkotyki i rozwalić głowę serią z karabinu), ale przecież wszystko w życiu było subiektywne.

Naprawdę powinien już pojechać do zakładu pogrzebowego, byłoby straszne, gdyby przegapił okazję i nie zobaczył zwłok ojca (może uda mu się oprzeć na nich stopę). Parsknął śmiechem i odstawił pustą szklankę na parapet. Nie weźmie ani grama heroiny.

– Chcę, żeby to było *zupełnie* jasne – zapiszczał głosem pana Muffeta, który uczył go w szkole chemii.

Noś głowę wysoko, brzmiało motto Patricka, *ale najpierw skombinuj dolersy*. Trudno wymagać od kogokolwiek, by zrezygnował ze wszystkiego naraz, zwłaszcza (chlip, chlip) w takiej chwili. Musi zanurkować w tę pulsującą, rozbuchaną, monstualną masę roślinności, Central Park, i zdobyć ćpanie. Gromadka czarnych i latynoskich dilerów przy wejściu do parku naprzeciwko hotelu z daleka dojrzała w nim potencjalnego klienta.

– Spidy! Dolersy! Polecam – zawołał posiniaczony czarnoskóry drągal. Patrick ominął go.

Latynos o zapadniętych policzkach i mizernej brodzie wysunął podbródek.

– Mogę jakoś pomóc, przyjacielu?

– Mam supertowar – odezwał się inny czarny, w okularach przeciwsłonecznych. – Polecam.

– Metakwalon? – spytał Patrick.

– Pewnie, że mam. Lemmon 714s – ile trzeba?

– Po ile?

– Pięć dolców.

– Wezmę sześć. I może trochę spidu – dodał Patrick. Tak zwany impuls zakupowy. Spid był ostatnią rzeczą, na którą miał teraz ochotę, ale nie lubił kupować narkotyków bez żadnej kontry.

– Mam trochę czarnulek, jedyne w swoim rodzaju!

– W sensie domowej roboty?

– Nie, człowieku, dobry towar!

– Wezmę trzy.

– Po dziesięć dolców.

Patrick wręczył mu sześćdziesiąt dolarów i zabrał tabletki. Pozostali dilerzy gromadzili się dookoła, robiło na nich wrażenie, jak łatwo Patrick rozstawał się z pieniędzmi.

– Anglik, nie? – zagadnął go Latynos.

– Zostaw człowieka – rzucił czarny w okularach.

– Tak – odparł Patrick, wiedząc, do czego to zmierza.

– Macie tam heroinę za darmo, nie? – włączył się posiniaczony.

– Zgadza się – patriotycznie rzekł Patrick.

– Kiedyś przyjadę do Anglii się nachapać – oznajmił posiniaczony, a po jego twarzy przemknął błogi wyraz.

– Słusznie – rzucił Patrick, wracając po schodach ku Piątej Alei. – Nara.

– Przyjdź jutro – zażądał czarny w okularach.

– Dobra – odbąknął Patrick, wbiegając na górę. Włożył metakwalon do ust, zebrał trochę śliny i jakoś przełknął tabletkę. Połykanie tabletek bez popicia było ważną umiejętnością. Ludzie, którzy muszą popijać, są nie do zniesienia, pomyślał, wołając taksówkę.

– Róg Madison Avenue i Osiemdziesiątej Drugiej – powiedział i zdał sobie sprawę, że metakwalon, bądź co bądź spora tabletkę, utknał mu w przełyku. Taksówka pędziła wzdłuż Madison Avenue, a on kręcił szyją na wszystkie strony, usiłując zepchnąć narkotyk do żołądka.

Gdy zajechali pod zakład pogrzebowy Frank E. MacDonald's, Patrick leżał rozciągnięty w poprzek siedzenia, z szyją zwieszoną za krawędź fotela, tak że dotykał włosami gumowej wycieraczki, i wściekle przełykał ślinę, którą udało mu się wycisnąć z suchych policzków. Kierowca spojrział w lusterko wsteczne. Następny wariat.

Patrickowi udało się wreszcie przepchnąć tabletkę przez zwężenie, w którym ugrzęzła, tuż pod grdyką. Gdy wchodził przez wysokie dębowe drzwi do zakładu, strach walczył w nim o lepsze z poczuciem absurdu. Za łagodną krzywizną dębowej lady, na której obu końcach, po wewnętrznej stronie, wznosiły się doryckie półkolumny, siedziała młoda kobieta w niebieskim żakiecie i szarej jedwabnej bluzce, stewardesa w samolocie do zaświatów.

– Przyszedłem zobaczyć ciało Davida Melrose'a – oznajmił chłodno Patrick.

Kazała mu wejść do windy i wjechać „prosto na trzecie piętro”, jakby obawiała się, że będzie go korciło, żeby po drodze obejrzeć inne zwłoki.

Winda była hołdem francuskiej sztuce gobeliniarskiej. Nad skórzaną pikowaną ławeczką, na której pogrążeni w smutku bliscy mogli przysiąc przed obejrzeniem ciała zmarłego, widniała haftowana drobnym ukośnym ścięciem sielanka: dworzaniin udający pastucha grał na flecie dwórcie udającej pastuszkę.

A więc stało się: zwłoki jego największego wroga, szczątki jego stwórcy, ciało jego ojca; wielki ciężar słów, które nie zostały i nie zostałyby wypowiedziane; ciśnienie, żeby wypowiedzieć je teraz, kiedy nie ma komu, i żeby mówić również w imieniu ojca, dokonać aktu samopodziału, od którego pęknie świat, a jego ciało zmieni się w układankę. *To był ten moment.*

Dźwięki, jakie przywitwały go na piętrze, sprawiły, że przez chwilę zastanawiał się, czy George nie zorganizował imprezy niespodzianki, lecz był to całkiem nedorzeczny pomysł, zważywszy, jak trudno byłoby znaleźć – na całym świecie – więcej niż pół tuzina ludzi, którzy w miarę dobrze znali ojca i nie przestali go lubić. Wychodząc z windy, ujrzał za dwiema korynckimi kolumnami

tłum kolorowo ubranych seniorów w sali wyłożonej boazerią. Mężczyźni w rozmaitych lekkich tartanach i kobiety w dużych białych i żółtych kapeluszach pili koktajle i ściskali się za ramiona. W głębi pomieszczenia, do którego Patrick wszedł w roztargnionym oszołomieniu, leżała otwarta, lekko przechylona trumna wysłana białą satyną, a w niej – starannie wyszykowany drobny człowieczek o śnieżnobiałych włosach, w czarnym garniturze z brylantową szpilką w krawacie. Obok na stoliku Patrick dostrzegł stosik kartek z napisem „Pamięci Hermanna Newtona”. Jak bardzo granicznym doświadczeniem musiała być śmierć, skoro zdołała przemienić ojca w niskiego Żyda z mnóstwem wesołych przyjaciół?

Patrickowi zabiło serce. Zawrócił i popędził do windy, a kiedy wzywał ją guzikiem, kopnął go prąd.

– Kurwa, nie wierzę – burknął i kopnął krzesło w stylu Ludwika XV. Kiedy drzwi windy się otwały, ujrzał przed sobą grubego starca o szarej obwisłej skórze, ubranego w krzykliwe bermudy i żółty T-shirt. Hermann najwyraźniej zapisał w testamencie, że nie życzy sobie, aby noszono po nim żałobę. A może po prostu wszyscy byli szczęśliwi, że umarł, pomyślał Patrick. Przy grubasie stała jego różowa żona, także w stroju plażowym, a obok niej – młoda kobieta z recepcji.

– To nie te zwłoki, kurwa – rzucił ze złością w jej stronę.

– Hola, hola – obruszył się grubas.

– Jakies inne pomysły? – spytał Patrick, ignorując starszą parę, która wyminęła go w drzwiach.

Posłał recepcjonistce swoje druzgocące spojrzenie, ciężkie jak rusztowanie, przecinające przestrzeń między nimi i wlewające jej do mózgu radioaktywną substancję. Nie zrobiło to na niej wrażenia.

– Jestem pewna, że nie mamy w tej chwili w budynku żadnego innego przyjęcia – odparła.

– Nie przyszedłem na przyjęcie. Chcę zobaczyć ojca.

Wrócili na parter, kobieta podeszła do lady i pokazała Patrickowi listę „przyjęć”.

– Nie ma tu nikogo prócz pana Newtona – oznajmiła z satysfakcją. – Dlatego pokierowałam pana do Sali Cedrowej.

– Może w takim razie mój ojciec wcale nie umarł – rzekł Patrick, nachylając się ku niej – to by dopiero była szokująca nowina. Może to było tylko wołanie o pomoc, jak pani myśli?

– To ja może pójde zapytać naszego kierownika – odparła, wycofując się. – Przepraszam pana na chwilę.

Uchyliła drzwi ukryte w jednym z paneli i zniknęła za nimi.

Patrick oparł się o ladę, dysząc wściekle wśród czarnych i białych rombów marmurowej posadzki. Taką samą widział kiedyś w holu przy Eaton Square. Ledwie sięgał wtedy głową dłoni tej starszej pani. Ścisnęła w niej laskę, wydatne

niebieskie żyły spływały po jej palcach do pierścienia z szafirem. Zamknięta i sklarowana krew. Starsza pani rozmawiała z jego matką o komitecie, w którym zasiadały, a Patrick pograżał się w uczuciu, że jest sprawcą tego podobieństwa. Teraz bywały dni, że wszystko przypominało wszystko inne i nawet najmniejszy pretekst do porównania sprawiał, że jedna rzecz pożerała drugą w bulimicznym napadzie.

Co tu się działo, do kurwy nędzy? Dlaczego tak trudno było znaleźć to, co zostało z ojca? On z łatwością znajdował to w sobie, tylko Frank E. MacDonald miał z tym problem. Gdy Patrick zanosił się histerycznym rechotem, zza boazerii wyłonił się łysy homoseksualista z wąsem i silnym zmysłem powściągliwej elegancji, który wniósł do branży pogrzebowej. Podszedł do Patricka, stukając obcasami o białe i czarne romby, i bez słowa przeprosin kazał mu pójść za sobą do windy. Wcisnął guzik i wjechali na drugie piętro – było stąd dalej do nieba, niż miał pan Newton, ale za to ciszy nie mąciło żadne przyjęcie. Idąc w milczeniu dyskretnie oświetlonym korytarzem, w ślad za drobnymi krokami kierownika, Patrick zaczął sobie zdawać sprawę, że zużył swoje mechanizmy obronne na niewłaściwego nieboszczyka i teraz, wyczerpany farsą, jaką zastał piętro wyżej, czuje się niebezpiecznie bezbronny wobec zwłok ojca.

– To tutaj – powiedział kierownik, bawiąc się mankietem. – Zostawię pana samego z ojcem – dodał miękim głosem.

Patrick zajrzał do małego pomieszczenia z elegancką wykładziną. *Kurwa mać*. Co jego ojciec robił w trumnie? Skinął głową w stronę kierownika i przez chwilę stał na zewnątrz, czując, jak wzbiera w nim fala obłędu. Czy to znaczyło, że zaraz zobaczy ciało ojca? Co to powinno znaczyć? Wahał się w drzwiach. Ojciec leżał głową do wyjścia, nie widział jeszcze twarzy, tylko siwe kręcone włosy. Ciało zakryto bibułą. Razem z trumną wyglądało jak prezent, którego ktoś nie odpakował do końca.

– To tata! – wymamrotał z niedowierzaniem. Złączył dłonie i odwrócił się w stronę wyimaginowanego przyjaciela. – Jak mogliście!

Wszedł do środka, znów przepelniony strachem, lecz pchany ciekawością. Twarzy, niestety, nie zakryto bibułą, a jej szlachetność wprawiła Patricka w zdumienie. Ten wygląd, który zwiódł tyle osób, bo był oderwany od osobowości ojca, teraz, po ostatecznym odłączeniu się od niej, wydawał się jeszcze bardziej bezczelny. Ojciec wyglądał tak, jakby śmierć była namiętnością, której nie podzielał, a którą był zewsząd otoczony, niczym ksiądz na gali boksu.

Podkrążone, ruchliwe oczy, oceniające każdą słabość, tak jak palce kasjera zliczają plik banknotów, były teraz zamknięte. Dolna warga, tak często wysuwana do przodu w chwilach poprzedzających wybuch gniewu, przeczyła dumnemu wyrazowi, w jaki ułożyły się jego rozluźnione rysy. Była lekko rozdarta (musiał nadal mieć sztuczną szczękę), zapewne przez wściekłość, bunt i świadomość

nadchodzącej śmierci.

Jakkolwiek dokładnie Patrick powtarzał w życiu drogę ojca – a było to coś poza jego wolą, jak toksyna krążąca w krwiobiegu, trucizna, której sobie nie wstrzykiwał, a której nie dało się usunąć bez wytoczenia pacjentowi całej krwi – jakkolwiek mocno starał się wczuć w zabójczą kombinację dumy, okrucieństwa i smutku, która dominowała w życiu ojca, i jakkolwiek pragnął, żeby nie dominowała w jego życiu, Patrick nie mógł pójść jego śladem do samego końca, czyli do momentu, w którym ojciec poczuł, że umiera, i się nie mylił. Patrick nieraz czuł, że umiera, lecz nigdy się to nie potwierdziło.

Miał wielką ochotę chwycić oburącz jego wargę i rozedrzeć ją niczym papier, wzdłuż pęknięcia, które spowodowały jego zęby.

Nie, tylko nie to. Nie podda się tej myśli. Odrażająca konieczność ucieczki na karnisz. Nie podda się tej myśli. Nikt nie powinien tego robić nikomu. Nie może być kimś takim. Skurwysyn.

Patrick zawarczał przez obnażone, zaciśnięte zęby. Uderzył kłykciami w bok trumny, żeby dojść do siebie. Jak miał zagrać tę scenę w filmie życia? Wyprostował się i uśmiechnął z pogardą.

– Tato – powiedział z najbardziej przesłodzonym amerykańskim akcentem, na jaki było go stać – byłeś takim pierdolonym smutasem, a teraz chcesz, żebym ja też był smutny. – Załkał nieszczerze. – No cóż – dodał już własnym głosem – nie tym razem.



Anne Eisen skręciła do swojego budynku, niosąc pudełko z ciastkami z Le Vrai Pâtisserie. Gdyby cukiernia nazywała się La Vraie Pâtisserie, jak do znudzenia powtarzał Victor, byłaby jeszcze bardziej *vraie*, albo *plus vraie*, pomyślała, uśmiechając się do portiera Freda. Fred wyglądał jak chłopiec, który odziedziczył szkolny mundurak po starszym bracie. Ozdobione złotymi galonami rękawy brązowej marynarki kończyły się na kłykciach dużych bladych dłoni, a spodnie, przegrywające nierówny bój z obfitymi udami i pośladkami, powiewały wysoko ponad jasnoniebieskimi nylonowymi skarpetami, które opinały mu kostki.

– Cześć, Fred.

– Dzień dobry, pani Eisen. Mogę pomóc z torbami? – Fred podreptał w jej stronę.

– Dzięki – odparła, teatralnie się uginając – ale potrafię jeszcze udźwignąć dwie napoleonki i brioszkę z rodzynkami. Słuchaj, Fred – dodała – o czwartej odwiedzi mnie znajomy. Młody, trochę niezdrowo wygląda. Bądź wobec niego delikatny, właśnie stracił ojca.

– Ojej, przykro mi – odrzekł Fred.

– Jemu chyba nie – powiedziała – choć może jeszcze nie zdawać sobie z tego sprawy.

Fred udał, że tego nie słyszał. Pani Eisen była strasznie miłą kobietą, ale czasem mówiła dziwne rzeczy.

Anne wsiadła do windy i wcisnęła guzik jedenastego piętra. Jeszcze kilka tygodni i to się skończy. Jedenaste piętro, trzcinowe krzesła i afrykańskie maski profesora Wilsona, no i ten wielki abstrakcyjny obraz w salonie („moim zdaniem dobry, ale świat się nie poznał na jego twórczości”).

Jim Wilson, który mógł eksponować te nieco staroświeckie rekwizyty lewicowego intelektualisty na Park Avenue dzięki zamożnej żonie, od października „wizytował” Oksford, a Victor w tym samym czasie zastępował go na Uniwersytecie Columbia. Za każdym razem, kiedy szli na przyjęcie – czyli prawie bez przerwy – Anne podśmiewała się z jego statusu wizytującego profesora. Żyli w „otwartym” małżeństwie. Rzeczy „otwarte” – jak „otwarta rana”, „otwarty bunt” albo właśnie „otwarte małżeństwo” – nie zawsze były dobre, ale teraz, gdy Victor miał siedemdziesiąt sześć lat, nie było sensu się z nim rozwodzić. Poza tym ktoś musiał się nim zajmować.

Anne wyszła z windy, otworzyła drzwi do mieszkania 11E i sięgnęła do włącznika światła obok wiszącego w przedpokoju indiańskiego koca. Co miała powiedzieć Patrickowi? Choć dorastając, zrobił się ponury i złośliwy, a teraz, w wieku dwudziestu dwóch lat, miał umysł zmacony narkotykami, wciąż pamiętała pięciolatka siedzącego na schodach w Lacoste i wciąż czuła się winna – jakkolwiek

to niedorzeczne – że nie zdołała wtedy wyciągnąć jego matki z tego potwornego przyjęcia.

Co ciekawe, złudzenia, które umożliwiły jej ślub z Victorem, na dobrą sprawę zaczęły się tamtego wieczoru. Przez kilka następnych miesięcy Victor był pogrążony w pracy nad swoją nową książką, *Istnienie, wiedza, osąd*, bardzo łatwo (ale jakże niesłusznie!) myloną z jej poprzedniczką, *Myślenie, wiedza, osąd*. Jego argument, że nadaje książkom podobne tytuły, bo oczekuje od swoich studentów czujności, nie do końca rozwiał wątpliwości Anne oraz wydawcy. Nie zmieniało to faktu, że nowa publikacja niczym sprawną miotła wstrząsnęła kurz, którym długo pokryte było zagadnienie tożsamości, i ułożyła z niego nowe, fascynujące kupki.

Na końcu tej dobrej passy twórczej Victor oświadczył się Anne. Miała trzydzieści cztery lata i jej uwielbienie dla Victora, o czym wtedy nie wiedziała, znajdowało się w szczytowym punkcie. Zgodziła się nie tylko dlatego, że chodził w aurze umiarkowanej sławy, na jaką może liczyć żyjący filozof, ale również dlatego, że uważała go za dobrego człowieka.

Co powiedzieć Patrickowi? – zastanawiała się, wyjmując malowany talerz w kolorze szpinaku ze wspaniałej kolekcji Barbary i układając ciastka na nierównej glazurowanej powierzchni.

Nie było sensu przed nim udawać, że lubiła Davida Melrose'a. Nawet po rozwodzie z Eleanor, będąc schorowanym i biednym starcem, budził nie większą sympatię niż uwięzany na łańcuchu wilczur. Jego życie było jedną wielką porażką, jego izolacja wydawała się czymś strasznym, a mimo to wciąż miał uśmiech jak nóż; jeśli nawet próbował się nauczyć (to się nazywa przerośnięty uczeń!), jak sprawiać ludziom przyjemność, jego wysiłki musiały budzić lekkie obrzydzenie u każdego, kto znał jego prawdziwą naturę.

Ciemne okulary zsunęły jej się z czubka głowy, kiedy schylała się nad irytująco niskim marokańskim stolikiem w salonie. Może ta żółta bawełniana sukienka była trochę zbyt wesoła na taką okazję, ale co tam. Patrick zbyt długo jej nie widział, żeby się zorientować, że farbuje włosy. Barbara Wilson z pewnością pozwoliłaby im zsiwieć, lecz Anne czekał jutro wieczorem występ w telewizji i rozmowa o Nowej Kobiocie. Próbując ustalić, czym właściwie jest Nowa Kobieta, sprawiła sobie Nową Fryzurę i Nową Sukienkę. Badania muszą kosztować.

Za dwadzieścia czwarta. Martwy czas oczekiwania. Czas na zabójczego, rakotwórczego papierosa, czas na zignorowanie ostrzeżeń ministra zdrowia. Jednak, co tu ukrywać, miała wyrzuty sumienia. Aczkolwiek miewała je także, kiedy dodawała sobie do kąpieli trzy krople esencji zamiast dwóch. Więc co z tego?

Ledwie zdążyła zapalić łagodnego, mentolowego, niemal całkiem bezsensownego papierosa, zadzwonił domofon.

– Tak, Fred?

– O, pani Eisen. Pan Melrose do pani.

– Świetnie, wpuść go zatem.

Zastanawiała się, czy ta rozmowa za każdym razem musi wyglądać identycznie.

Przeszła do kuchni, włączyła czajnik i wsypała trochę liści herbaty do japońskiego imbryczka z chybotliwą kabłąkową rączką z rattanu.

Przerwał jej dzwonek do drzwi. Wybiegła z kuchni do przedpokoju i otworzyła. Patrick, w długim czarnym płaszczu, stał plecami do niej.

– Cześć, Patricku.

– Cześć – odbąknął, próbując się precyzyjnie obok niej. Chwyła go jednak za ramiona i serdecznie objęła.

– Tak mi przykro – powiedziała.

Patrick nie odwzajemnił jej gestu, lecz wyswobodził się niczym zapaśnik przełamujący chwyt przeciwnika.

– Mnie też – odrzekł, lekko pochylony. – Spóźnianie się jest irytujące, a przychodzenie za wcześnie – niewybaczalne. Punktualność to jedna z pomniejszych wad, jakie odziedziczyłem po ojcu. Z tego powodu nigdy nie będę szykowny. – Z rękami w kieszeniach płaszcz zaczął chodzić w tę i we w tę po salonie. – Nie to, co to mieszkanie – dodał kpiąco. – Jaki szczęściarz wymienił je na wasz ładny dom w Londynie?

– Odpowiednik Victora na Uniwersytecie Columbia, Jim Wilson.

– Boże, ciekawe, jak to jest mieć odpowiednika, a nie tylko samemu być swoim odpowiednikiem.

– Napijesz się herbaty? – spytała Anne ze współczującym westchnieniem.

– Hm. A czy mógłbym się też napić czegoś mocniejszego? Dla mnie jest dziewiąta wieczorem.

– Dla ciebie zawsze jest dziewiąta wieczorem – zauważyła. – Na co masz ochotę? Zrobię ci.

– Nie, ja sam – odparł. – Ty zrobisz za słabe.

– Dobrze. – Anne ruszyła w stronę kuchni. – Alkohole są na kamieniu młyńskim z Meksyku.

Kamień młyński zdobiły ryte podobizny wojowników z piórami, lecz uwagę Patricka przykuła butelka Wild Turkey. Wlał trochę do wysokiej szklanki, popił kolejną tabletkę metakwalonu i natychmiast dolał więcej. Po obejrzeniu zwłok ojca pojechał do oddziału banku Morgan Guaranty przy Czterdziestej Czwartej Ulicy i podjął trzy tysiące dolarów w gotówce, które rozpychały teraz rudobrazową kopertę w jego kieszeni.

Sprawdził, czy ma wszystko: tabletki (prawa dolna kieszeń), koperta (wewnętrzna lewa), karty kredytowe (zewnątrzna lewa). Ta nerwowa czynność, którą zdarzało mu się powtarzać co kilka minut, była jak żegnanie się przed

ołtarzem – Prochy i Hajs, i Dług Święty.

Drugi metakwalon wziął już wcześniej, po wyjściu z banku, lecz mimo to nadal czuł rozpacz i zdenerwowanie, jakby ziemia usuwała mu się spod nóg. Możliwe, że przeholował z trzecią tabletką, ale przeholowywanie było w końcu jego głównym zajęciem.

Z nową energią wkroczył do kuchni i spytał:

– Też tak czasem masz? Widzisz kamień młyński i od razu brzdęk! – jak cena w starej kasie wyświetlają ci się w głowie słowa: „u mojej szyi”. Czy to nie jest upokarzające... – mówił dalej, nasypując sobie kostek lodu. – Boże, kocham te maszyny do lodu, to najlepsza rzecz, jaką do tej pory widziałem w Ameryce... Czy to nie jest upokarzające, że wszystkie nasze myśli zostały jakby zawczasu przygotowane przez te idiotyczne mechanizmy?

– Te idiotyczne nie są dobre – przyznała Anne – ale przecież ta kasa nie musi za każdym razem pokazywać czegoś taniego.

– Jeśli twój umysł działa jak kasa, wszystko, co pomyślisz, będzie tanie.

– Widać, że nie robisz zakupów w Le Vrai Pâtisserie. – Anne zaniósła ciastka i herbatę do salonu.

– Jeżeli nie kontrolujemy swoich świadomych reakcji, jakie mamy szanse, żeby się obronić przed wpływem, z którego nie zdajemy sobie sprawy?

– Zerowe – odrzekła wesoło Anne, podając mu filiżankę.

Patrick parsknął ponuro. Czuł się oderwany od własnych słów. Może metakwalon w końcu zadziałał.

– Zjesz ciastko? – spytała Anne. – Kupiłam je, bo skojarzyły mi się z Lacoste. Są takie francuskie, jak... jak francuskie litery.

– Ci Francuzi – rzucił pod nosem Patrick, z grzeczności częstując się napoleonką. Gdy ją podnosił, krem zaczął wypływać po bokach, jak ropa z rany. Chryste, pomyślał, to ciastko *zwariowało*. – To żyje! – powiedział na głos, ściskając napoleonkę nieco zbyt mocno. Krem wypłynął i wylądował na misternym mosiężnym blacie marokańskiego stolika. Patrick miał palce lepkie od lukru. – Przepraszam – bąknął, odkładając ciastko.

Anne podała mu serwetkę. Zauważyła, że Patrick porusza się coraz bardziej niezdarnie, mówi coraz mniej wyraźnie. Zanim przyszedł, bała się nieuniknionej rozmowy o jego ojcu; teraz zaczęła się martwić, że w ogóle do niej nie dojdzie.

– Byłeś już u ojca? – spytała wprost.

– Byłem – odparł natychmiast. – W trumnie robi bardzo dobre wrażenie. Był o wiele łatwiejszy niż zazwyczaj. – Uśmiechnął się rozbijając.

Anne odpowiedziała nikłym uśmiechem, lecz Patrick nie potrzebował zachęty.

– Kiedy byłem mały, ojciec zabierał nas do restauracji. Bynajmniej nie do jednej, zawsze co najmniej dwa razy zmienialiśmy lokal. A to zbyt długo

czekaliśmy na jedzenie, a to ojciec stwierdzał, że kelner jest skończonym idiotą, a to był rozczarowany kartą win. Pamiętam, jak raz odwrócił butelkę czerwonego wina do góry dnem i wylał zawartość na podłogę. Krzyczał: „Jak śmiecie podawać mi takie świństwo?”. Kelner tak się wystraszył, że zamiast wyrzucić go za drzwi, pobiegł po inną butelkę.

– Czyli podobało ci się, że byłeś z nim w miejscu, na które nie narzekał.

– Otóż to – potwierdził Patrick. – Nie wierzyłem własnemu szczęściu. Na początku byłem przekonany, że zaraz usiądzie w trumnie jak wampir o zmierzchu i powie, że obsługa jest skandaliczna. Musiałbym z nim objechać ze cztery domy pogrzebowe. Nawiasem mówiąc, obsługa była skandaliczna. Pokazali mi niewłaściwe ciało.

– Niewłaściwe ciało!

– Tak, trafiłem na wesoły żydowski koktajl na cześć niejakiego Hermanna Newtona. Żałuję, że nie mogłem zostać dłużej, zabawa była przednia...

– Co za straszna historia. – Anne zapaliła papierosa. – Założę się, że mają też w ofercie pomoc psychologiczną dla osób w żałobie.

– Wiadomo. – Patrick znowu głucho się zaśmiał, po czym zanurzył się w fotelu. Nie miał już wątpliwości, że metakwalon zaczął działać. Alkohol wydobywał z niego to, co najlepsze, tak jak słońce nakłania kwiaty do rozchylenia płatków, pomyślał czule.

– Słucham? – powiedział, bo nie usłyszał ostatniego pytania Anne.

– Czy zostanie skremowany? – powtórzyła.

– Tak. Z tego, co rozumiem, po kremacji człowiek raczej nie dostaje prochów zmarłego, tylko jakieś wymieszane resztki z dna pieca. Co, jak się domyślasz, wcale mnie nie martwi, wręcz przeciwnie. Najlepiej, gdyby te prochy były w całości cudze, ale nie żyjemy w idealnym świecie.

Anne przestała się zastanawiać, czy Patrickowi jest przykro z powodu śmierci ojca, i zaczęła żałować, że nie jest mu troszkę bardziej przykro. Jego pełne jadu słowa, choć nie mogły zboleć Davida, pogarszały i tak już chorobliwy wygląd Patricka, jakby miał niebawem umrzeć od ukąszenia węża.

Patrick powoli zamknął oczy i po bardzo długim czasie powoli je otworzył. Cała operacja trwała jakieś pół godziny. Przez kolejne pół godziny oblizywał suche i fascynująco obolałe usta. Ten ostatni metakwalon naprawdę dawał radę. Krew szumiała w nim jak telewizor podczas przerwy w nadawaniu programu. Jego dłonie były jak hantle – jak hantle w jego dłoniach. Wszystko zwijało się w sobie i nabierało ciężaru.

– Halo! – zawołała Anne.

– Bardzo przepraszam. – Patrick pochylił się z czarującym, jak mu się zdawało, uśmiechem. – Strasznie jestem zmęczony.

– Może powinieneś się położyć.

– Nie, nie, nie. Nie przesadzajmy.

– Zdrzemnij się parę godzin – zasugerowała Anne – a potem zjesz obiad ze mną i z Victorem. Wieczorem idziemy na przyjęcie do jakichś okropnych anglofilów na Long Island. Coś w sam raz dla ciebie.

– Bardzo miło z twojej strony, ale to chyba nie jest dobry moment na spotkanie z mnóstwem obcych ludzi – odrzekł Patrick, trochę zbyt późno grając kartą żałoby, aby Anne mogła się na to nabrać.

– To ci dobrze robi – namawiała go. – Jestem pewna, że ci ludzie żyją w „bezwstydnym luksusie”.

– Nie bardzo wiem, co to znaczy – odparł sennie.

– Weź przynajmniej adres – upierała się Anne. – Wolałabym, żebyś nie spędzał za dużo czasu w samotności.

– Dobrze. Zapisz mi ten adres i będę niedługo leciał.

Czuł, że jeśli wkrótce nie weźmie spida, będzie musiał mimo woli skorzystać z propozycji Anne i „położyć się na parę godzin”. Nie chciał połykać całej czarnulki, bo skończyłoby się to piętnastogodzinną megalomańską odyseją, a na takiej przytomności mu nie zależało. Z drugiej strony musiał się jakoś uwolnić od wrażenia, że wrzucono go do basenu z powoli schnącym cementem.

– Gdzie jest ubikacja?

Anne powiedziała mu, jak do niej trafić, i Patrick powłókł się przez dywan we wskazanym kierunku. Kiedy zamknął za sobą drzwi łazienki, ogarnęło go znajome poczucie bezpieczeństwa. W łazience mógł się poddać obsesji własnego stanu fizycznego i umysłowego, tak często hamowanej obecnością innych ludzi albo brakiem dobrze oświetlonego lustra. Najbardziej satysfakcjonujące chwile jego życia były chwilami spędzonymi w łazience. Wstrzykiwanie, wciąganie, połykanie, wykradanie, przedawkowywanie; oglądanie swoich żrenic, ramion, języka, zapasu dragów.

– O, łazienki! – zaczął deklamować, rozkładając ręce przed lustrem. – Szafki wasze na lekarstwa wielce radują me serce! Ręczniki wasze chłoną strugi krwi mojej! – Urwał raptem, sięgając do kieszeni po czarnulkę.

Weźmie tylko tyle, żeby móc dalej funkcjonować, tylko tyle, żeby... co to miał powiedzieć? Wyleciało mu z głowy. Boże, znów te zaniki pamięci, istny profesor Moriarty narkomanii, przerywający i wymazujący cudowne doznania, których człowiek z takim trudem sobie dostarczył.

– Siło nieczyste – wymamrotał.

Czarna kapsułka w końcu się otworzyła i wysypał połowę jej zawartości na jeden z portugalskich kafelków wokół umywalki. Wyjął studolarowy banknot, zwinął go w ciasną rurkę i wciągnął maleńki kopczyk białego proszku z kafelka.

Poczuł szczypanie w nosie, a oczy zaszyły mu łzami, lecz nie pozwolił, aby go to zdekoncentrowało, zamknął kapsułkę, zwinął ją w chusteczkę higieniczną,

schował do kieszeni, po czym, nie do końca wiedząc, dlaczego to robi, prawie wbrew sobie, wyjął ją znowu, opróżnił na kafelek i wciągnął resztę proszku. W ten sposób efekt potrwa krócej, tłumaczył sobie, oddychając głęboko przez nos. Było coś żalnego w zażywaniu połówki czegokolwiek. Poza tym właśnie zmarł jego ojciec, miał prawo być rozchwiany. Jediną rzeczą, która naprawdę się liczyła – heroicznym wyczynem dowodzącym jego samurajskiej determinacji w wojnie z narkotykami – było to, że nie wziął heroiny.

Nachylił się i przyjrzał swoim źrenicom w lustrze. Niewątpliwie się rozszerzyły. Serce przyspieszyło. Czuł się ożywiony, rozbudzony, a nawet poczuł w sobie agresję. Tak jakby nigdy wcześniej nie pił ani nie ćpał, znowu nad wszystkim panował, spid niczym snop światła z morskiej latarni przecinał gęstą noc metakwalonu, alkoholu i jetlagu.

– A także – powiedział, chwytając się po burmistrzowsku za klapy – nie zapominajmy, przez mroczny cień, że się tak wyrażę, naszego żalu z powodu odejścia Davida Melrose’a.

Jak długo był w łazience? Zdawało mu się, że całą wieczność. Pewnie zaraz strażacy wyważą drzwi. Zaczął w pośpiechu sprzątać po sobie. Ponieważ wolał nie wyrzucać pustej kapsułki do kosza na śmieci (paranoja!), wepchnął obie połówki do odpływu umywalki. Jak wytłumaczy się przed Anne ze swojego nagłego pobudzenia? Chlusnął sobie w twarz zimną wodą i specjalnie jej nie wytarł. Pozostała mu do zrobienia już tylko jedna rzecz: przekonująco spuścić wodę, tak jak to robi każdy ćpun, próbując zmylić publiczność, która zaludnia jego wyobraźnię.

– Na litość boską – powiedziała Anne na jego widok – może byś tak wytarł twarz?

– Musiałem się trochę odświeżyć zimną wodą.

– Doprawdy? Ciekawe, co to była za woda.

– Bardzo orzeźwiająca – odparł, siadając i wycierając spocone dłonie w spodnie. – Co mi przypomina – dodał, prędko wstając – że chętnie bym się jeszcze czegoś napił, jeśli wolno.

– Pewnie – rzekła Anne zrezygnowana. – A w ogóle to zapomniałam spytać: jak się miewa Debbie?

Pytanie to nappełniło Patricka trwogą, jaka chwytiała go zawsze, kiedy oczekiwano od niego, że wczuje się w uczucia innej osoby. Jak się miewa Debbie? A skąd miał, kurwa, wiedzieć? Miał dość kłopotów z wygrzebywaniem siebie spod lawiny własnych uczuć i wolał, żeby ponury bernardyn jego uwagi zanadto się nie rozpraszał. Z drugiej zaś strony amfetamina sprawiała, że miał wielką ochotę mówić, i nie mógł całkiem zignorować pytania.

– Debbie, cóż – powiedział z drugiego końca pokoju – idzie w ślady matki, pisze artykuł o wspaniałych gospodyniach. Ślady Teresy Hickmann są dla

większości ludzi niewidoczne, ale dla jej sumiennej córki świecą w ciemnościach. Mimo wszystko wypada się cieszyć, że w dziedzinie konwersacji nie wzoruje się na ojcu.

Patrick na moment znów pogрузzył się w zadumie nad stanem własnej psychiki. Umysł miał jasny, ale całkiem zaprzątnięty sobą. Zapętlone myśli nie mogły wyjść z bloków startowych, przez co jego poczucie elokwencji zbliżało się niebezpiecznie do milczenia.

– Ale nie powiedziałaś mi – rzekł, odrywając się od tego intrygującego mentalnego jankania i przy okazji biorąc odwet za pytanie o Debbie – jak się miewa Victor?

– A, dobrze. Jest teraz sędziwym mędrcom, szykował się do tej roli przez całe życie. Dużo się o nim pisze, ma wykłady z tożsamości, potrafi, jak sam mówi, prowadzić je z zamkniętymi oczami. Czytałeś *Istnienie, wiedzę, osąd*?

– Nie.

– W takim razie muszę ci podarować egzemplarz. – Anne wstała i podeszła do regału z książkami. Wyjęła cokolwiek opasły tom spomiędzy pół tuzina takich samych. Patrick lubił cienkie książki, które można było wsadzić do kieszeni płaszcza i miesiącami ich nie otwierać. Na co komu książka, której nie można nosić ze sobą jako teoretycznego sposobu na zabicie czasu?

– To coś o tożsamości, tak? – spytał podejrzliwie.

– Wszystko, co zawsze chciałeś wiedzieć, ale nie miałeś odwagi precyzyjnie tego sformułować – odparła.

– Super. – Patrick wstał, nie mogąc usiedzieć. Musiał chodzić, musiał przemierzać przestrzeń, inaczej świat niebezpiecznie się spłaszczył, a on czuł się jak mucha wspinająca się po szybie, szukająca drogi ucieczki z przezroczystego więzienia. Anne, myśląc, że podszedł, żeby wziąć książkę, wręczyła mu ją.

– A, tak, dziękuję. – Nachylił się i szybko ją pocałował. – Wkrótce przeczytam.

Spróbował wepchnąć książkę do kieszeni płaszcza. *Oczywiście* się nie zmieściła. Pierdolona cegła. Teraz będzie ją musiał wszędzie taszczyć. Zalała go wściekłość. Utkwił wzrok w koszu na śmieci (który dawniej był somalijskim dzbanem) i wyobraził sobie, że książka frunie w jego kierunku, obracając się jak frisbee.

– Naprawdę muszę już lecieć.

– Naprawdę? Nie poczekaś na Victora?

– Nie, muszę lecieć – uciał niecierpliwie.

– Dobrze, tylko dam ci jeszcze adres Samantha.

– Słucham?

– No wiesz, przyjęcie.

– A, tak. Raczej nie wpadnę.



Anne zapisała adres na karteczce i podała ją Patrickowi.

– Proszę.

– Dziękuję – odparł pośpiesznie i postawił kołnierz płaszcza. – Do usłyszenia jutro.

– Albo do zobaczenia dzisiaj.

Patrick odwrócił się i ruszył prędko do wyjścia. Musiał się wydostać na zewnątrz. Serce tłukło mu się w piersi jak sprężynowy pajac w pudełku i czuł, że utrzyma wieko najwyżej kilka sekund.

– Do widzenia! – zawołał w progę.

– Do widzenia.

Zjechał ociężałą duszną windą, minął przygłupiego grubasa portiera i wyszedł na ulicę. Ten szok, gdy człowiek znów staje pod szerokim bladym niebem, całkiem odsłonięty. Oto co musi czuć ostryga, gdy się ją kropi sokiem z cytryny.

Dlaczego opuścił bezpieczne mieszkanie Anne? I to jeszcze w tak niegrzeczny sposób. Znienawidzi go teraz na zawsze. Wszystko robił źle.

Spojrzał wzdłuż alei. Od takiego kadru mógłby się zaczynać dokument o przeludnieniu. Ruszył chodnikiem, wyobrażając sobie, jak ucięte głowy mijanych przechodniów staczają się do rynsztoka.

Jak miał wymyślić rozwiązanie swojego problemu, skoro problem tkwił w sposobie myślenia? Nie po raz pierwszy łamiąc sobie nad tym głowę, Patrick z ociąganiem zsunął płaszcz i oddał go wybrylantowanemu kelnerowi w czerwonej marynarce.

Jedzenie było rozwiązaniem tymczasowym. Ale w gruncie rzeczy wszystkie rozwiązania były tymczasowe, nawet śmierć, a nic go tak nie napawało wiarą w życie po śmierci, jak nieubłagany sarkazm Losu. Bez wątplenia samobójstwo okazałoby się gwałtownym wstępem do kolejnej świadomości, równie wstrętnej, pełnej spiralnych upadków, zaciskających się pętli oraz wspomnień rozdzierających ciało niczym szrapnel, od rana do nocy. Kto odgadnie, jakie wyszukane tortury czekają człowieka na wczasowiskach wieczności? Na samą myśl prawie odechciewało się umierać.

Tylko za wodospadem brutalnych i przyjemnych doznań, myślał Patrick, odbierając bez podnoszenia wzroku oprawne w skórę menu, można się ukryć przed ogarami sumienia. Schowany w chłodnej skalnej wnęce, za ciężką białą kurtyną, będzie słyszał, jak ujadają na brzegu rzeki, ale przynajmniej nie rozszarpia mu gardła. A wytropiłyby go bez trudu, idąc po licznych śladach zmarnowanego czasu i beznadziejnych tęsknot, nie mówiąc o zakrwawionych koszulach, o strzykawkach, o igłach, które wyginał w przystępie odrazy, a potem prostował, żeby jeden ostatni raz dać sobie w żyłę. Patrick wziął gwałtowny wdech i skrzyżował ramiona na piersiach.

– Wytrawne martini. Schłodzone, z cytryną – rzekł przeciągle. – I mogę już zamawiać.

Zaraz przyjdzie kelner i odbierze od niego zamówienie. Wszystko było pod kontrolą.

Większość ludzi mających jetlag i będących na głodzie po ogłuszeniu się metakwalonem i łyknięciu spida niekoniecznie miałyby ochotę coś zjeść, lecz Patrick dawno już odkrył, że wszelkiego rodzaju apetyty nie słabną u niego w żadnych okolicznościach, nawet jeśli wstręt do dotyku nadawał jego pożądanu odcień mocno teoretyczny.

Przypomniał sobie, co Johnny Hall powiedział kiedyś z oburzeniem o dziewczynie, której właśnie się pozbył: „To była jedna z tych, co przychodzą i czochrają ci włosy chwilę po tym, jak podałeś sobie kokainę”. Patrick zawył przerażony nietaktownością tego zachowania. Kiedy człowiek czuje się pusty i kruchy jak szyba w oknie, czochranie mu włosów jest ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę. Ludzie, dla których kokaina to po prostu jeden z wielu niegrzecznych narkotyków, nigdy nie znajdują wspólnego języka z dającym sobie w żyłę ćpunem, który wie, że to okazja do obcowania z arktycznym pejzażem czystej grozy.

Ta groza była ceną, jaką trzeba było zapłacić za pierwszą rozdierającą falę rozkoszy, kiedy świadomość zdawała się wybuchać, niczym białe kwiaty, z gałęzi każdego nerwu. A wszystkie rozproszone myśli lgnęły do siebie niczym żelazne opiłki, kiedy się je przyciąga magnesem i układają się w kształt róży. Albo – musi przestać o tym myśleć – jak nasycony roztwór siarczanu miedzi pod mikroskopem, gdy ulega nagłemu przeobrażeniu i cały pokrywa się kryształkami.

Musi przestać o tym myśleć – i to zrobić. Nie! Pomyśleć o czymś innym. Na przykład o zwłokach ojca. Czy tak będzie lepiej? Uwolni się wprawdzie od pragnienia, lecz nienawiść też potrafi być obsesyjna.

Ach, jest martini, nareszcie. Może nie kawaleria, ale przynajmniej dodatkowa amunicja. Patrick duszkiem wypił zimną oleistą ciecz.

– Czy życzy pan sobie jeszcze jedno?

– Tak – odparł szorstko.

Starszy kelner w smokingu podszedł przyjmując zamówienie.

– Tatar z łososia i tatar wołowy, w tej kolejności – rzekł Patrick, z niewinną przyjemnością wypowiadając dwukrotnie słowo „tatar”. Był zadowolony, że zamawia dorosłe jedzenie w dziecięcej postaci, pokrojone i rozgniecione za niego.

Trzeci kelner, ze złotą kiścią winogron w kłapie i zawieszonym u szyi na łańcuszku dużym złotym degustacyjnym pucharkiem do wina, bez wahania przyniósł Patrickowi butelkę corton-charlemagne na teraz i otworzył ducru-beaucaillou na potem. Wszystko było pod kontrolą.

Nie, nie może o tym myśleć, ani o kokainie, ani o niczym innym, a zwłaszcza o heroinie, bo tylko heroina działała naprawdę, tylko ona potrafiła sprawić, że przestawał się kręcić jak chomik w kołowrotku pytań bez odpowiedzi. Heroina była kawalerią. Heroina była brakującą nogą u krzesła, wykonaną z taką precyzją, że nie było widać śladu złamania. Heroina lądowała z mruzeniem na dnie czaszki i okręcała się wokół układu nerwowego, jak czarny kot zwinięty w kłębek na ulubionej poduszce. Była miękka i obfita, jak gardło grzywacza, albo jak odrobina laku wylana na papier, albo jak garść klejnotów przesypanych z ręki do ręki.

Miał do heroiny taki stosunek, jaki inni mieli do miłości, a do miłości taki, jaki inni do heroiny: uważał miłość za coś niebezpiecznego i niezrozumiałego, na co szkoda czasu. Co mógł powiedzieć Debbie? „Chociaż dwiema najważniejszymi relacjami w moim życiu są nienawiść do ojca i miłość do narkotyków, chcę, żebyś wiedziała, że masz mocne trzecie miejsce”. Która kobieta nie byłaby dumna z miejsca na podium w takiej stawce?

– Weź przestań pierdolić – wymamrotał pod nosem i wypił drugie martini równie łapczywie jak pierwsze. Jak tak dalej pójdzie, będzie musiał zadzwonić do Pierre’a, swojego cudownego nowojorskiego dilerka. Nie! Nie robi tego, przyrzekł sobie, że tego nie zrobi. Pięć-pięć-pięć-jeden-siedem-dwa-sześć. Jakby miał ten

numer wytatuowany na nadgarstku. Nie dzwonił pod niego od września, czyli osiem miesięcy, ale nigdy nie zapomni tej fali podniecenia w jelitach, towarzyszącej wykręcaniu tych siedmiu cyfr.

Złoty Pucharek wrócił, odwijał gruby żółty papier z szyjki corton-charlemagne, tuląc do piersi butelkę clareta. Patrick tymczasem przyglądał się obrazowi z białym zameczkiem pod jednolicie złocistym niebem. Może dzięki tym pocieszaczom nie będzie musiał zaćpać po jedzeniu, pomyślał sceptycznie, próbując corton-charlemagne.

Na pierwszy smak zareagował szerokim uśmiechem mężczyzny, który wypatrzył kochankę na końcu zatłoczonego peronu. Ponownie uniósł kieliszek, upił duży łyk bladeżółtego wina, potrzymał je przez kilka sekund w ustach, po czym wpuścił do gardła. Tak, działało, wciąż działało. Były takie rzeczy, na których nigdy się nie zawiódł.

Zamknął oczy i smak rozlał się po jego ciele jak halucynacja. Tańsze wino przysgniotłoby go owocami, lecz winogrona, które sobie teraz wyobrażał, były, Bogu dzięki, sztuczne, jak kolczyki z wielkich żółtych pereł. Długie, mocne pędy winorośli ciągnęły go ku ciężkiej, rudawej glebie. Nuty żelaza, kamienia, ziemi i deszczu przemykały po jego podniebieniu, oczarowując go niby spadające gwiazdy. Wrażenia długo zamknięte w butelce roztoczyły się niczym skradzione płótno.

Były takie rzeczy, na których nigdy się nie zawiódł. Ze wzruszenia chciało mu się płakać.

– Czy chciałby pan spróbować dy-kru bo-ka-u?

– Tak.

Złoty Pucharek wlał trochę czerwonego wina do niedorzecznie wielkiego kieliszka. Już sam zapach podsuwał Patrickowi obrazy. Lśniący granit. Pajęczyny. Gotyckie piwnice.

– Jest w porządku – stwierdził bez próbowania. – Proszę mi nalać, wypiję później.

Usiadł wygodniej. Wino na chwilę odwróciło jego uwagę od pytania, które teraz wracało: czy po jedzeniu odwiedzi swojego dilerę, czy pojedzie do hotelu? Może mógłby spotkać się z Pierre'em towarzysko. Parsknął śmiechem, bo był to absurdalny pretekst, zarazem jednak czuł ogromną sentymentalną chęć zobaczenia się z tym obłąkanym Francuzem. Pod wieloma względami Pierre był najbliższą mu osobą.

Pierre spędził osiem lat w zakładzie dla umysłowo chorych, ponieważ wydawało mu się, że jest jajkiem. „Osieć, kurwa, lat, stary – opowiadał kiedyś, mówiąc bardzo szybko z silnym francuskim akcentem – myślałem, że jestem jajkiem. *Je croyais que j'étais un oeuf*. To nie żart”. Pielęgniarki, które w tym czasie karmiły, przenosiły, myły i ubierały jego opuszczone ciało, nie miały

pojęcia, że opiekują się jajkiem. Pierre śmigał swobodnie po całym świecie w stanie olśnienia, które nie wymagało prymitywnej mediacji słów i zmysłów. „Rozumiałem wszystko – zapewniał Patricka z natarczywym spojrzeniem. – *J'avais une conscience totale*”.

W trakcie tych podróży Pierre zahaczał nieraz o pokój szpitalny i unosił się z litością i pogardą nad swoim ciałem jajkiem, z którego nadal nic się nie wykluło. Aż po ośmiu latach uświadomił sobie, że to zaniedbane ciało umiera.

– Musiałem się wcisnąć z powrotem do ciała; straszne to było. *J'avais un dégoût total*.

Patrick słuchał tego zafascynowany. Przypomniało mu się obrzydzenie Lucyfera, kiedy musiał się wepchnąć między śliskie i ciasne pierścienie węża.

Pewnego dnia, kiedy pielęgniarki jak zwykle weszły z gąbkami i papką dla niemowląt, zobaczyły, że Pierre, po blisko dekadzie bezwładu i milczenia, siedzi na brzegu łóżka, słaby, lecz zniecierpliwiony.

– Dobra, wychodzę – rzucił.

Testy wykazały, że ma całkiem jasny umysł, może nawet zbyt jasny, więc z ulgą wypisano go ze szpitala.

Odtąd tylko ciągły dopływ heroiny i kokainy był w stanie podtrzymać w nim przynajmniej namiastkę tamtego wspaniałego obłądu. Unosił się, ale już nie tak lekko jak dawniej, gdzieś na obrzeżach między ciałem a fatalną tęsknotą za bezcielesnością. W zgięciu łokcia miał ranę, która wznosiła się niczym stożek wulkanu, chropawy zwał skrzepłej krwi i tkanki bliznowatej. Umożliwiła mu ona wbijanie cienkiej igły strzykawek insulinowych pionowo, nigdy nie musiał nią grzebać w poszukiwaniu żyły i miał ułatwiony dostęp do krwiobiegu – coś jak awaryjny pas na lotnisku, zawsze gotowy przyjąć kolejny strzał, by uśmierzyć grozę przebywania w tym niegościnnym, chorym na żółtaczkę ciele, o którym nie myślał jak o swoim.

Tryb życia Pierre'a był doskonale regularny. Nie spał przez dwie i pół doby, a następnie, po dużym zastrzyku heroiny, przez osiemnaście godzin spał lub przynajmniej odpoczywał. W okresach czuwania szybko i sprawnie handlował narkotykami; większość klientów spędzała w jego czarno-białym mieszkaniu nie więcej niż dziesięć minut. Aby uniknąć niedogodności związanych ze zgonami w łazience, wprowadził zakaz iniekcji, lecz wkrótce potem zrobił wyjątek dla Patricka. Przez całe minione lato Patrick starał się mieć identyczny cykl snu jak Pierre. Nieraz siedzieli do świtu po przeciwnych stronach położonego na płask lustra, które służyło Pierre'owi za stół, rozebrani do pasa, by nie musieć w kółko podwijać i opuszczać rękawów, i co kwadrans dawali sobie w żyłę, ociekając chemicznym potem i rozmawiając na ulubione tematy: jak osiągnąć stan idealnej bezcielesności; jak być świadkiem własnej śmierci; jak pozostać na pograniczu, gdzie człowiek nie jest zdefiniowany przez tożsamość, którą narzuca mu jego

historia; jak płytki i fałszywi są wszyscy ludzie, którzy nie biorą; no i, rzecz jasna, jak proste byłoby odstawienie dragów, gdyby naprawdę tego chcieli, co jednak było w ich przypadku stanem rzadkim i krótkotrwałym. Kurwa mać, pomyślał Patrick, opróżniając trzeci kieliszek białego wina i natychmiast go napełniając z kapiącej butelki. *Musi przestać o tym myśleć.*

Mając takiego ojca (chlip, chlip), zawsze odczuwał brak Autorytetu i Wzoru Do Naśladowania, lecz w Pierre znalazł w końcu człowieka, z którego mógł ochoczo brać przykład i którego rad gotów był słuchać. Przynajmniej dopóki Pierre nie zaczął go namawiać, żeby ograniczył się do dwóch gramów koki dziennie zamiast siedmiu, bez których Patrick nie umiał żyć.

– Pojechało cię? – krzyczał wtedy Pierre. – Nie możesz za każdym razem dawać sobie kopa. Chcesz się zabić?

Tamta kłótnia zmała Patrickowi ostatnie dni lata, lecz i tak trzeba się już było pozbyć czerwonej wysypki pokrywającej całe ciało i piekących białych wrzodów, które powyskakiwały mu w ustach, przełyku i żołądku, toteż kilka dni później wrócił do Anglii i zameldował się w swojej ulubionej klinice.

– *Oh, les beaux jours* – westchnął, pożerając łapczywie, w kilku zdyszanych kęsach, surowego łososia. Dopił resztę białego wina, teraz już obojętny na jego smak.

Kto jeszcze prócz niego siedzi w tej okropnej restauracji? Dziwne, że do tej pory ani razu się nie rozejrzył; choć właściwie – nie takie znowu dziwne. Jego raczej nikt by nie poprosił o pomoc w rozwiązaniu „problemu innych umysłów”, choć oczywiście ludzie jak Victor, czyli tacy, dla których to był problem, słynęli z tego, że własne umysły pochłaniały ich bez reszty. Osobliwy zbieg okoliczności.

Potoczył po sali zimnym, gadzim spojrzeniem. Nienawidził ich wszystkich, bez wyjątku, a zwłaszcza tego niewiarygodnie grubego mężczyzny, który siedział z blondynką. Pewnie musiał jej zapłacić, żeby maskowała swoje obrzydzenie.

– Chryste, jesteś odrażający – wymamrotał Patrick. – Nie myślałeś o diecie? Tak jest, o diecie. A może nigdy nie przyszło ci do głowy, że jesteś okropnie gruby? – Czuł w sobie mściwą i chamską agresję. Haj po alkoholu jest strasznie prymitywny, wspomniał mądre słowa swojego pierwszego dileru haszu z czasów szkolnych, starego i wiecznie nastukanego hippisa imieniem Barry.

– Gdybym ja tak wyglądał – cedził pod nosem w kierunku tłuściocha – popełniłbym samobójstwo. Nie żebym potrzebował dodatkowych powodów. – Niewątpliwie był grubistą, seksistą, ageistą, rasistą, dragistą oraz, naturalnie, snobem, i to tak zajadłym, że nikt nie spełniał jego oczekiwań. Konia z rzędem temu, kto znajdzie jakąś mniejszość albo większość, którą nie pogardzał z takiego czy innego powodu.

– Czy wszystko w porządku? – spytał jeden z kelnerów, biorąc mamrotanie Patricka za próbę złożenia zamówienia.

– Tak, tak – odparł Patrick. No, może niezupełnie wszystko, pomyślał, trudno było odpowiedzieć twierdząco na tak postawione pytanie. Co więcej, sama sugestia, że wszystko może być w porządku, niebezpiecznie burzyła mu krew. Afirmacja była zbyt cennym dobrem, by ją trwonić na tak nedorzeczne stwierdzenia. Miał ochotę przywołać kelnera i sprostować fałszywe wrażenie szczęścia, które mógł niechcący wyrzucić. Tymczasem jednak zjawił się kolejny – czy zostawią go kiedyś samego? czy zniósłby tę samotność? – z tatarem wołowym. Patrick zażyczył go sobie na ostro, bardzo ostro.

W kilka minut pożarł górę surowego mięsa z *pommes allumettes*, wypalając sobie gardło sosem tabasco i pieprzem cayenne.

– Tak, skarbie – powiedział swoim tonem niani. – Musimy wpakować w ciebie coś konkretnego.

– Dobrze, nianiu – odparł posłusznie. – Może by kulkę z pistoletu albo igłę, co?

– Kulkę, no wiesz – zachnął się – igłę! I co jeszcze? Zawsze byłeś dziwnym chłopcem. To się źle skończy, młody człowieku, zapamiętaj moje słowa.

Boże, zaczęła się. Głosy. Dialogi odbywane w pojedynkę. Niepohamowany strumień okropnej paplaniny. Patrick wyłopał cały kieliszek czerwonego wina tak łapczywie, jak Lawrence z Arabii w interpretacji Petera O’Toole’a dudlił lemoniadę po wędrówce przez pustynię.

– Zdobyliśmy Akabę – powiedział, gapiąc się obłądnie w przestrzeń i żywo poruszając brwiami.

– Czy życzy pan sobie deser?

Nareszcie, prawdziwy człowiek z prawdziwym pytaniem.

– Tak – odrzekł Patrick z dzikim uśmiechem. – Poproszę *crème brûlée*.

Wlepił wzrok w kieliszek. Czerwone wino niewątpliwie zaczęło się rozwijać. Szkoda, że wypił już całe. Tak, zaczęło się rozwijać, jak powoli otwierająca się pięść. A w jej wnętrzu... W jej wnętrzu co? Rubin? Winogrono? Kamień? Być może porównania polegały w istocie na przerzucaniu się jednym pojęciem, lekko tylko przebrany, by stworzyć wrażenie owocnej wymiany. Sir Sampson Legend był jedynym szczerym zalotnikiem spośród wszystkich, którzy kiedykolwiek wygłaszali peany na cześć kobiety: „Podaj mi swą dłoń, niech ją ucałuję; ciepła jest i miękka – jak co? Jak ta druga”. Oto udana paralela. Tragiczne niedostatki porównań. Ołów w sercu skowronka. Rozczarowująca krzywizna przestrzeni. Fatum czasu.

Chryste, był całkiem pijany. Wciąż jednak nie dość pijany. Wlewał w siebie wino, lecz nie docierało ono do źródeł zamętu; wypadek przy drodze i pocięty metal, z którego po latach wciąż nie mógł się wydostać. Westchnął głośno, kończąc jakby stęknieniem, i ponuro zwiesił głowę.

*Crème brûlée* spałaszował z taką samą rozpaczliwą niecierpliwością jak

wszystko inne, teraz podszytą jeszcze zmęczeniem i udręką. Na koniec ten dziki apetyt jak zwykle wprowadził go w milczący smutek. Po kilku minutach tępego wpatrywania się w podstawę kieliszka Patrick znalazł w sobie energię, by zamówić kieliszek marc de bourgogne i poprosić o rachunek.

Zamknął oczy i wypuszczając dym papierosowy z ust, wciągał go nosem i ponownie wypuszczał ustami. Był to recykling w najlepszym znaczeniu tego słowa. Oczywiście wciąż mógł pojechać na przyjęcie, na które zaprosiła go Anne, ale wiedział, że tego nie zrobi. Dlaczego tak trudno go nakłonić do czegokolwiek? Do udziału. Do przyznania racji. Do wybaczenia. Kiedy już będzie za późno, natychmiast pożałuje, że nie pojechał na to przyjęcie. Zerknął na swój zegarek. Dopiero wpół do dziesiątej. Jeszcze nie teraz, lecz było tylko kwestią czasu, aż jego opór przerodzi się w żal. Potrafił sobie nawet wyobrazić, że pokochałby kobietę, pod warunkiem że najpierw by ją stracił.

Podobnie było z czytaniem. Gdy tylko nie miał dostępu do książek, chwycił go dotkliwy głód lektury, a kiedy przezornie nosił książkę w kieszeni płaszcza, tak jak dziś wieczorem *Mit Syzyfa*, mógł być pewien, że nie najdzie go ochota na literaturę.

Przed *Mitem Syzyfa* co najmniej rok nosił przy sobie *Nienazywalne* i *Nightwood*, a wcześniej, przez dwa lata, książkę do kieszeni *par excellence*, czyli *Jądro ciemności*. Nieraz przerażony własną ignorancją, pragnąc sobie przyswoić trudną książkę czy nawet monumentalne dzieło, zdejmował ze swojej półki Emptona lub Gibbona, po czym odkrywał, że pierwsze strony są już pokryte niejasnymi dopiskami, które niewątpliwie wyszły spod jego ręki. Te ślady poprzedniej cywilizacji byłyby nawet krzepiące, gdyby pamiętał cokolwiek z pierwszej lektury, ale świadomość, że wszystko zapomniał, napawała go trwogą. Jaki sens miało gromadzenie tak ulotnych doświadczeń? W jego dłoniach przeszłość zmieniała się w wodę i przeciekała bezpowrotnie przez drżące palce.

Patrick wstał ciężko i ruszył po grubej czerwonej wykładzinie, odrzucona do tyłu głowa kiwała się na boki, oczy miał prawie zamknięte i patrząc spoza siatki rzęs, zamiast stolików widział rozmazane ciemne plamy.

Podjął decyzję. Zadzwoń do Pierre'a i niech los zdecyduje, czy zaćpa, czy nie. Jeżeli Pierre będzie spał, to nici z hery, a jeśli odbierze, to Patrick wpadnie do niego i weźmie coś niecoś na dobry sen. I jeszcze odrobinę na rano, żeby go nie mdliło.

Barman postawił na mahoniowej ladzie telefon, a obok niego kolejny kieliszek winiaku. Pięć... pięć... pięć... jeden... siedem... dwa... sześć. Serce Patricka zabiło szybciej i nagle wystrzyła mu się uwaga.

– Nie mogę teraz odebrać, zostaw wiado...

Patrick trzasnął słuchawką. Pierdolona sekretarka. Naprawdę spał o dziesiątej wieczorem? To jakaś kpina. Sięgnął po telefon i ponownie wykręcił



numer. Czy powinien zostawić wiadomość? Najlepiej w formie dyskretnego szyfru, coś w rodzaju: „Wstawaj, chuju, potrzebuję ćpania”.

    Nie, to beznadziejne. Los przemówił, trzeba uznać jego wyrok.

    Na zewnątrz było zaskakująco ciepło. Mimo to, szukając wzrokiem wolnej taksówki, Patrick postawił kołnierz płaszcza.

    Wkrótce spostrzegł jedną i wszedł na jezdnię, by ją zatrzymać.

    – Hotel Pierre – powiedział, gramoląc się do środka.

Jakiego narzędzia mógł użyć, żeby się wyzwolić? Pogardy? Agresji? Nienawiści? Wszystkie były skażone wpływem ojca, czyli właśnie tym, od czego próbował uciec. A smutek, który odczuwał, jeśli się nad tym zastanowić, czyż nie nauczył się go od ojca, gdy ten pogrążał się coraz głębiej w paraliżującym nieszczęściu?

Po rozwodzie z Eleanor David pozostał na południu Francji, tylko piętnaście mil od starego domu w Lacoste. W swoim nowym domu, z oknami wychodzącymi jedynie na wewnętrzne podwórko pełne chwastów, leżał całymi dniami w łóżku, rżąc i wpatrując się w sufit, nie mając nawet siły wstać po egzemplarz *Jorrocks Rides Again*, który dawniej potrafił go rozweselić w najbardziej ponurych okolicznościach.

Kiedy Patrick, mając lat osiem lub dziewięć, rozdarty między strachem a niepojętą lojalnością, odwiedzał ojca, David przerywał ogromną ciszę jedynie po to, by wyrazić pragnienie śmierci – i wydać ostatnie polecenia.

– Możliwe, że długo już nie pożyję – sapał – i że już się nie zobaczymy.

– Nie, tato, nie mów tak – odpowiadał błagalnie Patrick.

Potem następowały stare zaklęcia: obserwuj wszystko... nie ufaj nikomu... pogardzaj matką... wysiłek jest wulgarny... w osiemnastym wieku było lepiej.

Poruszony myślą, rok po roku, że mogą to być ostatnie wypowiediane na głos przemyślenia ojca, kwintesencja całej jego mądrości i doświadczenia, Patrick przywiązywał nadmierną wagę do tego zbioru nużących opinii, lekceważąc przytłaczające dowody na to, że nie pomogły one ojcu odnaleźć szczęścia. Lecz i takie stawianie sprawy było wulgarnie. Cały system, podobnie jak wiele innych, działał bez zarzutu, gdy się przyjęło na wiarę odpowiednie założenie.

Jeśli ojcu zdarzyło się wstać z łóżka, było jeszcze gorzej. Szli wtedy do miasteczka po zakupy, ojciec ubrany w starą zieloną piżamę i krótki niebieski płaszcz z kotwicami na guzikach, w ciemnych okularach przywiązanych do szorstkiego sznurka na szyi, w ciężkich sznurowanych butach, jakie nosili miejscowi chłopcy traktorzyści. Poza tym zapuścił śnieżnobiałą brodę i zawsze nosił ze sobą pomarańczową nylonową torbę na zakupy z wytartymi złotymi uchami. Patricka brano za jego wnuka; pamiętał wstyd i przerażenie, a także obronną dumę, z jakimi towarzyszył coraz bardziej ekscentrycznemu i przybitemu ojcu podczas wypraw do miasteczka.

– Chcę umrzeć... chcę umrzeć... chcę umrzeć – mamrotał szybko Patrick. To było absolutnie nie do przyjęcia. Nie mógł być tym człowiekiem, który był tym człowiekiem. Spid wracał, niosąc ze sobą groźbę jasnego umysłu i silnych emocji.

Taksówka zbliżała się już do hotelu i trzeba było szybko podjąć decyzję. Pochylił się do przodu i odezwał:

– Zmieniłem zdanie. Jedźmy na Ósmą Ulicę między C a D.

Chiński taksówkarz spojrział z powątpiewaniem w lusterko wsteczne. Hotel Pierre i Aleja D to były dwa zupełnie różne światy. Jaki człowiek rezygnował nagle z tego pierwszego na rzecz drugiego? Tylko ćpun albo nieświadomy turysta.

– Aleja D złe miejsce – powiedział, testując hipotezę numer dwa.

– Liczę na to – odparł Patrick. – Proszę mnie tam zabrać.

Taksówkarz minął ulicę wiodącą w stronę hotelu i jechał dalej Piątą Aleją. Patrick oparł się wygodnie, czuł podniecenie, mdłości i wyrzuty sumienia, które jednak maskował, jak zwykle, ospałą obojętnością.

Co z tego, że zmienił zdanie? Elastyczność to cecha pożądana. A nie było chyba drugiej tak elastycznej osoby jak on, gdy szło o rezygnowanie z dragów, ani tak otwartej na możliwość, że jednak je weźmie. Na razie nic jeszcze nie zrobił. Mógł się jeszcze wycofać z tej decyzji, a właściwie wycofać się z wycofania się. Mógł jeszcze zawrócić.

Zmierzając w dół z Upper do Lower East Side, od Le Veau Gras do taniego spożywcza przy Ósmej Ulicy, myślał nie bez pewnego podziwu o łatwości – choć może odpowiedniejszym słowem była „nieuchronność” – z jaką poruszał się między luksusem a nędzą.

Zbliżali się już do placu Tompkinsa, gdzie zaczynała się dzielnica zabawy. To tutaj włókł swój żywot na wiecznym głodzie Chilly Willy, awaryjny uliczny kontakt, do którego Patrick uderzał zirytowany, kiedy się okazywało, że Pierre śpi. Chilly zawsze gonił resztkami, od jednej działki do następnej, trząsł się, ale go nie wykręcało, skomlał, ale nie wrzeszczał; chodził małymi, szarpanymi kroczkami, z bezwładnym i pozbawionym czucia ramieniem dyndającym u boku niczym stary kabel u sufitu poruszany przeciągiem. Zdrową ręką Chilly przytrzymywał sobie brudne workowate spodnie, które zawsze były o włos od zsunienia się z jego wychudzonej talii. Mimo czarnej skóry wyglądał blado, twarz pokrywały mu brązowe wątrobiane plamy. Ostatnie zęby, które w liczbie czterech czy pięciu bohatersko trzymały się dziąseł, były albo ciemnożółte, albo czarne, wyszczerbione albo połamane. Podnosił na duchu sąsiadów i klientów, gdyż trudno było sobie wyobrazić, że ktoś mógłby wyglądać gorzej od niego, choćby nawet wcale o siebie nie dbał.

Taksówka przecięła Aleję C i jechała dalej Ósmą Ulicą. Witajcie, brudne lędźwie miasta, pomyślał zadowolony Patrick.

– Gdzie panu wysiada? – spytał Chińczyk.

– Tam, gdzie jest heroina.

– Heloina – powtórzył zaniepokojony kierowca.

– Zgadza się. Może być tutaj, zatrzyma się pan.

Na rogu nafazowani Portorykańczycy chodzili w tę i w tę boksem krokiem, czarni faceci w dużych kapeluszach opierali się w drzwiach. Patrick

opuścił szybę w taksówce; nowi przyjaciele zeszli się natychmiast.

– Czego trzeba, szefie?

– Przezroczysta taśma... czerwona taśma... żółta taśma. Co byś chciał?

– Hera? – spytał Patrick.

– Kurwa, koleś, jesteś gliniarzem.

– Nie, nie – zaprotestował Patrick. – Jestem Anglikiem.

– Wyłaż z taryfy, to pogadamy.

– Pan tu poczeka – rzucił Patrick do taksówkarza. Wysiadł z samochodu.

Jeden z dilerów chwycił go za ramię i zaczął prowadzić za róg.

– Dalej nie idę – oznajmił Patrick w ostatniej chwili, zanim stracił taksówkę z oczu.

– Ile chcesz?

– Daj cztery torebki przezroczystej. – Patrick starannie rozwinął dwa banknoty dwudziestodolarowe. Dwudziestki trzymał w lewej kieszeni spodni, dziesiątki w prawej, pięcio- i jednodolarówki w kieszeniach płaszcza. Setki pozostawił w kopercie w kieszeni wewnętrznej. Tak było najlepiej, nie kusił nikogo grubą gotówką.

– Dam sześć za pięćdziesiąt. Jedna torebka gratis.

– Nie, cztery wystarczą.

Patrick wsadził do kieszeni cztery torebeczki z pergaminowego papieru i wrócił do taksówki.

– Telaz hotel – odezwał się z nadzieją Chińczyk.

– Nie, pokręcimy się jeszcze trochę. Niech pan jedzie na róg Szóstej i B.

– Po co się kłęcimy? – Kierowca wymamrotał jakieś chińskie przekleństwo, ale ruszył we właściwym kierunku.

Patrick musiał najpierw przetestować kupioną heroinę, zanim odjedzie za daleko. Rozerwał jedną z torebek i wysypał biały proszek do zagłębienia utworzonego przez ściętno uniesionego kciuka. Zbliżył proszek do nosa i go wciągnął.

Chryste! Coś okropnego. Złapał się za szczypiący nos. Kurwa, szlag, pies go w mordę.

To nie była hera, tylko jakaś obrzydliwa mieszanina proszku do szorowania i barbituranów. Proszek do szorowania nadawał goryczkę, a barbiturany delikatnie ogłuszały. Taki towar miał oczywiście pewne zalety. Można było brać dziesięć takich torebek dziennie i nigdy się nie uzależnić. Można było zostać aresztowanym i nie trafić przed sąd za posiadanie heroiny. Całe szczęście, że sobie tego nie wstrzyknął, bo wypaliłoby mu żyły. Co mu odbiło, żeby kupować ćpanie na ulicy? Chyba zwariował. Trzeba było poszukać Chilly Willy'ego i wysłać go do Loretty. W jej papierowych paczuszkach było przynajmniej trochę heroiny.

Nie zamierzał jednak wyrzucać tego syfu, dopóki nie zdobędzie czegoś

lepszego. Taksówka dotarła na róg Szóstej i C.

– Stanie pan tutaj.

– Ja tu nie czekać – zdenerwował się kierowca.

– To się pierdol. – Patrick rzucił na fotel pasażera banknot dziesięciodolarowy i wysiadł. Trzasnął drzwiami i ruszył sztywno w kierunku Siódmej Ulicy. Taksówka odjechała z piskiem. Gdy zniknęła, Patrick zdał sobie sprawę z ciszy, w której głośno rozbrzmiewały jego kroki. Był sam. Ale tylko przez chwilę. Na najbliższym skrzyżowaniu około tuzina dilerów sterczało przed sklepem z przecenioną żywnością.

Patrick zwolnił. Jeden z mężczyzn, spostrzegłszy go, odłączył się od grupy i nieśpiesznie, lecz sprężystym krokiem przeszedł na drugą stronę jezdni. Czarny i nadzwyczaj wysoki, miał na sobie lśniąca czerwoną kurtkę.

– Jak leci? – spytał Patricka. Twarz miał całkiem gładką, kości policzkowe wyraźnie zarysowane, oczy szerokie i jakby gnuśne.

– W porządku – odparł Patrick.

– Czego potrzeba?

– Możesz mnie zaprowadzić do Loretty?

– Do Loretty – powtórzył leniwie mężczyzna.

– Tak. – Patricka irytowała jego powolność. Czując książkę w kieszeni płaszcza, wyobraził sobie, że wyciąga ją niczym pistolet i zabija dilerambitnym pierwszym zdaniem: „Jest tylko jeden problem filozoficzny prawdziwie poważny: samobójstwo”.

– Dużo potrzeba? – spytał diler, nonszalancko sięgając za siebie.

– Za pięćdziesiąt dolców.

Po drugiej stronie ulicy zrobiło się zamieszanie i jakaś postać, która wydała się Patrickowi trochę znajoma, pokuśtykała nerwowo w ich kierunku.

– Nie ciukaj go, nie ciukaj!

Teraz Patrick go rozpoznał: to był Chilly, trzymał się za spodnie. Doczłapał do nich zdyszany.

– Nie ciukaj go – powtórzył – to mój ziom.

Wysoki czarny uśmiechnął się, jakby uznał cały incydent za wielce zabawny.

– Chciałem cię zaciukać – rzekł, z dumą pokazując Patrickowi niewielki nóż.

– Nie wiedziałem, że znasz Willy’ego!

– Jaki ten świat mały – odparł Patrick zmęczonym głosem. Czuł się zupełnie oderwany od niebezpieczeństwa, które ponoć groziło mu ze strony tego człowieka, i chciał czym prędzej załatwić swój interes.

– Co nie? – przytaknął wysoki, z każdą chwilą coraz bardziej ożywiony. Podał Patrickowi rękę, w której przed momentem trzymał nóż. – Jestem Mark. Jakbyś coś potrzebował, pytaj o Marka.

Patrick uścisnął mu dłoń i uśmiechnął się blade.

- Cześć, Chilly – powiedział.
- Gdzieś ty się podziewał? – spytał Chilly z wyrzutem.
- A, byłem w Anglii. Chodźmy do Loretty.

Mark pomachał na do widzenia i wrócił w podskokach na drugą stronę ulicy. Patrick i Chilly ruszyli w kierunku centrum.

– Niezwykły człowiek – rozwlekłym tonem zauważył Patrick. – Zawsze wita się nożem z nieznajomymi?

– To zły człowiek – odparł Chilly. – Lepiej się od niego trzymać z daleka. Czemu nie spytałeś o mnie?

– Spytałem – skłamał Patrick – ale oczywiście powiedział, że nie ma cię tutaj. Pewnie miał ochotę mnie dziabnąć.

– Tak, to zły człowiek – powtórzył Chilly.

Skręcili w Szóstą Ulicę i prawie od razu zeszli po krótkich schodach do piwnicy w zapuszczonym szeregowcu. Patricka mile polechtało, że Chilly zabiera go do Loretty, a nie każe mu czekać na ulicy.

Na dole były tylko jedne, okute stalą drzwi z mosiężną klapką i niewielkim wizjerem. Chilly nacisnął dzwonek i wkrótce potem rozległ się podejrzliwy głos:

- Kto tam?
- Chilly.
- Ile chcesz?

Patrick podał Chilly'emu pięćdziesiąt dolarów. Chilly przeliczył banknoty, otworzył mosiężną klapkę i wepchnął je do środka. Klapka natychmiast opadła i długo pozostawała zamknięta.

– Będzie paczuszka dla mnie? – spytał Chilly, przestępując z nogi na nogę.

– Pewnie – odparł wspaniałomyślnie Patrick, sięgając do kieszeni spodni po banknot dziesięciodolarowy.

– Dzięki, brachu.

Klapka się otwarła i Patrick zachłannie wy dostał z otworu pięć paczuszek. Chilly wziął jeszcze jedną dla siebie i obaj wyszli na ulicę z poczuciem sukcesu, które jednak mącił głód.

– Masz jakiś czysty sprzęt? – zapytał Patrick.

– Moja stara ma. Chcesz pójść do mnie?

– Chętnie! – Patrickowi schlebowały te mnożące się dowody zaufania i przyjaźni.

„Do mnie” oznaczało w przypadku Chilly'ego pokój na drugim piętrze wypalonego budynku. Mury czarne od sadzy, na grożącej zawaleniem klatce schodowej mnóstwo pudełek po zapalniczkach, różnokolorowego szkła, brązowych papierowych toreb, kupek kurzu i kłębow starych włosów. Sam pokój był pozbawiony jakichkolwiek mebli poza przypalonym w wielu miejscach musztardowym fotelem z wystającą pośrodku siedzenia sprężyną, przywodzącą na

myśl obraźliwie wysunięty język.

Kiedy tam weszli, pani Willy – o ile tak należało ją tytułować, o czym Patrick nie był do końca przekonany – siedziała na poręczy fotela. Była tęgą kobietą, zbudowaną bardziej po męsku niż jej chudy jak szkielet mąż.

– Hej, Chilly – rzuciła sennie; w przeciwieństwie do niego nie zdradzała objawów abstynencji.

– Hej – odpowiedział. – Znasz mojego kumpla.

– Cześć, złotko.

– Cześć – odparł Patrick, uśmiechając się czarująco. – Chilly powiedział, że możesz mieć wolną strzykawkę.

– Mogę mieć – powiedziała figlarnie.

– Nową?

– Nie do końca, ale wygotowaną i w ogóle.

Patrick uniósł brew w wyrazie ponurego sceptycyzmu.

– Bardzo tępa? – zapytał.

Wyłowiła z przepastnego biustonosza zwitek papieru toaletowego i starannie odwinęła cenny pakunek. W środku znajdowała się niepokojąco wielka strzykawka; pracownik zoo pewnie zastanowiłby się dwa razy, zanim nakłułby nią chorego słonia.

– To nie jest igła, to pompka do roweru – zaprotestował Patrick z dłonią wyciągniętą przed siebie.

Złowieszco gruba, była to igła do wstrzyknięć domięśniowych; po odczepieniu zielonej plastikowej nasadki Patrick zauważył w środku krąg krwi.

– Mhm – powiedział. – To ile za nią chcesz?

– Daj dwie paczki – zażądała pani Chilly, uroczo marszcząc nos.

Była to cena z kosmosu, lecz Patrick nigdy się nie targował. Rzucił jej dwie paczuszki na kolana. Jeżeli towar okaże się coś wart, zawsze można kupić więcej. Teraz musiał sobie przyładować. Poprosił Chilly'ego, żeby pożyczył mu łyżkę i filtr papierosowy. Ponieważ w pokoju zepsuło się światło, Chilly zaproponował Patrickowi łazienkę. Nie było w niej wanny, był za to czarny ślad na podłodze w miejscu, gdzie kiedyś pewnie stała. Goła żarówka rzucała matowe żółte światło na nieprawdopodobnie popękana umywalkę i starą muszlę klozetową bez deski.

Patrick nalał trochę wody na łyżkę i odłożył ją na umywalkę. Rozrywając trzy paczki, które mu pozostały, zastanawiał się, co to za produkt. Chilly, który ćpał heroinę od Loretty, może i nie wyglądał najlepiej, ale przynajmniej żył. Skoro państwo Chilly'owie zamierzali to sobie władować w kanał, nie widział powodu, żeby samemu tego nie zrobić. Słyszał ich szepty za ścianą. Chilly mówił coś o tym, jak cierpi, ewidentnie próbował wydebić od żony drugą paczuszkę. Patrick wsypał zawartość wszystkich trzech torebek do wody i podgrzał roztwór, płomień zapalniczki lizał poczerniały już spód łyżki. Gdy tylko roztwór zaczął bulgotać,

wyłączył ogień i odłożył parujący płyn. Urwał cienki pasek filtra papierosowego, upuścił go na łyżkę, wyjął igłę ze strzykawki, po czym naciągnął roztwór przez filtr. Cylinder strzykawki był tak gruby, że tłok podniósł się zaledwie o pół centymetra.

Patrick rzucił płaszcz i marynarkę na ziemię i podwinąwszy rękaw, usiłował dojrzeć żyły w mętym świetle, w którym wszystko, co nie było czarne, powlekało się żółcią. Na szczęście liczne ślady po nakłuciach tworzyły brązowo-fioletowe smugi, jak gdyby jego żyły były śladami wypalonymi przez ścieżkę prochu strzelniczego.

Patrick zawinął rękaw koszuli ciasno wokół bicepsa, po czym kilka razy energicznie podniósł i opuścił przedramię, zaciskając przy tym i rozwierając pięść. Miał dobre żyły i choć skutek ciągłego maltretowania potrafiły się czasem chować, i tak był w lepszej sytuacji od wielu osób, które nieraz i przez godzinę musiały grzebać w poszukiwaniu żyły.

Podniósł strzykawkę i oparł koniec igły o skórę w miejscu, gdzie ślady najbardziej się rozjeżdżały, ukosem do nich. Przy tak długiej igle zawsze istniało ryzyko przebicia żyły i władowania się w mięsień, co nie należało do przyjemności, dlatego zamierzał kłuć pod małym kątem. W tym newralgicznym momencie strzykawka wyslizgnęła mu się z dłoni i wylądowała w kałuży obok sedesu. Nie mógł w to uwierzyć. Z przerażenia zakręciło mu się w głowie. Wszystko sprzysięgło się dziś przeciwko niemu. Schylił się rozgoryczony i podniósł sprzęt z mokrej podłogi. Igła się nie wygięła. Bogu dzięki. Wszystko było w porządku. Wytarł prędko strzykawkę o spodnie.

Serce biło mu szybko, dreszcz emocji, żądza wymieszana ze strachem przenikały go na wskroś, jak przed każdym strzałem w żyłę. Wsunął boleśnie tępy koniec igły pod skórę i wydało mu się, cud nad cuda, że ujrzał w strzykawce kroplę krwi. Nie chcąc przedłużać swoich zmagania z nieporęcznym narzędziem, oparł kciuk na tłoku i wcisnął go do końca jednym ruchem.

Poczuł, że ręka gwałtownie mu pęcznieje, i od razu pojął, że igła wysunęła się z żyły, a cały roztwór trafił pod skórę.

- Kurwa! – krzyknął.
- Chilly wszedł, powłócząc nogami.
- Co jest, brachu?
- Nie trafiłem – wycedził Patrick przez zęby, przyciskając dłoń zranionej ręki do barku.
- Uuu – zachrypiał współczująco Chilly.
- Mogę coś zasugerować? Zainwestuj w mocniejszą żarówkę – rzekł ze śmiertelną powagą Patrick, trzymając rękę tak, jakby była złamana.
- Trzeba było poświecić latarką – odparł Chilly, drapiąc się.
- Aha, dzięki za radę.



- Chcesz pójść po więcej? – spytał Chilly.
- Nie – uciał Patrick, wkładając płaszcz. – Spadam.

Na ulicy zaczął się zastanawiać, dlaczego nie przystał na propozycję Chilly'ego. Tylko spokojnie, wymamrotał z sarkazmem. Był zmęczony, ale zbyt sfrustrowany, żeby pójść spać. Zegarek wskazywał wpół do dwunastej; może Pierre już się zbudził. Lepiej wróci do hotelu.

Zatrzymał taksówkę.

- Jesteś stąd? – spytał go kierowca.
- Nie, próbowałem tylko zaćpać. – Patrick westchnął i wyrzucił przez okno torebki z proszkiem do szorowania.
- Chcesz zaćpać?
- Tak.
- Chłopie, znam lepsze miejsce.
- Naprawdę? – Patrick zamienił się w słuch.
- Pewnie, że tak. W południowym Bronksie.
- Dobra, to jedziemy.
- Okej – zaśmiał się kierowca.

Nareszcie jakiś pomocny taksówkarz. Od razu człowiekowi poprawiał się humor. Może trzeba będzie wysłać list do Yellow Cab Company. „Szanowni państwo – mamrotał Patrick pod nosem – chciałbym wyrazić najwyższy podziw dla inicjatywy oraz uprzejmości wspaniałego młodego kierowcy z państwa firmy, Jeffersona E. Parkera. Po bezowocnej i, co tu dużo mówić, ogromnie irytującej eskapadzie do Alphabet City ten błędny rycerz, istny anioł miłosierdzia, uratował mnie z ciężkiej opresji i zawiózł do południowego Bronksu, żebym mógł zaćpać. Gdyby także inni państwa kierowcy usługiwali klientom z podobną staroświecką gorliwością! Łączę wyrazy *et cetera*, Pułkownik Melrose”.

Patrick uśmiechnął się. Miał wszystko pod kontrolą. Był w euforycznym, beztroskim wręcz nastroju. Bronx mógł trochę niepokoić kogoś, kto widział *Wojowników Bronksu* – film pełen okropieństw, nie mylić z piękną wizualnie przemocą obrazu o prostszym i bardziej ogólnym tytule *Wojownicy* – lecz Patrick czuł się niezniszczalny. Wrogowie sięgali po noże, ale nie byli w stanie go trafić, a zresztą nóż i tak przeleciałby przez niego jak przez powietrze.

Gdy taksówka pędziła mostem, którym Patrick nigdy wcześniej nie jechał, Jefferson obrócił głowę.

- Zaraz będziemy w Bronksie.
- Mam poczekać w samochodzie? – spytał Patrick.
- Lepiej się połóż na podłodze – zaśmiał się taksówkarz. – Tutaj nie lubią białych.
- Na podłodze?
- Tak, żeby nikt cię nie widział. Jak cię zobaczą, zbiją mi szyby. Kurwa, nie

chęć, żeby mi zbili szyby.

Jefferson zatrzymał taksówkę kilka przecznic za mostem. Patrick usiadł na gumowej wycieracze tyłem do drzwi.

– Ile chcesz? – spytał Jefferson, wychylając się z fotela kierowcy.

– Pięć paczek. I weź dwie dla siebie – dodał Patrick, wręczając mu siedemdziesiąt dolarów.

– Dzięki. Zamknę drzwi na klucz. Nie ruszaj się stamtąd, dobra?

– Dobra. – Patrick zsunął się jeszcze niżej i rozciągnął na podłodze. Rozległ się szcęk zamykanych zamków w drzwiach. Patrick wiercił się przez jakiś czas, w końcu ułożył się w pozycji embrionalnej, z głową na podwyższeniu między fotelami. Po kilku chwilach kość biodrowa zaczęła się naprzykrzać wątrobie. Beznadziejnie zamotany w fałdach płaszcza, obrócił się twarzą do ziemi, oparł głowę na dłoniach i utkwiał wzrok w rowkach wycieraczki. Na tej wysokości czuć było wyraźnie olejem.

– To pozwala spojrzeć na życie z całkiem nowej perspektywy – powiedział tonem gospodyni domowej z telewizora.

Miał już tego dość. Wszystkiego miał dość. Zawsze pakował się w te dziwne sytuacje, zawsze trafiał między nieudaczników, ludzi z marginesu, między Chilly Willych tego świata. Nawet w szkole, kiedy we wtorki i czwartki inni chłopcy dołączali do swoich drużyn i grali mecze, jego wysyłano na boczne boiska z wszelkiej maści asportowymi osobnikami: z wrażliwymi muzykami o bladej cerze, z beznadziejnie grubymi Grekami, z kurzącymi papierosy kontestatorami, dla których wysiłek fizyczny był synonimem najgorszego obciachu. Za karę chłopcy ci byli zmuszani do pokonywania ścieżki zdrowia. Pan Pitch, nerwowy pederasta, który opiekował się tą chorowitą zgrają, drżał z okrutnego podniecenia, gdy kolejni uczniowie, mrużąc oczy, wpadali na przeszkody, truchtali jak kaczki albo próbowali oszukać system, omijając mur na początku ścieżki. Podczas gdy Grecy lądowali w kałużach błota, muzykalni gubili okulary, a obdżektorzy wygłaszali cyniczne uwagi, pan Pitch biegał tam i z powrotem, wymyślając im od rozpieszczonych maminsynków oraz, gdy nadarzała się okazja, kopiąc ich w tyłek.

Co jest, do cholery? Czy Jefferson poleciał po koleżków, żeby razem z nimi go sprać, czy może po prostu poszedł się nawalić bez niego?

Tak, pomyślał Patrick, wciąż się wiercąc; całe życie z nieudacznikami. Kiedy jako dziewiętnastolatek mieszkał w Paryżu, zadawał się z Jimem, australijskim przemytnikiem heroiny, który musiał uciec ze swojego kraju, i Simonem, czarnoskórym Amerykaninem, który dopiero co wyszedł z więzienia, odsiedziawszy karę za napad na bank. Pamiętał, jak raz Jim, szukając żyły w gęstwinie rudych włosów na przedramieniu, powiedział: „Człowieku, Australia wiosną jest taka piękna. Te wszystkie brykające owieczki. Widać po nich, że cieszą się życiem”. Po czym, z rozmarzoną miną, nacisnął tłoczek strzykawki.

Simon próbował obrabować bank, będąc na głodzie, ale policjanci, wystrzelili w jego stronę kilka serii, zmusili go, żeby oddał się w ich ręce.

– Nie chciałem, żeby ze mnie zrobili ser szwajcarski, co nie? – wyjaśniał.

Patrick usłyszał miłosierny odgłos otwierających się zamków.

– Mam towar – oznajmił chropawym głosem Jefferson.

– Miodzio – odparł Patrick, wstając.

W drodze do hotelu Jefferson był wesoły i odprężony. Było to całkiem zrozumiałe, zważywszy, że wciągnął trzy torebki. Nareszcie udało się znaleźć proszek z odrobiną heroiny.

Rozstali się w atmosferze nieklamanej serdeczności, jak przystało na ludzi, którzy wzajemnie się wykorzystali. W pokoju, leżąc z rozrzuconymi rękami na łóżku, Patrick uzmysłowił sobie, że jeśli weźmie pozostałe dwie paczki i włączy telewizor, pewnie uda mu się zasnąć. Na heroinie potrafił sobie wyobrazić życie bez heroiny; na głodzie wyobrażał sobie tylko, że wkrótce ją zdobędzie. Żeby się jednak przekonać, czy wszystkie trudy minionego wieczoru były całkiem niepotrzebne, postanowił wykręcić numer Pierre'a.

Dzwoniąc, znów się zastanawiał, co go powstrzymuje przed samobójstwem. Czy tym czymś był zasługujący na pogardę sentymentalizm, nadzieja czy może narcyzm? Nie. Prawdziwym powodem była ciekawość, co jeszcze się wydarzy, mimo pewności, że będzie to coś straszego: cały ten suspens.

– Halo?

– Pierre!

– Kto mówi?

– Patrick.

– Czego chcesz?

– Mogę wpaść?

– Okej. Za ile?

– Za dwadzieścia minut.

– Okej.

Patrick triumfalnie uniósł pięść i wybiegł z pokoju.

– Pierre!

– *Ça va?* – Pierre wstał ze skórzanego biurowego fotela. Wyszuszone żółta skóra jego twarzy jeszcze ciaśniej niż kiedyś opinała chudy nos, wysokie kości policzkowe i wydatną szczękę. Uścisnął Patrickowi dłoń, wpatrując się w niego oczyma jak latarnie.

Niemily zapaszek mieszkania uderzył Patricka w nozdrza niczym zapach długo niewidzianej kochanki. Jasnobeżowa wykładzina wciąż była wytatuowana w tych samych miejscach plamami z rozlanej kawy. Uśmiechnął się na widok znajomych rysunków piórkiem, na których Pierre z wielką dbałością przedstawił odrąbane głowy unoszące się na kawałkach puzzli.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę! – zawołał. – Próbowałem załatwić ćpanie na ulicy, nie masz pojęcia, jaki to koszmar.

– Na ulicy! – Pierre nie krył dezaprobaty. – Pojechało cię?

– Dzwoniłem, ale spałeś.

– Waliłeś kranówką?

– Tak – przyznał Patrick z poczuciem winy.

– Jesteś wariat. – Pierre zgromił go wzrokiem. – Chodź, pokażę ci.

Przeszedł do brudnej, wąskiej kuchni. Otworzył drzwi wielkiej lodówki starego typu i wyjął z niej duży słoik pełen wody.

– To jest kranówka – oznajmił złowieszczo. – Zostawiam na miesiąc i patrz.

– Wskazał palcem wzburzony brązowy osad na dnie słoika. – Rdza. Można się, kurwa, zabić! Jeden znajomy walił kranówką, rdza trafiła do krwiobiegu i serce... – tu Pierre przeciął powietrze dłonią – pyk, stanęło.

– Straszne – bąknął Patrick, zastanawiając się, kiedy przejdą do konkretów.

– Woda płynie z gór – mówił dalej Pierre, siadając w swoim obrotowym fotelu i nabierając wody ze szklanki do cudownie cienkiej strzykawki – ale w rurach jest rdza.

– Upiekło mi się – rzekł Patrick bez przekonania. – Od tej pory tylko mineralka, obiecuję.

– To wina miasta – stwierdził ponuro Pierre – nie kupują nowych rur. Zabili mojego znajomego. Co chcesz? – dodał, otwierając paczuszkę i krawędzią żyletki nasypując trochę białego proszku na łyżkę.

– Umm. Gram hery – rzucił niedbale Patrick – i siedem gramów koki.

– Hera po sześćset. Na kokę masz rabat: sto za gram zamiast sto dwadzieścia. Razem tysiąc trzysta.

Patrick wysunął z kieszeni pomarańczową kopertę, a Pierre wysypał na łyżkę kolejną porcję białego proszku i mieszał go, marszcząc brwi jak dziecko, które udaje, że robi cement.

To było dziewięć czy dziesięć? Patrick zaczął liczyć od nowa. Doliczywszy do trzynastu, wyrównał banknoty niczym przetasowaną talię kart i rzucił je na lustrzany blat, gdzie rozpostarły się w szeroki wachlarz. Pierre owinał gumkę wokół bicepsa i chwycił ją w zęby. Patrick z satysfakcją odnotował, że wciąż korzysta z wulkanicznego stożka w dole łokciowym.

Żrenice Pierre'a rozszerzyły się na moment i ponownie zwężyły, jak otwór gębowy ukwiała.

– Okej – wychrypiał Pierre, starając się sprawiać wrażenie, jakby nic się nie stało, lecz głos miał ciężki od przyjemności. – Mówisz i masz. – Napełnił strzykawkę i wtrysnął zawartość do drugiej różowawej szklanki z wodą.

Patrick wytarł lepkie dłonie w spodnie. Zniecierpliwienie rozsadzało mu pierś, lecz musiał przeprowadzić jeszcze jedną delikatną transakcję.

– Masz jakieś wolne strzykawki? – zapytał.

Pierre bywał drażliwy na punkcie strzykawek. Ich wartość ulegała silnym wahaniom w zależności od tego, jak duży miał zapas. I choć zwykle po wydaniu ponad tysiąca dolarów Patrick mógł liczyć na jego pomoc, zawsze istniał cień ryzyka, że Pierre wpadnie w złość i zacznie pomstować na jego bezczelność.

– Dam ci dwie.

– Dwie! – wykrzyknął Patrick, jakby ujrzał średniowieczną relikwię machającą do niego ze szklanej gabloty.

Pierre wyjął bladozieloną wagę i odmierzył ilości, o które Patrick prosił, pakując mu każdy gram kokainy do osobnej torebki, żeby łatwiej było mu się połapać, ile wziął.

– Stary, dobry Pierre – wymamrotał Patrick.

Chwilę później po zakurzonym lustrze sunęły już dwie bezcenne strzykawki.

– Dam ci wody – rzekł Pierre.

Może dosypał sobie do speedballa więcej heroiny niż zwykle. Jak inaczej wyjaśnić tę niespotykaną dobroć?

– Dzięki.

Patrick pośpiesznie zsunął płaszcz oraz marynarkę i podwinął rękaw koszuli. Jezus Maria! W miejscu, gdzie nie trafił w żyłę u Chilly'ego, miał teraz czarną gułę. Lepiej, żeby Pierre nie zobaczył tego dowodu partactwa i desperacji. Był człowiekiem surowych zasad.

Patrick opuścił lewy rękaw i odpiął złotą spinkę na prawym mankiecie. Dawanie sobie w żyłę było jedyną czynnością, w której osiągnął całkowitą obureczność. Pierre wrócił z łyżką i dwiema szklankami, pustą i pełną.

Patrick rozwinął paczuszkę z gramem koki. Błyszczący biały papier zdobiła jasnyniebieska podobizna niedźwiedzia polarnego. W odróżnieniu od Pierre'a wołał najpierw brać samą kokę, a gdy napięcie i strach stawały się nie do zniesienia, wysyłał na odsiecz pretoriańską gwardię heroiny, która ratowała go

przed klęską i obłędem. Przechylił paczuszkę i delikatnie postukał w nią palcem. Ziarenka proszku zsuwały się papierowym wążem i spadały na łyżkę. Nie za dużo na pierwszy strzał. Ani nie za mało. Rozcieńczony, wodnisty zastrzyk to było coś najgorszego. Stuknęła jeszcze parę razy.

– Jak się masz? – spytał Pierre tak szybko, że pytanie zlało się w jedno słowo.

– Ojciec mi wczoraj umarł, tak że... – Patrick nie bardzo wiedział, co dodać. Spojrzał na paczuszkę, ostatni raz stuknął w nią stanowczo palcem i kolejna lawina proszku zeszła na łyżkę. – Tak że mam trochę mętlik w głowie.

– Jaki on był, twój ojciec?

– Och, był kociątkiem – zawołał entuzjastycznie Patrick. – I miał dłonie artysty. – Woda w łyżce przez chwilę przypominała lukier, zanim się wyklarowała.

– Mógł zostać premierem.

– Był politykiem? – Pierre zmrużył oczy.

– Nie, nie, to był taki żart. W jego świecie – który był światem czystej wyobraźni – lepiej było „móc zostać” premierem niż naprawdę nim zostać; to drugie świadczyłoby o wulgarnej ambicji. – Strumień wody ze strzykawki z cichym metalicznym brzękiem uderzył o bok łyżki.

– *Tu regrettes qu'il est mort?* – spytał Pierre z przenikliwym spojrzeniem.

– *Non, absolument pas, je regrette qu'il ait vécu.*

– *Mais sans lui, nie byłoby cię na świecie.*

– W takich sprawach nie należy się kierować egotyzmem – odrzekł z uśmiechem Patrick.

Jego prawa ręka była w stosunkowo dobrym stanie. Kilka siniaków w kolorze plam z nikotyny nadawało żółty odcień przedramieniu, nikłe różowe ślady nakłuć otaczały główną żyłę. Uniósł igłę i uрониł z niej parę kropelek. Zaburczało mu w brzuchu i poczuł nerwowe podniecenie dwunastolatka, który w ciemnej sali kinowej pierwszy raz obejmuje dziewczynę.

Wycelował igłą pomiędzy wcześniejsze ukłucia i prawie bezboleśnie wbił ją pod skórę. Smużka krwi zakłębiła się w strzykawce, prywatny grzyb atomowy, jaskrawa czerwień w czystej gorzkiej wodzie. Trafił w żyłę, Bogu dzięki. Serce zabiło mu szybciej, niczym bęben na galerze płynącej w bój. Pewnie trzymając cylinder strzykawki, powoli nacisnął tłoczek. Krew, jak na filmie puszczonej od tyłu, schowała się w igłę i popłynęła z powrotem do źródła.

Zanim kokaina zadziałała, zdążył jeszcze poczuć jej przejmującą woń; kilka sekund później, w szalonym tempie poklatkowej animacji, rozwinęła swoje zimne geometryczne kwiaty, wyściełając nimi wnętrze jego oka. Nic się nie mogło równać z tą przyjemnością. Niezdarnie odciągnął tłoczek, napełniając strzykawkę krwią, i zrobił sobie kolejny zastrzyk. Pijany rozkoszą, dławiony miłością, pochylił się gwałtownie i ciężko odłożył strzykawkę na lustro. Trzeba ją było jeszcze

wyplukać, zanim krew zaschnie, lecz nie mógł tego zrobić w tej chwili. Doznania były zbyt silne. Dźwięki docierające do jego uszu, wzmocnione i zniekształcone, przypominały gwizd silnika lądującego odrzutowca.

Patrick cofnął się znad blatu i zamknął oczy, wydymając usta jak dziecko czekające na pocałunek. Czoło miał oblane potem, spod pach kapało mu jak z nieszczelnego kranu.

Pierre doskonale wiedział, w jakim stanie jest Patrick, i nie pochwalał jego brawury ani faktu, że odłożył strzykawkę, nie wyplukawszy jej. Wziął ją i napełnił wodą, żeby się nie zablokowała. Patrick wyczuł ruch i otworzył oczy.

– Dziękuję – szepnął.

– Powinieneś brać kokę razem z herą – odparł z wyrzutem Pierre. – To lekarstwo, chłopie, lekarstwo.

– Lubię poczuć kopa.

– Ale jak weźmiesz za dużo, to stracisz kontrolę.

Patrick usiadł prosto i zajął mu głęboko w oczy.

– Ja nigdy nie tracę kontroli – oznajmił. – Sprawdzam tylko, gdzie jest granica.

– Pierdolisz – odparł niewzruszony Pierre.

– Oczywiście masz rację – odparł z uśmiechem Patrick. – Ale wiesz, jak to jest, balansować na krawędzi, tak żeby nie spaść – dodał, odwołując się do tradycyjnej solidarności między nimi.

– Wiem, jak to jest! – wydarł się Pierre z ogniem w oczach. – Przez osiem lat myślałem, że jestem jajkiem, ale miałem pełną kontrolę, *contrôle total*.

– Pamiętam – uspokajająco rzekł Patrick.

Przyływ minął i tak jak surfer, wyskoczywszy z rulonu lśniącej morskiej wody, traci pęd i upada wśród załamujących się fal, tak samo myśli Patricka zaczęły się rozpierzchać przed nastaniem bezkresnego niepokoju. Zaledwie w kilka minut po zastrzyku ogarnęła go rozdzierająca tęsknota za niebezpieczną euforią, która już dogasała. Spadał, jak gdyby tamta eksplozja światła roztopiła mu skrzydła, ku morzu niewysłowionego rozczarowania i dlatego sięgnął po strzykawkę, dokończył płukanie i nie bacząc na to, że trzęsą mu się ręce, zaczął szykować kolejną działkę.

– Jak myślisz, czy miarą perwersji jest potrzeba, by ją powtarzać, niezdolność jej zaspokojenia? – zagadnął Pierre’a. – Chciałbym, żeby ojciec mógł mi odpowiedzieć na to pytanie – dodał pobożnie.

– A co? Ćpał?

– Nie, nie – zaprzeczył Patrick. Chciał znów powiedzieć, że „to był taki żart”, ale się powstrzymał. – A twój ojciec jaki był? – spytał prędko w obawie, że Pierre będzie drążył temat.

– Był *fonctionnaire* – odparł Pierre z pogardą. – *Métro, boulot, dodo*.

Najszczęśliwszy był w *service militaire*, a najdumniejszy, jak minister pochwalił go za milczenie. Czujesz? Zawsze jak mieliśmy w domu gości, czyli nie za często, ojciec opowiadał tę samą historię. – Pierre wyprostował plecy, przywołał na usta uśmiech samozadowolenia i pokiwał palcem. – „*Et Monsieur le Ministre m’a dit, vous avez au raison de ne rien dire*”. Uciekałem wtedy z pokoju. Brzydziłem się, *j’avais un dégoût total*.

– A twoja matka? – spytał Patrick, zadowolony, że udało mu się odwrócić uwagę Pierre’a od własnej trudnej relacji z ojcem.

– Kobieta, która nie jest matczyzna, to nie kobieta, tylko mebel z piersiami – zachnął się Pierre.

– Istotnie – powiedział Patrick, naciągając do strzykawki nowy roztwór. Idąc za fachową radą Pierre’a, postanowił zażyć trochę heroiny, zamiast odwlekać ukojenie kolejnym mrozącym krew zastrzykiem koksu.

– Trzeba się od tego odciąć – mówił dalej Pierre. – Od rodziców i całego tego gówna. Trzeba się wymyślić od nowa, stać się kimś osobnym.

– Tak jest – zgodził się Patrick, bo wiedział, że lepiej nie dyskutować z jego teoriami.

– Amerykanie tyle mówią o indywidualności, ale zawsze myślą tylko to, co myślą wszyscy. Moi amerykańscy klienci zawsze mnie wkurwiają, żeby pokazać, że są wyjątkowi, ale wszyscy robią to na jedno kopyto. Teraz już nie mam amerykańskich klientów.

– Ludziom się wydaje, że są osobni, bo często używają słowa „ja” – zauważył Patrick.

– Jak umarłem w szpitalu – powiedział Pierre – *j’avais une conscience sans limites*. Człowieku, wiedziałem wszystko, dosłownie wszystko. Po tym doświadczeniu nie mogę brać na poważnie *sociologues et psychologues*, którzy mówią ci, że masz osobowość „schizoidalną” albo „paranoiczną”, albo że należysz do drugiej czy trzeciej klasy społecznej. Gówno się znają. Myślą, że dużo wiedzą o umyśle człowieka, a nie wiedzą nic, *absolument rien*. – Pierre spoglądał wściekle. – To tak, jakby dać kretom nadzór nad programem kosmicznym – podsumował z drwiną.

Patrick zaśmiał się sucho. Nie słuchał już Pierre’a, tylko szukał żyły. Gdy w cylindrze zapłonął krwawy kwiat maku, wstrzyknął roztwór, po czym wyjął strzykawkę i tym razem dokładnie ją wypłukał.

Heroina zaskoczyła go siłą i gładkim wejściem. Jego krew stała się ciężka jak wór monet; umościł się błogo w swoim ciele, znów stanowił jedność po katapultującym doświadczeniu kokainy.

– Właśnie – szepnął. – Jak krety... Boże, ale dobra helena.

– Czysta – rzekł Pierre. – *Faites attention, c’est très fort*.

– Mm, czuję.



– Lekarstwo, chłopie. Lekarstwo – powtórzył Pierre.

– Już mnie wyleczyła – szepnął Patrick, uśmiechając się do siebie. Wszystko będzie dobrze. Rozgrzany węglowy piec w burzową noc, stukanie deszczu o szybę, deszczu, który go nie zmoczy. Strugi dymu, lśniące kałuże dymu. Migoczące myśli na granicy letargicznej halucynacji.

Podrapał się po nosie i otworzył oczy. Tak, mając solidną bazę w postaci heroiny, mógł teraz całą noc grać wysokie kokainowe tony bez obawy, że sfiksuje.

Musiałby jednak być sam. Przy dobrych narkotykach samotność była nie tylko znośna, ale wręcz nieodzowna.

– O wiele subtelniejsza niż perska – rzekł matowym głosem. – Łagodnie rosnąca krzywa... jak... jak wypolerowana skorupa żółwia. – Ponownie zamknął oczy.

– Najmocniejsza hera na świecie – z prostotą stwierdził Pierre.

– Taa – zamruczał Patrick. – Nie mogę przeboleć, że tak trudno ją dostać w Anglii.

– Powinieneś zamieszkać tutaj.

– Dobry pomysł – odparł uprzejmie Patrick. – Swoją drogą, która godzina?

– Pierwsza czterdzieści siedem.

– Rany, lepiej pójdę spać. – Patrick ostrożnie umieścił strzykawkę w wewnętrznej kieszeni. – Wspaniale było cię znowu zobaczyć. Odezwę się niedługo.

– Okej – powiedział Pierre. – Nie śpię dzisiaj, jutro i jutro wieczorem.

– Doskonale. – Patrick skinął głową.

Włożył marynarkę i płaszcz. Pierre wstał, przekręcił cztery antywłamaniowe zamki, otworzył drzwi i wypuścił go na korytarz.

Patrick opadł na krzesło. Napięcie w klatce piersiowej ustało. Przez chwilę milczał, lecz potem w jego ciele zainstalowała się nowa postać; wyprostował ramiona, wypiął brzuch i znów zawładnął nim szal naśladownictwa.

Grubas (odsuwając krzesło, żeby zrobić miejsce dla ogromnego brzuszyska): – Muszę zabrać głos, Wysoki Sądzie. Powiedziałbym wręcz, że czuję się w obowiązku zabrać głos. Moja historia jest prosta; jest historią człowieka, który kochał nie nazbyt mądrze, lecz nazbyt gorąco. – (Ociera łezkę). – Człowieka, który jadł nie z łakomstwa, lecz z pasji. Jedzenie, Wysoki Sądzie, nie zamierzam tego ukrywać, było całym moim życiem. W ruinach tego starego ciała spoczywają resztki najwykwintniejszych potraw znanych światu. Kiedy konie padały pod moim ciężarem, łamiąc sobie nogi albo krztusząc się własną krwią, albo kiedy byłem zmuszony poniechać bezowocnych prób wciśnięcia się między fotel a kierownicę samochodu, pocieszałem się myślą, że moja tusza jest czymś zdobytym, a nie tylko „nabranym”. Jadałem, naturalnie, w Les Bains i w Les Baux, ale jadałem też w Quito i w Chartumie. A kiedy dzicy Janomamowie poczęstowali mnie ludziną, wyzbyłem się pruderii i poprosiłem o drugą dokładkę. Tak było, Wysoki Sądzie. – (Uśmiecha się rzewnie).

Niania (wzdychając i prychnając): – Ludzina! I co jeszcze? Zawsze byłeś dziwnym chłopcem.

– Weź stul pysk – krzyknął Patrick pod nosem; chodził po spłowiałej zielonej wykładzinie, a teraz gwałtownie się odwrócił.

Gary (z cichutkim westchnieniem, wznosząc oczy ku niebu): – Mam na imię Gary, będę pana obsługiwał. Dziś polecamy potrawę z ludziny oraz bezsodowe ciarki z kokainy kolumbijskiej podane na chińskiej białej heroinie.

Pete Jakiśtam: – A nie ma chleba?

Pani Jakaśtam: – Właśnie. Chcemy chleba.

Lektor ze starej reklamy chleba Hovis (do muzyki z *Coronation Street*): – Ach, pamiętam młodzieńcze lata, chodziło się do dilera, kupowało pół uncji koki i cztery gramy hery, zamawiało się skrzynkę szampana, brało się dziewczę do Mirabelle i jeszcze zostawało parę pensów w kieszeni. To były czasy.

Już nad tym nie panował. Każda myśl, nawet cień myśli, rozwijała się w osobowość silniejszą od jego własnej.

– Błagam, błagam, dość już – mamrotał, chodząc z kąta w kąt.

Drwiące echo: – Błagam, błagam, dość już.

Niania: – Już ja znam arystokrację i jej bezecenstwa.

Humpo Ospalec: – Jakie bezecenstwa, nianiu?

Niania: – O nie, niania nie będzie opowiadać historii ze szkoły. To tajemnica. Co by powiedziała lady Deadwood? Toczący się kamień nie obrasta

mchem. Zapamiętaj moje słowa. Zawsze byłeś dziwnym chłopcem.

Pani Garsington: – Kto tu jest kierownikiem? Chcę natychmiast porozmawiać z pańskim przełożonym.

Doktor McCoy: – To życie, Jim, ale inne, niż znamy.

Kapitan Kirk (otwierając swój komunikator): – Teleportuj nas, Scotty.

Patrick otworzył paczkę z heroiną. Śpieszyło mu się, więc po prostu wysypał trochę proszku na szkło pokrywające blat stołu.

Zniesmaczony Eric (zarozumiałym tonem): – No tak, typowe: masz problem, weź heroinę. Najlepsze błędne koło, jakie wynaleziono.

Patrick wyjął z kieszeni banknot i usiadł schylony nad stołem.

Kapitan Ospalec: – Sierżancie, bądźcie tak dobrzy i uciszcie tę zgraję.

Sierżant: – Spokojna głowa, panie kapitanie, zaraz zrobimy z nimi porządek. To tylko banda dzikusów, bezbożników o czarnych sercach, nigdy w swoim nędznym życiu nie widzieli karabinu.

Kapitan Ospalec: – Brawo, sierżancie.

Patrick wciągnął proszek, odrzucił głowę do tyłu i wziął głęboki wdech przez nos.

Sierżant: – Jeśli pan kapitan pozwoli, wezmę to na siebie. – (Jęczy, pierś przebiła mu dzida).

Kapitan Ospalec: – Och, dziękuję wam... yy...

Sierżant: – Wilson, panie kapitanie.

Kapitan Ospalec: – Tak, oczywiście. Dobra robota, Wilson.

Sierżant: – Żałuję tylko, że nie będę mógł tego powtórzyć. Obawiam się, że odniosłem śmiertelną ranę.

Kapitan Ospalec: – Ojej. Biegnij, sierżancie, niech ci ją prędko opatrzą.

Sierżant: – Dziękuję, panie kapitanie, to bardzo uprzejmie z pana strony. Co za wspaniały dżentelmen!

Kapitan Ospalec: – W najgorszym razie na pewno załatwimy ci jakiś pośmiertny medal. Mój stryj odpowiada za te sprawy.

Sierżant (podnosi czoło, saltuje): – Panie kapitanie! – (Zwiesza głowę). – To by wiele znaczyło dla pani Wilson i dzieciaczków. Biedne małe sierotki! – (Stęka). – Co za... wspaniały... dżentelmen.

Barman George (w zamyśleniu wycierając kieliszek): – O tak, kapitan Ospalec, dobrze go pamiętam. Wpadał tu czasem i zawsze zamawiał dziewięć ostryg. Nie tuzin ani pół tuzina, tylko dziewięć. Co za dżentelmen! Teraz takich ze świecą szukać. Grubasa też pamiętam, a jakże. Jego trudno zapomnieć! Pod koniec już nie przychodził, bo dosłownie się nie mieścił. Ale jaki to był dżentelmen! Starej daty. Nie z tych, co się teraz katują dietami, o nie.

Grubas (stoi w specjalnie dla niego poszerzonej ławie oskarżonych): – W rzeczy samej, Wysoki Sądzie, przyszło mi niestety żyć w epoce diet

i odchudzania. – (Ociera łezkę). – Nazywają mnie Grubas i pochlebiam sobie, że przy mojej tuszy przewisko to nie wymaga wyjaśniania. Oskarża się mnie o chorobliwy apetyt i chorobliwe gusta. Czy można mieć do mnie żal, Wysoki Sądzie, że mój kielich nigdy nie wysychał, że talerz swego życia wypełniłem po brzegi miętowymi mulami doświadczenia (daniem, które wskrzesiłoby zmarłego, Wysoki Sądzie, daniem godnym królów!)? Nie byłem jedną z tych wątłych sierot naszych czasów, ubogim gościem na Uczcie. Ludzie martwi, Wysoki Sądzie, nie przyjmują wyzwania Menu Gastronomique w Lapin Vert, dopiero co przełknąwszy ostatni kęs Petit Déjeuner Médiéval w Château de l'Enterrement. Nie wiozą się potem ambulansem (tym naturalnym środkiem transportu bon vivanta, Wysoki Sądzie, królewską karetą!) do Sac d'Argent, by następnie z ponurym zapamiętaniem zjechać slalomem po stromym stoku tamtejszej Carte Royale. – (W tle muzyka skrzypka z Café Florian). – Moje ostatnie dni, ostatnie, Wysoki Sądzie, gdyż obawiam się, że moja wątroba – o, służyła mi dzielnie, lecz jest zmęczona, podobnie jak ja; ale dość tego – moje ostatnie dni upływają w cieniu kalumnii. – (Na sali sądowej słysząc tłumiony płacz). – Nie żałuję jednak moich wyborów, ani tych wszystkich wyborczych wyrobów – (smutny, cichy śmieszek) – nie żałuję ani trochę. – (Z całą godnością, na jaką go stać). – Jadłem dużo i jadłem dzielnie.

Sędzia (ciężko wzburzony): – Sprawa zostaje oddalona. Oskarżony w ogóle nie powinien być sądzony. W ramach zadośćuczynienia sąd przyznaje Grubasowi kolację dla jednej osoby w restauracji Pig and Whistle.

Zadowolony Lud: – Hura! Hura!

Patrick czuł bezbrzeżny strach. Jego myśli jedna po drugiej zapadały się jak deski w przegniłej podłodze i nawet ziemia wydawała się tylko mokrym papierem, który nie zdoła zatrzymać jego upadku. Może będzie spadał bez końca.

– Zmęczony, jestem zmęczony – powiedział, siadając na brzegu łóżka, lecz natychmiast wstał.

Drwiące Echo: – Zmęczony, jestem zmęczony.

Greta Garbo (wykrzykuje histerycznie): – Już nie chcę być sama. Mam dość samotności.

Patrick zsunął się po ścianie.

– Kurewsko zmęczony – zakwilił.

Pani Mop: – Weź sobie działeczkę, skarbie, dobrze ci zrobi.

Doktor Śmierć (wyjmuje strzykawkę): – Mam coś w sam raz dla pana. Na żalobę jak znalazł.

Kleopatra: – O tak. – (Układa usta w dzióbek). – Widzisz na tej ręce niebieskie żyłki? Możesz je całować.

Pani Mop: – Śmiało, skarbie, zrób to dla siebie.

Kleopatra (z chrypką): – Śmiało, szubrawcze, zerznij mnie.

Tym razem Patrick musiał użyć krawata. Owiązał go kilka razy wokół bicepsa i chwycił zębami, obnażając dziąsła jak warczący pies.

Gaduła O'Connor (opróżniwszy szklankę Jamesona): – Zapaliła się do tych pijawek z dzikim saksońskim animuszem, krzyczała: „Zawsze chciałam być w dwóch miejscach równocześnie”.

Dworzanin (podeksycytowany): – Trafienie, całkiem oczywiste.

Kapitan Kirk: – Warp dziesięć, panie Sulu.

Attyla (niskim basem): – Gram w piłkę głowami moich wrogów. Sypiąc iskry spod kopyt rumaka, przejeżdżam pod triumfalnymi łukami, a rzymscy niewolnicy wyściełają mi drogę kwieciami.

Patrick spadł z krzesła na podłogę i zwinął się w kłębek. Kop był tak brutalny, że zaparło mu dech. Serce waliło z taką siłą, że wstrząsało nim całym, był jak człowiek skulony pod wirującym śmigłem helikoptera. Kończyny miał zeszywniałe i wyobrażał sobie, że jego żyły, cienkie i kruche jak nóżki kieliszków do szampana, pękają, jeśli spróbuje wyprostować ramiona. Bez heroiny umrze na atak serca.

– Weźcie się wszyscy odpierdolcie – wymamrotał.

Szczery John (kręci głową): – Ale wredny cham z tego Attyli, co? Rany boskie. Pyta mnie: „Na co się gapisz?”. „Na nic”, mówię. A on do mnie: „To gap się, kurwa, gdzie indziej”. – (Kręci głową). – Cham!

Niania: – Niania mówi, że jak nie przestaniesz mówić dziwnymi głosami, wiatr się zmieni i nie będziesz mógł przestać.

Chłopiec (rozpaczliwie): – Ale ja chcę przestać, nianiu.

Nianiu: – Samo „chcę” nie wystarczy.

Sierżant: – Weź się w garść, chłoptasiu. – (Krzyczy). – Szybki marsz! Lewa, prawa. Lewa, prawa.

Nogi Patricka przesuwają się do przodu i w tył po dywanie, jak u przewróconej nakręcanej lalki.

Krótką notkę w rubryce zgonów „The Times”: „MELROSE. 25 maja, w pokoju, po szczęśliwym dniu w hotelu Pierre. Patrick, 22 lata, kochający syn Davida i Eleanor, będzie czule wspominany przez Attylę, panią Mop, Zniesmaczonego Erica i wielu przyjaciół, zbyt licznych, by można ich tu wyliczyć”.

Gaduła O'Connor: – Biedaczyna. Jeżeli nie podrygiwał jak urwana noga żaby porażonej prądem, to tylko dlatego, że nastrój ciążył mu jak pensy na powiekach zmarłych. – (Opróżnia szklankę Jamesona).

Niania (teraz starsza, pamięć już nie ta): – Nie mogę się z tym oswoić. To był taki uroczy chłopiec. Nazywałam go zawsze „swoim pupilkiem”, pamiętam jak dziś. Zawsze mówiłam: „Nie zapominaj, że niania cię kocha”.

Gaduła O'Connor (ze łzami na policzkach): – A te jego nieszczęsne ramiona,

niejeden twardziel by nad nimi zapłakał. Całe pokryte ranami jak pyszczki głodnych złotych rybek, zebrzącymi o jedną, jedyną rzecz, która przyniesie odrobinę ukojenia biednemu, udreżonemu sercu. – (Opróżnia szklankę Jamesona).

Kapitan Ospalec: – To był jeden z tych facetów, którzy spędzają mnóstwo czasu w swoim pokoju. To nic złego, ma się rozumieć, ale on bez przerwy chodził od ściany do ściany. Ja zawsze powtarzam: jak się próżniaczyć, to porządnie. – (Czarujący uśmiech).

Gaduła O'Connor (pije prosto z butelki, po kolana w łzach, coraz trudniej zrozumieć, co mówi): – No i był chory na duszy. Może to lęk przed wolnością go zabił? W każdej sytuacji – a zawsze pakował się w dziwne sytuacje – możliwości, z których musiał wybrać, rozgałęziały się w szalonym tempie, jak popękane naczynka w zmęczonych oczach. Cokolwiek robił, słyszał śmiertelny krzyk wszystkiego, czego nie zrobił. Nawet refleks nieba w kałuży albo błysk w studziencie na rogu Little Britain Street były dla niego okazją, by poczuć zawrót głowy. Trwoga wpędzała go w obłąd, kiedy raz po raz gubił własne ślady i kręcił się w kółko jak jakiś cholerny wyżeł w samym środku cholernego lasu.

Szczery John: – Ten to dopiero jełop. W życiu jednego dnia uczciwie nie przepracował. Widział go ktoś, jak przeprowadza staruszkę przez jezdnię albo kupuje cukierki dla biednych dzieciaczek? Nigdy. Powiedzmy to uczciwie.

Grubas: – To był, Wysoki Sądzie, człowiek, który jadł za mało, człowiek, który zostawiał jedzenie na talerzu, który od rogu obfitości wolał róg Szóstej i C. Słowem, Wysoki Sądzie, najgorsza kanalia.

Gaduła O'Connor (od czasu do czasu wynurza się z jeziora łez): – No a jego wygląd... – (bul, bul, bul) – te rozdarte wargi, które nigdy nie nauczyły się kochać... – (bul, bul, bul). – Te usta, które wypowiedziały tyle wściekłych i gorzkich słów – (bul, bul, bul) – rozdarte w przystępie furii i zrozumienia, że śmierć nadchodzi.

Debbie (jąka się): – Nie wiem, co mam powiedzieć.

Kay: – Widziałam się z nim w dniu, kiedy to się stało.

– Nie dajcie mi oszaleć – wykrzyknął Patrick głosem, który na początku brzmiał jak jego własny, a pod koniec jak głos Johna Gielguda.

Pastor (spogląda kojąco z ambony): – Niektórzy z nas zapamiętali Davida Melrose'a jako pedofila, alkoholika, kłamcę, gwałciciela, sadystę i ogólnie wstrętnego osobnika. Ale, jak dobrze wiecie, w takich sytuacjach Chrystus oczekuje, że powiemy coś, co on sam by powiedział, czyli – (pauza) – „Ale to chyba nie jest pełny obraz?”.

Szczery John: – Pełniusieńki.

Pastor: – Ta idea „pełnego obrazu” to jedna z najwspanialszych cech chrześcijaństwa. Czytając książkę ulubionego autora, na przykład Richarda Bacha albo Petera Mayle'a, pragniemy się dowiedzieć czegoś więcej poza tym, że dotyczy pewnej szczególnej mewy albo że akcja rozgrywa się na sielskiej prowansalskiej

*campagne*, by użyć francuskiego słowa. Chcemy ją przeczytać do końca.

Szczery John: – Mów za siebie.

Pastor: – Podobnie kiedy oceniamy innych ludzi (a któż z nas tego nie robi?), powinniśmy się najpierw upewnić, czy dysponujemy „pełnym obrazem”.

Attyła (niskim basem): – Giń, chrześcijański psie! – (Skraca pastora o głowę).

Ucięta Głowa Pastora (zadumawszy się): – Wiecie, parę dni temu przyszła do mnie wnuczka i powiedziała: „Dziadku, lubię chrześcijaństwo”. Spytałem ją zaintrygowany: „Dlaczego?”. I wiecie, co mi odpowiedziała?

Szczery John: – Oczywiście, że nie wiemy, ciulu.

Ucięta Głowa Pastora: – Powiedziała: „Bo daje ukojenie”. – (Po chwili wolniej i z większą emfazą): – „Bo daje ukojenie”.

Patrick otworzył oczy i pomału rozwinął się z kłęбка na podłodze. Telewizor spoglądał oskarżycielsko w jego stronę. Może go uratuje albo przynajmniej pomoże mu się skupić na czymś innym niż jego mimowolne popisy aktorskie?

Telewizor (trzęsąc się i szlochając): – Włącz mnie, kolego. Zrób mi dobrze pilotem.

Prezydent: – Nie pytaj, co twój telewizor może zrobić dla ciebie, ale co ty możesz zrobić dla telewizora.

Rozentuzjasmowany Lud: – Hura! Hura!

Prezydent: – Zapłacimy każdą cenę, poniesiemy każdy ciężar, sprostamy wszelkim trudom...

Rodzina von Trappów (ekstacyjnie): – Pokonamy każdą górę!

Prezydent: – ...wesprzemy każdego przyjaciela i stawimy czoło każdemu wrogowi, by telewizja przetrwała i zatriumfowała.

Rozentuzjasmowany Lud: – Hura! Hura!

Prezydent: – Niechaj dziś z tego miejsca wszyscy usłyszą, że zadanie to przejęła nowa generacja Amerykanów – urodzonych w tym wieku, zahartowanych przez wojnę, nauczonych dyscypliny przez twarde i gorzki pokój, dumnych z naszego historycznego dziedzictwa i gotowych nic nie robić, tylko oglądać telewizję.

„Tak, tak, tak – powtarzał w duchu Patrick, czołgając się po wykładzinie – telewizję”.

Telewizor (przestępując niespokojnie z kółka na kółko): – Włącz mnie, człowieku, bo zaraz oszaleję.

Widz (chłodno): – Co tam dla mnie masz?

Telewizor (nadskakująco): – *Film za miliony. Człowiek miliard. Turniej o bilion.*

Widz: Dobra, dobra, ale co masz *teraz*?

Telewizor (smutno): Stop-klatkę z amerykańską flagą i jakiegoś dziwoląga

w błękitnym poliestrowym garniturze opowiadającego o końcu świata. Ale zaraz powinny się zacząć *Wiadomości rolnicze*.

Widz: – Okej, to może niech będzie ta flaga. Ale nie poganiaj mnie więcej – (wyjmuje rewolwer) – albo przestrzelę ci kineskop.

Telewizor: – Okej, koleś, wyluzuj, dobra? Odbiór jest kiepski, ale ujęcie flagi zajebiste. Słowo honoru.

Patrick wyłączył telewizor. Kiedy się skończy ta straszna noc? Wdrapał się na łóżko, runął na pościel i zamknawszy oczy, wsłuchiwał się w ciszę.

Ron Zak (zamknięte oczy, łagodny uśmiech): – Chcę, żebyście posłuchali tej ciszy. Słyszycie ją? – (Pauza). – Stańcie się jej częścią. Ta cisza jest waszym wewnętrznym głosem.

Szczery John: – O rany, to jeszcze nie koniec? I co to za jeden, ten Ron Zak? Gada jak ciul, szczerze mówiąc.

Ron Zak: – Udało się wam rozplynać w tej ciszy?

Uczniowie: – Rozplynęliśmy się w ciszy, Ron.

Ron Zak: – Świetnie. – (Długa przerwa). – Teraz chciałbym, żebyście wykorzystali technikę wizualizacji, której uczyłem was w zeszłym tygodniu, i wyobrazili sobie pagodę: to taki chiński domek plażowy, tylko że na wzgórzach. – (Pauza). – Piękna jest, prawda?

Uczniowie: – O kurczę, ale ładna.

Ron Zak: – Ma piękny złoty dach i ogród z mnóstwem bulgoczących okrągłych baseników. Wejdźcie do jednego z tych baseników – mmm, jak przyjemnie – i pozwólcie, żeby strażnicy umyli wasze ciała i przynieśli wam czyste szaty z jedwabiu i innych wspaniałych tkanin. Są miłe w dotyku, prawda?

Uczniowie: – O tak, cudowne.

Ron Zak. – Świetnie. Teraz chcę, żebyście weszli do pagody. – (Pauza). – Ktoś jest w środku, prawda?

Uczniowie: – Tak, to Przewodnik, o którym uczyliśmy się dwa tygodnie temu.

Ron Zak (nieco poirytowany): – Nie, Przewodnik jest w innym pomieszczeniu. – (Pauza). – To wasi mama i tata.

Uczniowie (robią wielkie oczy): – Mamo? Tato?

Ron Zak: – A teraz podejdźcie do mamy i powiedzcie: „Mamo, naprawdę cię kocham”.

Uczniowie: – Mamo, naprawdę cię kocham.

Ron Zak: – A teraz ją obejmijcie. – (Pauza). – Przyjemnie, prawda?

Uczniowie (krzyczą, mdleją, wypisują czeki, obejmują się nawzajem, wybuchają płaczem, biją pięściami w poduszki): – Bardzo przyjemnie!

Ron Zak: – Teraz podejdźcie do taty i powiedzcie: „Tobie natomiast nie potrafię wybaczyć”.



Uczniowie: – Tobie natomiast nie potrafię wybaczyć.

Ron Zak: – Wyjmijcie rewolwer i rozwalcie mu głowę. Bang. Bang. Bang. Bang.

Uczniowie: – Bang. Bang. Bang. Bang.

Koenig Spook (straszne skrzywienie zbroi): – Omlet! Ich bin twajjn Popospook!

– Ja pierdołę! – wykrzyknął Patrick, siadając i uderzając się otwartą dłonią po twarzy – przestań o tym myśleć.

Drwiące Echo: – Przestań o tym myśleć.

Patrick usiadł przy stole i sięgnął po torebkę z kokainą. Stuknął w nią palcem i ze środka wyleciała na łyżkę wyjątkowo spora grudka. Kierując na nią strumień, słyszał, jak woda brzęczy srebrzyście o bok łyżki. Proszek utonął i się rozpuścił.

Zaciekle atakowane przez cały wieczór żyły zaczynały się chować, lecz jedna w dolnej części przedramienia pokazała mu się sama. Gruba, niebieska, wiała się węzowato w stronę nadgarstka. Skóra była tu twardsza, a przebicie się przez nią bardziej bolesne.

Niania (mruczy do swoich żył, jakby śpiewała im kołysankę): – Wyjdźcie, wyjdźcie, ładnie was proszę.

W strzykawce pojawiła się smużka krwi.

Kleopatra (zdyszana): – Och, tak, tak, tak, tak, tak.

Attyła (wściekle, przez zaciśnięte zęby): – Nie brać jeńców!

Patrick osłabł i osunął się na podłogę. Czuł się tak, jakby całe jego ciało wypełniło się nagle mokrym cementem. Patrzył na nie spod sufitu w zupełnej ciszy.

Pierre: – Spójrz na swoje ciało, człowieku, to jest kupa gówna. *Tu as une conscience totale. Bez limites.* – (Ciało Patricka gwałtownie przyśpiesza. Przestrzeń zmienia kolor z niebieskiego na granatowy, a potem na czarny. Chmury są jak puzzle. Patrick spogląda w dół i widzi, hen pod sobą, okno swojego pokoju hotelowego. W środku widać wąski pas białej plaży otoczonej intensywnie błękitnym morzem. Na tej plaży dzieci zakopują ciało Patricka. Tylko głowa wystaje z piasku. Patrickowi wydaje się przez moment, że mógłby się z łatwością wydostać, lecz wtedy jedno z dzieci wylewa mu na twarz wiaderko mokrego betonu. Patrick próbuje zetrzeć beton z oczu i ust, lecz ramiona uwięzły mu w betonowej mogile).

„Pamiętnik Jennifer”: „Gdy trumnę z ciałem Patricka Melrose’a zaczęto opuszczać, cokolwiek nonszalancko, do ziemi, wydawało się, że pogrzeb odbędzie się bez świadków. Lecz nadzieja umiera ostatnia, gdyż oto w ostatniej chwili na scenie, z wdziękiem powłócząc nogami, zjawiła się lubiana, sympatyczna, czarująca, niezmordowana para: państwo Chilly Willy’owie, narkomani z Alphabet City, z rzadką wizytą w lepszej części miasta. «Nie sypaj go, nie sypaj go, to mój

ziom!» – krzyczał nieutulony w żalu Chilly Willy. «Kto mi teraz będzie kopsał działki?» – zawodził. «Zapisał mi coś w testamencie?» – pytała jego smutna małżonka, odziana w pomysłowo skrojoną, niedrogą i cudownie kolorową kwiaciastą tkaninę. Nieobecni na pogrzebie byli między innymi sir Veridian Gravalaux-Gravalax, komendant Schroniska na Wyspie, i jego nader atrakcyjna kuzynka Rowena Keats-Shelley, którzy utrzymywali, że nigdy o zmarłym nie słyszeli”.

Szczery John: – Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby to przeżył.

Zniesmaczony Eric (kręci głową z niedowierzaniem): – Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ludziom się wydaje, że mogą sobie ot, tak przychodzić i grzebać ludzi żywcem.

Pani Chronos (w obszarpanej sukni balowej, z wielką klepsydrą w ręku): – Cóż, muszę przyznać, że miło jest być chcianą! Ani jednej roli, odkąd wystąpiłam w czwartym akcie *Zimowej opowieści*. – (Ciepłym tonem). – U Billa Shakespeare’a, rzecz jasna. Wspaniały człowiek, nawiasem mówiąc, i mój drogi przyjaciel. Mijały wieki, a ja myślałam: „Pewnie, po prostu mnie ignorujcie, wiem, kiedy jestem niechciana”. – (Krzyżuje ramiona, kiwa głową). – Ludzie uważają mnie za aktorkę charakterystyczną, ale jeżeli czegoś nie znoszę, to właśnie bycia szufladkowaną. W każdym razie – (lekkie westchnienie) – chyba już pora, żebym wypowiedziała swoją kwestię. – (Grymas). – Prawdę mówiąc, wydaje mi się nieco staroświecka. Ludzie chyba nie dostrzegają, że jestem nowoczesną dziewczyną. – (Śmieje się zalotnie). – Chcę powiedzieć jeszcze tylko jedną rzecz – (poważnieje) – a mianowicie gorąco podziękować moim fanom. Dodawaliście mi otuchy przez te wszystkie lata samotności. Dziękuję wam za sonety, za listy, za rozmowy, to wszystko wiele dla mnie znaczy, naprawdę. Pomyślcie o mnie czasami, moi mili, kiedy dźwięła wam szernieją i nie będziecie mogli sobie przypomnieć czyjegoś imienia. – (Posyła widowni buziaka. Następnie wygładza fałdy sukni i skupiona zbliża się do krawędzi sceny).

Nic nie wskóramy, wszak zgon jest zgonem,

Przeto zabawy nasze skończone.

Nie osądzajcie sztuki surowo;

Wpadnijcie znowu – będzie morowo.

Attyla (wyważa wieko swej trumny, warczy, ryczy i syczy jak pantera drażniona z za prętów klatki): – Raaaaaaaarrrrr!

Patrick poderwał się z podłogi i uderzył głową w nogę krzesła.

– Kurwa, w mordę, pies go szlag! – zawołał nareszcie własnym głosem.

Leżał na łóżku jak martwa rzecz. Wcześniej na moment rozchylił zasłony i widok słońca wschodzącego nad East River nappełnił go wstrętem i żalem.

Słońce, nie mając wyboru, świeciło na nic nowego. Kolejne pierwsze zdanie.

Cudze słowa przemykały mu przez głowę. Krzaki latające po pustyni. Czy już to kiedyś pomyślał? Powiedział? Czuł się jednocześnie wzdęty i pusty.

W lekko wrzających szumowinach jego myśli raz po raz ukazywały się ślady nocnego opętania. Tyle razy, z taką siłą wypchnięty z własnego ciała, czuł się teraz sponiewierany i samotny. Poza tym o mało się nie zabił.

– Nie wracajmy już do tego – wymamrotał niczym atakowany kochanek, któremu nie pozwala się zapomnieć o jego lekkomyślnym postępku.

Krzywiąc się, wyciągnął obolałą i lepłą rękę po zegarek przy łóżku. Piąta czterdzieści pięć. Mógłby od razu zamówić talerz wędlin albo wędzonego łososia, lecz miną jeszcze trzy kwadransy, zanim będzie mu dane cieszyć się tą krótką chwilą afirmacji, zanim do pokoju wjedzie brzęczący wózek z pożywnym śniadaniem.

Potem sok owocowy spoci się i rozwarstwi pod kartonowym wieczkiem; jajko z bekonem, ostatecznie jednak zbyt cielesne, wystygnie i zacznie brzydko pachnieć, a pojedyncza róża w smukłym szklanym wazoniku zrzuci płatek na biały obrus, podczas gdy on, Patrick, wzięwszy parę tęgich łyków posłodzonej herbaty, będzie dalej przyjmował eteryczny pokarm ze strzykawki.

Po bezsennej nocy między wpół do szóstej a ósmą zawsze chował się przed narastającym rykiem życia. W Londynie, kiedy mdłe światło świtu plamiło sufit nad karniszem, słuchał w wampirzym popłochu najpierw dalekiego pisku i dudnienia ciężarówek, potem bliskich pojękiwań wózka mleczarza, wreszcie trzasku drzwi w samochodach, które wiozły dzieci do szkół, a prawdziwych mężczyzn do pracy w fabrykach i bankach.

W Anglii była już prawie jedenasta. Mógł dotrzeć do śniadania, wykonując parę telefonów. Zadzwoi do Johnny'ego Halla, który na pewno go zrozumie.

Ale najpierw potrzebował działki, żeby stanąć na nogi. Tak jak nie umiał sobie wyobrazić odstawienia heroiny, dopóki jej nie zażył, tak samo jedynym sposobem na dojście do siebie po spustoszeniu, jakie powodowała kokaina, było ponowne jej zażycie.

Wstrzyknąwszy sobie umiarkowaną ilość narkotyku – ten umiar zachwycał go prawie tak bardzo, jak nudził – Patrick obłożył się poduszkami koło telefonu.

– Johnny?

– Tak – odpowiedział mu zmęczony szept.

– Tu Patrick.

– Która godzina?

- Jedenasta.
- W takim razie spałem tylko trzy godziny.
- Mam zadzwonić później?
- Nie, i tak już nie zasnę. Jak leci?
- A, nieźle. Miałem dosyć ciężką noc.
- Taką, że prawie umarłeś i te sprawy?
- Mhm.
- Ja też. Walilem naprawdę plugawego spida, robił go jakiś niedouczony chemik, któremu trzęsły się ręce. Dodał chyba kwasu solnego, słowo daję. Naciskasz tłok w strzykawce i czujesz zapach zeżartej próbówki, a potem zaczynasz kichać i nie możesz przestać, a serce dostaje ostrej arytmicznej jazdy rodem z najgorszych fragmentów *Pieśni* Pounda.
- Tych po chińsku? Trzeba ci porządnej chińskiej odtrutki.
- Nie mam.
- Ale ja mam. Lekarstwo, chłopie. Lekarstwo.
- To jadę do ciebie.
- Do Nowego Jorku?
- Nowego Jorku! Mówisz trochę cicho i z przerwami, ale składałem to na karb moich halucynacji słuchowych i twojego niepoprawnego lenistwa. Jestem rozczarowany, że istnieje obiektywna przyczyna. Co tam robisz?
- Mój ojciec tutaj zmarł, przyjechałem po jego szczątki.
- Gratulacje. Osiągnąłeś status pólseroty. Pewnie nie mogą się rozstać z jego ciałem? Chcą, żebyś je wykupił za jego wagę w złocie?
- Jeszcze nie wystawili rachunku, ale jeśli będzie choć odrobinę zawyżony, zostawię im to ścierwo.
- Słusznie. Jest ci chociaż trochę smutno?
- Raczej czuję się przytłoczony.
- Tak, ja też to miałem, ziemia usuwała mi się spod nóg jeszcze bardziej niż zwykle, o ile to możliwe. I jeszcze bardziej, o ile to możliwe, pragnąłem śmierci.
- O, to, to. Na dodatek boli mnie wątroba, jakby grabarz wsunął mi łopatę pod żebro i mocno ją nadepnął.
- Od tego masz wątrobę, nie wiedziałeś?
- Mnie o to pytasz?
- Racja. Wybacz. To kiedy spotkanie na szczycie?
- Jutro wieczorem powinienem być z powrotem. Skołujesz jakiś towar? Przyjechałbym do ciebie prosto z lotniska, nie musiałbym się widzieć ze strasznym Brianem.
- Oczywiście. A skoro już mowa o strasznych ludziach, przedwczoraj wylądowałem w mieszkaniu jakichś Włochów, skończonych idiotów, ale za to mieli różową kokę w kryształkach, upuszczana na łyżkę dźwięczała jak cymbałki.

Ukradłem całą i zamknąłem się w łazience. Sam wiesz, że niełatwo zmać kretyński spokój tych włoskich ćpunów o sarnich oczach, a tamci naprawdę się wkurwili, walili w drzwi i krzyczeli: „Wyłaż, skurwielu, albo cię zabiję. Alessandro, powiedz mu coś!”.

– Boże, niezła heca.

– Załatwiłbym ci trochę, ale niestety pożegnałem się z nimi na zawsze. To był towar, który mógłbym sobie władować przed wypłynięciem w ostatni rejs na płonącej łodzi.

– Zaczynam ci zazdrościć.

– No cóż. Może jutro wieczorem w końcu się zabijemy.

– Na pewno. Załatw dużo ćpania.

– Jasne.

– Dobra, to do jutra.

– Na razie.

– Cześć.

Patrick odłożył słuchawkę z bladym uśmiechem na ustach. Rozmowa z Johnnym zawsze poprawiała mu humor. Natychmiast wykręcił kolejny numer i oparł się wygodnie o poduszki.

– Halo?

– Kay?

– Cześć, kotku! Jak się masz? Czeka, ściszę muzykę.

Żałosne dźwięki samotnej wiolonczeli nagle przycichły i Kay wróciła do telefonu.

– Jak się masz? – powtórzyła pytanie.

– Mało spałem.

– Nie dziwi mnie to.

– Mnie też nie. Wziąłem jakieś cztery gramy koki.

– O Boże, to straszne. Ale nie brałeś heroiny, prawda?

– Nie, nie, nie. Rzuciłem heroinę. Wziąłem tylko kilka uspokajaczy.

– Przynajmniej tyle. Ale ta kokaina? Dlaczego? Pomyśl o swoim biednym nosie. Chcesz, żeby ci odpadł?

– Nic mu nie będzie. Po prostu byłem strasznie przygnębiony.

– Biedactwo, wyobrażam sobie. Śmierć ojca to najgorsze, co mogło cię spotkać. Nie zdążyłeś tego wszystkiego przepracować.

– I tak by się nie udało.

– Wszyscy synowie tak myślą.

– Mmm...

– Nie podoba mi się, że jesteś tam sam. Spotykasz się dzisiaj z kimś sympatycznym czy tylko z ludźmi z firmy pogrzebowej?

– Sugerujesz, że w branży pogrzebowej nie ma sympatycznych ludzi? –

spytał Patrick smętnym głosem.

– Broń Boże! Uważam, że wykonują bardzo potrzebną pracę.

– Jeszcze nie wiem. Muszę odebrać prochy, poza tym jestem wolny jak ptak.

Chciałbym, żebyś tu była ze mną.

– Ja też bym chciała. Ale zobaczymy się jutro, prawda?

– Oczywiście. Przyjadę prosto z lotniska. – Patrick zapalił papierosa i pośpiesznie mówił dalej: – Przez całą noc myślałem, o ile można to nazwać myśleniem, czy myśli biorą się z nieustannej potrzeby mówienia, od której czasem tylko uwalnia nas paraliżująca obecność innych ludzi, czy może po prostu wyrażamy mową to, co już pomyśleliśmy. – Miał nadzieję, że tym problemem uda mu się odciągnąć uwagę Kay od szczegółów jego powrotu.

– Nie powinieneś zarywać nocy z tego powodu – roześmiała się. – Pomogę ci to rozwikłać jutro wieczorem. O której lądujesz?

– Koło dziesiątej – odparł Patrick, dodając kilka godzin.

– Czyli widzimy się koło jedenastej?

– Doskonale.

– Pa, kotku. Całuję.

– Ja ciebie też. Na razie.

Patrick odłożył słuchawkę i przygotował sobie kolejną działeczkę kokainy, żeby nie zabrakło mu paliwa. Od poprzedniej upłynęło niewiele czasu i musiał chwilę poleżeć w łóżku, zlany potem, zanim mógł telefonować dalej.

– Halo? Debbie?

– Cześć, skarbie. Nie dzwoniłam, bo bałam się, że cię zbudzę.

– To mi akurat nie groziło.

– Przepraszam, nie wiedziałam.

– O nic cię nie oskarżam. Nie musisz się od razu tłumaczyć.

– Nie tłumaczę się – odparła ze śmiechem Debbie. – Po prostu się o ciebie martwiłam. Co za głupia rozmowa. Chodziło mi tylko o to, że całą noc myślałam o tobie.

– Głupia rozmowa – powtórzył z wyrzutem.

– Błagam, nie kłóćmy się. Nie mówię, że ty jesteś głupi, tylko że głupio się tak kłócić.

– Skoro się z tobą kłócę, a kłótnia jest głupia, to chyba znaczy, że jestem głupi.

– O czym ty mówisz? Zawsze ci się wydaje, że cię atakuję. Nie traktuj mnie jak przeciwnika albo wroga.

Cisza. Patrickowi głowa pękała z wysiłku, do jakiego się zmuszał, żeby jej nie zaprzeczać.

– To co robiłaś wczoraj wieczorem? – spytał w końcu.

– Najpierw przez dłuższy czas próbowałam się z tobą skontaktować, a potem

pojechałam na kolację do Gregory'ego i Rebekki.

– Cierpienie się zdarza, gdy ktoś inny je. Kto to powiedział?

– To mógł być prawie każdy – zaśmiała się.

– Pojawiło mi się nagle w głowie.

– Hm. Może powinieneś zacząć redagować rzeczy, które pojawiają ci się w głowie.

– Mniejsza o wczoraj. Co robisz jutro wieczorem?

– Jesteśmy zaproszeni do Chiny, ale musiałbyś tam cierpieć i jeść równocześnie. – Debbie swoim zwyczajem zaśmiała się z własnego żartu, podczas gdy Patrick pozostał wierny swojej okrutnej zasadzie nieśmiania się z niczego, co mówiła – i tym razem wcale nie miał poczucia, że jest niesprawiedliwy.

– Co za błyskotliwa uwaga – rzekł oschle. – Ja nie pójdę, ale jestem jak najdalszy od tego, żeby cię zatrzymywać.

– Nie bądź śmieszny. Powiem, że jednak nie przyjdziemy.

– Boję się, że jak przestanę być śmieszny, to mnie nie poznasz. Zamierzałem przyjechać do ciebie prosto z lotniska, ale poczekam, aż wrócisz od Chiny. Pewnie o dwunastej lub pierwszej.

– No dobrze, jak uważasz, ale mogę odwołać wizytę.

– Nie, nie, do głowy mi to nie przyszło.

– Jeśli pójdę, wykorzystasz to później przeciwko mnie.

– Nie traktuj mnie jak przeciwnika albo wroga – odparł szyderczo.

Cisza. Debbie odczekała chwilę i zaczęła od nowa, starając się nie przejmować jego sprzecznymi oczekiwaniami wobec niej.

– Jesteś w Pierze? – spytała pogodnym tonem.

– Skoro nie wiesz, w jakim jestem hotelu, to jakim cudem się do mnie dodzwoniłaś?

– Domyśliłam się, że jesteś w Pierze, ale nie byłam pewna, bo nie uznałam za stosowne mnie poinformować – odparła z westchnieniem. – Ładny pokój?

– Myślę, że by ci się spodobał. Dużo szaszetki w łazience i telefon koło klozetu, nie przegapiłabyś żadnego ważnego telefonu, na przykład zaproszenia na kolację u Chiny.

– Dlaczego jesteś taki okropny?

– A jestem?

– Zadzwońię do niej i powiem, że nie przyjdziemy jutro.

– Nie, proszę, nie. Ja tylko żartowałem. Jestem teraz trochę wściekły.

– Zawsze jesteś trochę wściekły – zauważyła ze śmiechem.

– Tak się składa, że właśnie zmarł mój ojciec, i dlatego jestem wyjątkowo wściekły.

– Wiem, skarbie, przepraszam.

– Poza tym wziąłem mnóstwo kokainy.

- Czy to na pewno dobry pomysł?
- Oczywiście, że to niedobry pomysł – zawołał ze złością.
- Myślisz, że po śmierci ojca będziesz do niego mniej podobny? – Debbie znowu westchnęła.
- Teraz muszę robić za dwóch.
- Boże, nie wolałbyś po prostu zapomnieć o tym, co było?
- Oczywiście, że wolałbym zapomnieć o tym, co było – odwarknął Patrick – ale to nie takie proste.
- Każdy dźwiga jakiś krzyż.
- Doprawdy? A co jest twoim krzyżem?
- Ty – zaśmiała się.
- To uważaj, żeby ktoś ci go nie ukradł.
- Nie oddam go bez walki – oznajmiła z czułością.
- Jakie to słodkie – zagruchał Patrick, przyciskając słuchawkę barkiem do ucha i siadając na brzegu łóżka.
- Skarbie, dlaczego my się zawsze musimy kłócić? – spytała Debbie.
- Bo się bardzo kochamy – stwierdził bez namysłu, otwierając paczuszkę heroiny nad stolikiem nocnym. Zanurzył mały palec w proszku, po czym przytknął go sobie do ust i cichutko pociągnął nosem.
- W każdym innych ustach zabrzmiałoby to dziwnie.
- Mam nadzieję, że żadne inne usta ci tego nie mówią – powiedział Patrick dzieciennym tonem. Jego palec kursował między paczuszką a nosem.
- Nikt inny nie miałby czelności, gdyby się zachowywał jak ty – odparła ze śmiechem.
- Po prostu bardzo cię potrzebuję – szepnął Patrick, opierając się na poduszkach. – I przeraża mnie to, bo jestem uzależniony od niezależności.
- Ach, a więc to od tego jesteś uzależniony.
- Tak. Cała reszta to iluzje.
- Czy ja też jestem iluzją?
- Nie! I dlatego tyle się kłócimy. Rozumiesz? – Brzmiało to całkiem sensownie.
- Bo jestem *prawdziwą* przeszkodą w twoim dążeniu do niezależności?
- W moim głupim i naiwnym pragnieniu niezależności – poprawił ją kurtuazyjnie.
- Jedno trzeba ci przyznać: umiesz prawić dziewczynie komplementy – zaśmiała się.
- Chciałbym, żebyś tu była ze mną – wyszeptał, zanurzając palec w białym proszku.
- Ja też bym chciała. To musi być dla ciebie strasznie trudne. Może spotkasz się z Marianne? Ona się tobą zaopiekuje.



– O, dobry pomysł. Zadzwoń do niej potem.  
– Muszę kończyć – westchnęła Debbie. – Mam udzielić wywiadu dla jakiegoś durnego czasopisma.

– O czym?

– O ludziach, którzy często chodzą na przyjęcia. Nie wiem, czemu się zgodziłam.

– Bo masz dobre serce – rzekł Patrick.

– Mhm... Zadzwoń później. Jesteś bardzo dzielny. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

– Pa, skarbie.

– Pa.

Patrick odłożył słuchawkę i spojrzał na zegar. Szósta trzydzieści pięć. Zamówił polędwiczki wieprzowe, sadzone jajka, tosty, owsiankę, duszone owoce, sok pomarańczowy, kawę i herbatę.

– Czy to będzie śniadanie dla dwojga? – spytała wesoło kobieta przyjmująca zamówienie.

– Nie, dla jednej osoby.

– Ho, ho, złotko, to się nazywa mieć apetyt! – powiedziała, chichocząc.

– Dobrze jest zacząć dzień od solidnego śniadania, nieprawdaż?

– O tak!

Woń gnijącego jedzenia wypełniła pokój zaskakująco szybko. Patrickowi udało się zmienić śniadanie w pobojuwisko, nie zjadając go. W szarej masie ledwie napoczętej owsianki tkwił nadgryziony kawałek duszonej gruszki; plasterki polędwicy wisiały na brzegu talerza usmarowanego żółtkiem; na zalanym spodku leżały dwa przesiąknięte kawą niedopałki. W porzuconym trójkątnym toście odcisnęły się łagodnym łukiem jego zęby, a wszędzie na obrusie lśnił rozsypany cukier. Tylko sok pomarańczowy i herbata zostały wypite do ostatniej kropli.

W telewizji Wiluś Kojot, siedząc okrakiem na rozpędzonej rakiecie, uderzył z hukiem o zbocze góry, a Struś Pędziwiatr zniknął w tunelu, by po chwili wyłonić się na drugim końcu i oddalić w tumanie kurzu. Patrząc na Strusia i na ten idealny obłoczek kurzu, Patrick przypomniał sobie swoje pierwsze niewinne doświadczenia z narkotykami, kiedy wierzył, że LSD odkryje przed nim coś więcej niż tylko własny tyrański wpływ na jego świadomość.

Za sprawą jego niechęci do klimatyzacji w pokoju robiło się coraz duszniej. Najchętniej wystawiłby wózek na korytarz, ale bojąc się spotkania z drugim człowiekiem, cierpliwie znosił coraz przykrzejszy smród. Słyszał już jedną rozmowę pokojówek na swój temat i teoretycznie doszedł do wniosku, że musiała to być halucynacja, lecz nie czuł się na siłach, by otwierając drzwi, sprawdzić swój stopień oderwania od rzeczywistości. Bo czyż jedna nie rzekła drugiej: „Mówię mu: «Chłopcze, jak będziesz dalej brał ten syf, umrzesz»”? I czyż tamta nie odpowiedziała: „Dla własnego dobra powinnaś wezwać policję, nie możesz dłużej tak żyć”?

Wchodząc w roztargnieniu do łazienki, rozruszał prawy bark, by uśmierzyć ból pod łopatką. Bez entuzjazmu, trochę wbrew sobie, podszedł do lustra. Jedna powieka mu opadała, a oko pod nią było czerwone i łzawiło. Odciągnął dolną powiekę i ujrzał znajomą ciemną żółtość swoich gałek ocznych. Język również miał żółty i pokryty kożuchem. Trupią błądźcę cery przełamywały jedynie fioletowe doły pod oczami.

Całe szczęście, że umarł mu ojciec. Jak inaczej zdołałby wyjaśnić swój upiorny wygląd? Przyszła mu do głowy jedna z maksym, którymi ojciec kierował się w życiu: „Nigdy nie przepraszaj, nigdy się nie tłumacz”.

– Co mi zostało? – wymamrotał, odkręcając kurki nad wanną i rozrywając zębami jedną z saszetek. Gdy wlewał gęsty zielony płyn do wirującej wody, usłyszał, tak mu się przynajmniej zdawało, brzęk telefonu. Czy to kierownik hotelu dzwonił ostrzec go przed jadącymi windą na górę policjantami? Ktokolwiek to był, zewnętrzny świat wdzierał się nieproszony do jego atmosfery, napawając go lękiem. Zakręcił kurki i słuchał nagich dźwięków telefonu. Po co odbierać? A jednak nie umiał się powstrzymać; a nuż ktoś go uratuje.

Siedząc na sedesie, nie ufając własnemu głosowi, Patrick sięgnął po słuchawkę.

– Halo?

– Patrick, mój drogi – odezwał się flegmatyczny głos.

– George!

– Nie przeszkadzam?

– Nie, wcale.

– Pomyślałem, że może chciałbyś zjeść ze mną lunch. Oczywiście zrozumieć, jeżeli to ostatnia rzecz, na jaką masz teraz ochotę. Musisz się czuć absolutnie okropnie. To straszny wstrząs, Patricku, wszyscy wiemy, co czujesz.

– Faktycznie jestem trochę rozchwiany, ale chętnie zjem lunch.

– Tylko muszę cię uprzedzić, że będzie jeszcze parę osób. Czarujący ludzie, ma się rozumieć, najlepsi Amerykanie, jakich można sobie wyobrazić. Niektórzy nawet mieli okazję poznać twojego ojca i bardzo go polubili.

– Doskonale – rzekł Patrick, krzywiąc się i przewracając oczami.

– Umówiłem się z nimi w Key Club. Wiesz, gdzie to jest?

– Nie.

– Myślę, że ci się spodoba, na swój sposób. Zostawiasz za sobą zgiełk i spaliny Nowego Jorku i nagle jesteś w czymś w rodzaju angielskiej wiejskiej rezydencji. Bóg raczy wiedzieć, czyja to rodzina, musieli ich użyzyć jacyś członkowie, ale ściany są obwieszane portretami, wygląda to naprawdę uroczo. Jest wszystko, czego można się spodziewać, włącznie z pastą z sardeli, a nawet rzeczy, które dziś coraz trudniej dostać w Anglii, na przykład dobra krwawa mary z bulionem wołowym. Byliśmy zgodni, twój ojciec i ja, że tak dobrej nie piliśmy od lat.

– Brzmi niebiańsko.

– Zaprosiłem Ballantine’a Morgana. Nie wiem, czy go poznałeś. Mam niestety podejrzenie, że straszliwy z niego nudziarz, ale Sarah bardzo go polubiła i tak już przywykłem do jego wszechobecności, że go zaprosiłem. Co ciekawe, znałem kiedyś człowieka, który nazywał się Morgan Ballantine, absolutnie uroczy jegomość. Muszą być ze sobą jakoś spokrewnieni, ale nie udało mi się tego wyjaśnić – dodał z nutką żalu.

– Może dowiemy się dzisiaj – powiedział Patrick.

– Nie jestem pewien, czy wypada mi pytać. Wydaje mi się, że raz go już pytałem, ale nie mam pewności, bo strasznie trudno się skupić na tym, co mówi.

– Na którą się umawiamy?

– Za kwadrans pierwsza w barze.

– Świetnie.

– Do zobaczenia, mój drogi.

– Na razie. Widzimy się przed pierwszą – powiedział Patrick cichnym

głosem.

Odkręcił kurki i wrócił do pokoju, by nalać sobie bourbona. Kąpiel bez drinka była jak... była jak kąpiel bez drinka. Niektóre rzeczy tłumaczą się same przez się.

W telewizji ktoś opowiadał z entuzjazmem o komplecie prestiżowych noży do mięsa, sprzedawanych w zestawie ze wspinałym wokiem, kompletem pięknych salatek, książką pełną smakowitych przepisów oraz, jakby to wciąż było mało, narzędziem krojącym warzywa w różne kształty. Patrick szklanym wzrokiem zapatrzył się na marchew w plasterkach, kostkach, słupkach i paskach.

Góra drobno pokruszonego lodu, z którym podano mu sok pomarańczowy, całkiem się już roztopiła. W przystępie frustracji Patrick kopnął wózek, który uderzył głośno o ścianę. Perspektywa drinka bez lodu była nie do zniesienia. Po co to ciągnąć? Wszystko było źle, wszystko się beznadziejnie pierdoliło. Usiadł, bezbronny i pokonany, na brzegu łóżka, trzymając luźno w dłoni butelkę bourbona. Tak się przywiązał do myśli o tej zimnej, zamglonej szklaneczce na brzegu wanny, tyle sobie po niej obiecywał, że teraz, kiedy ten plan runął, nic już nie stało między nim a całkowitym upadkiem. Pociągnął łyk prosto z butelki, po czym odstawił ją na stolik nocny. Pałacy w gardle smak bourbona przeszył go dreszczem.

Zegar pokazywał jedenastą dwadzieścia. Trzeba się wziąć w garść, pomyślał, przygotować na wyzwania nadchodzącego dnia. To był czas na spida i alkohol. Kokę musi zostawić, inaczej będzie ją walił w kiblu podczas lunchu, jak zwykle.

Wstał z łóżka i nagle uderzył pięścią w lampę, zrzucając ją na wykładzinę. Z butelką bourbona w ręku wszedł z powrotem do łazienki, gdzie woda z przepelnionej wanny zaczęła się już wylewać na podłogę. Zakręcił ją bez pośpiechu, jakby nic się nie stało, i chwilę przesuwając stopą mokry dywanik, rozprowadzając wodę po najdalszych kątach. Potem rozebrał się, moczając przy tym spodnie, i wyrzucił ubranie przez otwarte drzwi.

Kąpiel była niemożliwie gorąca; zanim do niej wszedł, musiał wyjąć korek i dolać zimnej wody. Gdy już w niej leżał, wydała mu się z kolei zbyt chłodna. Sięgnął po stojącą na podłodze koło wanny butelkę bourbona i – nie do końca wiedząc, dlaczego to robi – zaczął go wylewać na siebie, wsysając ustami alkohol, który rozpryskiwał mu się na twarzy i spływał po niej do wody.

Wkrótce butelka była pusta. Zanurzył ją i patrzył na wypływające z niej bąbelki, potem zaczął ją przesuwając po dnie wanny na podobieństwo łodzi podwodnej śledzącej wrogie okręty.

Spoglądając w dół, spostrzegł kątem oka swoje ramiona i gwałtownie wciągnął powietrze. Wśród blednących żółtych siniaków i różowych smużek starych blizn pojawiły się świeże fioletowe rany skupione wokół głównych żył oraz w paru innych miejscach na całej długości ramienia. Pośrodku tego niezdrowego pejzażu pęczniała czarna gula, pamiątka po wczorajszym chybionym strzale. Myśl,

że to jego własna ręka, uderzyła go nagle z taką mocą, że zachciało mu się płakać. Zamknął oczy, zanurzył głowę i wydmuchnął powietrze przez nos. Ta myśl była nie do zniesienia.

Wynurzywszy się spod wody, kiwając głową na boki, niespodziewanie znów usłyszał brzęk telefonu.

Wyszedł z wanny i podniósł słuchawkę. Te telefony w łazienkach były całkiem praktyczne – może to dzwoniła China, by go namówić, żeby jednak przyszedł?

– Tak, słucham? – odezwał się przeciągle.

– Hej, Patrick? – odpowiedział mu głos, którego nie dało się pomylić z żadnym innym.

– Marianne! Jak miło, że dzwonisz.

– Tak mi strasznie przykro z powodu twojego ojca – powiedziała Marianne głosem ściszym, ale głębokim, w którym na równi z wahaniem pobrzmiwała pewność siebie. Był to głos, który zamiast wydobywać się z wnętrza ciała, zdawał się wciągać do niego cały świat; Marianne nie tyle mówiła, co elokwentnie przetykała. Każdy, kto jej słuchał, musiał sobie wyobrazić jej smukłą gładką krtani i eleganckie es, w jakie układało się jej ciało, które to wrażenie potęgował nadzwyczajnie wygięty kręgosłup, wypychający piersi jeszcze bardziej do przodu, a pośladki – do tyłu.

Dlaczego nigdy nie był z nią w łóżku? Pewną rolę mógł tu odegrać fakt, że ani razu nie dała mu odczuć, że ma na niego ochotę, lecz można to było złożyć na karb jej przyjaźni z Debbie. To przecież niemożliwe, żeby mi się oparła, pomyślał Patrick, patrząc w lustro.

Kurwa mać. Będzie musiał wziąć ją na litość.

– No, takie życie – odpowiedział z powolnym sarkazmem. – Gdzież jest, o śmierci, twój oścień?

– Ze wszelkiego zła, któremu się czyni zarzut niegodziwości, śmierć najmniej zasługuje na to oskarżenie.

– Bardzo prawdziwe w tym wypadku – potaknął Patrick. – Kto to w ogóle powiedział?

– Biskup Taylor w *Regułach i praktykach świątobliwego umierania* – wyjaśniła Marianne.

– To twoja ulubiona książka?

– Jest fantastyczna – zawołała z chrypką. – Jak Boga kocham, to najpiękniejsza proza, jaką czytałam.

Była też mądra. Nie, tak dłużej być nie mogło; musiał ją mieć.

– Zjesz ze mną kolację?

– O rety, chciałabym – odparła z westchnieniem – ale jestem już umówiona na kolację z rodzicami. Może do nas dołączysz?

– Byłoby mi bardzo miło – zapewnił ją Patrick, poirytowany, że nie będzie miał jej tylko dla siebie.

– Świetnie. To dam znać rodzicom – oznajmiła miękko. – Przyjedź do nich na siódmą.

– Doskonale – odparł Patrick, po czym wymuskiło mu się: – Uwielbiam cię.

– Hej! – zawołała enigmatycznie Marianne. – Do wieczora.

Patrick odłożył słuchawkę. Musiał ją mieć, bez dwóch zdań. Była czymś więcej niż tylko najnowszym obiektem, na którym zafiksowało się jego zachłanne pragnienie bycia ocalonym; nie, to była kobieta, która go ocali. Kobieta, której nieprzeciętny intelekt, głębokie współczucie i boskie ciało, tak, której boskie ciało skutecznie odciągnie go od mrocznej studni własnych uczuć i roztrząsania przeszłości.

Jeżeli ją zdobędzie, na zawsze porzuci narkotyki, a przynajmniej będzie miał kogoś naprawdę atrakcyjnego, z kim będzie mógł je zażywać. Parskając niepohamowanym chichotem, owinął się w ręcznik i z nową energią wkroczył do pokoju.

Wyglądał chujowo, to prawda, ale przecież każdy wie, że kobiety, oprócz dużych pieniędzy, najbardziej cenią sobie łagodność i poczucie humoru. Łagodność nie była jego mocną stroną, chwilowo nie czuł się też szczególnie zabawny, ale nie zamierzał dyskutować z przeznaczeniem: musiał ją mieć, inaczej umrze.

Pora była się ogarnąć, łyknąć czarnulkę i zamknąć kokę w walizce. Wyłowił kapsułkę z kieszeni marynarki i przełknął ją imponująco sprawnie. Sprzątając kokainę, nie znalazł żadnego powodu, by nie podać sobie ostatniej porcyjki. W końcu od poprzedniej minęło już prawie czterdzieści minut, a później będzie miał wielogodzinną przerwę. Nie chciało mu się powtarzać całego rytuału, więc tym razem zrobił sobie zastrzyk w przystępną żyłę na wierzchu dłoni.

Efekt był już wyraźnie słabszy; chodził po pokoju bez większego trudu, co prawda nieco chwiejnym krokiem, z głową wtuloną w ramiona i mocno zaciskając szczęki.

Myśl o tak długiej rozłace z kokainą była naprawdę nie do zniesienia, lecz gdyby wziął cały zapas ze sobą, nie byłby w stanie się kontrolować. Najrozsądniejszym wyjściem było przygotowanie dwóch działek, jednej w dość sfatygowanej starej strzykawce, której używał przez całą noc (gumowy tłoczek zaczynał się już przyklejać do ścianek cylindra), drugiej w drogocennej nowej strzykawce. Tak jak niektórzy mężczyźni noszą w kieszonce na piersi chusteczkę na wypadek kobiecych łez albo kataru, tak samo Patrick lubił chować do niej strzykawki, by mieć czym się bronić przed ciągłymi napadami pustki. Bip! Bip! Bądź gotów!

Znów doświadczał omamów słuchowych, tym razem wydawało mu się, że słyszy rozmowę policjanta z pracownikiem obsługi hotelowej.

– Czy to był stały gość?  
– Nieee, jeden z tych, co przyjeżdżają na wakacje życia.  
– Bla, bla – wymamrotał zniecierpliwiony Patrick. Nie tak łatwo go było nastraszyć.

Włożył czystą białą koszulę i drugi garnitur w ciemnoszarą jodełkę. Wsuwając stopy do butów, spinał mankiety złotymi spinkami. Srebrno-czarny krawat, niestety jedyny, jaki miał, był poplamiony krwią, lecz Patrick zdołał to ukryć, zawiązując go nieco przykrótko, choć musiał w tym celu wetknąć dłuższy koniec za koszulę, czego nie znośił.

Znacznie trudniej było rozwiązać problem lewej powieki, teraz już całkiem zamkniętej, nie licząc sporadycznych nerwowych drgawek. Mógł, jeśli się bardzo postarał, ją podnieść, lecz tylko poprzez uniesienie brwi, jakby w najwyższym oburzeniu. Po drodze do Key Club będzie musiał wstąpić do apteki po opaskę na oko.

Kieszeń na piersi była wystarczająco głęboka, by zakryć podniesione tłoczki obu strzykawek, a torebka heroiny pasowała idealnie do biletówki w marynarce. Wszystko było pod pełną kontrolą. Co prawda łało się z niego jak z opiekanej świni i miał nieodparte uczucie, że zapomniał o czymś bardzo ważnym.

Odemknął drzwi z łańcucha i obejrzał się nostalgicznie na cuchnący mroczny rozgardiasz, który porzucał. Zasłony wciąż były zaciągnięte, łóżko niepościelone, poduszki i ubrania walały się na podłodze, przewrócona lampa leżała tam, gdzie upadła, jedzenie na wózku gniło w ciepélku, łazienka tonęła w kałużach, z migoczącego ekranu telewizora jakiś mężczyzna krzyczał: „Zrób zakupy u Szalonego Eddiego! Mnóstwo produktów w obłądnych cenach!”.

Kiedy wychodził na korytarz, od razu rzucił mu się w oczy stojący przy sąsiednich drzwiach policjant.

Płaszcz! To była ta rzecz, której zapomniał. Czy jednak nie będzie to wyglądało podejrzanie, jeżeli zawróci teraz do pokoju?

Wahał się przez chwilę, w końcu wymamrotał głośno: „Ach, no tak, jeszcze...”, czym zwrócił na siebie uwagę policjanta, a następnie z duszą na ramieniu wszedł z powrotem do pokoju. Co tu robi policja? Czy wiedzą, co on tu robił?

Płaszcz wydał mu się cięższy i mniej chroniący niż zwykle. Musi się pośpieszyć, bo zaczną coś podejrzewać.

– Ugotuje się pan w tym płaszczu – rzucił z uśmiechem policjant.  
– To chyba nie jest przestępstwo? – spytał Patrick agresywniej, niż zamierzał.

– Normalnie musielibyśmy pana aresztować – odparł policjant z udawaną powagą – ale mamy ręce pełne roboty. – Wzruszył bezsilnie ramionami.

– Co tam się stało? – spytał Patrick tonem parlamentarzysty przyjmującego

interesanta w swoim biurze.

– Gość zmarł na zawał.

– Impreza skończona – skwitował Patrick, uśmiechając się w duchu.

– Była tu jakaś impreza? – zaciekał się policjant.

– Nie, nie w tym sensie, ja tylko... – Patrick czuł, że chwyta się zbyt wielu myśli naraz.

– Nie słyszał pan żadnych krzyków, hałasów? Czegoś niecodziennego?

– Nie, nic nie słyszałem.

Policjant przybrał bardziej odprężoną pozę i przesunął dłoń po mocno wyłysiałej głowie.

– Pan jest z Anglii, prawda?

– Zgadza się.

– Poznałem po akcencie.

– Tylko czekać, jak awansują pana na detektywa – wypalił Patrick i pomachawszy mu na pożegnanie, ruszył po długiej różowo-zielonej wykładzinie w urny z bujnymi kwiatami, czując na karku gorące promienie oczu policjanta.



Patrick wbiegł po schodach Key Club z nietypowym dla siebie impetem; jego nerwy wiły się jak larwy, gdy zdejmie się z nich kamień chroniący je przed grozą jasnego nieba. W koszuli Ignącej do mokrych pleców, z opaską na oku, zanurzył się z ulgą w mrocznym holu.

Milcząco zdumiony portier wziął od niego płaszcz i poprowadził go w głąb wąskiego korytarza o ścianach pokrytych laurkami dla wspaniałych psów, koni oraz służących, a także paroma karykaturami, przedstawiającymi niegroźne i dawno zapomniane dziwactwa niektórych zmarłych członków. George nie kłamał: była to istotnie świątynia angielskich cnót.

Wchodząc do rozległej, wyłożonej boazerią sali, pełnej zielonych i brązowych skórzanych foteli w stylu wiktoriańskim oraz wielkich lśniących obrazów z psami trzymającymi ptaki w posłusznych pyskach, Patrick dojrzał w rogu George'a, który z kimś rozmawiał.

– Patrick, mój drogi, jak się masz?

– Cześć, George.

– Co ci się stało w oko?

– Lekkie zapalenie, nic takiego.

– Oj. Mam nadzieję, że szybko minie – rzekł George zupełnie szczerze. – Znasz Ballantine'a Morgana? – Odwrócił się twarzą do niskiego człowieczka o słabych niebieskich oczach, schludnie uczesanych białych włosach i starannie przystrzyżonych wąsach.

– Witaj, Patricku – rzekł Ballantine, energicznie ściskając mu dłoń.

Patrick zwrócił uwagę na jego czarny jedwabny krawat i zastanawiał się, czy to żałoba.

– Bardzo mnie zasmuciła wieść o twoim ojcu – mówił Ballantine. – Nie znałem go osobiście, ale z tego, co mi opowiadał George, wynika, że był zacnym angielskim dżentelmenem.

Jezus Maria, pomyślał Patrick.

– Coś ty naopowiadał? – spytał z wyrzutem George'a.

– Tylko tyle, że twój ojciec był wyjątkowym człowiekiem.

– O tak, mogę to potwierdzić – rzekł Patrick. – Nie spotkałem drugiego takiego jak on.

– Nie uznawał kompromisów – ciągnął flegmatycznie George. – Jakie było to jego powiedzonko? „To, co najlepsze, albo nic”.

– Zawsze tak uważałem – wtrącił głupio Ballantine.

– Napijesz się czegoś? – zaproponował George.

– Może spróbuję tej krwawej mary z bulionem, którą tak namiętnie chwaliłeś.

– Namiętnie – zachichotał Ballantine.

– Cóż, są w życiu rzeczy, które budzą w człowieku namiętność. – George uśmiechnął się, po czym spojrział na barmana i kiwnął nań palcem. – Będzie mi bardzo brakowało twojego ojca – ciągnął dalej. – Tak się składa, że właśnie tutaj mieliśmy zjeść razem lunch w dniu jego śmierci. Kiedy widziałem go po raz ostatni, poszliśmy do absolutnie niezwykłego miejsca, które ma chyba jakąś umowę z paryskim Traveller's Club – nie chce mi się wierzyć, że to działa w dwie strony. Portrety na ścianach były co najmniej cztery razy większe od naturalnych rozmiarów, uśmialiśmy się z tego serdecznie... Był w świetnej formie, choć, oczywiście, jak to zwykle, przebijało z niego rozczarowanie. Wydaje mi się jednak, że naprawdę dobrze się bawił. Musisz zawsze pamiętać, Patricku, że był z ciebie bardzo dumny. Jestem pewien, że wiesz o tym. Bardzo dumny.

Patrickowi robiło się niedobrze.

Ballantine wyglądał na znudzonego, jak to często bywa, gdy człowiek słucha o kimś, kogo nie zna. Miał bardzo naturalną potrzebę mówienia o sobie, uznał jednak, że wypada ją na chwilę powściągnąć.

– Tak – powiedział George do kelnera. – Poprosimy dwie krwawe mary z bulionem i... – Nachylił się pytająco w stronę Ballantine'a.

– Dla mnie jeszcze jedno martini – rzekł tamten i nastąpiła krótka cisza.

– Ile tu wiernych psów – odezwał się znużonym głosem Patrick, tocząc wzrokiem po sali.

– Przypuszczam, że wielu członków to zapaleni myśliwi – odparł George. – Na przykład Ballantine należy do najlepszych na świecie.

– Ho, ho! – zaprotestował Ballantine. – *Należał* do najlepszych na świecie. – Wyciągnął przed siebie dłoń, stawiając tamę wzbierającemu potokowi samozachwytu, ze skutkiem podobnym do tego, z jakim król Kanut rozkazywał morskim falom. – Została mi natomiast – dodał skwapliwie – prawdopodobnie najwspanialsza na świecie kolekcja broni myśliwskiej.

Kelner powrócił z drinkami.

– Przynieś mi, proszę, książkę *Kolekcja broni Morgana* – zwrócił się do niego Ballantine.

– Tak jest, panie Morgan – odparł kelner tonem, z którego można było wnosić, że słyszał tę prośbę nie po raz pierwszy.

Patrick skosztował drinka i uśmiech rozlał mu się po twarzy. Wypił duszkiem połowę, na chwilę odstawił szklanekę, po czym sięgnął po nią znowu.

– Miałaś rację – powiedział, dopijając resztę.

– Może jeszcze jeden?

– Chyba się skuszę, jest przepyszny.

Kelner już sunął ku nim z opasłym białym tomem. Okładkę zdobiła widoczna z daleka fotografia dwóch pistoletów inkrustowanych srebrem.

- Proszę bardzo – rzekł kelner.
- O-ho – powiedział Ballantine, biorąc od niego książkę.
- I jeszcze jedna krwawa z bulionem, dobrze? – poprosił George.
- Oczywiście.

Ballantine z trudem powstrzymywał uśmiech dumy.

– Te tutaj – stuknął palcem w zdjęcie na okładce – to para hiszpańskich pistoletów pojedynkowych z siedemnastego wieku. Najdroższa broń na świecie. Żeby dać wam pewne wyobrażenie, powiem tylko, że wymiana cyngli kosztowała milion dolarów.

– Nasuwa się pytanie, czy opłaca się w ogóle pojedynkować – zauważył Patrick.

– Same oryginalne szczoteczki są warte ćwierć miliona – chichotał Ballantine – więc lepiej nie strzelać zbyt często.

George miał zbolalą i nieobecna minę, lecz Ballantine w roli Triumfu Życia, spełniający ważną misję, jaką było zajęcie Patricka czymś innym niż jego nieodżałowana strata, parł naprzód jak taran. Włożył na nos okulary połówki w szylkretowych oprawkach, cofnął głowę i spojrzał z wyższością na swoją książkę, przewracając w niej kartki.

– Ten tutaj – powiedział, zatrzymując korowód stron – to pierwszy wielostrzałowy winchester, jaki kiedykolwiek wyprodukowano.

– Niesamowite – westchnął Patrick.

– Raz w Afryce ustrzeliłem z niego lwa – przyznał Ballantine. – Musiałem oddać kilka strzałów, bo ma mniejszy kaliber niż współczesna broń.

– Tym bardziej wypada się cieszyć, że jest wielostrzałowy – zauważył Patrick.

– O, asekurowało mnie kilku doświadczonych myśliwych – odparł z satysfakcją w głosie Ballantine. – Opisałem to zdarzenie w książce o moich polowaniach w Afryce.

Kelner wrócił z drugą krwawą mary Patricka; pod pachą trzymał kolejną okazałą książkę.

– Harry zasugerował, że ta też może się panu przydać – zwrócił się do Morgana.

– Niech mnie kule biją! – zawołał Ballantine, odchylając się do tyłu z promiennym uśmiechem. – Wspominam o książce i po sekundzie mam ją w rękach. To się nazywa obsługa!

Otworzył książkę z czułym zachwytem.

– Niektórzy moi znajomi uprzejmie twierdzą, że jestem doskonałym stylistą – oznajmił nie do końca zdziwionym tonem. – Ja tego nie dostrzegam. Po prostu piszę, jak było. Ten rodzaj polowania, który uprawiałem w Afryce, to jest pewien sposób życia, którego już nie ma. Zwyczajnie opowiedziałem o nim prawdę, to

wszystko.

– Taaak – zgodził się leniwie George. – Dziennikarze i tym podobni wypisują różne bzdury o bogatych Brytyjczykach w Kenii. Otóż spędziłem tam sporo czasu i bynajmniej nie widziałem nadzwyczajnej ilości nieszczęścia ani pijaństwa, ludzie zachowywali się tak samo jak w Londynie albo w Nowym Jorku. – Pochylił się i sięgnął po oliwkę. – Jedliśmy co prawda kolację w pidżamach – dodał z wyrazem zadumy – co faktycznie może się wydawać nieco dziwne. Ale nie dlatego, że każdy z każdym chciał się przespać, choć naturalnie i takie rzeczy się zdarzały, ma się rozumieć; po prostu nazajutrz trzeba było wstać o świcie na polowanie. Po południu, po powrocie, piło się „toasty”, czyli whisky z wodą sodową, albo co tam kto chciał. Później było „kąpać, *bwana*, kąpać” i napuszczali kąpiel. Potem znów „toasty”, a potem kolacja w pidżamie. Ludzie zachowywali się tak samo jak wszędzie, choć muszę przyznać, że pili sporo, naprawdę sporo.

– Życie nie umierać – skonstatował Patrick.

– Wiesz, George – wtrącił się Ballantine – picie było częścią tego stylu życia. Człowiek i tak wszystko z siebie wypacał.

– Zgoda – przyznał George.

Wcale nie trzeba jechać do Afryki, żeby się spocić, pomyślał Patrick.

– To ja z tanganicką kozicą. – Ballantine podał Patrickowi otwartą książkę. – Podobno to był ostatni płodny samiec tego gatunku, więc mam mieszane uczucia.

Boże, i do tego wrażliwe serce, pomyślał Patrick, przyglądając się zdjęciu, na którym wyraźnie młodszy Ballantine, w kapeluszu khaki, klęczał obok martwej kozicy.

– Zdjęcia robiłem sam – rzucił mimochodem Ballantine. – Wielu zawodowych fotografów błagało mnie, żebym wyjawiał im swój „sekret”, ale musiałem ich rozczarować: jedyny sekret to znaleźć ciekawy temat i sfotografować go najlepiej, jak się potrafi.

– Niesamowite – bąknął Patrick.

– Czasem brała we mnie górę głupia duma – mówił dalej Ballantine – i stawałem w kadrze, pozwalając, by jeden z chłopców nacisnął spust w aparacie; do tego nie potrzeba wielkich umiejętności.

– Ach – odezwał się George z nietypową dla siebie werwą – oto i Tom.

Lawirując między stolikami, zbliżał się do nich niezwykle wysoki mężczyzna w letnim garniturze w niebieskie prążki. Siwe włosy miał rzadkie i raczej zwichrzone, skórę pod oczami obwisłą jak u basseta.

Ballantine zamknął obie książki i położył je na kolanach. Jego monstrualna próżność zatoczyła koło. Opowiedział o książce, w której pisał o swoich fotografiach zwierząt, które zastrzelił z broni ze swojej wspaniałej kolekcji, którą to kolekcję – sfotografowaną, niestety, przez kogoś innego – można było obejrzeć w drugiej książce.

– Tom Charles. Patrick Melrose – przedstawił George.  
– Widzę, że rozmawiacie z człowiekiem renesansu – rzekł Tom suchym, chropawym głosem. – Jak się masz, Ballantine? Czy pan Melrose zna już wszystkie twoje najnowsze dokonania?

– Pomyślałem, że może go zainteresować broń – odparł tamten z irytacją.

– Jeszcze mu się nie zdarzyło pomyśleć inaczej – zachrypiał Tom. – Przykro mi z powodu pańskiego ojca. Pewnie ciężko pan to przeżywa.

– Chyba tak – odparł zaskoczony Patrick. – To trudny czas dla każdego. Tyle silnych uczuć miota człowiekiem.

– Napijesz się czegoś czy bierzemy lunch? – spytał George.

– Zjedźmy – odparł Tom.

Cała czwórka wstała. Patrick zauważył, że po dwóch drinkach czuje się znacznie pewniej. Czuł miarowe, jasne pulsowanie spida. Nic się chyba nie stanie, jeśli strzeli sobie na szybko działkę przed lunchem.

– Którędy do ubikacji, George?

– Tamte drzwi w rogu. Będziemy w sali jadalnej, po schodach i w prawo.

– Dobra, zaraz przyjdę.

Patrick odłączył się od grupy i ruszył we wskazanym kierunku. Drzwi prowadziły do dużego, chłodnego pomieszczenia z białymi i czarnymi marmurami, lśniącą chromowaną armaturą i rzędem mahoniowych drzwi. Na końcu szeregu umywalk leżał stosik wykrochmalonych ręczników z napisem „Key Club” wyszytym w rogu zieloną bawełną; po użyciu ręczniki wrzucało się do stojącego tuż obok dużego wiklinowego kosza.

Patrick nagle przyśpieszył; cicho i zwinnie sięgnął po ręcznik, napełnił szklankę wodą, po czym zamknął się w jednej z mahoniowych kabin.

Nie było czasu do stracenia; prawie jednym ruchem odstawił szklankę, upuścił ręcznik i zdjął marynarkę.

Usiadł na sedesie i ostrożnie umieścił strzykawkę na ręczniku na kolanach. Rękaw zawinął ciasno na bicepsie, robiąc z niego prowizoryczny krępilec, i gorączkowo zaciskając i rozwierając pięść, zdjął kciukiem drugiej ręki nasadkę ze strzykawki.

Żyły zaczynały się chować, lecz szczęśliwe nakłucie bicepsa tuż pod zawiniętym rękawem zaowocowało miłym widokiem czerwonej atomowej chmury w cylindrze strzykawki.

Nacisnął mocno tłoczek i jak najszybciej odwinął koszulę, by roztwór mógł swobodnie krążyć po krwiobiegu.

Wytrzeł strużkę krwi na ramieniu i wypłukał strzykawkę, wytryskując różową wodę na ręcznik.

Kop był rozczarowujący. Ręce mu się trzęsły, serce waliło, ale zabrakło tego rozkosznego uczucia na granicy omdlenia, tej rozdzierającej chwili,

skondensowanej niczym autobiografia tonącego człowieka, a zarazem ulotnej i intymnej jak woń kwiatu.

Co mu po zastrzyku bez porządnego kopa? Nie mógł tego znieść. Oburzony i jednocześnie zaniepokojony myślą, do czego to zmierza, Patrick wyjął drugą strzykawkę, usiadł na sedesie i podwinął rękaw. Co ciekawe, pierwszy kop zaczął narastać, jakby wcześniej tamował go rękaw, i dopiero teraz, później niż zwykle, dotarł do mózgu. Tak czy owak, decyzja o drugim strzale zapadła; z mieszaniną błogiego podniecenia i strachu Patrick spróbował wbić igłę dokładnie w tym samym miejscu co przed chwilą.

Opuszczając rękaw, zdał sobie sprawę, że popełnił gruby błąd. Wstrzyknął sobie za dużo. Zawsze wstrzykiwał za dużo, bo potrzebował za dużo. Ale teraz wstrzyknął więcej, niż potrzebował.

Nie mając siły opłukać bezcennej nowiutkiej strzykawki, zdołał tylko włożyć nasadkę i upuścić sprzęt na podłogę. Zsunął się po tylnej ścianie kabiny, z głową zwieszoną na bok, sapiąc i krzywiąc się jak sportowiec, który wbiegł na metę pokonany, cała jego skóra pokryła się kropelkami potu, a pod zaciśniętymi powiekami migwały mu szybko następujące po sobie obrazy: pijana pszczoła wpadająca z hukiem na ciężkie od pyłku słupki kwiatu; rysy na pękającej betonowej tamie; długie ostrze wykrawające płaty mięsa z ciała martwego wieloryba; wylupione oczy sypiące się z beczki prosto między walce prasy winiarskiej.

Zmusił się do otwarcia oczu. Jego życie wewnętrzne niewątpliwie podupało. Uznał, że rozsądniej będzie udać się na górę i stawić czoło nieobliczalnym reakcjom, jakie wywoływali w nim inni ludzie, niż nurzać się dalej w tych gwałtownych i niespójnych obrazach.

Halucynacje słuchowe, które nękały Patricka, gdy trzymając się ściany, szedł ku rzędowi umywalek, nie przybierały jeszcze postaci słów, lecz składały się z falujących pasm dźwięków i dziwnego wrażenia przestrzeni, przywodząc na myśl spotęgowany oddech.

Wytarł twarz i wylał do umywalki różową od krwi wodę ze szklanki. Przypomniawszy sobie o drugiej strzykawce i próbował ją umyć, spoglądając nerwowo na odbicie drzwi w lustrze. Ręce tak mu się trzęsły, że miał trudności z utrzymaniem igły pod kranem.

Wydawało się, że minęły całe wieki od chwili, kiedy opuścił pozostałych. Pewnie prosili już o rachunek. Choć brakowało mu tchu, w szaleńczym pośpiechu wcisnął mokrą strzykawkę do kieszeni na piersi, wrócił do baru i popędził do holu, w którym znajdowały się schody.

Wchodząc do sali jadalnej, zobaczył, że George, Tom i Ballantine wciąż przeglądają menu. Jak długo kazał im na siebie czekać? Ruszył niezdarnie w kierunku stolika; pasma rozfalowanych dźwięków zakrzywiały przestrzeń

dookoła.

George podniósł wzrok.

– Czesz... Czesz... Czesz? – spytał.

– Czok, czok, czok – jak helikopter odezwał się Ballantine.

– Eś, eś – dodał od siebie Tom.

Co oni próbowali mu powiedzieć, do cholery? Usiadł i wytarł twarz jasnorożową serwetką.

– Cot – powiedział rozwlekłym, elastycznym szeptem.

– Czok, czok, czok – odparł Ballantine.

George się uśmiechał, lecz Patrick nadal nic nie rozumiał, dźwięki smużyły się jak światła hamowania sfotografowane na mokrej ulicy.

– Czesz... Czesz... Czesz... Eś. Eś. Czok, czok, czok.

Siedział w osłupieniu nad menu, jakby pierwszy raz w życiu widział coś podobnego. Kartki pełne martwych istot – krów, krewetek, świń, ostryg, jagniąt – układały się w swego rodzaju listę pomordowanych, uzupełnioną krótkimi opisami pośmiertnych tortur (opiekanie na rożnie, grillowanie, wędzenie, gotowanie). Chryste, jeżeli sądzili, że weźmie do ust którąś z tych rzeczy, to chyba zwariowali.

Widział ciemną krew tryskającą z owczej szyi na suchą trawę. Uwijające się muchy. Smród flaków. Słyszał odgłos rozrywanych korzeni, kiedy wyciągał z ziemi marchew. Każdy żyjący człowiek stąpał po górze zła, okrucieństwa, brudu i krwi.

Gdyby tak zmienił się w szybę, w bezcielesną przerwę między dwiema przestrzeniami, z którymi miałby styczność, nie będąc częścią żadnej z nich, wówczas uwolniłby się od tego wstrętnego, potwornego długu, jaki miał wobec reszty przyrody.

– Czesz... Czesz? – zwrócił się do niego George.

– Um... Ja... um... yy... – Patrick słyszał swój głos dziwnie daleko, jakby wydobywał się z jego stóp. – Ja... um... yy... wezmę... jeszcze... mary... późne... śniadanie... niestem... głodny.

Strasznie się zmordował, wymawiając tych kilka słów.

– Czok, czok, czok, czok – zaprotestował Ballantine.

– Eś czesz? – spytał Tom.

Co się kryło pod „czesz”? Ta fuga robiła się skomplikowana. Jeszcze chwila i George zacznie powtarzać „czok” albo „eś”. I co on wtedy pocznie? Co oni wszyscy poczną?

– Drink wystarczy – wyrzucił z siebie Patrick. – Naprawdę.

Znów otarł czoło i gapił się w nóżkę kieliszka, który lśnił w promieniach słońca, rzucając na biały obrus pękniętą kość światła, podobną do rentgenowskiego zdjęcia złamanego palca. Zniekształcone i zwielokrotnione dźwięki zaczęły cichnąć, ustępując miejsca szumowi nienastrojonego telewizora. Od otaczającego

świata separował go już nie brak zrozumienia, lecz swego rodzaju smutek, jakby mocno spotęgowana gorycz po orgazmie.

– Martha Boeing – mówił Ballantine – opowiadała mi, że miewała zawroty głowy w drodze do Newport i lekarz kazał jej brać do samochodu te małe francuskie serki. Najwyraźniej przyczyną były niedobory białek.

– Jakoś trudno mi uwierzyć w niedożywienie Marthy.

– Cóż – rzekł dyplomatycznie George – nie każdy jeździ do Newport tak często jak ona.

– Wspominam o tym dlatego – wyjaśnił nie bez dumy Ballantine – że miałem podobne symptomy.

– W trakcie tej samej podróży? – spytał Tom.

– Tej samej – potwierdził Ballantine.

– Ech, to Newport! – rzekł Tom. – Wysysa z człowieka całe białko. Trzeba być sportowcem, żeby tam dojechać bez pomocy lekarskiej.

– Tyle że *mój* lekarz – ciągnął cierpliwie Ballantine – zalecił mi, żebym jadł masło orzechowe. Martha była nieprzekonana. Twierdziła, że te francuskie serki są idealne, bo wystarczy je odwinąć i włożyć do ust. Pytała, jak zamierzam jeść masło orzechowe. Na co ja, że łyżeczką, jak kawior. – Ballantine zachichotał. – Nie znalazła na to żadnej odpowiedzi – zakończył triumfalnie – i chyba jednak przeczuci się na masło orzechowe.

– Ktoś powinien ostrzec producentów – zażartował Tom.

– Tak, musisz być ostrożniejszy – wtrącił George swoim rozwlekłym głosem – bo wywołasz run na masło orzechowe. Kiedy ci z Newport coś sobie upodobają, to koniec. Pamiętam, że Brooke Rivers zapytał mnie raz, kto mi robi koszule, a kiedy później chciałem zamówić nowe, okazało się, że trzeba czekać dwa lata. Powiedziano mi, że podskoczyła im nieprawdopodobnie liczba zamówień ze Stanów. Od razu się domyśliłem, kto za tym stoi.

Podszedł kelner i George spytał Patricka, czy jest pewien, że nie chce „niczego treściwszego”.

– Jestem pewien – odparł Patrick. – Niczego treściwszego.

– Twój ojciec nigdy nie tracił apetytu – odnotował George.

– Tak, pod tym jednym względem nigdy nie zawodził.

– Och, nie przesadzajmy – zaprotestował George. – Był naprawdę znakomitym pianistą. Potrafił całą noc grać tak urzekająco, że człowiekowi w ogóle nie chciało się spać.

Pastisz, parodia i dłonie poskręcane jak stare winorośle, pomyślał Patrick.

– Tak – rzekł głośno. – Umiał zachwycić przy pianinie.

– I w rozmowie – dodał George.

– Hm – odparł Patrick. – To zależy, co kto lubi. Z tego, co wiem, nie wszyscy gustują w strumieniach złościwości.



– Jacy ludzie są dziwni! – zawołał Tom, rozglądając się po sali z udawanym przerażeniem.

– Istotnie – przyznał George. – Parę razy zdarzyło mi się powiedzieć mu, żeby się trochę opanował.

– A co zrobił? – zainteresował się Ballantine, wypychając podbródek do przodu, by móc nieco wysunąć szyję z ciasnego kołnierzyka.

– Kazał mi się gonić – odparł krótko George.

– Niech mnie – rzekł Ballantine, dostrzegając okazję, by wykazać się mądrością i dyplomacją. – Wiesz, ludzie kłócą się o najróżniejsze rzeczy. Ja na przykład przez cały weekend próbowałem namówić żonę na kolację w Mortimerze w dniu naszego powrotu do Nowego Jorku. W kółko powtarzała: „Mam dość Mortimera. Nie możemy tym razem pójść gdzie indziej?”. Ale gdzie – tego już oczywiście nie potrafiła powiedzieć.

– Trudno się dziwić – zauważył Tom – skoro od piętnastu lat nie była w żadnej innej restauracji.

– „Mam dość Mortimera” – powtórzył Ballantine z oburzeniem, w którym jednak przebijała pewna duma z faktu, że poślubił tak nietuzinkową kobietę.

Kelner przyniósł im homara, wędzonego łososia, sałatkę krabową i krwawą mary z bulionem. Patrick chciwie uniósł drinka do ust i zamarł, słysząc rozpaczliwy ryk krowy, dobywający się jakby z ubojni ukrytej w mętym płynie w jego szklance.

– Chrzanić – mruknął pod nosem i pociągnął tęgi łyk.

Ten upór został niebawem wynagrodzony sugestywną fantazją o wierzgającej racicy w jego brzuchu. Przypomniawszy sobie, jak mając osiemnaście lat, napisał z oddziału psychiatrycznego list do ojca, w którym usiłował wyjaśnić, dlaczego się tam znalazł, po czym otrzymał od niego bardzo krótką odpowiedź. Napisana po włosku, czyli w języku, którego Patrick nie znał, o czym ojciec dobrze wiedział, okazała się, po krótkiej kwerendzie, cytatem z *Piekle* Dantego: „Zważcie plemienia waszego przymioty / Nie przeznaczono wam żyć jak zwierzęta / Lecz poszukiwać wiedzy i cnoty”. Tamta nieznośnie wysublimowana odpowiedź nabierała nowego znaczenia teraz, gdy Patrick słyszał wycie i sapanie bydła i kolejny raz poczuł, tak mu się przynajmniej zdawało, cios w ścianę żołądka.

Tętno znów mu przyspieszyło, a ciało zalała kolejna fala potu i zrozumiał, że będzie wymiotował.

– Przepraszam – powiedział, wstając nagle.

– Wszystko w porządku, mój drogi? – spytał George.

– Trochę mi niedobrze.

– Może powinniśmy wezwać lekarza.

– Mam najlepszego lekarza w Nowym Jorku – oznajmił Ballantine. – Powołaj się tylko na mnie...

Patrick poczuł w ustach gorzki smak żółci. Połknął ją z powrotem i nie mając czasu, by podziękować Ballantine'owi za jego uprzejmą propozycję, wybiegł z sali jadalnej.

Na schodach odesłał do żołądka drugą porcję wymiocin, tym razem treściwszą. Czasu było coraz mniej. Kolejne fale nudności z rosnącą siłą wyrzucały zawartość żołądka do ust. Kręciło mu się w głowie, oczy zachodziły mgłą; zataczając się w korytarzu, przekrzywił barkiem jeden z rysunków myśliwskich. Kiedy wreszcie dotarł do chłodnej marmurowej przystani toalety, policzki miał nadęte jak trębacz. Jeden z członków klubu, podziwiając się z powagą zarezerwowaną dla luster, najpierw zwyczajnie się zirytował, że ktoś mu przeszkodził, a dopiero potem uświadomił sobie z przerażeniem, że ten ktoś będzie rzygać.

Patrick, straciwszy nadzieję, że uda mu się dobiec do kabiny, zwymiotował do sąsiedniej umywalki, jednocześnie odkręcając kurki z wodą.

- Chryste! – zawołał mężczyzna. – Mógł pan to zrobić w kiblu.
- Za daleko – wyjaśnił Patrick i zwymiotował po raz drugi.
- Chryste – powtórzył tamten i prędko wyszedł.

Patrick rozpoznał resztki wczorajszej kolacji. Miał już prawie pusty żołądek i wiedział, że niedługo zostanie mu tylko kwaśna żółć, której wymioty zawdzięczały swoją złą sławę.

Aby przyspieszyć ich zniknięcie, zakręcił palcem w odpływie, drugą ręką zwiększając strumień wody. Pragnął jak najszybciej wrócić w ustronne zacisze kabiny, zanim znów się zrzyga. Czując falę gorąca i mdłości, porzucił niezupełnie czystą umywalkę i potoczył się w stronę mahoniowych drzwi. Ledwie zdążył je zamknąć na mosiężną zasuwkę, suche torsje rzuciły go na kolana. Nie mogąc złapać tchu ani przełknąć śliny, zmuszał się teraz do wymiotów z jeszcze większym przekonaniem, niż parę minut wcześniej się od nich powstrzymywał.

Kiedy był już na skraju omdlenia z braku powietrza, udało mu się wydobyć z trzewi kulkę żółci, której tak się obawiał.

– Ja pierdolę – zaklął, osuwając się na podłogę. Wymiotowanie zawsze, nawet za tysięcznym razem, miało w sobie coś z przykrej niespodzianki.

Wstrząśnięty myślą, że o mało co się nie udusił, zapalił papierosa i wciągał dym przez gorzką maź, która oblepiała mu wewnątrz jamy ustnej. Nasuwało się teraz, rzecz jasna, jedno pytanie: wziąć heroinę na uspokojenie czy jej nie brać?

Ryzyko polegało na tym, że mogła go przyprawić o jeszcze większe mdłości.

Wytarł spocone ręce, ostrożnie otworzył paczuszkę, zanurzył w niej mały palec i wciągnął proszek w oba nozdrza. Nie poczuł się gorzej, więc ponowił dawkę.

Nareszcie spokój. Zamknął oczy i westchnął. Tamci niech się pierdolą. Nie wróci do nich. Złoży skrzydła i (wziął jeszcze jednego niucha) odpocznie. Jego

dom był wszędzie tam, gdzie walił herę, czyli najczęściej w cudzym sraczu.

Czuł ogromne zmęczenie; naprawdę potrzebował snu. Musi się przespać. Złożyć skrzydła. Tylko co będzie, jeśli George i reszta kogoś po niego przyślą, znajdą upstrzoną wymiocinami umywalkę i zaczną się dobijać do kabiny? Czy kiedykolwiek, gdziekolwiek zazna spokoju? Oczywiście, że nie. Co za niedorzeczne pytanie.

– Przyszedłem po szczątki Davida Melrose’a – oznajmił Patrick uśmiechniętemu młodzieńcowi z wydatną szczęką i lśniąca kasztanową czupryną.

– Pan... David... Melrose – wymamrotał tamten, przewracając kartki w skórzanej księdze.

Patrick pochylił się nad ladą, przypominającą raczej uziemioną ambonę niż biurko, i spostrzegł leżący obok księgi tani zeszyt z napisem „Prawie martwi”. Oto spis, w którym powinien się znaleźć; może od razu poprosi, żeby go dopisali?

Ucieczka z Key Club wprawiła go w dziwną euforię. Po godzinnej drzemce w ubikacji obudził się wypoczęty, lecz nie mógł już wrócić do stolika. Przemknął obok portiera niczym złodziej, pognął do baru za rogiem, a później ruszył pieszo do zakładu pogrzebowego. Będzie musiał potem przeprosić George’a. Kłamstwa i przeprosiny – tak się zwykle kończyły wszelkie jego kontakty z ludźmi.

– Tak jest – rzekł recepcjonista, znalazłszy właściwą stronę. – Pan David Melrose.

– Grzebać go przychodzę, nie chwalić – oznajmił Patrick, teatralnie uderzając w blat.

– Grze-ebać? – zająknął się recepcjonista. – By-ylіśmy chyba umówieni na kre-emację?

– To była metafora.

– Metafora – powtórzył młody człowiek, nie całkiem uspokojony. Czy to znaczyło, że klient zamierza ich pozwać, czy nie?

– Gdzie są prochy? – spytał Patrick.

– Zaraz je przyniosę – odparł recepcjonista. – Z tego, co widzę, miało być pudełko – dodał już nie tak pewnym tonem jak na początku.

– Zgadza się. Nie ma sensu trwonić pieniędzy na urnę. Prochy i tak zostaną rozrzucone.

– No tak – powiedział młodzieniec z nieśmiałą wesołością.

Zerknąwszy w bok, szybko zmienił ton.

– Już przedziutko je panu przynoszę – oznajmił uniżenie i nienaturalnie głośno, ruszając żwawo w stronę drzwi ukrytych w boazerii.

Patrick spojrział przez ramię, by zobaczyć, co spowodowało tę nagłą gorliwość. Ujrzał wysokiego mężczyznę, którego skądś znał, ale nie mógł sobie przypomnieć skąd.

– W naszej branży popyt i podaż są zawsze identyczne – zażartował znajomy nieznajomy.

Za nim stał łysy kierownik z wąsem, który zeszłego popołudnia zaprowadził Patricka do ciała ojca. Zdawał się jednocześnie krzywić i uśmiechać.

– Można powiedzieć, że mamy niewyczerpane zasoby – dodał wysoki

mężczyzna, ewidentnie dobrze się bawiąc.

Kierownik uniósł brwi i wskazał oczyma Patricka.

No tak, pomyślał Patrick, to ten straszny facet z samolotu.

– Niech mnie – szepnął Earl Hammer – chyba muszę się jeszcze podszkolić z PR-u. – Dopiero teraz rozpoznał Patricka. – Bobby! – zawołał przez marmurową szachownicę holu.

– Patrick – poprawił go Patrick.

– Paddy! Jasne. Zmyliła mnie ta przepaska. Co ci się stało? Jakaś panna podbiła ci oko? – Earl rechotał, zbliżając się dudniącym krokiem.

– To tylko lekki stan zapalny – wyjaśnił Patrick. – Gorzej widzę na to oko.

– Przykra sprawa – rzekł Earl. – Co ty tu w ogóle robisz? Jak ci mówiłem w samolocie, że dywersyfikuję przychody, na pewno nie przyszło ci do głowy, że przejmuję najlepszy dom pogrzebowy w Nowym Jorku.

– Rzeczywiście nie przyszło mi to do głowy – przyznał Patrick. – A tobie pewnie nie przyszło, że jadę do najlepszego domu pogrzebowego w Nowym Jorku odebrać prochy ojca.

– Cholera – rzekł Earl. – Przykro mi, Paddy. Na pewno był wspaniałym człowiekiem.

– Był doskonały na swój sposób – odparł Patrick.

– Przyjmij kondolencje – powiedział Earl z nagłą powagą, którą Patrick kojarzył z wcześniejszej rozmowy o sportowych ambicjach panny Hammer.

Recepcjonista wrócił z prostym drewnianym pudełkiem, długim na trzydzieści centymetrów i wysokim na dwadzieścia.

– Dużo bardziej poręczne niż trumna – zauważył Patrick.

– Nie da się zaprzeczyć – rzekł Earl.

– Czy mogę dostać torbę?

– Torbę? – powtórzył recepcjonista.

– Taką papierową albo plastikową, wie pan.

– Już patrzę.

– Paddy – odezwał się Earl jakby po namyśle – dostaniesz dziesięcioprocentowy rabat.

– Dziękuję – odparł Patrick z niekłamany zadowoleniem.

– Drobiazg.

Recepcjonista wrócił z brązową papierową torbą, nieco już pogniecioną, jakby w pośpiechu wyładował z niej swoje zakupy z warzywniaka, byle tylko nie zawieść pracodawcy.

– Doskonale – powiedział Patrick.

– Czy liczymy coś za te torebki? – spytał Earl i nie dając recepcjoniście odpowiedzieć, dodał: – Ta będzie gratis.

– Earl, nie wiem, co powiedzieć.

– Nie ma o czym mówić – zapewnił go Earl. – Mam teraz spotkanie, ale będę zaszczycony, jeśli wypijesz ze mną później drinka.

– Mogę przyjść z ojcem? – spytał Patrick, unosząc torbę.

– Pewnie! – roześmiał się Earl.

– A mówiąc już całkiem poważnie, obawiam się, że nie dam rady. Jestem dzisiaj umówiony na kolację, a jutro muszę wracać do Anglii.

– Szkoda.

– Ja też bardzo żałuję – rzekł Patrick z bladym uśmiechem, ruszając rażno w kierunku wyjścia.

– Żegnaj, przyjacielu. – Earl pomachał mu szeroko.

– Na razie – odparł Patrick. Postawił kołnierz płaszcza i wyszedł na ruchliwą o tej porze ulicę.

W czarno lakierowanym holu, naprzeciwko otwierającej się windy, z marmurowej konsoli spoglądała afrykańska maska. W pozłacanej ptasiej klatce lustra w stylu chippendale Patrick miał okazję ostatni raz obejrzeć swoją niewiarygodnie chorowitą twarz, zanim stanął przed panią Banks, wychudzoną matką Marianne, tkwiącą jak wampir w eleganckim półmroku.

Kiedy otworzyła ramiona, czarna jedwabna suknia rozpostarła się od nadgarstków po kolana niczym skrzydła nietoperza; przekrzywiła nieco głowę i zawołała z rozpaczliwym współczuciem:

– Och, Patricku, tak nam się zrobiło przykro, kiedy się dowiedzieliśmy.

– Cóż – odparł, stukając palcem w pudełko pod pachą – taki los: z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Bóg daje i zabiera. W tym wypadku, jak mi się zdaje, niepotrzebnie zwlekał.

– Czy to jest...? – spytała pani Banks, wpatrując się okrągłymi oczami w papierową torbę.

– Mój ojciec – potwierdził Patrick.

– Muszę powiedzieć Ogilvy’emu, że będziemy mieli jeszcze jednego gościa na kolacji – rzekła, wybuchając wytwornym śmiechem. To była cała Nancy Banks, jak lubiły podkreślać różne czasopisma po sesjach zdjęciowych w jej salonie: śmiała, lecz bezbłędna.

– Banko nie je mięsa – oznajmił Patrick, zdecydowanym ruchem odkładając pudełko na stolik.

Dlaczego „Banko”? – zastanawiała się Nancy swoim lekko zachrypniętym wewnętrznym głosem, który nawet w chwilach najbardziej intymnych rozmyślań zwracał się do licznej, nabożnie skupionej publiczności. Czyżby w jakiś nedorzeczny sposób czuł się odpowiedzialny za śmierć ojca? Bo nieraz o niej fantazjował? Boże, te siedemnaście lat psychoterapii nie poszło w las. W końcu, jak powiedział doktor Morris, kiedy omawiali swój romans, kim jest psychoanalityk, jeśli nie byłym pacjentem, który nie znalazł nic lepszego do

roboty? Czasem brakowało jej Jeffreya. Pozwalał jej tak się nazywać w trakcie „procesu rozluźniania więzi”, przerwane jego nagłym samobójstwem. Nie zostawił nawet listu! Czy stawiała czoło życiowym przeciwnościom, tak jak obiecywał? Może nie zanalizował jej do końca. Przeraziła ją ta myśl.

– Marianne bardzo się cieszy na spotkanie z tobą – wymamrotała pocieszająco, wprowadzając gościa do pustego salonu. Wzrok Patricka zatrzymał się na barokowym sekretarzyku opływającym w tłuste amorki.

– Akurat kiedy zadzwoniłeś, odebrała telefon i nie mogła się wymówić od rozmowy – dodała.

– Mamy całą wieczór... – rzekł Patrick. I całą noc, pomyślał z nadzieją. Salon był morzem różowych lilii, oskarżających go swoimi lśniącoymi słupkami o lubieżne zamiary. Niebezpieczna, niebezpieczna była ta obsesja, która go ogarnęła. Jego myśli jak bobsleje w lodowej rynnie podążały wciąż jednym torem; mógł tylko osiągnąć swój cel albo się wywrócić. Wytarł spocone ręce w spodnie, zdumiony, że istnieje coś bardziej absorbującego niż narkotyki.

Do pokoju wkroczył pan Banks, ubrany w kraciatą koszulę drwala i obszerne spodnie.

– Cześć, Patlicku – jak zwykle mówił szybko i niewyraźnie – bałdzo mi przykło z powodu twojego ojca. Marianne wspominała, że to był niezwykle człowiek.

– Może to i lepiej, że nie mogliście się przekonać sami – odparł Patrick.

– Miałeś z nim trudne relacje? – spytała zachęcająco Nancy.

– Tak.

– Kiedy zaczęły się płoblemy? – zapytał Eddy, sadowiac się na splewiałym pomarańczowym jedwabiu markizy na pałakowatych nogach.

– Och, dziewiątego czerwca tysiąc dziewięćset szóstego, w dniu jego narodzin.

– Tak wcześnie? – uśmiechnęła się Nancy.

– No cóż, nie zdołamy teraz rozstrzygnąć, czy jego problemy były wrodzone, czy nie, w każdym razie nie przed kolacją; ale nawet jeśli nie były, to nabył ich bardzo wcześnie. Z tego, co mi wiadomo, odkąd tylko posiadał umiejętność mowy, wykorzystywał ją do krzywdzenia innych. W wieku dziesięciu lat był już *persona non grata* w domu swojego dziadka, bo wszystkich skłócał, powodował różne wypadki, ludzie musieli przez niego robić rzeczy, których nie chcieli.

– To, jak o nim mówisz, jest trochę niedzisiejsze. Jakby był wcieleniem zła. Dzieckiem szatana – stwierdziła sceptycznie Nancy.

– To subiektywna kwestia – odparł Patrick. – Gdy tylko zjawiał się w pobliżu, ludzie spadali ze skał albo prawie się topili, albo zaczynali płakać. Jego życie polegało na wynajdywaniu i porzucaniu kolejnych ofiar.

– Ale przecież musiał też mieć trochę uroku – powiedziała Nancy.

– Był kociątkiem.

– A czy też nie powiedzielibyśmy o nim, że był po płostu głęboko nieszczęśliwy? – zasugerował Eddy.

– I co z tego? Gdy ktoś wywiera bardzo destrukcyjny wpływ na otoczenie, przyczyna jego zachowania staje się zagadnieniem czysto teoretycznym. Zdarzają się na tym świecie wyjątkowi łajdacy i nie jest dobrze mieć jednego z nich za ojca.

– Mnie się wydaje, że wtedy nie było takiej wiedzy o wychowywaniu dzieci jak też. Wielu łodziców z pokolenia twojego ojca po płostu nie umiało wyrażać miłości.

– Okrucieństwo jest przeciwieństwem miłości – odparł Patrick – a nie żadną jej wykoślawioną wersją.

– Trudno się z tym nie zgodzić – oznajmił lekko zachrypnięty głos od strony drzwi.

– O, cześć. – Patrick obrócił się na krześle, nagle speszony.

Marianne sunęła w jego stronę przez ciemny salon wśród skrzypienia drewnianej podłogi, niebezpiecznie pochylona do przodu, niczym rzeźba na dziobie statku.

Patrick wstał, objął ją rozpaczliwie i zachłannie.

– No już, Patricku – powiedziała, serdecznie go ściskając. – No już – powtórzyła kojąco, gdy nie chciał jej puścić. – Tak mi przykro. Naprawdę.

Boże, pomyślał Patrick, tu chcę być pochowany.

– Właśnie rozmawialiśmy o tym, że łodzice czasem nie potrafią wyrazić swojej miłości do dziecka – odezwał się Eddy.

– No cóż, skąd ja miałabym o tym wiedzieć? – powiedziała Marianne, uśmiechając się z wdziękiem.

Z plecami wygiętymi jak u Murzynki, krokiem pełnym chwiejnej gracji, niczym syrena, która dopiero niedawno weszła w posiadanie ludzkich nóg, zbliżyła się do tacy z alkoholami i wzięła kieliszek szampana.

– Czy ktoś jeszcze chce tego – spytała cicho, wyciągając szyję i lekko unosząc brwi, jakby w tym pytaniu kryło się coś więcej.

Nancy podziękowała. Wolała kokainę. Cokolwiek o niej mówić, nie tuczyła. Eddy odpowiedział twierdząco, a Patrick poprosił o whisky.

– Eddy do dziś nie pogodził się ze śmiercią ojca – powiedziała Nancy, by popchnąć rozmowę naprzód.

– Właściwie to nigdy nie powiedziałem ojcu, co czuję – wyjaśnił Eddy i uśmiechnął się do Marianne podającej mu kieliszek szampana.

– Ja też nie – rzekł Patrick. – W moim przypadku to chyba dobrze.

– A co byś mu powiedział? – Marianne utkwiała w nim uważne spojrzenie ciemnoniebieskich oczu.

– Powiedziałbym... Nie mogę powiedzieć... – Patrick był zdumiony



i poirytowany, że potraktował to pytanie poważnie. – Nieważne – bąknął, nalewając sobie whisky.

Nancy stwierdziła, że Patrick za mało przykłada się do tej rozmowy.

– Jebią ci życie mamcia z tatkiem – westchnęła. – Może i nie chcą, ale jebią.

– Kto powiedział, że nie chcą? – warknął Patrick.

– Philip Larkin – odparła Nancy ze sztucznym krótkim śmiechem.

– To o co chodziło z tym, że nie możesz się pogodzić ze śmiercią ojca? – spytał Patrick Eddy’ego grzecznym tonem.

– Był dla mnie kimś w łodzaju bohatera. Zawsze wiedział, jak postąpić w każdej sytuacji, a przynajmniej wiedział, jak chce postąpić. Umiał się obchodzić z pieniędzmi i z kobietami; kiedy błął na haczyk stukilogłamowego małlina, małlin nie miał szans. A kiedy chciał kupić jakiś obłaz na aukcji, zawsze wygływał licytację.

– A kiedy ty chciałeś go później sprzedać, zawsze ci się udawało – dodała żartobliwie Nancy.

– Ty jesteś moim bohaterem – odezwała się Marianne do ojca – i zawsze nim będziesz.

Ja pierdołę, pomyślał Patrick, co ci ludzie robią całymi dniami, piszą scenariusze do *Rodziny Bradych*? Nienawidził szczęśliwych rodzin z tą ich wzajemną afirmacją, demonstracyjną czułością i stwarzaniem wrażenia, że cenią siebie nawzajem bardziej niż innych. Coś obrzydliwego.

– Pójdziemy razem na kolację? – zapytał zniecierpliwiona Marianne.

– Moglibyśmy zjeść tutaj. – Przełknęła ślinę, cień troski przemknął jej po twarzy.

– Czy to byłoby strasznie niegrzeczne, gdybyśmy zjedli na mieście? – nalegał Patrick. – Chciałbym porozmawiać.

Owszem, według Nancy byłoby to strasznie niegrzeczne. Consuela właśnie szykowała przegrzebki. Lecz w życiu, również w sprawach związanych z podejmowaniem gości, trzeba być elastycznym i taktownym, a przy tym należało wziąć pod uwagę, że Patrick stracił ojca. Tylko biorąc poprawkę na jego stan, mający w sobie coś z chwilowej niepoczytalności, Nancy mogła nie wziąć do siebie ukrytej sugestii, że zachowała się niestosownie.

– Oczywiście, że nie – zapewniła miękko głosem.

– Dokąd pójdziemy? – spytał Patrick.

– O... jest taka jedna ormiańska knajpka, którą bardzo, bardzo lubię – zaproponowała Marianne.

– Ormiańska knajpka – powtórzył obojętnie Patrick.

– Jest super – wykrztusiła Marianne.

W niebieskim welwetowym boksie pod lazurową kopułą usianą bladymi gwiazdami Marianne i Patrick przeglądali laminowane menu restauracji Byzantium Grill. Gdzieś pod nimi zadudnił pociąg metra i woda z lodem, jak zwykle niepotrzebna i pierwsza na stole, drżała w szklankach z grubego karbowanego szkła. Wszystko się trzęsie, pomyślał Patrick, w blacie stolika tańczą molekuly, elektrony wirują, sygnały i fale dźwiękowe przenikają jego organizm, komórki jego ciała drgają od muzyki country i policyjnych radiostacji, od ryczących śmieciarek i tłuczonych butelek; jego czaszka drży jak ściana, w której ktoś wierce dziurę, a każde doznanie jest jak spadająca na miękkie szare ciało kropla tabasco.

Przechodzący kelner niechętnie kopnął pudełko z prochami, obejrzał się i przeprosił. Zaproponował, że je przechowa, lecz Patrick odmówił i wsunął pudełko stopą głębiej pod stół.

Śmierć powinna być wyrazem głębszej istoty, a nie okazją do nowej roli. Kto to powiedział? Groza niepamięci. Lecz oto jego ojciec był kopany przez kelnera. Nowa rola, bez dwóch zdań.

Może ciało Marianne pozwoli mu zapomnieć o nieboszczyku, może będzie zwrotnicą, na której ta obsesja śmierci – ojca i swojej własnej – zmieni tor i popędzi z takim samym chorobliwym impetem ku nowym, erotycznym destynacjom. Co miał powiedzieć? Co mógł powiedzieć?

Anioły, oczywiście, miały łatwiej, bo w miłosnych zbliżeniach nie przeszkadzały im kończyny ani stawy; lecz w spazmatycznym znoju miłości ludzkiej, w której łaskotki zastępują wzajemne przenikanie, w tej wiecznie odżywającej tęsknocie, by się przedrzeć poza ujście rzeki do spokojnego jeziora naszego poczucia, myślał Patrick, udając, że przegląda menu, lecz tak naprawdę wpatrując się w zielony aksamit, pod którym ledwo mieściły się piersi Marianne, znalazłaby godne odbicie niemożliwość wyrażenia słowami zamętu i napięcia, jakie odczuwał po śmierci ojca.

Poza tym nie przelecieć Marianne to było jak nie przeczytać *Iliady* – do niej również przymierzał się od bardzo dawna.

Niczym rękaw wciągnięty przez nieubłaganą, bezduszną maszynę, jego potrzeba bycia zrozumianym utknęła w rozkosznym, lecz groźnie obojętnym ciele tej dziewczyny. Ta obsesja przemiele go i wypluje, a tętno Marianne ani na chwilę nie przyspieszy, jej myśli nie zбочą z wytyczonych ścieżek.

Jej ciało wcale nie uwolni go od trupa ojca. Sekrety jednego i drugiego po prostu splecą się ze sobą; jego rozdarta warga i jej nieskazitelne usta utworzą horyzont. I ten przyprawiający o zawrót horyzont, podobny do otaczającego człowieka wodospadu, pozbawi go uczucia bezpieczeństwa, jak gdyby stał na

wąskim skalnym słupie i patrzył, jak wolno płynąca dookoła woda wygładza się, na pozór nieruchomiejąc, po czym spada, wszędzie spada.

Jezu, myślała Marianne, dlaczego dałam się namówić na kolację z tym człowiekiem? Czytał menu, jakby patrzył z mostu w przepaść. Nie miała ochoty kolejny raz pytać go o ojca, lecz głupio jej było zaczynać inny temat.

Wiele wskazywało, że może to być bardzo męczący wieczór. Patrick był w dziwnym stanie, wpijał się w nią wzrokiem z mieszaniną wstrętu i pożądania. Aż jej się robiło głupio, że jest atrakcyjna. Choć starała się tego unikać, zbyt wiele życia spędzała w towarzystwie ponuraków, z którymi nic jej nie łączyło; patrzyli na nią z palącym wyrzutem, a rozmowa z nimi, zimna i nieświeża, była jak pochopny zakup zalegający w głębinach lodówki.

Hummus na liściach winogron, grillowana jagnięcina, ryż i czerwone wino. Przynajmniej coś zje. Jedzenie mieli tu bardzo dobre. Simon kiedyś ją tu zabrał. Miał nosa do najlepszych ormiańskich restauracji, wynajdował je w każdym mieście na świecie. Był bardzo, bardzo mądry. Pisał wiersze o łabędziach, o lodzie, o gwiazdach, trudno było zrozumieć, co próbuje w nich przekazać, bo były bardzo niedosłowne i niczego nie sugerowały. W rozmowie dobierał słowa po mistrzowsku, zwłaszcza w ormiańskich restauracjach. Któregoś razu powiedział jej ze swoim z lekka brooklyńskim, zacinającym się akcentem: „Niektórzy ludzie doświadczają pewnych emocji. A ja nie”. Tak po prostu. Żadnych łabędzi, lodu, gwiazd.

Kochali się raz i próbowała wtedy wchłonąć istotę jego zuchwałego, nieuchwytnego geniuszu, lecz potem on poszedł do łazienki napisać wiersz, a ona leżała w łóżku i czuła się jak eksłabędź. Oczywiście źle jest chcieć zmieniać ludzi, ale co innego można chcieć z nimi robić?

Patrick budził w niej reformatorski zapał, który miał w sobie coś z nalotu dywanowego. Te oczy jak szparki, wydymające się usta, arogancko uniesiona brew, zgarbiona, bez mała embrionalna poza, autodestrukcyjny melodramatyzm jego życia – której z tych rzeczy nie można by spokojnie odrzucić na bok? Tylko co by zostało po usunięciu całej zgnilizny? Trudno sobie wyobrazić chleb bez miękiszu.

Oho, znów to żarłoczne spojrzenie. Zielona aksamitna sukienka okazała się hitem. Gotowało się w niej na myśl o Debbie, która kochała się na zabój w tym wstrętnym typie (Marianne nieopatrznie nazwała go kiedyś „chwilową aberracją”, jednak Debbie dawno jej wybaczyła, bo teraz sama chciała w to wierzyć), a której on próbował się teraz odwdziżyć niewiernością, zapewne równie notoryczną jak jego nienasycony głód narkotyków.

Problem z robieniem czegoś, na co nie miało się ochoty, był taki, że przychodziły człowiekowi do głowy wszystkie rzeczy, które wolałby robić. Nawet pójście do kina na pierwszy popołudniowy seans nie budziło w niej takiego

zniecierpliwienia, jakie czuła w tej chwili. Niezrobione zdjęcia, zew ciemni, niepokój z powodu nienapisanych listów z podziękowaniami, które przedtem nie zaprzętały jej myśli, zbiegły się teraz, nadając rozmowie z Patrickiem odcień jeszcze większej desperacji.

Skazana na ciągłe odprawianie mężczyzn z kwitkiem, żalowała nieraz (a zwłaszcza dzisiaj), że wywołuje uczucia, których nie jest w stanie zaspokoić. Naturalnie jakąś (małą!) częścią siebie pragnęła ich ocalić albo przynajmniej oszczędzić im trudu.

Patrick musiał przyznać sam przed sobą, że rozmowa nie układa się najlepiej. Każda cuma, którą zarzucał, spadała ciężko do brudnej wody portu. Marianne równie dobrze mogłaby się do niego odwrócić plecami – inna sprawa, że mało co podniecało go tak silnie jak widok pleców. Z każdym niemym krzykiem, ubranym w najgorsze banały, jakie można sobie wyobrazić, uświadamiał sobie coraz wyraźniej, jak niewielkie ma doświadczenie w mówieniu tego, co myśli. Gdyby mógł do niej przemówić innym głosem albo w innym celu – na przykład po to, żeby ją oszukać lub ośmieszyć – wówczas pewnie zdołałby się przebudzić z tego koszmaru zaplątanego języka.

Gęsta, czarna i słodka – kelner przyniósł kawę. Czas uciekał. Czy ona nie rozumie, o co tu chodzi? Nie umie czytać między wierszami? A nawet jeśli umie, to co? Może lubi patrzeć, jak cierpi. A może nawet tego w nim nie lubi. Marianne ziewnęła i poskarżyła się, że jest zmęczona. Wygląda to bardzo obiecująco, pomyślał sarkastycznie Patrick. Leci na mnie, oj, leci. Tak znaczy tak, może znaczy tak, chyba znaczy tak, nie też oczywiście znaczy tak. Czytał w kobietach jak w otwartych książkach.

Na ulicy Marianne dała mu buziaka na pożegnanie, kazała uściskać Debbie i złapała taksówkę.

Patrick z ojcem pod pachą ruszył Madison Avenue. Szedł jak burza; torba z brązowego papieru co jakiś czas uderzała przechodniów, którzy w porę nie usunęli mu się z drogi.

Przed skrzyżowaniem z Sześćdziesiątą Pierwszą Ulicą uświadomił sobie, że nie pamięta, żeby kiedykolwiek wcześniej przebywał sam na sam z ojcem dłużej niż dziesięć minut i nie został w tym czasie zgwałcony, uderzony ani obrażony. Biedak przez ostatnie czternaście lat musiał się ograniczyć do ciosów i wyzwisk, a przez ostatnie sześć – do samych wyzwisk.

Oto dramat wieku starczego: człowiek nie ma siły uderzyć własnego dziecka. Nic dziwnego, że umarł. Pod koniec już nawet złośliwość go zawodziła i aby uchronić się przed kontratakami, zmuszony był zaprawiać swoje słowa szczyptą obrzydliwego żalu nad sobą.

– Jesteś chory psychicznie – warknął Patrick, mijając w pędzie hotelowego portiera – oto twój problem.

– Nie powinieneś tak mówić o biednym starym ojcu – wymamrotał, sypiąc niewidzialne tabletki nasercowe do kurczowo zaciśniętej dłoni.

Łajdak. Nikt nikomu nie powinien tego robić.

To nic takiego, nikomu o tym nie mów.

Natychmiast przestań o tym myśleć.

– Natychmiast – powiedział Patrick na głos.

Śmierć i zagłada. Mijane przez niego budynki stają w ogniu. Szyby tłuką się pod jego wzrokiem. Niesłyszalny wrzask, od którego pękają tętnice. Żadnych zakładników.

– Śmierć i zagłada – wymamrotał. Chryste, był coraz bardziej zeschizowany, coraz bardziej.

Wyobraził sobie, że przeryzyna windziarzowi szyję piłą łańcuchową. Fale wstydu i przemocy, nieprzemóżonego wstydu i przemocy. A jeśli głowa twoja cię gorszy, odetnij ją. Spal ją i podepcz. Żadnych zakładników, żadnej litości. Czarny namiot Tamerlana. Mój ulubiony kolor! Jest taki elegancki.

– Na które piętro pan sobie życzy?

Na co się gapisz, łajzo?

– Trzydzieste dziewiąte.

Schody. Nadmiar skojarzeń. Nadmierne przyśpieszenie. Środek uspokajający. Skalpel. Patrick wystawił dłoń. Ale najpierw chyba znieczulenie, doktorze?

Chyba: partykuła ludzi, którym brakuje argumentów. Najpierw skalpel, potem znieczulenie. Metoda Doktora Śmierć. Wiesz, że to ma sens.

Kto wpadł na pomysł, żeby umieścić go na trzydziestym dziewiątym piętrze? Co chciał w ten sposób osiągnąć? Doprowadzić go do szaleństwa? Schowaj się pod sofą. Trzeba się schować pod sofą.

Nikt mnie tam nie znajdzie. Co, jeśli nikt mnie tam nie znajdzie? A jeśli mnie znajdą?

Wpadł do pokoju, wypuścił z ręki papierową torbę i rzucił się na podłogę. Potoczył się w stronę sofę i leżąc na plecach, próbował się pod nią wcisnąć.

Co on wyprawia? Naprawdę oszalał. Nie zmieści się już pod sofą. Za bardzo urósł. Ma sto osiemdziesiąt siedem centymetrów.

Chrzanić. Uniósł sofę, wepchnął się pod spód, po czym opuścił ją sobie na pierś.

Leżał tak w płaszczu, z przepaską na oku, zakryty sofą po szyję, jakby w trumnie pomyślanej dla kogoś mniejszego.

Doktor Śmierć: – Właśnie takiego epizodu chcieliśmy uniknąć. Skalpel. Znieczulenie. – Patrick wystawił dłoń.

O nie, tylko nie to. Prędko, prędko, działka hery. To pewnie te kapsułki ze spidem rozpuszczały mu się w żołądku. Wszystko da się wyjaśnić.

– Kto by się nad tobą nie zlitował, biedaku – powiedział z westchnieniem, głosem opiekuńczej, lecz nieszczerzej pielęgniarki, wydostając się spod sofy i powoli klękając.

Zrzucił mocno teraz pognieciony i oblaźły kłaczkami płaszcz i ruszył na czworakach w kierunku pudełka z prochami, bacznie je obserwując, jakby w obawie, że się na niego rzuci.

Jak można się dostać do środka? Otworzyć pudełko, wyjąć prochy i spuścić je w ubikacji. Czy może być jakieś lepsze miejsce spoczynku dla jego ojca niż kanały Nowego Jorku, pełne gówna i zwierząt albinosów?

Oglądał fazowane na krawędziach cedrowe drewno w poszukiwaniu jakiejś szczeliny lub śruby, lecz znalazł tylko cienką złotą plakietkę w malutkiej plastikowej torebce, przyklejoną do idealnie gładkiego dna.

Wściekły i sfrustrowany, zerwał się na nogi i zaczął skakać po pudełku. Okazało się solidniejsze, niż przypuszczał, nawet nie zaskrzypiało. Czy można tu zamówić do pokoju piłę łańcuchową? Nie przypominał sobie, żeby czytał o tym w menu.

Wyrzucić pudło przez okno i popatrzeć, jak rozbija się o chodnik? Pewnie tylko by kogoś zabił, a skrzynka nawet by się nie zarysowała.

Na koniec spróbował jeszcze mocnego kopniaka: niezniszczalne pudło przesunęło się po wykładzinie i uderzyło z brzękiem o metalowy kosz na śmieci.

Patrick z imponującą zręcznością przygotował i wstrzyknął porcję heroiny. Powieki, cyk, zamknęły się, a potem uchyliły, chłodne i bezwładne.

Ten spokój tuż po zastrzyku – gdyby tak mogło być zawsze. Lecz nawet w tej zmysłowej karaibskiej ciszy zbyt wiele straszło połamanych drzew i zerwanych dachów, aby mógł się zrelaksować. Zawsze był jakiś spór do wygrania, jakieś uczucie do zwalczania. Spojrzał na drewniane pudełko. Obserwuj wszystko. Zawsze myśl za siebie. Nie pozwól, by inni podejmowali za ciebie ważne decyzje.

Patrick podrapał się leniwie. Cóż, przynajmniej tak bardzo się już nie przejmował.

Próbował spać, ale strzępy spida nadal snuły mu się po głowie i pobudzały do zrywów. Tarł wściekle oko, nie mogąc przestać myśleć o jęczmieniu, który łechtał mu gałkę przy każdym mrugnięciu. Żel kupiony w aptece był oczywiście do niczego. Mimo to wcisnął sobie pokąźną ilość do oka i widział teraz jak przez zatłuszczony obiektyw. Przepaska zostawiła ukośny ślad na czole i jeżeli przerywał tarcie oka, to tylko po to, by z taką samą rozpaczliwą irytacją drapać się po tym śladzie. Miał ochotę wydrapać sobie oko, zedrzeć z siebie twarz, byle położyć kres temu straszliwemu swędzeniu, które wzięło początek z nieudanej próby zaśnięcia, lecz było jedynie przejawem bardziej fundamentalnego niepokoju. Swędzący proszek w pierwszej pieluszcze, rozchichotane twarze wokół szpitalnego łóżeczka.

Stoczył się z łóżka i poluzował krawat. Choć panował zaduch, Patrick wzdygał się na myśl o lodowatym powiewie klimatyzacji. Kim on jest, tuszą na haku? Trupem w kostnicy? Lepiej nie pytać.

Należało zrobić porządek w dragach, dokonać przeglądu wojsk i zobaczyć, jakie są szanse na przetrwanie kolejnej nocy i złapanie samolotu o dziewiątej trzydzieści rano.

Usiadł przy biurku, wyjął heroinę i tabletki z kieszeni płaszcza, kokainę z koperty w walizce. Zostało mu około półtora grama z siedmiu gramów koki, około jednej piątej grama heroiny, jeden metakwalon i jedna czarnulka. Jeśli nie zaśnie i zacznie walić kokę, wystarczy mu na dwie, góra trzy godziny. Dochodziła jedenasta i nawet gdyby wykazał się wzorową samokontrolą, cokolwiek to jest, i tak czekał go zjazd w środku nocy. Heroiny miał w sam raz. Po ostatnim zastrzyku po kolacji na razie nie potrzebował kolejnego. Jeżeli poda sobie działkę o trzeciej nad ranem, a potem drugą tuż przed wejściem do samolotu, powinien dociągnąć do spotkania z Johnnym Hallem. Dzięki Bogu za concorde'a. Z drugiej strony więcej koki oznaczało więcej hery, inaczej groził mu zawał lub obłąd, a zatem powinien poprzestać na tym ćpaniu, które miał; jeżeli przesadzi, nie wpuszczą go do samolotu.

Najrozsądniej było podzielić kokainę na dwie części, pierwszą wziąć teraz, a drugą dopiero gdzieś w klubie czy barze. Postara się zostać na mieście do trzeciej i łyknąć amfetaminę krótko przed powrotem do hotelu; wtedy wzlot po spidzie złagodzi zjazd po drugiej serii walenia w żyły. Czarnulka działała przez mniej więcej piętnaście godzin, drugiego dnia może dwanaście, co oznaczało, że efekt wyczerpie się koło trzeciej po południu czasu nowojorskiego, czyli o ósmej w Londynie, a więc powinien zdążyć zaopatrzyć się w nowy towar u Johnny'ego.

Doskonale! Żałował, że nie stoi na czele międzynarodowej korporacji albo armii w czasie wojny, mógłby wtedy lepiej spożytkować swój talent do planowania. Metakwalon był wolnym strzelcem. Można nim było zabić nudę

podczas lotu albo dać go jakiejś lasce w Mudd Club, żeby była łatwiejsza. Epizod z Marianne pozostawił po sobie niesmak, niczym kiepskie martini. Patrick chciał się odegrać na płci żeńskiej – oraz ugasić żądzę, którą roznieciła w nim Marianne.

A więc tak, mógł sobie teraz podać kokę. Tak, tak, tak. Wytarł lepkie dłonie w spodnie i zaczął szykować roztwór. Na samą myśl czuł miłą falę w jelitach i ogarnęła go tęsknota, jaką mężczyzna czuje do kobiety, która go zdradza, a której zdrada pogłębia jego tęsknotę i zniewala go znacznie bardziej niż jej wierność; taka niecierpliwość i desperacja, z jaką mężczyzna czeka, trzymając w dłoni coraz bardziej zwiędłe kwiaty. Nie było na to innego słowa niż miłość.

Niczym kiepski toreador, który nie umie zadać śmiertelnego ciosu, Patrick kłuł żyły tak, że w strzykawce nie pojawiała się krew. Wziął parę głębokich oddechów, żeby się uspokoić, i ponownie wbił igłę w ramię, po czym przesuwając ją powoli zgodnie z ruchem wskazówek zegara, szukając odpowiedniego kąta, by wkluć się w żyłę bez przeszywania jej na wylot. Kreśląc ten łuk w powietrzu, powolutku odciągał kciukiem tłoczek.

Wreszcie w cylindrze zakreśliła się niewielka smużka krwi. Starając się nie poruszać strzykawką, Patrick wcisnął tłoczek. Poczul opór i natychmiast go cofnął. Ramię przeszył mu ostry ból. Zgubił żyłę! Zgubił pierdoloną żyłę. Był teraz w mięśniu. Miał jakieś dwadzieścia sekund, potem krew się zetnie, a on wstrzyknie sobie skrzep, który zatamuje mu dopływ krwi do serca. A jeśli sobie nie wstrzyknie, to działka się zmarnuje. Wysoka temperatura potrafiła w cudowny sposób upłynnić krew w roztworze heroiny, ale koka by tego nie przetrwała. Prawie się rozplakał, nie wiedząc, czy wbijać głębiej, czy wysunąć igłę. Zaryzykował i lekko cofnął strzykawkę, jednocześnie ją opuszczając. Kiedy w cylindrze pojawiła się świeża krew, z histeryczną radością nacisnął tłoczek z całej siły. Ładowanie w takim tempie było szaleństwem, lecz nie chciał ryzykować skrzepu. Gdy próbował odciągnąć tłoczek, by docisnąć go po raz drugi, na wypadek gdyby w cylindrze została jakaś koka, mechanizm się zaciął i Patrick zrozumiał, że znowu wypadł z żyły.

Błyskawicznie wyjął igłę z ramienia i walcząc z powodzią jasnych myśli, usiłował napełnić strzykawkę wodą, zanim krew zaschnie. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że strzykawka dzwoniła o ściankę szklanki. Jezu, mocny towar. Po naciągnięciu wody odłożył strzykawkę, bo nie był w stanie jej wypłukać.

Chwycił się za ramię, tak że pięść miał pod brodą, i kołysał się do przodu i w tył na krawędzi krzesła, próbując rozproszyć ból. Nie mógł się jednak pozbyć uczucia gwałtu, jakie towarzyszyło każdemu chybionemu strzałowi. Ile to już razy dziurawił ściany swoich żył cienką stalą, zadając tortury ciału, aby dogodzić umysłowi?

Koka grasowała po jego organizmie niczym wataha białych wilków, siejąc postrach i pustoszenie. Nawet chwilową euforię kopa wnet zagłuszyła obawa, że



wstrzyknął sobie skrzep. Następnym razem wkluje się w wierzch dłoni, tam gdzie wciąż dobrze było widać żyły. Stary, pocziwy ból związany z przekłuwaniem twardej skóry i dziabaniem delikatnych kostek był mniej straszny niż groza nietrafienia w niewidzialną żyłę. Przynajmniej nie dawał sobie w pachwinę. Od tego bezowocnego grzebania wśród nieuchwytnych żył można było w ogóle zwątpić w dożylnie podawanie narkotyków.

W rzeczy samej to właśnie w takich momentach, po nietrafionych zastrzykach, przedawkowaniach, lekkich atakach serca i omdleniach, jego wściekle uzależnienie od igieł, niezupełnie tożsame z uzależnieniem od narkotyków, sprawiało, że miał ochotę giąć igły i ciskać strzykawki do studzienek kanalizacyjnych. Jedynie świadomość, że są to batalie z góry przegrane, zmuszające go tylko do mozolnych poszukiwań nowego sprzętu – bądź do wylawiania starego spod mokrych chusteczek, lepkich kubeczków po jogurtach i zwiędłych ziemniaczanych obierków – powstrzymywała go przed spontanicznym zniszczeniem strzykawek.

Ta obsesja na punkcie igieł żyła własnym życiem. Czy istniał jakiś lepszy sposób na bycie jednocześnie dymającym i dymanym, podmiotem i przedmiotem, naukowcem i eksperymentem, próbującym uwolnić ducha poprzez niewolę ciała? Jaka inna forma samopodziału przemawiała dobitniej niż androginiczne objęcia zastrzyku: jedna ręka umieszcza igłę w drugiej, wprzęgając ból w służbę przyjemności, a następnie zmuszając przyjemność, by służyła bólowi?

Zdarzyło mu się wstrzyknąć sobie whisky i patrzeć, jak poparzone żyły czernieją, po to tylko, by zaspokoić głód igły. Zdarzyło mu się rozpuścić kokainę w wodzie gazowanej, bo miał za daleko do kranu, a nie mógł dłużej czekać. Mózg jak miseczka zalanych mlekiem chrupiących płatków ryżowych – pyk! syk! trzask! – i straszne uczucie musowania krwi w zastawkach serca. Stracił przytomność na trzydzieści godzin, a kiedy się ocknął (strzykawka, wciąż w połowie wypełniona herą, zwisała mu z ręki), od nowa, z zimną, żelazną determinacją rozpoczął rytuał, który omal go nie zabił.

Po nieudanej próbie zdobycia Marianne zastanawiał się, czy nie poszłoby mu lepiej, gdyby zamiast rozmową spróbował jej zaimponować strzykawką. Z rozrzewnieniem pomyślał o Nataszy, jak mówiła z tą swoją chrypką: „Kotku, jesteś najlepszy, zawsze trafiasz w żyłę”, a po jej bladej ręce, zwieszanej poza krawędź krzesła, spływała strużka ciemnej krwi.

Zrobił jej zastrzyk w dniu, kiedy się poznali. Usiadła na kanapie z uniesionymi kolanami i ufnie nadstawiła ramię. On usiadł na podłodze obok niej, a kiedy dostała strzał, kolana opadły jej na boki, nabierając światła w ciężkie fałdy czarnych jedwabnych spodni; pamiętał, że strasznie się rozczulił, kiedy z westchnieniem osunęła się na oparcie i zamknawszy rozkosznie oczy, powtarzała: „To zbyt przyjemne... zbyt przyjemne”.

Czym był seks wobec tej empatycznej przemocy? Tylko ona była w stanie otworzyć przed człowiekiem świat spętany ukrytymi kamerami sumienia i próżności.

Później między nimi było już tylko gorzej: kopulacja zamiast kopa, zamiast olśnień – gadka szmatka. Tak czy owak, pomyślał Patrick, wstając z fotela i wychodząc z transu, oszołomiony widokiem tylu solidnych przedmiotów dookoła, trzeba wierzyć w to, że gdzieś tam, na mieście, czeka na niego jakaś dziewczyna gotowa sprzedać swoje ciało za kilka drinków i tabletkę metakwalonu. Poszukiwania zacznie od Mudd Club. Ale najpierw jeszcze tylko jeden szybciutki strzał.

Godzinę później Patrick nie bez pewnych trudności zdołał opuścić hotel. W taksówce na Dolny Manhattan rozwalił się na tylnym siedzeniu. Stalowe kredki, chromowane wiatraki i kryształowe wieże, wystrzelające niczym czyste dźwięki sopranu ze wstrętnej, dziobatej twarzy primadonny, tonęły w mroku. Za oknem przemykały pozbawione podpowiedzi krzyżówki z jasnych i ciemnych okien. Trzy jasne okna pionowo – powiedzmy, że „bez” – i cztery poziomo. Słowo na cztery litery, drugie „e”. Serce... sen... sens. Niech będzie sens. Bezsens. Budynek zniknął mu z oczu. Czy wszyscy grają w tę grę? Ojczyzna wolnych i dzielnych ludzi, którzy robią tylko to, co wszyscy inni. Czy już to kiedyś pomyślał? Czy już to kiedyś powiedział?

Przed Mudd Club jak zwykle był tłum. Patrick przecisnął się do przodu, gdzie dwaj czarnoskórzy i brodaty biały grubas stali za czerwonym skręcanym sznurem i decydowali, kto może wejść. Przywitał się z nimi zmęczonym, rozwlekłym głosem. Zawsze go wpuszczali. Może dlatego, że się tego spodziewał; a może dlatego, że było mu wszystko jedno, czy go wpuszczą; albo po prostu dlatego, że wyglądał na kogoś, kto ma dużo pieniędzy i zamówi mnóstwo drinków.

Patrick poszedł prosto na górę; tam, zamiast głośniejszej muzyki na żywo z małej sceny na parterze, rozbrzmiewały melodie puszczone z taśmy, a kilkanaście telewizorów roztaczało po najdalszych zakamarkach ciemnej sali spektakularne, lecz opatrzone obrazy: błyskawiczne zakwitanie kwiatów, Hitler tłukący w mównicę w Norymberdze, a potem obejmujący się wśród ekstatycznego aplauzu, pierwsze próby wzbicia się człowieka w powietrze zakończone kraksą lub upadkiem do wody. Tuż przed wejściem do sali Patrick minął się ze szczupłą, zachmurzoną dziewczyną o krótkich białych włosach i fioletowych soczewkach kontaktowych. Ubrana była cała na czarno, biały puder i twarz o niezadowolonych, lecz symetrycznych rysach nadawały jej wygląd ćpunka. Miała nawet czarną jedwabną opaskę na chudym bicepsie. Słodko! Odprowadził ją wzrokiem. Nie wychodziła, zmieniała tylko salę. Zagada do niej później.

The Talking Heads dudniło z wszystkich głośników. „*The centre is missing*” – zaśpiewał David Byrne i Patrick musiał przyznać mu rację. Brakowało środka.

Skąd oni wiedzieli, jak on się czuje? Trochę go to przerażało.

Na wszystkich ekranach jednocześnie pojawił się gepard ścigający antylopę przez afrykański busz. Patrick przywarł plecami do ściany, jakby odrzucony przez siłę odśrodkową wirującego pomieszczenia. Czuł fale słabości i wyczerpania – to prawdziwy stan jego ciała przebijał się przez narkotykową gardę. Ostatnia działka koki straciła już moc, a to oznaczało, że raczej będzie musiał wziąć czarnulkę wcześniej, niż planował.

Antylopa runęła na ziemię w tumanie kurzu. Gdy gepard wgrzył jej się w szyję, przez chwilę jeszcze wierzgała. Zdarzenie to, z początku jakby rozbite i rozproszone między tuzin ekranów, na zbliżeniu zwielokrotniło się i nabrało mocy. Patrickowi wciąż się zdawało, że pokój go odpycha, jak gdyby odtrącenie i wykluczenie, bez których nie wyobrażał sobie kontaktów towarzyskich, zmieniły się w siłę fizyczną. Bywało, że mile oszołomiony heroinowym odlotem zaczynał wierzyć w to, że wszechświat jest obojętny, a nie wrogi, lecz taką rozczulającą wiarę czekał prędzej lub później srogi zawód; teraz, gdy stał przyparty do ściany, wydawała się szczególnie odległa.

Oczywiście nadal myślał o sobie w trzeciej osobie, jak o postaci w książce lub filmie, lecz przynajmniej była to trzecia osoba liczby pojedynczej. „Oni” jeszcze go dzisiaj nie osaczyli – te bakterie głosów, które zeszłej nocy przejęły nad nim kontrolę. Obca nieobecność, nieobecna obcość. Tweedledee i Tweedledum. Życie naśladowujące słabą krytykę literacką. Dez/inte/gracja. Zmęczenie i gorączka. Dzień jak co dzień. Dzień jak oścień.

Niczym człowiek na karuzeli wirujących beczek, Patrick ciężko odkleił się od ściany. Pod migoczącymi niebiesko telewizorami faceci o pokerowych twarzach siedzieli niespokojnie na okalającej pomieszczenie ławce z miękkimi szarymi poduszkami. Patrick ruszył w stronę baru ostrożnym krokiem kierowcy usiłującego przekonać policjanta o swojej trzeźwości.

– Lekarz powiedział, że jego wątroba wygląda jak wypukła mapa Gór Skalistych – rzekł oparty o ladę wesolek o grubym karku.

Patrick skrzywił się i poczuł ukłucie w boku, jakby od igły. Absurdalna nadwrażliwość, musi nad tym zapanować. W żalösnej próbie nabrania dystansu jego oczy przemierzały salę krótkimi, rwanymi ruchami drapieżnej jaszczurki.

Na poduszce najbliższej baru siedział rozparty gość w czerwono-żółtym kilcie, ćwiekowanym pasku, wojskowych butach, czarnej skórzanej kurtce i kolczykach w kształcie piorunów. Wyglądał, jakby wziął za dużo tuinalu. Patrick przypomniał sobie czarny błysk tamtego kopa i pieczenie w żyłach jak po proszku do szorowania; tylko dla naprawdę zdesperowanych. Styl tego faceta był mocno wczorajszy: w końcu minęło już sześć lat od punkowego lata siedemdziesiątego szóstego roku, kiedy to Patrick przesiadywał w upale na szkolnych schodach pożarowych, paląc jointy, słuchając *White Riot* i wznosząc groźne okrzyki ponad

dachami. Obok punka w kilcie przycupnęły na brzegu ławki dwie spięte sekretarki z New Jersey w ciasnych spodniach wrzynających się w miękkie brzuchy. Entuzjazm, z jakim przenosiły czerwoną szminkę na końce białych papierosów, wiele obiecywał, były jednak zbyt wstrętne, by mogły go pocieszyć po tym, jak wzgardziła nim Marianne. Lekko odwrócony do nich plecami pośrednik handlowy w ciemnym garniturze (a może handlarz dziełami sztuki?) rozmawiał z mężczyzną, który chował łysinę pod zaczeską z rzadkich długich włosów, wyrastających z ostatnich czynnych mieszków na potylicy. Obaj sprawiali wrażenie, jakby chcieli być w kontakcie z młodością i jej cierpieniem, przyglądali się nowofalowej młodzieży, łowili wzrokiem najnowsze wariacje buntowniczej mody.

Na drugim końcu sali ładna dziewczyna o zawsze modnym wyglądzie biedaczki – czarny sweter i prosta spódniczka z second-handu – trzymała się za rękę z facetem w T-shircie i džinsach. Oboje wpatrywali się posłusznie w jeden z telewizorów, u stóp mieli dwie szklanki piwa. Za nimi troje ludzi z ożywieniem rozmawiało. Mężczyzna w kobaltowym garniturze z cienkim krawatem oraz drugi, w czerwonym garniturze z cienkim krawatem, stali po dwóch stronach ubranej w skórzane bryczesy dziewczyny o haczykowatym nosie i długich czarnych włosach. Patrick z daleka dojrzał błysk łańcucha.

Beznadzieja, kompletna beznadzieja. Jedyna względnie ładna dziewczyna była fizycznie przywiązana do innego mężczyzny. Nawet się nie kłócili. Rzygać się chciało.

Znów sprawdził po kieszeniach, czy wszystko jest na swoim miejscu, kreśląc przy tym znak krzyża. Hera, spid, forsa, metakwalon. Paranoi nigdy nie za wiele – czy jednak za wiele? Kokę zostawił w hotelu razem z kartami kredytowymi. Zamówił bourbona z lodem, wyłowił czarnulkę, połknął ją i popił pierwszym łykiem. Dwie godziny za wcześnie, ale mniejsza o to. Zasady istnieją po to, żeby je łamać. Co oznaczało – skoro to także była zasada – że czasem należy ich przestrzegać. Jego umysł bełkotał w najlepsze. Zataczał pętle. Ależ był zmęczony.

Zdjęcie Davida Bowie siedzącego w pijackiej pozie przed ścianą telewizorów pojawiło się na moment na wszystkich ekranach, by po chwili ustąpić miejsca słynnej scenie z Orsonem Wellesem wśród luster we florydzkim zamku Charlesa Fostera Kane’a. Zwielokrotnione obrazy zwielokrotnienia.

– Pewnie myślicie, że to błyskotliwe – westchnął niczym rozczarowany belfer.

– Słucham?

Patrick obrócił się i napotkał spojrzenie mężczyzny z siwą zaczeską.

– Mówiłem do siebie – wymamrotał. – Pomyślałem, że te obrazy na ekranach są puste i chaotyczne.

– Może właśnie o to w nich chodzi – odparł poważnie mężczyzna. – Pustka to coś, z czym wielu młodych ludzi się teraz identyfikuje.

– Jak można się identyfikować z pustką? – spytał Patrick.  
– Jestem Alan. Dwa razy beck – zwrócił się do kelnera. – A ty?  
– Bourbon.  
– Pytam o twoje imię.  
– A. Patrick.  
– Miło mi. – Alan podał mu rękę. Patrick uściskał ją z przymusem.  
– Czym są snopy światła na jezdni? – spytał Alan, jakby zadawał mu zagadkę.

Patrick wzruszył ramionami.

– Snopami światła na jezdni – oznajmił Alan z imponującym spokojem.  
– Uff, ulżyło mi – odparł Patrick.  
– Wszystko w życiu jest swoim własnym symbolem.  
– Tego się obawiałem – rzekł Patrick – ale na szczęście słowa są zbyt śliskie, by móc to wyrazić.

– Muszą to wyrazić – oznajmił Alan. – Tak samo jak się z kimś bzykasz, musisz myśleć o tej osobie.

– Może i tak – odparł Patrick bez przekonania – pod warunkiem że wyobrażasz ją sobie w innej sytuacji.

– Jeśli te ekrany pokazują inne sposoby tworzenia obrazów, inne ekrany, lustra, kamery, można tę autorefleksję nazwać pustką, ale można ją też nazwać szczerością. Ona mówi: opowiadam o sobie, bo inaczej się nie da.

– A co z Batmanem? – spytał Patrick. – To nie jest o medium telewizyjnym.

– Na głębszym poziomie jest.

– Gdzieś pod jaskinią Batmana.

– Owszem – potaknął Alan niezrażony – gdzieś pod jaskinią Batmana. Dużo młodych ludzi to czuje: tę pustkę kulturową.

– Skoro tak mówisz.

– Moim zdaniem jednak wciąż istnieje Byt, o którym warto opowiadać – rzekł Alan, podnosząc butelki becka. – Miłość Whitmana jest droższa niż pieniądz – dodał z promiennym uśmiechem.

O kurwa, pomyślał Patrick.

– Może do nas dołączysz?

– Nie, właśnie wychodziłem – odparł Patrick. – Mam koszmarny jetlag.

– Okej – rzekł Alan nieporuszony. – Do zobaczenia.

– Na razie.

Patrick opróżnił szklanekę bourbona, by przekonać Alana, że naprawdę wychodzi, po czym udał się w stronę schodów.

Naprawdę kiepsko mu szło. Nie dość, że nie poderwał żadnej dziuni, to jeszcze musiał się bronić przed tym dziwnym pedziem. Co za tekst: „Miłość Whitmana jest droższa niż pieniądz”. Na schodach parsknął krótkim śmiechem. Na

dole będzie mógł przynajmniej poszukać tej punkówki o fioletowych oczach. Musi ją mieć. Niewątpliwie to ona jest tą szczęściarą, której pisane jest dzielić z nim hotelowe łóżko przez kilka ostatnich godzin jego pobytu w tym kraju.

Atmosfera na parterze w niczym nie przypominała tej z wyłożonego wykładziną baru na górze. Na scenie muzycy w czarnych T-shirtach i podartych dżinsach generowali potężną ścianę dźwięków, po której bez większego powodzenia próbował się wspinać głos wokalisty. Podłużne, gołe pomieszczenie, dawniej magazyn, nie miało żadnych dekoracji ani efektownych świateł, jedynie bohaterskie poczucie własnej surowości. W głośniejszej ciemności można było dojrzeć niebieskie i różowe sterczące włosy, wzory w zebry, panterkę i tygrysa, obcisłe czarne spodnie i spiczaste buty, dziwolągi i włóczągów wciągających proszki pod ścianą, kiwających głowami samotnych tancerzy o zamkniętych oczach, pary ruszające się jak roboty oraz, bliżej sceny, grupki podskakujących i zderzających się ciał.

Patrick wspiał się na palce i próbował wypatrzeć fioletowooką ćpunkę. Nigdzie jej nie widział, lecz jego uwagę zaraz przykuły plecy blondynki w domowej roboty sukience z szyfonu i czarnej skórzanej kurtce. Minął ją niby przypadkiem i spojrzał przez ramię.

– Kurwa, to jakiś żart – wymamrotał wściekle. Czuł się zdradzony, jakby twarz tej dziewczyny była złamaną obietnicą.

Jak mógł być tak nielojalny? Szukał przecież fioletowookiej. Debbie podczas jednej z kłótni wydarła się na niego: „Czy ty wiesz, czym jest miłość? Masz w ogóle pojęcie?”. A on wtedy spytał znużonym głosem: „Ile mam strzałów?”.

Patrick zawrócił, ruszył w poprzek sali, rozglądając się na boki, wreszcie zajął miejsce pod ścianą.

Tam jest! Stała oparta o kolumnę, z rękami z tyłu, jakby przywiązana do pala, i wpatrywała się z nabożną ciekawością w muzyków. Patrick w gorączkowym skupieniu wyobrażał sobie, że dziewczyna sunie przez salę ku magnetycznemu polu jego brzucha i klatki piersiowej. Wściekle marszcząc brwi, zarzucił na nią sieć neuronów i ciągnął ją, jak rybak wciąga na brzeg ogromną rybę. Motał mentalne lassa wokół kolumny, pod którą stała, i szarpał ją ku sobie jak związaną niewolnicę. Wreszcie zamknął oczy, uwolnił się z ciała i rzutując swoje pożądanie na drugi koniec pomieszczenia, zasypał jej szyję i piersi pocałunkami.

Kiedy podniósł powieki, już jej nie było. Może należało jednak spróbować rozmowy? Rozejrzał się oburzony. Gdzie się, do licha, podziała? Zdolności pozazmysłowe go zawodziły, mimo że spidowa faza dodała mu energii do kolejnych nieudolnych zabiegów.

Musiał ją mieć – musiał mieć ją albo jakąś inną. Potrzebował kontaktu, skóra do skóry, mięsień do mięśnia. Przede wszystkim potrzebował penetracji, tej chwili zapomnienia, kiedy na sekundę przestawał myśleć o sobie. No chyba że, jak to się

często zdarzało, pozór intymności wywoływał uczucie jeszcze większej bezcielesności i głębszego osamotnienia. Nieważne. Nawet jeśli seks oznaczał dla niego wygnanie, z którym, prócz zwykłej melancholii, wiązała się dodatkowa przykrość w postaci głupich pretensji drugiego człowieka, sam podbój na pewno sprawi mu radość. Ale czy na pewno? Kto mu pozostał? Piękne kobiety zawsze były z kimś, chyba że udało się je złapać w ułamku sekundy między nieutulonym żalem po rozstaniu a utuleniem, albo w taksówce, która wiozła je od głównego kochanka do któregoś z tych mniej ważnych. A kiedy miało się piękną kobietę, zawsze kazała na siebie czekać, zawsze trzymała człowieka w niepewności, bo tylko wtedy mogła być pewna, że o niej myśli.

Doprowadziwszy się do stanu takiego takiego rozgoryczenia, Patrick podszedł do baru.

– Jack Daniel’s na lodzie – powiedział do barmana. Cofając się, obrzucił wzrokiem dziewczynę po lewej. Była nieco pulchna, ciemnowłosa, od biedy ładna. Nie odwróciła oczu, co było dobrym znakiem.

– Nie za gorąco ci w tym płaszczu? – spytała. – Jest maj.

– Strasznie gorąco – przyznał Patrick z półuśmiechem – ale bez niego czuję się jak obdarty ze skóry.

– Coś jak mechanizm obronny – zauważyła.

– Taak – odparł, choć miał poczucie, że nie do końca uchwyciła subtelną i przejmującą istotę jego płaszcza. – Jak masz na imię?

– Rachel.

– Patrick. Mogę ci postawić drinka? – Chryste, to brzmiało jak parodia rozmowy. Wszystko wydawało się teraz albo groźne, albo niepoważne, przez co było mu jeszcze trudniej niż zwykle wyjść z pozycji obserwatora. Może choć dla niej ta przygniatająca nuda będzie pokrzepiającym rytuałem.

– Pewnie. Mam ochotę na piwo. Dos Equis.

– Nie ma sprawy. – Patrick złowił spojrzenie barmana. – Czym się zajmujesz na co dzień? – spytał, prawie wymiotując, tyle wysiłku kosztowało go prowadzenie zwyczajnej rozmowy i udawanie zainteresowania kimś innym.

– Pracuję w galerii.

– Naprawdę? – Patrick miał nadzieję, że zabrzmiało to tak, jakby był pod wrażeniem. Prawie nie kontrolował już własnego głosu.

– Tak, ale chciałabym założyć własną.

Skąd ja to znam, pomyślał. Kelner, któremu się wydaje, że jest aktorem, aktor, któremu się wydaje, że jest reżyserem, taksówkarz, któremu się wydaje, że jest filozofem. Wszystko na dobrej drodze, umowa prawie podpisana, wytwórnie płytowe się dopytują... Miasto pełne pozerów, ekspansywnych fantastów, no i oczywiście garstki naprawdę nieprzyjemnych osób u władzy.

– Tylko że potrzebuję wsparcia finansowego – westchnęła.

– Dlaczego chcesz otworzyć własną? – spytał tonem jednocześnie zatroskanym i pełnym zachęty.

– Nie wiem, czy słyszałeś o sztuce neoobiektywistycznej, ale moim zdaniem nabierze dużego znaczenia – wyjaśniła. – Znam wielu artystów tego nurtu i chciałabym im pomóc zrobić karierę, bo na razie wszyscy ich lekceważą.

– Pewnie już niedługo.

– Właśnie dlatego muszę się pośpieszyć.

– Chętnie bym obejrzał jakieś dzieła neoobiektywistyczne – oznajmił Patrick całkiem poważnie.

– Da się załatwić – odparła Rachel, widząc go teraz w nowym świetle. Czyżby to miało być to wsparcie finansowe, na które czekała? Dziwny był ten jego płaszcz, ale wyglądał na drogi. W sumie nie pogardziłaby ekscentrycznym angielskim sponsorem, który nie spoglądałby jej przez ramię.

– Trochę kolekcjonuję – skłamał Patrick. – Masz może ochotę na metakwalon?

– Raczej nie kręć mnie prochy – odparła Rachel, marszcząc nos.

– Mnie też nie – zapewnił ją Patrick – ale tak się złożyło, że akurat mam przy sobie jedną tabletkę. Dostałem od kogoś wieki temu.

– Nie muszę być na haju, żeby się dobrze bawić – oznajmiła beznamiętnie.

Leci na mnie, bez dwóch zdań, pomyślał Patrick.

– Święta racja – powiedział – to zabija magię, ludzie przestają być sobą. – Serce biło mu coraz szybciej; lepiej będzie, jak od razu sfinalizuje transakcję. – Może pojedziemy do mnie do hotelu? Zatrzymałem się w Pierze.

Pierre, pomyślała Rachel. Naprawdę dobrze to wygląda.

– Czemu nie – odparła z uśmiechem.



Druga trzydzieści według zegara obok medalika ze Świętym Krzysztofem. To mu dawało jakieś pięć godzin, czyli aż nadto. Porozmawia sobie z Rachel za wszystkie czasy. Uśmiechnął się do niej z roztargnieniem. Co mógł jej powiedzieć? Że właśnie zmarł mu ojciec? Że jest ćpunem? Że rano ma samolot? Że jego dziewczyna nie miałaby nic przeciwko? Na pewno nie chciał jej zadawać kolejnych pytań. Ani słuchać, co ma do powiedzenia na temat Nikaragui.

– Jestem troszkę głodna – rzekła nieśmiało.

– Głodna?

– Tak. Marzę o chili con carne.

– Na pewno można zamówić do pokoju – odparł Patrick, choć dobrze wiedział, że w całonocnym menu Pierre’a nie ma chili con carne, a gdyby tam było, byłby niemiłe zaskoczony.

– Ale jest taka jedna knajpka, gdzie robią najlepsze chili pod słońcem – powiedziała, prostując nagle plecy. – Bardzo bym chciała tam pojechać.

– Rozumiem – rzekł cierpliwie Patrick. – Gdzie to jest?

– Róg Jedenastej Alei i Trzydziestej Ósmej.

– Przepraszam – zwrócił się Patrick do kierowcy – ale zmieniliśmy zdanie. Może nas pan zabrać na róg Jedenastej Alei i Trzydziestej Ósmej Ulicy?

– Jedenastej i Trzydziestej Ósmej? – powtórzył taksówkarz.

– Tak.

Knajpka okazała się prążkowaną srebrną przyczepą z czerwonym neonowym napisem: SPRÓBUJ NASZEGO SŁYNNEGO CHILI I TACOS. Dla Rachel była to propozycja nie do odrzucenia. Zielone neonowe chili migąło atrakcyjnie obok żółtego sombrera.

Kiedy Rachel dostała swój gigantyczny owalny talerz, wypełniony po brzegi mielonym mięsem z papryką chili, fasolowym piure, guacamole i śmietaną, posypany jaskrawo pomarańczowym cheddarem, a do tego jeszcze cętkowane tortille w kolorze ochry, Patrick zapalił papierosa w nadziei, że uda mu się zasłonić woniejącą górę pikantnego jedzenia woalem błękitnego dymu. Upił jeszcze jeden łyk lurowatej kawy i wcisnął się jak najdalej w kąt czerwonej plastikowej ławki. Rachel okazała się kompulsywnym żarłokiem; najwyraźniej musiała się nawtykać, zanim da sobie wetknąć, a może, i to całkiem przekonująco, usiłowała pozbawić go wszelkiej ochoty na seks, demolując swój układ trawienny i przesycając swój oddech palącym odorem sera i chili.

– Mhmm – powiedziała z satysfakcją. – Kocham to jedzenie.

Patrick lekko uniósł brew, lecz powstrzymał się od komentarza.

Nawalila chili na tortillę, posmarowała guacamole, uklepała śmietaną tylną stroną widelca, wreszcie posypała wszystko chwyconą w palce szczyptą cheddaru.

Tortilla się otworzyła i chili zalało jej podbródek. Chichocząc, uniosła jedzenie palcem i wepchnęła z powrotem do ust.

– *Delicioso* – stwierdziła.

– Wygląda obrzydliwie – odparł ponuro Patrick.

– Powinieneś spróbować.

Zgarbiona nad talerzem, atakowała rozwalającą się tortillę z coraz mniej oczywistych kierunków. Patrick potarł oko. Znowś swędziało jak wściekle. Spoglądał przez szybę, lecz jego wzrok odbijał się od niej i wracał do środka. Barowe stołki w kolorze tulipanowej czerwieni na pojedynczych chromowanych nogach, okienko między barem a kuchnią, starszy mężczyzna pochylony nad filiżanką kawy i, oczywiście, Rachel, niczym świnia nad korytem. Przypomniał mu się ten słynny obraz tego, jak mu tam. Wypalona pamięć. Strach przed zapomnieniem wszystkiego. Hooper... Hopper. Tak. Jeszcze nie jest z nim tak źle.

– Skończyłaś? – spytał.

– Mają tu pyszny deser lodowy z bananem – oznajmiła filuternie, mieląc w ustach ostatni kęs chili.

– Nie odmawiaj sobie – rzekł Patrick. – Czy jeden wystarczy?

– A ty nie chcesz?

– Nie, ja nie chcę – odparł pompatycznie.

Niedługo potem na stoliku wylądowało podłużne szklane naczynie z gałkami lodów czekoladowych, waniliowych i truskawkowych ujętymi w dwie połówki banana, przykrytymi rozfalowaną bitą śmietaną z różowymi i zielonymi cukiereczkami. Środkiem spływały czerwone wisienki koktajlowe, podobne do guzików klauna.

Patrick nerwowo poruszał nogą, patrząc, jak Rachel ekshumuje szczątki banana z kolorowego kremowego kopca.

– Właściwie to nie jem produktów mlecznych – powiedziała – ale czasem sobie pozwalam na odrobinę obżarstwa.

– Na to wygląda – rzekł sztywno Patrick.

Przepełniały go wstręt i pogarda. Ta dziewczyna w ogóle nad sobą nie panowała. Narkotyki przynajmniej dało się jakoś zareklamować: życie na krawędzi, odkrywanie wewnętrznego Konga, wyprawa do jądra ciemności, zajrzenie śmierci w oczy, powrót z bliznami i medalami dręczącej samowiedzy, Coleridge, Baudelaire, Leary...; i choć fałsz tej reklamy był oczywisty dla każdego, kto kiedykolwiek ćpał na poważnie, to w przypadku zaburzeń odżywiania trudno było nawet udawać, że jest w nich coś heroicznego. A jednak, mimo wszystko, maniackalna łapczywość i groteskowa nieszczerłość Rachel wydawały się niepokojąco znajome.

– Możemy już iść? – spytał burkliwie.

– Tak, jasne – odparła potulnie.

Poprosił o rachunek, nie czekając, aż kelnerka go przyniesie, rzucił na stół banknot dwudziestodolarowy, po czym wygramolił się z boksu. Kolejna pierdolona taksówka, pomyślał.

– Troszkę mi niedo-obraze – poskarżyła się Rachel, gdy jechali na górę hotelową windą.

– Nie dziwi mnie to – odparł surowo Patrick. – Mnie też jest niedobrze, a tylko siedziałem i patrzyłem.

– Hej, jesteś trochę niemily.

– Przepraszam. Jestem strasznie zmęczony. – Patrick nie chciał jej teraz stracić.

– Ja też – przyznała.

Otworzył drzwi i zapalił światło.

– Przepraszam za bałagan.

– Powinieneś zobaczyć moje mieszkanie.

– Może jeszcze zobaczę – odparł. – I tę całą sztukę neoobiektywistyczną.

– Koniecznie – powiedziała. – Mogę skorzystać z łazienki?

– Oczywiście.

Pora na małe co nieco, pomyślał Patrick, słysząc odgłos zamykanej zasuwki w drzwiach do łazienki. Wyłowił kokę z walizki, a heroinę z wewnętrznej lewej kieszeni, wydobyl łyżkę z głębi dolnej szuflady i sięgnął po małą butelkę wody Evian, którą z przesadną ostrożnością ukrył za zasłoną. Później może już nie być okazji, więc lepiej zrobić mocnego speedballa, ograniczyć liczbę strzałów do minimum. Wymieszał herę z koką, rozpuścił je, po czym naciągnął roztwór do strzykawki.

Był gotowy, lecz ile miał czasu, zanim Rachel wyjdzie z łazienki? Nadstawiając uszu, jak ktoś, kto nasłuchuje kroków na skrzypiących schodach, skupił się na dźwiękach dobiegających z łazienki. Stłumione odgłosy wymiotów, a potem chrypliwe pokasływania upewniły go, że zdąży zrobić zastrzyk.

Woląc tym razem nie ryzykować, wbił igłę w grubą żyłę na wierzchu dłoni. Zapach kokainy uderzył go w nozdrza, nerwy napięły się jak struny w fortepianie, a chwilę później heroina przeleciała mu po kręgosłupie miękkim deszczem filcowych młoteczków i wypełniła czaszkę niskim pomrukiem.

Stęknął zadowolony i podrapał się po nosie. To było takie przyjemne, takie kurewsko przyjemne. Jak miał z tego zrezygnować? To była miłość. Powrót do domu. Itaka, koniec tułaczki po wzburzonych morzach. Upuścił strzykawkę do górnej szuflady, chwiejnym krokiem przeciął pokój i zwałił się wyciągnięty na łóżko.

Nareszcie spokój. Zlewające się rzęsy przymkniętych oczu, powolny, leniwy trzepot składanych skrzydeł; ciało uderzane filcowymi młoteczkami, krew roztańczona jak piasek na bębnie; miłość i trucizna opuszczające ciało na długim,

powolnym wydechu, zanurzanie się w prywatność, której nigdy do końca nie pamiętał, a która nie dawała o sobie zapomnieć. Jego myśli migotały jak niezdecydowany strumień, zbierały się w sadzawki osobnych, wyrazistych obrazów.

Ujrzał swoje własne stopy idące po mokrym londyńskim placu, stemplujące chodnik ciemnymi pieczęciami mokrych liści. Od żaru z tłącej się sterty liści powietrze nad placem gęstniało jak syrop, słońce krzywiło się w kłębach żółtego dymu niczym zepsute koło ze szprychami rozrzuconymi wśród łysiejących platanów. Trawnik był usiany martwymi gałęziami, Patrick oglądał tę smutną i gryzącą ceremonię zza barierki, oczami szczypiącymi od dymu.

Zamrugał, wracając do terażniejszości, i podrapał się w oko. Skupił wzrok na wiszącym nad biurkiem obrazie przedstawiającym plażę w Normandii. Dlaczego te kobiety w długich sukienkach i mężczyźni w słomkowych kapeluszach nie wchodzą do morza? Czy zatrzymuje ich na plaży kolorowa wesołość parasoli, czy zdanie, które muszą skończyć, zanim rozbiorą się z ciała w obojętnej wodzie?

Wszystko umierało, każdy podniesiony kamień odsłaniał kłębowisko ślepych białych larw. Musi opuścić tę wilgotną, gnijącą ziemię i zachłanne morze i udać się w góry.

– Pozdrawiam was, wysokie szczyty! – bąknął zawodząco pod nosem. – Wyniosłe! Samotne! Niewzruszone! W sam raz do skoku w przepaść!

Zaśmiał się cicho. Kokainowa fala już opadła. Zaczynał się czuć dość okropnie. Zostało mu koki tylko na dwa porządne strzały, potem czekała go szybko narastająca męka rozczarowania. Spidowa faza, nawet jeśli heroina zagłuszyła ją tylko na chwilę, i tak nie wróci z pełną mocą po tylu godzinach czuwania. W takiej sytuacji, kiedy ciało przypominało pobojuwisko po krwawej międzynarodowej wojnie, rozsądek podpowiadał, by wziąć ostatni metakwalon, którym Rachel tak wspianałomyślnie wzgardziła, i spróbować się przespać w samolocie. Sen z całą pewnością był dobrym pomysłem; przede wszystkim dlatego, że kiedy się z niego zbudzi, działanie narkotyków będzie silniejsze.

Jak zwykle bolała go wątroba, jakby oberwał pod żebro piłką do rugby. Żądza narkotyków szarpała mu wnętrzności niczym lis ukryty pod tuniką młodego Spartanina. Widział wszystko podwójnie, chyba że bez przerwy mrugał, i te dwa obrazy z każdą minutą rozjeżdżały się coraz bardziej.

Te dolegliwości i ogólne wrażenie, że jego ciało trzyma się kupy dzięki spinaczom i agrafkom i że rozedrze się przy najlżejszym pociągnięciu, napęły go żalem i trwogą. Zawsze właśnie teraz, nad ranem trzeciego dnia, wzbierała w nim pełna odrazy chęć odstawienia narkotyków, lecz wiedział, że pierwsze oznaki trzeźwości i głodu przyniosą jeszcze silniejszy strach przed abstynencją.

Z zaskoczeniem spostrzegł, że Rachel stoi smutna w nogach łóżka. Tak szybko zapomniał o niej, wymiotującej w łazience, straciła swoją indywidualność,

stała się po prostu Innymi Ludźmi, kimś, kto może mu przeszkodzić w zażyciu działki albo w delektowaniu się kopem.

– Ale się objadłam – jęknęła, trzymając się za brzuch.

– Może się położysz? – matowym głosem zasugerował Patrick.

Rachel opadła na łóżko, wczołgała się głębiej i runęła ze stęknieniem między poduszki.

– Chodź tu – powiedział Patrick czule, w każdym razie taką miał nadzieję.

Rachel przewróciła się na bok. Pochylił się ku niej z nadzieją, że umyła zęby, i próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio mył swoje, pocałował ją. Kąt nie był optymalny, zderzyli się nosami, a potem, chcąc w pośpiechu naprawić tę niezręczność, także zębami.

– Jezu, czuję się, jakbym miał dwanaście lat.

– Przepraszam – powiedziała.

Usiadł, jedną ręką łapiąc się za głowę, drugą przesuwając w dół jej białej swetrowej sukienki. Rachel wyglądała na wyczerpaną i spiętą. Brzuch u dołu miała teraz bardziej wypukły, niż kiedy stała. Patrick przeskoczył dłonią tę wypukłość i musnął palcami jej biodro i udo.

– Przepraszam – powtórzyła – nie dam rady, jestem zbyt spięta. Może moglibyśmy spędzić trochę czasu razem, lepiej się poznać.

Patrick cofnął dłoń i opadł z powrotem na łóżko.

– Oczywiście – rzekł chłodno i zerknął na zegarek na stoliku nocnym. Czwarta pięćdziesiąt. Mieli około dwóch godzin i czterdziestu minut na to, żeby „lepiej się poznać”.

– Jak byłam młodsza, chodziłam do łóżka z kim popadło – oznajmiła nosowym głosem – ale potem zawsze czułam się pusta.

– Nawet po chili con carne i deserze lodowym? – spytał Patrick. Skoro nie mógł jej przelecieć, przynajmniej się poznać.

– Naprawdę jesteś niemiły – odparła – wiesz o tym? Masz problem z kobietami?

– Z mężczyznami, kobietami, psami. Nikogo nie faworyzuję – wyjaśnił. – Wszyscy mnie wkurwiają.

Stoczył się z łóżka i podszedł do biurka. Po co przyprowadził ze sobą do hotelu ten męczący kawał słoniny? To było nie do zniesienia. Wszystko było nie do zniesienia.

– Słuchaj, nie chcę się z tobą kłócić – powiedziała. – Wiem, że jesteś zawiedziony. Pomóż mi się tylko odprężyć.

– Odprężenie to nie moja specjalność – odparł, chowając kokę i łyżkę do kieszeni spodni, po czym sięgnął w głąb szuflady, szukając drugiej strzykawki.

Rachel wstała z łóżka i podeszła do niego z boku.

– Oboje jesteśmy bardzo zmęczeni – zauważyła. – Połóżmy się spać. Może

rano wszystko będzie wyglądało inaczej – powiedziała zalotnie.

– Doprawdy? – spytał Patrick. Jej dłoń wypalała mu dziurę w plecach. Nie chciał być dotykany przez nią ani przez nikogo. Odsunął się i czekał na okazję, żeby ją zostawić.

– Co jest w tym pudle? – Rachel, znów siłąc się na dobry humor, położyła rękę na skrzynce, która stała na telewizorze.

– Prochy mojego ojca.

– Prochy twojego ojca. – Przełknęła ślinę i cofnęła dłoń. – Okej, teraz czuję się naprawdę dziwnie.

– Nie przejmowałbym się – rzekł Patrick. – To się chyba liczy jako bagaż podręczny, jak myślisz?

– Chyba tak – odparła zaskoczona jego tokiem rozumowania. – Boże, naprawdę czuję się dziwnie. Twój ojciec jest z nami w pokoju. Może już wcześniej to przeczynałam.

– Kto wie? Tak czy siak, przynajmniej będziesz miała towarzystwo, bo muszę iść do łazienki. Na dłużej.

Rachel zrobiła okrągłe oczy.

– To jest trudne.

– Bez obaw. Był czarującym mężczyzną, wszyscy tak mówili.

Zostawił ją w pokoju i zarygłował się w łazience. Rachel usiadła na skraju łóżka, spoglądając nerwowo na pudło, jakby mogło się w każdej chwili poruszyć. Uznała, że to świetna okazja, by skorzystać z ćwiczeń oddechowych, zapamiętanych mgliście z dwóch sesji jogi, na których była, lecz znudziła się nimi po kilku minutach i nadal miała ochotę uciec. Sęk w tym, że mieszkała daleko na Brooklynie. Zapłaci dziesięć, dwanaście dolarów za taksówkę, a za parę godzin i tak będzie musiała tłuc się metrem do galerii. Jeśli zostanie tutaj, może choć trochę się wyśpi i zje śniadanie. Umościła się w łóżku z menu śniadaniowym, a kiedy pierwsza fala ekscytacji i wyrzutów sumienia na widok tyłu pyszności opadła, zmogło ją zmęczenie.

Patrick leżał w wannie z nogą przewieszoną przez krawędź i ze strużką krwi na ramieniu. Zużył całą kokainę na ostatnią działkę i dostał takiego kopa, że wpadł do środka. Wpatrywał się teraz w chromowany drążek prysznicowy i błyszczący biały sufit, oddychając płytko przez zaciśnięte zęby, jakby belka przygniotła mu klatkę piersiową. Na jego koszuli ciemniały plamy potu, nozdrza miał oprószone heroiną. Paczka, z której wciągał prosto do nosa, leżała pusta i pognieciona w dołku jego szyi.

Igłą strzykawki w lewej ręce drapał o ścianę wanny. Musi przestać walić w żyłę – zwłaszcza teraz, kiedy skończył mu się towar.

Wszystkie krzywdy, które wyrządził, obległy go w jednej chwili niczym zgraja upadłych aniołów na średniowiecznym obrazie, zaganiały go rozżarzonymi

widłami do piekła, ich złośliwe, chichoczące twarze otaczały go brzydota i rozpaczą. Odczuwał nieodpartą chęć, by powziąć postanowienie na całe życie, dać sobie gorącą i nieziszczalną obietnicę, że nigdy więcej nie sięgnie po narkotyki. Jeżeli teraz przeżyje, jeżeli los się do niego uśmiechnie, już nigdy nie wbije sobie igły.

W tym ponurym położeniu ferwor brał górę nad samowiedzą, mimo że w Patricku odzywał się już, niby dalekie odgłosy kanonady, niepokój, że czegoś mu brak. Skończył mu się towar. Jedna strzykawka była zniszczona, druga zatkana krwią. I dobrze; ale było w tym coś niewymownie smutnego. Wkrótce jego synapsy zaczną skomleć jak dzieci przymierające głodem, każda komórka ciała będzie go żałośnie szarpała za rękaw.

Poruszył ostrożnie nogą i usiadł. Znów prawie umarł. To zawsze był szok dla organizmu. Lepiej wziąć ten metakwalon. Dźwignął się, omal przy tym nie mdlejąc, i jak starzec opierając się ciężko o ścianę, wyszedł pomału z wanny. Płaszcz leżał na podłodze (nieraz się zastanawiał, czy nie poprosić krawca o zrobienie w rękawach otworów z klapkami); bardzo powoli go podniósł, bardzo powoli wyjął z niego metakwalon, wsadził tabletkę do ust i popił niewielką ilością wody.

Oszołomiony, usiadł na sedesie i wziął do ręki słuchawkę. Pięć, pięć, pięć, jeden, siedem, dwa, sześć.

– Nie mogę teraz odebrać, ale jeśli zostawisz...

Kurwa, nie ma go.

– Pierre, tu Patrick. Chciałem się tylko pożegnać – skłamał. – Odezwę się, jak tylko znów będę w Nowym Jorku. Na razie.

Następnie wykręcił numer Johnny'ego Halla, by się upewnić, że przynajmniej w Londynie coś będzie na niego czekało. Telefon zadzwonił kilka razy. Może Johnny mógłby go odebrać z lotniska? Kolejnych kilka dzwonek. Jezu Chryste, jego też nie ma. Można zwariować.

Patrick próbował odwiesić telefon – udało mu się trafić dopiero za którymś razem. Był słaby jak dziecko. Widząc, że strzykawka wciąż leży na dnie wanny, podniósł ją ociężale, zawinął w papier toaletowy i wyrzucił do kosza pod umywalką.

Kiedy wrócił do pokoju, Rachel leżała na łóżku i nierówno chrapała. Gdyby był zakochany, pomyślał. Lecz nie mógł skończyć. Gra ognia na zmarszczonej wodzie pod łukiem mostu, stłumione echo, pocałunek. Śnieg spływający z butów przed piecem, krew znów nabiegająca do czubków palców. Gdyby był zakochany.

A ponieważ nie był, ciężko dysząca Rachel ze swoim białym brzuchem przypominała mu wyrzuconego na brzeg wieloryba.

Pakowanie się było proste, wystarczyło zwinąć wszystko w kulę i upchnąć do walizki, usiąść na niej i zasunąć zamek. Potem musiał go jeszcze otworzyć,

żeby wcisnąć do środka książkę Victora.

– Myślę, że jestem jajkiem, więc jestem jajkiem – zapiszczał, naśladowując francuski akcent Pierre’a.

Włożył ostatnią czystą koszulę i wrócił do łazienki, by zadzwonić do recepcji.

– Halo? – odezwał się przeciągle.

– Słucham pana, w czym mogę pomóc?

– Chciałbym zamówić limuzynę na siódmą trzydzieści. Dużą, z czarnymi szybami – dodał dziecinnie.

– Oczywiście.

– I zechce pani przygotować rachunek.

– Dobrze. Czy mam przysłać boya po pański bagaż?

– Za jakiś kwadrans, dziękuję.

Wszystko było pod kontrolą. Skończył się ubierać, nasunął opaskę na oko i usiadł w fotelu, czekając, aż przyjdą po jego walizkę. Czy powinien zostawić Rachel wiadomość? „Nigdy nie zapomnę tego wieczoru we dwoje” albo „Musimy to niedługo powtórzyć”. Czasem milczenie było wymowniejsze.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Boy miał około sześćdziesiątki, był niski, łysy, ubrany w najmniej ozdobny szary uniform hotelowy.

– Mam tylko jedną walizkę.

– Dobrze – odparł boy z irlandzkim akcentem.

Ruszyli korytarzem, Patrick lekko zgarbiony przez wzgląd na wątrobę i przechylony z powodu bólu pleców.

– Życie to worek gówna – zagaił – z którego na dodatek cieknie. Człowiek choćby nie wiem jak się starał, i tak się ubrudzi.

– Chyba wiele osób tak myśli – odparł mężczyzna z miłym dla ucha zaśpiewem. Zaraz potem zatrzymał się i odstawił walizkę Patricka. – I rozleje się morze krwi. I potopią się grzesznicy – wydekłamał. – Ani na wyżynach nie ujdą śmierci.

– To pańskie własne proroctwo? – spytał uprzejmie Patrick.

– Tak jest w Biblii – odparł boy. – Mosty runą – obiecał, wskazując dłonią sufit, po czym jakby pacnął niewidzialną muchę. – A ludzie powiedzą, że nastał koniec ich świata.

– I nie bez kozery – zauważył Patrick – ale naprawdę muszę już zejść na dół.

– Racja – rzekł boy, wciąż podniecony. – Spotkamy się przy recepcji. – Podreptał szybkimi kroczkami do windy towarowej.

Człowiekowi może się wydawać, że żyje na krawędzi, pomyślał Patrick, ale jak tu konkurować z ludźmi, którzy wierzą w to, co zobaczą w telewizji?

Rachunek na dwa tysiące sto dwadzieścia trzy dolary zaskoczył nawet jego. Tak duża suma sprawiła mu cichą przyjemność. Erozja kapitału była jeszcze



jednym sposobem na to, by odjąć sobie wagi, stać się tak chudym i pustym, jakim się czuł, zmniejszyć brzemię niezasłużonej fortuny, popełnić symboliczne samobójstwo, skoro wciąż nie potrafił się zdecydować na prawdziwe. Pielęgnował też w sobie odwrotną fantazję: że kiedy zostanie bez grosza, odkryje jakiś uskrzydlający cel zrodzony z potrzeby zarabiania pieniędzy. Do rachunku za hotel trzeba było doliczyć jakieś dwa i pół tysiąca dolarów za taksówki, narkotyki i jedzenie w restauracjach, no i sześć tysięcy za bilety lotnicze. Razem dawało to ponad dziesięć tysięcy dolarów, do których dojdą jeszcze koszty firmy pogrzebowej. Patrick poczuł się jak zwycięzca teleturnieju. Gdyby skończyło się na ośmiu i pół albo dziewięciu, chyba by tego nie zniósł. Dziesięć tysięcy w dwa dni. Umiał się dobrze zabawić, tego nie można mu było odmówić.

Nie sprawdzając, czy wszystko na rachunku się zgadza, rzucił na ladę swoją kartę American Express.

– Aha, jeszcze jedno – powiedział, ziewając. – Podpiszę autoryzację, ale czy mogą państwo zostawić rachunek otwarty? Znajoma została w pokoju. Może będzie chciała zjeść śniadanie; jestem tego wręcz pewien. Niech sobie zamówi, na co tylko ma ochotę – dodał szczerobliwie.

– Do-obra. – Recepcjonistka zawahała się, jakby nie była pewna, czy powinna doliczyć opłatę za drugą osobę. – Ale zwolni pokój do południa?

– Myślę, że tak. Ona pracuje – zaznaczył Patrick, jakby to było coś wyjątkowego. Podpisał formularz autoryzacji karty kredytowej.

– Ostateczny rachunek prześlemy na pański adres.

– Och, nie robiłbym sobie kłopotu – rzucił Patrick, po raz kolejny ziewając. Spozrzegł, że boy stoi nieopodal z jego walizką. Uśmiechnął się do niego. – Morze krwi, tak?

Boy patrzył słuźalczym, nierozumiejącym wzrokiem. Czyżby tamta rozmowa była tylko urojeniem? Przydałoby mu się trochę snu.

– Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z pobytu w naszym hotelu – powiedziała recepcjonistka, wręczając Patrickowi kopertę z kopią rachunku.

– Zadowolony to złe słowo – odparł Patrick ze swoim najbardziej czarującym uśmiechem. – Zachwycony. – Delikatnym grymasem dał do zrozumienia, że nie chce koperty. – O Boże – wykrzyknął nagle. – Zapomniałem czegoś z pokoju. – Zwrócił się do boya. – Na telewizorze stoi drewniane pudełko; byłby pan tak miły i mi je przyniósł? I jeszcze brązową papierową torbę.

Jak mógł zapomnieć o pudełku? Nie musiał dzwonić do Wiednia, aby rozwikłać tę zagadkę. Co by zrobili nad ponurą kornwalijską zatoką, gdzie zgodnie z życzeniem ojca miał rozrzucić jego prochy? Trzeba by było przekupić miejscowe krematorium, żeby odstąpili trochę niepotrzebnych resztek wymiecionych spod pieca.

Boy wrócił po dziesięciu minutach. Patrick zgasił papierosa i odebrał od

niego brązową torbę. Ruszyli we dwóch w stronę obrotowych drzwi.

– Ta młoda dama pytała, dokąd pan się wybiera.

– I co pan odpowiedział?

– Że chyba na lotnisko.

– I co ona na to?

– Wolałbym nie powtarzać – z szacunkiem odrzekł boy.

To tyle w tej kwestii, pomyślał Patrick, przemykając przez drzwi. Tnij. Spal. Ruszaj dalej. W olśniewający blask większego i jaśniejszego nieba, z oczyma pustymi jak u rzymskiego posągu.

Po drugiej stronie ulicy zobaczył mężczyznę bez lewej dłoni, z kikutem lekko obtartym w miejscu, gdzie wyraźnie rysowała się kość; zgorzkniała twarz pokryta czterodniowym zarostem, żółte szkła, wydęta warga, długie proste włosy, poplamiony płaszcz. Kikutem wstrząsały gwałtowne mimowolne ruchy. Nałogowy palacz. Człowiek nienawidzący świata. *Mon semblable*. Cudze słowa.

Istniały jednak pewne istotne różnice. Patrick wręczył portierowi i boyowi po banknocie. Gdy kierowca otworzył mu drzwi, wgramolił się do środka ze swoją papierową torbą. Rozłożył się wygodnie w poprzek czarnego skórzanego siedzenia, zamknął oczy i udawał, że śpi.

**Jakaś nadzieja**

Patrick obudził się i wiedział, że coś mu się śniło, ale nie mógł sobie przypomnieć co. Znow miał to znajome uczucie, kiedy jakaś rzecz znika z obrzeży umysłu, lecz pustka po niej zawiera ślady jej obecności, jak papierowe świstki wirujące nad ulicą, którą przejechał pędzący samochód.

Mętne urywki snu, który działał się chyba gdzieś nad jeziorem, mieszały się z inscenizacją *Miarki za miarkę*, którą widział z Johnnym Hallem poprzedniego dnia. Reżyser umieścił akcję w zajezdni autobusowej, lecz nic nie mogło złagodzić szoku, jakim było usłyszenie słowa „miłosierdzie” tyle razy jednego wieczoru.

Może wszystkie jego problemy biorą się stąd, że używa niewłaściwych słów? Pobudzony tą myślą odgarnął kołdrę, jakby zamierzał wstać. Poruszał się w świecie, w którym „miłosierdziu”, niczym pięknej kobiecie śledzonej przez męża zazdrośnika, towarzyszyły zawsze określenia „bankiet”, „bal”, „stowarzyszenie”. „Współczucie” zdawało się nikomu niepotrzebne, a „łaska” przewijała się głównie w narzekaniach na zbyt krótkie wyroki więzienia. Lecz Patrick wiedział, że jego trudności mają bardziej fundamentalny charakter.

Czuł się wyczerpany towarzyszącą mu przez całe życie potrzebą bycia w dwóch miejscach naraz: w swoim ciele i poza nim, na łóżku i na karniszu, w żyłach i wewnątrz strzykawki, w oku zakrytym przepaską i w oku patrzącym na tę przepaskę; uciekał w nieświadomość przed koniecznością obserwacji, a potem, chcąc nie chcąc, obserwował obrzeża nieświadomości i czynił mrok widzialnym; zarzucał w pół drogi wszelkie wysiłki, lecz jego apatia była skażona nerwowym niepokojem; miał skłonność do kalamburów, ale brzydził się wirusem dwuznaczności; chętnie dzielił zdania na dwoje, opierając ich środek na ostrożnym „ale”, i zarazem pragnął jak gekon rozwinąć swój zwinięty język, by szybkim, pewnym ruchem złowić oddaloną muchę; chciał się uwolnić od asekuranckiej ironii i mówić to, co naprawdę myślał, ale to, co naprawdę myślał, dało się wyrazić jedynie za pomocą ironii.

Nie wspominając o tym, pomyślał Patrick, spuszczać nogi z łóżka, że dziś wieczorem chciał być na przyjęciu u Bridget i *nie* na przyjęciu u Bridget. I nie miał ochoty jeść obiadu z ludźmi, którzy nazywali się Bossington-Lane. Zadzwoił do Johnny’ego i umówił się z nim na obiad tylko we dwójkę. Wykręcił numer, lecz natychmiast się rozłączył, postanawiając, że najpierw zaparzy sobie herbatę. Ledwie odwiesił słuchawkę, telefon zabrzączał. Dzwonił Nicholas Pratt z pretensjami, że Patrick nie odpowiedział na jego zaproszenie do Cheatley.

– Nie musisz mi dziękować – oświadczył – że zapewniłem ci udział w tym prestiżowym wydarzeniu. Jestem to winien twojemu drogiemu ojcu. Na pewno by nie chciał, żebyś wypadł z obiegu.

– Gdyby to było takie proste – odparł Patrick. – Swoją drogą, pierwszy krok

w tym kierunku zrobiłeś dawno temu, przywożąc Bridget do Lacoste, kiedy miałem pięć lat. Już wtedy było widać, że czeka ją świetlana przyszłość na salonach.

– Byłeś wtedy zbyt niesfornym dzieckiem, żeby zauważyć coś tak istotnego – odrzekł Nicholas. – Pamiętam, jak raz na Victoria Road kopnąłeś mnie z całej siły w piszczel. Kuśtykałem potem, ale nie zdradzałem się z bólem, żeby nie denerwować twojej anielskiej matki. A właśnie, jak ona się miewa? Ostatnio trudno ją spotkać.

– Zdumiewające, prawda? Można wręcz odnieść wrażenie, że ma lepsze rzeczy do roboty niż bywanie na przyjęciach.

– Zawsze wydawała mi się troszkę dziwna – orzekł ze znawstwem Nicholas.

– Z tego, co wiem, pojechała do Polski z transportem dziesięciu tysięcy strzykawek. Wszyscy mówią, że to wspaniały gest, ale moim zdaniem, jeśli chce pomagać, powinna zacząć od swoich bliskich. Oszczędziłaby sobie fatygi, przywożąc te strzykawki do mnie.

– Myślałem, że masz już to za sobą.

– Za sobą, przed sobą... Tu, w szarej strefie, łatwo pomylić jedno z drugim.

– Jesteś dość melodramatyczny jak na trzydziestolatka.

– Bo widzisz – odparł z westchnieniem Patrick – rzuciłem wszystko, ale nie wziąłem sobie nic w zamian.

– Na początek mógłbyś wziąć moją córkę do Cheatley.

– Niestety nie mogę – skłamał Patrick, który nie znosił Amandy Pratt. – Ktoś mnie podwozi.

– No dobrze, w takim razie zobaczycie się u Bossingtonów-Lane'ów – rzekł Nicholas. – A my się widzimy u Sonny'ego.

Patrick nie kwapił się z przyjęciem zaproszenia do Cheatley z kilku powodów. Jednym z nich była obawa, że spotka tam Debbie. Przez lata próbował ją od siebie odepchnąć, a teraz, kiedy mu się to udało, nie mógł się otrząsnąć. Z kolei dla Debbie, wszystko na to wskazywało, odkochanie się było najszcześniejszą chwilą w całej historii ich związku. Nie mógł mieć do niej pretensji. Serce miał ciężkie od niewypowiedzianych przeprosin.

W ciągu ośmiu lat, jakie upłynęły od śmierci jego ojca, młodość Patricka niepostrzeżenie dobiegła końca, lecz nie zastąpiły jej żadne oznaki dojrzałości, chyba że „dojrzałymi” można było nazwać smutek i wyczerpanie, coraz częściej przyćmiewające nienawiść i obłąd. Poczucie mnożących się alternatyw i rozwidlających się ścieżek ustąpiło miejsca przygnębieniu, z jakim podróżny w porcie spogląda na długą listę statków, które już odplynęły. Kiedy po kilku pobytach w klinikach wyleczył się z uzależnienia od narkotyków, jego rozwiązłość i zamiłowanie do imprez wytraciły nieco impet, niczym żołnierze, którzy stracili dowódcę. Majątek, uszczuplony przez rozrzutność i rachunki za leczenie, chronił go przed biedą, lecz nie pozwalał już wykupić się od nudy. Niedawno, ku swojemu

wielkiemu przerażeniu, Patrick uświadomił sobie, że będzie musiał poszukać jakiejś pracy. Rozpoczął więc naukę, by zostać adwokatem; wyciąganie przestępców z aresztu wydawało się czymś, co może mu sprawić pewną przyjemność.

Na razie decyzja o studiowaniu prawa zaprowadziła go do wypożyczalni kaset wideo, z której wypożyczył *Dwunastu gniewnych ludzi*. Przez kilka dni chodził w tę i w tę po mieszkaniu, masakrował wyimaginowanych świadków miażdżącymi uwagami, czasem opierał się zniechęca o mebel i oznajmiał z narastającą pogardą: „Twierdzę, że w nocy z dwudziestego na dwudziestego pierwszego...”, po czym nagle wcielał się w swoją ofiarę i zanosił teatralnym szlochom. Zaopatrzył się też w kilka książek, między innymi w *Pojęcie prawa* i *Charlesworth o zaniedbaniu*. Ta nowa sterta książek prawniczych walczyła teraz o jego uwagę ze starymi ulubionymi, takimi jak *Zmierzch bożyszcz* i *Mit Syzyfa*.

Gdy przed kilku laty otrzeźwił z narkotykowego odurzenia, zaczął sobie uświadamiać, jak to jest cały czas mieć jasny umysł, trwać w nieprzerwanym ciągu świadomości, w białym tunelu, płytkim i mrocznym, jak kość, z której wyssano szpik. „Chcę umrzeć, chcę umrzeć, chcę umrzeć” – mamrotał nieraz podczas najwykleszych czynności, zmiatany przez lawinę żalu, kiedy wrzała woda w czajniku albo tost wyskakiwał z tosterka.

Tymczasem przeszłość leżała przed nim jak trup czekający na zabalsamowanie. Noc w noc budziły go straszliwe koszmary; bojąc się zasnąć, wpełzał spod przepeconej kołdry i palił papierosy aż do świtu, bladego i brudnego jak blaszki trującego grzyba. Walające się po jego mieszkaniu w Ennismore Gardens liczne kasety z brutalnymi filmami były niejasnym odbiciem przemocy, którą bez końca odtwarzał w głowie. Zawsze na granicy halucynacji, chodził po ziemi, która delikatnie falowała, niczym gardło przetykające ślinę.

A co najgorsze, kiedy zaczął wygrywać walkę z narkotykami, zrozumiał, że przesłania mu ona walkę o to, by nie stać się takim jak ojciec. Twierdzenie, iż człowiek zabija to, co kocha, wydawało mu się częstą spekulacją wobec graniczącego z pewnością przekonania, iż człowiek staje się tym, czego nienawidzi. Zdarzali się oczywiście ludzie, którzy nie żywili żadnej nienawiści, lecz Patrick czuł, że ma z nimi zbyt mało wspólnego, by móc się postawić na ich miejscu. Wspomnienie ojca wciąż go hipnotyzowało i ciągnęło jak lunatyka w przepaść mimowolnego naśladownictwa. Czy miał w ogóle inne wyjście, niż stać się maszyną przerabiającą strach na pogardę? Jak mógł się odprężyć, gdy snopy neurotycznej energii, niczym reflektory omiatające kompleks więzienny, prześwietlały każdą myśl, nie pozwalając się wymknąć żadnym słowom?

Pogoń za seksem, fascynacja jednym czy drugim ciałem, mały haj orgazmu, o tyle słabszy i żmudniejszy od narkotykowego kopa, choć podobny do zastrzyku, stale powtarzany, bo w gruncie rzeczy będący zabiegiem paliatywnym – wszystko

to było wystarczająco kompulsywne, lecz jeszcze ważniejsze były rozmaite komplikacje towarzyskie: zdrada, ryzyko ciąży, zarażenia, bycia nakrytym, przyjemność kradzieży, napięcie powstające w okolicznościach nudnych pod każdym innym względem; no i to, jak seks łączył się z penetracją coraz bardziej zamkniętych kręgów towarzyskich – może właśnie tam odnajdzie swoją oazę, żywy odpowiednik intymnej pociechy, jaką znajdował w ośmiorniczym uścisku narkotyków?

Sięgał po papierosa, kiedy ponownie zadzwonił telefon.

– To co tam u ciebie? – spytał Johnny.

– Właśnie prowadzę kolejną jałową dyskusję z samym sobą – odparł Patrick.

– Nie wiem, dlaczego uważam, że polemizowanie z własnymi argumentami jest dowodem inteligencji, ale byłoby miło dla odmiany mocno się czegoś chwycić.

– *Miarka za miarkę* to bardzo rozdyktowana sztuka.

– Wiem. Teoretycznie pogodziłem się z tym, że człowiek powinien przebaczać w myśl zasady „nie sądz, bo będziesz sądzony”, ale nie znajduję na to żadnego poparcia emocjonalnego, w każdym razie nie w tej sztuce.

– Otóż to – zgodził się Johnny. – Gdyby złe uczynki były wystarczającym powodem do wybaczenia złych uczynków, wszyscy bylibyśmy chodzącą wielkodusznością.

– Ale co w takim razie jest wystarczającym powodem?

– Skąd mam wiedzieć? Jestem coraz bardziej przekonany, że rzeczy po prostu się dzieją lub nie i że niewiele da się zrobić, żeby je przyspieszyć. – Ta myśl przyszła Johnny’emu do głowy nagle i wcale nie był do niej przekonany.

– „Dojrzałość wszystkim jest” – westchnął Patrick.

– Właśnie, choć *Król Lear* to zupełnie inny dramat.

– Grunt, żeby się zdecydować, w którym się jest dramacie, zanim się wstanie z łóżka.

– O tym, w którym będziemy dziś wieczór, nikt chyba nie słyszał. Kim są ci Bossingtonowie-Lane’owie?

– Ty też jesteś proszony na kolację do nich? – spytał Patrick. – Coś mi mówi, że po drodze zepsuje nam się samochód. Zjedźmy w hotelu. Bez narkotyków trudno stawić czoło obcym ludziom.

Patrick i Johnny, choć żywili się teraz potrawami z grilla i wodą mineralną, nigdy całkiem nie uwolnili się od nostalgii za dawnym życiem.

– Ale kiedy ćpaliśmy na przyjęciach, widzieliśmy tylko wnętrze kibla – zauważył Johnny.

– Wiem. Teraz jak wchodzę do kibla, myślę sobie: „Co ty tu robisz? Przecież już nie ćpasz!”. I dopiero po wyjściu przypomina mi się, że chciałem się wysikać. Swoją drogą, jedziemy do Cheatley razem?

– Jasne. Z tym że o trzeciej mam mityng anonimowych narkomanów.

– Nie wiem, jak ty tam wytrzymujesz – rzekł Patrick. – Na tych spotkaniach musi być mnóstwo strasznych ludzi.

– Pewnie, że tak. Ale to samo można powiedzieć o każdej wypełnionej sali tudzież namiocie.

– Ja przynajmniej nie muszę wierzyć w Boga, żeby pojechać wieczorem na to przyjęcie.

– Gdybyś musiał, na pewno znalazłbyś sposób – zaśmiał się Johnny. – Mnie bardziej męczy to, że muszę głośno zachwalać klatkę abstynencji, w której się mnie zamyka.

– Nie zasmuca cię ta obłuda?

– Na szczęście mają na to hasło: „Udawaj tego, kim chcesz się stać”.

Patrick udał, że wymiotuje do słuchawki.

– Nie sędzę, żeby przebranie sędziwego marynarza za weselnika rozwiązało problem, jak ci się wydaje?

– Ja bym to przedstawił inaczej: zgraja sędziwych marynarzy urządza sobie własne przyjęcie.

– Chryste! – zawołał Patrick. – A więc jest gorzej, niż myślałem.

– To ty się chcesz przebierać za weselnika – zauważył Johnny. – Czy nie mówiłeś mi, że kiedy ostatnim razem waliłeś głową w ścianę, błagając o wyzwolenie ze szponów nałogu, nie mogłeś przestać myśleć o tym jednym zdaniu o Henrym Jamesie: „Miał upodobanie do jedzenia poza domem i przyznał, że zimą tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego roku przyjął sto pięćdziesiąt zaproszeń”, albo jakoś tak?

– Hmm.

– A w ogóle to nie jest ci trudno nie brać narkotyków? – spytał Johnny.

– Oczywiście, że mi trudno. Jezu, to koszmar. – Ponieważ terapii przeciwstawiał stoicyzm, Patrick skwapliwie skorzystał z okazji, by wyolbrzymić stres, z którym się zmagają. – Albo budzę się w szarej strefie – szeptał – i nie pamiętam, jak się oddycha, a moje stopy są tak daleko, że nie wiem, czy byłoby mnie stać na bilet lotniczy; albo w nieskończoność przewijają mi się przez głowę obrazy ścinanych od niechcenia głów, kolan przetrącanych przez mknące samochody i psów szarpiących się między sobą o wątrobę, którą chciałbym odzyskać. Gdyby zrobiono film o moim życiu wewnętrznym, opinia publiczna by tego nie zniosła. Matki krzyczałyby: „Chcemy *Teksańskiej masakry piłą mechaniczną!* Chcemy porządnej rozrywki dla rodzin!”. A tym licznym przyjemnościom towarzyszy jeszcze strach, że zapomnę wszystko, co mi się kiedykolwiek przydarzyło, że wszystko, co w życiu widziałem, zniknie „jak łyżka na deszczu”, jak mówi replikant na końcu *Lowcy androidów*.

– Tak, tak – powtarzał Johnny, który już nieraz słyszał, jak Patrick ćwiczy fragmenty tego monologu. – W takim razie co cię powstrzymuje?



– Trochę duma, a trochę strach – odparł Patrick, po czym prędko zmienił temat, pytając, o której Johnny będzie wolny. Uzgodnili, że wyjadą spod mieszkania Patricka o piątej.

Patrick zapalił kolejnego papierosa. Po rozmowie z Johnnym był zdenerwowany. Dlaczego powiedział „trochę duma, a trochę strach”? Czy nadal wstydził się przyznać choćby do cienia entuzjazmu, i to przed najlepszym przyjacielem? Dlaczego nakłada nowym uczuciom kaganiec starych nawyków? Dla innych mogło to nie być oczywiste, ale pragnął przestać myśleć o sobie, skończyć z odkrywkowym kopaniem w pamięci, uciąć niekończące się pasmo introspekcji i retrospekcji. Chciał poszerzyć swój horyzont, czegoś się nauczyć, dać coś od siebie. A przede wszystkim: chciał przestać być dzieckiem bez taniego fortelu, jakim byłoby zostanie rodzicem.

– Nie żeby mi to groziło – wymamrotał, schodząc wreszcie z łóżka i wkładając spodnie. Czasy, kiedy pociągały go dziewczyny, które szeptały: „Bądź ostrożny, nie jestem zabezpieczona”, gdy w nie wchodził, miał już właściwie za sobą. Pamiętał ciepłe słowa jednej z nich na temat klinik aborcyjnych. „Tam się można poczuć naprawdę komfortowo. Wygodne łóżko, dobre jedzenie, można się zwierzyć innym dziewczynom ze wszystkich sekretów, bo nigdy więcej się nie spotkacie. Nawet sam zabieg jest całkiem ekscytujący. Dopiero później łapiesz doła”.

Patrick zgasił papierosa w popielniczce i przeszedł do kuchni.

No i czy naprawdę musi się czepiać tych spotkań, na które chodził Johnny? Ludzie potrzebują się wygadać i tyle. Dlaczego on zawsze wszystko komplikuje i utrudnia? Z drugiej strony jaki sens ma wygadywanie się przed ludźmi, jeżeli nie można im powiedzieć tego, co najważniejsze? Są takie rzeczy, o których nigdy nikomu nie powiedział i nie powie.

Nicholas Pratt, wciąż w piżamie, poczłapał z powrotem do sypialni swojego domu w Clabon Mews, ściskając w dłoni listy podniesione przed chwilą z wycieraczki; przelatując wzrokiem po adresowanych odręcznie kopertach, próbując się domyślić, ile może być wśród nich „poważnych” zaproszeń. Miał sześćdziesiąt siedem lat i „dobrze się trzymał”, a jego pamiętniki były „długo wyczekiwane”. Znał „wszystkich” i miał „tony wspaniałych anegdot”, lecz na jego rozchylonych ustach położyła swój łaskawy palec dyskrekcja i nie zaczął jeszcze pisać książki, która według wielu była już na ukończeniu. W tak zwanym przez niego wielkim świecie, czyli wśród około dwóch, trzech tysięcy bogatych ludzi znających jego nazwisko, słyszało się nierzadko, że ten czy ów „boi się myśleć”, jak wypadł w „książce Nicholasa”.

Runął na łóżko, w którym od jakiegoś czasu sypiał samotnie, i zamierzał sprawdzić swoją teorię, zgodnie z którą tylko trzy spośród tych listów zasługiwały na to, żeby je otworzyć, lecz przerwał mu dźwięk telefonu.

– Halo – ziewnął do słuchawki.

– Ni-ko-la? – Energiczny kobiecy głos wymówił jego imię jak francuskie. – Tu Jacqueline d’Alantour.

– *Quel honneur* – odrzekł przymilnie Nicholas ze swoim beznadziejnym francuskim akcentem.

– Jak się masz, mój dr-rogi? Dzwonię, gdyż będziemy z Jakiem w Czit-laj na przyjęciu urodzinowym Sonny’ego. Pomyślałam, że może ty też się wybierasz.

– Oczywiście, że tak – potwierdził stanowczo Nicholas. – W rzeczy samej, jako ojciec chrzestny towarzyskiego sukcesu Bridget powinienem już tam być. W końcu to ja wprowadziłem pannę Watson-Scott, jak się wtedy nazywała, w *beau monde*, jak się wtedy nazywał, a ona nie zapomniała, ile zawdzięcza wujkowi Nicholasowi.

– Przypomnij mi, czy z nią też byłeś kiedyś ożeniony?

– Wolne żarty – odparł Nicholas, udając obrażonego. – Wiem, że miałem sześć nieudanych małżeństw, ale to jeszcze nie powód, żeby zmyślać kolejne.

– No dobrze, Ni-ko-la, mówiąc serio, dzwonię, bo pomyślałam, że może chciałbyś zabrać się z nami samochodem? Mamy szofera z ambasady. Tak będzie weselej, nieprawdaż? Pojechać r-razem.

Nicholas jako człowiek światowy doskonale wiedział, że małżonka francuskiego ambasadora nie zadzwoniła całkiem bezinteresownie. Proponowała mu wspólną podróż do Cheatley, bo chciała przybyć na miejsce w towarzystwie bliskiego znajomego Bridget. Z kolei Nicholas, przyjeżdżając z państwem Alantourami, sprawi, że ta znajomość zaśnie nowym blaskiem. Wszyscy więc skorzystają.

– Będzie mi niezmiernie miło – oznajmił.

Sonny Gravesend siedział w bibliotece w Cheatley i wciskał na swoim radiotelefonie znajome cyfry numeru Petera Porlocka. Mistyczny znak równości między majątkiem a osobą, od tylu lat podtrzymujący marną osobowość Sonny'ego, nigdzie nie był otoczony większym kultem aniżeli w Cheatley. Peter, najstarszy syn George'a Watforda, był najlepszym przyjacielem Sonny'ego i jedynym człowiekiem, któremu tamten ufał, kiedy potrzebował dobrej rady w sprawach rolnictwa lub seksu. Sonny oparł się w fotelu i czekał, aż Peter podejdzie do najbliższego telefonu w ogromnej rezydencji w Richfield. Spojrzał na kominek, a potem na wiszący nad nim obraz Poussina, którego autentyczność miał potwierdzić Robin Parker, a czego do tej pory nie zrobił. Kiedy kupował go czwarty hrabia Cheatley, był to oryginalny Poussin, i Sonny trzymał się tej wersji. Niemniej wypadało zasięgnąć „opinii eksperta”.

– Sonny? – ryknął Peter.

– Peter! – odkrzyknął Sonny. – Przepraszam, że znów ci przeszkadzam.

– Wręcz przeciwnie, bracie, wybawiłeś mnie od oprowadzania koleśków z gejowskiego klubu motocyklowego, których przysłał mój dawny kierownik internatu, żeby sobie obejrżeli sufity.

– Harówka, normalne – powiedział Sonny. – Tym bardziej mnie irytuje, kiedy biorę gazetę i czytam takie bzdury jak dziś rano: „Dziesięć tysięcy akrów... pięć tysięcy gości... księżniczka Małgorzata... przyjęcie roku”. To brzmi tak, jakbyśmy spali na pieniądzech, podczas gdy tak naprawdę, i nikt nie wie tego lepiej niż ty ze swoimi gejami na motorach, harujemy jak woły, żeby mieć za co załatać dach.

– Wiesz, co mi ostatnio powiedział jeden z moich dzierżawców po moim wspaniałym występie w telewizji? – Peter przybrał swój standardowy akcent kmiotka. – „Widziałem pana w telewizorze, proszę pana, jak zwykle zgrywał pan biedaka”. To się nazywa tupet!

– Nawet całkiem zabawne.

– Ach, bo to skądinąd zacny facet – wyjaśnił Peter. – Jego rodzina dzierżawi od nas ziemię od trzystu lat.

– My też takich mamy. Niektórzy są z nami od dwudziestu pokoleń.

– Swoją drogą, to świadczy o niebywałym braku inicjatywy, zważywszy na warunki, jakie muszą znosić.

Obaj wybuchnęli śmiechem, po czym zgodzili się, że to jedna z tych rzeczy, których nie należy mówić w telewizji.

– Ale tak naprawdę dzwonię do ciebie – rzekł Sonny, poważniejąc – aby porozmawiać o Cindy. Bridget, oczywiście, nie chciała jej zaprosić, bo jej nie znamy, ale rozmawiałem rano z Davidem Windfallem i ponieważ jego żona jest chora, zgodził się przyjechać z Cindy. Mam nadzieję, że będzie dyskretny.

– David Windfall? Chyba żartujesz!

– Tak, wiem. Ale udawałem przed nim, że po prostu bardzo chciałbym się z nią zobaczyć; nie powiedziałem prawdy, czyli że wszystkie moje zebrania Związku Historycznych Posiadłości i Kampanii na rzecz Ochrony Angielskiego Krajobrazu były w istocie jednym długim bzykankiem z Cindy.

– Dobrze, że mu tego nie powiedziałaś – orzekł Peter.

– Sęk w tym, i nie muszę ci chyba mówić, żebyś zachował tę informację dla siebie, sęk w tym, że Cindy jest w ciąży.

– Na pewno z tobą?

– O ile wiem, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

– Pewnie cię szantażuje – lojalnie zasugerował Peter.

– Nie, nie, to nie tak – odparł Sonny, wyraźnie dotknięty. – Musisz wiedzieć, że od jakiegoś czasu nie mam z Bridget żadnego „pożycia małżeńskiego”, zresztą nie wiem, czy to byłby dobry pomysł starać się z nią o jeszcze jedno dziecko, biorąc pod uwagę jej wiek. Ale, jak wiesz, zależy mi na tym, aby mieć syna, więc pomyślałem, że jeśli Cindy będzie miała chłopca... – Sonny urwał, niepewny reakcji przyjaciela.

– O rety – rzekł Peter – ale gdyby miał po tobie dziedziczyć, musiałbyś się z nią ożenić. To jeden z minusów bycia parem – dodał z nutką szlachetnego stoicyzmu.

– Wiem, że to będzie okropnie wyglądało, jeśli teraz zostawię Bridget na łodzi – przyznał Sonny – i oczywiście zostanie to przedstawione jako zauroczenie seksualne, ale jednak czuję się odpowiedzialny za Cheatley.

– Ale pomyśl o kosztach – powiedział Peter, który miał poważne wątpliwości, czy uda się na czas przeprowadzić rozwód. – Poza tym: czy Cindy będzie pasować do tego miejsca?

– Wnieście powiew świeżego powietrza – rzekł wesoło Sonny. – A zresztą, jak wiesz, wszystko jest pod zarządem powierniczym.

– Myślę – rzekł Peter wyważonym tonem lekarza specjalisty, który radzi pacjentowi, aby poddał się operacji – że powinniśmy umówić się na lunch w Buck's w przyszłym tygodniu.

– Dobry pomysł – odparł Sonny. – Do zobaczenia wieczorem.

– Nie mogę się doczekać. A tak w ogóle, wszystkiego najlepszego.

Kitty Harrow w swoim domu na wsi wylegiwała się w łóżku podparta mnóstwem poduszek; jej spaniele king charles chowały się w dolinach falującej pościeli; obok niej leżała taca z rozgrzebanym śniadaniem, porzucona niczym opadły z sił kochanek. Pod różowym satynowym abażurem na intarsjowanym blacie nocnego stolika tłoczyły się sprzeczne lekarstwa. Dłoń Kitty spoczywała na telefonie, którego używała każdego ranka bez przerwy między jedenastą a porą lunchu albo, tak jak dziś, do czasu przybycia fryzjerki, która miała się zjawić wpół

do pierwszej i odbudować klify siwych włosów, o które roztrzaskało się tyłu nowobogackich śmiałków. Znalazłszy w otwartym na kolanach skórzanym czerwonym notesie z adresami nazwisko Robina Parkera, wykreśliła jego numer i czekała niecierpliwie, aż odbierze.

– Halo – odezwał się raczej zirytowany głos.

– Robin, mój drogi – zaszczębiotała Kitty – dlaczego jeszcze cię tu nie ma? Bridget ściągnęła mi na głowę absolutnie okropnych ludzi, a ty, mój jedyny sojusznik, nie wyjechałeś jeszcze z Londynu.

– Musiałem być wczoraj na koktajlu – zagruchał Robin.

– Koktajl w Londynie w piątkowy wieczór! – obruszyła się Kitty. – Jakie to nietowarzystkie. Ludzie są tacy nietaktowni, żeby nie powiedzieć: okrutni. Ja ostatnio praktycznie w ogóle nie bywam w Londynie – dodała z nutą prawdziwego patosu. – Dlatego weekendy są dla mnie szalenie ważne.

– Nadchodzę z odsieczą – powiedział Robin. – Za pięć minut jadę na Paddington.

– Całe szczęście – mówiła dalej Kitty. – Będę się z tobą czuła bezpieczniej. Wczoraj wieczorem odebrałam nieprzyzwoity telefon.

– O nie, znowu? – jęknął Robin.

– Facet składał mi absolutnie odrażające propozycje. Zanim odłożyłam słuchawkę, powiedziałam: „Młody człowieku, musiałabym najpierw zobaczyć twoją twarz, zanim pozwoliłabym ci zrobić którąkolwiek z tych rzeczy!”. Chyba potraktował to jako zachętę, bo chwilę później zadzwonił znowu. Przyjęłam zasadę, że wieczorami sama odbieram telefony; chcę być fair wobec służących.

– Ale to nie fair wobec ciebie – zauważył Robin.

– Nie mogę przestać myśleć – poskarżyła się Kitty – o tym, co mi powiedziałaś, o tych penisach, które pruderyjni papieże odłamywali klasycznym posągom i przechowywali w piwnicach Watykanu. Swoją drogą, to też był nieprzyzwoity telefon.

– To była historia sztuki – zachichotał Robin.

– Wiesz, jak mnie fascynują cudze rodziny – powiedziała Kitty. – No więc teraz, jak o nich myślę, i o mrocznych sekretach, które chowają przed światem, od razu stają mi przed oczami te skrzynie w piwnicach Watykanu. Spaczyłeś mi wyobraźnię. Zdajesz sobie sprawę, jaki masz fatalny wpływ na ludzi?

– Dziś wieczorem będę aniołem – zagroził Robin. – Ale naprawdę muszę już pędzić na stację.

– Do zobaczenia – pożegnała go czule Kitty, lecz jej ochota na rozmowę była tak wielka, że dodała konspiracyjnie: – Wiesz, co mi wczoraj powiedział George Watford? Przynajmniej on był znajomą twarzą. Powiedział, że trzy czwarte ludzi w jego notesie z adresami nie żyje. Na co ja mu powiedziałam, żeby przestał być makabryczny. Ale trudno mu się dziwić, w końcu ma już osiemdziesiąt parę

lat.

– Kochana, zaraz się spóźnię na pociąg.

– Strasznie się bałam pociągów – rzekła troskliwie Kitty – dopóki mój wspomniały lekarz nie przepisał mi cudownej tabletki. Teraz wbiegam na peron krokiem baletnicy.

– Ja też będę musiał pobiec – zapiszczał Robin.

– Pa, mój drogi, już cię dłużej nie zatrzymuję. Biegnij, biegnij!

Laura Broghlie czuła, że samotność zagraża jej istnieniu. W głowie miała „zupelną pustkę”, jak mawiała nieraz do Patricka Melrose’a w trakcie ich tygodniowego romansu. Wystarczyło, że pięć minut pobyła sama, z dala od telefonu – chyba że towarzyszyło jej lustro i mnóstwo kosmetyków do makijażu – i już uczucie zupelnej pustki stawało się nie do zniesienia.

Długo dochodziła do siebie po tym, jak Patrick ją porzucił. Nie żeby szczególnie go lubiła – nigdy by jej nie przyszło do głowy polubić kogoś, kogo wykorzystuje, a w przypadku kogoś, kogo skończyła wykorzystywać, miało to jeszcze mniej sensu; po prostu znajdowanie nowego kochanka zawsze było udręką. Niektórych odstraszało to, że jest mężatką – przynajmniej dopóki nie dała im do zrozumienia, że nie uważa tego za przeszkodę. Laura była żoną Angusa Broghliego, który zgodnie ze starym szkockim zwyczajem miał prawo nazywać się *the Broghlie*. Laura mogła się tytułować „lady Broghlie”, lecz rzadko korzystała z tego przywileju.

W końcu, po całych dwóch tygodniach bez kochanka, udało jej się uwieść Johnny’ego Halla, najlepszego przyjaciela Patricka. Johnny nie był tak dobry jak Patrick, bo miał pracę. Niemniej jako dziennikarz mógł często „pracować z domu”, a wtedy ona mogła z nim spędzić cały dzień w łóżku.

Okreźnymi pytaniami zdołała ustalić, że Johnny wciąż nic nie wie o jej romansie z Patrickiem. W sprawie ich własnego romansu zobowiązała go do tajemnicy. Nie wiedziała, czy powinna się czuć obrażona milczeniem Patricka, zamierzała jednak powiedzieć mu o Johnnym w odpowiedniej chwili, obliczonej na wzbudzenie maksymalnej konsternacji. Wiedziała, że nadal pociąga go fizycznie, mimo że miał zastrzeżenia do jej osobowości. Nawet ona miała zastrzeżenia do swojej osobowości.

Gdy zadzwonił telefon, uniosła głowę i poczołgała się przez łóżko.

– Nie odbieraj – jęknął Johnny, lecz wiedział, że jest na słabej pozycji, bo wcześniej wyszedł z pokoju, żeby porozmawiać z Patrickiem. Zapalił papierosa.

Laura odwróciła się w jego stronę i pokazała mu język. Odgarniając włosy za ucho, podniosła słuchawkę.

– Halo – powiedziała, momentalnie poważniejąc.

– Cześć.

– China! Boże, twoje przyjęcie było cudowne! – Zatkła nos i przewróciła

oczami. Zdążyła już dokładnie omówić tę porażkę z Johnnym.

– Naprawdę tak myślisz? – zapytała sceptycznie China.

– Oczywiście, skarbie. Wszystkim się podobało. – Laura spojrzała na Johnny’ego i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Ale wszyscy utknęli w pokoju na dole – jęknęła China. – To było straszne.

– Nikt nie bawi się dobrze na własnym przyjęciu – odparła z empatią Laura. Przewróciła się na plecy i stłumiła ziewnięcie.

– Ale tobie naprawdę się podobało – domagała się ponownej pochwały China. – Daj słowo.

– Słowo – powiedziała Laura, krzyżując palce, nogi, a nawet oczy. Zanosząc się bezgłośnym chichotem, uniosła stopy i kołysała się na łóżku.

Johnny patrzył zdziwiony jej dziecinnym zachowaniem, trochę gardząc szyderczą znową, w którą został wciągnięty, ale urzeczony wygibasami jej nagiego ciała. Opadł z powrotem na poduszki i ślizgał się wzrokiem po detalach, które zamiast wyjaśniać jego obsesję, czyniły ją tylko bardziej zagadkową: mały ciemny pieprzyk na biodrze, zaskakująco gęste złote włosy na przedramieniu, wysokie podbicie białych stóp.

– Angus jest z tobą? – westchnęła China.

– Nie, przyjedzie na przyjęcie prosto ze Szkocji. Mam go zgarnąć w Cheltenham. Jak gdyby nie mógł zamówić taksówki.

– Oszczędza, gdzie się da – skwitowała China.

– Na papierze wyglądał świetnie – stwierdziła Laura – ale jak przychodzi co do czego, interesuje go głównie to, czy można dostać zwrot za niewykorzystaną część biletu powrotnego, i tym podobne fascynujące problemy. Im dłużej z nim jestem, tym bardziej marzy mi się rozrzutny kochanek. – Odchyliła jedno kolano w bok, pozwalając, by opadło na łóżko.

Johnny zaciągnął się głęboko papierosem i uśmiechnął do niej.

China po krótkim wahaniu, ośmielona myślą, że pochwały Laury na temat jej przyjęcia mogły nie być całkiem szczerze, oznajmiła:

– Wiesz, krąży plotka, że masz romans z Patrickiem Melrose’em.

– Patrickiem Melrose’em – powtórzyła Laura, jakby wymawiała nazwę śmiertelnej choroby. – Chyba sobie żartujesz. – Zakryła słuchawkę dłonią i unosząc brwi, powiedziała do Johnny’ego: – Właśnie się dowiedziałam, że mam romans z Patrickiem.

Johnny uniósł brew i zgasił papierosa.

– Kto ci naopowiadał takich rzeczy, na miłość boską? – spytała Chinę.

– Nie powinnam ci mówić. Alexander Politsky.

– On? Nawet go nie znam.

– No cóż, jemu się wydaje, że sporo o tobie wie.

– Żałosne – rzekła Laura. – Chce ci się po prostu przypodobać, udając, że

wie wszystko o twoich znajomych.

Johnny klęknął przed Laurą i chwytając ją za stopy, rozsunął jej nogi.

– Mówił, że wie to od Alego Montague – upierała się China.

Laura nabrała głośno powietrza.

– To tylko dowodzi, że to kłamstwo – westchnęła. – Zresztą Patrick Melrose nawet mi się nie podoba – dodała, wpijając palce w ramiona Johnny’ego.

– Okej, ty chyba wiesz lepiej niż ja, czy masz z nim romans, czy nie – stwierdziła China. – Cieszę się, że nie masz, bo na mnie on sprawia wrażenie śliskiego...

Laura odsunęła słuchawkę od ucha, żeby Johnny też słyszał.

– No i to okropne, jak potraktował Debbie – mówiła dalej China.

Laura z powrotem przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Prawda? – podchwyciła, uśmiechając się szeroko do Johnny’ego, który pochylił się, żeby ugryźć ją w szyję. – Ale z kim ty właściwie idziesz na przyjęcie? – spytała, wiedząc, że China nie ma z kim pójść.

– Jadę sama, ale będzie tam niejaki Morgan Ballantine – China wymówiła jego nazwisko z mało przekonującym amerykańskim akcentem – i mam na niego chrapkę. Podobno właśnie odziedziczył dwieście czterdzieści milionów dolarów i niezwykłą kolekcję broni – dodała jakby od niechcienia – ale nie o to chodzi. On jest *naprawdę* uroczy.

– Może i jest wart dwieście czterdzieści milionów dolarów, ale czy zamierza je wydawać? – wyraziła wątpliwość Laura, która sama gorzko się przekonała, jak mylące bywają liczby. – Oto jest prawdziwe pytanie – rzekła, wpijając się na łokciu i bez trudu ignorując pieszczoty, które jeszcze przed momentem zapierały jej dech. Johnny przerwał i usiadł obok, trochę z ciekawości, a trochę pragnąc zatuszować fakt, że jego wysiłki nie mogą konkurować ze wzmianką o tak ogromnej sumie.

– Parę dni temu rzeczywiście powiedział coś, co mnie zaniepokoiło – przyznała China.

– Co? – podchwyciła Laura.

– Powiedział: „Jestem za bogaty, żeby udzielać pożyczek”. Jakiś jego znajomy właśnie zbankrutował czy coś.

– Nawet się do niego nie zbliżaj – rzekła Laura swoim śmiertelnie poważnym tonem. – Właśnie takie rzeczy mówi Angus. Pewnie myślisz, że będziesz latała prywatnymi samolotami? Żebyś się nie zdziwiła, jak poprosi w restauracji o torbę na resztki albo zacznie ci dawać do zrozumienia, że sama powinnaś gotować. Koszmar, mówię ci.

– To mi coś przypomina – odparła China, nieco zła na siebie, że tyle wyjawiała. – Wczoraj po waszym wyjściu graliśmy we wspaniałą grę. Każdy musiał wymyślić rzecz, której jakaś osoba nigdy w życiu by nie powiedziała, i ktoś



wymyślił zdanie dla Angus: „Czy na pewno nie macie ochoty na homara?”.

- Bardzo śmieszne – rzuciła sucho Laura.
- Swoją drogą, gdzie się zatrzymacie? – spytała China.
- U jakichś Bossingtonów-Lane’ów.
- Ja też! Mogę się zabrać z wami?
- Pewnie. Wpadnij koło wpół do pierwszej i wyskoczmy na lunch.
- Doskonale – ucieszyła się China. – To do zobaczenia wkrótce.
- Pa, skarbie – zaświergotała Laura. – Głupia krowa – dodała, odkładając telefon.

Przez całe jej życie mężczyźni uwijali się wokół Cindy niczym mieszkańcy wyspy Liliput ze swoimi kłębkami sznurka, usiłując ją uwiązać, tak by nie rozwaliła im w gruzy ich małego życia, teraz zaś sama rozważała, czy się nie uwiązać z własnej nieprzymuszonej woli.

- Halo? – zamruczała do słuchawki z miękkim kalifornijskim akcentem. – Czy mogę rozmawiać z Davidem Windfallem?
- Przy telefonie – odparł David.
- Cześć, tu Cindy Smith. Pewnie Sonny rozmawiał z tobą o dzisiejszym wieczorze.

– O tak – zapewnił ją David, oblewając się jeszcze ciemniejszą purpurą niż zwykle.

– Mam nadzieję, że dostałeś zaproszenie od Sonny’ego i Bridget, bo ja nie – oznajmiła z rozbijającą szczerością.

- Trzymam je w sejfie – odparł. – Ostrożności nigdy nie za wiele.
- Tak, wiem – zgodziła się – to cenny kawałek papieru.
- Zdajesz sobie sprawę, że będziesz musiała udawać moją żonę?
- Jak daleko mam się posunąć?

David, rozedrgany, spocony i czerwony jak burak, uciekł się do prostodusznej szczerości, z której był znany.

- Jak tylko miniemy ochroniarzy, możesz się wyluzować.
- Zrobię, co każesz – odparła potulnie. – Ty dowodzisz.
- Gdzie się spotkamy? – spytał David.

– Mam zarezerwowany apartament w Little Soddington House Hotel. To chyba w Gloucestershire, prawda?

- Oby! O ile nie przenieśli – rzekł David z niezamierzoną powagą.

Cindy zachichotała.

– Sonny mnie nie uprzedził, że jesteś zabawny. Jeśli chcesz, możemy zjeść kolację u mnie w hotelu.

– Wspaniale – odparł David, już kombinując, jak się wymówić od uroczystej kolacji, na którą zaprosiła go Bridget. – O ósmej?

Tom Charles postanowił, że dojedzie na wieś wynajętym samochodem

z kierowcą. Była to pewna rozrzutność, ale czuł się za stary, żeby tłuc się z walizką pociągiem. Jak zwykle zatrzymał się w Claridge's; miłe w tym miejscu było choćby to, że kończąc skromne śniadanie, złożone z herbaty i soku grejpfrutowego, mógł spoglądać na słabnący blask ognia w kominku.

W swoim domu oczekiwał go Harold Greene, stary znajomy z czasów pracy w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. Harold kazał mu wziąć smoking, bo zamierzał go zabrać na przyjęcie urodzinowe sąsiada. Nakreślił mu jego sylwetkę, lecz Tom zdołał tylko zapamiętać, że to jeden z tych Anglików, którzy mają pieniądze, nazwisko i niewiele poza tym. Kiedy człowiek nie był wobec nich przesadnie uniżony, natychmiast przypinano mu łatkę „kompleksiarza”, lecz trudno było doprawdy popaść w kompleksy, patrząc na to jałowe życie, którego treścią były plotki, alkohol i potajemne romanse.

Harold żył inaczej; był człowiekiem czynu. Dostawał – podobnie jak Tom – kartki świąteczne od wdzięcznych prezydentów i zaprzyjaźnionych senatorów, ale jak wszyscy na tej deszczowej wyspie miał słabość do ludzi z pieniędzmi i nazwiskiem.

Tom sięgnął po telefon i zadzwonił do Anne Eisen. Anne była jego starą znajomą, cieszył się, że pojedą razem do Harolda, nie wiedział tylko, o której godzinie wysłać po nią samochód. Jej numer był zajęty, odłożył więc stanowczo słuchawkę i dalej przeglądał stertę angielskich i amerykańskich gazet, które zamówił do śniadania.

Gdy szło o kolory i tkaniny, Tony Fowles był – według określenia Bridget – „absolutnym geniuszem”. Po tym, jak wyznał jej, że ostatnio „zakochał się w jasnych szarościach”, zgodziła się, aby wewnątrz namiotu miało kolor popielaty. Jej wątpliwości co do tego śmiałego pomysłu rozwiały się z chwilą, kiedy Tony oznajmił, iż Jacqueline d’Alantour, żona francuskiego ambasadora, jest tak poprawna, że nigdy nie ma racji.

Bridget chciała wiedzieć, jak daleko można się posunąć w niepoprawności, nie ryzykując błędu, a Tony pomagał jej się poruszać po tej szarej strefie; z czasem tak ją od siebie uzależnił, że bała się zapalić papierosa bez jego pomocy i zdążyła się już pokłócić z Sonnym o to, czy Tony może siedzieć obok niej przy kolacji.

– Ten okropny człowieczek w ogóle nie powinien być zaproszony – oznajmił jej mąż – a co dopiero siedzieć obok ciebie. Nie muszę ci chyba przypominać, że na kolacji będzie księżniczka Małgorzata i że każdy inny mężczyzna przy tym stole miałby większe prawo siedzieć obok ciebie niż ten.. – Sonny prychnął – ten kapłon.

Co to w ogóle znaczyło? W każdym razie było krzywdzące, bo Tony był jej guru i zawsze umiał ją rozchmurzyć. Ludzie, którzy wiedzieli, jaki potrafi być zabawny – a można było skończyć ze śmiechu, słuchając o tym, jak biegł ulicami Limy z belami materiału podczas rozruchów głodowych – niekoniecznie zdawali sobie sprawę z tego, jaki jest mądry.

Ale gdzie on się właściwie podziewa? Byli umówieni na jedenastą. Można było Tony’ego ubóstwiać za wiele rzeczy, ale nie za punktualność. Bridget omiotła wzrokiem połączone szarego aksamitu otaczające wewnątrz namiotu. Bez Tony’ego znów zaczynała wątpić. Na jednym końcu stała ohydna biała scena, na której czterdziestoosobowy zespół ściągnięty z Ameryki miał grać ulubiony przez Sonny’ego „tradycyjny jazz nowoorleański”. Mimo buczących w każdym rogu przemysłowych ogrzewaczy powietrze w namiocie wciąż przyprawiało o gęsią skórę.

– Oczywiście wolałbym mieć urodziny w czerwcu, a nie w parszywym lutym – lubił mawiać Sonny – ale człowiek nie wybiera, kiedy się urodzi.

Szok narodzin, których nikt z nim nie uzgodnił, sprawił, że Sonny fanatycznie planował wszystko inne. Bridget początkowo nie chciała go wpuścić do namiotu, powołując się na „niespodziankę”, ale ponieważ słowo to znaczyło dla niego mniej więcej tyle co „zamach terrorystyczny”, musiała ustąpić. Udało jej się natomiast ukryć przed nim niebotyczny koszt aksamitu, zakomunikowany jej przez mówiącą przez nos londynkę o śmiechu przypominającym agonalne rżenie, która oznajmiła, że rachunek wyniósł „czterdzieści tysięcy plus fiskus”. Bridget w pierwszej chwili pomyślała, że to jakiś fachowy termin dekoratorski, dopiero

Tony wyjaśnił jej, że chodzi o podatek VAT.

Twierdził też, że pomarańczowe lilie będą wyglądały jak „eksplozja koloru” na delikatnym szarym tle, jednak teraz, kiedy pracowite panie w kraciastych owerolach układały je w wazonach, przypominały co najwyżej gasnący żar w popielisku.

Lecz w tej samej chwili, gdy przyszła jej do głowy ta herezja, Tony wkroczył do namiotu, ubrany w obszerny ziemisto-popielato-winogronowy sweter, elegancko uprasowane spodnie, białe skarpety i brązowe mokasyny na zaskakująco grubych podeszwach. Wokół szyi miał omotany biały jedwabny szalik, bo rano poczuł lekkie drapanie w gardle, tak mu się przynajmniej zdawało.

– Tony! Nareszcie! – ośmieliła się zauważyć Bridget.

– Przepraszam – zachrypiał, kładąc rękę na piersi i żałośnie krzywiąc twarz.  
– Chyba coś mnie bierze.

– Ojej. Mam nadzieję, że do wieczora się nie rozłożysz.

– Będę niezawodnie – oznajmił – choćbym musiał wjechać na wózku pod kroplówką. Wiem, że artysta powinien patrzeć na skończone dzieło z boku, obcinając sobie paznokcie – dodał, zerkając z udawaną obojętnością na swoje palce – ale moje dzieło będzie skończone dopiero wtedy, gdy zapełni się żywą materią.

Przerwał i wpił się w Bridget hipnotycznym spojrzeniem, niczym Rasputin zamierzający opowiedzieć carycy o swoim najnowszym olśnieniu.

– Wiem, co sobie myślisz – rzekł. – Za mało kolorów!

Bridget poczuła jakby promień latarki w najdalszym zakamarku duszy.

– Te kwiaty nie dały takiego efektu, jakiego się spodziewałam – przyznała.

– I dlatego mam dla ciebie coś jeszcze – oznajmił Tony, wskazując palcem gromadkę swoich pomocników, czekających potulnie na jego znak w otoczeniu kartonowych pudeł.

– Co to? – spytała Bridget z nutą niepokoju.

Pomocnicy zaczęli otwierać pudła.

– Pomyślałem: namioty – słupy – wstążki – zaczął tłumaczyć Tony, jak zawsze chętnie relacjonując swój proces twórczy. – I zamówiłem coś takiego. Zrobione specjalnie na twoje przyjęcie. Trochę w klimacie drzewka majowego i barw pułkowych. – Tony nie potrafił dłużej ukryć podniecenia. – Będą wyglądać obłędnie na tle perłowej faktury aksamitu.

Bridget wiedziała, że „zrobione specjalnie” oznaczało „bardzo drogie”.

– Wyglądają jak krawaty – stwierdziła, zaglądając do pudła.

– Otóż to – rzekł triumfalnie Tony. – Widziałem Sonny’ego w nieziemskim zielono-pomarańczowym krawacie. Powiedział mi, że to krawat pułkowy, i pomyślałem: to jest to! Oranż ładnie zagra z liliami i rozjaśni cały namiot. – Dłonie Tony’ego popłynęły do góry i na boki. – Przywiążemy wstążki do szczytu słupa i będą opadać ku ścianom. – Tym razem dłonie popłynęły na boki i w dół.

Te pełne gracji baletowe gesty utwierdziły Bridget w przekonaniu, że nie ma wyboru.

– Brzmi wspaniale – powiedziała. – Ale każ je prędko rozwiesić, nie mamy dużo czasu.

– Zostaw to mnie – odrzekł ze spokojem.

Pokojówka przyszła powiedzieć Bridget, że ktoś do niej dzwoni. Bridget pomachała Tony'emu na pożegnanie i wybiegła do wyłożonego czerwonym dywanem tunelu, który łączył namiot z domem. Uśmiechnięte florystki układały wieńce z bluszczu na zielonych metalowych obręczach podtrzymujących grube płótno.

Urządzenie przyjęcia poza domem w lutym mogło się wydawać dziwnym pomysłem, lecz Sonny był przekonany, że „jego rzeczom” groziłyby niebezpieczeństwo ze strony „londyńskich przyjaciół Bridget”. Wciąż chodziły za nim słowa dziadka, który skarżył się, że babka wpuściła do domu „darmozjadów, pederastów i Żydów”, i choć Sonny miał świadomość, że nie da się wyprawić udanego przyjęcia bez przedstawicieli każdej z tych trzech kategorii, nie zamierzał wydawać „swoich rzeczy” na ich pastwę.

Bridget przecięła ogołocony salon i sięgnęła po słuchawkę.

– Halo?

– Cześć, skarbie, jak się masz?

– Aurora! Bogu dzięki, że to ty. Już się bałam, że to kolejny daleki znajomy próbujący się wtrynić na przyjęcie z całą rodziną.

– Prawda, że ludzie są straszni? – podchwyciła Aurora Donne wyniosłym tonem, z którego była znana. Wielkie błyszczące oczy i mleczna cera nadawały jej łagodną urodę krowy charolaise, natomiast chichotliwy śmiech, zarezerwowany dla własnych żartów, budził raczej skojarzenie z hieną. Aurora była od jakiegoś czasu najlepszą przyjaciółką Bridget; w zamian za wytworną gościnność rozbudzała w niej ponurą i chwiejną pewność siebie.

– To jakiś koszmar – rzekła Bridget, siadając na chybotliwym krzeselku z firmy cateringowej, które zastąpiło jedną z rzeczy Sonny'ego. – Bezcelność niektórych przechodzi ludzkie pojęcie.

– Mnie tego nie musisz mówić – zapewniła ją Aurora. – Mam nadzieję, że macie porządną ochronę.

– Tak, Sonny dogadał się z policjantami, którzy mieli dzisiaj pilnować jakiegoś meczu, ale zgodzili się przyjechać do nas. To dla nich miła odmiana. Otoczą dom kordonem. No i mamy, oczywiście, ochroniarzy przy drzwiach. Jakiś Gresham Security zostawił nawet walkie-talkie koło telefonu.

– Z członkami rodziny królewskiej zawsze jest urwanie głowy.

– *Weź nawet mi nie mów* – zachnęła się Bridget. – Musieliśmy oddać dwa pokoje prywatnemu detektywowi i damie dworu. Tyle miejsca się marnuje.

Przerwał jej dobiegający z holu wrzask.

– Ale z ciebie fleja! Biedni rodzice, co oni z tobą mają! – krzyczała kobieta z silnym szkockim akcentem. – Co by powiedziała księżniczka, gdyby cię zobaczyła w takiej poplamionej sukience? Wstydź się, brudasie!

– O rety – powiedziała Bridget do Aurory. – Wolałabym, żeby niania nie była taka okropna dla Belindy. Nie mogę tego słuchać, ale nigdy nie mam odwagi z nią o tym porozmawiać.

– Wiem – odparła współczująco Aurora – ja się strasznie boję niani mojej Lucy. Chyba dlatego, że przypomina mi moją własną nianię.

Bridget, która nigdy nie miała „prawdziwej” niani, wolała nie ciągnąć tematu, żeby się z tym nie zdradzić. Na zasadzie kompensacji postarała się o prawdziwą nianię w starym stylu dla siedmioletniej Belindy. Agencja pośrednictwa była zachwycona, że udało się znaleźć tak dobrą pozycję dla starej jędzy, która figurowała w bazie od ładnych kilku lat.

– Stresuje mnie też przyjazd matki – wyznała Bridget.

– Matki potrafią być bardzo krytyczne, prawda? – powiedziała Aurora.

– Bardzo – zgodziła się Bridget, choć w istocie przeszkadzało jej w matce to, że była na każde jej zawołanie. – Chyba muszę pójść do Belindy i побыć dobrą mamą – dodała ze stosownym westchnieniem.

– Jak słodko! – zapiszczała Aurora.

– Do zobaczenia wieczorem, kochana.

Bridget była zadowolona, że pozbyła się Aurory. Miała milion jeden rzeczy na głowie; poza tym ostatnio Aurora, zamiast przetaczać jej swoją pewność siebie, bo w tym celu była, hm, prawie zatrudniona (nie miała grosza), zaczęła dawać do zrozumienia, że przygotowałyby przyjęcie lepiej niż Bridget.

Zważywszy, że wcale nie miała zamiaru iść do Belindy, Bridget zachowała się dość nieładnie, używając jej jako wymówki do zakończenia rozmowy. Rzadko znajdowała czas, żeby побыć z córką. Nie mogła jej wybaczyć, że jest dziewczynką, a co za tym idzie, zmartwieniem dla Sonny’ego, który chciał dziedzica. Kiedy była dwudziestolatką, Bridget miewała aborcje; jako trzydziestolatką już tylko poronienia. Samo urodzenie dziecka – dowolnej płci – okazało się wystarczająco skomplikowane. Lekarze odradzali jej kolejne próby i dlatego, mając czterdzieści dwa lata, była już praktycznie pogodzona z tym, że nie będzie miała więcej dzieci, zwłaszcza że Sonny niechętnie chodził z nią do łóżka.

Oczywiście po szesnastu latach małżeństwa nie wyglądała jak dawniej. Jasne spojrzenie błękitnych oczu zmatowiało, cera utraciła ciepły blask, którego kremy koloryzujące nie były w stanie przywrócić, a linie jej ciała, swego czasu przyczyna niejednej męskiej obsesji, zniekształcił odkładający się uporczywie tłuszcz. Nie chcąc zdradzać Sonny’ego ani nie mogąc go uwieść, Bridget pograżyła się w smętnym zaniedbaniu i coraz częściej szukała innych sposobów, by sprawić, że

mąż będzie z niej zadowolony – a przynajmniej nie będzie niezadowolony, gdyż najdrobniejszym jej potknięciom poświęcał nieporównanie więcej uwagi niż jej staraniom.

Powinna zająć się przygotowaniami, co w jej przypadku oznaczało głównie martwienie się, wszystkie zadania powierzyła bowiem innym ludziom. Pierwszą rzeczą, którą postanowiła się zmartwić, była krótkofalówka leżąca na stoliku obok niej. Musiał ją zgubić jakiś beznadziejny ochroniarz. Bridget podniosła urządzenie i z ciekawości je włączyła. Zaszumiało głośno i zaczęło świstać jak rozstrojone radio.

Chcąc się przekonać, czy uda jej się cokolwiek wyłowić z tego dźwiękowego chaosu, Bridget wstała i przeszła się po salonie. Hałas to się wzmaczał, to przycichał, czasem przechodził w głośny pisk, a kiedy zbliżyła się do okien, zacienionych przez ścianę namiotu, który wznosił się, biały i mokry, pod szarym zimowym niebem, usłyszała, tak jej się przynajmniej wydało, czyjś głos. Przyciskając ucho do walkie-talkie, była w stanie wyłuskać cichą, szeleszczącą rozmowę.

„Od jakiegoś czasu nie mam z Bridget żadnego pożycia małżeńskiego...” – odezwał się ktoś na drugim końcu, zanim znów zagłuszył go szum. Rozpaczliwie potrząsając krótkofalówką, Bridget podeszła bliżej okna. Nie rozumiała, co się dzieje. Czyżby słyszała Sonny’ego? Kto, jeśli nie on, mówiłby o swoim „pożyciu małżeńskim” z nią?

Słowa znów się przebijały i Bridget z mieszaniną ciekawości i strachu przycisnęła walkie-talkie do ucha.

„Wiem, że to będzie okropnie... jeśli teraz zostawię Bridget... ale jednak czuję się odpowiedzialny za...”. Zakłócenia znów zagłuszyły rozmowę. Bridget poczuła rozlewające się po ciele gorące mrowienie. Musi usłyszeć, o czym rozmawiają, co obrzydliwego knują. Z kim Sonny rozmawia? Pewnie z Peterem. A jeśli nie? A jeśli rozmawia tak ze wszystkimi, tylko nie z nią?

„Wszystko jest pod zarządem powierniczym” – usłyszała, potem inny głos rzekł: „Lunch... w przyszłym tygodniu”. Tak, to był Peter. Znów trzaski, a po chwili: „Wszystkiego najlepszego”.

Bridget usiadła w oknie. Uniosła rękę i już prawie rzuciła krótkofalówką o ścianę, lecz w końcu opuściła ją powoli i zwiesiła wzdłuż ciała.

Johnny Hall chodził na mityngi anonimowych narkomanów od ponad roku. W trudnym do wytłumaczenia przystępie entuzjazmu i pokory zgłosił się na ochotnika do szykowania kawy i herbaty na tych spotkaniach, odbywających się co sobotę o trzeciej po południu. Rozpoznawał większość ludzi podchodzących po białe plastikowe kubeczki, do których wrzucił torebkę herbaty albo kilka granulek rozpuszczalnej kawy, ale nie mógł sobie przypomnieć imion i był zawstydzony, że oni pamiętają jego imię.

Po zaparzeniu herbaty Johnny swoim zwyczajem usiadł w tylnym rzędzie, wiedząc, że będzie mu przez to trudniej zabrać głos i „podzielić się swoimi odczuciami”, jak zwykło się tu mówić. Odpowiadało mu to dyskretne miejsce z dala od „spikera”. „Preambuły” – czyli rytualnej lektury wyimków z „literatury”, wyjaśniających, czym jest uzależnienie i AN – słuchał jednym uchem. Próbował dojrzeć, czy dziewczyna w pierwszym rzędzie jest ładna, lecz widział jej profil pod zbyt ostrym kątem, by móc to stwierdzić.

Sekretarz poprosił kobietę imieniem Angie o zajęcie miejsca przeznaczonego dla spikera. Kłocowate nogi opinały jej czarne legginsy, a włosy zakrywały dwie trzecie zmęczonej, wymiętej twarzy. Ściągnięto ją do Chelsea z Kilburn, żeby wniosła trochę kolorytu do tutejszego mityngu, na którym rozmowa zbyt często krążyła wokół tematu okradania rodziców i problemów ze znalezieniem miejsca parkingowego.

Angie powiedziała, że zaczęła brać w latach sześćdziesiątych „dla hecy”. Nie miała ochoty wracać do „starych złych czasów”, ale musiała opowiedzieć trochę o swoim nałogu, żeby mieli pełniejszy obraz. Pół godziny później nadal opisywała swoje szalone młode lata i wszystko wskazywało na to, że słuchacze jeszcze trochę poczekają, zanim się dowiedzą, czego się nauczyła przez ostatnie dwa lata, chodząc regularnie na mityngi. Zakończyła paroma krytycznymi uwagami na swój temat (wciąż była „pełna słabości”). Spotkania uświadomiły jej, że jest kompletnie szalona i całkiem uzależniona od wszystkiego. Borykała się na dodatek z „silnym współuzależnieniem” i pilnie potrzebowała terapii indywidualnej, aby uporać się ze swoim dzieciństwem. Jej partner przekonał się, że życie pod jednym dachem z narkomanką potrafi być bardzo stresujące, dlatego wspólnie postanowili rozpocząć „terapię dla par”. Był to najnowszy ekscytujący zwrot w jej życiu wypełnionym po brzegi terapią i wiązała z nim duże nadzieje.

Sekretarz gorąco podziękował Angie. Jak przyznał, wiele z tego, co powiedziała, potrafił odnieść do siebie. „Identyfikował się w stu procentach”, nie z jej nałogiem, bo jego historia była zupełnie inna – nigdy nie używał igieł i nie był uzależniony od heroiny ani kokainy – ale z jej „emocjami”. Johnny nie przypominał sobie, żeby Angie opisywała jakieś emocje, starał się jednak zdusić



w sobie sceptycyzm, który utrudniał mu uczestniczenie w mityngach, nawet po przełomie, jakim było zgłoszenie się na ochotnika do szykowania herbaty. Sekretarz dodał, że on też coraz częściej spogląda wstecz, ku swojemu dzieciństwu, i uświadomił sobie niedawno, że choć jako dziecko nie doznał od nikogo żadnej krzywdy, to jednak czuje się przytłoczony dobrocią rodziców, i że uwolnienie się od ich wyrozumiałości i pobłażliwości stało się dla niego nie lada wyzwaniem.

Po tych przejmujących słowach sekretarz otworzył spotkanie. Dla Johnny'ego była to zawsze stresująca chwila, czuł bowiem presję „dzielenia się”. Problemem były nie tylko jego zażenowanie i opór wobec języka „odnowy”, ale również to, że dzielenie się miało być oparte na „identyfikacji” z czymś, co powiedział spiker, a Johnny rzadko kiedy zapamiętywał z tych przemówień cokolwiek konkretnego. Postanowił poczekać, aż ktoś inny, identyfikując się z Angie, zidentyfikuje dla niego szczegóły jej świadectwa. Była to ryzykowna strategia, ponieważ większość ludzi identyfikowała się z rzeczami, które wcale nie padły.

Jako pierwszy z sali odezwał się mężczyzna, który, jak twierdził, musiał się „zaopiekować swoim wewnętrznym dzieckiem”. Miał nadzieję, że z Bożą pomocą – Johnny zawsze krzywił się na tę wzmiankę – i z pomocą Wspólnoty to wewnętrzne dziecko dorośnie „w bezpiecznym otoczeniu”. Powiedział, że on też ma problemy w związku, ale nie traci nadziei, że jeśli wykona Trzeci Krok i „zawierzy siebie Bogu”, wszystko dobrze się skończy. Nie jest panem swojego losu, ale musi „robić swoje”.

Kolejny uczestnik identyfikował się w stu procentach z tym, co Angie powiedziała o swoich żyłach – że „całe Kilburn jej takich zazdrościło” – ponieważ jemu zazdrościł cały Wimbledon. Zapanowało ogólne rozbawienie. Po chwili dodał, że teraz, kiedy musi pójść do lekarza, bo naprawdę coś mu jest, znalezienie u niego żyły graniczy z cudem. Ostatnio przerabiał Krok Czwarty, „gruntowny i odważny obrachunek moralny”, i wydobył na światło dzienne mnóstwo rzeczy wymagających przemyślenia. Słyszał, jak kiedyś ktoś na spotkaniu powiedział, że boi się sukcesu, i stwierdził, że może on ma ten sam problem. Obecnie bardzo cierpiał, ponieważ dotarło do niego, że wiele z problemów w jego związku wynika z tego, że wychował się w „rodzinie dysfunkcyjnej”. Uważał, że kogoś takiego jak on nie da się kochać, i dlatego sam też nie potrafił kochać. Jego sąsiad, nie pozostając obojętnym wobec takiej manifestacji uczuć, poklepał go po ramieniu.

Johnny uniósł oczy ku świetłóvkom pod białym styropianowym sufitem obskurnej salki w podziemiach budynku parafialnego. Czekał z utęsknieniem, aż ktoś opowie o swoich doświadczeniach normalnym językiem zamiast bełkotliwym żargonem. Na tym etapie spotkania przestawał bujać w obłokach i zaczynał się coraz bardziej gryźć dylematem: zabrać głos czy nie. Układał pierwsze zdania, wymyślał eleganckie połączenia tego, co zostało powiedziane, z tym, co chciał

powiedzieć, a potem, z drżącym sercem, zwlekał o sekundę za długo z wypowiedzeniem na głos swojego imienia i ktoś go uprzedzał. Ten niepokój przybierał na sile zwłaszcza po demonstracyjnym luzie, do którego czuł się zobowiązany przed Patrickiem. Rozmowa z przyjacielem jeszcze bardziej pobudzała go do buntu przeciwko głupiemu językowi anonimowych narkomanów i zarazem wzmagala tęsknotę za wewnętrznym spokojem, który inni zdawali się czerpać z tego języka. Żałował teraz, że umówił się na lunch w cztery oczy z Patrickiem, który swoim zjadliwym krytycyzmem, nostalgią za narkotykami i stylizowaną rozpaczą często wprowadzał zamęt do jego myśli.

Kolejny przemawiający opowiadał, że przeczytał gdzieś w fachowej literaturze o różnicy między „chęcią” a „gotowością”: można siedzieć w fotelu i odczuwać chęć wyjścia z domu, ale dopiero gdy ma się na sobie płaszcz i kapelusz, jest się naprawdę gotowym. Johnny wiedział, że wypowiedź mężczyzny zmierza do końca, bo używał mityngowych frazesów, próbował zakończyć „pozytywnym akcentem”, jak przystało na dobrego odwykowca, który powinien zawsze mieć wzgląd na „nowicjuszy” spragnionych pozytywnego przekazu.

Musi to zrobić, musi się teraz przebić i powiedzieć swoje.

– Nazywam się Johnny – wyrwało mu się niemal w tej samej sekundzie, gdy tamten postawił kropkę. – Jestem narkomanem.

– Cześć, Johnny – odpowiedziała mu chórem reszta grupy.

– Musiałem się odezwać – rzekł śmiało – bo idę wieczorem na przyjęcie i wiem, że będzie tam mnóstwo narkotyków. To duża impreza i chyba po prostu czuję się niepewnie. Chciałem po prostu przyjść tu do was i umocnić się w postanowieniu, że niczego dzisiaj nie wezmę. Dzięki.

– Dzięki, Johnny – odpowiedziała grupa.

Udało się, powiedział, co mu leżało na sercu. Nie zdołał wpleść nic zabawnego, mądrego ani ciekawego, ale wiedział, że bez względu na to, jak nudne i absurdalne są te spotkania, udział w mityngu da mu siłę, by wieczorem na przyjęciu nie wziąć prochów, i że dzięki temu będzie się trochę lepiej bawił.

Promieniejąc dobrą wolą, Johnny słuchał kolejnego mówcy, Pete’a, z większą sympatią niż ta, którą był w stanie z siebie wykrzesać na początku spotkania.

Ktoś kiedyś powiedział Pete’owi, że wychodzenie z nałogu polega na tym, że człowiek „wiąże sobie krawat pod szyją zamiast na ramieniu”. Sala zareagowała stłumionym śmiechem. Kiedy brał, Pete nie miał problemu z przechodzeniem przez jezdnię, bo było mu wszystko jedno, czy coś go rozjedzie, ale we wczesnej fazie odwyku zaczął się cholernie bać samochodów (stłumiony śmiech) i nakładał kilometry drogi, żeby przejść na pasach. Poza tym robił sobie kreski ze zmielonej gorczycy i zastanawiał się, czy nie za dużo nasypał na łyżkę (pojedynczy chichot). Obecnie był „rozbity”, ponieważ rozstał się z partnerką. Ona oczekiwała od niego,

że będzie jakimś poławiaczem pstrągów, a on od niej – że będzie pielęgniarką psychiatryczną. Odchodząc, powiedziała, że nadal uważa go za „najlepszą rzecz na dwóch nogach”. Zmartwił się, że zakochała się w świni (śmiech). Albo w stonodze (śmiech). Parę dni temu przerabiał Dwunasty Krok, to znaczy odwiedził czynnego narkomana, który zadzwonił do biura Anonimowych Narkomanów, facet był w strasznym stanie, ale Pete, szczerze mówiąc, bardziej zazdrościł jemu niż odwrotnie. Oto całe szaleństwo tej choroby! „Przyszedłem do tego programu na kolanach – zakończył poważniejszym tonem – i zasugerowano mi, żebym z nich nie wstawał” (znaczące chrząknięcia, „dzięki, Pete”).

Następnie zabrała głos młoda Amerykanka imieniem Sally. „Spanie w nocy i niespanie w dzień” było dla niej „trudnym konceptem”, kiedy zaczęła „wychodzić na prostą”. Od programu oczekiwała, że pomoże jej odzyskać „totalną wolność”, i czuła, że jest w stanie osiągnąć ten cel z pomocą „kochającej siły wyższej”. W święta była na przedstawieniu gwiazdkowym dla dzieci, żeby „dopieścić swoje wewnętrzne dziecko”. Od tamtej pory podróżuje z innym członkiem Wspólnoty, ponieważ, jak to się mówi w Stanach: „Ludzie w chorobie trzymają się przy sobie”.

Kiedy grupa podziękowała Sally, sekretarz otworzył część spotkania przeznaczoną dla nowych osób i poprosił wszystkich, żeby to uszanowali. Prawie zawsze po tej zapowiedzi następowała krótka cisza oczekiwania na głos nowej osoby, która albo nie istniała, albo bała się odezwać, po czym ostatnie pięć minut zagarniał jakiś stary wyga, który był „w rozsypce” albo po prostu „chciał się poczuć częścią spotkania”. Tym razem jednak na sali był prawdziwy nowicjusz, który odważył się otworzyć usta.

Dave, bo tak miał na imię, pierwszy raz był na mityngu i nie rozumiał, jak te spotkania mają mu pomóc w odstawieniu narkotyków. Właściwie to już miał wychodzić, ale ktoś powiedział coś o sproszkowanej gorczycy i łyżce, i robieniu kresek, i że myślał, że jest jedyną osobą, która wpadła na ten pomysł, i to go rozbawiło. Nie miał w ogóle pieniędzy i nie mógł się nigdzie pokazywać, bo wszystkim wisiał kasę; teraz nie był zrobiony tylko dlatego, że nie miał już siły kraść. Nadal miał telewizor, ale bał się oglądać telewizję, bo na przykład wczoraj wieczorem wydawało mu się, że koleś w telewizorze boi się jego spojrzenia. Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć.

Sekretarz podziękował mu wyjątkowo łagodnym tonem, przeznaczonym dla nowych osób, których nieszczęście było strawą dla jego ducha, bezcenną okazją do „dawania” i „niesienia posłania”. Poradził Dave’owi, by został po spotkaniu i wziął kilka numerów telefonów. Dave odparł, że odcięto mu telefon. Sekretarz, nie chcąc, aby magiczny rytuał „dzielenia się” przerodził się w zwykłą rozmowę, uśmiechnął się stanowczo i spytał, czy są jeszcze jakieś nowe osoby.

Johnny, nie wiedząc dlaczego, zatroskał się losem Dave’a. Naprawdę miał nadzieję, że ci wszyscy ludzie, tacy sami jak on, beznadziejnie uzależnieni od

narkotyków, mający obsesję na ich punkcie i przez lata niepotrafiący myśleć o niczym innym, poukładają sobie życie. Jeżeli potrzebny im był do tego ten dziwny żargon, trudno, ale to jeszcze nie powód, żeby im źle życzyć.

Sekretarz oznajmił, że jeśli nikt więcej nie chce się pilnie czymś podzielić, to będą kończyć. Ponieważ odpowiedzią było milczenie, wstał i poprosił Angie, by pomogła mu zamknąć spotkanie. Wszyscy inni także podnieśli się z miejsc i chwycili za ręce.

– Odmówmy wspólnie modlitwę o pogodę ducha – rzekła Angie – używając słowa „Bóg”, jakkolwiek je pojmujemy. Boże – zaczęła, a gdy wszyscy byli gotowi, powtórzyła: – Boże, użyż mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić. Odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić. I mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego.

Johnny jak zwykle się zastanawiał, do kogo kieruje swoją modlitwę. Czasem w luźnych rozmowach z innymi narkomanami przyznawał, że utknął na Trzecim Kroku. Trzeci Krok zawierał odważną deklarację powierzenia swojej woli i swojego życia Bogu, „jakkolwiek go pojmujemy”.

Na koniec podeszła do niego Amanda Pratt, której wcześniej nie zauważył. Była dwudziestodwuletnią córką Nicholasa Pratta i jego najsensowniejszej żony, generalskiej córki w niebieskim swetrze i prostym naszyjniku z pereł, o ślubie z którą posepnie rozmyślał, kiedy spotykał się z Bridget.

Johnny skądś znał tę historię o jej rodzicach, mimo że samą Amandę znał niezbyt dobrze. Była od niego osiem lat młodsza i wcale nie uważał jej za narkomanę, lecz za jedną z tych neurotycznych dziewczyn, które biorą trochę koki albo spida, żeby szybciej schudnąć, i jakieś tabletki nasenne, żeby się lepiej wysypiać, a co najgorsze, natychmiast przestają, gdy tylko pojawiają się pierwsze nieprzyjemności. Johnny, który przez pierwsze dziesięć lat dorosłego życia popełniał wciąż te same błędy, spoglądał z wyższością na każdego, kto wymiękł wcześniej niż on (albo z gorszych powodów).

– Ale miałam ubaw – powiedziała Amanda nieco głośniejszym głosem niż Johnny by sobie życzył – jak powiedziałaś, że idziesz wieczorem na duże przyjęcie. Wiedziałam, że chodzi o Cheatley.

– Ty też będziesz? – spytał Johnny, znając odpowiedź.

– No ba. Bridget to praktycznie moja macocha, bo spotykała się z tatą tuż przed tym, jak ożenił się z mamą.

Johnny przyglądał się Amandzie i nie po raz pierwszy zadumał się nad zjawiskiem ładnych dziewczyn, które nie są ani trochę seksowne. Jakaś pustka i bluszczowatość, jakiś brakujący środek, pozbawiały ją atrakcyjności.

– No to widzimy się wieczorem – spróbował zakończyć.

– Przyjaźnisz się z Patrickiem Melrose'em, prawda? – spytała Amanda, nic sobie nie robiąc z jego ostatecznego tonu.

- Tak.
- Słyszałam, że bardzo lubi naśmiewać się ze Wspólnoty.
- Czy można mieć do niego pretensje? – westchnął Johnny, zerkając przez ramię, czy Dave wciąż jest na sali.
- Owszem, ja mam – odparła Amanda. – Uważam, że to raczej żałosne i tylko dowodzi, jak bardzo jest chory. Gdyby nie był chory, nie miałby potrzeby wyśmiewania Wspólnoty.
- Pewnie masz rację – ustąpił Johnny, rozpoznając odwykowy komunał, z którym nie chciało mu się dyskutować. – Słuchaj, muszę lecieć, bo jestem umówiony z kimś, kto ma mnie zawieźć na przyjęcie.
- Do wieczora – rzuciła wesoło Amanda. – Mogę cię potrzebować, jeżeli przydarzy mi się kryzys!
- Uhhh. Dobrze wiedzieć, że tam będziesz.

Robin Parker był przerażony, ujrzawszy przez okulary denka – które pomagały mu odróżniać fałszywe Poussiny od autentyków, lecz niestety nie były w stanie uczynić go dobrym kierowcą – że kiedy zamawiał w obskurnym bufeciku miniaturowy gin z tonikiem, do jego przedziału weszła starsza kobieta. Wszystko w tym pociągu obrażało jego smak: plastikowe „szkło”, fioletowo-turkusowe obicia, zapach paliwa i martwego naskórka, a teraz jeszcze wtargnięcie do jego przedziału tej nieeleganckiej istoty w płaszczu, który uszedłby na sucho tylko królowej. Zaciął usta i przecisnął się obok stojącej w przejściu horrendalnej jasnoniebieskiej walizki. Sięgnął po swój egzemplarz „Spectatora”, jego tarczę Perseusza przeciwko Meduzie nowoczesności, jak lubił powtarzać, i na chwilę rozmarzył się, że leci do Gloucestershire prywatnym samolotem z Zurychu, a najlepiej z Deauville, w towarzystwie kogoś naprawdę eleganckiego. Udając, że czyta, podczas gdy pociąg mijał Charlbury i Moreton-in-Marsh, wyobrażał sobie inteligentne i subtelne rzeczy, jakie opowiadałby o obrazach Bena Nicholsona zdobiących ściany domku letniskowego.

Virginia Watson-Scott zerknęła nerwowo na swoją walizkę; wiedziała, że tarasuje przejście. Kiedy ostatnim razem jechała pociągiem, pewien młody człowiek wepchnął ją na półkę bagażową, w ogóle nie martwiąc się tym, jak ona potem ją zdejmie. Z grzeczności nic wtedy nie powiedziała, lecz później, kiedy pociąg wjechał na Paddington Station, omal się nie przewróciła pod jej ciężarem. Mimo wszystko ten dziwny jegomość z naprzeciwka mógłby się przynajmniej zaofiarować z pomocą.

Ostatecznie postanowiła nie brać kupionej specjalnie na przyjęcie bordowej aksamitnej sukienki. Dopadło ją zwątpienie – za życia Roddy’ego nigdy by się to nie zdarzyło – i zdecydowała się na jedną z ulubionych starych, w której Sonny i Bridget widzieli ją sto razy, a raczej byliby ją widzieli sto razy, gdyby częściej zapraszali ją do Cheatley.

Znała, oczywiście, powód: Bridget się jej wstydziła. Sonny’emu jakimś cudem udawało się być szarmanckim i niemiłym jednocześnie: spod jego staroświeckich uprzejmości zawsze wyzierała skrywana pogarda. Virginia nie dbała o niego, lecz bolała ją myśl, że córce ciąży jej obecność. Starsi ludzie zawsze powtarzają, że nie chcą być ciężarem. Otóż ona, owszem, chciała. Przecież wcale nie było tak, że musieliby jej oddać ostatni wolny pokój. Sonny zawsze się chwalił, ile ma domków i jakie to utrapienie.

Bridget była takim uroczym dzieckiem. To ten okropny Nicholas Pratt ją zmienił. Nie umiała tego dobrze opisać, ale Bridget w domu zaczęła wszystko krytykować i patrzeć z góry na ludzi, których znała całe życie. Virginia, Bogu dzięki, widziała Nicholasa tylko raz; zabrał wtedy ją i Roddy’ego do opery.

Powiedziała później Roddy'emu, że Nicholas niezbyt przypadł jej do gustu, na co Roddy odparł, że Bridget jest rozsądną dziewczyną i może już sama decydować o sobie.

– No, pośpiesz się – powiedziała Caroline Porlock. – Obiecaliśmy, że będziemy wcześniej i wesprzemy ich moralnie.

Wsparcie moralne, pomyślał Peter Porlock, wciąż lekko oszołomiony poranną rozmową z Sonnym, było niewątpliwie czymś, czego Cheatley potrzebowało.

Zjechali w dół podjazdu, mijając spokojne sarny i stare dęby. Peter stwierdził w duchu, że należy do tych Anglików, którzy naprawdę mogą powiedzieć, że ich dom jest ich zamkiem. Zastanawiał się, czy powinien o tym wspomnieć podczas któregoś ze swoich występów telewizyjnych. W sumie, zdecydował, gdy prowadzone przez Caroline Subaru przemknęło między słupkami bramy, może jednak nie.

Nicholas Pratt rozsiadł się wygodnie na tylnym siedzeniu samochodu Alantourów. Właśnie tak powinno się oglądać świat, pomyślał: z za szyby limuzyny.

Żeberka jagnięce były wyśmienite, sery, dostarczone rano samolotem z Francji, przepyszne, a Haut-Brion rocznik 1970 *très buvable*, jak skromnie zauważył ambasador.

– *Et la comtesse, est-elle bien née?* – spytała Jacqueline, wracając do tematu Bridget, aby uraczyć męża smakowitymi szczegółami dotyczącymi jej pochodzenia.

– *Pas du tout* – odparł Nicholas z silnym angielskim akcentem.

– Niezupełnie pierwsza półka! – wykrzyknął Jacques d'Alantour, który szczyił się znajomością kolokwialnej angielszczyzny.

Również Jacqueline była niezupełnie z pierwszej półki, pomyślał Nicholas, i pewnie dlatego jej fascynacja pozycją społeczną miała cokolwiek żarłoczny charakter. Jej matka, córka libańskiego handlarza bronią, wyszła za Phillipe'a du Tanta, barona bez pieniędzy i bez nazwiska, który nie mógł jej ani psuć jak ojciec, ani uratować przed zepsuciem. Jacqueline została nie tyle urodzona, co obliczona gdzieś w szwajcarskim banku. Ze swoją nieco ziemistą cerą i ustami w podkowę, które to cechy odziedziczyła po matce, naprawdę nie potrzebowała do szczęścia potwornie wydatnego nosa, który przekazał jej w spadku ojciec; nie zmieniało to faktu, że od najmłodszych lat była słynną dziedziczką, sprawiającą na większości osób wrażenie ożywionej fotografii, imienia, które stało się ciałem, chodzącego konta bankowego.

– To dlatego się z nią nie ożeniłeś? – spytała żartobliwie Jacqueline.

– Moim rodowodem można by obdzielić dwóch – odparł z dostojeństwem. – Ale nie jestem już tym snobem, którym byłem dawniej.

Ambasador pokiwał uniesionym palcem.

– Jesteś lepszym snobem! – oznajmił z chytrą miną.

– Istnieje tyle różnych rodzajów snobizmu – zauważyła Jacqueline – że trudno podziwiać wszystkie.

– W takiej sprawie jak snobizm należy być wybrednym – orzekł Nicholas.

– Pewne rzeczy, na przykład nietolerowanie głupich ludzi albo niejadanie w towarzystwie świń, w ogóle nie są snobizmem, tylko zdrowym rozsądkiem – stwierdziła Jacqueline.

– A mimo to – powiedział szczywany ambasador – czasem trzeba zjeść kolację ze świniami.

Dyplomaci, pomyślał Nicholas, niepotrzebni światu od czasu wynalezienia telefonu, zachowali maniery ludzi zajmujących się sprawami wielkiej wagi państwowej. Kiedyś na jego oczach Jacques d'Alantour złożył płaszcz na balustradzie i oznajmił dobitnym tonem kogoś, kto odrzuca kompromis w kwestii sukcesji hiszpańskiej: „Położę mój płaszcz *tutaj*”. Potem odłożył kapelusz na pobliskie krzesło i dodał z nieskończoną subtelnością: „Ale mój kapelusz położę *tutaj*. W przeciwnym razie mógłby spaść!”, jak gdyby dając do zrozumienia, że co do szczegółów małżeństwa można się jakoś dogadać.

– Kiedy siadają z nami do kolacji – orzekła tolerancyjnie Jacqueline – przestają być świniami.

Zgodnie z zasadą, iż człowiek najbardziej nie znosi tych, wobec których zachował się nie w porządku, Sonny po rozmowie z Peterem Porlockiem myślał o Bridget z wyjątkową przykrością i aby jej nie spotkać, zapuścił się aż do pokoju dziecięcego.

– Tato! Co ty tu robisz? – spytała go Belinda.

– Przyszedłem zobaczyć moją ulubioną córeczkę! – zawołał.

– Ale z ciebie szczęściara – rozczuliła się niania. – Twój zabiegany ojciec przyszedł cię zobaczyć w taki dzień!

– Możesz nas zostawić, nianiu – rzekł Sonny. – Poradzę sobie.

– Oczywiście – odparła służalczo.

– No – Sonny potarł dłonie – to co robiłyście?

– Czytałyśmy książkę!

– O czym?

– O wycieczce szkolnej – troszkę nieśmiało powiedziała Belinda.

– Dokąd?

– Do muzeum figur woskowych.

– Madame Tussaud?

– Tak. Tim i Jane są bardzo niegrzeczni, chowają się i zostają w muzeum, a wieczorem wszystkie figury ożywają i zaczynają tańczyć ze sobą jak prawdziwi ludzie, i zaprzyjaźniają się z dziećmi. Przeczytasz mi, tato?



– Ale przecież czytałaś przed chwilą – zdziwił się Sonny.

– To moja ulubiona książka, poza tym wolę, jak ty czytasz. Proszę – dodała błagalnie.

– Oczywiście. Z przyjemnością – powiedział Sonny z nieznacznym ukłonem, jakby zgadzał się wygłosić przemówienie na targach rolnych. Skoro już był w pokoju dzieciennym, należało zrobić dobre wrażenie. W końcu przepadał za tym dzieckiem, nie zaszkodzi więc, jeśli to podkreśli. Może to okropne rozumować w ten sposób, ale musiał myśleć praktycznie, z wyprzedzeniem, dla dobra Cheatley. Niania przyda mu się jako świadek w razie awantury o prawa do opieki. Jego niespodziewana wizyta w pokoju dziecięcym z pewnością zapadnie jej w pamięć. Sonny usadowił się w starym, wysłużonym fotelu, a Belinda, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście, usiadła mu na kolanach i oparła głowę o miękki kaszmir jego jasnoczerwonego swetra.

– „Wszystkie dzieci w klasie Tima i Jane były bardzo podekscytowane” – zaczął tubalnym głosem Sonny. – „Jechały na wycieczkę do Londynu...”.

– Szkoda, że nie możesz pojechać – rzekł David Windfall do żony, wsuwając parę prezerwatyw do wewnętrznej kieszeni marynarki, tak na wszelki wypadek.

– Baw się dobrze, skarbie – stęknęła Jane, czekając, aż sobie pójdzie.

– Bez ciebie to żadna zabawa – odparł, zastanawiając się, czy dwa kondomy wystarczą.

– Nie wygłupiaj się, skarbie. Zapomnisz o mnie, zanim dojedziesz na miejsce.

Davidowi nie chciało się dyskutować z tą oczywistą prawdą.

– Mam nadzieję, że jutro poczujesz się lepiej – rzekł tylko. – Zadzwońię z samego rana.

– Jesteś aniołem – powiedziała. – Jedź ostrożnie.

Johnny zadzwonił powiedzieć, że jednak weźmie swój samochód, więc Patrick opuścił Londyn sam, zadowolony, że udało mu się wyjechać przed zmrokiem. Dziwił się gorączkowemu podnieceniu, z jakim dawniej wyruszał na przyjęcia. Wynikało ono z nadziei, nigdy jeszcze nieziszczonej, że przestanie się martwić i odczuwać bezsens istnienia, kiedy film jego życia nabierze połyskliwego blasku. Aby tak się jednak stało, musiałyby przesłonić własny punkt widzenia perspektywą nieznanego, który niedbale kartkuje jego ciasno zapisany pamiętnik, i uwierzyć, od czego był daleki, że jeśli skąpie się w odpowiedniej ilości cudzej sławy, sam nie będzie musiał o nią zabiegać. Bez tej snobistycznej gorączki wpadał szybko pod wirujący wiatrak własnej świadomości i oddychał płytko, dostarczając jak najmniej tlenu do mózgu, który, wiele na to wskazywało, nie był w stanie wytwarzać niczego poza strachem i żalem.

Patrick po raz trzeci przewijał do początku piosenkę *The Passenger* Iggy'ego Popa. Jego samochód mknął w dół zbocza ku wiaduktowi zawieszonemu pomiędzy

domami i fabrykami High Wycombe. Po wynurzeniu się z muzycznego transu przypomniał mu się fragment snu, którego nie pamiętał rano. Spasiony wilczur rzucał się na furtkę zamkniętą na kłódkę, furtka trzeszczała. Wcześniej Patrick szedł ścieżką wzdłuż ogrodu, a pies czekał na niego zza ogrodzenia z zielonej drucianej siatki, często spotykanej na francuskiej wsi.

Kiedy auto, nie zwalniając, zaczęło się wspinać na wzgórze po drugiej stronie wiaduktu, z głośników popłynęły pierwsze gitarowe akordy. Patrick, szykując się, aby zaśpiewać do wtóru z Iggyem, wykrzywił twarz, po czym zaczął o pół taktu za wcześnie wykrzykiwać znane na pamięć słowa piosenki. Zadymiony samochód gnał fałszując w coraz gęstszą ciemność.

Jedno z zastrzeżeń Laury wobec jej osobowości było takie, że miewała trudności z wychodzeniem z domu. Nie mogła przekroczyć progu mieszkania, a gdy jej się to udawało, natychmiast musiała zawrócić, po prostu *musiała*. Gdy tylko weszła z powrotem, zgubione lub zapomniane przedmioty od razu odnajdowały się w torbie. Odkąd umarł jej kot, było jeszcze gorzej. Nie mogła już sprawdzać, czy kot ma dość pokarmu i wody ani czy nie wysmyknął się za nią na korytarz.

Przed chwilą wysłała Chinę po samochód pod pretekstem, że bagaże są zbyt wielkie, żeby je taszczyć, a tak naprawdę po to, aby China nie była świadkiem prześlągalnego rytuału, który pozwalał Laurze wydostać się z domu. Musiała w tym celu wyjść z niego tyłem – jakkolwiek to było niedorzeczne – i dotknąć ręką górnej części framugi. Oczywiście istniało ryzyko, że któryś z sąsiadów zobaczy, jak opuszcza mieszkanie na wstecznym biegu, wspinając się na palcach, z rękoma wyciągniętymi do góry, i dlatego najpierw wyglądała na korytarz, by się upewnić, że jest pusty.

– Możemy w samochodzie zagrać w grę – zaproponowała parę minut wcześniej China. – „Z kim najmniej chciałabyś siedzieć przy stole na kolacji”.

– Już w to grałyśmy – odparła Laura.

– Ale możemy spróbować wczuć się w inne osoby.

– O, na to nie wpadłam.

Przynajmniej, pomyślała Laura, zamykając drzwi na klucz, Johnny to były Chiny i będzie ją mogła po drodze podpytać o jego zwyczaje – i o to, jak bardzo China za nim tęskni.

Alexander Politsky, którego skrajna angielskość brała się stąd, że był Rosjaninem, prawdopodobnie jako ostatnia osoba w Anglii używał określenia „stary druhu” w sposób nieironiczny. Uchodził też powszechnie za właściciela najwspanialszej w całym kraju kolekcji butów. Para butów jeździeckich od Lobba sprzed pierwszej wojny światowej oglądała światło dzienne tylko przy specjalnych okazjach, kiedy temat obuwia spontanicznie pojawiał się w rozmowie.

Alexander wiózł Alego Montague do Bossingtonów-Lane’ów, gdzie obaj

mieli nocować. Ali, który znał Billa Bossingtona-Lane'a od czterdziestu lat, powiedział o nim i jego żonie, że to „ten rodzaj ludzi, którego nie widuje się w Londynie. Oni po prostu nie są w stanie podróżować”.

Ktoś kiedyś zapytał Billa, czy wciąż ma ten piękny dworek. „Piękny dworek? – powtórzył. – Wciąż mamy tę starą norę, jeśli o nią pytasz”.

– Swoją drogą – ciągnął Ali – czytałeś u Dempstera zapowiedź dzisiejszego przyjęcia? Stara śpiewka o najlepszym terenie łowieckim w Anglii, dziesięć tysięcy akrów, księżniczka Małgorzata, bla, bla, bla, i nagle cytat z Bridget: „Po prostu zapraszam kilka osób na wspólne świętowanie urodzin męża”. Ona się chyba nigdy nie nauczy.

– Uch – stęknął Alexander. – Nie znoszę tej kobiety. Pół biedy, jeśli traktuje mnie z wyższością księżniczka Małgorzata, czego się zresztą dzisiaj spodziewam...

– Życzę ci tego! – wtrącił Ali. – Wiesz, ja chyba nawet wolę przyjęcia u ludzi, których nie lubię.

– Ale – ciągnął niezrażony Alexander – nie pozwolę, żeby robiła to Bridget Gravesend, z domu Watson-Szrot, czy jak jej tam było.

– Watson-Szrot – zaśmiał się Ali. – Co ciekawe, w poprzednim życiu *trochę* znałem jej ojca. Nazywał się Roddy Watson-Scott, był strasznie głupi, jowialny, miał w sobie coś z handlarza używanymi samochodami, ale sympatyczny. Jak wiesz, nie jestem snobem, ale nie trzeba było nim być, żeby nie chcieć pielęgnować znajomości z tym człowiekiem.

– No więc sam rozumiesz – rzekł Politsky – nie chcę być traktowany z wyższością przez córkę handlarza używanymi samochodami. Bądź co bądź moja rodzina mogła kiedyś dojść z Moskwy do Kijowa po swoich włościach.

– Obawiam się, że w ten sposób nie zrobisz na mnie wrażenia – odparł Ali. – Nie wiem, gdzie jest Kijów.

– Wystarczy, żebyś wiedział, że to bardzo daleko od Moskwy – uciął Alexander. – Tak czy owak, wygląda na to, że Bridget w końcu dostanie za swoje. No wiesz, Sonny i Cindy Smith.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego Cindy wybrała Sonny'ego – powiedział Ali.

– On jest kluczem do świata, który Cindy chce spenetrować.

– Albo chce, żeby ten świat spenetrował ją.

Uśmiechnęli się obaj.

– Swoją drogą, będziesz wieczorem w czółenkach? – spytał od niechcienia Alexander.

Anne Eisen potarła pięścią tylne okno jaguara, lecz niewiele to dało; brudna para po zewnętrznej stronie szyby trwała na swoim miejscu.

Kierowca zerknął z dezaprobatą w lusterko wsteczne.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – spytał Tom.

– Owszem – odparła. – Na manowcach rozumu, skoro pytasz. Jedziemy

zobaczyć mnóstwo antyków, feudalnych snobów, ptasich mózdków, leśnych dziadków...

– Harold mówił, że będzie księżniczka Małgorzata.

– ...i tępych Niemców – z satysfakcją uzupełniła swoją listę Anne.

Jaguar skręcił w lewo i sunął powoli długim podjazdem, na którego końcu świeciły zamglone światła dworu w stylu elżbietańskim. Był to dom Harolda Greene'a, u którego mieli się zatrzymać na weekend.

– O rety! – zawołała Anne. – Popatrz tylko: pięćdziesiąt pokoiów. Założę się, że we wszystkich straszy.

Na Tomie, właśnie podnoszącym z podłogi wysłużoną skórzaną walizkę, posiadłość nie robiła wielkiego wrażenia.

– Bardzo w guście Harolda – rzekł – to na pewno. Wiele lat temu, kiedy byliśmy młodzi i zbawialiśmy świat, miał podobny dom w Arlington.

Bridget kazała matce wziąć taksówkę z dworca i się nie przejmować, bo ona za nią zapłaci, lecz dojechawszy do Cheatley, Virginia Watson-Scott wstydziła się prosić o pieniądze i sięgnęła do własnego portfela, mimo że siedemnaście funtów, osiemnaście z napiwkami, nie było dla niej małą sumą.

– Gdyby orchidee pisały powieści – mówił Tony Fowles w chwili, kiedy wprowadzono ją do saloniku Bridget – pisałyby tak jak Isabel.

– O, cześć, mamó – westchnęła Bridget, wstając z sofy, na której siedziała, chłonąc każde jego słowo.

Valium pomogło jej złagodzić efekty wstrząsu, jakim była podsłuchana rozmowa telefoniczna Sonny'ego; Bridget sama była miło zaskoczona łatwością, z jaką zapomniała o tym zmartwieniu, wchodząc w trans zwyczajnych zajęć albo, jak teraz, skupiając się na błyskotliwej gadce Tony'ego. Mimo to pojawienie się matki odczuła jako dodatkowy i niesprawiedliwy ciężar.

– Myślałam, że jestem świetnie zorganizowana – zwróciła się do niej – a tymczasem zostało mi jeszcze milion jeden rzeczy do zrobienia. Poznałaś Tony'ego Fowlesa?

Tony wstał i uścisnął dłoń Virginii.

– Miło mi panią poznać.

– Przyjemnie jest być na prawdziwej wsi – zauważyła Virginia, bojąc się ciszy. – U mnie to już nie to samo, wszystko zabudowane.

– Prawda? – podchwycił Tony. – Uwielbiam patrzeć na krowy, a pani? Są takie naturalne.

– O tak – zgodziła się Virginia – lubię krowy.

– Mój problem polega na tym – zwierzył się Tony – że jestem esteta. Od razu mam ochotę biec na łąkę, żeby je poprzestawiać. A potem jeszcze przykleić do ziemi, żeby wyglądały idealnie, kiedy się na nie patrzy z domu.

– Biedne krowy – rzekła Virginia. – Nie wiem, czy byłyby zadowolone. Gdzie jest Belinda? – zwróciła się do Bridget.

– Przypuszczam, że w pokoju dziecięcym – odparła jej córka. – Jest troszkę wcześniej, ale może masz ochotę na podwieczorek?

– Wolalabym najpierw przywitać się z Belindą – powiedziała Virginia, przypominając sobie, że Bridget prosiła ją, aby przyjechała w porze podwieczorku.

– Dobrze, w takim razie napijmy się herbaty w jej pokoju – zaproponowała Bridget. – Obawiam się zresztą, że twój pokój jest na tym samym piętrze co pokój dziecięcy, strasznie trudno wszystkich pomieścić, zwłaszcza że przyjeżdża księżniczka, więc pokażę ci od razu, gdzie będziesz spała.

– W porządeczku – rzekła Virginia. Roddy zawsze tak mówił i doprowadzało to Bridget do szaleństwa.

– Mamo – jęknęła – błagam, nie mów tak.  
– Chyba podłapałam to od Roddy’ego!  
– Wiem – powiedziała Bridget. Wyobraziła sobie ojca, w sportowej marynarce i spodniach z diagonalu, jak mówi „w porządeczku”, wciągając na dłonie rękawiczki do jazdy samochodem. Zawsze był dla niej bardzo dobry, ale odkąd nauczyła się go wstydzic, nigdy nie przestała, nawet po jego śmierci.  
– No to chodźmy – westchnęła. – Pójdiesz z nami, prawda? – zwróciła się prosząco do Tony’ego.  
– Się rozumie! – odparł Tony, salutując. – O ile wolno mi tak mówić.  
Bridget ruszyła przodem do pokoju dziecięcego. Niania, która właśnie besztła Belinę za „ekscytowanie się”, przeszła do sąsiadującej z pokojem kuchni, by przygotować podwieczorek, z mieszaniną podziwu i pretensji mamrocząc pod nosem: „Oboje rodziców jednego dnia”.  
– Babcia! – zawołała Belinda, która lubiła Virginie. – Nie wiedziałam, że przyjedziesz!  
– Nikt ci nie powiedział? – spytała Virginia, zbyt ucieszona widokiem wnuczki, by roztrząsać ten drobiazg.  
Tony i Bridget podeszli do starej obszarpanej kanapy na drugim końcu pokoju.  
– Róże – rzekł Tony ze skargą w głosie.  
– Czy one nie wyglądają słodko? – odezwała się Bridget, patrząc, jak Belinda, na kolanach u babci, zagląda jej do torby, szukając cukierków. Mignęło jej wspomnienie, jak sama siedziała na tych kolanach i czuła się szczęśliwa.  
– Te cukierki? Bardzo.  
– Ty stary cyniku.  
Tony zrobił minę urażonego niewiniątka.  
– Nie jestem cynikiem – zachnął się. – Czy to moja wina, że większością ludzi kieruje zachłanność i zazdrość?  
– A ty czym się kierujesz? – spytała Bridget.  
– Stylem – odparł wstydliwie. – I miłością do przyjaciół – dodał, leciutko poklepując Bridget po nadgarstku.  
– Nie próbuj się podlizywać.  
– I kto tu jest cynikiem? – stęknął.  
– Zobacz, co mi kupiła babcia – zawołała Belinda, unosząc torebkę swoich ulubionych cukierków cytrynowych. – Chcesz jednego?  
– Nie wolno jej dawać słodyczy – zwróciła się Bridget do Virginii. – Strasznie szkodzą zębom.  
– Kupiłam tylko ćwierć funta. Tobie też smakowały, kiedy byłaś mała.  
– Niania jest temu kategorycznie przeciwna, prawda, nianiu? – Bridget skorzystała z faktu, że niania wróciła z podwieczorkiem na tacy.

– O tak – potwierdziła niania, choć nie wiedziała, czego dotyczy rozmowa.  
– Od słodczy małym dziewczynkom psują się zęby – oznajmiła Bridget.  
– Słodczy! – Niania wreszcie namierzyła wroga. – Żadnych słodczy w pokoju dziecięcym! Tylko w niedzielę! – grzmiąca.

Belinda wybiegła za drzwi i zawołała z korytarza:

– Teraz już nie jestem w pokoju dziecięcym!

Virginia zakryła usta dłonią, demonstracyjnie tłumiąc śmiech.

– Nie chciałam sprawić kłopotu – powiedziała.

– Ależ ta mała jest pełna energii – stwierdziła chytrze niania, widząc, że Bridget po cichu podziwia krnąbrność Belindy.

Virginia wyszła za Belindą do przedpokoju. Tony spojrzał krytycznie na jej starą tweedową spódnicę. Stylowa to ona nie była. Czuł, że Bridget swoim zachowaniem daje mu prawo do gardzenia Virginią, co jednak nie przeszkadzało mu gardzić Bridget za to, że nie jest bardziej lojalna wobec matki ani dość elegancka, by wznieść się ponad nią.

– Powinnaś zabrać mamę na zakupy, przydałaby jej się nowa spódnica.

– Nie bądź niegrzeczny.

Tony wyczuł słabość w oburzeniu Bridget.

– Oczy mnie boją od tej kasztanowej kraty – nie ustępował.

– Jest okropna – przyznała Bridget.

Niania przyniosła im dwie filiżanki herbaty i talerzyk biszkoptów z galaretką w polewie czekoladowej.

– Babcia przechowa mi cukierki – oznajmiła Belinda, wracając do pokoju. – Jak będę chciała jednego, to mam jej powiedzieć.

– Uznałyśmy, że to będzie dobry kompromis – wyjaśniła Virginia.

– I poczyta mi przed kolacją – dodała Belinda.

– A, zapomniałam ci powiedzieć – rzekła z roztargnieniem Bridget – jesteś proszona na kolację do Bossingtonów-Lane’ów. Nie mogłam odmówić, powtarzali w kółko, że brakuje im kobiet. Tutaj, z księżniczką Małgorzatą, będzie bardzo oficjalnie. Tam na pewno poczujesz się swobodniej. To nasi sąsiedzi, strasznie mili ludzie.

– Aha – odparła Virginia. – Cóż. Skoro jestem potrzebna...

– Ale nie gniewasz się, prawda?

– Nie, skąd.

– Pomyślałam, że tam będziesz mogła się odprężyć.

– Tak, na pewno się bardziej odprężę.

– Ale jeśli nie chcesz, to pewnie mogłabym to jeszcze odkręcić. Choć raczej by się pogniewali, gdybym to zrobiła w ostatniej chwili.

– Nie, nie, wybiorę się z przyjemnością, teraz już nic nie odwołuj. Na pewno są bardzo mili. Przepraszę was na chwilę – dodała, wstając, i otworzyła drzwi

prowadzące do innych pokojów.

– Dobrze to rozegrałam? – spytała Bridget Tony’ego.

– Zasłużyłaś na Oscara.

– Myślisz, że byłam dla niej niedobra? Po prostu nie wiem, czy udźwignęłabym wszystkich naraz: księżniczkę, Sonny’ego i moją matkę.

– Postąpiłaś właściwie – zapewnił ją Tony. – Trudno, żebyś wysłała do Bossingtonów-Lane’ów kogoś z pozostałej dwójki.

– Wiem, ale też chciałam dla niej jak najlepiej.

– Na pewno będzie tam szczęśliwsza – orzekł Tony. – Robi wrażenie miłej kobiety, ale chyba nie jest bardzo... – szukał odpowiedniego słowa – towarzyska, prawda?

– Nie jest. Wiem, że byłaby strasznie spięta w obecności księżniczki.

– Czy babci jest przykro? – spytała Belinda, siadając obok matki.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Miała smutną minę, jak wychodziła.

– Taki ma po prostu normalny wyraz twarzy – odparła pomysłowo Bridget.

Po chwili, wpychając chusteczkę w rękaw rozpinanego swetra, Virginia wróciła do pokoju dziecięcego.

– Zajrzałam na chwilę do jednego z pokoiów i zobaczyłam swoją walizkę – oznajmiła wesoło. – Czy to będzie mój pokój?

– Mhm – potwierdziła Bridget, popijając wolno herbatę z filiżanki. – Przepraszam, że taki ciasny, ale w końcu to tylko jedna noc.

– Tylko jedna – powtórzyła Virginia, która miała nadzieję zostać na parę dni.

– Dom pęka w szwach – dodała Bridget. – To duże wyzwanie dla... dla wszystkich. – Taktownie powstrzymała się od wypowiedzenia słowa „służba” w obecności niani. – Zresztą pomyślałam, że będziesz wołała być koło Belindy.

– Oczywiście – przytaknęła Virginia. – Będziemy mogły sobie urządzać nocne obżarstwo.

– Nocne obżarstwo! – wyrzuciła z siebie niania, nie mogąc się dłużej hamować. – Nie w moim pokoju dziecięcym!

– Myślałem, że to pokój dziecięcy Belindy – rzucił kąśliwie Tony.

– Ja tu rządę – dyszała niania – i nie życzę sobie nocnego obżarstwa.

Bridget pamiętała nocną ucztę, którą matka urządziła dla niej w przededniu wyjazdu do szkoły z internatem. Udawała, że muszą się z tym kryć przed ojcem, ale później Bridget dowiedziała się, że ojciec o wszystkim wiedział, a nawet sam poszedł kupić ciastka. Stłamsiła to czułościowe wspomnienie, wzdychając, po czym wstała. Słyszając dolatujący sprzed domu odgłos samochodów, wyjrzała przez jedno z małych okien w rogu pokoju.

– O Boże, to Alantourowie – powiedziała. – Muszę zejść i się przywitać. Tony, będziesz tak dobry i pójdziesz ze mną?



– O ile dasz mi później chwilę, żebym się wyszykował na przyjazd księżniczki Małgorzaty.

– Czy mogę jakoś pomóc? – spytała Virginia.

– Nie, mamó. Zostań tutaj i się rozpakuj. Zamówię ci taksówkę do Bossingtonów-Lane'ów. Na wpół do ósmej – oznajmiła Bridget, szacując, że do tego czasu księżniczka nie zejdzie na dół. – Oczywiście ja zapłacę.

O rany, pomyślała Virginia, kolejny wydatek.

Patrick późno zarezerwował pokój i dlatego ulokowano go w dobudówce. Do listu potwierdzającego rezerwację kierownictwo Little Soddington House Hotel dołączyło broszurę, w której chwalono się wielkim pokojem z łóżkiem z baldachimem, wysokim marmurowym kominkiem i wykuszowym oknem z widokiem na zachwycające wzgórza Cotswolds. Pokój, do którego zaprowadzono Patricka, z mocno spadzistym sufitem i widokiem na tyły kuchni, mógł się pochwalić zestawem akcesoriów do parzenia herbaty, saszetek z kawą rozpuszczalną i pojemniczków z mlekiem o przedłużonej trwałości. Miniaturowy kwaciasty wzór na koszu, zasłonach, pościeli, poduszkach i dozowniku chusteczek, wszędzie ten sam, zdawał się drzeć i przesuwać.

Patrick wypakował smoking i rzucił go na łóżko, po czym sam się na nie rzucił. Karteczka pod szkłem nocnego stolika ostrzegała: „Aby uniknąć rozczarowania, goście powinni rezerwować stoliki w restauracji z wyprzedzeniem”. Patrick, który przez całe życie starał się unikać rozczarowania, przeklął się w myślach, że nie wpadł na to wcześniej.

Czy nie ma żadnego innego sposobu, aby uchronić się przed rozczarowaniem? Gdzie ma szukać oparcia, skoro jego tożsamość zaczęła się od dezintegracji, a następnie dezintegrowała się coraz bardziej? Może jednak cały ten model tożsamości jest błędny. Może tożsamość nie jest budynkiem, dla którego należy znaleźć fundamenty, lecz szeregiem wcieleń połączonych centralną inteligencją, taką, która zna historię tych wcieleń i usuwa podział na bycie sobą i udawanie kogoś innego.

– Odgrywanie ról, proszę pana – chrząknął Patrick, wypychając brzuch i człapiąc w kierunku łazienki, jakby był Grubasem we własnej osobie – to zwyczaj, którego nie pochwalam, a który zgubił monsieur Escoffiera... – urwał.

Wstręt do siebie, który męczył go ostatnimi czasy, miał w sobie coś z bezruchu malarycznego bagna i Patrickowi nieraz brakowało tego ansamblu szyderców, który przed laty towarzyszył mu w co bardziej dramatycznych epizodach dezintegracji. Potrafił jeszcze przywołać niektóre z tych postaci, lecz straciły jakby swoją energię, podczas gdy on prędko zapomniał o udręce bycia lalką brzuchomówcy i zaczął w jej miejsce odczuwać nostalgię za okresem wprawdzie mało przyjemnym, ale za to intensywnym.

„Uwierz, że umrzesz”, ta dziwna fraza z *Miarki za miarkę* wróciła do niego, kiedy obnażył zęby i rozrywał saszetkę z żelem do kąpieli. Może coś było w tej ni to płytkiej, ni to głębokiej myśli, że trzeba stracić wiarę w życie, aby zrozumieć jego wartość. A może nie było. Tak czy owak, myślał, wyciskając z saszetki zieloną maź i próbując wrócić do poprzednich rozważań, czym jest ta centralna inteligencja i jak bardzo jest inteligentna? Co jest nicią łączącą rozrzucone paciorki

doświadczenia, jeśli nie przymus interpretacji? Sensem życia mógł być dowolny sens, jaki człowiek zdołał swojemu życiu narzucić.

Gdzie był Victor Eisen, wielki filozof, kiedy Patrick najbardziej go potrzebował? Jak mógł zostawić niewątpliwie wspaniałą książkę *Istnienie, wiedza, osąd* (czy może jednak *Myślenie, wiedza, osąd*?) w Nowym Jorku po tym, jak Anne Eisen sprezentowała mu ją podczas jego wyprawy po zwłoki?

Będąc niedawno w Nowym Jorku, odwiedził dom pogrzebowy, w którym przed laty pokazano mu ciało ojca. Budynek wyglądał zupełnie inaczej, niż go zapamiętał. Zamiast szarej kamiennej fasady ujrzał ciepłą brązową cegłę. Budynek był zaskakująco mały, a kiedy Patrick, pchany ciekawością, zajrzał do środka, nie zobaczył tam ani marmurowej podłogi w czarno-białą szachownicę, ani lady w miejscu, w którym się jej spodziewał. Może zmieniono wystrój, ale i tak nie zgadzała się skala, jakby patrzył na miejsce, które znał z dzieciństwa, pomniejszone przez upływ czasu.

Co ciekawe, Patrick zachował tamto stare wspomnienie w niezmienionym kształcie. Obraz, który nosił w sobie przez lata, wydawał mu się bardziej przekonujący niż fakty, wobec których stanął podczas ponownej wizyty, lepiej pasujący do wydarzeń, które rozegrały się w tym rozczarującym budynku. Najważniejsze, pomyślał, to nie ustawać w próbach interpretacji, w niszaniu rozsypanych paciorków na nitkę.

Nawet przypadkowe wspomnienia były przebłyskami dawnych historii, czegoś, co kiedyś na pewno było historią. Impresje zbyt ulotne, by można je było nazywać historiami, nie tworzyły sensów. Podczas tej samej wizyty w Nowym Jorku Patrick, przechodząc obok robót drogowych, zobaczył czerwono-biały komin, wypluwający parę w chłodne powietrze. Odczuł wtedy nostalgię i jakieś ukryte znaczenie, lecz trwał w stanie mglistej intensywności, nie wiedział, czy pamięta ten obraz z jakiegoś filmu, z książki, czy z własnego życia. Na tym samym spacerze wstąpił do obskurnego hotelu, w którym kiedyś mieszkał, i okazało się, że hotelu już tam nie ma. Rzecz, którą pamiętał, już nie istniała, lecz Patrick, ignorując odnowiony hol, dalej wyobrażał sobie Włocha w krawacie ze spinką w kształcie bułatu, zarzucającego mu, że próbuje zainstalować swoją dziewczynę, Nataszę, jako prostytutkę, dalej wyobrażał sobie obłądną tapetę w bezładne czerwone kreski, podobne do popękanych naczynek w zmęczonych oczach.

Mógł tylko, bo jaki miał wybór, pogodzić się z tym, że pamięć jest w niepokojącym stopniu fikcyjna, i mieć nadzieję, że owa fikcja służy prawdzie, której pierwotne fakty nie oddawały w całej pełni.

Dom w Lacoste, gdzie Patrick spędził większość dzieciństwa, był teraz oddzielony od nieciekawych przedmieść kilkoma rzędami winorośli. Stare meble sprzedano, niepotrzebną studnię zasypano i przykryto. Nawet żaby drzewne, jasnozielone i gładkie na tle równie gładkiej szarej kory figowca, zniknęły bez

śladu, wytrute albo pozbawione miejsc łęgowych. Stojąc na splekanym tarasie, słuchając szumu nowej autostrady, Patrick próbował dojrzeć twarze, które dawniej wylaniały się z płynnej szarości wapiennych skał, lecz nie chciały mu się ukazać. Za to gekony nadal przemykały po sufitach i pod okapami, a sielską atmosferę wczasów zawsze mącił dreszcz niewyjaśnionej przemocy, tak samo jak burząca wodę śruba silnika wprawia w drżenie gin na dalekim pokładzie. Były takie rzeczy, na których nigdy się nie zawiódł.

Zadzwoił telefon i Patrick z ulgą podniósł słuchawkę. Johnny już dojechał i proponował spotkanie w barze o wpół do dziewiątej. Patrick zgodził się i, uwolniony z kołowrotka myśli, poszedł zakręcić wodę w wannie.

David Windfall, zarumieniony i zgrzany po kąpiel, wcisnął się w spodnie od smokingu, które pod naporem jego ud napinały się jak osłonki kiełbasek. Na górną wargę i czoło nieustannie występowały mu kropelki potu. Otarł je i zerknął w lustro; choć wyglądał jak hipopotam z nadciśnieniem, był całkiem zadowolony.

Cindy Smith zje z nim kolację. Była słynną na cały świat pięknoscią, lecz David nie czuł onieśmienia, ponieważ sam był czarujący, wytworny, no i był Anglikiem. Windfallowie odcisnęli swoje piętno na Kumbrii na wieki przed pojawieniem się panny Smith, przypominał sobie uspokajająco, zapinając zbyt ciasną koszulę pod szyją, która zdążyła się już spocić. Jego żona miała zwyczaj kupować mu kołnierzyki siedemnaście i pół cala w nadziei, że schudnie. Ten podstęp tak bardzo go złościł, że doszedł teraz do wniosku, iż zasłużyła sobie na chorobę, nieobecność i, jeśli wszystko dobrze pójdzie, na zdradę.

Wciąż nie powiedział pani Bossington-Lane, że nie zjawi się u niej na kolacji. Podduszając się muszką, doszedł do wniosku, że najlepiej będzie odnaleźć ją na przyjęciu i utrzymać, że popsuł mu się samochód. Oby tylko nikt ze znajomych nie jadł kolacji w hotelu. Może wykorzystując tę obawę, zdoła namówić Cindy na kolację w pokoju? Jego zasapane myśli ochoczo wybiegały naprzód.

To właśnie Cindy Smith zajęła wspaniały pokój reklamowany w hotelowej broszurze. Powiedziano jej, że to apartament, lecz w istocie była to średnio duża sypialnia bez osobnej przestrzeni do relaksu. Te stare angielskie domy były takie niewygodne. Cheatley widziała tylko na zdjęciu, wydawało się ogromne, ale lepiej, żeby tam było ogrzewanie podłogowe i mnóstwo łazienek, inaczej nie wytrwa nawet w swoim zamiarze zostania zabezpieczoną finansowo ekszrabina Gravesend.

Myślała perspektywicznie, dwa, trzy lata w przód. Uroda nie jest wieczna, na religię nie czuła się jeszcze gotowa. Pieniądze były dobrym kompromisem, gdzieś w pół drogi między kosmetyką a wiecznością. Poza tym lubiła Sonny'ego, naprawdę go lubiła. Miał urok, nie w sensie wyglądu, o nie, ale staroświecki urok filmowego arystokraty.

W zeszłym roku w Paryżu wszystkie inne modelki zebrały się w jej apartamencie w Lotti – to był prawdziwy apartament! – i każda, z wyjątkiem kilku,

które stchórzyły, pokazywała, jak udaje orgazm. Udawany orgazm Cindy został uznany za najlepszy. Ściskając butelkę szampana jak statuetkę Oscara, dziękowała wszystkim mężczyznom, bez których ten sukces byłby niemożliwy. Szkoda tylko, że wymieniła wśród nich Sonny'ego, z którym zamierzała teraz wziąć ślub. Ups!

Była wtedy trochę pijana i wymieniła też ojca, chyba niepotrzebnie, bo dziewczyny ucichły i zrobiła się drętwa atmosfera.

Patrick zszedł na dół przed Johnnym i zamówił przy barze szklanek wody Perrier. Nieopodal przy stoliku siedziały dwie pary w średnim wieku. Jedyną poza nimi osobą w barze był rumiany mężczyzna w smokingu, bez wątpienia wybierający się na przyjęcie do Sonny'ego, który siedział ze skrzyżowanymi rękami i spoglądał w stronę drzwi.

Patrick udał się ze swoją wodą do zastawionej książkami alkowy w rogu. Omiatając wzrokiem regał, zauważył dzieło zatytułowane *Dziennik człowieka rozczarowanego*, tuż obok *Nowe dzienniki człowieka rozczarowanego* i wreszcie, tego samego autora, *Radości życia*. Jak można było, po tak obiecującym początku, napisać książkę *Radości życia*? Patrick zdjął z półki obrazoburczy tom i przeczytał losowo wybrane zdanie: „Zaprawdę, frunąca mewa jest cudna jak Andy!”.

– Zaprawdę – wymamrotał.

– Cześć.

– Cześć, Johnny – rzekł Patrick, podnosząc wzrok znad kartek. – Właśnie znalazłem książkę pod tytułem *Radości życia*.

– Brzmi intrygująco. – Johnny usiadł naprzeciwko niego.

– Zabiorę ją do pokoju i przeczytam jutro. Może uratuje mi życie? Choć doprawdy nie wiem, dlaczego ludzie tak się fiksują na szczęściu, które wiecznie im się wymyka, skoro mają do wyboru tyle innych ożywczych doznań, złość, zazdrość, obrzydzenie i tak dalej.

– Ty nie chcesz być szczęśliwy? – spytał Johnny.

– Tak bym tego nie ujął – uśmiechnął się Patrick.

– A więc jesteś jak wszyscy.

– Uważaj, co mówisz.

– Czy panowie zamierzają u nas zjeść? – spytał ich kelner.

– Tak. – Johnny wziął sobie jedno menu i podał drugie Patrickowi, który siedział w głębi alkowy.

– Wydawało mi się, że powiedział: „Czy panowie zamierzają u nas zejść?” – rzekł Patrick. Był coraz bardziej niespokojny; zamierzał wyjawic Johnny'emu fakty, które przez trzydzieści lat ukrywał przed światem.

– Może tak było. Nie wiemy jeszcze, co jest w menu.

– „Młodzi” pewnie będą się dzisiaj narkotyzować – westchnął Patrick, przeglądając menu.

– Ecstasy: haj, który nie uzależnia – rzekł Johnny.

– Może jestem staroświecki – zachnął się Patrick – ale nie podoba mi się idea niezależniających narkotyków.

Johnny nie był zadowolony, że rozmowa z Patrickiem wraca w dawne koleiny narkomańskiej gadki. Właśnie takie „stare związki” powinien zrywać, ale co mógł zrobić? Patrick był dobrym przyjacielem i Johnny chciał dla niego jak najlepiej.

– Jak myślisz – spytał, zdecydowawszy się na wędzonego łososa – dlaczego jesteśmy tacy nieszczęśliwi?

– Nie wiem – skłamał Patrick. – Nie mogę się zdecydować, czy chcę zupę cebulową, czy tradycyjną angielską sałatkę z kozim serem. Psychoanalityk powiedział mi kiedyś, że cierpię na dwie depresje: jedna przykryła drugą.

– Przynajmniej udało ci się jakoś przykryć tę pierwszą – zauważył Johnny, zamykając menu.

– Otóż to – uśmiechnął się Patrick. – Moim niedościgłym wzorem jest ten zdrajca ze Strasburga, który zapytany o ostatnie życzenie, odparł, że chciałby sam wydać rozkaz plutonowi egzekucyjnemu. Chryste! Patrz na tę dziewczynę! – wykrzyknął w przystępie smutnego entuzjazmu.

– To ta, jak jej tam. Modelka.

– Ach, racja – rzekł Patrick. – No to teraz mogę przynajmniej obsesyjnie myśleć o bzykaniu, które się nie wydarzy. Obsesja napędza depresję: trzecie prawo psychodynamiki.

– A jakie jest pierwsze i drugie?

– Ludzie nienawidzą tych, których skrzywdzili. I gardzą ofiarami nieszczęścia. I... coś jeszcze wymyślę przy kolacji.

– Ja nie gardzę ofiarami nieszczęścia – stwierdził Johnny. – Boję się, że nieszczęście jest zaraźliwe, ale wcale nie uważam w głębi duszy, że jest zasłużone.

– Spójrz na nią – powiedział Patrick – jak się męczy w tej aksamitnej klatce od Valentina, jak tęskni za wolnością, za swoim naturalnym środowiskiem.

– Uspokój się. Pewnie jest oziębła.

– Niech sobie nawet będzie. Tak dawno nie uprawiałem seksu, że nic już nie pamiętam oprócz tego, że wszystko odbywa się w tej dalekiej szarej strefie poniżej szyi.

– Nie jest szara.

– No widzisz, masz mnie, nie pamiętam nawet, jak wygląda. Czasem myślę sobie, że byłoby miło, gdyby z moim ciałem łączyło mnie coś więcej niż choroby i uzależnienia.

– A co z pracą i miłością?

– Dobrze wiesz, że to nie fair pytać mnie o pracę – z wyrzutem odparł Patrick. – Co do miłości, moje doświadczenia są takie, że najpierw się ekscytujesz, bo wydaje ci się, że spotkałeś kogoś, kto uleczy twoje chore serce, a potem się

wkurzasz, kiedy to się nie udaje. Do wszystkiego wkrada się pewna ekonomia i zamiast wysadzanych klejnotami sztyletów używasz coraz bardziej tępych scyzoryków.

– Miałaś nadzieję, że Debbie uleczy twoje chore serce?

– Oczywiście. Ale byliśmy jak dwoje ludzi na zmianę nawijających bandaży, przy czym obawiam się, że jej podejścia trwały dużo krócej. Do nikogo nie mam pretensji, zawsze najbardziej, i słusznie, obwinałem siebie... – Patrick zamilkł. – Tylko że to smutne, przez tyle czasu poznawać kogoś lepiej i tłumaczyć mu siebie, a potem nie mieć co zrobić z tą wiedzą.

– Wolisz smutek niż rozgoryczenie?

– Odrobinę – odparł Patrick. – Minęło trochę czasu, zanim zgorzkniałem. Kiedy się z nią umawiałem, wydawało mi się, że widzę wszystko wyraźnie. Myślałem sobie: z nią jest coś nie tak i ze mną jest coś nie tak, ale przynajmniej wiem, co jest ze mną nie tak.

– Też mi wielka rzecz.

– Ano. Człowiek rzadko umie w porę stwierdzić, czy wytrwałość jest szlachetna, czy głupia. Większość ludzi albo żałuje, że byli z kimś zbyt długo, albo żałuje, że zbyt łatwo go stracili. Mnie się udaje czuć obie te rzeczy naraz w stosunku do jednej osoby.

– Gratuluję – rzekł Johnny.

Patrick uniósł dłonie, jakby uciszał gromki aplauz.

– Ale dlaczego twoje serce jest chore? – spytał Johnny, widząc, że Patrick się odsłonił.

– Niektóre kobiety – mówił dalej Patrick, ignorując pytanie – są jak środek znieczulający, jeśli masz dużo szczęścia, albo jak lustro, w którym widzisz, jak nieporadnie operujesz skalpelem, ale większość z nich tylko rozdrapuje stare rany.

– Upił łyk wody. – Słuchaj, chcę ci o czymś powiedzieć.

– Panowie, wasz stolik jest gotowy – oznajmił z animuszem kelner. – Zapraszam do sali jadalnej.

Johnny i Patrick wstali i ruszyli w ślad za nim do pomieszczenia z brązową wykładziną, udekorowanego portretami skąpanych w słońcu łososi oraz ziemiańskich żon w czepkach. Każdy stolik jaśniał migotliwym blaskiem samotnej różowej świeczki.

Patrick poluzował muchę, rozpiął guzik pod szyją. Jak mógł powiedzieć Johnny'emu? Jak mógł powiedzieć komukolwiek? Lecz jeśli nie powie nikomu, pozostanie na zawsze samotny i rozdarty. Wiedział, że wśród bujnych traw pozornie dziewiczej przyszłości położono już stalowe szyny strachu i przyzwyczajęń. Nagle cała jego istota zaczęła się buntować przeciwko spełnieniu przeznaczenia, jakie przygotowała dla niego przeszłość, nie chciał sunąć posłusznie po tych torach i rozmyślać gorzko o wszystkich innych drogach, na których

wolałby się znaleźć.

Ale jakich słów miał użyć? Przez całe życie używał słów do odwracania uwagi od tej niemoty, tej niewypowiedzianej emocji, którą musiałyby teraz opisać za ich pomocą. Jak mógł sprawić, że nie będą hałaśliwe i pozbawione taktu, jak gromadka roześmianych dzieci pod oknem sypialni, w której umiera człowiek? I czy nie wolałby powiedzieć kobiecie? Zanurzyć się w fali matczynej troski, spalić się w ogniu dzikiego pożądania? Tak, tak, tak. Albo psychiatrze, któremu byłby wręcz winien to wyznanie, choć już mnóstwo razy oparł się tej pokusie. Albo matce, tej dickensowskiej pani Jellyby, której teleskopowa filantropia uratowała wiele erytrejskich sierot, lecz nie chroniła jej własnych dzieci. A jednak Patrick chciał powiedzieć bezinteresownemu świadkowi, bez pieniędzy, bez seksu, bez obarczania winą, po prostu drugiemu człowiekowi. Może powinien powiedzieć kelnerowi: jego przynajmniej nigdy więcej nie spotka.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – powtórzył, kiedy usiedli i zamówili jedzenie.

Johnny zamilkł w oczekiwaniu i odstawił szklankę z wodą, przeczuwając, że przez najbliższe kilka minut nie powinien nic przetykać ani przeżuwać.

– To nie jest tak, że się wstydzę – wybąkał Patrick. – Po prostu głupio mi obarczać cię czymś, na co i tak nie możesz nic poradzić.

– Śmiało – powiedział Johnny.

– Wiem, że opowiadałem ci o rozwodzie moich rodziców, o pijaństwie, przemocy, braku odpowiedzialności... Ale to było tylko krążenie wokół tematu. Nie mówiłem ci najważniejszego: że kiedy miałem pięć lat...

– Proszę bardzo – przerwał mu kelner, zamaszycie stawiając na stole pierwsze dania.

– Dziękuję – rzucił Johnny. – Mów dalej.

Patrick poczekał, aż kelner się oddali. Czuł, że musi to wyrazić najprościej, jak się da.

– Kiedy miałem pięć lat, ojciec mnie *wykorzystał*, jak się teraz mówi... – Patrick urwał, niedbały ton, jaki sobie narzucał, przychodził mu z coraz większym trudem. Noże sprężynowe pamięci znów się otwarły, tak jak to robiły przez całe jego życie, odbierając mu głos.

– W jakim sensie? – spytał Johnny z wahaniem. Kiedy wypowiadał to pytanie na głos, odpowiedź nasunęła mu się sama.

– On... – Patrick nie mógł wydobyć głosu z gardła. Zmięta narzuta w niebieskie feniksy, kałuża zimnej mazi w dole jego pleców, ucieczka po dachówkach. Nie był gotowy mówić o tych wspomnieniach.

Podniósł widelec i dyskretnie, ale mocno wbił sobie jego zęby w spód nadgarstka, próbując się przywołać z powrotem do terażniejszości, do swoich zaniedbanych obowiązków rozmówcy.



– To było... – westchnął ogłuszony przez własną pamięć.

Johnny, który tyle razy był świadkiem, jak Patrick zachowuje flegmę w najtrudniejszych sytuacjach, zdumiał się, widząc, że przyjaciel nie jest w stanie mówić; oczy zaszkliły mu się od łez.

– Tak mi przykro – bąknął pod nosem.

– Nikt nikomu nie powinien tego robić – rzekł Patrick, prawie szeptem.

– Czy u panów wszystko w porządku? – spytał radośnie kelner.

– Może nas pan na pięć minut zostawić samych, żebyśmy mogli porozmawiać? – zdenerwował się Patrick, nagle odzyskując głos.

– Najmocniej przepraszam – odparł dumnie kelner.

– Nie mogę znieść tej cholery muzyki – powiedział Patrick, rozglądając się agresywnie po sali. Znajomo brzmiący Chopin balansował na granicy słyszalności.

– Dlaczego tego, kurwa, nie wyłączą albo nie pogłosnią? – warknął. – W jakim sensie „wykorzystał”? Seksualnie.

– Boże, tak mi przykro – odparł Johnny. – Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego tak bardzo nienawidzisz ojca.

– No to teraz już wiesz. Pierwszy raz był rzekomo karą. Klimat mocno kafkowski: moja wina nie została nazwana, więc nabrała dużej ogólności i intensywności.

– To się ciągnęło dłużej?

– Tak, tak – odrzekł Patrick z wahaniem.

– Co za kawał chuja.

– To samo powtarzałem sobie przez lata – przyznał Patrick. – Ale jestem już wyczerpany tą nienawiścią do niego. Dłużej tak nie mogę. Ta nienawiść wiąże mnie z tamtymi zdarzeniami, a już nie chcę być dzieckiem. – Patrick znów trafił w żyłę, nałóg analizy i spekulacji uwolnił go od milczenia.

– Pewnie twój świat wtedy pękł.

Patrick był zaskoczony trafnością tej uwagi.

– Tak. Właśnie tak było. Skąd wiedziałeś?

– Wydało mi się to dość oczywiste.

– To zabawne usłyszeć od kogoś, że to oczywiste. Mnie się to zawsze wydawało tajemnicze i skomplikowane. – Patrick zamilkł. Czuł, że choć wszystko, co mówi, jest dla niego niezmiernie ważne, to jednak wciąż nie dobrał się do rdzenia swojej niemoty. Jego intelekt potrafił tylko generować kolejne rozróżnienia lub coraz lepiej te rozróżnienia definiować. – Zawsze sądziłem, że prawda mnie wyzwoli – rzekł – ale prawda tylko doprowadza do szału.

– Może powiedzenie prawdy cię wyzwoli.

– Możliwe. Ale samowiedza sama w sobie jest bezużyteczna.

– No, pozwala cierpieć w bardziej świadomy sposób – zauważył Johnny.

– O tak, nie oddałbym tego za nic w świecie.

– Być może, koniec końców, jedynym sposobem na ulżenie własnemu nieszczęściu jest skupienie się na czymś innym – powiedział Johnny.

– Czy sugerujesz, żebym znalazł sobie hobby? – zaśmiał się Patrick. – Zaczął wypłacać kosze?

– Właśnie starałem się wymyślić jakieś inne.

– Ale gdybym pozbył się tej całej goryczy – zaprotestował Patrick – to co by mi zostało?

– Niewiele – przyznał Johnny – ale pomyśl, czym mógłbyś ją zastąpić.

– Przestań, bo kręci mi się w głowie... Co ciekawe, po tym, jak wczoraj tyle razy usłyszałem słowo „miłosierdzie” w *Miarce za miarkę*, zacząłem sobie wyobrażać, że może istnieje jakaś trzecia droga, która nie jest ani gorzka, ani fałszywa. Ale nawet jeśli coś takiego istnieje, nie potrafię tego uchwycić; wiem tylko, że mam już dość tych wirujących drucianych szczotek szorujących o wnętrze mojej czaszki.

Obaj przez chwilę milczeli, podczas gdy kelner sprzątał talerze ze stołu. Patrick nie mógł się nadziwić, jak łatwo przyszło mu wyjawienie drugiemu człowiekowi najwstydlivszej i najskrytszej prawdy na swój temat. A jednak czuł niedosyt; wciąż nie udało mu się osiągnąć katharsis. Może to było zbyt abstrakcyjne. „Ojciec” stało się kryptonimem zbioru jego własnych problemów psychicznych; Patrick ledwie pamiętał prawdziwego człowieka o siwych kędziorach, świszczącym oddechu i dumnej twarzy, u schyłku życia nieporadnie usiłującego zjednać sobie tych, których wcześniej zdradzał.

Kiedy Eleanor zebrała się wreszcie na odwagę, by się z nim rozwieść, David zaczął podupadać. Rozdarty między poczuciem winy a rozczuleniem nad sobą, niczym okryty hańbą kat, którego ofiara zmarła podczas tortur, wyrzucał sobie, że zagalopował się w swoim okrucieństwie. Kolejnym powodem jego frustracji był bunt Patricka, który w wieku ośmiu lat, ośmielony rozstaniem rodziców, pewnego dnia przeciwstawił się seksualnej przemocy ojca. Tamto przeistoczenie się Patricka z zabawki w osobę wstrząsnęło Davidem, który zrozumiał, że jego syn musiał wiedzieć, co go spotyka.

W owym trudnym dla siebie okresie David odwiedził Nicholasa Pratta w Szpitalu Króla Edwarda VII, gdzie tamten, świeżo rozwiedziony z czwartą żoną, dochodził do siebie po bolesnej operacji jelita. David, przygnieciony perspektywą własnego rozvodu, zastał Nicholasa w łóżku z szampanem, który przemycili na oddział jego lojalni przyjaciele, bardzo skorego do rozmowy o tym, że nie wolno ufać kobietom.

– Chcę, żeby ktoś mi zaprojektował twierdzę – oznajmił David, któremu Eleanor gotowa była wybudować niewielki dom w zaskakująco małej odległości od Lacoste. – Nie mam ochoty więcej oglądać tego cholernego świata.

– W pełni cię rozumiem – mamlął otumaniony po operacji Nicholas,

starannie oddzielając bełkotliwe słowa. – Jedyne problem na tym cholernym świecie to ci cholerni ludzie, którzy po nim chodzą. Podaś mi ten papier listowy?

Podczas gdy David chodził po sali i łamał szpitalny regulamin, paląc cygaro, Nicholas, który lubił zaskakiwać przyjaciół amatorskimi szkicami, rysował projekt, który miał wprawić przyjaciela w mizantropijny zachwyty.

– Mogą ci naskoczyć – rzekł, skończywszy, i rzucił kartkę w nogi łóżka.

David podniósł ją i ujrzał pięciokątny dom bez okien po zewnętrznej stronie, z wewnętrznym podwórkiem, na którym Nicholas poetycko umieścił cyprys, górujący nad niskim dachem niby czarny płomień.

Architekt, do którego później trafił ten szkic, zlitował się nad Davidem i wprowadził do projektu jedno okno w zewnętrznej ścianie salonu. David zamknął okiennice na głucho i zapchał otwór pogniecionymi egzemplarzami „The Timesa”, plując sobie w brodę, że nie zwolnił tego człowieka, kiedy odwiedził go po raz pierwszy koło Aix w jego tragicznie zaadaptowanym gospodarstwie z basenem pokrytym glonami. Wypchane papierem i szczelnie zamknięte okno zakleił grubą czarną taśmą, po którą sięgają ludzie pragnący skutecznie się zagazować. Na koniec zaciągnął zasłonę, później odsłanianą już tylko przez sporadycznych gości, którzy w mig pojmowali swój błąd, kiedy David wybuchał gniewem.

Cyprys nigdy nie wyrósł; krzywy pień z obłazłą szarą korą zakrawał na parodię szlachetnej wizji Nicholasa. Sam Nicholas nie znalazł czasu, by przyjechać i obejrzeć swoje dzieło. „David Melrose to już nie ten świetny kompan co dawniej” – mawiał ludziom w Londynie. Zważywszy na postępującą chorobę psychiczną Davida, było to raczej oględne stwierdzenie. Budzony co noc przez własne krzyki, przeleżał siedem lat w łóżku, ubrany w tę samą wytartą na łokciach żółto-białą flanelową piżamę, jedyną rzecz, jaką odziedziczył po ojcu, a to dzięki wielkodusznej interwencji matki, która nie chciała, by wrócił z pogrzebu z pustymi rękami. Z jakim takim entuzjazmem oddawał się jedynie paleniu cygara, nałóg ten zaszczepił w nim ojciec, a David, obok wielu innych defektów, przekazał go Patrickowi, niczym pałeczkę w sztafecie, którą jedno rżące pokolenie wpycha do ręki następnemu. Gdy już wychodził z domu, ubierał się jak kloszard i mamrotał do siebie w ogromnych supermarketach na obrzeżach Marsylii. Zimą nieraz snuł się po domu w ciemnych okularach i ciągnącym się japońskim szlafroku, ze szklaneczką pastis w ręku, i raz po raz sprawdzał, czy ogrzewanie na pewno jest wyłączone, bo nie chciał trwonić pieniędzy. Pogarda, dzięki której nie oszalał kompletnie, powoli wpędzała go w kompletne szaleństwo. Po wyjściu z depresji wyglądał jak duch, nie lepiej, ale gorzej, i próbował wabić ludzi, aby odwiedzali go w domu, który został pomyślany jako twierdza na wypadek ich mało prawdopodobnej inwazji.

Patrick bywał w tym domu jako nastolatek, przesiadywał na podwórku, rzucał pestkami oliwek poza dach, żeby przynajmniej one były wolne. Jego spory

z ojcem, a właściwie jeden niekończący się spór, osiągnęły punkt zwrotny, kiedy Patrick odciął się Davidowi czymś nieporównanie bardziej obraźliwym niż to, co chwilę wcześniej od niego usłyszał, a David, świadom, że staje się coraz powolniejszy i słabszy, podczas gdy jego syn był coraz szybszy i złośliwszy, sięgnął do kieszeni po tabletki nasercowe i wytrząsając je na reumatyczne dłonie, szepnął melancholijnie: „Nie wolno ci tak mówić do starego ojca”.

W tamtej chwili triumf Patricka zmąciła obawa, że ojciec zaraz umrze na atak serca. Lecz potem nic już nie było takie samo, a zwłaszcza odkąd Patrick mógł patrzeć z góry na wydziedziczonego ojca z jego skromnym dochodem i upokarzać go swoimi pieniędzmi, tak jak niegdyś swoimi upokorzyła go Eleanor. W tych ostatnich latach lęk Patricka w dużej mierze ustąpił miejsca litości, a także nudzie, jaką odczuwał w towarzystwie „biednego starego ojca”. Roilo mu się nieraz, że odbędzie z ojcem szczerą rozmowę, lecz jedna chwila w jego towarzystwie wystarczała, żeby sobie uzmysłwić, że nigdy do takiej rozmowy nie dojdzie. A jednak Patrick czuł, że czegoś tu brakuje, że do czegoś się nie przyznaje przed sobą, a co dopiero przed Johnnym.

Johnny uszanował jego milczenie i zjadł większość karmionego kukurydzą kurczaka, zanim Patrick znowu przemówił.

– No więc, co można powiedzieć o człowieku, który gwałci własne dziecko?

– Może byłoby ci łatwiej, gdybyś myślał o nim, że był chory, a nie zły – zasugerował niemrawo Johnny. – Nie mogę się otrząsnąć – dodał – to naprawdę straszne.

– Próbowałem tego – odparł Patrick – ale czym jest zło, jeśli nie pyszniąca się chorobą? Dopóki mój ojciec miał władzę nad innymi, nie okazywał żadnej litości ani skruchy, a kiedy był biedny i porzucony, przejawiał tylko pogardę i chorobę.

– Może mógłbyś uznać, że jego uczynki były złe, ale on sam był chory. Może nie powinno się potępiać człowieka, tylko jego uczynki... – Johnny zawahał się, nie chciał wchodzić w rolę obrońcy. – Może nie umiał się powstrzymać, tak jak ty nie umiałeś się powstrzymać od ćpania.

– Może, może, może – powiedział Patrick – ale ja moim ćpaniem nikogo nie skrzywdziłem.

– Na pewno? A Debbie?

– Była dorosła, miała wolny wybór. Nie twierdzę, że byłem dla niej dobry – przyznał Patrick. – Sam nie wiem, staram się negocjować różne rozejmy, ale potem dopada mnie gniew, który wyklucza kompromis. – Odsunął talerz i zapalił papierosa. – Nie chcę deseru, a ty?

– Nie, tylko kawę.

– Poprosimy dwie kawy – zwrócił się Patrick do kelnera, który teraz ostentacyjnie milczał. – Przepraszam, że wcześniej na pana fuknąłem. Byłem

w środku trudnej rozmowy.

- Robiłem tylko, co do mnie należy – odparł kelner.
- Oczywiście – zgodził się Patrick.
- Myślisz, że zdołasz mu wybaczyć? – spytał Johnny.
- Naturalnie – odparł kelner. – To drobiazg.
- Nie mówiłem do pana – roześmiał się Johnny.
- Przepraszam – powiedział kelner i poszedł po kawę.
- Ojcu – uściślił Johnny.

– Hm. Jeśli ten śmieszny kelner mi wybaczy, kto wie, jaką to uruchomi reakcję łańcuchową? W każdym razie ani zemsta, ani wybaczenie nie zmienią tego, co się stało. To tylko nagrody pocieszenia, przy czym wybaczenie jest mniej atrakcyjne, bo oznacza kolaborację z własnymi prześladowcami. Nie sądzę, żeby ludzie, których przybijano do krzyża, myśleli głównie o przebaczeniu, dopóki na scenę nie wkroczył Jezus, jeśli nie pierwszy, to w każdym razie odnoszący największe sukcesy człowiek z kompleksem Chrystusa. Przypuszczam, że ludzie lubujący się w zadawaniu cierpienia innym nie mogli uwierzyć w swoje szczęście i od razu zaczęli szerzyć przesąd, że ich ofiary osiągną spokój duszy tylko, jeżeli im wybaczą.

– Nie sądzisz, że może w tym być jakaś głęboka prawda duchowa? – spytał Johnny.

Patrick nadął policzki.

– Może i tak, ale osobiście uważam, że to, co ma rzekomo świadczyć o duchowych zaletach przebaczenia, tak naprawdę świadczy jedynie o psychologicznych zaletach wiary w to, że jest się synem bożym.

– W takim razie jak się wyzwolić?

– Skąd mam wiedzieć – odparł Patrick. – Jak łatwo się domyślić, skoro ci powiedziałem, wydaje mi się, że ma to jakiś związek z mówieniem prawdy. Jestem dopiero na początku, ale pewnie przychodzi taki moment, kiedy to mówienie prawdy zaczyna cię nużyć, i wtedy odzyskujesz swoją „wolność”.

– Czyli zamiast wybaczyć, będziesz próbował to przegadać.

– Tak, zamierzam sam się zanudzić. Jeżeli leczenie rozmową jest naszą współczesną religią, to zmęczenie rozmową musi być jej najdoskonalszą realizacją.

– Ale prawda to również zrozumienie twojego ojca.

– Doskonale go rozumiem, a mimo to nie podoba mi się to, co robił.

– Wiadomo. Może nie da się powiedzieć nic więcej niż: „Co za kawał chuja”. Szukałem jakiejś alternatywy, bo mówiłeś, że jesteś wyczerpany nienawiścią.

– Jestem, ale w tej chwili nie potrafię sobie wyobrazić innego wyzwolenia niż ostateczna obojętność.

– Albo dystans – rzekł Johnny. – Bo całkiem obojętny raczej nigdy nie

będziesz.

– Zgoda, dystans – odparł Patrick, tym razem nie mając nic przeciwko temu, że się go poprawia. – Po prostu wydawało mi się, że obojętność lepiej brzmi.

Pili w milczeniu kawę, Johnny z poczuciem, że zbyt daleko odeszli od pierwotnej rewelacji Patricka, aby mógł teraz spytać: „To co dokładnie się wydarzyło?”.

Z kolei Patrick podejrzewał, że opuścił krainę swojego doświadczenia, gdzie osy wciąż objadały pęknięte figi, a on sam patrzył z góry na swoją głowę pięciolatka, aby uniknąć dyskomfortu jeszcze głębszego niż dyskomfort wyznania, które uczynił. Korzenie jego wyobraźni tkwiły na pogańskim południu, w nieprzyzwoitej wolności, którą zasiało ono w jego ojcu, lecz rozmowa pozostała w Cotswolds, wśród wilgotnych duchów surowych angielskich więzów. Okazja, by zrobić efektowny gest, powiedzieć: „Do tej mrocznej stwory ja się przyznaję”, zamieniła się niepostrzeżenie w dyskusję o etyce.

– Dziękuję, że mi to powiedziałeś – rzekł Johnny.

– Nie bądź takim Kalifornijczykiem. Tylko cię obarczam niepotrzebnym balastem.

– A ty nie bądź takim Anglikiem – odparł Johnny. – Czuję się wyróżniony. Jeśli kiedykolwiek będziesz chciał o tym pogadać, możesz na mnie liczyć.

Patrick przez chwilę czuł się rozbrojony i bezmiernie smutny.

– Jedziemy na to głupie przyjęcie? – spytał.

Wychodząc razem z sali jadalnej, minęli się z Davidem Windfallem i Cindy Smith.

– Nastąpiło niespodziewane wahnięcie kursu – tłumaczył David. – Wszyscy wpadli w panikę, oprócz mnie, a to dlatego, że byłem wtedy na mocno zakrapianym lunchu z Sonnym w jego klubie. Koniec końców zarobiłem mnóstwo pieniędzy, nie kiwnąwszy nawet palcem, a wszyscy inni dostali po kieszeni. Mój szef był absolutnie wściekły.

– Dobrze się dogadujesz ze swoim szefem? – spytała Cindy, choć ani trochę jej to nie obchodziło.

– Oczywiście – potwierdził David. – Wy, Amerykanie, nazywacie to „wewnętrzny networkingiem”, u nas to się nazywa po prostu „dobre maniery”.

– O rety – skwitowała Cindy.

– Pojedźmy osobno – zaproponował Patrick, idąc z Johnnym przez bar. – Możliwe, że będę chciał się urwać wcześniej.

– Dobra – rzekł Johnny. – Do zobaczenia na miejscu.

Czterdziestoosobowe grono przyjaciół, które Sonny zaprosił na kolację poprzedzającą przyjęcie, czekało w Sali Żółtej, nie mogąc zająć miejsc przy stole, dopóki nie uczyni tego księżniczka Małgorzata.

– Wierzysz w Boga, Nicholasie? – spytała Bridget, aby włączyć Nicholasa Pratta do swojej rozmowy z księżniczką.

Nicholas ze znużeniem przewrócił oczami, jak gdyby próbowano odgrzewać stary i do cna wyeksploatowany skandal.

– Bardziej, moja droga, intryguje mnie, czy On wciąż wierzy w nas. Co, jeśli doprowadziliśmy naszego duchowego opiekuna do załamania nerwowego? W każdym razie ktoś, chyba któryś Bibesco, powiedział: „Dla człowieka światowego wszechświat jest przedmieściem”.

– Nie podoba mi się ten pański przyjaciel Bibesco – oznajmiła, marszcząc nos, księżniczka Małgorzata. – Jak wszechświat może być przedmieściem? Przecież to bzdura.

– Myślę, Wasza Wysokość, że mogło mu chodzić o to – odparł Nicholas – iż największe pytania bywają najbardziej trywialne, ponieważ nie sposób na nie odpowiedzieć, podczas gdy te pozornie trywialne, na przykład: kto gdzie siedzi przy kolacji – zerknął w stronę Bridget i uniósł brew – są nieraz najbardziej fascynujące.

– Paradne. Mnie to, kto gdzie siedzi, w ogóle nie fascynuje – skłamała księżniczka. – Poza tym, jak panu wiadomo, moja siostra jest głową Kościoła Anglii, nie lubię więc wysłuchiwać ateistycznych poglądów. Ludziom się wydaje, że są tacy mądrzy, ale dowodzą w ten sposób jedynie braku pokory. – Zamknawszy Nicholasowi i Bridget usta swoją dezaprobatą, księżniczka upiła trochę whisky ze szklanki. – Ponoć jest coraz więcej przypadków – oznajmiła enigmatycznie.

– Czego, Wasza Wysokość? – spytał Nicholas.

– Wykorzystywania dzieci – odparła. – Byłam w zeszły weekend na koncercie zorganizowanym przez Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Dzieci i dowiedziałam się, że jest coraz więcej przypadków.

– A może po prostu w dzisiejszych czasach ludzie chętniej piorą swoje brudy publicznie – rzekł Nicholas. – Szczerze powiedziawszy, ta tendencja niepokoi mnie bardziej niż cała ta wrzawa wokół wykorzystywania dzieci. Dzieci pewnie nawet nie wiedziały, że są wykorzystywane, dopóki nie zaczęto o tym trąbić co wieczór w telewizji. Zdaje się, że w Ameryce dzieci pozywają już rodziców za to, że źle je wychowali.

– Naprawdę? – zachichotała księżniczka. – Muszę powiedzieć mamie, będzie zafascynowana.

Nicholas parsknął śmiechem.

– Ale mówiąc poważnie, Wasza Wysokość, najbardziej martwi mnie wcale nie wykorzystywanie dzieci, lecz to, jak strasznie są w dzisiejszych czasach rozpieszczane przez rodziców.

– Czy to nie potworne? – jęknęła księżniczka. – Widuję coraz więcej dzieci, które w ogóle nie wiedzą, co to dyscyplina. Przerażające.

– Okropne – zgodził się Nicholas.

– Nie sądzę jednak, aby działacze Towarzystwa mieli na myśli *nasz* świat – powiedziała księżniczka, wspaniałomyślnie pozwalając Nicholasowi pławić się w blasku swojej obecności. – Tak naprawdę to dowód na bankructwo socjalistycznego marzenia. Myśleli, że każdy problem można rozwiązać, szastając pieniędzmi, a to nieprawda. Kiedyś ludzie byli biedni, ale szczęśliwi, bo żyli w prawdziwych wspólnotach. Moja matka opowiadała, że kiedy w czterdziestym pierwszym roku podczas blitzu odwiedziła East End, spotkała tam więcej osób z poczuciem własnej godności, niż udałoby się znaleźć w całym korpusie dyplomatycznym.

– Z pięknymi kobietami jest tak – mówił Peter Porlock do Robina Parkera po drodze do jadalni – że najpierw człowiek czeka całe wieki, a potem zjawiają się wszystkie naraz, jak autobusy. Nie to, żebym kiedykolwiek czekał na autobus, nie licząc tej imprezy English Heritage w Waszyngtonie. Pamiętasz?

– Ba – odparł Robin Parker, spoglądając zza grubych szkieł oczyma jak błękitne rybki. – Wynajęli dla nas londyńskiego piętrusa.

– Niektórzy się śmiali, że to wożenie drewna do lasu – wspomniał Peter – ale ja byłem zachwycony, bo mogłem się w końcu przekonać, co mnie omijało przez tyle lat.

Tony Fowles tryskał żarcikami i zabawnymi pomysłami. Skoro są, mówił, łoża operowe, z których słychać muzykę, ale nie widać sceny, tak samo powinny istnieć łoża dźwiękoszczelne, z których ani nie widać sceny, ani nie słychać muzyki, ale za to można się do woli przyglądać innym ludziom za pomocą potężnych lornetek.

Księżniczka roześmiała się wesoło. Tony miał w sobie jakąś zniewieściałą śmieszkowatość, która wprawiała ją w dobry nastrój; zaraz jednak ich rozdzielono i posadzono ją obok Sonny'ego na drugim końcu stołu.

– Najlepiej, gdy na proszonej kolacji – rzekł Jacques d'Alantour, unosząc pouczająco palec – gości jest więcej niż gracji, ale mniej niż muz! Ale *to* – dodał, rozkładając szeroko ręce i zamykając oczy, jakby brakowało mu słów – to się po prostu nie mieści w głowie!

Mało było ludzi bardziej niż ambasador przyzwyczajonych do widoku stołu z czterdziestoma nakryciami, lecz Bridget uśmiechnęła się do niego promiennie, jednocześnie usiłując sobie przypomnieć, ile właściwie było muz.

– Czy jest pan osobą polityczną? – spytała Sonny'ego księżniczka



Małgorzata.

– Jestem konserwatystą, Wasza Wysokość – odparł z dumą.

– Domyślam się. Ale czy angażuje się pan w politykę? Jeśli o mnie chodzi, to jest mi wszystko jedno, kto rządzi, byle znał się na rządzeniu. Powinniśmy za wszelką cenę unikać efektu wycieraczek samochodowych: lewo, prawo, lewo, prawo.

Sonny roześmiał się serdecznie na myśl o politycznych wycieraczkach.

– Obawiam się, że jestem zaangażowany politycznie wyłącznie na bardzo lokalnym szczeblu. Obwodnica Little Soddington, tego typu sprawy. Staram się nie dopuścić, żeby cała okolica pokryła się szlakami pieszymi. Ludziom się wydaje, że wieś to ogromny park, w którym robotnicy fabryczni mogą rozrzucać papierki po cukierkach. No cóż, my, ludzie, którzy tu żyjemy, widzimy to nieco inaczej.

– Trzeba nam odpowiedzialnych ludzi, dbających o kraj na szczeblu lokalnym – stwierdziła księżniczka Małgorzata. – Wiele z tych miejsc, które popadają w ruinę, leży na uboczu i zwracamy na nie uwagę, kiedy jest już za późno. Przejeżdżamy obok i wyobrażamy sobie, jakie musiały być piękne.

– Wasza Wysokość ma absolutną rację – zgodził się Sonny.

– Czy to dziczyzna? – spytała księżniczka. – Trudno dojrzeć pod tym mętnym sosem.

– Tak, to dziczyzna – odparł speszony. – Najmocniej przepraszam za ten sos. Istotnie paskudny. – Sonny pamiętał, że pytał jej osobistego sekretarza, czy księżniczka lubi dziczyznę.

Małgorzata odsunęła talerz i sięgnęła po zapalniczkę.

– Dostaję daniele z Richmond Park – oznajmiła z satysfakcją. – Trzeba być na specjalnej liście. Królowa powiedziała: „Zapisz się”, więc się zapisałam.

– Bardzo słusznie – powiedział przypochlebnie Sonny.

– Dziczyzna to jedyne mięso, za którym nie przepadam – przyznał Jacques d’Alantour w rozmowie z Caroline Porlock – ale nie chcę wywoływać skandalu dyplomatycznego, więc... – Wetknął kawałek mięsa do ust, przybierając teatralnie umęczony wyraz twarzy, o którym Caroline powiedziała później, że „to już była lekka przesada”.

– Smakuje panu? To dziczyzna – rzekła księżniczka Małgorzata, nachylając się nieznacznie ku francuskiemu ambasadorowi, siedzącemu po jej prawej ręce.

– Jest wprost wy-borną, pani – odrzekł d’Alantour. – Nie sądziłem, że w kraju Waszej Wysokości można tak dobrze zjeść. Ten sos jest bardzo delikatny. – Zmrużył oczy, aby nadać im wyraz delikatności.

Księżniczka pozwoliła, by jej opinię na temat sosu przesłoniła satysfakcja, jaką sprawiło jej określenie „kraj Waszej Wysokości”, które wzięła za potwierdzenie, iż Anglia jest własnością jej rodziny – jeśli nawet nie w sensie prawnym, to w jakimś innym, znacznie głębszym.

Ambasador w swoim zapale, by okazać zachwyty nad dziczyzną sielskiej starej Anglii, uniósł widelec z tak pełnym entuzjazmu rozmachem, że opryskał lśnącymi brązowymi kropelkami przód niebieskiej tiulowej sukni księżniczki.

– O zgr-rozo! – wykrzyknął, czując, że incydent dyplomatyczny wisi w powietrzu.

Księżniczka zacięła usta i opuściła kąciki, lecz milczała. Odłożyła cygarniczkę, do której wkręcała papierosa, chwyciła serwetkę w dwa palce i podała d’Alantourowi.

– Wytrze pan – oznajmiła z miążdzącą prostotą.

Ambasador odsunął krzesło i posłusznie przed nią uklęknął, zmoczywszy najpierw róg serwetki w szklance wody. Gdy zaczął ścierać z jej sukni plamy sosu, księżniczka zapaliła papierosa i zwróciła się do Sonny’ego.

– Ten sos był wystarczająco wstrętny na talerzu – oświadczyła.

– Ten sos to pomyłka – potwierdził Sonny, którego nabiegłe krwią policzki miały teraz szkarłatny kolor. – Najmocniej przepraszam Waszą Wysokość.

– Akurat pan nie ma za co przepraszać – oznajmiła.

Jacqueline d’Alantour, obawiając się, że jej mąż robi coś, co naraża na szwank prestiż Francji, wstała z miejsca i okrążyła stół. Połowa gości udawała, że nie widzi całego zamieszania, drugiej połowie nie chciało się nawet udawać.

– Najbardziej podziwiam księżniczkę za to – rzekł Nicholas Pratt, siedzący na drugim końcu stołu po lewej stronie Bridget – że nikt nie czuje się przy niej skrępowany.

George Watford, który siedział po prawej ręce gospodyni, zignorował go i dalej tłumaczył jej sens istnienia Wspólnoty Narodów.

– Obawiam się – powiedział ze smutkiem – że Wspólnota jest całkowicie nieskuteczna. Nic nas nie łączy prócz wspólnej biedy. Ale przynajmniej królowa ma z tego jakąś przyjemność – dodał, zerkając w stronę księżniczki Małgorzaty – i to wystarczający powód, aby ją zachować.

Jacqueline, która wciąż nie wiedziała, co dokładnie się wydarzyło, zdumiała się, widząc, że jej mąż chowa się coraz głębiej pod stół, pocierając wściekle suknię księżniczki.

– *Mais tu es complètement cinglé* – syknęła. Spocony ambasador, niczym sprzątacze w stajni Augiasza, nie miał czasu nawet podnieść wzroku.

– Zrobiłem coś niewybaczalnego – oświadczył. – Opryskałem tym wspaniałym sosem suknię Jej Królewskiej Wysokości.

– Ach, Wasza Wysokość – zwróciła się Jacqueline do księżniczki, jak kobieta do kobiety – z niego jest taki niezdara! Pomogę Waszej Wysokości.

– Nie trzeba, proszę pozwolić mężowi dokończyć – odparła księżniczka. – Nabrudził, to niech czyści! W rzeczy samej chyba minął się z powołaniem. Wydaje się wręcz stworzony do pracy w pralni – dodała złośliwie.

– Wasza Wysokość pozwoli, że podarujemy jej nową sukienkę – rzekła miękko Jacqueline, czując, że wysuwają jej się pazury. – *Allez, Jacques, wystarczy!* – zaśmiała się.

– Jeszcze tutaj. – Księżniczka Małgorzata wskazała plamkę na brzuchu.

Ambasador się zawahał.

– Śmiało, niech pan wyciera!

Jacques ponownie zanurzył róg serwetki w szklance wody i zaczął atakować plamę szybkimi, krótkimi posunięciami.

– *Ah, non, mais c'est vraiment insupportable* – sarknęła Jacqueline.

– *Insupportable* – odparła księżniczka z nosowym francuskim akcentem – jest bycie opryskaną tym obrzydliwym sosem. Nie muszę pani przypominać, że pani mąż jest ambasadorem przy Dworze Świętego Jakuba – rzekła takim tonem, jakby chodziło o jej osobistego służącego.

Jacqueline skinęła głową i wróciła do swojego miejsca, lecz tylko po to, by wziąć torebkę i opuścić salę.

Teraz przy stole ucichły już wszystkie rozmowy.

– O, cisza – odezwała się księżniczka Małgorzata. – Nie lubię ciszy. Gdyby był tu Noël – dodała, zwracając się w stronę Sonny'ego – na pewno by nas czymś rozbawił.

– Noël, Wasza Wysokość? – spytał jubilat, zbyt przerażony, by trzeźwo myśleć.

– Noël Coward, na litość boską – odparła. – Przy nim można się było śmiać godzinami bez przerwy. Jednak człowiek najbardziej tęskni za tymi, którzy umieli go rozbawić – stwierdziła, zaciągając się delikatnie papierosem.

Sonny, który cierpiał już z powodu obecności dziczyzny na swoim stole, teraz cierpiał dodatkowo z powodu nieobecności Noëla. To, że chodziło o nieboszczyka, ani trochę nie zmniejszyło jego poczucia klęski i pewnie by się pograżał w ponurym milczeniu, gdyby nie przyszła mu na ratunek sama księżniczka, której humor dopisywał po tym, jak podkreśliła swój autorytet, w spektakularny sposób dowodząc, że jest najważniejszą osobą na sali.

– Niech mi pan przypomni – zagadnęła go – czy ma pan dzieci?

– Owszem, Wasza Wysokość. Mam córkę.

– W jakim wieku? – spytała radośnie księżniczka.

– Trudno w to uwierzyć – odparł – ale ma już chyba z siedem lat. Jeszcze trochę i zacznie się etap niebieskich dżinsów – dodał złowieszczo.

– Och – jęknęła księżniczka, krzywiąc mięśnie twarzy w lekkim grymasie, który przychodził jej bez większego wysiłku – straszne są, prawda? Trochę jak mundur. A jakie szorstkie! Nie potrafię zrozumieć, jak można chcieć wyglądać jak wszyscy. Ja bym na pewno nie chciała.

– Absolutnie, Wasza Wysokość – przytaknął jej Sonny.

– Kiedy moje dzieci osiągnęły ten wiek – zwierzyła mu się – powiedziałam: „Na miłość boską, nie kupujcie sobie tych paskudnych niebieskich džinsów”. A one bardzo rozsądnie poszły i kupiły sobie zielone spodnie.

– Bardzo rozsądnie – zgodził się Sonny, obłudnie szczęśliwy, że księżniczka postanowiła być dla niego tak miła.

Jacqueline wróciła po pięciu minutach, starając się sprawiać wrażenie, iż wyszła tylko dlatego, że – jak to ujęła pewna znawczyni nowoczesnych manier – „pewne czynności fizjologiczne lepiej wykonywać na osobności”. Tak naprawdę jednak chodziła wściekle z kąta w kąt swojego pokoju, aż doszła niechętnie do wniosku, że pokaz beztroski będzie w ostatecznym rozrachunku mniej upokarzający niż demonstracja oburzenia. Zdając sobie ponadto sprawę, że jej mąż niczego tak się nie obawia jak incydentu dyplomatycznego, którego w swojej dotychczasowej karierze zręcznie unikał, nałożyła pośpiesznie świeżą warstwę szminki i popędziła z powrotem do jadalni.

Na widok wracającej Jacqueline Sonny poczuł nowy przyptyw niepokoju, lecz księżniczka Małgorzata całkiem ją zignorowała i zaczęła mu opowiadać jedną ze swoich historii o „zwyczajnych mieszkańcach tego kraju”, w których pokładała „ogromną wiarę”, opartą na całkowitej niewiedzy o ich życiu oraz całkowitej ufności w ich rojalistyczne sympatie.

– Jechałam kiedyś taksówką – zaczęła tonem, który zachęcał do zachwytu nad jej odwagą. Sonny posłusznie uniósł brwi, starając się nadać twarzy taktowny wyraz zaskoczenia wymieszanego z podziwem. – Tony powiedział do kierowcy: „Proszę nas zabrać do Royal Garden Hotel”, czyli, jak pan wie, pod naszą bramę. A kierowca na to – tu księżniczka pochyliła się i robiąc gwałtowny ruch głową, wypowiedziała puentę w czymś, co Chińczyk mógłby wziąć za londyńską gwarę: – „Wiem, gdzie *ona* mieszka”. – Uśmiechnęła się szeroko do Sonny’ego. – No niech pan powie – zaskrzeczała – czy to nie są wspaniali ludzie?

Sonny odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

– Wyborna anegdota, Wasza Wysokość. Wspaniali ludzie.

Księżniczka odchyliła się na oparcie zadowolona z siebie: oczarowała gospodarza i przydała wieczorowi złotego blasku. Temu niezdarnemu Francuzowi, siedzącemu po jej drugiej stronie, nie zamierzała jednak darować. W końcu popełnić gafę w obecności siostry królowej to poważna sprawa. Cały ład w państwie opierał się na szacunku dla Korony, było więc jej obowiązkiem (och, jakże wielką miała nieraz ochotę odłożyć to wszystko na bok! Czasem nawet odkładała, by po chwili jeszcze ostrzej besztuć tych, którzy jej uwierzyli), tak, jej *obowiązkiem*, pielęgnować ten szacunek. Oto cena, jaką musiała płacić za coś, co ludzie w swej głupocie nazwali wielkimi przywilejami.

Ambasador u jej boku sprawiał wrażenie pogrążonego w transie, lecz pod milczącą maską układał ze swadą wprawnego autora raportów sprawozdanie dla

Quai d'Orsay. Chwała Francji nie tylko nie została nadwątlona wskutek jego drobnego *faux pas*, ale wręcz udało mu się obrócić niedoszły incydent w triumfalny popis humoru i galanterii. Dopiero w tym miejscu ambasador na chwilę się zaciął, usiłując wymyślić jakąś błyskotliwą uwagę, która mogła paść z jego ust w tamtej chwili.

Gdy tak dumał, drzwi jadalni powoli się otwały i wyjrzała zza nich Belinda, bosa, w białej koszuli nocnej.

– O, mały człowiek nie może zasnąć – ryknął Nicholas.

Bridget obróciła się gwałtownie i zobaczyła swoją córkę, zaglądającą błagalnie do sali.

– Kto to? – spytała Sonny'ego księżniczka Małgorzata.

– Obawiam się, Wasza Wysokość, że to moja córka – odparł Sonny, łypiąc gniewnie w stronę Bridget.

– Jeszcze nie śpi? Powinna już być w łóżku. Niech pan ją prędko położy!

Ton, jakim to powiedziała, sprawił, że Sonny na chwilę zapomniał o dworskich manierach i miał ochotę stanąć w obronie córki. Ponownie spróbował uchwycić spojrzenie Bridget, lecz Belinda zdążyła w tym czasie wejść do sali.

– Dlaczego nie śpisz, kochanie? – spytała ją matka.

– Nie mogłam zasnąć. Było mi smutno samej, bo wszyscy są tutaj.

– Ale to jest kolacja dla dorosłych.

– Która to księżniczka Małgorzata? – spytała Belinda, puszczając mimo uszu słowa matki.

– Może poprosisz mamę, żeby cię przedstawiła? – zasugerował gładko Nicholas. – A potem położysz się grzecznie spać.

– Dobrze – powiedziała Belinda. – A czy ktoś mi poczyta?

– Nie dzisiaj, skarbie – odparła jej matka. – Ale przedstawię cię księżniczce Małgorzacie. – Wstała od stołu i przeszła na jego drugi koniec. Zatrzymała się obok księżniczki i lekko się schyliwszy, zapytała, czy może jej przedstawić swoją córkę.

– Nie, nie teraz, to chyba nie jest właściwa pora – odparła Małgorzata. – Mała powinna być już w łóżku. Tylko się niepotrzebnie podekscytuje.

– Wasza Wysokość ma całkowitą rację – włączył się Sonny. – Kochanie, myślę, że niani należy się reprimenda za to, że pozwoliła jej się wymknąć.

– Sama ją zaprowadzę na górę – rzekła chłodno Bridget.

– Grzeczna dziewczynka – powiedział Sonny, strasznie zły, że niania, która bądź co bądź kosztuje człowieka fortunę, narobiła mu takiego wstydu przed księżniczką.

– Bardzo jestem rada, że jutro przyjedzie biskup Cheltenhamu – zmieniła temat Małgorzata, uśmiechając się do gospodarza, kiedy za jego żoną i córką zamknęły się drzwi.

- Tak – rzekł Sonny – przez telefon sprawia wrażenie bardzo miłej osoby.
- Chce pan powiedzieć, że go nie zna?
- Nie tak dobrze, jak bym chciał – odparł gospodarz, przerażony myślą, że ściągnął na siebie kolejną porcję królewskiej dezaprobaty.
- To święty człowiek – powiedziała ciepło księżniczka. – Naprawdę tak uważam. I wspaniały uczony. Podobno woli mówić greką niż po angielsku. Czy to nie cudowne?
- Obawiam się, że niewiele pamiętam z greki – przyznał Sonny.
- Spokojnie, to najskromniejszy człowiek świata, do głowy by mu nie przyszło, żeby pana zawstydzić. Czasem wpada po prostu w grecki trans. On w duszy stale rozmawia z apostołami i nieraz dopiero po chwili uzmysławia sobie, gdzie jest. Czy to nie fascynujące?
- Niezwykłe – wymamrotał Sonny.
- Ale oczywiście hymnów nie będzie – powiedziała księżniczka.
- Mogą być, jeśli Wasza Wysokość sobie zażyczy.
- Przecież to będzie komunia święta, głuptasie. W przeciwnym razie kazałabym wam wszystkim śpiewać hymny, żeby się przekonać, komu to wychodzi najlepiej. Ludziom to zawsze sprawia dużo radości, przynajmniej mają co robić po sobotnim obiedzie.
- Dziś wieczorem i tak już nic byśmy nie zdziałali – zauważył Sonny.
- Och, czy ja wiem – odparła Małgorzata – moglibyśmy udać się małą grupką do biblioteki. – Uśmiechnęła się promiennie, świadoma zaszczytu, jaki mu robi, proponując taką zażyłość. Co tu dużo mówić: kiedy jej zależało, potrafiła być najbardziej czarującą kobietą pod słońcem. – Ćwiczenie hymnów z Noëlem to była świetna zabawa – mówiła dalej. – Wymyślał nowe słowa, można było umrzeć ze śmiechu. Tak, myślę, że w bibliotece byłoby całkiem miło. Doprawdy nie znoszę dużych przyjęć.

Patrick zatrzasnął drzwi samochodu i spojrział ku gwiazdom: błyszczały w prześwicie między chmurami niczym świeże ślady po zastrzykach na granatowych kończynach nieba. Trudno było w takiej chwili nie czuć pokory; jego własne problemy zdrowotne wydały mu się nagle czymś błahym.

Szpaler świec po obu stronach alei znaczył drogę od parkingu do wysypanego żwirem placu naprzeciwko domu. Szara fasada z portykiem, teatralnie spłaszczona w świetle reflektorów, mokra od padającego po południu deszczu ze śniegiem, wyglądała jak przemoczona tektura.

W ogołoconym salonie trzaskało w kominku spiętrzone drewno. Nalewany przez rumianego kelnera szampan wzbierał po brzegi kieliszków i opadał. Idąc płóciennym tunelem do namiotu, Patrick słyszał rosnącą falę głosów, a chwilami również podobny do spienionego grzbietu śmiech, rozlewający się po całym namiocie. Po namiocie, stwierdził, pełnym niepewnych siebie głupców, czekających na jakąś komplikację miłosną lub figiel, który wybawi ich od żalostnej błąkaniny. Wchodząc do środka, ujrzał siedzącego zaraz na prawo od wejścia George'a Watforda.

– George!

– Mój drogi, co za miła niespodzianka – rzekł tamten, krzywiąc się przy wstawaniu z krzesła. – Siedzę sobie tutaj, bo teraz już prawie nic nie słyszę, kiedy wokół jest duży hałas.

– I gdzie są ci ludzie żyjący w cichej rozpaczy? – wykrzyczał Patrick.

– Tu ich nie ma – odkrzyknął George z bladym uśmiechem.

– O, jest Nicholas Pratt – zauważył Patrick, siadając obok George'a.

– Tak. Człowiek bez kantów. Muszę powiedzieć, że nigdy nie podzielałem entuzjazmu twojego ojca dla tego człowieka. Brakuje mi twojego ojca, Patricku. To był genialny facet, szkoda tylko, że nigdy nie znalazł szczęścia, tak mi się wydaje.

– Ostatnio prawie wcale o nim nie myślę – przyznał Patrick.

– Znalazłeś coś, co sprawia ci przyjemność?

– Tak, ale nic, co mógłbym robić w życiu.

– Trzeba się starać dać coś od siebie – powiedział George. – Myślę z niemałą satysfakcją o tych paru ustawach, które pomogłem przeprowadzić przez Izbę Lordów. Poza tym przyczyniłem się do zachowania Richfield dla kolejnego pokolenia. To są właśnie rzeczy, których człowiek się chwytą, kiedy skończył się dla niego czas wesołej zabawy. Nikt nie jest wyspą – choć zaskakująco wiele osób posiada wyspę. Naprawdę zaskakująco wiele, i nie tylko w Szkocji. Ale naprawdę trzeba próbować dać coś od siebie.

– Oczywiście – westchnął Patrick. Był trochę onieśmielony tą szczerością George'a. Przypominało mu się, jak pewnego razu ojciec chwycił go za ramię

i rzekł, zapewne bez złej intencji: „Jeśli masz talent, zrób z niego użytek. Inaczej całe życie będziesz nieszczęśliwy”.

– Patrz, Tom Charles, o tam, bierze kieliszek od kelnera. Ma uroczą wysepkę w Maine. Tom! – zawołał George. – Ciekawe, czy nas widział. Był kiedyś szefem Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Piekielnie trudna praca, ale robił, co mógł.

– Poznałem go w Nowym Jorku – powiedział Patrick. – W tym klubie, w którym spotkałem się z tobą po śmierci ojca.

– Ach, tak. Zachodziliśmy w głowę, co się z tobą stało. Zostawiłeś nas na pastwę tego strasznego nudziarza Morgana.

– Miałem kryzys.

– Pewnie ze strachu przed kolejną jego anegdotą. Swoją drogą, jego syn gdzieś tu jest. Obawiam się, że jabłko padło niedaleko od jabłoni, jak to się mówi. Tom! – ponownie zawołał George.

Tom Charles rozejrzał się, niepewny, czy usłyszał swoje imię. George pomachał do niego. Tom wreszcie ich spostrzegł, zbliżył się i przywitał. Patrick pamiętał jego urodę basseta. Była to jedna z tych twarzy, które przedwcześnie się starzeją, a potem już zawsze wyglądają tak samo. Kto wie, czy za dwadzieścia lat ten facet nie będzie wyglądał młodo.

– Słyszałem, co się działo na kolacji – rzekł Tom. – Niezłe rzeczy.

– Tak – odparł George. – Moim zdaniem to kolejny dowód na to, że młodszy członkowie rodziny królewskiej muszą się wziąć w garść. A my wszyscy powinniśmy się modlić za królową w tych trudnych czasach.

Patrick zdał sobie sprawę, że George nie żartuje.

– A jak się udała twoja kolacja u Harolda? – spytał George. – Harold Greene urodził się w Niemczech – wyjaśnił Patrickowi. – Jako chłopiec chciał wstąpić do Hitlerjugend, tłuc szyby na ulicy i chodzić w tych wszystkich wspaniałych mundurach, bo to marzenie każdego chłopca, ale ojciec mu powiedział, że nie może, bo jest Żydem. Harold wciąż jest lekko rozczarowany. Tak naprawdę to antysemita w przebraniu syjonisty.

– Myślę, że jesteś niesprawiedliwy – rzekł Tom.

– Z pewnością – odparł George – ale po co w ogóle człowiek miałby dożywać tak absurdalnie podeszłego wieku, gdyby mu się odmawiało prawa do bycia niesprawiedliwym?

– Przy kolacji dużo mówiono o kanclerzu Kohlu, który powiedział, że był „wstrząśnięty” wybuchem wojny w Zatoce.

– Tak, to musiało być wielkim szokiem dla biednych Niemców, że to nie oni rozpętali wojnę – wtrącił George.

– Harold dziwił się – mówił dalej Tom – że nie istnieje agenda ONZ o nazwie UNUC, bo „jak przychodzi co do czego, ta organizacja jest



bezużyteczna”<sup>9</sup>.

– Ja bym chciał wiedzieć – odparł George, wysuwając podbródek – jak mamy konkurować z Japończykami, skoro w naszym kraju robotnicy największy zapał mają do strajkowania. Chyba za długo żyję na tym świecie. Pamiętam czasy, kiedy ten kraj coś znaczył. Właśnie mówiłem Patrickowi – dodał, uprzejmie włączając go z powrotem do rozmowy – że każdy człowiek powinien dołożyć swoją cegielkę do wspólnego dobra. W tym namiocie zbyt wielu jest ludzi, którzy nic nie robią, tylko czekają, aż ich bliscy umrą, bo wtedy będą mogli jeździć na droższe wczasy. Niestety, do takich osób zalicza się również moja synowa.

– Stado sępów – mruknął Tom. – Niech się lepiej śpieszą z tymi wczasami. Moim zdaniem system bankowy długo nie pociągnie, chyba że dzięki żarliwej modlitwie.

– Pieniądz zawsze opierał się na ślepej wierze – zauważył George.

– Ale nigdy w takim stopniu. Jeszcze nigdy tak wielu nie było winnych tak wiele tak niewiele.

– Jestem za stary, żeby się przejmować – oznajmił George. – Wiecie, pomyślałem ostatnio, że jeśli pójdę do nieba, a nie widzę powodu, dla którego miałbym nie pójść, to chciałbym tam spotkać Kinga, mojego dawnego kamerdynera.

– Żeby pomógł ci się rozpakować? – wtrącił Patrick.

– Nie, nie. Myślę, że dość się napracował tu, na dole. Zresztą nie sądzę, żeby do nieba brało się bagaż, jak myślicie? Niebo powinno być jak idealny weekend, żadnych bagaży.

Sonny sterczał przy wejściu do namiotu niczym skała pośrodku portu, zmuszając gości, by się z nim przywitali.

– To jest coś absolutnie wspaniałego – oznajmił Jacques d’Alantour konfidencyjnym tonem, rozkładając ręce, jakby chciał nimi objąć cały namiot.

Na jego drugim końcu, jak gdyby w reakcji na ten gest, zaczął grać duży jazz-band.

– Staramy się – odparł Sonny z satysfakcją.

– To chyba Henry James – dodał ambasador, który świetnie wiedział, że to Henry James, i nieraz przed wyjazdem z Paryża powtarzał sobie ten cytat wyszperany przez jego sekretarza – pisał o „bogatym i złożonym angielskim świecie, w którym terażniejszość zawsze jawi się niejako z profilu, a przeszłość ukazuje się nam *en face*”.

– Nie warto przy mnie cytować francuskich pisarzy – rzekł Sonny. – I tak niewiele z nich rozumiem. Ale zgoda, angielskie życie jest bogate i złożone, choć nie tak bogate jak dawniej, kiedy nie było tych wszystkich podatków, które dosłownie wygryzają nam dziury w ścianach domów.

– Ech – westchnął współczująco d’Alantour. – Ale dziś odsuwa pan troski na

bok.

– Mieliśmy trudne chwile – wyznał Sonny. – Bridget przeszła przez fazę, w której uważała, że nikogo nie znamy, i zapraszała różnych przypadkowych ludzi. Na przykład tego niskiego Hindusa, o tam. Pisze biografię Jonathana Croydena. Nigdy go nie widziałem na oczy, aż któregoś razu przyszedł rzucić okiem na listy Croydena do mojego ojca – i co? Bridget przy lunchu zaprosiła go na przyjęcie! Obawiam się, że po jego wyjściu trochę puściły mi nerwy, ale ile można znieść?

– Witaj, mój drogi – rzekł Nicholas do Alego Montague. – Jak było na kolacji?

– Bardzo ziemiańsko.

– O rety. U nas było naprawdę *tous ce qu'il y a de plus chic*, chociaż dostałem po łapach od księżniczki za „ateistyczne poglądy”.

– W takiej sytuacji nawet ja mógłbym się nawrócić – rzekł Ali – choć za taką obłudę poszedłbym pewnie prosto do piekła.

– Jedno wiem na pewno: gdyby Bóg nie istniał, nikt by nie zauważył – oznajmił gładko Nicholas.

– A, przed chwilą o tobie myślałem – powiedział Ali. – Podśluchałem rozmowę dwóch starszych panów, obaj wyglądali, jakby kilka razy spadli z konia. Jeden mówi: „Zastanawiam się, czy nie napisać książki”. Drugi na to: „Przedni pomysł”. Pierwszy: „Mówią, że każdy nosi w sobie książkę”. A drugi: „Hmm, może sam coś napiszę”. „No nie – odpowiada mu tamten ze złością – chcesz mi ukraść mój pomysł”. No więc, oczywiście, pomyślałem o twojej książce. Jak ci idzie? Pewnie już kończysz.

– Trudno jest skończyć autobiografię, gdy prowadzi się takie emocjonujące życie jak moje – odparł Nicholas z sarkazmem. – Co chwila trafiam na jakąś perelkę, którą szkoda byłoby pominąć, na przykład coś zabawnego, co powiedziałaś.

– W kazirodztwie zawsze jest element współpracy – oznajmiła Kitty Harrow tonem osoby dobrze poinformowanej. – Wiem, że dla większości ludzi to gorszące tabu, ale przecież to się działo zawsze, czasem w najlepszych rodzinach – dodała chełpliwie, dotykając klifu niebieskosiwych włosów górującego nad jej niskim czołem. – Pamiętam, jak mój ojciec syczał pod drzwiami mojego pokoju: „Jesteś do niczego, nie masz za grosz wyobraźni erotycznej!”.

– Dobry Boże! – zawołał Robin Parker.

– Mój ojciec był wspaniałym człowiekiem, bardzo magnetycznym. – Mówiąc to, Kitty wyprostowała barki. – Wszyscy go uwielbiali. Tak że naprawdę wiem, o czym mówię. Dzieci wysyłają mnóstwo energii seksualnej; próbują uwieść rodziców. Wszystko opisał Freud, z tego, co słyszałam, bo sama nie czytałam jego książek. Pamiętam, że mój syn zawsze pokazywał mi swój malutki wzwód. Nie uważam, że rodzice powinni wykorzystywać takie sytuacje, ale potrafię zrozumieć,

że niektórzy dają się porwać, zwłaszcza jeśli żyją w ścisku.

– Twój syn też tu jest? – spytał Robin Parker.

– Nie, jest w Australii – odparła smutnie Kitty. – Błagałam go, żeby przejął gospodarstwo, ale ma fioła na punkcie australijskich owiec. Odwiedziłam go dwa razy, ale te długie loty to dla mnie męczarnia. Poza tym niezupełnie do mnie przemawia tamten styl życia, człowiek stoi w chmurze dymu z grilla i umiera z nudów, słuchając żony postrzygacza owiec – żeby to chociaż był sam postrzygacz. Fergus zabrał mnie na wybrzeże i *zmusił* do nurkowania z rurką. Powiem tyle: Wielka Rafa Koralowa to najobrzydliwsza rzecz, jaką w życiu widziałam. Istny koszmar, okropne, krzykliwe kolory, tu niebieski, tam ohydny pomarańcz, wszystko pstrokato wymieszane, a do tego jeszcze przecieka ci maska.

– Nie dalej jak przedwczoraj królowa powiedziała, że nieruchomości w Londynie są tak drogie, że nie wie, co by zrobiła bez pałacu Buckingham – opowiadała księżniczka Małgorzata kiwającemu głową ze zrozumieniem Peterowi Porlockowi.

– Jak się masz? – spytał Patricka Nicholas.

– Marzę o drinku.

– W pełni cię rozumiem – ziewnął Nicholas. – Nigdy nie byłem uzależniony od heroiny, ale musiałem rzucić palenie i to było wystarczająco przykre. O, patrz, księżniczka Małgorzata. Trzeba uważać, żeby się o nią nie przewrócić. Pewnie słyszałeś, co się wydarzyło przy kolacji.

– Incydent dyplomatyczny.

– Tak.

– Wstrząsający – z powagą stwierdził Patrick.

– Muszę powiedzieć, że naprawdę ją podziwiam – rzekł Nicholas, zerkając wyniośle w stronę księżniczki. – Wykorzystała błahy powód, żeby maksymalnie upokorzyć ambasadora. Ktoś musi podtrzymywać naszą dumę narodową, tę staruszkę z alzheimerem, a nikt nie robi tego z takim przekonaniem jak ona. Nawiasem mówiąc – Nicholas przybrał bardziej miążdzący ton – ale tak między nami, ponieważ zamierzam z nimi wrócić do Londynu, śmiem twierdzić, że Francja nie miała tak heroicznego przedstawicielstwa od czasu rządu Vichy. Szkoda, że nie widziałeś, jak Alantour padł na kolana. O ile darzę szczerą przyjaźnią jego żonę – nie daj się zwieść tej fałszywej elegancji, tak naprawdę to złośliwa kobieta, z którą można się wspaniale bawić – o tyle Jacques zawsze wydawał mi się raczej głupcem.

– Możesz mu to powiedzieć – rzekł Patrick, widząc za jego plecami zbliżającego się ambasadora.

– *Mon cher* Jacques – Nicholas z lekkością okręcił się na pięcie – uważam, że byłeś absolutnie wspaniały! Doskonale sobie poradziłeś z tą nieznośną kobietą: ulegając jej absurdalnym żądaniom, pokazałeś, jak bardzo były absurdalne. Czy

poznałeś już mojego młodego przyjaciela Patricka Melrose'a? Przyjaźniłem się blisko z jego ojcem.

– René Bollinger to był złoty człowiek – westchnęła księżniczka. – Ambasador z prawdziwego zdarzenia, myśmy go wszyscy tak uwielbiali. Tym trudniej mi znieść miernotę tych dwojga – dodała, wskazując ruchem cygarnicy małżeństwo Alantourów, z którym Patrick właśnie się żegnał.

– Mam nadzieję, że nie przepłoszyliśmy twojego młodego przyjaciela – powiedziała Jacqueline. – Sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

– Poradzimy sobie bez niego, aczkolwiek jestem wielkim zwolennikiem różnorodności – zapewnił ją Nicholas.

– Ty? – zaśmiała się.

– Absolutnie, moja droga. Mocno wierzę w to, że człowiek powinien mieć jak najszerszy wachlarz znajomości, od monarchów aż po skromnych baronetów. Oczywiście z domieszką supergwiazd – dodał niczym wytrawny szef kuchni dosypujący rzadkiej a ostrej przyprawy do gulaszu – dopóki nie zmienią się w czarne dziury, jak to się niechybnie dzieje.

– *Mais il est vraiment* zbyt wiele – stwierdziła Jacqueline, zachwycona jego popisem elokwencji.

– Tytuł znaczy więcej niż samo nazwisko – mówił dalej Nicholas. – Proust, jak na pewno wiecie, pisze bardzo pięknie na ten temat, zauważając, że nawet najbardziej popularny człowiek z gminu jest skazany na rychłe zapomnienie, podczas gdy osoba nosząca dumny tytuł może być pewna nieśmiertelności, przynajmniej w oczach swoich potomków.

– Mimo wszystko – powiedziała Jacqueline z lekką omdlewającym głosem – potrafię wymienić kilka bardzo zabawnych osób bez tytułów.

– Moja droga – Nicholas ścisnął ją za przedramię – co my byśmy bez nich zrobili?

Roześmiali się niewinnym śmiechem dwojga snobów na chwilę wyzwolonych spod jarzma tolerancji i otwartości, tej plagi „nowych czasów”, jak mawiał Nicholas, mimo że nie było mu dane żyć w żadnych innych.

– Nadciąga Jej Królewska Obecność – zauważył speszony Jacques. – Myślę, że najdyplomatyczniej będzie zniknąć w głębinach przyjęcia.

– Mój drogi, ty sam jesteś głębiną tego przyjęcia – oświadczył Nicholas. – Ale zgadzam się z tobą, nie powinieneś się narażać na dąsy tej niepoważnej kobiety.

– *Au revoir* – szepnęła Jacqueline.

– *A bientôt* – pożegnał się Jacques. Alantourowie wycofali się i rozdzielili, każde niosło teraz swój splendor do innej części namiotu.

Ledwie Nicholas otrząsnął się z tej bolesnej straty, kiedy u jego boku zatrzymały się księżniczka Małgorzata i Kitty Harrow.

- Zadaje się pan z wrogiem – wytknęła mu siostra królowej.
- Szukali u mnie zrozumienia, Wasza Wysokość – odparł Nicholas z lekkim oburzeniem – ale wyjaśniłem, że trafili pod zły adres. Jemu powiedziałem wprost, że jest niezdarnym głupcem. A jego niepoważnej żonie – że mamy już dość jej dąsów jak na jeden wieczór.
- Ach, naprawdę? – Księżniczka łaskawie się uśmiechnęła.
- Masz szczęście – wtrąciła Kitty.
- Sama Wasza Wysokość widziała – dodał Nicholas – że uciekli z podkulonymi ogonami. Ambasador powiedział: „Lepiej pójdę, zanim się pograżę”. A ja mu na to: „Spokojnie, bardziej już się nie da”.
- Ach, wyborne – rzekła Małgorzata. – Robi pan użytek ze swojego ciętego języka. Pochwalam to.
- Pewnie to wszystko opiszesz? – odezwała się Kitty. – Wszyscy się strasznie boimy, Wasza Wysokość, co Nicholas napisze o nas w swojej książce.
- Czy będzie coś o mnie? – zainteresowała się księżniczka.
- Do głowy by mi nie przyszło pisać o Waszej Wysokości. Moja dyskrecja mi na to nie pozwala.
- Może pan o mnie wspomnieć, o ile napisze pan coś miłego.
- Pamiętam cię małego. Miałeś pięć lat – powiedziała Bridget. – Byłeś słodki, ale niezbyt towarzyski.
- Ciekawe dlaczego – odparł Patrick. – Pamiętam, jak tuż po przyjeździe klęczałaś na tarasie. Obserwowałem was zza drzew.
- O Boże – zawołała piskliwie. – Zapomniałam o tym.
- Nie rozumiałem, po co to robisz.
- To było dość wstrząsające.
- Mną trudno wstrząsnąć – zapewnił ją.
- No więc, skoro naprawdę chcesz wiedzieć, Nicholas powiedział mi, że tak robili twoi rodzice: twój ojciec zmuszał twoją matkę do jedzenia fig z ziemi. A ja zachowałam się dość nieładnie i odegrałam tę scenkę. Strasznie się na mnie wtedy rozżłościł.
- Nie wiedziałem, że moi rodzice potrafili się tak dobrze bawić.
- Chyba chodziło o dominację – stwierdziła Bridget, która rzadko bawiła się w psychologię głębi.
- To by miało sens – przyznał Patrick.
- O Boże, moja mama, wygląda na zagubioną – powiedziała Bridget. – Byłbyś tak dobry i chwilę z nią porozmawiał?
- Nie ma sprawy.
- Bridget zostawiła Patricka w towarzystwie Virginii, gratulując sobie, że tak zręcznie rozwiązała swój problem.
- Jak się udała kolacja? – zagadnął Patrick, chcąc zacząć rozmowę na

bezpiecznym gruncie. – Podobno księżniczkę Małgorzatę opryskano brązowym sosem. To musiał być ekscytujący widok.

– Nie wiem, czy byłabym nim podekscytowana – odrzekła Virginia. – Sama wiem, jakie to bywa irytujące, gdy człowiek poplami sukienkę.

– A więc nie widziała pani tego na własne oczy.

– Nie, jadłam kolację u Bossingtonów-Lane’ów.

– Naprawdę? Ja też miałem być u nich. Jak było?

– Zgubiliśmy się po drodze – westchnęła. – Nie było wolnego samochodu, bo wszystkie odbierały goście ze stacji, więc musiałam wziąć taksówkę. Zatrzymaliśmy się koło domku, który, jak się okazało, stał u wjazdu na ich posiadłość, i spytaliśmy o drogę. Kiedy powiedziałam panu Bossingtonowi-Lane’owi, że musieliśmy spytać o drogę jego sąsiada z domku z niebieskimi oknami, odpowiedział: „To nie sąsiad, tylko najemca, w dodatku podpisał umowę jeszcze za poprzedniego właściciela, mamy z nim skaranie boskie”.

– Sąsiedzi to ludzie, których można zaprosić na kolację – powiedział Patrick.

– W takim razie jestem jego sąsiadką – zaśmiała się Virginia. – A mieszkam w Kent. Nie wiem, dlaczego córka mi powiedziała, że brakuje im kobiet. Tam były same kobiety. Pani Bossington-Lane przed chwilą mi wspomniała, że wszyscy czterej panowie, którzy nie dotarli, już ją przeprosili. Wszyscy twierdzą, że popsul im się w drodze samochód. Była bardzo zdenerwowana, bo tyle się natrudziła, ale powiedziałam jej: „Nie wolno tracić poczucia humoru”.

– Tak mi się zdawało, że mi nie wierzy, kiedy jej mówiłem, że popsul mi się samochód – rzekł Patrick.

– Och. – Virginia zakryła dłonią usta. – Pan jest pewno jednym z nich. Zapomniałam, że mówił pan, że miał tam być.

– Proszę się nie przejmować – powiedział z uśmiechem Patrick. – Żałuję tylko, że nie uzgodniliśmy między sobą różnych wersji, zamiast powtarzać jedną i tę samą.

Virginia się zaśmiała.

– Nie wolno tracić poczucia humoru – powtórzyła.

– Co się stało, kochana? – spytała Aurora Donne. – Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Ech, sama nie wiem – westchnęła Bridget. – Przed chwilą widziałam Cindy Smith z Sonnym, a pamiętam, jak mówiłam, że nie możemy jej zaprosić, bo jej nie znamy, w ogóle wydało mi się dziwne, że Sonny robi z tego zagadnienie, a tu proszę, ona jest na przyjęciu i stali razem tak, jakby coś ich łączyło, ale pewnie tylko to sobie ubzdurałam.

Aurora, mając do wyboru: wyjawic przyjaciółce bolesną prawdę, która mogła ją tylko zranić, albo spróbować ją uspokoić, bez wahania wybrała to

pierwsze w imię „szczerości”, odczuwając pewną satysfakcję na myśl o zmaconej radości Bridget z wystawnego życia, w którym ona, była tego pewna, odnalazłaby się dużo lepiej.

– Nie wiem, czy powinnam ci to mówić – zaczęła – pewnie nie. – Zmarszczyła czoło i zerknęła na Bridget.

– Co? Musisz mi powiedzieć.

– Nie, tylko się zdenerwujesz. Niepotrzebnie o tym wspomniałam.

– Teraz już nie masz wyjścia – rzekła rozpaczliwie Bridget.

– Oczywiście dowiadujesz się ostatnia, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, ale praktycznie wszyscy już wiedzą, że Sonny i panna Smith od jakiegoś czasu mają romans.

– Boże – odparła Bridget. – A więc o to chodziło. Wiedziałam, że coś jest nie tak... – Poczula się nagle bardzo zmęczona i smutna, i wyglądała, jakby miała się rozplakać.

– Och, skarbie – rzekła pocieszająco Aurora. – Uszy do góry.

Lecz Bridget nie była w stanie zapanować nad emocjami. Zabrała Aurorę do swojej sypialni na piętrze i opowiedziała jej o podsłuchanej rano rozmowie telefonicznej, po czym zobowiązała ją do milczenia, do którego Aurora jeszcze tego wieczoru zobowiązała kilka innych osób. Przyjaciółka poradziła Bridget, żeby „weszła na wojenną ścieżkę”, uznała bowiem, że taki obrót spraw zaowocuje największą liczbą zabawnych anegdot.

– Chodź, pomożesz nam – rzekła China, siedząca z Angusem Broghliem i Amandą Pratt. Nie była to grupa, do której Patrick miał ochotę dołączać.

– Robimy listę osób, których ojcowie wcale nie są ich ojcami – wyjaśniła.

– Hmm. Wiele bym dał, żeby się na niej znaleźć – westchnął Patrick. – Ale nie sądzę, żeby dało się ją skończyć w jeden wieczór.

David Windfall, powodowany fanatycznym pragnieniem odkupienia swojej winy, jaką było przyjście na przyjęcie z Cindy Smith, czym rozzłościł gospodynię, podchodził w pośpiechu do kolejnych gości i wyjaśniał, że to bynajmniej nie był jego pomysł, on tylko wykonywał polecenia. Już miał powtórzyć to samo Peterowi Porlockowi, lecz w ostatniej chwili uświadomił sobie, że Peter, bądź co bądź najlepszy przyjaciel Sonny’ego, mógłby to wziąć za przejaw tchórzostwa, powściągnął się więc i wspominał jedynie o „tych strasznych chrzcinach”, na których ostatnio się spotkali.

– Były straszne – zgodził się Peter. – Na co komu zakrystia, skoro nie można w niej razem z parasolami zostawić niemowląt? Ale nie, bo pastor się uparł, że wszystkie dzieci mają być w kościele. On jest takim trochę dzieckiem kwiatem, wierzy w nabożeństwa z nowoczesną muzyką, a tymczasem rolą Kościoła Anglii jest bycie Kościołem Anglii. Spoiwem społecznym. Jeżeli stanie się ewangelicki, nie chcemy mieć z nim nic wspólnego.

– Racja – rzekł David. – Podobno Bridget jest niezadowolona, że przyprowadziłem Cindy Smith – dodał, nie mogąc się powstrzymać od poruszenia tego tematu.

– Absolutnie wściekła – zaśmiał się Peter. – Ponoć zrobiła Sonny’emu awanturę w bibliotece. Najwyraźniej nie zagłuszyły jej nawet harmider ani orkiestra. Biedny Sonny, utknął tam na cały wieczór. – Peter, uśmiechając się szeroko, skinął głową w stronę drzwi. – Zakradł się tam na małe *tête-à-tête*, albo raczej *jambe-à-jambe*, z panną Smith, potem była awantura Bridget, a teraz siedzi z Robinem Parkerem, który na osłodę ma mu potwierdzić autentyczność jego Poussina. Najważniejsze, żebyś trzymał się swojej wersji. Poznałeś Cindy, żona nie mogła przyjść, więc ją zaprosiłeś, należało najpierw spytać, twój błąd, Sonny nie ma z tym nic wspólnego. Coś w ten desień.

– Oczywiście – zgodził się David, który zdążył już powiedzieć kilkunastu osobom coś zupełnie odwrotnego.

– Bridget nie przyłapała ich na gorącym uczynku, a wiesz, jakie są kobiety w takich sytuacjach: wierzą w to, w co chcą wierzyć.

– Hmm – zamruczał David, który przyznał się już przed Bridget, że tylko wykonywał polecenia. Skrzywił się, widząc, że Sonny wychodzi z biblioteki. Czy Bridget powiedziała Sonny’emu, że jej powiedział?

– Sonny! – zapiszczał, wpadając w falset.

Sonny go zlekceważył.

– To Poussin! – zawołał w stronę Petera.

– Brawo, dobra robota – odparł tamten, jak gdyby Sonny sam go namalował.

– Najlepszy z możliwych prezent urodzinowy: dowiedzieć się, że to autentyk, a nie tylko „z kręgu”.

– Drzewa – rzekł Robin, na moment wsuwając dłoń za połą smokingowej marynarki – nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

– Możemy cię na chwilę przeprosić? – zwrócił się do niego Sonny, nadal ignorując Davida. – Muszę zamienić słówko z Peterem na osobności.

Sonny i Peter weszli do biblioteki i zamknęli drzwi.

– Cholerny ze mnie idiota – oznajmił Sonny. – Również dlatego, że zaufałem Davidowi Windfallowi. Nigdy więcej nie wpuszczę go pod swój dach. No i zafundowałem sobie kryzys małżeński.

– Nie bądź dla siebie zbyt surowy – rzekł niepotrzebnie Peter.

– Trochę było tak, że okoliczności mnie zmusiły – stwierdził Sonny, skwapliwie biorąc do serca radę przyjaciela. – No wiesz, Bridget nie urodziła mi syna, strasznie to wszystko było trudne. A z drugiej strony nie wiem, czy będzie mi się podobało, jeśli zapanują tu nowe porządki. Cindy ma jakieś bardzo dziwne pomysły. Nie jestem pewien, jakie dokładnie, ale czuję to przez skórę.

– Problem w tym, że wszystko się strasznie skomplikowało – powiedział



Peter. – Z kobietami jest tak, że człowiek już nie wie, na czym stoi. Ostatnio czytałem o szesnastowiecznym rosyjskim poradniku małżeńskim, którego autor zalecał mężczyźnie bić żonę z czułością, żeby nie uszkodzić jej trwale wzroku ani słuchu. Gdybyś dzisiaj powiedział coś takiego, toby cię powiesili. A przecież to wcale nie jest takie głupie, oczywiście w nieco złagodzonej formie. To jak z tym starym powiedzeniem o tubylczych tragarzach: „Bij ich bez powodu, a nie dadzą ci powodu, żebyś ich bił”.

Sonny wyglądał na lekko skonsternowanego. Jak później opowiadał niektórym swoim przyjaciółom: „Obawiam się, że kiedy wybuchł kryzys z Bridget i potrzebowałem go najbardziej, Peter nie stanął na wysokości zadania. Zamiast pomóc, głądził coś o szesnastowiecznych rosyjskich poradnikach”.

– Ta wspaniała sędzia Melford Stevens – mówiła Kitty – powiedziała kiedyś do gwałciciela: „Nie wsadzę pana do więzienia, tylko wyślę z powrotem do środkowej Anglii, to wystarczająca kara”. Wiem, że nie wypada mówić takich rzeczy, ale to przecież wspaniałe, prawda? Kiedyś w Anglii było mnóstwo takich cudownie malowniczych postaci, a teraz wszyscy są nijacy i grzeczniutcy.

– Strasznie mi się to nie podoba – oznajmił Sonny, z coraz większym trudem odgrywający rolę wesołego gospodarza. – Po co lider zespołu przedstawia muzyków, jak gdyby kogokolwiek obchodziły ich nazwiska? Przecież nawet gospodarz nie przedstawia już swoich gości, więc dlaczego tamci mieliby na to zasługiwać?

– W pełni się z tobą zgadzam, stary druhu – odrzekł Alexander Politsky. – W Rosji wielkie rody miały własne orkiestry i nikomu nie przyszłoby do głowy przedstawiać muzyków, tak samo jak nie przedstawiało się wielkiemu księciu swojego kuchty. Kiedy na polowaniu trzeba było przekroczyć zimną rzekę, naganiacze kładli się w niej, tworząc coś w rodzaju mostu. Nikt nie uważał, że musi znać imiona tych ludzi, żeby móc im deptać po głowach.

– Moim zdaniem to już lekka przesada – przyznał Sonny. – To deptanie. Ale widzisz, właśnie dlatego u nas nie było rewolucji.

– U was, stary druhu, były dwie: wojna domowa i chwalebna rewolucja.

– A na kornecie – zawołał Joe Martin, lider zespołu – „Chilly Willy” Watson!

Patricka, który prawie w ogóle nie zwracał uwagi na to, co się dzieje na scenie, zaintrygował ten znajomo brzmiący przydomek. Z pewnością nie mógł to być Chilly Willy, którego poznał w Nowym Jorku. Tamten pewnie już nie żył. Patrick mimo wszystko rzucił okiem na mężczyznę, który stał teraz w pierwszym szeregu i grał krótką solówkę. Z krągłymi policzkami, ubrany w smoking, w niczym nie przypominał ulicznego narkomana z Alphabet City, u którego Patrick załatwiał ćpanie. Tamten Chilly Willy był bezzębnym śmieciarzem o zapadłych policzkach, włóczęgą na obrzeżach świadomości, uczepionym własnych spodni,

które zsuwały mu się z wychudzonych bioder. Kornecista miał wigor i talent, a jego czarność nie budziła żadnych wątpliwości, inaczej niż czarność trupiej, zażółconej twarzy Willy'ego.

Patrick zbliżył się do sceny, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Na świecie były pewnie tysiące Chilly Willych i niedorzecznością było sądzić, że ten tu jest „jego”. Chilly po zagranie solówki z powrotem usiadł. Patrick stał przed nim, w zaciekawieniu marszcząc brwi, jak dziecko w ogrodzie zoologicznym, ale nie mógł się przemóc i odezwać.

– Cześć – zawołał Chilly Willy ponad dźwiękami solo na trąbce.

– Ładne solo – rzekł Patrick.

– Dziękuję.

– Nie jesteś przypadkiem... Znałem kiedyś jednego Chilly Willy'ego w Nowym Jorku.

– A gdzie mieszkał?

– Na Ósmej Ulicy.

– Aha. A czym się zajmował?

– Hm. Sprzedawał... właściwie to żył na ulicy... dlatego stwierdziłem, że to na pewno nie ty. Zresztą był starszy.

– Pamiętam cię! – roześmiał się Chilly. – Jesteś tym Anglikiem w płaszczu, nie?

– Tak! A więc to ty! Chryste, dobrze wyglądasz. W ogóle cię nie poznałem. No i świetnie grasz.

– Dzięki. Zawsze byłem muzykiem, ale potem... – Chilly zerknął na kolegów z zespołu i wykonał dłonią ruch naśladujący pikowanie samolotu.

– Co się stało z twoją żoną?

– Przedawkowała – odparł smutnie.

– Uhm. Przykro mi – rzekł Patrick. Przypomniawszy sobie, jak ostrożnie odwijala z papieru toaletowego końską igłę, za którą wzięła od niego dwadzieścia dolarów. – Ale że ty przeżyłeś, to cud.

– O tak. Wszystko jest cudem, bracie – powiedział Chilly. – To cud, że nie rozpuszczamy się w kąpieli jak mydło.

– Herbertowie zawsze mieli słabość do nizin społecznych – zauważyła Kitty Harrow. – Weźmy takiego Shakespeare'a.

– Tak, w tym wypadku byli mało wybredni – zauważył Nicholas. – Dawniej społeczeństwo składało się z kilkuset rodzin, które się znały. Teraz składa się z jednej: Guinnessów. Nie wiem, dlaczego nie robi się książek adresowych z powiększonym punktem G.

Kitty zachichotała.

– Widzę, że jesteś niespełnionym przedsiębiorcą – skomentował Ali.

– Kolacja u Bossingtonów-Lane'ów to było coś nie do opisanego – opowiadał

Ali Montague Laurze i Chinie. – Od razu wiedziałem, że jesteśmy w opałach, kiedy nasz gospodarz oznajmił: „Wielką zaletą posiadania córek jest to, że potrafią usługiwać”. Później to jego wielkie dziewczę o końskiej urodzie powiedziało nam: „Z tatkiem nie wolno się spierać, on miał kiedyś identyczne wymiary jak Muhammad Ali, tylko że był niższy o półtorej stopy”.

Laura i China zaśmiały się. Ali doskonale naśladował ludzi.

– Matka jest cała w nerwach – powiedziała Laura – bo jakaś przyjaciółka Charlotte zamieszkała w stolicy razem z paroma innymi ziemiańskimi pannami i już po tygodniu zakochała się w jakimś Złym Johnie!

Wszyscy troje wyli ze śmiechu.

– Pana Bossingtona-Lane’a najbardziej przeraża to, że Charlotte zdobędzie wykształcenie – stwierdził Ali.

– Już to widzę – zakpiła Laura.

– Narzekał na córkę sąsiadów, która na koniec szkoły średniej zdaje egzaminy z „tyłu przedmiotów, że się w głowie nie mieści”.

– Czyli z ilu? Trzech? – rzuciła złośliwie China.

– Chyba z pięciu. W dodatku zamierza zdawać historię sztuki na poziomie rozszerzonym. Podpuściłem go, pytając, czy można wyżyć ze sztuki.

– I co odpowiedział?

Ali wysunął podbródek i schował rękę do kieszeni marynarki, tak że wystawał z niej kciuk.

– „Wyżyć? Mało komu się to udaje. Ale wie pan, mówimy o ludziach zbyt zajętych rozmyślaniami na temat sensu życia, by mieli czas na takie zmartwienia. Nie żebym ja czasem nie rozmyślał o sensie życia!”. Powiedziałem, że na sens życia składa się między innymi duży dochód. A on dodał: „I kapitał”.

– Ta córka jest niemożliwa – rzekła rozbawiona Laura. – Opowiedziała mi nudną historię, której naprawdę nie dało się słuchać, i zakończyła ją słowami: „Czy może być coś gorszego, niż gdy ktoś ukradnie pani kielbaskę z grilla?”. Na co ja: „Owszem, jest wiele gorszych rzeczy”. A ona kwiknęła i powiedziała: „To chyba jasne, że nie mówię dosłownie”.

– Chociaż to jednak miło z ich strony, że nas przenocują – stwierdziła prowokacyjnie China.

– Wiecie, ile naliczyłem w moim pokoju ohydnych porcelanowych bibelotów? – spytał Ali z niewinną miną, aby tym bardziej zaszokować rozmówczynię swoją odpowiedzią.

– Ile? – spytała Laura.

– Sto trzydzieści siedem.

– Sto trzydzieści siedem – stęknęła China.

– Podobno nie sposób przestawić ani jednego, żeby gospodyni nie zauważyła.

– Kiedyś kazała przeszukać bagaże wszystkich gości, bo ktoś wyniósł jedną z tych durnostojek z pokoju do łazienki, albo z łazienki do pokoju, i myślała, że ją ukradziono.

– Swoją drogą to całkiem kuszące, spróbować którąś wynieść – zauważyła Laura.

– Wiecie, co jest niesamowite? – Alemu śpieszno było podzielić się kolejną obserwacją. – Ta starsza kobieta o miłej twarzy w paskudnej niebieskiej sukience to była matka Bridget.

– Nie! – zawołała Laura. – Dlaczego nie była na kolacji tutaj?

– Bridget się jej wstydzi – oznajmił Ali.

– Straszne – powiedziała China.

– Trochę ją rozumiem – zaznaczył Ali. – Jej matka jest troszkę z innej bajki.

– Widziałem Debbie – powiedział Johnny.

– Naprawdę? Jak wyglądała?

– Ślicznie.

– Zawsze wyglądała ślicznie na dużych przyjęciach – przyznał Patrick. – Muszę z nią kiedyś porozmawiać. Łatwo zapomnieć, że ona też jest człowiekiem, z ciałem, twarzą i, prawie na pewno, papierosem, i że może już nie być tą samą osobą, którą znałem.

– Jak się czujesz od czasu kolacji? – spytał Johnny.

– Dość dziwnie, ale cieszę się, że porozmawialiśmy.

– To dobrze. – Johnny był zakłopotany, bo nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć o tamtej rozmowie, a nie chciał udawać, że jej nie było. – A, pomyślałem o tobie dzisiaj na mityngu – oznajmił ze sztuczną wesołością. – Jeden facet opowiadał, że musiał wczoraj wyłączyć telewizor, bo wydawało mu się, że prezenterzy się go boją.

– O tak, też to miałem. Jedna z dłuższych rozmów, jakie odbyłem w Nowym Jorku po śmierci ojca, była rozmową z telewizorem. Chociaż w sumie nie wiem, czy pierwsza osoba liczby pojedynczej jest tu właściwa.

– Pamiętam, jak mi opowiadałeś.

Zamilkli obaj, patrząc w tłum kotłujący się pod szarą połacią aksamitu, na te gorączkowe, lecz ograniczone ruchy bakterii mnożących się pod mikroskopem.

– Trzeba około stu takich duchów, żeby wytworzyło się jedno chwiejne i pożałowania godne poczucie tożsamości – odezwał się Patrick. – Właśnie ten rodzaj ludzi otaczał mnie w dzieciństwie: sztywni i nudni, na pozór wyrafinowani, ale tak naprawdę głupi jak łabędzie.

– To ostatni marksiści – oznajmił niespodziewanie Johnny. – Ostatni ludzie, którzy wierzą, że wszystko da się wyjaśnić w kategoriach klasowych. Nawet gdy Moskwa i Pekin odstąpią od tej doktryny, jeszcze długo będzie się miała świetnie pod namiotami Anglii. Choć większość z tych ludzi ma odwagę przepołowionego

robaka – ciągnął z coraz większym zapalem – i wigor intelektualny zdechłej owcy, to właśnie oni są prawdziwymi spadkobiercami Marksa i Lenina.

– Lepiej im to powiedz – zasugerował Patrick. – Większość z nich spodziewa się raczej, że odziedziczy kawałek Gloucestershire.

– Każdego można kupić – stwierdził cierpko Sonny. – Wszystko jest kwestią ceny. Nie zgodzisz się ze mną, Robinie?

– O tak – odparł tamten – ale nikt nie lubi sprzedawać się tanio.

– Z całą pewnością – przyznał mu rację Sonny, zastanawiając się, co będzie, jeśli Robin zacznie go szantażować.

– Ale nie tylko pieniądze psują ludzi – wtrąciła Jacqueline d’Alantour. – Mielśmy precudownego szofera, na imię mu było Albert. Uroczy, dobrze wychowany człowiek, gdybyście słyszeli, jak wzruszająco opowiadał o operacji swojej złotej rybki! Pewnego razu w dniu polowania Jacques’owi rozchorował się ładowacz, więc powiedział: „Będę musiał zabrać ze sobą Alberta”. „Ależ nie wolno ci – mówię – on tego nie znieś, przecież kocha zwierzęta, nie będzie mógł patrzeć na tę całą krew”. Ale Jacques obstawał przy swoim, a ponieważ jest bardzo uparty, niewiele mogłam zrobić. Na początku, kiedy ustrzelił kilka ptaków, Albert bardzo cierpiał – Jacqueline teatralnie zasłoniła oczy – ale potem zaczął się wciągać – wyjrzała przez rozchylone palce. – A teraz – rzekła, opuszczając ręce – prenumeruje „Shooting Timesa” i czyta wszystkie możliwe czasopisma o broni. Strach z nim jeździć, bo jak tylko zobaczy gołębia, czyli w Londynie średnio co dwa metry, mówi: „Monsieur d’Alantour by go kropnął”. Kiedy przejeżdżamy przez Trafalgar Square, w ogóle nie patrzy na drogę, tylko gapi się w niebo i wydaje odgłosy wystrzałów.

– Nie sądziłem, że londyńskie gołębie są jadalne – rzekł Sonny z nutą sceptycyzmu.

– Patrick Melrose? Nie jesteś przypadkiem synem Davida Melrose’a? – spytał Bunny Warren. Patrick nie pamiętał osoby, ale nazwisko przewinęło się przez jego dzieciństwo w czasach, kiedy jego rodzice mieli jeszcze życie towarzyskie, zanim się rozwiedli.

– Tak.

Po usianej zmarszczkami twarzy Bunny’ego, jak po ożywionej rodzyńce sułtańskiej, przemknęło pół tuzina min wyrażających zdziwienie i zachwyt.

– Pamiętam cię, jak byłeś dzieckiem, zawsze brałeś rozpęd i próbowałeś kopnąć mnie w jaja, kiedy przychodziłem na drinka do waszego domu przy Victoria Road.

– W takim razie przepraszam – odparł Patrick. – Co ciekawe, dziś rano Nicholas Pratt też mi to wypomniał.

– Ach, no cóż, w jego przypadku... – rzekł Bunny z szelmowskim śmiechem.

– Pamiętam, że zaczynałem rozbieg na podeście i zbiegałem ze schodów,

dzięki czemu osiągałem odpowiednią prędkość – wyjaśnił Patrick. – Na dole byłem już tak rozpędzony, że mogłem dać mocnego kopa.

– Co ty powiesz? Wiesz, to dziwne – dodał Bunny poważniejszym tonem – ale nie ma dnia, żebym nie pomyślał o twoim ojcu.

– To tak jak ja – powiedział Patrick – ale ja mam dobry powód.

– Ja też. Pomógł mi, kiedy byłem w bardzo złym stanie.

– A mnie pomógł się do niego doprowadzić.

– Wiem, że wiele osób miało z nim ciężko – przyznał Bunny – a jego dzieci pewnie najciężej, bo tak zwykle bywa, ale mnie dał się poznać z innej strony. Po śmierci Lucy, kiedy naprawdę sobie nie radziłem, zaopiekował się mną, nie pozwolił mi się zapaść na śmierć, godzinami z wielką przenikliwością słuchał moich ponurych wynurzeń i nigdy nie wykorzystał tego, co mu powiedziałem, przeciwko mnie.

– Sam fakt, że zwracasz uwagę na to, że nie wykorzystał tego, co usłyszał, przeciwko tobie, ma swoją złowieszczą wymowę.

– Mów, co chcesz – uciął Bunny – ale prawdopodobnie twój ojciec uratował mi życie. – Wymamrotał jakieś niezrozumiałe przeprosiny i szybko się oddalił.

Pozostawiony sam sobie w tłoczni przyjęcia Patrick nagle poczuł, że nie ma ochoty na kolejną rozmowę, i opuścił namiot zafrapowany słowami Bunny'ego o swoim ojcu. Kiedy wkraczał pośpiesznie do zatłoczonego salonu, złowiła go wzrokiem Laura, która stała z Chiną i jakimś mężczyzną.

– Cześć, skarbie – powiedziała.

– Cześć – odparł Patrick, który nie chciał, aby go zatrzymywano.

– Poznałeś Ballantine'a Morgana? – spytała China.

– Cześć.

– Cześć – odezwał się Ballantine, witając Patricka irytująco stanowczym uściskiem dłoni. – Właśnie mówiłem, że miałem szczęście odziedziczyć prawdopodobnie najwspanialszą kolekcję broni na świecie.

– W takim razie – rzekł Patrick – ja chyba miałem szczęście obejrzeć książkę na jej temat, którą pokazał mi twój ojciec.

– Ach, a więc czytałeś *Kolekcję broni Morgana* – ucieszył się Ballantine.

– Nie od deski do deski, ale wiem już, jak wspaniale jest być właścicielem najwspanialszej kolekcji broni na świecie i zarazem znakomitym strzelcem, i jeszcze opisać to wszystko piękną prozą.

– Ojciec był też doskonałym fotografikiem – dodał Ballantine.

– Racja, wiedziałem, że o czymś zapomniałem.

– Był niewątpliwie człowiekiem wielu talentów – rzekł Ballantine.

– Kiedy zmarł? – spytał Patrick.

– W zeszłym roku, na raka. Kiedy ktoś tak bogaty jak mój ojciec umiera na raka, wiadomo, że nie wynaleziono jeszcze skutecznego lekarstwa – dodał

z uzasadnioną dumą.

– To dobrze o tobie świadczy, że jesteś takim sumiennym kustoszem jego pamięci – zauważył znużony Patrick.

– Czcij ojca swego i matkę swoją – odrzekł Ballantine.

– Ja również wyznaję tę zasadę – zapewnił go Patrick.

China, obawiając się, że lada moment głupota Ballantine’a zdoła przyćmić nawet jego gargantuiczny majątek, zaproponowała mu taniec.

– Z przyjemnością – odparł Ballantine. – Wybaczcie – rzucił w stronę Laury i Patricka.

– Co za okropny człowiek.

– Żałuj, że nie poznałaś jego ojca.

– Nie potrafi przestać mówić o swoich pieniądzach.

– Gdyby przestał, jego istnienie miałoby jeszcze mniej sensu – zauważył Patrick.

– Jak się w ogóle miewasz, skarbie? – spytała Laura. – Cieszę się, że cię spotkałam. To przyjęcie zaczyna mi działać na nerwy. Dawniej mężczyźni opowiadali mi, że używają masła w czasie seksu, a teraz słyszę tylko, że wyeliminowali je ze swojej diety.

Patrick się uśmiechnął.

– Niewątpliwie trzeba tu kopnąć wiele ciał, zanim się trafi na kogoś żywego. Od gospodarza dosłownie zionie głupotą, jakbyś otworzyła drzwi sauny. Jeśli będziesz chciała zaprzeczyć w rozmowie z nim, po prostu pozwól mu mówić.

– Moglibyśmy pójść na piętro – zasugerowała Laura.

– Tylko po co? – uśmiechnął się Patrick.

– Popieprzyć się. Bez zobowiązań.

– Jest to jakieś zajęcie.

– Dzięki.

– Nie, nie, bardzo chętnie – powiedział Patrick. – Choć nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to fatalny pomysł. Nie pogubimy się w tym wszystkim?

– Przecież mówię: bez zobowiązań. – Laura zaczęła go prowadzić w stronę holu.

U podnóża schodów stał ochroniarz.

– Przykro mi, nie wolno wchodzić na górę.

– My tu nocujemy – oznajmiła Laura z jakąś nieuchwytną arogancją w głosie, która sprawiła, że mężczyzna ustąpił na bok.

Patrick i Laura znaleźli pokój na poddaszu, oparli się o ścianę i zaczęli się całować.

– Zgadnij, z kim mam romans – rzekła Laura, odrywając się od Patricka.

– Boję się myśleć. Ale dlaczego chcesz o tym rozmawiać właśnie teraz? – wymruczał Patrick, gryząc jej szyję.

- To ktoś, kogo znasz.
  - Poddaję się – westchnął, czując, że zanika mu erekcja.
  - Johnny.
  - Okej, odechciało mi się.
  - Pomyślałam, że może będziesz chciał mnie odbić.
  - Wolałbym jednak, żeby Johnny pozostał moim przyjacielem. Poza tym dość już mam ironii i napięcia. Do ciebie to wciąż nie dotarło, prawda?
  - Kochasz ironię i napięcie, o czym ty mówisz?
  - Tobie się wydaje, że wszyscy są tacy jak ty.
  - Weź spierdalaj – rzuciła Laura. – Albo, jak mówi Laurence Harvey w *Darling*: „Odłóż swojego kieszonkowego Freuda”.
  - Chyba lepiej będzie, jak się pożegnamy, nie sądzisz? – powiedział Patrick.
  - Zanim się pokłócimy.
  - Boże, ale ty jesteś przykry.
  - Zejdźmy na dół osobno – zaproponował.
- Migoczący płomyk jego zapalniczki rzucał chybotliwe blaski na ściany. Po chwili zgasł, lecz Patrick wymacał mosiężną gałkę i ostrożnie uchylił drzwi; wąski klin światła przeciął zakurzoną podłogę z desek.
- Ty pierwsza – szepnął, otrzepując jej tył sukienki.
  - Pa – rzuciła oschle.



Patrick z ulgą zamknął drzwi i zapalił papierosa. Po rozmowie z Bunnym nie miał ani chwili, żeby się zastanowić, dopiero teraz jego dziwne słowa wróciły do niego i zatrzymały go na strychu.

Nawet lecąc do Nowego Jorku po jego prochy, Patrick nie był całkiem przekonany do prostego rozwiązania, jakim była nienawiść do ojca. Lojalność Bunny'ego wobec Davida uświadomiła mu, że być może najtrudniejsze jest dla niego przyznanie się przed sobą do podobnych uczuć.

Za co można było podziwiać jego ojca? Za muzykę, której nigdy nie odważył się nagrać? A jednak Patrick nieraz słuchał jej ze ściśniętym sercem. Za wgląd w ludzką psychikę, który David notorycznie wykorzystywał do dręczenia bliskich i znajomych, a który miał podobno uratować życie Bunny'emu? Wszystkie zalety i talenty Davida miały swoją ciemną stronę, lecz cokolwiek mówić o jego potworności, trzeba mu było oddać, że przez większość życia był pozbawiony złudzeń i przyjmował swoje zasłużone cierpienie z niejakim stoicyzmem.

To nie podziw pozwoli mu się pojednać z ojcem, ani nawet słynna z cierpliwości miłość dzieci do rodziców, potrafiąca znieść dużo więcej niż to, co spotkało Patricka. Czasem stawały mu przed oczami zielonawe twarze ludzi uczepionych brzegu tratwy Meduzy – i bynajmniej nie zawsze widział je z perspektywy tratwy, często wręcz im zazdrościł, że są bliżej ocalenia. Ilu się udusiło z przekleństwami na ustach? Ilu poszło na dno w milczeniu? Ilu nieznacznie przedłużyło swój żywot, wspierając się na ramionach tonących bliźnich?

Coś bardziej praktycznego kazało mu szukać powodu do zgody. Większość mocnych stron Patricka – tego, co uważał za swoje mocne strony – zrodziła się z jego zmagania z ojcem i jeśli chciał mieć z nich jakikolwiek pożytek, musiał się odseparować od ich skażonego źródła.

A mimo to wiedział, że nigdy nie przestanie się oburzać na ojca, który pozbawił go szans na wewnętrzny spokój, i że jakkolwiek by się starał siebie naprawić, będzie jak sklejoną wazę, która z wierzchu, tam gdzie zdobi ją wzór, wydaje się cała, lecz której blade wnętrze skrywa długie i ciemne ślady rekonstrukcji; będzie mógł tylko stworzyć złudzenie całości.

Wszystkie jego próby zdobycia się na wielkoduszość rozбивały się właśnie o to dławiące oburzenie, podczas gdy nienawiść, dla odmiany, odbijała się od tych dziwnych momentów, ulotnych i zawsze skażonych, kiedy ojciec jawił mu się jako człowiek zakochany w życiu, czerpiący przyjemność z każdego wyrazu wolności, humoru czy geniuszu. Kto wie, czy nie będzie musiał zadowolić się stwierdzeniem, iż bycie jego ojcem było najprawdopodobniej czymś jeszcze gorszym niż bycie kimś, kogo ten ojciec próbował zniszczyć.

Uproszczenia są niebezpieczne i prędzej lub później się mszczą. Tylko znajdując równowagę między nienawiścią a zahamowaną miłością, spoglądając na ojca bez litości ani strachu, lecz jak na drugiego człowieka, który niezbyt dobrze radził sobie ze swoją osobowością; tylko akceptując swoją uczuciową ambiwalencję – nie wybacząc ojcu jego zbrodni, ale pochylając się nad nieszczęściem, z którego te zbrodnie wynikły, a nie tylko nad nieszczęściem, które wynikało z nich, mógł się, być może, przedrzeć w nowe życie, będące czymś więcej niż wegetacją. Może nawet nauczyć się czerpać z niego radość?

Chrząknął nerwowo. Radość? Trochę go poniosło. Oswojone z mrokiem oczy dostrzegły skrzynie i pudła otaczające kawałek podłogi, po którym chodził w tę i we w tę. Przez wąskie okno, wychodzące na dach i rynnę, sączyła się mętna brązowa poświata reflektorów. Zapalił kolejnego papierosa i zaciągał się dymem, oparty o parapet. Jak zwykle czuł paniczny niepokój, że powinien być gdzie indziej, tym razem na dole: oczyma wyobraźni widział już odkurzone dywany i załadowywane furgonetki, mimo że kiedy wchodził z Laurą na górę, była dopiero pierwsza trzydzieści. Został jednak na poddaszu, zaintrygowany każdą najmniejszą szansą na wydostanie swojej duszy z flauty, w której tkwiła martwo od tylu lat.

Otworzył okno, żeby cisnąć niedopałek na wilgotny dach. Wciągnąwszy w płuca ostatni haust dymu, uśmiechnął się na myśl, że David pewnie podzielałby jego pogląd na ich związek. Był to jeden z tych wybiegów, które czyniły go podstępny wrogiem, teraz jednak Patrick upatrywał tu szansy na zawieszenie broni. Tak, ojciec pochwaliłby jego bunt, rozumiałby jego próby ucieczki z labiryntu, do którego sam go wtrącił. Na myśl, że trzymałby za niego kciuki, Patrickowi zachciało się płakać.

Poza goryczą i rozpaczą było coś jeszcze, coś przejmującego, o czym było mu trudniej mówić niż o okrucieństwach ojca, coś, czego nie zdołał z siebie wydobyć w rozmowie z Johnnym: to mianowicie, że ojciec w krótkich przerwach między jedną a drugą depresją chciał go kochać, a on chciał pokochać ojca, choć nigdy mu się to nie udało.

I po co właściwie, swoją drogą, miałby dalej karać matkę?

Nie mógł powiedzieć, że go skrzywdziła, co najwyżej nie zapobiegła jego krzywdzie, tymczasem usunął się z jej życia, z uporem zbuntowanego nastolatka udawał, że nic go nie łączy z tą osobą, która tylko przypadkiem go urodziła, że ich pokrewieństwo jest geograficznym zbiegiem okoliczności, jak bycie czyimś sąsiadem. Doprowadzała męża do frustracji, odmawiając sypiania z nim w jednym łóżku, lecz Patrick był ostatnią osobą, która miałaby do niej o to pretensje. Zapewne byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby kobiety zatrzymane w rozwoju na etapie dzieciństwa nie rodziły dzieci udreżonym mizoginicznym homoseksualnym pedofilom, lecz nic nie jest doskonałe na tym padole, stwierdził w duchu Patrick, spoglądając nabożnie w stronę księżyca, zakrytego, rzecz jasna, jak całe niebo

podczas angielskiej zimy, przez brudną watę nisko wiszącej chmury. Matka była w gruncie rzeczy dobrym człowiekiem, ale jej kompas – i nie stanowiła tu żadnego wyjątku – dostawał kręćka w magnetycznym polu intymnej bliskości.

Naprawdę powinien już zejść na dół. Mimo obsesji punktualności, mimo ciągłej duszącej obawy, że musi się śpieszyć, wciąż nie mógł się przekonać do noszenia zegarka. Zegarek może ukoiłby jego nerwy, obronił przed własną histerią i pesymizmem. W poniedziałek koniecznie sprawi sobie zegarek. Być może nie wróci z tej eskapady na poddasze bogatszy o epifanię, ale przynajmniej z iskierką nadziei w postaci obietnicy zegarka. Czy Niemcy przypadkiem nie mieli jednego słowa na „iskierkę nadziei”? Nie zdziwiłby się, gdyby mieli jedno słowo na „Odrodzenie przez Punktualność, Iskierkę Nadziei i Radość z Cudzego Nieszczęścia”. Gdyby tylko je znał...

Czy istnieją epifanie o przedłużonym uwalnianiu, epifanie, z których człowiek nie zdaje sobie sprawy? Czy też za każdym razem towarzyszą im anielskie trąby i oślepiający blask? – zastanawiał się Patrick, idąc korytarzem w złym kierunku.

Skręciwszy za róg, zorientował się, że nie był wcześniej w tej części domu. Koniec wyłożonego przetartym dywanem korytarza ginął w ciemnościach.

– Jak się wychodzi z tego kurewskiego domu? – zaklął.

– Żle poszedłeś.

Patrick spojrział w prawo i zobaczył stojącą na niskich schodach dziewczynkę w białej koszuli nocnej.

– Nie chciałem tak brzydko powiedzieć. To znaczy, chciałem, ale nie wiedziałem, że usłyszysz.

– Nie szkodzi – odparła. – Tata ciągle przeklina.

– Jesteś córką Sonny’ego i Bridget?

– Tak, jestem Belinda.

– Nie możesz zasnąć? – Patrick usiadł obok niej na schodach. Pokręciła głową. – Dlaczego?

– Przez to przyjęcie. Niania powiedziała, że jak ładnie zmówię pacierz, to zasnę, ale nie mogłam.

– Wierzysz w Boga? – spytał ją.

– Nie wiem. Ale jeśli Bóg istnieje, to nie najlepiej mu to wychodzi.

Patrick się zaśmiał.

– Ale dlaczego nie jesteś na przyjęciu?

– Bo mi nie wolno. O dziewiątej mam leżeć w łóżku.

– To okrutne – stwierdził Patrick. – Chcesz, żebym cię przemycił na dół?

– Mama by mnie zobaczyła. A księżniczka Małgorzata powiedziała, że powinnam pójść spać.

– Skoro tak, to koniecznie trzeba cię przemycić na dół. No, chyba że ci

poczytam do snu.

– O, chciałabym bardzo – rzekła Belinda i zaraz potem przyłożyła palec do ust. – Cśś, ktoś idzie.

Zza rogu korytarza wyłoniła się Bridget.

– Co ty tu robisz? – spytała Patricka.

– Próbowałem wrócić na przyjęcie i się zgubiłem, i spotkałem Belindę.

– Ale skąd się tu w ogóle wzięłeś?

– Cześć, mamó – wtrąciła Belinda.

– Cześć, kochanie – powiedziała Bridget, wyciągając dłoń.

– Wszedłem na górę z dziewczyną – wyjaśnił Patrick.

– Boże, czuję się przy tobie bardzo stara. No i tyle jest warta cała ta ochrona.

– Właśnie miałem poczytać Belindzie.

– Jak miło – powiedziała Bridget. – Od lat sobie obiecuję, że zacznę jej czytać. – Wzięła córkę na ręce. – Aleś ty się zrobiła ciężka – stęknęła, rzucając Patrickowi zdawkowy uśmiech.

– No to dobranoc – rzekł, wstając ze schodów.

– Dobranoc – ziewnęła Belinda.

– Muszę ci coś powiedzieć – oznajmiła Bridget, niosąc Belindę w głąb korytarza. – Mamusia będzie dzisiaj spała u babci i chcemy cię zabrać ze sobą. Dla niani niestety zabraknie miejsca.

– To dobrze, bo jej nie cierpię.

– Wiem, skarbie.

– Ale dlaczego jedziemy do babci?

Kiedy zniknęły za rogiem, Patrick przestał je słyszeć.

Johnny Hall był ciekaw Petera Porlocka, odkąd Laura powiedziała mu, że Peter niepotrzebnie zapłacił za jedną z jej aborcji. Kiedy ich sobie przedstawiła, Peter, nie tracąc czasu, od razu wtajemniczył Johnny'ego w „tę paskudną sprawę z Sonnym i Cindy w rolach głównych”.

– Oczywiście wiedziałem o tym od dawna – zaczął.

– Ja natomiast nie miałem pojęcia – wtrącił David Windfall – nawet gdy Sonny mnie poprosił, żebym z nią przyszedł.

– Zabawne – stwierdziła Laura. – Myślałam, że wszyscy wiedzą.

– Niektórzy pewnie się domyślali, ale nikt nie znał szczegółów – z dumą podkreślił Peter.

– Nawet Sonny i Cindy – zakpiła Laura.

David, przekonany już wystarczająco o wszechwiedzy Petera, oddalił się, a Laura poszła w jego ślady.

Pozostawiony sam na sam z Johnnym Peter postanowił zatrzeć ewentualne wrażenie lekkoduchostwa, przejawiając troskę o swojego „schorowanego tatę”, z którym przez cały wieczór nie raczył zamienić słowa.

– A twoi starsi żyją? – spytał.

– O tak, mają dużo ikry – rzekł Johnny. – Moja matka prawdopodobnie byłaby lekko rozczarowana, gdybym został najmłodszym premierem Anglii, więc możesz sobie wyobrazić, jakie ma zdanie o średnio udanej karierze dziennikarskiej. Ona mi przypomina tę anegdotę o tym, jak Henry Miller odwiedził umierającą matkę ze swoim przyjacielem, pilotem imieniem Vincent. Staruszka popatrzyła na syna, potem na Vincenta, i powiedziała: „Ach, gdybym miała takiego syna jak ty, Vincencie”.

– Słuchaj, nie powtórzysz tego, co mówiłem, prasie, prawda?

– Niestety, pierwsze strony „Timesa” wciąż nie są w całości poświęcone skandalom miłosnym – odparł pogardliwie Johnny.

– A „Times” – mruknął Peter. – Wiem, że to strasznie niemodne, ale ja wciąż wierzę w synowską powinność. Choć pewnie łatwo mi mówić: moja matka była świętą kobietą, a ojciec – trudno doprawdy o przyzwoitszego człowieka.

Johnny uśmiechnął się automatycznie. Szkoda, pomyślał, że Laura nie wzięła od niego dwa razy więcej.

– Peter! – zawołała zmartwiona księżniczka Małgorzata.

– O, nie zauważyłem Waszej Wysokości – odparł Peter z lekkim skłonem głowy.

– Powinieneś chyba iść do holu. Obawiam się, że twój ojciec nie czuje się dobrze. Przyjechał po niego ambulans.

– Dobry Boże. Wasza Wysokość wybaczy, idę tam.

Księżniczka, która już w holu oznajmiła, że sama powiadomi Petera, i na wszelki wypadek kazała swojej damie dworu zatrzymywać innych życzliwych, była pod głębokim wrażeniem swej dobroci.

– A pan kim jest? – zwróciła się do Johnny’ego najuprzejmiej, jak na to pozwalały okoliczności.

– Johnny Hall – przedstawił się Johnny, wyciągając rękę.

Republikańskie pominięcie „Waszej Wysokości” i zuchwała próba uściśnięcia jej dłoni przekonały księżniczkę, że nie ma do czynienia z nikim ważnym.

– To musi być dziwne, nazywać się tak samo jak tyle innych osób – zauważyła. – Przypuszczam, że w całym kraju są setki Johnów Hallów.

– Człowiek uczy się dzięki temu wyróżniać na inne sposoby, a nie polegać na przypadku, jakim jest urodzenie – odparł spokojnie Johnny.

– I tutaj ludzie się myślą – zaznaczyła księżniczka i ściągnęła wargi. – Urodzenie to nie jest żaden przypadek.

Nie czekając na odpowiedź, dostojnym krokiem ruszyła dalej.

Gwar przyjęcia dobiegał coraz głośniejszy, gdy Patrick, schodząc na dół, mijał na schodach portrety Lely’ego i Lawrence’a, a nawet dwa płótna Reynolds’a, które

zdominowały najniższe półpiętro. Potworne samozadowolenie, z jakim geny Gravesendów przechodziły z generacji na generację, bez zwyczajnych interludów szaleństwa, zwątpienia czy sławy, przerosło umiejętności wszystkich tych malarzy i mimo wielkich nazwisk żaden nie zdołał wydobyć nic urzekającego z obwisłych powiek czy idiotycznie aroganckich wyrazów twarzy modeli.

Myśląc o Belindzie, Patrick na wpół świadomie zaczął schodzić po schodach tak, jak to robił, będąc w jej wieku, kiedy się czymś stresował: opuszczał ostrożnie jedną stopę, a potem pewnie stawiał przy niej drugą. Nagle poczuł ogromną chęć rzucenia się w dół na kamienną posadzkę holu; zatrzymał się i chwycił poręcz, zaintrygowany tym dziwnym impulsem, którego nie potrafił natychmiast wyjaśnić.

Yvette opowiadała mu wiele razy o dniu, kiedy spadł ze schodów w Lacoste i zranił się w rękę. Historia o jego krzyku, stłuczonym szkle i obawie Yvette, że rozciął sobie ścięgno, stała się częścią obrazu jego dzieciństwa na zasadzie przyswojonej anegdoty, teraz jednak Patrick poczuł, że odżywa w nim samo wspomnienie: pamiętał, że wyobrażał sobie, że ramy obrazów lecą w głąb korytarza, wbijają się w pierś ojca i ucinają głowę Nicholasowi Prattowi. Znowu czuł tamtą desperacką chęć, by skoczyć ze schodów i zatrzeć ślady swojej winy, ukryć to, że nóżka kieliszka pękła mu w dłoni, bo za mocno ją ścisnął. Stał na schodach i pamiętał wszystko.

Ochroniarz przyglądał mu się nieufnie. Niepokoił się, odkąd wpuścił Laureę i Patricka na górę, a samotny powrót Laury, która oznajmiła, że Patrick został w pokoju, tylko wzmógł jego podejrzenia. Teraz Patrick zachowywał się bardzo dziwnie, schodził po stopniach noga za nogą i wpatrywał się w ziemię. Pewnie się naćpał, pomyślał ze złością ochroniarz. Gdyby to zależało od niego, aresztowałby Patricka i wszystkich innych bogatych piździelców, którym się wydaje, że są ponad prawem.

Patrick, widząc nieprzyjazne spojrzenie ochroniarza, wrócił do terażniejszości, uśmiechnął się blado i zszedł po ostatnich stopniach. Na drugim końcu holu, za oknami po obu stronach otwartych drzwi, migotało niebieskie światło.

- Policja przyjechała? – spytał.
- Nie, nie policja – ze smutkiem odparł ochroniarz. – Karetka.
- Co się stało?
- Jeden z gości miał atak serca.
- Wie pan, kto to był?
- Nie wiem, jak się nazywa. Mężczyzna, białe włosy.

Z otwartych drzwi dmuchało chłodem. Na zewnątrz padał śnieg. Patrick zauważył koło wejścia Toma Charlesa i podszedł.

– To George – rzekł Tom. – Chyba miał udar. Był bardzo osłabiony, ale mógł mówić, więc mam nadzieję, że nic mu nie będzie.

– Ja też – powiedział Patrick, który znał George’a całe swoje życie, a teraz uświadomił sobie, że brakowałoby mu go, gdyby umarł. George zawsze był do niego serdecznie nastawiony i Patrick nagle zapragnął mu podziękować.

– Wiesz, do którego szpitala go zabierają?

– Na razie do Cheltenham – odparł Tom. – Sonny chce go przenieść do prywatnej kliniki, ale karetka jest szpitalna, a w tej chwili najważniejszą rzeczą jest chyba utrzymanie go przy życiu, a nie załatwienie mu droższej opieki.

– Z pewnością – powiedział Patrick. – No nic, mam nadzieję, że King nie będzie musiał go dzisiaj rozpakować.

– Pamiętaj, że on nie ma dużo bagaży. Niebo to idealne miejsce na sielski weekendowy wypad bez tobołów.

Patrick się uśmiechnął.

– Odwiedzmy go jutro przed lunchem.

– Dobry pomysł. Gdzie się zatrzymałeś?

– W Little Soddington House Hotel – odparł Patrick. – Mam ci zapisać?

– Nie – rzekł Tom – takich nazw się nie zapomina<sup>10</sup>.

– To bodaj Talleyrand – zaczął Jacques d’Alantour, wydymając wargi przed ulubionym cytatem – powiedział kiedyś – tu zawiesił głos – „Bierność i milczenie to potężna broń, ale należy jej używać z rozwagą”.

– Panu na pewno nie można dzisiaj zarzucić bierności i milczenia – zauważyła Bridget.

– Mimo wszystko – mówił dalej Francuz – porozmawiam z księżniczką o tym zajściu. Nie chciałbym, żeby zostało zapamiętane jako *l’affaire Alantour* – dodał ze śmiechem. – Liczę, że uda się nam, że tak powiem, wyprowadzić słonia ze składu porcelany.

– Jak pan chce – odparła Bridget. – Mnie to przestało obchodzić.

Monsieur d’Alantour, zbyt zadowolony ze swojego nowego planu, by dostrzec obojętność gospodyni, uklonił się i odwrócił na pięcie.

– Pod nieobecność królowej jestem regentką i przewodzę Tajnej Radzie – objaśniała z zadowoleniem księżniczka Małgorzata w rozmowie z Kitty Harrow.

– Wasza Wysokość – przerwał jej monsieur d’Alantour, który po długim namyśle znalazł w końcu idealną formułę przeprosin.

– O, pan wciąż tutaj.

– Jak widać... – bąknął ambasador.

– A czy nie czas już na pana? Przed panem długa droga.

– Kiedy ja zostaję tu na noc – zaprotestował.

– W takim razie zobaczymy się jeszcze jutro i nie ma powodu, abyśmy przegadali ze sobą cały wieczór – oświadczyła księżniczka i odwróciła się do niego plecami.

– Co to za człowiek? – zwróciła się do Kitty.

– Ali Montague, Wasza Wysokość.

– Ach, tak, to nazwisko coś mi mówi. Może pani mi go przedstawić – powiedziała księżniczka i podeszła do Alego.

Podczas gdy Kitty przedstawiała jej Alego Montague, francuski ambasador stał w milczącej konsternacji. Zastanawiał się, czy to, co się przed chwilą zdarzyło, było kolejnym incydentem dyplomatycznym, czy jedynie przedłużeniem poprzedniego.

– Ach, uwielbiam Francuzów – wyznał odważnie Ali Montague. – Są zdradzieccy, przebiegli, dwulicowi... nie muszę się tam w ogóle starać, bo wiem, że jestem wśród swoich. Że nie wspomnę o Włochach, którzy są w dodatku tchórzami. Im dalej na południe, tym lepiej.

Oczy księżniczki spoglądały figlarnie. Znow była w dobrym humorze i doszła do wniosku, że Ali jest zabawny.

Nieco później Alexander Politsky odnalazł Alego i pogratulował mu, że „tak świetnie sobie poradził z księżniczką”.

– Och, rozmawiało się trochę z członkami rodziny królewskiej – rzekł gładko Ali. – Natomiast dużo gorzej poszło mi z tą straszną Amandą Pratt. Sam wiesz, jacy ludzie się stają okropni, kiedy zgłaszają się „do programu” i chodzą na te wszystkie spotkania. Choć nie przeczę, że niejednemu ratują one życie.

Alexander wydmuchnął powietrze przez nos i zapatrzył się w przestrzeń.

– Wiem, bo sam chodziłem – przyznał.

– Ale przecież nigdy nie miałeś problemów z alkoholem – zdziwił się Ali.

– Lubię heroinę, kokainę, ładne domy, porządne meble i piękne dziewczyny – odparł Alexander – i miałem to wszystko w dużych ilościach. Ale muszę ci powiedzieć, że nie byłem dzięki temu szczęśliwy.

– Trudno ci dogodzić, słowo daję.

– Prawdę mówiąc, kiedy poszedłem pierwszy raz, bałem się, że będę tam pasował jak dzinsy do surduta, tymczasem znalazłem na tych spotkaniach więcej szczerzej miłości i życzliwości niż we wszystkich modnych londyńskich salonach razem wziętych.

– To akurat żaden wyczyn – zauważył Ali. – To samo można powiedzieć o targu rybnym w Billingsgate.

– Dla każdego z tych ludzi – mówił dalej Alexander, prostując plecy i zamykając oczy – od wytatuowanego rzeźnika wzwyż jestem gotów wsiąść w samochód o trzeciej nad ranem i pojechać do Inverness, żeby pomóc.

– Do Inverness? Skąd?

– Z Londynu.

– Dobry Boże – zawołał Ali. – Może i ja powinienem się wybrać na jedno z tych spotkań, kiedy będę miał wolny wieczór. Ale prawdziwe pytanie brzmi: czy zaprosiłbyś tego wytatuowanego rzeźnika na kolację?



– Oczywiście, że nie – odparł Alexander – ale tylko dlatego, że czułby się nieswojo.

– Anne! – zawołał Patrick. – Nie spodziewałem się ciebie tutaj.

– Wiem – odparła Anne Eisen, całując go serdecznie w policzek. – Angielska wieś to nie jest moje naturalne środowisko. Dziwnie się czuję, kiedy wszyscy dookoła rozmawiają o zabijaniu zwierząt.

– Na włościach Sonny’ego na pewno nic takiego nie ma miejsca.

– Chcesz powiedzieć, że w promieniu kilku mil nie zostało się żadne żywe stworzenie? Jestem tutaj, bo ojciec Sonny’ego był w *miarę* kulturalnym człowiekiem – zdawał sobie sprawę z istnienia w swoim domu nie tylko pokoju na buty i piwnicy, ale także biblioteki. Trochę się przyjaźnił z Victorem i od czasu do czasu zapraszał nas do siebie na weekend. Sonny był wtedy jeszcze młodym chłopakiem, ale już miał zadatki na pretensjonalnego mydłka. Jezu – westchnęła, omiatając wzrokiem pokój – co za ponura zgraja. Myślisz, że trzymają ich wszystkich w zamrażarce i rozmrażają na takie okazje jak ta?

– Dobrze by było – odparł Patrick. – Obawiam się jednak, że to do nich należy większość tego kraju.

– Niewiele się różnią od kolonii mrówek – zauważyła Anne – chyba tylko tym, że nie robią nic pożytecznego. Pamiętasz te mrówki w Lacoste, jak zawsze sprzątały wasz taras? A skoro już mowa o robieniu pożytecznych rzeczy, co zamierzasz zrobić ze swoim życiem?

– Hmm.

– Chryste – westchnęła. – Masz na sumieniu najgorszy ze wszystkich grzechów.

– Czyli?

– Marnotrawstwo czasu.

– Wiem – przyznał. – To był dla mnie duży szok, kiedy zdałem sobie sprawę, że za chwilę będę za stary, żeby umrzeć młodo.

Anne straciła cierpliwość i zmieniła temat.

– Wybierasz się w tym roku do Lacoste?

– Nie wiem. Im więcej mija czasu, tym mniej lubię to miejsce.

– Jest coś, za co zawsze chciałam cię przeprosić, ale bałam się, że nie zrozumiesz, bo jesteś zbyt naćpany. Przez te wszystkie lata czułam się winna, że cię zawiodłam, kiedy czekałeś na schodach podczas jednej z tych okropnych kolacji u twoich rodziców. Obiecałam, że zawołam twoją mamę, ale David nie pozwolił jej pójść do ciebie. Powinnam była wtedy sama przyjść albo postawić się Davidowi, cokolwiek. Zawsze mnie to później gnębiło.

– Niepotrzebnie. Zapamiętałam, że chciałaś mi pomóc. Kiedy człowiek jest mały, takie chwile ludzkiej życzliwości, nawet gdy są rzadkie, wiele dla niego znaczą. Mogłoby się wydawać, że giną pod lawiną codziennej grozy, ale jest

inaczej: odcinają się wyraźnie na tle reszty.

– Przebaczyłeś ojcu?

– Zabawne, że akurat dzisiaj mnie o to pytasz. Jeszcze tydzień temu skłamałbym albo odpowiedział wymijająco. Ale właśnie dzisiaj przy kolacji opowiadałem komuś, co konkretnie musiałbym ojcu wybaczyć.

– I?

– Przy kolacji byłem raczej przeciwny wybaczeniu i nadal uważam, że jeśli coś mnie wyzwoli, to prędzej obojętność niż kompromis, ale gdybym potrafił sobie wyobrazić miłosierdzie czysto ludzkie, niezwiązane z „opowieścią wszech czasów”, to być może doszedłbym do wniosku, że mój ojciec zasługuje na nie z powodu swojego nieszczęścia. Motywacja religijna nie wchodzi u mnie w grę. Wiele razy byłem bliski śmierci i nie widziałem żadnej postaci w białej szacie na końcu tunelu – z wyjątkiem jednego razu, kiedy okazała się zmęczonym lekarzem stażystą na oddziale ratunkowym szpitala Charing Cross. Może i faktycznie trzeba być pękniętym, żeby się odnowić, ale wcale nie jest powiedziane, że odnowa musi się opierać na fałszywych pojednaniach!

– A co z prawdziwymi?

– Bardziej niż ten okropny przesąd o nadstawianiu drugiego policzka przemawia do mnie głębia nieszczęścia, z jakim żył mój ojciec. Kiedyś wpadł mi do rąk dziennik pisany przez jego matkę w czasie pierwszej wojny światowej. Po wielu stronach plotek i długim fragmencie o tym, jak to wspaniale udawało im się utrzymywać wysokie standardy w jakimś wielkim domu na wsi, gdzie na przekór kajzerowi jedli schludne kanapki z ogórkiem, natrafiłem na dwa krótkie zdania: „Geoffrey znów ranny” o jej mężu w okopach i „David ma krzywicę” o jej synu w szkole podstawowej. Przypuszczam, że nie tylko chodził niedożywiony, ale jeszcze bili go starsi chłopcy i nękali nauczyciele o pedofilskich skłonnościach. Ta dość tradycyjna kombinacja matczynego chłodu i instytucjonalnej deprawacji pomogła uczynić go wspaniałym człowiekiem, na którego wyrósł, ale żeby komuś wybaczyć, trzeba być przekonanym, że przynajmniej próbował zmienić fatalny bieg, jaki nadały jego życiu geny, wychowanie i przynależność klasowa.

– Gdyby to zrobił, nie trzeba by mu było wybaczać – stwierdziła Anne. – Na tym właśnie polega wybaczenie. Nie mówię, że musisz mu wybaczyć, ale nie możesz trwać w tej nienawiści.

– Zgoda, trwanie w niej nie ma sensu. Ale jeszcze mniej sensu ma udawanie, że jest się wolnym. Czuję, że jestem o krok od wielkiej zmiany, która może się okazać czymś bardzo prostym, na przykład poszerzeniem zainteresowań.

– Jak to? Koniec z wymyślaniem ojcu? Z narkotykami? Ze snobizmem?

– Bez przesady – jęknął Patrick. – Ale miałem dzisiaj chwilową halucynację, że świat jest prawdziwy...

– Halucynację, że świat jest prawdziwy – powtórzyła Anne. – Powinieneś

być papieżem.

– Prawdziwy – wyjaśniał Patrick – a nie tylko złożony z następujących po sobie efektów, jak pomarańczowe blaski na mokrym chodniku, liść przyklejony do przedniej szyby samochodu, opony taksówki mlaskające w deszczu.

– Bardzo zimowe te efekty – zauważyła Anne.

– No cóż, jest luty. W każdym razie przez chwilę miałem wrażenie, że świat jest konkretny, zewnętrzny i namacalny.

– To już pewien postęp. Dawniej należałeś do frakcji „świat jest prywatnym filmem”.

– Większość rzeczy człowiek jest gotów porzucić, dopiero gdy zaczynają go rozczarowywać. Narkotyki odstawiłem, kiedy przyjemność i cierpienie stały się jednoczesne i równie dobrze mógłbym sobie wstrzykiwać własne łzy. A jeśli chodzi o naiwną wiarę, że ludzie bogaci są ciekawszy od biednych, a ci z tytułami ciekawszy od tych bez, ludziom trudno byłoby w niej wytrwać, gdyby im się nie wydawało, że stają się ciekawszy dzięki znajomościom. Czuję, że to konkretnie złudzenie już we mnie dogorywa, zwłaszcza gdy przemierzam ten pokój pełen upozowanych ludzi i czuję, jak mój umysł dławi się nudą.

– Sam jesteś sobie winien.

– A co do „wymyślenia ojcu” – rzekł Patrick, puszczając jej uwagę mimo uszu – myślałem dzisiaj o nim bez związku ze sobą, po prostu jak o zmęczonym starcu, który spieprzył sobie życie, rżącym w spłowiałej niebieskiej koszuli, którą nosił latem. Wyobraziłem go sobie, jak siedzi na dziedzińcu tego straszego domu i rozwiązuje krzyżówkę w „Timesie”, i tym razem wydał mi się bardziej żalony i *zwyczajny*, a co za tym idzie, mniej wart uwagi.

– Ja mam podobnie z moją okropną starą matką – przyznała Anne. – W czasie wielkiej depresji, która dla niektórych z nas nigdy się nie skończyła, matka gromadziła bezdomne koty, karmiła je i się nimi opiekowała. Pełno ich było w całym domu. Byłam dzieckiem, więc oczywiście je pokochałam i lubiłam się z nimi bawić, ale jesienią moja stuknięta matka zaczęła mamrotać pod nosem: „Nie przeżyją zimy, nie przeżyją zimy”. I rzeczywiście nie przeżyły, ale tylko dlatego, że matka wzięła ręcznik, nasączyła go eterem i wrzuciła do starej mosiężnej pralki, a potem upchała tam jednego po drugim wszystkie koty, a kiedy „zasnęły”, włączyła pralkę i je potopiła. Nasz ogród był jednym wielkim kocim cmentarzyskiem, nie dało się wykopać dołka ani się pobawić i nie natknąć się na malutki szkielet. Pamiętam to straszne drapanie, kiedy próbowały się wydostać z pralki. Stałam przy stole w kuchni (sięgałam głową blatu), patrzyłam, jak wsadza je do środka, i mówiłam: „Mamo, proszę, nie”, a ona tylko mamrotała: „Nie przeżyją zimy”. Była okropną osobą i miała nierówno pod sufitem, ale kiedy dorosłam, zrozumiałam, że najgorszą karą jest dla niej bycie sobą i że to wystarczy.

– Nic dziwnego, że się denerwujesz, kiedy ludzie na angielskiej wsi

zaczynają mówić o zabijaniu zwierząt. Może właśnie na tym polega tożsamość: dostrzegasz w swoim doświadczeniu pewną logikę i się jej trzymasz. Gdyby tak Victor był z nami!

– Tak, biedny Victor – powiedziała Anne. – Chociaż jego nie interesował psychologiczny aspekt tożsamości – dodała z ironicznym uśmiechem.

– To mnie zawsze frapowało – przyznał Patrick. – Wydawało mi się, że to tak, jakby się upierać, że istnieje lądowe połączenie między Anglią i Ameryką.

– Bo istnieje, kiedy jest się filozofem.

– Swoją drogą, słyszałaś, że George Watford miał udar?

– Tak, to smutne. Pamiętam, że poznałam go u twoich rodziców.

– To koniec pewnej epoki – stwierdził Patrick.

– I koniec przyjęcia – zauważyła Anne. – Zobacz, orkiestra się zwija.

Kiedy Robin Parker powiedział Sonny’emu, że chciałby „zamienić z nim słowo” w bibliotece, Sonny uświadomił sobie, po pierwsze, że spędził całe swoje urodziny na trudnych rozmowach w tym przeklętym pomieszczeniu, i po drugie, że zgodnie z jego przewidywaniami (nie omieszkał w duchu powinszować sobie przenikliwości) Robin postanowił szantażem wyciągnąć od niego więcej pieniędzy.

– Słucham, o co chodzi – rzucił szorstko, znów siadając za swoim biurkiem.

– To nie jest prawdziwy Poussin – oznajmił Robin – więc obawiam się, że nie mogę potwierdzić jego autentyczności. Innym, w tym ekspertem, może się wydawać, że to autentyk, ale ja wiem, że tak nie jest. – Westchnął. – Chciałbym dostać z powrotem mój list. Oczywiście zwrócę... opłatę – powiedział, kładąc na blacie dwie grube koperty.

– O czym ty bredzisz?

– Nie bredzę. To nie w porządku wobec Poussina i tyle – dodał Robin z niespodziewaną pasją.

– Jaki to ma związek z Poussinem? – zagrzemiał Sonny.

– Żaden, o to chodzi.

– Rozumiem, że chcesz więcej pieniędzy.

– Mylisz się – odparł Robin. – Chcę tylko, żeby jakaś część mojego życia nie była na sprzedaż.

Wściekły Sonny sięgnął do kieszeni po kluczyk, otworzył górną szufladę biurka i rzucił list na blat. Robin podziękował mu i wyszedł.

– Co za denerwujący człowieczek – wymamrotał Sonny. To nie był jego dzień. Stracił żonę, kochankę i Poussina. Weź się w garść, chłopie, pomyślał, lecz musiał przyznać sam przed sobą, że wszystko to mocno nim zachwiało.

Virginia siedziała na wąłym złotym krześle przy salonowych drzwiach i niecierpliwie wyglądała na schodach swojej córki i wnuczki, z którymi miała wyruszyć w długą drogę powrotną. Kent było strasznie daleko, ale w pełni rozumiała Bridget, która chciała uciec od tej złej atmosfery, i namówiła ją, żeby

zabrała Belinę. Nie kryła przed sobą, mimo lekkich wyrzutów sumienia, że przyjemnie jest czuć się potrzebną i znów być blisko Bridget, nawet w tak kryzysowej sytuacji. Wzięła już swój płaszcz i najbardziej niezbędne rzeczy. Walizka była mniej ważna; Bridget powiedziała, że można po nią posłać później. Nie chciała zwracać na siebie uwagi: i tak podejrzanie wyglądała z płaszczem.

Tłum gości mocno się przerzedził. Należało odjechać, dopóki jeszcze było trochę ludzi, inaczej Sonny zacznie wiercić Bridget dziurę w brzuchu. Bridget nigdy nie miała mocnych nerwów, jako dziecko zawsze była nieco strachliwa, bała się zanurzyć głowę w wodzie i tak dalej, drobne rzeczy, o których wiedzą tylko matki. Jeśli Sonny ją skrzyczy, Bridget może stracić zimną krew i zmienić zdanie, lecz Virginia wiedziała, że po tej awanturze o Cindy Smith jej córka potrzebuje odpoczynku i spokojnego namysłu. Zdażyła już spytać Bridget, czy chce zamieszkać w swoim starym pokoju – „niesamowite, jak działa ludzki umysł”, lubił powtarzać Roddy – ale chyba tylko zirytowała tym córkę, która oparła: „Boże, mamo, nie wiem, później o tym pomyślimy”. Po zastanowieniu Virginia doszła do wniosku, że lepiej będzie oddać tamten pokój Belindzie, a Bridget umieścić w wygodnym pokoju gościnnym z łazienką. Odkąd mieszkała sama, miała mnóstwo wolnej przestrzeni.

Czasem kryzys dobrze robił małżeństwu, choć oczywiście nie zawsze, jak to kryzys. Przypomniawszy jej się ten jeden raz z Roddym. Nic nie powiedziała, ale Roddy wiedział, że ona wie, a ona wiedziała, że on wie, że ona wie, i na tym sprawa się zakończyła. Kupił jej wtedy pierścionek i powiedział, że to ich drugi pierścionek zaręczynowy. Z niego był taki pocziwina. Ojej, nadchodzi jakiś mężczyzna. Virginia nie miała pojęcia, kto to, ale najwyraźniej zamierzał ją zagadnąć. Tylko tego jej było trzeba.

Jacques d'Alantour był zbyt udręczony, by pójść spać i – choć Jacqueline zwróciła mu uwagę, że dość już wypił – zbyt smutny, by odmówić sobie jeszcze jednego kieliszka szampana.

Czarowanie było jego specjalnością, wszyscy o tym wiedzieli, lecz od czasu *l'affaire Alantour*, jak teraz o tym mówił, znalazł się w dyplomatycznym labiryncie, który wymagał od niego więcej czaru i taktu, niż można było oczekiwać od zwykłego śmiertelnika. Virginia, bądź co bądź matka gospodyni, miała do odegrania dość oczywistą rolę w jego kampanii o powrót do łask księżniczki Małgorzaty.

– Dobry wieczór szanownej pani – przywitał się z głębokim ukłonem.

Cudzoziemskie maniery, pomyślała Virginia. Roddy mówił o takich: „rączki całuje, a matkę by sprzedał”.

– Czy słusznie się domyślam, że jest pani rodzicielką naszej uroczej gospodyni?

– Owszem.

– Nazywam się Jacques d’Alantour.  
– Miło mi – odparła Virginia.  
– Czy mogę pani zaproponować kieliszek szampana?  
– Nie, dziękuję, staram się nie wypijać więcej niż dwa. Zresztą jestem na diecie.

– Na diecie? – Ambasador dostrzegł okazję, by udowodnić światu, że jego talenty dyplomatyczne mają się zupełnie dobrze. – Na diecie? – powtórzył z niedowierzaniem. – Ale *dlaczego?* – Przeciągnął ostatnie słowo, by podkreślić swoje zdziwienie.

– Z takich samych powodów jak wszyscy – odparła rzeczowo.

Monsieur d’Alantour przysiadł się do niej i poczuł ulgę w zmęczonych nogach. Jacqueline miała rację, za dużo tego szampana. Nie mógł jednak zaniechać swojej kampanii.

– Kiedy dama mówi mi, że jest na diecie – zaczął z galanterią wpadającą w lekki bełkot, za to bez zająknięcia, od lat bowiem wygłaszał tę samą kwestię przy różnych okazjach (oczarował nią między innymi żonę niemieckiego ambasadora w Paryżu) – zawsze obejmuję jej pierś, o tak – przysunął miseczkę dłoni niebezpiecznie blisko zaniepokojonego biustu Virginii – i mówię: „Ależ moim zdaniem waży pani dokładnie tyle, ile powinna!”. Gdybym teraz tak zrobił – kontynuował – chyba nie byłaby pani zaszokowana?

– Zaszokowana – wykrztusiła Virginia – to nie jest właściwe słowo. Byłabym...

– Widzi pani – przerwał jej d’Alantour – to coś zupełnie naturalnego!

– Boże drogi – rzekła Virginia. – Idzie moja córka.

– Chodź, mamó – zawołała Bridget. – Belinda już czeka w samochodzie. Nie chciałabym teraz wpaść na Sonny’ego.

– Wiem, skarbie. Już idę. Nie mogę powiedzieć, że było mi przyjemnie – rzuciła sztywno w stronę ambasadora i ruszyła prędko w ślad za córką.

Ambasadorowi zabrakło refleksu, by dogonić uciekające kobiety. Stanął w miejscu i mamrotał pod nosem:

– Trudno wyrazić słowami... moje najszczerze powinszowania... doskonałe przyjęcie.

Bridget szła tak szybko, że żaden z gości nie zdołał jej zatrzymać ani powiedzieć komplementu. Niektórzy przypuszczali, że jedzie do szpitala, do którego zabrano George’a Watforda; w każdym razie sprawa musiała być bardzo pilna.

Kiedy wsiadła do samochodu – subaru z napędem na cztery koła kupionego za namową Caroline Porlock – i zobaczyła na tylnym siedzeniu przypiętą pasami śpiącą Belindę, a obok niej matkę z pogodnym uśmiechem na twarzy, poczuła falę ulgi i skruchy.

– Czasem byłam dla ciebie okropna – powiedziała nagle do matki. – Byłam snobką.

– Ależ nie, skarbie, rozumiem – odparła Virginia, wzruszona, lecz opanowana.

– Nie wiem, co we mnie wstąpiło, że wysłałam cię na kolację do tych strasznych ludzi. Wszystko stanęło na głowie. Tak bardzo się chciałam wpasować w ten głupi, nadęty świat Sonny’ego, że straciłam z oczu wszystko inne. Cieszę się, że jesteśmy tu razem we trójkę.

Virginia zerknęła na Belindę, upewniając się, że śpi.

– Jutro będziemy miały dużo czasu, żeby porozmawiać – rzekła, ściskając dłoń córki – ale teraz lepiej już jedźmy, przed nami długa droga.

– Masz rację – zgodziła się Bridget i zachciało jej się płakać, więc prędko zajęła się uruchamianiem samochodu i po chwili dołączyła do kolejki odjeżdżających gości, którzy zatarasowali jej podjazd.

Śnieg wciąż delikatnie prószył, kiedy Patrick, w kłębie wydychanej pary wokół postawionego kołnierza płaszcza, zostawił dom za plecami. Jego drogę przecinały ślady stóp, a czarne i brązowe okruchy żwiru błyszczały mokro wśród białych spłachci śniegu. Dzwoniło mu w uszach od zgiełku przyjęcia, oczy, przekrwione od dymu i zmęczenia, łzawiły na zimnie, lecz gdy doszedł do samochodu, zapragnął przejść się jeszcze kawałek, przeskoczył więc pobliską furtkę i wylądował na polu dziewiczego śniegu. Na końcu tego pola widać było grafitowe sztuczne jezioro, którego dalszy brzeg nikał w gęstej mgle.

Idąc po skrzypiącym śniegu, przemoczył cienkie buty i szybko zmarzły mu stopy, ale jakaś dziwna i nieprzewyciężona siła, jak we śnie, pchała go w stronę wody.

Gdy stanął przed trzcunami, sięgającymi kilka metrów w głąb jeziora, trzęsąc się i zastanawiając, czy wypalić ostatniego papierosa, z drugiego końca doleciał go trzepot skrzydeł. Para łabędzi wzbiła się ponad mgłę, skupiając w sobie jej biel i nadając jej kształt, a padający śnieg tłumiał uderzenia ich skrzydeł, jak białe rękawiczki na klaszczących dłoniach.

Dzikię bestie, pomyślał Patrick.

Łabędzie, którym jego myśli były obojętne, przeleciały nad polami odnowionymi i wyciszonymi przez śnieg, zatoczyły łuk nad brzegiem, rozpostarły błoniaste łapy i pewnie osiadły na wodzie.

Patrick stał w przemokniętych butach i palił ostatniego papierosa. Mimo zmęczenia, mimo zupełnego bezruchu powietrza, czuł, że jego dusza, której nie potrafił opisać inaczej niż jako część umysłu wolną od potrzeby mówienia, szarpie się i wyrывa niczym latawiec spragniony lotu. Nie myśląc o tym, co robi, podniósł leżącą u stóp martwą gałąź i rzucił jak najdalej w matowoszare oko jeziora. Delikatna fala poruszyła trzcunami.

Łabędzie po swojej bezcelowej wyprawie majestatycznie odpłynęły z powrotem we mgłę. Bliżej i hałaśliwiej kołowała w górze gromadka mew; ich skrzeczenie przywodziło na myśl większe i dziksze wody.

Patrick rzucił niedopałek w śnieg i nie do końca rozumiejąc, co się wydarzyło, z dziwną euforią zawrócił w stronę samochodu.



<sup>1</sup> „– Gdy ja używam jakiegoś słowa – powiedział Humpty Dumpty z przekąsem – oznacza ono dokładnie to, co mu każę oznaczać... ni mniej, ni więcej. – Pozostaje pytanie – powiedziała Alicja – czy potrafisz nadawać słowom tak wiele rozmaitych znaczeń? – Pozostaje pytanie – powiedział Humpty Dumpty – kto ma być panem... to wszystko” (Lewis Carroll, *O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra*, tłum. Maciej Słomczyński, Warszawa 2004). (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

<sup>2</sup> Nawiązanie do metafory, jaką posłużyła się Jane Austen na określenie własnego pisarstwa. W jednym z listów do bratanka, Edwarda Jamesa, Austen pisała: „Cóż ja bym poczęła z Twoimi mocnymi, męskimi, porywającymi opowieściami, tak różnorodnymi, pełnymi żaru? Jakżebym je mogła połączyć z malutką płytką z kości słoniowej (szeroką na dwa cale), na której maluję tak cienkim pędzelkiem, że z wielkiego starania przychodzi niewielki efekt” (Anna Przedpeńska-Trzeciakowska, *Jane Austen i jej racjonalne romanse*, Warszawa 2014).

<sup>3</sup> St Aubyn, a w ślad za nim Smith wygrywają nieprzekładalną wieloznaczność angielskiego „mind”, które może oznaczać zarówno „zdanie”, „opinię”, jak i „umysł”, „sposób myślenia”, co nadaje słowom Thomasa dodatkową, raczej niezamierzoną głębię.

<sup>4</sup> Cytat z *Ostatniej taśmy* Samuela Becketta w przekładzie Antoniego Libery.

<sup>5</sup> W oryginale u Empsona: „The talk would talk and go so far aslant”, u St Aubyna: „Talk would talk and go so far askance”. Oba słowa są pokrewne znaczeniowo, ale mają odmienne zastosowanie: *aslant* oznacza „skośnie”, „na ukos”, *askance* – „ukosem [patrzeć, zerkać na kogoś]”.

<sup>6</sup> Ang. *ants* i *aunts*.

<sup>7</sup> „Mam tylko tyle co nic / I tylko tyle mi trzeba”.

<sup>8</sup> W oryginale u Alfreda Tennysona: „Dead, long dead, / Long dead”.

<sup>9</sup> Ang. *eunuch* [wym. „junak”, podobnie jak UNUC] – eunuch, kastrat.

<sup>10</sup> Ang. *sod* – wyzwisko i przekleństwo.

**W polskim przekładzie wykorzystano fragmenty następujących utworów:**

*Nic takiego*: William Congrave, *Światowe sposoby*, przeł. Grzegorz Sinko; Derek Parfit, *Racje i osoby*, przeł. Witold M. Hensel, Michał Warchala; Swetoniusz, *Żywoty cesarów*, przeł. Janina Pliszczyńska

*Złe wieści*: *Mit Syzyfa* Alberta Camusa w przekładzie Joanny Guze; *Otello* Williama Shakespeare'a w przekładzie Stanisława Barańczaka; *Antoniusz i Kleopatra* Williama Shakespeare'a w przekładzie Leona Ulricha; *Hamlet* Williama Shakespeare'a w przekładzie Stanisława Barańczaka; *Król Lear* Williama Shakespeare'a w przekładzie Macieja Słomczyńskiego; „Musée Des Beaux Arts” W.H. Audena w przekładzie Jarosława Marka Rymkiewicza; *Piekieł* Dantego w przekładzie Edwarda Porębowicza; *Juliusz Cezar* Williama Shakespeare'a w przekładzie Leona Ulricha; „To może taki wierszyk” Philipa Larkina w przekładzie Jacka Dehnela; 1 List do Koryntian za Biblią Tysiąclecia; Ewangelia Mateusza za Biblią Warszawską

*Jakaś nadzieja*: *Król Lear* Williama Shakespeare'a w przekładzie Macieja Słomczyńskiego; *Miarka za miarkę* Williama Shakespeare'a w przekładzie Macieja Słomczyńskiego; *Burza* Williama Shakespeare'a w przekładzie Piotra Kamińskiego